MATTHEW DESMOND

EKSMITOWANI

NĘDZA I ZYSKI W JEDNYM Z AMERYKAŃSKICH MIAST

JEDNA Z NAJWAŻNIEJSZYCH KSIĄŻEK
WEDŁUG BARACKA OBAMY I BILLA GATESA

PRZEŁOŻYŁ TOMASZ S. GAŁĄZKA

MARGINESY



MATTHEW DESMOND

EKSMITOWANI

NĘDZA I ZYSKI W JEDNYM Z AMERYKAŃSKICH MIAST

PRZEŁOŻYŁ TOMASZ S. GAŁĄZKA

MARGINESY

Spis treści

Tytuł oryginału EVICTED
Przekład TOMASZ S. GAŁĄZKA

Wydawca ALICJA GAŁANDZIJ
Redaktorka prowadząca AGNIESZKA RADTKE
Redakcja EWA POLAŃSKA
Konsultacja dr MARIUSZ PIOTROWSKI
Korekta MAŁGORZATA KUŚNIERZ, JAN JAROSZUK
Projekt okładki i stron tytułowych ANNA POL
Opracowanie typograficzne, łamanie manufaktura | manufaktu-ar.com

Zdjęcie na okładce © PhotoAlto / Jerome Gorin / Getty Images

Warszawa 2019
Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-66335-17-2

Wydawnictwo Marginesy
ul. Mierosławskiego 11a
01-527 Warszawa
tel. 48 22 663 02 75
e-mail: redakcja@marginesy.com.pl
www.marginesy.com.pl

Konwersja: eLitera s.c.

Dla Michelle,
która sama przez to przeszła

Och, gdybyż
To Bóg łożył na czynsz.

Langston Hughes,
Mały wierszyk (wielkiej wagi)

Od autora

Niniejsza książka to literatura faktu. Do większości opisanych w niej wydarzeń doszło między majem 2008 a grudniem 2009 roku. O ile nie jest zaznaczone w przypisie, osobiście byłem świadkiem wszystkich zdarzeń z tego okresu. Wszelkie cytowane wypowiedzi pochodzą z zapisów dyktafonu cyfrowego lub zostały zaczerpnięte z dokumentów urzędowych. Nazwiska lokatorów, ich dzieci, krewnych, jak również właścicieli lokali i osób przez nich zatrudnianych zostały zmienione, by zapewnić im prywatność.

Prolog

Zimne miasto

Jori i jego kuzyn wygłupiali się, rzucali śnieżkami w przejeżdżające samochody. Auta jadące Szóstą Ulicą w dzielnicy Near South Side w Milwaukee mijały ciąg przysadzistych bliźniaczych domów, w tym ten na narożniku, gdzie mieszkał Jori. Te kierujące się na północ zmierzały w stronę bazyliki pod wezwaniem Świętego Jozafata – kopuła wieńcząca świątynię kojarzyła się Joriemu z gigantycznym przepychaczem do zlewów. Był styczeń roku 2008, miasto doświadczało właśnie najbardziej śnieżnej zimy odnotowanej w lokalnych dziejach. Od czasu do czasu któryś samochód zjeżdżał z Szóstej w Arthur Avenue, pomiędzy zwały odgarniętego śniegu, i wtedy właśnie chłopcy brali go na muszkę. Jori ulepił twardą śnieżkę, cisnął. Samochód zatrzymał się z szarpnięciem, ze środka wyskoczył jakiś mężczyzna. Chłopcy wpadli do domu i zamknęli się w mieszkaniu Joriego, jego matki Arleen i młodszego brata Jafarisa. Zamek w drzwiach był tandetny, tamten wyłamał go kilkoma mocnymi kopniakami. Odszedł jednak, nie robiąc nic więcej. Kiedy o wyłamanych drzwiach dowiedział się właściciel mieszkania, postanowił eksmitować Arleen i jej synów. Mieszkali tam osiem miesięcy.

Dzień, w którym Arleen razem z chłopcami miała opuścić mieszkanie, był zimny. Gdyby jednak zwlekała dłużej, właściciel wezwałby szeryfa, a ten zjawiłby się z bronią, ekipą tragarzy w glanach i złożonym nakazem sądowym, stanowiącym, że to już nie jest jej mieszkanie. Dostałaby dwie opcje do wyboru: wywózka albo wystawka. „Wywózka” oznaczałaby spakowanie jej dobytku do kontenera na ciągniku siodłowym, który odstawiłby następnie ten ładunek do gwarantowanego magazynu. Mogłaby potem odebrać stamtąd rzeczy po zapłaceniu trzystu pięćdziesięciu dolarów. Arleen nie miała trzystu pięćdziesięciu dolarów, musiałaby więc wybrać

„wystawkę”, czyli patrzenie, jak tragarze zwalają wszystkie jej dobra na chodnik. Jej materace. Duży telewizor. Jej egzemplarz poradnika o dyscyplinowaniu dzieci. Jej fajny stół obiadowy ze szklanym blatem i koronkowym obrusem, który pasował do niego po prostu idealnie. Sztuczne kwiaty doniczkowe. Biblie. Mięso z zamrażarki. Zasłonę prysznicową. Aparat na astmę Jafarisa.

Arleen zabrała synów – Jori miał trzynaście lat, a Jafaris pięć – do schroniska dla bezdomnych, na które wszyscy mówili Zajazd, tak że można było powiedzieć dzieciom: „Dziś na noc jedziemy do Zajazdu”, jakby to był motel. W sumie ten piętrowy otynkowany budynek całkiem przypominał motel, tyle że wszędzie były znaki Armii Zbawienia. Arleen pozostała w owym schronisku na sto dwadzieścia łóżek aż do kwietnia, kiedy znalazła sobie dom na rogu Dziewiętnastej i Hampton, w zamieszkanej przeważnie przez czarnych centralnej dzielnicy North Side, niedaleko miejsca, w którym się wychowała. Miał on grube obramowania okien i drzwi, kiedyś pomalowany był na ciemny odcień khaki, ale przez lata farba tak spłowiała i poodpryskiwała, że teraz prześwitywały gołe deski i można było pomyśleć, że to malowanie maskujące. Kiedyś ktoś zaczął przemalowywać dom po prostu na biało, ale odechciało mu się w pół ruchu wałkiem i większość ścian pozostała nieodnowiona. Często nie docierała tam woda i Jori musiał wiaderkiem wybierać zawartość toalety. Arleen była jednak zachwycona przestronnym domostwem, oddzielonym od innych. „Cicho tam było – wspominała. – No i za cały dom tylko pięćset dwadzieścia pięć, a to dwie sypialnie na piętrze i dwie na parterze. To była moja ulubiona chata”.

Po paru tygodniach miasto uznało ulubioną chatę Arleen za „nienadającą się do zasiedlenia”, przeprowadzono eksmisję, drzwi i okna zabito zielonymi deskami, a właściciela domu ukarano grzywną. Arleen zabrała Joriego i Jafarisa do ponurego bloku mieszkalnego głębiej w getcie, przy Atkinson Avenue – jak się wkrótce dowiedziała, gnieździli się tam handlarze narkotykami. Bała się o synów, szczególnie o Joriego o wątłych

ramionach, skórze barwy owoców orzesznika i cudnym uśmiechu, zawsze chętnego z każdym porozmawiać.

Arleen przetrzymała przy Atkinson cztery letnie miesiące, po czym przeprowadziła się na parter bliźniaka na rogu Trzynastej Ulicy i Keefe, półtora kilometra dalej. Razem z chłopcami przeniosła tam wszystkie rzeczy. Wstrzymując oddech, sprawdziła włączniki i uśmiechnęła się z ulgą, kiedy zapaliło się światło. Przez jakiś czas mogła ciągnąć prąd na cudze konto. W szybie okna w salonie ziała dziura wielkości pięści, drzwi frontowe trzeba było blokować paskudną drewnianą deską opuszczaną w metalowe klamry, wykładzina była lepka od brudu i wydeptana. Kuchnia była jednak przestronna, a salon jasny. Arleen wetknęła w dziurę w szybie kawałek materiału, powiesiła zasłony barwy kości słoniowej.

Czynsz wynosił pięćset pięćdziesiąt dolarów miesięcznie plus opłaty, standardowa stawka w roku 2008 za trzypokojowe mieszkanie w jednym z najgorszych sąsiedztw czwartego na liście najuboższych miast Stanów Zjednoczonych. Arleen nie mogła znaleźć sobie niczego tańszego, w każdym razie nie licząc lokali nienadających się do zasiedlenia, a ze względu na dzieci mało który właściciel zechciałby wynająć jej coś o mniejszym metrażu. Czynsz stanowił osiemdziesiąt osiem procent jej comiesięcznego zasiłku w kwocie sześciuset dwudziestu ośmiu dolarów. Może jakoś się uda. Może wytrzymają tu przynajmniej przez zimę, póki wiosną, ulubioną porą roku Arleen, spod zamarzniętej ziemi nie wybiją krokusy i tulipany.

Rozległo się pukanie do drzwi. Z wizytą przyszła właścicielka domu Sherrena Tarver. Sherrena, czarnoskóra, z włosami upiętymi w kok i świeżo zrobionymi paznokciami, była objuczona żywnością. Wydała czterdzieści dolarów z własnych pieniędzy, resztę dobrała w banku żywności. Wiedziała, że Arleen się to przyda.

Lokatorka podziękowała jej i zamknęła drzwi. Zaczynało się niezgorzej.

Nawet w najnędzniejszych dzielnicach amerykańskich miast eksmisje należały niegdyś do rzadkości. Powodowały zbiegowiska. W czasie

Wielkiego Kryzysu wybuchały zamieszki eksmisyjne, choć liczba ubogich rodzin, które w kolejnych latach stawały w obliczu eksmisji, stanowiła ledwie ułamek obecnej. Autor artykułu w nowojorskim „Timesie”, opisujący opór społeczności wobec eksmisji trzech rodzin w Bronksie w lutym 1932 roku, zauważył: „Zapewne z powodu mrozu zebrało się zaledwie tysiąc osób”[1]. Czasami sąsiedzi otwarcie przeciwstawiali się urzędnikom sądowym, obsiadając meble eksmitowanych rodzin, by uniemożliwić ich wyniesienie, czy wbrew nakazowi sędziego wnosząc ich dobytek z powrotem. Sami policjanci sądowi również mieli rozterki w sprawie eksmisji. Nie po to nosili odznaki i broń.

W obecnych czasach funkcjonują regularne jednostki policji przydzielane wyłącznie do dokonywania eksmisji i zajęć komorniczych. Istnieją firmy przeprowadzkowe specjalizujące się w eksmisjach, a ich pracownicy mają huk pracy od rana do wieczora w każdy dzień roboczy. Setki firm specjalizujących się w wyławianiu informacji sprzedają właścicielom mieszkań raporty umożliwiające selekcję lokatorów, wyszczególniające dotychczasowe eksmisje i pozwy sądowe[2]. Dziś wydziały sądowe zajmujące się sprawami lokatorskimi pękają w szwach, przez co asesorzy muszą prowadzić postępowania na korytarzach czy w zaimprowizowanych biurach, gdzie powciskano stare biurka i niedomykające się szafki na akta – a lokatorzy najczęściej w ogóle nie zjawiają się na rozprawach. Rodziny o niskich dochodach oswoiły się już z pomrukiem silników ciężarówek firm przeprowadzkowych, z pukaniem do drzwi o świcie, z widokiem dobytku wystawionego na chodnik.

W budżetach rodzinnych dało się zauważyć stagnację dochodów albo i ich spadek, natomiast koszty wynajmu mieszkań radykalnie wzrosły. Obecnie większość ubogich rodzin wynajmujących lokale w Stanach wydaje na to ponad połowę dochodów, a przynajmniej co czwarta na dach nad głową i światło musi poświęcić ponad siedemdziesiąt procent dochodów[3]. Co roku miliony Amerykanów lądują na bruku, ponieważ nie stać ich na opłacenie czynszu. W Milwaukee, mieście, w którym mieszkania wynajmuje niespełna sto pięć tysięcy gospodarstw domowych,

właściciele domów corocznie dokonują eksmisji około szesnastu tysięcy dorosłych i dzieci. To szesnaście rodzin dziennie pozbawianych dachu nad głową mocą wyroku sądowego. Właściciele domów mają jednak inne sposoby, szybsze i tańsze, na pozbycie się lokatorów niż zdobycie wyroku sędziego. Niektórzy płacą lokatorom paręset dolarów, byle wynieśli się przed końcem tygodnia. Inni zdejmują z zawiasów frontowe drzwi. Niemal połowa wymuszonych przesiedleń, które dotykają rodzin wynajmujących mieszkania w Milwaukee, to „nieformalne eksmisje”, zajścia w szarej strefie prawa. Jeśli zliczyć wszelkiego rodzaju wymuszone zmiany miejsca zamieszkania – eksmisje formalne i nieformalne, odbieranie domów właścicielom przez banki, uznanie budynku za niezdatny do zamieszkania – okaże się, że między rokiem 2009 a 2011 więcej niż co ósmy najemca w Milwaukee doświadczył przymusowej przeprowadzki[4].

Milwaukee nie jest bynajmniej wyjątkowe pod względem eksmisji. Te wskaźniki wyglądają podobnie w Kansas City, Cleveland, Chicago czy innych miastach. W roku 2013 co ósma uboga rodzina wynajmująca mieszkanie w USA nie była w stanie opłacić całości czynszu, podobna była też liczba tych, którzy przypuszczali, że wkrótce mogą doświadczyć eksmisji[5]. Niniejsza książka opowiada o tym, co dzieje się w Milwaukee, ale ta historia jest znana w każdym zakątku Stanów.

W *Eksmitowanych* podążamy śladami ośmiu rodzin – czarnych i białych, z dziećmi i bez – wciągniętych w tryby procedur eksmisyjnych. Do wysiedleń dochodzi w różnych dzielnicach, a proces ten dotyczy nie tylko właścicieli mieszkań i lokatorów, lecz także ich krewnych i przyjaciół, kochanków obecnych i byłych, sędziów, prawników, handlarzy narkotykami i członków rad parafialnych. Eksmisje pociągają za sobą dotkliwe długofalowe skutki. Utrata dachu nad głową kieruje rodziny do schronisk, opuszczonych domów, na ulicę. Przywabia depresję i choroby, wymusza na rodzinach przeprowadzki w upokarzające warunki w niebezpiecznych sąsiedztwach, rozbija społeczności i krzywdzi dzieci. Eksmisja obnaża słabości ludzi, ich desperację, ale też ich pomysłowość i ikrę.

Coraz mniej rodzin może sobie pozwolić na utrzymanie mieszkania. To jedna z najbardziej dojmujących i pilnych kwestii, przed którymi stoi dziś Ameryka, a oswojenie się z tym, jak szeroki i głęboki to problem, zmienia nasze postrzeganie ubóstwa. Od dziesięcioleci skupialiśmy się tu głównie na pracy, wsparciu publicznym, opiece rodzicielskiej i masowości uwięzień. Nikt nie zaprzecza, że to ważne zagadnienia, ale pomijano jeszcze jedno, i to elementarne. Nie dostrzegaliśmy w pełni, do jakiego stopnia w powstawaniu ubóstwa ważna jest sprawa mieszkania. Nie każdy, kto mieszka w niespokojnym sąsiedztwie, jest powiązany z członkami gangów, funkcjonariuszami policji, robotnikami, pracownikami społecznymi czy wreszcie duchownymi. Niemal każdy jednak ma kogoś, komu musi płacić za mieszkanie.

I

Czynsz

1

W branży posiadania miasta

Zanim miasto uległo zimie, chłodnej i szarej jak klucz francuski, zanim Arleen nakłoniła Sherrenę Tarver, by ta pozwoliła wprowadzić się jej z chłopakami do bliźniaka przy Trzynastej, getto tętniło życiem. Był początek września, Milwaukee cieszyło się ciepłym babim latem. Z samochodowych głośników na ulice wylewała się muzyka, dzieciaki bawiły się na chodnikach czy handlowały butelkami z wodą przy wjeździe na obwodnicę. Z foteli na werandach starsze panie oglądały roześmianych czarnych chłopaków o nagich torsach, niespiesznie zmierzających na boisko pograć w kosza.

Sherrena krążyła po North Side z opuszczonym oknem, słuchając R&B. Większość miejscowych przedstawicieli klasy średniej omijała tę dzielnicę obwodnicą. Właściciele domów jeździli tamtejszymi uliczkami, z reguły nie w saabach czy audi, ale w „inkasentach czynszu" – mieli takie pordzewiałe furgonetki czy pick-upy, z których ciekł olej, a w których zawsze znalazłoby się przedłużacze, drabiny, może i nabity pistolet, wihajstry do przepychania rur odpływowych, skrzynki z narzędziami, gaz pieprzowy w sprayu, gwoździownice i inne niezbędne przedmioty. Karminowego camaro Sherrena z reguły zostawiała pod domem, a do lokatorów wyjeżdżała beżowo-brązowym chevroletem suburbanem rocznik 1993, z dwudziestodwucalowymi felgami. Suburban był własnością Quentina, męża Sherreny, jej wspólnika w interesach i zarządcy nieruchomości. Odpalało się go na śrubokręt.

Niektórzy biali mieszkańcy Milwaukee wciąż jeszcze, jak w latach sześćdziesiątych, nazywali North Side „reaktorem", a jeśli w ogóle się tam zapuszczali, widzieli kolejne ulice obstawione ledwo trzymającymi pion piętrowymi domami, płowiejące murale, przedszkola czynne całą dobę,

osiedlowe sklepy z tabliczkami głoszącymi „Przyjmujemy talony WIC”[1*]. Milwaukee było niegdyś jedenastym co do wielkości miastem w Stanach, ale liczba jego ludności spadła w roku 1960 z siedmiuset czterdziestu do niespełna sześciuset tysięcy. I to widać. North Side usiana była opuszczonymi budynkami i zarośniętymi parcelami, gdzie niegdyś stały domy. Przy przeciętnej uliczce w tej okolicy znalazłoby się parę domów jednorodzinnych należących do starszych ludzi, którzy wciąż doglądali swoich ogródków i wywieszali flagi w gwiazdy i pasy, a do tego wiele bliźniaków czy budynków czterorodzinnych, z których obłaziła farba, a zasłony w oknach były zrobione z prześcieradeł, gdzie mieszkania wynajmowały rodziny walczące o utrzymanie się na powierzchni, i wreszcie puste parcele oraz porzucone domy z drzwiami i oknami zaślepionymi dyktą.

Sherrena widziała to wszystko, ale dostrzegała też co innego. Jak wszyscy zaprawieni w bojach właściciele domów, wiedziała, do kogo należy ten czy inny dom wielorodzinny, kościół, bar, kawałek ulicy. Znała rozmaite niewygody życia w poszczególnych okolicach, ich odcienie i nastroje – wiedziała, które kwartały się dymią, gdzie narkotyki przesiąkły już na wylot, a które były spokojne i ciche. Znała cenniki w getcie, wiedziała, jak zarobić na nieruchomości, która dla nieuświadomionych wyglądała na bezwartościową.

Sherrena, drobna kobieta o kasztanowej karnacji, miała na sobie lekką czerwono-niebieską kurtkę, która pasowała do jej spodni i noszonej na bakier czapeczki NBA. Lubiła się śmiać, rżeć z szeroko otwartymi ustami, czasem aż łapiąc rozmówcę za ramię, jakby chroniąc się przed upadkiem. Kiedy jednak skręciła z North Avenue, w drodze na spotkanie z lokatorami mieszkającymi nieopodal narożnika ulic Osiemnastej i Wright, zdjęła nogę z gazu i westchnęła ciężko. Eksmisje to regularne zdarzenia w tej branży, ale Lamar był beznogi. Sherrenie wcale się nie paliło do eksmitowania kaleki bez nóg.

Kiedy Lamar po raz pierwszy zaczął zalegać z czynszem, Sherrena nie sięgnęła z automatu po powiadomienie o eksmisji, nie zbyła tematu

banałem o tym, że biznes jest biznes. Wahała się, łamała.

– Nie będzie mi z tym łatwo – wyznała w końcu Quentinowi, kiedy sprawy nie dało się dłużej odwlekać. – Też o tym wiesz, co nie? – Zmarszczyła brwi.

Quentin zachował milczenie, dał żonie się wygadać.

– To jedyne uczciwe wyjście – zaczęła po kilku chwilach cichego namysłu. – Żal mi jego dzieciaków. Lamar mieszka tam z tymi chłopakami... Uwielbiam tego faceta. Ale uwielbieniem rachunków nie popłacę.

A Sherrena miała do zapłacenia mnóstwo rachunków: raty kredytów hipotecznych, opłaty za wodę, za utrzymanie nieruchomości, podatki gruntowe. Czasami znikąd spadały na nią większe wydatki – a to gdzieś popsuł się piec, a to miasto przysłało niespodziewaną fakturę – i do pierwszego właściwie nie miała grosza przy duszy.

– Nie stać nas na czekanie – stwierdził Quentin. – My czekamy na jego wpłatę, a tu rośnie podatek. Rośnie rata kredytu.

W tym biznesie nie ma miejsca na litość. Jeśli najemca nie zapłaci należnych pięciuset dolarów, znaczy to, że właściciel domu jest pięć stów w plecy. Gdy dochodzi do takiej sytuacji, właściciele domów kupionych na kredyt sięgają do oszczędności albo dochodów z innych źródeł, żeby uniknąć otrzymania z banku wypowiedzenia umowy kredytowej. Nie ma tu też eufemizmów: „redukcja kadr” czy „strata kwartalna”. Właściciele domów odczuwają zyski i straty bezpośrednio, marnotrawstwo i zniszczenia oglądają z bliska. Weterani tej branży lubią wspominać swoją pierwszą dużą stratę, inicjację w bólu: kiedy lokatorka zerwie podwieszany sufit, zrobi zdjęcia i wmówi sędziemu, że to wina właściciela budynku; kiedy eksmitowane małżeństwo przed opuszczeniem mieszkania zatka odpływy w zlewach skarpetkami i odkręci wodę na ful. Tutaj albo człowiek wyrabiał sobie grubą skórę, albo szybko kończył.

Sherrena potwierdzająco pokiwała głową i mruknęła, niemal do siebie:

– No, chyba muszę przestać współczuć tym ludziom, bo mnie jakoś nikt nie współczuje. Co spojrzę, firmy od kredytu wciąż chcą swoje pieniądze.

Sherrena i Quentin poznali się całe lata temu, na Fond du Lac Avenue. Quentin zatrzymał się obok niej, kiedy stała na czerwonym. Uśmiechała się fantastycznie, muzykę w samochodzie miała puszczoną na cały regulator. Zagadnął ją, żeby zjechała na pobocze. Ona pamięta, że jechał wtedy daytoną, on upiera się, że regalem. „No przecież nikogo bym nie zagadywał z daytony”, mawia Quentin, udając oburzenie. Miał fajnie zadbane dłonie, dobrą sylwetkę, ale nie mięśniaka, a do tego kręcone włosy i dużo biżuterii: gruby łańcuch, jeszcze grubszą bransoletkę, sygnety. Sherrena stwierdziła, że typ wygląda trochę jak diler, ale i tak dała mu prawdziwy numer. Wydzwaniał do niej przez trzy miesiące, nim pozwoliła się wyciągnąć na lody. Potem zeszło im jeszcze sześć lat, zanim się pobrali.

Gdy Quentin zagadał Sherrenę na światłach, pracowała jako nauczycielka klas początkowych. Mówiła także jak nauczycielka, do nieznajomych zwracała się per „słonko”, dawała matczyne porady albo karciła, potrafiła powiedzieć: „Już ty wiesz, że zaraz natrę ci uszu”. Jeśli zauważała, że ktoś przestawał jej słuchać, trącała go w łokieć czy udo, żeby znów zwrócić na siebie uwagę.

Cztery lata po poznaniu Quentina cieszył ją kierunek, w którym rozwijał się ich związek, ale w pracy zaczęła się nudzić. Po ośmiu latach pracy przy tablicy rzuciła robotę i otworzyła punkt przedszkolny. Tyle że „zamknęli mi go za jakiś techniczny drobiażdżek”, wspomina. Wróciła więc do szkoły. Kiedy jej syn z wcześniejszego związku zaczął stawać dęba, postanowiła go uczyć w domu, spróbowała też szczęścia z nieruchomościami. Gdy ktoś pytał ją: „Czemu nieruchomości?”, w odpowiedzi serwowała coś o „długoterminowych zwrotach” czy że „inwestycja w dom to najlepsza z możliwych lokat kapitału”. Kryło się w tym jednak coś więcej. Sherrena ma w sobie coś takiego, co mają i inni właściciele mieszkań na wynajem: niezłomną wiarę, że poradzi sobie sama, bez zabezpieczenia w postaci etatu w szkole czy firmie, bez kontraktu, emerytury, związków zawodowych. Dogadała się ze wszechświatem: może ruszać w pustkę, własną zawziętością i inteligencją dorobi się porządnego życia.

Sherrena kupiła sobie dom w 1999 roku, kiedy ceny były niskie. Po paru latach, korzystając z boomu na nieruchomości, zaciągnęła kredyt refinansowy i wyjęła na hipotekę dwadzieścia jeden tysięcy. Pół roku później powtórzyła ten zabieg, wyciągając kolejne dwanaście tysięcy. Za te pieniądze kupiła pierwszą posiadłość na wynajem – dwumieszkaniowego bliźniaka w getcie, gdzie domy były najtańsze. Na dalsze zakupy było ją stać dzięki zyskom z czynszu, kredytom refinansowym i prywatnym inwestorom w sektorze nieruchomości, oferującym pożyczki na wysoki procent.

Sherrena przekonała się, że wśród najemców było nieco rodzin z klasy wyższej i średniej, chętnych wynająć lokum, bo takie mieli preferencje albo okoliczności ich do tego zmusiły, trochę młodych i ludzi wędrujących za pracą, jak też lwia część miejskiej biedoty, tych, którzy nie mieli szans ani na samodzielne nabycie domu, ani na lokal komunalny[1]. Właściciele nieruchomości działali w różnych sąsiedztwach, z reguły jednak kupowali budynki w jednej okolicy. W podzielonym rasowo mieście oznaczało to, że koncentrowali się na wynajmie dla określonego typu ludzi: białych albo czarnych, biednych rodzin albo studentów uniwersytetu[2]. Sherrena postanowiła wyspecjalizować się w wynajmowaniu lokali czarnej biedocie.

Cztery lata później była już właścicielką trzydziestu sześciu mieszkań, wyłącznie w getcie, zaczęła wozić ze sobą dwa telefony komórkowe z zapasowymi bateriami, czytała „Forbesa”, wynajmowała biura, umawiała się na spotkania od dziewiątej rano do dziewiątej wieczorem. Quentin zrezygnował ze swojej posady, zaczął pracować dla Sherreny jako zarządca nieruchomości, jak również kupować domy na własne konto. Sherrena uruchomiła firmę zajmującą się naprawą zdolności kredytowych i drugą, inwestycyjną. Kupiła dwa minibusy po piętnaście miejsc każdy i rozkręciła spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością o nazwie Prisoner Connections (Połączenia z więźniami), dowożącą dziewczyny, matki i dzieci na widzenia z bliskimi osadzonymi w zakładach karnych na peryferiach stanu, po dwadzieścia pięć do pięćdziesięciu dolarów za miejsce siedzące. Sherrena odnalazła swoje powołanie: stała się bizneswoman z getta.

Sherrena zaparkowała pod domem Lamara i wyciągnęła dwa zawiadomienia o eksmisji. Budynek stał nieopodal Wright Street, wśród pustych parcel, na chodnikach widać było parę improwizowanych miejsc upamiętniających ofiary morderstw: pluszowe misie, cygara marki Black & Mild, nagryzmolone notki przypięte do pni drzewek. Właściwie były to dwa osobne piętrowe budynki po dwa mieszkania każdy, jeden stojący zaraz za drugim. Domy miały więcej na długość niż na szerokość, balustrady balkonowe z nieheblowanego drewna pomalowane na szarobłękitny odcień, podobnie jak obudowy okien, i winylową okładzinę sidingową w kolorze wpadającej w brąz bieli, coś jak resztki mleka, które za długo pozostały w miseczce po płatkach. Dom stojący frontem do ulicy miał osobne drzwi do mieszkań na parterze i na piętrze – do każdych prowadziły dwa drewniane stopnie, przy jednych drzwiach stare, obłażące z farby, przy drugich nowe, niemalowane.

Lamar mieszkał na parterze budynku na zapleczu, przylegającego do alejki do wywozu śmieci. W chwili przyjazdu Sherreny był akurat na dworze, na wózku inwalidzkim popychanym przez Patrice, której nazwisko widniało na drugim powiadomieniu o eksmisji. Przypiął sobie plastikowe protezy nóg. Lamar, starszy Murzyn o skórze barwy mokrego piachu, od pasa w górę był żylasty, wyglądał młodo. Miał wygoloną głowę i cienki, przyprószony siwizną wąsik. Ubrany był w żółtą sportową bluzę, na szyi miał smycz z kluczami.

– O, złapałam was dwoje razem.

Sherrena siliła się na niefrasobliwość. Wręczyła Patrice i Lamarowi powiadomienia o eksmisji.

– Prawie żeś się spóźniła – odparła Patrice.

Miała chustę na głowie, była ubrana w spodnie od piżamy i białą podkoszulkę na ramiączkach, odsłaniającą tatuaż na prawym ramieniu: krzyż opleciony wstęgą z imionami trójki jej dzieci. Patrice, lat dwadzieścia cztery, była o połowę młodsza od Lamara, ale jej oczy wyglądały starzej. Wraz z dziećmi mieszkała na piętrze domu od frontu. Jej matka, Doreen

Hinkston, i trójka rodzeństwa mieszkali pod nią, na parterze. Patrice złożyła kartkę z powiadomieniem i wetknęła ją do kieszeni.

– Wybieram się na trening – odezwał się z wózka Lamar.

– Jaki znowu trening? – zdziwiła się Sherrena.

– Trening piłkarski moich młodych. – Spojrzał na kartkę, którą mu wręczyła. – Bo wiesz, zabieramy się do porządków w piwnicy. Ja już zacząłem.

– A on nic mi o tym nie mówił – powiedziała Sherrena, mając na myśli Quentina. Czasami lokatorzy odpracowywali zaległości czynszowe, wykonując drobne prace na rzecz właścicieli, jak na przykład opróżnianie piwnic z rupieci. – Lepiej dzwoń do mnie. Pamiętaj, kto tu rządzi – zażartowała. Lamar odpowiedział jej uśmiechem.

Kiedy Patrice ruszyła chodnikiem, popychając wózek Lamara, Sherrena powtórzyła sobie w myślach listę zadań. Miała tyle rzeczy na głowie: naprawy, inkaso, przeprowadzki, reklamy, inspekcje, pracowników socjalnych, gliny. Ten wir roboty, milion drobiazgów, w które zawsze wbijało się coś wielkiego, sprawiał, że coraz trudniej było jej znaleźć czas na niedzielne obiady z mamą przy daniach z czarnej kuchni Południa. Raptem miesiąc wcześniej ktoś został postrzelony w jednym z jej mieszkań. Nowy chłopak lokatorki zainkasował trzy ładunki śrutu na klatę i krew lała się z niego jak z chlustającego kranu. Kiedy policjanci skończyli już zadawać pytania i zwinęli żółtą taśmę ostrzegawczą, na Sherrenę i Quentina spadło robienie porządków. Quentin zabrał się do tego z pomocą paru chłopaków w gumowych rękawicach, z odkurzaczem piorącym.

– Ściągnęłaś tu sobie jakiegoś chłoptasia, o którym nic nie wiem? – wypytywała lokatorkę Sherrena.

Quentin brał na siebie bałagan. Sherrena – ludzi. Taki mieli układ.

Potem, parę dni po tej strzelaninie, inna lokatorka zadzwoniła do Sherreny z wiadomością, że miasto zamyka jeden z jej domów. Sherrena nie wierzyła w te nowiny, póki sama tam nie podjechała i nie zobaczyła białych facetów w kaskach, którzy zabijali okna domu zieloną dyktą. Lokatorów przyłapano na pajęczarstwie, więc pracownicy We Energies

odcięli licznik przy słupie i poinformowali o tym Wydział Służb Komunalnych (Department of Neighborhood Services, DNS). Lokatorzy musieli wyprowadzić się tego samego dnia[3].

W Milwaukee, podobnie jak w całym kraju, najczęściej to na lokatorach spoczywa obowiązek pokrywania opłat za prąd i ogrzewanie, a jest to coraz cięższe brzemię. Od roku 2000 ceny opału i mediów wzrosły o ponad pięćdziesiąt procent w konsekwencji rosnącego światowego popytu i wygaśnięcia limitów cenowych. Przeciętnie w ciągu roku w skali kraju jedna na pięć ubogich rodzin wynajmujących mieszkanie otrzymuje od firmy energetycznej powiadomienie o odcięciu usług wskutek nieopłacania rachunków[4]. Rodzinom niezdolnym do pokrycia i czynszu, i rachunków zdarza się zapłacić krewnemu czy sąsiadowi, by zrobił obejście licznika. Rok w rok kradnie się w Stanach energię elektryczną wartą nawet sześć miliardów dolarów. Tylko samochody i karty kredytowe są kradzione częściej[5]. Kradzież gazu jest znacznie trudniejsza i rzadziej spotykana. Nie jest też konieczna zimą, kiedy miasto ogłasza moratorium na odcięcia. Gdy nadszedł ten dzień w kwietniu, kiedy zawieszenie kar wygasło, pracownicy gazownictwa wrócili do biednych sąsiedztw z plikami powiadomień o odcięciu i skrzynkami narzędzi. We Energies odcina corocznie około pięćdziesięciu tysięcy domostw za niepłacenie rachunków. Wielu lokatorów, którzy zimą nadążali z opłacaniem czynszu przez to, że nie płacili za ogrzewanie, stara się latem wyczyścić sobie konto w zakładzie energetycznym, tym razem kosztem właściciela lokalu. W końcu, żeby następnej zimy skorzystać z moratorium, nie mogą dać się odciąć. Dlatego właśnie co roku w Milwaukee liczba eksmisji wykazuje ostry wzrost w lecie, a spada w listopadzie, kiedy zaczyna się moratorium[6].

Sherrena patrzyła na roboli z DNS wędrujących w kaskach wokół jej domu. Mało co frustruje właścicieli mieszkań tak bardzo jak inspektor budowlany z podkładką w ręce. Jeśli nie zamknie taki obiektu na amen, to obwącha każde mieszkanie w poszukiwaniu naruszeń prawa budowlanego. DNS może na żądanie przysłać takiego inspektora pod dowolny adres. Pomyślane to było jako sposób na ochronę najgorzej stojących najemców

przed zaniedbaniami ze strony właścicieli mieszkań, ale według Sherreny i innych żyjących z wynajmu lokatorzy zgłaszają rzeczy drobne, wręcz kosmetyczne – i to często po to, by uniknąć eksmisji albo zemścić się na właścicielu mieszkania. Sherrena pomyślała sobie, ile właśnie straciła: parę tysięcy dolarów za naprawę instalacji elektrycznej i niezapłacony czynsz. Pamiętała, że w przypadku tej rodziny świadomie podjęła ryzyko, chciała pomóc matce dzieci, bo ta opowiadała jej, że próbuje odejść od chłopaka, który nią poniewierał. Sherrena postanowiła wynająć mieszkanie tej samotnej matce, choć wiedziała, że w ciągu dwóch ostatnich lat już trzy razy była eksmitowana. „Znów zachciało mi się mieć serce” – pomyślała.

Sherrena wyjechała z Wright Street, skręciła na północ. Skoro już była w tej części miasta, postanowiła odwiedzić jeszcze jedno miejsce: bliźniak na rogu Trzynastej i Keefe. Sherrena przyjęła tam w poprzednim miesiącu nową lokatorkę, pobrała od niej część czynszu i kaucji. Lokatorka siedziała teraz na schodkach przed domem we flanelowej koszuli z długim rękawem, tuląc marudne od kolki niemowlę i rozmawiając z matką, opartą o samochód. Widząc Sherrenę, dziewczyna nie traciła czasu.

– Mój syn jest chory, bo w domu ziąb – powiedziała. Z jej głosu przebijało znużenie. – W oknie dziura, a ja cierpliwie czekałam. W sensie mogę się wyprowadzić.

Sherrena przekrzywiła głowę zdezorientowana. Owszem, w szybie była dziura, ale przecież nie wyrwa, a na dworze tak ciepło, że dzieci wciąż jeszcze kąpały się w jeziorze Michigan. Więc jakim cudem w domu było zimno?

– Wzięłam zadzwoniłam do urzędu – dodała matka, odklejając się od samochodu. Była smukła, wysoka, włosy poskręcały się jej w loki w wilgotnym powietrzu późnego lata.

Sherrena odetchnęła głęboko. Tylko w tym kwartale był niejeden dom w gorszym stanie, ale wiedziała, że norm prawa budowlanego się tu nie trzymała. Powiedziałaby, że mało który dom w całym mieście ściśle spełniał te normy, komentując w ten sposób kontrast między zdezelowaną

substancją mieszkaniową Milwaukee a wyśrubowanymi przepisami miejskimi. Dzięki interwencji matki lokatorki za parę dni zjawi się tu inspektor. Zauważy rozchybotaną poręcz przy schodach, zrobi zdjęcie dziurawej szyby, rozkołysze koślawo wiszące drzwi wejściowe. Każde naruszenie przepisów oznaczało dla Sherreny koszty.

– Nie trzeba było tego robić – powiedziała. – Mogłam się z tą dziewczyną dogadać.

– No to naprawcie okno – odparła matka.

– Naprawimy! Ale skoro nie zadzwoniła do nas, to skąd mieliśmy wiedzieć...

– Ona nie ma telefonu, dlatego to ja zadzwoniłam! – weszła jej w słowo matka.

Kiedy rozmowa robiła się coraz głośniejsza, zaczęli się zbierać gapie.

– Co to za jedna? – spytał jakiś chłopiec.

– Właścicielka – usłyszał w odpowiedzi.

– Nie wiedziałam, mama, że będziesz dzwonić do inspektora budowlanego – odezwała się nerwowo lokatorka.

– Teraz już za późno. Zupa się wylała – stwierdziła Sherrena. Kręcąc głową, wzięła się pod boki i spojrzała na dziewczynę z niemowlęciem. – Zawsze kończy się tak, że jak chcę komuś pomóc, to mam przez to problemy. Nie mówię, że ty jesteś problemem, jest jak jest, wmieszał się ktoś trzeci, ale to ty tu mieszkasz. No więc wypada na ciebie.

– No to może odpowie mi pani na jedno pytanie. – Matka lokatorki podeszła bliżej, tłumek gapiów za nią. – Jakby to była pani córka, pani wnuki, to co by pani zrobiła?

Sherrena nie ustąpiła ani o krok. Podniosła wzrok ku matce, zauważyła, że tamta miała złoty ząb na przedzie, i odpowiedziała:

– Zdecydowanie skontaktowałabym się z właścicielem mieszkania, a nie dzwoniła do urzędu.

Przecisnęła się między gapiami i szybkim krokiem dotarła do samochodu. Gdy wróciła do domu, otworzyła drzwi i krzyknęła:

– Quentin, ale żeśmy wdepnęli w wielkie gówno!

Usiadła w zawalonym papierami biurze. Urządziła je sobie w jednej z pięciu sypialni domu, który dzieliła z Quentinem, w cichej, zamieszkanej przez czarną klasę średnią okolicy przy Capitol Drive. Mieli tam też urządzoną piwnicę z wpuszczonym w podłogę jacuzzi. Sherrena i Quentin wyposażyli dom w skórzane meble w kolorze beżu, pokaźne żyrandole z mosiądzu i kryształu i złociste zasłony. Kuchnia była obszerna, ale nieużywana, ponieważ niemal codziennie jedli na mieście. Z reguły w lodówce znalazłoby się tylko torby z niedojedzonymi posiłkami z restauracji.

– Co jest? – spytał Quentin, schodząc z piętra.

– Ta dziewczyna, co mieszka na parterze przy Trzynastej, co nie? Jej matka wzięła i zadzwoniła do inspektora budowlanego... Jeszcze była tam pod domem i jebała mnie jak sukę!

Quentin wysłuchał jej opowieści, po czym stwierdził:

– To ją wywal.

Sherrena zastanowiła się przez chwilę, po czym przyznała mu rację. Sięgnęła do szuflady i zaczęła wypełniać powiadomienie nakazujące opuszczenie mieszkania w ciągu pięciu dni. Prawo zakazywało działań odwetowych wobec lokatorów, którzy wezwali inspektora z DNS, ale właściciel w każdej chwili mógł wypowiedzieć najem za zaleganie z czynszem czy inne naruszenia zapisów umowy.

Nim Quentin i Sherrena zajechali suburbanem z powrotem na Trzynastą, zapadła noc. Drzwi do mieszkania stały otworem. Sherrena weszła bez pukania i wręczyła młodej lokatorce powiadomienie o eksmisji.

– Proszę – powiedziała. – Mam nadzieję, że ktoś ci pomoże.

Jakiś mężczyzna wyszedł za Sherreną na dwór, zatrzymał się na nieoświetlonej werandzie.

– Chwileczkę – zawołał, kiedy Sherrena dotarła do Quentina, który został przy samochodzie. – Wy ją e k s m i t u j e c i e?

– Powiedziała mi, że chce się wyprowadzić, więc rozumiem, że nie zamierzała mi już nic zapłacić – odparła Sherrena.

– Przecież powiedziała, że chce, żebyście naprawili okna.

– Temu facetowi nic do tego – wtrącił Quentin, patrząc na Sherrenę.

– Ej, morda, jak nic, jak wszystko! To moja pasierbica!

– Nawet tu, facet, nie mieszkasz! – wrzasnął na niego Quentin.

– Bo kto by chciał mieszkać w takim syfie... Co ty, kurwa, pierdolisz, że nic mi do tego?

Quentin otworzył drzwi suburbana i wyciągnął swój pas ochroniarski, przy którym miał kajdanki, krótką pałkę i puszkę gazu pieprzowego wielkości małej gaśnicy. Przerabiał już takie sytuacje. Jeden lokator powiedział kiedyś, że kaucję ściągnie z portfela Quentina. Inny oświadczył, że strzeli mu prosto w twarz.

Na ciemnej werandzie do ojczyma lokatorki dołączyła jej matka.

– Chcecie ją eksmitować? – zapytała.

– Nie zapłaciła za czynsz – odparła Sherrena. – Może wy chcecie za nią zapłacić?

– Jak mnie to, kurwa, jebie – mówił ojczym, właściwie sam do siebie. Nie eksmisja tak go poruszyła, lecz to, co mogło się wydarzyć tu i teraz, na tej ciemnej ulicy.

– Mnie też! – odpalił Quentin.

– Spuszczę ci wpierdol na ten czarny łeb pojebany... Będzie mi tu gadał, że nic mi do tego.

– Bo nic ci do tego! – darła się Sherrena, kiedy Quentin ciągnął ją z powrotem do suburbana. – Nic ci do tego!

Parę dni po wyprowadzce tamtej lokatorki do Sherreny zadzwoniła opiekunka z lokalnej agencji świadczeń socjalnych Wraparound. Miała klientkę, która potrzebowała mieszkania dla siebie i swoich dwóch synów. Wraparound pokrywało czynsz za pierwszy miesiąc i opłacało kaucję, co z punktu widzenia Sherreny brzmiało całkiem nieźle. Nowa lokatorka nazywała się Arleen Belle.

2
Mieć na czynsz

Jakiś czas po tym, jak Sherrena odwiedziła go z powiadomieniem o eksmisji, Lamar siedział w swoim mieszkaniu na rogu Osiemnastej i Wright, grał w kierki ze swoimi dwoma synami i ich kolegami. Jak zawsze rozsiedli się dokoła małego stołu w kuchni, jedni ostro tłukli kartami w blat, inni posyłali je na stos jak bączki, zgrabnym ruchem nadgarstka. Chłopaki z okolicy wiedzieli, że w dzień czy w nocy mogą wpadać do Lamara, znajdzie się coś na ząb, przy odrobinie szczęścia także i buch z blanta, no i kozackie granie w kierki.

– Co jest, czarny, z kierów się wypykałeś?

– Patrz i ucz się, jak ci dupę usadzimy.

Lamar był w parze z Buckiem. Buck, osiemnastolatek, był najstarszy w tej ekipie, wołali go Duży Bracki. Siedzieli twarzą w twarz, grając przeciwko drugiej parze, w której był Luke, szesnastoletni syn Lamara, i DeMarcus, jeden z najlepszych kumpli Luke'a. Eddy, młodszy syn Lamara, piętnastolatek, serwował muzykę z kompaktów, a czterej inni chłopcy z sąsiedztwa stali pod ścianami i czekali na swoją kolej przy stoliku. Lamar siedział na wózku. Jego protezy, obie od stopy po górną część łydki, stały obok łóżka, rzucając na podłogę niemal ludzki cień.

– Psy są pojebane – zagaił Buck, przeglądając swoje karty. Był już bliski ukończenia liceum, na kawałek etatu pracował w stołówce, choć musiał tam nosić siatkę opinającą jego gęste warkoczyki. Buck spał w domu rodziców, ale mieszkał u Lamara. Jeśli ktokolwiek zapytałby go o przyczynę tego stanu rzeczy, wbiłby tylko wzrok w swoje buty rozmiaru czterdzieści sześć i odparł: „Bo tak". Chłopaki z reguły chodzili do sklepu czy na treningi futbolowe całą ekipą, paradowali po Wright Street w dziewięciu czy

dziesięciu. Zatrzymania przez policję miejską Milwaukee stały się już rutyną. Właśnie dlatego, jeśli ktoś robił wypad po zioło, to najczęściej Buck ruszał w trasę solo. – Następnym razem wyjadę im tak: „Za co mnie zatrzymaliście?” – ciągnął. – Bo masz prawo ich zapytać, co nie... Muszą coś zauważyć, usłyszeć, poczuć zapach czy coś.

– Nic nie muszą zobaczyć – odparł Lamar.

– A właśnie że muszą, starszy! Uczyli nas o tym w szkooole.

– No to źle was uczyli.

DeMarcus roześmiał się, przyłożył płomień zapalniczki do blanta, którego dopiero co zakleił. Zaciągnął się, podał skręta dalej. Ruszyła gra – z początku żwawo, potem wolniej, w miarę ubywania kart na rękach. – Jak gliny podjadą – upierał się Buck – nawet jak cię zhaltują, nie musisz im od razu otwierać okna. Wystarczy troszeczkę opuścić szybę.

– Chciałbyś mieć tak łatwo – wyszczerzył się Lamar.

– Serio, starszy!

– Weź, facet, nie próbuj zmieniać świata – wciął się DeMarcus, który właśnie dopiero co zaliczył aresztowanie, za „cwane gadki”, jak twierdził Lamar. – Chcesz rozwalać ściany łbem, będziesz dupą świecił.

Śmiech wzmógł się jeszcze, gdy Lamar dodał:

– Do mnie z pierdla nie zadzwonisz na mój koszt. – Ściągnął bucha z blanta. – Synuś, mam pięćdziesiąt jeden lat – powiedział delikatnie. – Przeszedłem wszystko, co da się przejść.

– Policja nie jest od tego, żeby nas chronić – powiedział Buck.

– Wiem, o co ci biega. Ale nie wszystkie psy są z jednej bandy... Jakbym był na mieście i zacząłby się dym, to wolałbym, żeby psiarnia się tym syfem zajęła. – Lamar wyszedł w króla karo, spojrzał w lewo na DeMarcusa. – Śmiało, młody. Wyskakuj z karty. – As już obszedł, a Lamar podejrzewał, że to DeMarcus ma królową. Ten odpowiedział mu spojrzeniem, pod grubymi szkłami krył pokerową minę.

– Starszy, to właśnie dzielnia nas chroni... Jak ktoś wjeżdża i strzela, to każdy na kwadracie, jak tylko ma z czego, wyciąga i grzeje.

– Synu, ja byłem w Wietnamie. Wiem, że umiem strzelać.

Lamar wstąpił do marynarki wojennej w 1974 roku, po tym jak zobaczył reklamę w telewizji. Miał siedemnaście lat. Służba zlała mu się w wir nudnych oceanów, egzotycznych miejsc, imprez na przepustkach w portach, łykania piguł i przepuszczanego żołdu. Lamar nie miał pojęcia, czemu wszyscy ci kudłaci studenci w Madison dostali takiego świra na punkcie Wietnamu, że dawali się tłuc policjantom po łbach, a nawet wysadzili jeden z budynków uniwersytetu. On tam świetnie się w wojsku bawił. Został karnie wydalony ze służby w 1977 roku.

– Tyle że kulka nie ma oczu – ciągnął. – Facet, weź tylko pomyśl, jak żeśmy byli w sądzie na sprawie DeMarcusa. – Przerwali grę na czas, kiedy Lamar opowiadał tę historię. Otóż zanim wywołano na wokandę sprawę DeMarcusa, widzieli nastoletniego chłopaka skazanego na czternaście lat więzienia za to, że towarzyszył starszemu bratu, kiedy ten zatłukł jednego ćpuna na śmierć. – Młody siedzi tam na sali i ryczy, łzy leją się strumieniami.

– Wlepili mu jakieś gówno, bo był młody i czarny – stwierdził Buck.

– No to może, skoro sam jesteś czarny, powinieneś się trochę zastanowić.

Buck roześmiał się w głos, a DeMarcus plasnął wreszcie swoją kartą: ósemką kier.

– Ha! Tak mnie mama nauczyła – wrzasnął. W tej grze kiery zawsze są atutowe. DeMarcus zgarnął lewę.

– Szlag – powiedział z westchnieniem Lamar. Znów spojrzał na Bucka. – Nie warto bawić się w takie głupoty... Za kratami nie ma się co śmiać. W więzieniu musisz walczyć dzień w dzień, żeby przeżyć.

– No ja wiem. Ale jak się wścieknę, tak że już muszę coś zrobić, to nic mnie nie powstrzyma.

– Lepiej wydoroślej, młody. – A gdy Buck ściągnął z blanta długiego bucha, Lamar dodał: – No i przydałoby się, żebyś trochę przyhamował, zielarzuuu. – Ostatnie słowo przeciągnął, mówiąc sztucznie wysokim, piskliwym głosem.

Buck parsknął takim śmiechem, że zmarnował całego bucha, ale komunikat osiągnął cel. Kiedy znów został poczęstowany skrętem, odmówił: „Jest dobrze”.

Gdy synowie byli w szkole, Lamar puszczał sobie do sprzątania klasyczne kawałki i pił kawę rozpuszczalną z cukrem. Podjeżdżał kawałek na wózku, zaciągał hamulec i zmiatał brudy na szufelkę na długim drążku. Nie upchnął chłopaków w jednym pokoju: Luke dostał jedną sypialnię, a Eddy drugą, mieli tam swoje piętrowe łóżka z metalowym szkieletem. Łóżko Lamara stało w kącie salonu. Po drugiej stronie pokoju była kanapa koloru mchu, zdjęcia drużyny z poprzednich sezonów futbolowych, białe sztuczne kwiaty doniczkowe i małe akwarium z gupikami. Mieszkanie było skromne, ale schludne i pełne światła. Spiżarka mogłaby wręcz znamionować zaburzenia obsesyjno-kompulsyjne. Konserwy z mielonką ustawione w zgrabny stos, pudełka płatków kukurydzianych wyrównane jak pod sznurek, puszki zupy i fasoli posortowane według rodzajów, wszystkie etykietką do przodu. Lamar zaadaptował stojak na wino Clos du Bois, stawiając na nim miniwieżę, talerze i puszkę po kawie Folgers, w której trzymał zapas tytoniu i bletki Midnight Special.

Widać tu było znaczący postęp. Kiedy Lamar po raz pierwszy oglądał to mieszkanie, panował tu straszliwy syf, wśród niemytych naczyń w kuchni roiło się robactwo. Lamar potrzebował jednak domu – dotąd mieszkał z synami w jednym pokoju w piwnicy u matki, gdzie obowiązywała ich cisza nocna o dziewiątej wieczorem – i widział, że to miejsce ma potencjał. Sherrena odpuściła mu kaucję. Myślała, że Lamar zostanie zakwalifikowany do programu Supplemental Security Income (SSI) – comiesięcznych zasiłków dla osób o niskich dochodach, z powodu podeszłego wieku lub niepełnosprawności fizycznej bądź umysłowej niezdolnych zarabiać na życie. To jednak jeszcze nie wypaliło.

Kiedy w szkole kończyły się zajęcia, chłopaki zaczynali się schodzić do Lamara – czasem z Lukiem czy Eddym, czasem nie. Najczęściej, gdy zapadał zmrok, wszyscy zrzucili się już na jednego czy dwa skręty, a na stół wyjeżdżały karty. Lamar i do swoich synów, i do tych chłopców, których

traktował jak własne dzieci, podchodził bez zahamowań, dobrodusznie. „Przed Bogiem niczego nie zdołacie ukryć – powiadał – więc nie kryjcie się z tym także przed starym. Czujcie się jak u siebie w domu... Wolę, żebyście robili to pod dachem, przy mnie, niż gdzieś tam na winklu”. Kiedy tak popalał i dowcipkował z chłopakami, udzielał im też porad na temat pracy, seksu, prochów, glin, życia. Gdy narzekali na dziewczyny, Lamar próbował równoważyć szale. „Gadacie o laskach, ale widzicie, to faceci im tak ryją w głowach”. Przeglądał arkusze informacyjne z wywiadówek i suszył chłopakom głowy, żeby odrabiali prace domowe. „Oni sobie myślą, że ja z nimi imprezuję. A ja mam na nich oko”. Lamar mógł ich obserwować, bo nie był wiecznie poza domem, na długich szychtach. W tym kwartale domów wielu dorosłych pracowało: chłopcy właściwie ich nie widywali, ot, tyle co rano, jak w odprasowanych uniformach pędzili do samochodów.

Po tym jak został wyrzucony z marynarki, Lamar kilkakrotnie zmieniał pracę. W wielu budynkach robił za woźnego. Obsługiwał wózek widłowy, w Athea Laboratories pakował chemikalia. Po utracie nóg zgłosił się po zasiłek SSI, ale dwa razy otrzymał odmowę, bo – jak pamięta z rozmów – powiedziano mu, że w tym stanie zdrowia nadal może pracować. Nawet nie kłócił się z tą oceną, cóż, kiedy trudno było o dobrą robotę.

A był czas, kiedy w Milwaukee było jej pod dostatkiem. Jednak w drugiej połowie XX wieku szukający taniej siły roboczej szefowie wyprowadzali fabryki do innych krajów albo na południe, do tak zwanego pasa słońca, gdzie związki zawodowe były słabsze, o ile w ogóle istniały. Od 1979 do 1983 roku w sektorze produkcyjnym w Milwaukee znikło więcej miejsc pracy niż w czasie Wielkiego Kryzysu – w sumie około pięćdziesięciu sześciu tysięcy. Miasto, w którym w okresie powojennym właściwie każdy miał pracę, zostało nagle dotknięte dwucyfrowym wskaźnikiem bezrobocia. Ci, którzy znaleźli nowe posady w wyrastającym na to miejsce sektorze usługowym, doświadczyli redukcji płac. Jak zauważył jeden z historyków: „Robotnicy wykwalifikowani w dawnych zakładach Allis-Chalmers zarabiali co najmniej 11,60 dolara za godzinę.

Ekspedienci w centrum handlowym, które w roku 1987 zastąpiło znaczną część tej fabryki, zarabiali 5,23 dolara”[1].

Te przekształcenia ekonomiczne – zachodzące w miastach na terenie całych Stanów – były katastrofalne dla czarnych robotników z Milwaukee, z których połowa miała pracę w przemyśle. Kiedy zamykano fabryki, to najczęściej właśnie te najbliżej getta, gdzie mieszkali czarni mieszkańcy Milwaukee. Wśród czarnych odsetek żyjących poniżej granicy ubóstwa wzrósł w roku 1980 do dwudziestu ośmiu procent. W 1990 roku osiągnął już czterdzieści dwa procent. Kiedyś na rogu ulic Richards i Capitol, w zamieszkanej głównie przez czarnych dzielnicy North Side, znajdowała się fabryka zakładów American Motors. Obecnie jest tam dyskont Walmart. Dziś w Milwaukee budynki dawnych zakładów garbarskich ciągną się w dolinie rzeki Menominee niczym mauzolea minionego złotego wieku przemysłu tego miasta, zamknięto nawet browary Schlitza i Pabsta, a co drugi Afroamerykanin płci męskiej w wieku produkcyjnym nie ma pracy[2].

W latach osiemdziesiątych Milwaukee było epicentrum procesu odprzemysłowienia. W latach dziewięćdziesiątych miało się stać „epicentrum krucjaty przeciwko opiece społecznej”. Kiedy prezydent Clinton doszlifowywał swój plan „skończenia z opieką społeczną, jaką znamy”, konserwatywny reformator Jason Turner przeobrażał właśnie Milwaukee w ramach eksperymentalnej polityki, która przykuła uwagę władz ustawodawczych całych Stanów Zjednoczonych. Plan Turnera ochrzczono Wisconsin Works (Wisconsin Pracuje, w skrócie W-2) i rzeczywiście chodziło w nim o „pracę”: kto chciał otrzymywać czek na zasiłek, musiał pracować czy to w sektorze prywatnym, czy przy tworzonych przez państwo robotach interwencyjnych. Aby przyspieszyć wdrożenie programu, miano też przydzielić dodatkowe fundusze na opiekę nad dziećmi i opiekę zdrowotną. W-2 oznaczało, że ludziom płacono wyłącznie za rzeczywiście przepracowane godziny, nawet jeśli praca ta polegała na sortowaniu drobnych zabawek według kolorów, po czym nadzorca znów je mieszał, żeby następnego dnia można było zacząć wszystko od początku. Oznaczało to, że osobom niestosującym się do

wymagań można było obcinać zasiłki socjalne. Oznaczało, że z list klientów opieki społecznej w Milwaukee znikły dwadzieścia dwa tysiące rodzin. Pięć miesięcy po tym, jak w Milwaukee wdrożono pierwszy rzeczywiście forsujący zatrudnienie program w dziejach opieki społecznej, Clinton swoim podpisem wprowadził w życie reformę tego systemu na szczeblu federalnym[3].

Gdy w roku 1997 program W-2 całkowicie zastąpił Pomoc dla Rodzin z Dziećmi na Utrzymaniu, wypłacane świadczenia dzieliły się na dwie kategorie: 673 dolary dla świadczeniobiorców pracujących albo 628 dla tych, którzy nie chcieli bądź nie mogli pracować, najczęściej z powodu niepełnosprawności. Ponieważ Lamar nie pracował, wypłacano mu tę niższą kwotę, określaną jako W-2 T. Po zapłaceniu 550 dolarów czynszu zostawało mu na miesiąc 78 dolarów. 2,19 dolara na dzień.

Kiedy Lamar zaczął otrzymywać ten zasiłek, zaraz po tym jak wprowadził się do mieszkania wynajętego od Sherreny, omyłkowo otrzymał dwa czeki. Wydział Spraw Dzieci i Rodzin Stanu Wisconsin wydał broszurę *Rights and Responsibilities* [Prawa i zobowiązania] informującą klientów, którzy otrzymali nienależne świadczenia, że: „Zasiłek otrzymany przez klienta omyłkowo może podlegać zwrotowi niezależnie od tego, czy błąd powstał po stronie klienta czy po stronie agencji wypłacającej zapomogę”[4]. Tylko weź to wytłumacz samotnemu ojcu próbującemu utrzymać dwóch nastoletnich synów z jednego czeku z zasiłkiem. Lamar zainkasował oba czeki i kupił Luke’owi i Eddy’emu buty, ubrania i przybory szkolne, a także zasłony i meble do nowego mieszkania. „No pewnie, że wydałem te pieniądze. Na czekach było moje nazwisko” – powiedział, gdy w sprawie wykrytej pomyłki skontaktował się z nim pracownik opieki społecznej. Ów pracownik potrącił nadpłatę z następnej kwoty zasiłku, przez co Lamar zaczął zalegać z czynszem za jeden miesiąc.

Lamar myślał, że zrobienie porządku w piwnicy, czym zajął się dla Sherreny i Quentina, to robota warta 250 dolarów. Pomieszczenie było zawalone pleśniejącą odzieżą, śmieciami i psim gównem, przypominając

mu nawracający koszmar, w którym wpełzał do obcej sobie, spowitej cieniem piwnicy, chcąc kupić prochy. Jako że uważał, że to robota poniżej godności chłopaków, nie zamierzał prosić ich o pomoc. Sam wysprzątał całą piwnicę, przerywając pracę dopiero wtedy, kiedy w kikutach rwało go już nie do wytrzymania. Zajęło mu to tydzień. Sherrena zaliczyła mu na poczet długu pięćdziesiąt dolarów. Wciąż był jej winien dwieście sześćdziesiąt.

Nie dałoby się spłacić tego długu drobnymi nadpłatami. To, co zostawało Lamarowi po zapłaceniu czynszu, szło na rzeczy niezbędne w domu (mydło, papier toaletowy) i rachunek za telefon. Lamar sprzedawał więc talony żywnościowe warte sto pięćdziesiąt dolarów za siedemdziesiąt pięć, bo taki jest ich kurs w Milwaukee. Na koniec miesiąca lodówka i spiżarka będą świecić pustkami, ale Luke i Eddy zawsze mogli załapać się na obiad u babci. Inni chłopcy nauczyli się już, że Lamarowi nie podbierało się jedzenia.

Tego wszystkiego i tak było mało. Jeśli Lamar chciał utrzymać się w tym mieszkaniu, musiał wymyślić jeszcze jakiś patent. Zauważył okazję, kiedy wyprowadziła się Patrice. Nie stawiała się zbytnio, kiedy Sherrena wręczyła jej powiadomienie o eksmisji. Wcześniej przeniosła się z trójką dzieci na piętro z parteru, gdzie mieszkała razem z matką Doreen i młodszym rodzeństwem. Kiedy otrzymała powiadomienie na różowym papierze, po prostu wróciła z dziećmi na parter.

Gdy Lamar się o tym dowiedział, doszedł do wniosku, że Sherrena będzie musiała przemalować mieszkanie. Poprosił ją, by to on mógł się tym zająć. Wyraziła zgodę i dodała, że Quentin podrzuci mu sprzęt. „Powiedz mu, żeby przywiózł więcej, lala. Będę miał ekipę”.

Do roboty stawili się Buck i DeMarcus, a także Luke, Eddy i pół tuzina innych chłopaków z okolicy, którzy zadomowili się już u Lamara. Rozdzielili się w przestronnym mieszkaniu z dwiema sypialniami, zanurzyli wałki i pędzle w dwudziestolitrowym wiadrze farby i zaczęli rozprowadzać ją po ścianach. Pracowali pilnie, cicho, bez żartów. Po jakimś czasie

niektórzy ściągnęli bluzy z kapturami i koszule, rzucili je na podłogę i dalej malowali półnago[5].

Lamar zrobił sobie chwilę przerwy na podziwianie tego widoku. Ledwie poprzedniej zimy, nawalony crackiem, wlazł do jednego z oczyszczonych domów. Kiedy już minął haj, zorientował się, że nie da rady wyjść – stopy mu zamarzły. Po powrocie ze służby wojskowej do domu Lamar wciąż imprezował. W połowie lat osiemdziesiątych na ulicach Milwaukee pojawił się crack, a Lamar zaczął go palić. Wpadł w nałóg. Współpracownicy w Athea Laboratories wiedzieli, co jest grane, bo już parę dni po wypłacie nie miał na papierosy. Pamiętał, jak stracił i pracę, i mieszkanie. Od tamtego czasu wędrował z Lukiem i Eddym po schroniskach dla bezdomnych i opuszczonych domach, gdzie zrywał wykładzinę z podłóg, żeby mieli namiastkę koca na noc. Wciąż jeszcze była wtedy z nimi matka Luke'a i Eddy'ego, w końcu jednak nałóg pochłonął ją ze szczętem i porzuciła chłopców. Gdy Lamar był uwięziony w tamtym opuszczonym domu, jadł tylko śnieg. Odmrożone stopy opuchły, spurpurowiały, sczerniały. Majaczył, kiedy ósmego dnia wyskoczył z okna na piętrze. Mówi, że to Bóg go wypchnął. Kiedy odzyskał przytomność w szpitalu, nie miał już nóg. Nie licząc dwóch krótkich epizodów, od tamtego czasu nie zapalił cracku. „Bóg mi błogosławi – stwierdził, patrząc na Luke'a i Eddy'ego. Ich czarną skórę upstrzyły kropelki białej farby odrywające się od wałków. – Udane są chłopaki".

Miesiąc później Sherrena jechała przez miasto w intensywnym deszczu. Hałas innych samochodów brzmiał tak, jakby z tylnych drzwi ktoś chlustał tysiącem wiader wody po myciu podłóg. Sherrena zmierzała na spotkanie Grupy Wsparcia Inwestorów w Nieruchomości w Milwaukee (Milwaukee Real Estate Investors Networking Group – RING), w hotelu Best Western przy lotnisku, na południowym skraju dzielnicy South Side. Na spotkaniu zjawiło się pięćdziesiąt osób, w tym inwestorzy, inspektorzy zagrzybienia, prawnicy i inni marginalni gracze na rynku nieruchomości, ale większość obecnych stanowili właściciele mieszkań na wynajem. Głównie mężczyźni:

młodzi pod krawatem, często kolejne pokolenie właścicieli, ale i tak robiący notatki; postukujący stopami panowie w średnim wieku w skórzanych kurtkach i ciężkich buciorach; starsi, w czapkach i flanelowych koszulach, o sękatych dłoniach[6]. Sherrena wyróżniała się wśród nich jako kobieta, a już tym bardziej jako czarna kobieta. Nie licząc jej przyjaciółki Lory, która przybyła do Stanów z Jamajki przed trzydziestu laty, w sali nie było innych czarnych osób. Niemal wszyscy tu byli biali, o imionach typu Eric, Mark czy Kathy.

Parę pokoleń wstecz tego typu spotkanie byłoby rzeczą niemal niesłychaną. Dla wielu ludzi wynajem mieszkań był pobocznym źródłem dochodu: mechanicy, kapłani czy policjanci, którym dodatkowa nieruchomość trafiła się właściwie przypadkiem (w spadku, powiedzmy), więc wydzierżawianie jej lokatorom traktowali jako fuchę po godzinach[7]. Jednak w ciągu ostatnich czterdziestu lat zarządzanie nieruchomościami wyraźnie się sprofesjonalizowało. Od roku 1970 liczba ludzi trudniących się zarządzaniem nieruchomościami jako podstawowym zajęciem wzrosła ponad czterokrotnie[8]. W miarę jak coraz więcej ludzi zaczęło kupować kolejne nieruchomości i myśleć o sobie przede wszystkim jako o właścicielach lokali na wynajem (a nie tylko jako o przypadkowych właścicielach mieszkania piętro niżej), zaczęły się mnożyć organizacje zawodowe, a z nimi pojawiły się firmy usługowe, akredytacje, materiały szkoleniowe, a także dostępność instrumentów finansowych. Według danych Biblioteki Kongresu w latach 1951–1975 ukazały się tylko trzy książki zawierające porady dla osób zarządzających nieruchomościami. W okresie 1976–2014 liczba takich tytułów wzrosła do dwustu dziewiętnastu[9]. Nawet jeśli większość właścicieli mieszkań na wynajem w danym mieście nie uważa się za „zawodowców”, mieszkalnictwo stało się gałęzią biznesu.

Głównym punktem tego wieczoru było wystąpienie Kena Shieldsa z firmy Self Storage Brokers of America. Sprzedawszy swoją agencję ubezpieczeniową, Shields zaczął szukać wejścia na rynek nieruchomości.

Z początku zajął się umeblowanymi pokojami, co oznaczało, że jego lokatorami byli głównie ubodzy, samotni mężczyźni.

– Obroty miałem piękne. Ale już z tym skończyłem. – Zebrani parsknęli śmiechem. – Zarobiłem całkiem niezłe pieniądze, a możecie mi wierzyć, lubię zarabiać, ale naprawdę cieszę się, że nie muszę się już użerać z niektórymi okazami z dołów społecznych, które trafiały się jako lokatorzy w pokojach umeblowanych[10].

Sherrena, właścicielka kilku domów z pokojami umeblowanymi, śmiała się wraz z resztą zebranych. A potem Shields odkrył usługi magazynowe.

– Przychody zupełnie jak z domu podzielonego na mieszkania, ale... – Zniżył głos, zmrużył oczy. – Nie macie tam ludzi. Tylko ich manele!... To jest najfajniejsze miejsce w całej gospodarce krajowej. Tylko podstawić jakieś duże naczynie i patrzeć, jak pieniądze sypią się kaskadami.

Shields, choć mieszkaniec Illinois, zachwycił właścicieli mieszkań. Kiedy skończył wystąpienie, zebrani zaczęli bić mu brawa. Przewodniczący RING, wąsaty mężczyzna z pokaźnym brzuchem, wstał do owacji. Jeśli nie było mówcy na dany wieczór, często organizował wolne dyskusje. Pewnego razu debatę rozpoczęła kobieta z firmy o nazwie Centrum Informacji o Ołowiu i Azbeście, oświadczając: „Na ołowiu da się zarobić” – a obecni na sali właściciele mieszkań z reguły tracili pieniądze, usiłując zlikwidować problem z bielą ołowiową. Jeden z właścicieli zapytał, czy musi powiadamiać miasto lub lokatorów o wynikach przeprowadzonego sprawdzenia mieszkań na obecność azbestu. „Nie musi pan” – odparła kobieta.

Rozmowa potoczyła się dalej, ktoś podniósł temat potrąceń z pensji. Prawnik poinformował zebranych, że właściciel mieszkania może obciążyć konto bankowe lokatora i żądać potrąceń z pensji, do dwudziestu procent dochodów, ale ostatni tysiąc dolarów był z tego wyłączony. Nie dało się również żądać potrąceń od ludzi na zasiłku.

– A może przechwycić ich zwrot podatku? – zapytała wówczas Sherrena.

Prawnik wyglądał na nieco oszołomionego.

– Nieeee, takie rzeczy to może tylko gubernator stanowy.

Sherrena wiedziała o tym już wcześniej. Zawczasu przyjrzała się temu tematowi. Jej pytanie nie było pytaniem, lecz wiadomością dla każdego Erica, Marka czy Kathy na sali, że Sherrena jest gotowa niemal na wszystko, by ściągnąć należny czynsz. Wielu białych właścicieli miało świadomość, że w biednych dzielnicach centralnych, gdzie domy były tanie, dało się szybko zarobić, ale na myśl o inkasowaniu czynszu na North Side, a co dopiero wręczaniu powiadomień o eksmisji, ogarniał ich strach. Sherrena chciała, by zrozumieli, że chętnie im pomoże. Za odpowiednią stawkę była gotowa zarządzać ich nieruchomościami czy doradzić, gdzie na terenach gett warto kupić dom: stałaby się ich pośrednikiem w czarnym Milwaukee. Po spotkaniu biali właściciele zebrali się wokół Sherreny, która miała na sobie dżinsową kurtkę z migoczącym na plecach napisem z naszytych kryształków: „LALA ZA MILION $". Gdy przyjmowała od nich wizytówki, rzucała kpiarsko:

– Nie bójcie się North Side!

Kiedy zebrani zaczęli wychodzić, Sherrena i Lora znalazły sobie ustronne miejsce w korytarzu.

– A ja mam dramat – zaczęła Sherrena. – Normalnie dramat na chama! Znów mam kosę z Lamarem Richardsem... tym facetem bez nóg. W tym miesiącu przyciął mnie na czynszu.

– Bardzo? – Ton głosu Lory, z delikatnymi śladami karaibskiego akcentu, pasowałby do bibliotekarki. Lora była starsza od Sherreny, a tego wieczoru ubrała się elegancko, w ciemne spodnie, czerwoną bluzkę z kilku warstw materiału i złote kolczyki. Podbity futrem płaszcz trzymała na kolanach.

– Trzydzieści dolarów. – Sherrena wzruszyła ramionami. – Ale nie w tym rzecz. Chodzi o zasady... I tak jest mi winny dwieście sześćdziesiąt przez to skopane malowanie.

Kiedy Lamar z chłopakami skończył malowanie po Patrice, zadzwonił do Sherreny, podjechała tam. Zauważyła, że chłopcy nie zaszpachlowali otworów w ścianach, zachlapali brązowe obudowy okien białą farbą,

a spiżarkę zupełnie ominęli. Lamar powiedział, że Quentin nie dowiózł ani szpachli, ani brązowej farby.

– To trzeba go było o to poprosić – warknęła Sherrena.

Nie zaliczyła Lamarowi ani centa na poczet długu.

– A potem bez pytania mnie o zgodę przerobił sobie podłogę w łazience – ciągnęła teraz – i potrącił sobie trzydzieści dolarów z czynszu.

Podczas malowania Lamar znalazł w mieszkaniu po Patrice pudło kafelków i użył ich, żeby wymienić sobie podłogę w łazience, mocując każdą płytkę resztkami farby. – Powiedziałam mu: „Nigdy... przenigdy nie potrącaj już sobie niczego z czynszu, zapamiętaj!". No i w ogóle, jak może sobie potrącać, skoro ma u mnie dług?

Lora przełożyła nogę na nogę.

– Pogrywa sobie, ot co. Czas, żebyś się go pozbyła... Tacy wiecznie tylko próbują coś brać, brać, brać.

– Rzecz w tym – Sherrena wróciła do robót malarskich Lamara – że w życiu nie zapłaciłabym nikomu za taką robotę dwieście sześćdziesiąt.

– Ja załatwiłabym malowanie w pięciu pokojach po trzy dychy za pokój, wyszłoby sto pięćdziesiąt dolarów.

– Nie, nie, nie. Nasi zrobiliby to po dwadzieścia za pokój, góra dwadzieścia pięć.

– No właśnie.

– Więc jeśli o mnie chodzi, wciąż jest mi winien dwieście sześćdziesiąt. A nie, przepraszam, teraz już dwieście dziewięćdziesiąt.

Przyjaciółki się roześmiały. Tego właśnie potrzebowała Sherrena.

3

Zimny prysznic

Lenny Lawson wyszedł ze swojego biura na placu przyczep kempingowych, żeby spalić pall malla. Dym z papierosa wznosił się nad jego wąsem, mijał bladoniebieskie oczy i znikał gdzieś nad czapką bejsbolową. Lenny spojrzał nad dachy rzędów przyczep ustawionych ciasno jedna przy drugiej na wąskim pasie asfaltu. Niemal wszystkie stały równolegle, o kilka kroków od siebie. Niedaleko znajdowało się lotnisko – nawet wieloletni mieszkańcy placu zadzierali głowy, kiedy błyskające spodami kadłubów samoloty przelatywały nisko, aż szyby drżały w oknach. Lenny żył tu od urodzenia, już czterdzieści trzy lata, a przez ostatnich dwanaście był tu zarządcą.

Wiedział, że ćpuny mieszkają głównie w północnej części placu, a ci, którzy ciągnęli podwójne zmiany w restauracjach czy domach opieki, najczęściej na południu. Złomiarze i zbieracze puszek trzymali się blisko wejścia na plac, a ci z najlepszymi posadami – spece od piaskowania elewacji, mechanicy – zebrali się w snobistycznej części, na zapleczu biura, gdzie przyczepy miały zawsze pozamiatane schodki i stały przed nimi doniczki z kwiatami. Wszędzie można było trafić na kogoś na zasiłku, a także na tych starych, którzy, jak to ujął jeden z mieszkańców placu, „kładli się spać z kurami i z kurami wstawali”. Lenny próbował trzymać przestępców seksualnych w pobliżu ćpunów, ale nie zawsze się udawało. Jednego musiał ulokować w sąsiedztwie tych dwuzmianowych. Na szczęście facet nigdy nie opuszczał przyczepy ani nawet nie odsłaniał żaluzji. Ktoś co tydzień dostarczał mu żywność i inne niezbędne produkty.

Plac przyczep College znajduje się na peryferiach dzielnicy South Side, przy Szóstej Ulicy, niedaleko skrzyżowania z College Avenue[1]. Po jednej stronie ciągną się wyrobiska piaskowni, zarośnięte wybujałymi drzewami

i krzakami, po drugiej jest plac dużego dilera ciężarówek. Do najbliższej stacji benzynowej czy fast foodu trzeba iść piętnaście minut. W pobliżu znajdują się także inne place przyczep, otoczone uliczkami, przy których stoją skromne domy z jasnej cegły, o ostro spadzistych dachach. W tej części Milwaukee mieszka biała biedota.

Rzeka Menominee płynie przez środek miasta i można by ją wziąć za linię segregacji rasowej – oddziela zdominowaną przez czarnych North Side od zamieszkanej głównie przez białych South Side. Był czas, kiedy mieszkańcy Milwaukee dowcipkowali, że spinający brzegi doliny wiadukt na Szesnastej Ulicy to najdłuższy most świata, bo łączył Polskę z Afryką. Do największej próby zmiany tego stanu rzeczy doszło w roku 1967, kiedy na północnym przyczółku wiaduktu zebrało się dwustu demonstrantów, niemal wyłącznie czarnych, którzy ruszyli wiaduktem do Polski, by zaprotestować przeciwko dyskryminacji mieszkaniowej. Gdy zbliżali się do południowego krańca mostu, usłyszeli zgromadzony tam tłum, zanim jeszcze zdążyli go zobaczyć. Skandowane okrzyki „Zabić! Zabić!” czy „Chcemy niewolników!” zagłuszały nawet ryczącego z głośników rock and rolla. Po chwili pojawiła się ta ciżba ludzi, istne morze białych twarzy, według niektórych obliczeń nawet ponad trzynaście tysięcy osób. Gapie obrzucali demonstrantów butelkami, kamieniami, sikali na nich, pluli. Marsz czarnych nie zatrzymał się jednak, więc tłum białych tętnił, kipiał... aż w końcu coś pękło, runęła jakaś niewidzialna bariera i biali gapie runęli naprzód, rzucili się na maszerujących. A wtedy policja odpaliła granaty z gazem łzawiącym.

Demonstranci wrócili następnej nocy i kolejnej. Maszerowali po wiadukcie na Szesnastej Ulicy przez dwieście nocy z rzędu. Zauważyło ich miasto, potem cały kraj, w końcu cały świat. Niewiele się jednak zmieniło. W 1967 roku we wstępniaku w nowojorskim „Timesie” Milwaukee zostało ochrzczone „najściślej podzielonym rasowo miastem w Stanach”. Ponadpartyjna większość w obu izbach parlamentu pozwoliła prezydentowi Johnsonowi na przegłosowanie Ustawy o prawach obywatelskich w roku 1964 i Ustawy o prawie głosu w roku 1965, ale lobbing ze strony

właścicieli nieruchomości sprawił, że kongresmeni odmówili poparcia forsowanemu przez prezydenta prawu swobody zamieszkania, które sprawiłoby, że dyskryminacja przy wynajmie mieszkań stałaby się karalna. Dopiero zamordowanie Martina Luthera Kinga na balkonie motelu w Memphis i zamieszki, które po tym wybuchły, sprawiły, że Kongres w przyjętej w tym samym, czyli 1968 roku, Ustawie o prawach obywatelskich uwzględnił zapisy dotyczące rzeczywistego zakazu restrykcji przy wynajmie, przez co powszechnie nazywa się ją Ustawą o uczciwym mieszkalnictwie[2].

Na białej robociarskiej South Side już od lat trzydziestych znalazło się miejsce dla garstki latynoskich rodzin, których ojców zwerbowano do pracy w garbarniach. W latach siedemdziesiątych ta część populacji zaczęła rosnąć. Zamiast znów stanąć do boju, biali zaczęli się wyprowadzać, rozpełzać się coraz dalej na południe i zachód. Polska stała się Meksykiem, niedużą enklawą nad rzeką w South Side. North Side pozostała czarna. Wschodnie i zachodnie dzielnice miasta, podobnie jak peryferia South Side, tam, gdzie znajdował się plac przyczep zarządzany przez Lenny'ego, należały do białych. Prawo prawem, a Milwaukee nadal pozostawało jednym z najbardziej podzielonych rasowo miast w kraju[3].

Lenny zgasił butem papierosa i schylił się, żeby nie zawadzić o futrynę drzwi do biura ulokowanego w środku szerokości placu, niedaleko jedynej bramy wjazdowej. Było to ciasne pomieszczenie bez okien, zawalone papierami, oświetlone gołą żarówką wkręconą w gniazdko na suficie. Stare sprzęty – faks, kalkulator i komputer – miały na obudowach tłuste ślady. Latem pod cieknącym klimatyzatorem rozpełzała się na cienkiej purpurowej wykładzinie mokra plama. Zimą cicho burczał piecyk elektryczny, ustawiany na odwróconym plastikowym wiaderku. Przez lata Lenny dodał do wystroju nieco ozdobników: jelenie poroże, plakietę reklamową piwa Pabst Blue Ribbon, plakat ze zrywającym się do lotu spłoszonym bażantem.

– Hej – przywitał się z Susie, siadając za biurkiem.

Susie Dunn jak zawsze była na nogach, rozdzielała pocztę do skrytek, którymi zabudowana była jedna ściana biura. Nie tyle wkładała listy do skrytek, ile je tam wbijała, szybko, gwałtownymi ruchami. Taka była. Kiedy paliła papierosa, to głębokimi sztachami, trzymając dłoń przy samych ustach. Nawet kiedy mówiła, wciąż coś zamiatała, szorowała albo przestawiała meble w ogródku. Zupełnie jakby miała się przewrócić, gdyby się zatrzymała choć na chwilę, jak zabawkowy bączek. Mąż Susie lubił nazywać ją Królową Placu Przyczep. Inni mówili po prostu Biurowa Susie, dla odróżnienia od Heroinowej Susie.

– Tu masz swój zasiłek dla bezrobotnych – powiedziała Susie do jednego z listów. – Weź może zapłać jakiś czynsz, co?... Jak babka nie zacznie płacić, to długo już tu nie pomieszka. Może się wynieść z powrotem na South Side albo żyć w getcie.

Drzwi biura otworzyły się, do środka boso wmaszerowała pani Mytes, siedemdziesięciojednolatka, która trzymała się bardzo prosto i wcale nie wyglądała na zgrzybiałą. Pod burzą białych jak wata włosów miała pobrużdżoną zmarszczkami twarz i ani jednego zęba.

– Cześć, babcia – odezwał się z uśmiechem Lenny. Podobnie jak wszyscy inni mieszkańcy placu, miał panią Mytes za wariatkę.

– A wiecie, co dziś zrobiłam? Wywaliłam do śmieci jeden rachunek! – Pani Mytes spojrzała na niego z ukosa, oczami osadzonymi w pomarszczonej twarzy. Niemal wykrzyczała te słowa.

– Hm. Naprawdę? – odpowiedział Lenny, patrząc na nią.

– Głupia nie jestem!

– Hm, no tak. To ja mogę znaleźć dla pani więcej rachunków. Może pani popłacić moje.

– Ha!

Pani Mytes wyszła na dwór, by rozpocząć kolejny dzień wędrówek z wózkiem sklepowym i zbierania puszek. Rachunki opłacała z zasiłku. Zebrane puszki sprzedawała, żeby móc dawać swojej niedorozwiniętej

umysłowo dorosłej córce parę groszy na coś dobrego, a jeśli uzbierała ich naprawdę dużo, na wyprawę do fast foodu.

Lenny uśmiechnął się i wrócił do papierkowej roboty, czekając, aż znów otworzą się drzwi. Ludzie, których gdzie indziej słuchano jednym uchem, u Lenny'ego mogli liczyć na pełną uwagę. To do niego należało pilnowanie spłat czynszu i zgłaszanych napraw, to on miał weryfikować kandydatów na lokatorów i rozdawać powiadomienia o eksmisji. Jednak jego rolą było także słuchanie, co na placu piszczy, żeby wiedzieć wszystko: kto jest na bieżąco, a kto zalega, kto jest w ciąży, kto lubi mieszać metadon z pigułkami przeciwbólowymi, komu właśnie wypuścili chłopaka z więzienia. „Czasem jestem psychiatra – lubił żartować – a czasem największy buc we wsi".

Właścicielem placu przyczep był niejaki Tobin Charney. Mieszkał ponad sto kilometrów od Milwaukee, w Skokie w Illinois, ale odwiedzał plac codziennie z wyjątkiem niedziel. Biurowej Susie płacił pięć dolarów za godzinę i obniżył jej czynsz do czterystu czterdziestu dolarów. Od Lenny'ego w ogóle nie brał czynszu, a rocznej pensji płacił mu trzydzieści sześć tysięcy, gotówką. Tobin miał reputację człowieka elastycznego i wyrozumiałego, ale nikt nie uważał go za frajera. Był to twardy gość o wiecznie przymrużonych oczach i twarzy bez uśmiechu, szorstki w obejściu i energiczny. Miał siedemdziesiąt jeden lat, tyle samo co pani Mytes, i regularnie ćwiczył, w bagażniku swojego cadillaca woził torbę z rzeczami na siłownię. Nie kumplował się z lokatorami, nie śmiał się z ich żartów, nie czochrał włosów dzieciom. Nie udawał kogoś innego, niż był w rzeczywistości. Jego ojciec żył z wynajmu mieszkań, w pewnym momencie miał ich niemal sześćset. Tobinowi wystarczał tylko ten jeden adres i sto trzydzieści jeden przyczep.

Jednak w ostatnim tygodniu maja 2008 roku okazało się, że może to wszystko stracić. Żaden z pięciu członków Komisji Koncesyjnej Milwaukee nie zgodził się na wznowienie mu koncesji na prowadzenie placu przyczep. Na czele ataku stanął radny Terry Witkowski, wieloletni

mieszkaniec South Side, o różowawej twarzy i srebrnych włosach. Witkowski podkreślił, że w ciągu dwóch ostatnich lat Wydział Służb Komunalnych odnotował tam siedemdziesiąt przypadków naruszeń prawa budowlanego. Wspomniał, że tylko w ciągu ostatniego roku dwieście sześćdziesiąt razy wzywano na plac policję. Twierdził, że plac stał się ostoją handlu narkotykami, prostytucji i przemocy. Jak zauważył, brak podłączenia do sieci sprawił ostatnio, że szambo wybiło i rozlało się pod dziesięcioma przyczepami. Komisja Koncesyjna uznała plac w jego obecnej postaci za „zagrożenie biologiczne dla środowiska”.

Dziesiątego czerwca rzecz miała trafić pod głosowanie Rady Miasta, zwanej w Milwaukee „Radą Gminy”. Jeśli postanowienie Komisji Koncesyjnej zostanie utrzymane, Tobin straci źródło dochodów, a jego lokatorzy – dach nad głową. W tym momencie pojawili się ludzie z mediów, z fryzurami na żel i mocowanymi na ramionach kamerami, które wyglądały zupełnie jak broń. Przeprowadzali wywiady z mieszkańcami, wśród których znaleźli się też wygadani krytycy Tobina.

– Robią z nas w mediach jakieś tępe kundle – powiedziała do Tiny Mary. Rozmawiały obok przyczepy tej pierwszej.

– Powiedzieli, że jesteśmy „hańbą dla South Side” – odparła Tina.

Obie mieszkały na placu od lat, obie miały silne, ogorzałe twarze.

– Mój syn nie mógł przez to spać – podjęła Mary. – To samo ja i mój mąż... Przecież wiesz, że ciągnę dwie roboty. Ciężko pracuję. No i, prawda, i tak nie stać mnie na przeprowadzkę.

Podeszła do nich pani Mytes i niemal wetknęła nos w nos Tiny. Ta cofnęła się o krok.

– Ten sukinsyn! – zaczęła pani Mytes. – Zadzwonię do mojego radnego i dam mu do słuchu! O, ten sukin...

– Chwilkę, przecież to nam nie pomoże – wtrąciła Tina.

– A jak, pójdę i dam temu radnemu do słuchu – odparła pani Mytes. – A to mały sukinsyn!

Tina i Mary wciąż jeszcze kręciły głowami, kiedy pani Mytes pomaszerowała w swoją stronę. Mary zaraz jednak spoważniała.

– A słuchać, że mamy się wynieść na North Side, wcale nie jest przyjemnie – powiedziała. – To nie żarty.

Zadygotała nieco i umknęła spojrzeniem, żeby powstrzymać się od płaczu.

I to było sedno sprawy, tego właśnie najbardziej obawiali się mieszkańcy placu. Kiedy Mary, Tina, pani Mytes i cały plac mówili o konieczności wyprowadzki, mieli na myśli to, że mogą stanąć w obliczu konieczności przeprowadzki do getta czarnych. Biurowa Susie była jedną z kilkorga mieszkańców, którym zdarzyło się już żyć na North Side – jej dorosły syn został tam napadnięty przez typa z pistoletem.

– Radny mówił, że to slumsy, jak w getcie – pieniła się. – Widzieliście wy kiedyś getto?!

Przez ten stres miała takie skurcze brzucha, że syn chował przed nią tabletki przeciwbólowe w obawie, żeby nie przedawkowała.

Do ostatecznego głosowania nad losem placu przyczep zostało dziesięć dni. Lokatorzy urządzili więc grilla dla dziennikarzy, zaczęli wydzwaniać po lokalnych członkach parlamentu stanowego, ćwiczyć mowy, które zamierzali wygłosić przed Radą Gminy. Śmieciarz Rufus, o starannie przystrzyżonej rudej bródce i nieobecnych błękitnych oczach, spisał swoje myśli i robił próby przemówienia: „A wtedy zapytam: «Komu zdarzyło się zalegać z czynszem na pięćset dolarów?». I podniosą się ręce. A ja mogę wtedy dalej: «Na siedemset? Na tysiąc?». I każdy by podniósł rękę”. Rufus chciał zakończyć swoje wystąpienie słowami: „To nie kamienicznik z getta. To nie jest zły człowiek”.

Gdyby przemowa nie zadziałała i plac miał zostać zamknięty, Rufus zamierzał dobrać się do przyczep z diaksem, przynajmniej zarobiłby na sprzedaży aluminium.

Tobin nie szedł na udry z lokatorami. Zgadzał się na płacenie po kawałeczku. Kiedy tracili pracę, niektórym pozwalał odrabiać czynsz.

Bywało, że mawiał do Lenny'ego: „Może i nie płacą na czas, ale to dobrzy ludzie". Jednej lokatorce pożyczył pieniądze, żeby mogła pojechać na pogrzeb matki. Gdy policja aresztowała pijaczków, którzy pracowali przy koszeniu trawy i zbieraniu śmieci na placu, Tobin zapłacił za nich kaucję.

Rzadko zdarzało się, żeby ustalenia z negocjacji Tobina z tym czy owym lokatorem zostały spisane, bywało więc, że Tobin pamiętał jedno, a oni drugie. Lokatorka twierdziła, że jest mu winna sto pięćdziesiąt dolarów, on, że dwieście pięćdziesiąt czy sześćset. Raz Tobin zapomniał, że jeden z lokatorów zapłacił mu za rok z góry po tym, jak wygrał w sądzie odszkodowanie za wypadek przy pracy. Mieszkańcy placu mieli na to krótkie określenie: „tobinacja". Najczęściej składali to na karb jego wieku albo roztargnienia, choć roztargnienie Tobina działało tylko w jedną stronę.

Czerpanie zysków z najbiedniejszego placu przyczep w mieście wymagało swoistego talentu, specyficznej inicjatywy. Tobin stosował prostą strategię. Podchodził do takiego narkomana, złomiarza czy babci inwalidki i mówił: „Dawaj moje pieniądze". Walił do drzwi, póki lokator mu nie otworzył. Tego, że ktoś znajdował się w przyczepie, w zasadzie nie dało się ukryć. W ogóle niewiele dało się tu ukryć. Biurowa Susie wiedziała, kiedy kto otrzymywał czek z zasiłkiem, bo to ona wkładała pocztę do skrytek. A Lenny dobrze wiedział, kto miał dość pieniędzy, żeby kupować sobie papierosy czy piwo, czy nowy rower dla dziecka, ale na czynsz jakoś nie wystarczało. Kiedy lokator otwierał drzwi, Tobin wyciągał rękę i mówił: „Masz coś dla mnie?". Czasami bębnił przez kilka minut. Czasem chodził dokoła przyczepy, tłukąc dłonią w aluminiowe panele. Czasem prosił Lenny'ego czy innego lokatora, by ten dobijał się do tylnych drzwi, kiedy sam szturmował od frontu. Dzwonił do lokatorów w ich miejscu pracy, niekiedy nawet rozmawiał z ich przełożonymi. Jeśli to do niego dzwonili pracownicy opieki społecznej czy kapłani, mówiąc „Proszę" czy „Niech pan chwilkę zaczeka", odpowiadał krótko: „Zapłaćcie mi czynsz".

Tobin nie zamierzał nikomu zapomnieć ani darować zaległych setek czy tysięcy dolarów, nie zgadzał się na zapłatę połowy tego, co mu się należało,

ani nie schodził ze stawki za wynajem przyczepy poniżej cen rynkowych. Kiedy lokatorzy zaczynali się spóźniać z zapłatą, miał trzy wyjścia. Mógł sobie odpuścić i patrzeć, jak maleją mu wpływy, zacząć postępowanie eksmisyjne lub rozpocząć negocjacje.

Wyjście pierwsze – żadne wyjście. Tobin robił w tej branży, żeby mieć na życie, a gdyby wykazywał się zbytnią wyrozumiałością, mógłby zbankrutować. A jednak nie eksmitował też większej części tych, którzy byli mu winni pieniądze. Wyrzucanie lokatorów i ściąganie nowych to także koszty. Przeciętnie w danym miesiącu czterdziestu spośród lokatorów Tobina miało u niego zaległości – niemal trzecia część najemców z placu. Średnio zadłużenie takiego lokatora wynosiło trzysta czterdzieści dolarów[4]. A jednak Tobin w każdym miesiącu eksmitował tylko paru lokatorów. Wynajmujący nieruchomości mógł być zbyt miękki lub zbyt twardy, ale zyski płynęły do tych, którzy znaleźli złoty środek, wybierali trzecie wyjście, i lokatorzy Tobina byli mu za to wdzięczni, choć niekoniecznie od razu.

Jerry Warren nie czuł wdzięczności. Jerry był kiedyś w gangu motocyklowym Bandziorów, cały był wytatuowany, po części więziennymi dziarami. Tobin z powiadomieniem o eksmisji w garści tłukł w burtę przyczepy Jerry'ego o powierzchni ponad sześćdziesięciu metrów, którą Warren sam przemalował na odcień morskiego błękitu. Jerry zmiął powiadomienie w kulkę i cisnął nią w twarz Tobina, wrzeszcząc:

– W dupie mam twoją jebaną eksmisję, Tobin! A ty, Lenny, może i jesteś stary dziad, ale i tak chętnie spuszczę ci taki wpierdol, że hej!

Lenny i Jerry ścięli się na ostre słowa, ale Tobin był niewzruszony. Rozpoczął negocjacje, a po paru dniach, ochłonąwszy, Jerry wyszedł z własną propozycją[5]. Obiecał, że będzie sprzątać plac przyczep i zajmie się niektórymi usterkami zgłaszanymi do naprawy, jeśli tylko Tobin odwoła eksmisję. Właściciel placu zaakceptował taki układ.

Do Larraine Jenkins podszedł inaczej. Miesiąc przed tym, jak jego wniosek o odnowę koncesji został odrzucony przez komisję, sam zawiózł ją swoim cadillakiem do sądu na rozprawę eksmisyjną. Larraine została

zakwalifikowana do SSI z tytułu problemów z nauką, za przyczynę których uznano fakt, że w dzieciństwie wypadła z okna na strychu. Otrzymywała co miesiąc czek na siedemset czternaście dolarów. Jej czynsz wynosił pięćset pięćdziesiąt dolarów plus opłaty. Larraine już kilkakrotnie odwlekała płatność i w końcu Tobin pozwał ją do sądu. „No bo to jednak trudno wykładać tyle na ten czynsz – przyznawała. – Aż sobie człowiek myśli, że ci bezdomni to mają niezły pomysł na życie. Po prostu mieszkasz sobie na ulicy. Nikomu nie musisz płacić czynszu". Siedziała na przednim siedzeniu pasażera, na tylnym była inna lokatorka, Pam Reinke, piegowata ciężarówka z równo ściętą grzywką. W sądzie Tobin zaproponował im obu szczegółowe ugody, dopuszczalną w prawie cywilnym wersję ugód prokuratorskich z procesów karnych. Jeśli dotrzymywałyby ściśle rozpisanych planów spłat, Tobin odwołałby eksmisje. W przeciwnym razie mógł uzyskać nakaz i posłać do akcji grupę eksmisyjną szeryfa (na podstawie dokumentu zwanego listem restytucyjnym) bez potrzeby ponownego stawania z Larraine czy Pam przed sądem.

Przez cały czas poświęcony na boje z radnym Witkowskim Tobin martwił się, czy lokatorzy nie będą zwlekali z zapłatą czynszu, póki nie wyjaśni się, co dalej z placem przyczep. Jednak większość z nich trzymała się terminów. Ale nie Larraine. Już wcześniej zalegała z płatnościami, a w czerwcu w ogóle nie zapłaciła, bo nie wiedziała, czy plac nadal będzie działać. Doszła do wniosku, że jeśli i tak będzie musiała się wyprowadzić, bez sensu byłoby wykładać te pięćset pięćdziesiąt dolarów. Nieco za bardzo liczyła jednak na łut szczęścia. Nie dość, że zalegała z czynszem, to jeszcze pojawiała się wśród osób krytykujących Tobina w wieczornych wiadomościach – powiedziała do kamery, że widywała na placu prostytutki i dilerów narkotyków (namówiła ją do tego Phyllis Gladstone, najgłośniej gardłująca za Witkowskim)[6]. Gdy Tobin dowiedział się o tym wszystkim, przypomniał sobie, że Larraine nie dotrzymała warunków ugody. A to oznaczało, że mógł wezwać grupę eksmisyjną szeryfa, by usunęła lokatorkę z placu. Tak też zrobił.

Wkrótce do skrytki pocztowej Larraine wpadł list z Biura Szeryfa Milwaukee. Na jasnożółtej kartce wydrukowany był tekst następującej treści:

DO AKTUALNEGO LOKATORA

Niniejszym zawiadamia się Panią/Pana, że Biuro Szeryfa Hrabstwa Milwaukee otrzymało nakaz sądowy (List Restytucyjny/Pomoc Prawna), na mocy którego musi Pan/Pani natychmiast opuścić zajmowany lokal. Niezastosowanie się bezzwłocznie do nakazu spowoduje, że Biuro Szeryfa usunie należące do Pana/Pani ruchomości z zajmowanego lokalu.

W razie konieczności eksmisji ryzyko uszczerbku lub strat w mieniu spada na Pana/Panią jako pozwanego/pozwanej po odstawieniu mienia przez Biuro Szeryfa do placówki magazynowej. Tragarze nie zabiorą żywności pozostawionej w Pani/Pana lodówce lub zamrażarce. NALEŻY USUNĄĆ ŻYWNOŚĆ.

Słowa te przeraziły Larraine. I to rzucało się w oczy. Emocje grały na jej twarzy jak na ekranie kinowym. Kiedy była szczęśliwa, promieniała, obrzucając wszystkich szczerbatym uśmiechem, a w chwilach przygnębienia cała jej twarz obwisała, jakby do skóry przyczepiona była setka ołowianych ciężarków. Larraine, pięćdziesięcioczterolatka, mieszkała samotnie w czystej białej przyczepie, choć modliła się, że któregoś dnia zamieszka razem z dwiema dorosłymi córkami i wnuczkiem, którzy obok Boga znajdowali się w centrum jej wszechświata. Miała pokaźne brzuszysko, szeroką twarz i usianą piegami białą skórę. Przed laty była śliczna i lubiła ubierać się tak, żeby chłopcy na jej widok wychylali się z okien samochodów. Wciąż dbała o wygląd, nie wychodziła z domu w okularach, bo sądziła, że wygląda w nich „jak zdechła ryba”. Kiedy chciała zrobić wrażenie, zakładała biżuterię, którą nabyła za młodu, agrafkami przedłużając łańcuszki naszyjników, żeby się w nie zmieścić.

Woniejąc potem i octem, ze zmierzwionymi brązowymi włosami, Larraine weszła do biura, w ręce miętoliła żółte pismo niczym ścierkę do

naczyń. Po krótkiej wymianie zdań Tobin wyprowadził ją na zewnątrz i zawołał Susie.

– Susie, Susie! – darł się.

– Co jest, Tobin?

– Zabrałabyś ją do banku, co? Wyciągnie jakieś pieniądze na czynsz.

– No to chodź – rzuciła Susie, szparko ruszając w stronę samochodu.

Gdy Susie i Larraine wróciły, Tobin siedział w biurze i przeglądał papiery.

– Ile? – zapytał Susie.

– Mam czterysta – odpowiedziała Larraine.

– Nie odwołuję eksmisji – powiedział Tobin, nadal patrząc na Susie. Larraine wciąż była mu winna sto pięćdziesiąt dolarów za ten miesiąc.

Larraine po prostu stała w milczeniu.

Tobin obrócił się w jej stronę.

– Kiedy doniesiesz mi te ostatnie sto pięćdziesiąt?

– Wieczorem, dobra...

Tobin wszedł jej w słowo:

– Dobra. Oddasz Susie albo Lenny'emu.

Ale Larraine nie miała tych pieniędzy. Sto pięćdziesiąt dolarów z tego, co miała na czynsz, wydała na opłacenie zaległego rachunku za media z nadzieją, że z powrotem podłączą jej gaz. Chciała wziąć gorący prysznic, zmyć z siebie smród. Chciała poczuć się czysta, może nawet znów trochę jakby ładna, tak jak to było kiedyś, gdy dla facetów tańczyła na stolikach, gdy jej córki były jeszcze malutkie. Pragnęła, by gorąca woda ukoiła bóle fibromialgiczne – uczucie, które porównywała do „miliona noży" wbijanych w plecy. Miała recepty na leki, lyrica, celebrex, ale nie zawsze wystarczało jej pieniędzy, żeby je wykupić, mimo dopłaty z ubezpieczenia. Pomogłaby gorąca woda. Jednak sto pięćdziesiąt dolarów nie wystarczyło. We Energies zainkasowało pieniądze, ale gazu nie podłączyli. Larraine czuła się jak kretynka przez to, że im zapłaciła.

Susie wystawiła pokwitowanie na pierwszym lepszym świstku i podpięła je do powiadomienia o eksmisji Larraine.

– Powinnaś podejść do siostry, poprosić, żeby pożyczyła ci resztę – zaproponowała, podnosząc słuchawkę faksu i wybierając numer, który znała już na pamięć.

– Tak? Halo? Chcę zgłosić wstrzymanie eksmisji z placu przyczep College – powiedziała pracownikowi Biura Szeryfa. – Chodzi o Larraine Jenkins, przyczepa numer W46. Opłaciła czynsz.

Biurowa Susie odwołała wizytę ludzi szeryfa, ale Tobin mógł w każdej chwili ściągnąć ich z powrotem, jeśli Larraine nie spłaci tego, co była winna.

Larraine wróciła do przyczepy w kwaśnym nastroju. Wewnątrz było tak gorąco, że podejrzewała, że nawet z prysznica lałaby się letnia woda. Nie włączała wentylatora, od wentylatorów dostawała tylko zawrotów głowy. Nie otworzyła okna. Siedziała po prostu na kanapie. Zadzwoniła do paru lokalnych firm pożyczkowych. Po kilku nieudanych próbach, tępo patrząc w podłogę, oznajmiła:

– Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

Położyła się na kanapie, usiłując zignorować upał, i zasnęła.

4
Piękne inkaso

W dniu, w którym Rada Gminy miała zdecydować o losie placu przyczep, Tobin Charney, ubrany w koszulkę polo, beżowe cywilne spodnie i brązowe mokasyny, siedział pośrodku pierwszej ławy na widowni, obok żony i swojego adwokata. Potężne kolumny z różowego marmuru wznosiły się ku zdobionemu belkowaniem sufitowi, malowanemu w zawiły wzór w purpurze i żółci. W przedniej części sali stało wielkie dębowe biurko, a naprzeciwko niego, parę metrów jedno od drugiego, piętnaście mniejszych, również z dębu, po jednym dla każdego z radnych. Poprzedniej nocy adwokat przedłożył radnym aneks do wniosku koncesyjnego. Stało się to zbyt późno, by większość członków rady miała okazję się z nim zapoznać, więc adwokat wstał teraz i odchrząknął. Powiadomił zebranych, że aneks zawiera dziesięciopunktowy program, który Tobin zobowiązał się realizować w najbliższej i dalszej przyszłości. Miał zapisać się na całodzienny kurs dla właścicieli lokali na wynajem organizowany przez miasto, zatrudnić całodobową ochronę i zewnętrzną firmę zarządzającą, eksmitować uciążliwych lokatorów, a także zająć się naruszeniami prawa gruntowego. Nie wolno mu było mścić się na lokatorach, którzy go krytykowali. Miał też w ciągu roku sprzedać plac nowemu właścicielowi.

– Na placu mieszkają ludzie wymagający opieki: osoby starsze, niepełnosprawne i dzieci – stwierdził adwokat w podsumowaniu, wskazując, że Tobin „uczciwie współpracował” z radnym Witkowskim przy „formułowaniu warunków umowy”.

Rada Gminy nie była zadowolona z takich nocnych ustaleń – radni spierali się, a promienie słońca wpadały do izby przez witrażowe okna. Jeden określił proponowany wniosek mianem „dżentelmeńskiej umowy”. Inny zapytał, czy każdy obywatel, który powinien ponieść konsekwencje

swojego postępowania, mógłby po prostu przedstawić taki dziesięciopunktowy plan. W końcu wstał radny Witkowski i wygłosił przemówienie.

– Pan Charney dopuścił do tego, żeby porządny plac przyczep zmienił się w coś takiego – zaczął. – W moim okręgu są cztery place przyczep, ale tylko na tym jednym pojawiły się tego rodzaju problemy. – Spojrzał na adwokata ponad oprawkami okularów. – Tam nie mieszkają same osoby starsze, niepełnosprawne i dzieci, proszę pana. Niemniej – tu zwrócił się do innych radnych – są to osoby o ograniczonych zasobach, ograniczonych możliwościach. Byłyby zmuszone do przeprowadzki.

Witkowski nie stał się przyjacielem Tobina, ale zaproponowane warunki zadowoliły go.

Znów rozgorzała debata, energiczna, ostra. Tobin wciąż siedział na widowni, trzymając żonę za rękę – wyglądał na poirytowanego.

Przewodniczący rady zarządził głosowanie.

Po sesji rady Tobin pojechał na plac przyczep. Nie zwołał wszystkich mieszkańców, by powiadomić ich o wydanej decyzji. Nie klapnął na krzesło w biurze z westchnieniem. Zaczął eksmisje. Rada zgodziła się przedłużyć mu koncesję tylko pod warunkiem podjęcia drastycznych kroków w celu poprawy sytuacji na placu, w tym usunięcia z niego tych, którzy sprawiali kłopoty.

Gdy władze miasta czy stanu wywierają presję na właścicieli – nakazując im zatrudnienie zewnętrznej firmy ochroniarskiej czy wysyłając inspektora budowlanego, by dokładnie zbadał wynajmowany dom – ci często przerzucają te obciążenia na lokatorów[1]. Chodzi tu także o przywrócenie stosunku władzy. Najskuteczniejszą metodą na ustanowienie – czy restytucję – własności gruntu jest przymusowe usunięcie z niego ludzi[2].

– Gdzie się podziały moje czterotygodniowe powiadomienia? – zapytał Lenny. Był w biurze, przeglądał sterty papierów. Przy powiadomieniach o eksmisji z terminem dwudziestu ośmiu dni, „bez określenia powodu”, właściciel lokalu nie musi uzasadniać decyzji. To idealny sposób na usunięcie uciążliwych lokatorów, którzy nie zalegają z czynszem. Lenny

spojrzał na Tobina: – Masz mnóstwo czterotygodniowych powiadomień do wypisania.

– Oni wiszą mi za czynsz – odparł Tobin. – Dawaj im pięciodniowe.

W tym akurat przypadku „oni” oznaczało Pam i jej rodzinę. Tobin najpierw zawiózł Pam do sądu na sprawę o eksmisję, a potem poprosił ją, żeby porozmawiała z reporterami. Miała trzydzieści lat, była w siódmym miesiącu ciąży, twarz miała jak wyciętą z licealnej kroniki, a do tego zaciągała z akcentem ze Środkowego Zachodu. Budziła sympatię u widzów. Teraz jednak Tobin robił porządki.

Uniósł wzrok.

– Lenny, mam nadzieję, że przez to wszystko pieniądze nie zaczęły spływać wolniej.

– O dziwo nie – odparł Lenny. – Właśnie wpisywałem dane w arkusze, wygląda to nieźle.

– Miałam piękne inkaso – dodała Biurowa Susie.

Pam spróbowała wpłynąć na Tobina, przepisując na niego czek na tysiąc dwieście dolarów, który otrzymała w ramach pakietu pobudzania gospodarki prezydenta Obamy. Myślała, że to wystarczy, głównie dlatego, że wydawało się jej, że jest winna Tobinowi tysiąc osiemset dolarów. Tobin stwierdził jednak, że dług wynosi raczej coś koło trzech tysięcy, a poza tym Biurowa Susie doniosła mu, że Pam popala crack. Przyjął więc jej czek na pobudzenie gospodarki, ale eksmisji nie odwołał. Rodzina Pam mieszkała na placu od dwóch lat.

Pam i jej chłopak, Ned Kroll, zamieszkali w jednej z przyczep na placu Tobina, bo dostali ją od niego za darmo. Pam i Ned rozważali przeprowadzkę z Green Bay do Milwaukee, by mieszkać bliżej schorowanego ojca Pam, kiedy zobaczyli ogłoszenie zamieszczone przez Tobina w miejscowej gazecie. Podjechali zobaczyć, jak to wygląda.

Gdy Pam i Ned zjawili się na placu przyczep College, Tobin i Lenny zaproponowali im „pakiet robociarza”, czyli przyczepę za darmo. W tym układzie przyczepa należała do lokatorów, Tobin natomiast był

właścicielem gruntu, na którym stała. Obciążał jej właściciele „opłatą postojową”, która wynosiła tyle samo, ile czynsz płacony przez wynajmujących przyczepy. W odróżnieniu jednak od wynajmujących posiadacze przyczep odpowiadali za ich naprawy. W teorii rodzina mogła w każdej chwili przenieść się z przyczepą gdzie indziej. Właściciele wiedzieli jednak, że w praktyce jest to niemożliwe. Opłaty za holowanie przekraczają tysiąc pięćset dolarów, a przeniesienie przyczepy na inny plac mogło kosztować nawet dwa razy więcej. Jeśli właściciele zostali eksmitowani, nieodmiennie zostawiali opuszczoną przyczepę – wtedy Tobin przejmował ją jako „mienie porzucone” i znowu mógł komuś sprezentować.

W czasie, kiedy Pam była zagrożona eksmisją, tylko dwadzieścia spośród wszystkich przyczep na placu było wynajmowanych, reszta należała do indywidualnych właścicieli. Posiadanie przyczepy dawało wyłącznie korzyść natury psychologicznej. „Wprowadziłem się tu, żeby mieć dom, niechby i taki na kółkach” – lubił mawiać jeden z sąsiadów Pam[3].

Rozdawanie przyczep przez Tobina przyspieszało sprawy – w ciągu paru tygodni albo i dni udawało mu się znaleźć lokatora na świeżo opuszczoną przyczepę, czasami nawet w fatalnym stanie technicznym – ale ubogie rodziny trafiały na plac przyczep nawet bez takiej zachęty.

W Milwaukee i innych miastach, w miarę jak lokale na wynajem za znośną stawkę zaczęły popadać w ruinę i stopniowo znikać z rynku, rodziny o niskich dochodach rzuciły się do wynajmowania tanich mieszkań. W skali kraju odsetek wolnych tanich mieszkań spadł poniżej dziesięciu procent[4]. Codziennie w biurze Lenny’ego odzywał się telefon, ludzie dzwonili, żeby dowiedzieć się o wolne miejsca. Dzwonił, zanim pojawili się reporterzy, nie przestawał dzwonić, kiedy już się zwinęli. W tym miesiącu, kiedy o placu było głośno w mediach, nie mieli ani jednej wolnej przyczepy. „Plac jest zapełniony – stwierdził Lenny z uśmieszkiem. – A ludzie wciąż dzwonią”. Prowadzone przez Lenny’ego dla Tobina zestawienia czynszów dowodzą, że w przeciętnym miesiącu tylko pięć przyczep było pustych, co oznaczało, że wskaźnik wolnych lokali na jego

placu wynosił mniej niż pięć procent[5]. Wielki popyt na najtańsze lokale dawał właścicielom do zrozumienia, że na każdą rodzinę zajmującą mieszkanie przypadały dziesiątki innych, gotowych wejść na jej miejsce. W takiej sytuacji zupełnie nic nie motywowało ich do obniżania czynszów, wybaczania spóźnionych opłat czy dbania o wygląd posiadłości.

– No jasne – mruknął Ned, nie wyjmując z ust zwisającego papierosa, kiedy dowiedział się, że Pam znów urodzi dziewczynkę. Spłodził raz syna, kiedy miał szesnaście lat, z meksykańską dziewczyną poznaną na koncercie ZZ Top. Jednak jej rodzina odcięła go od matki dziecka, więc Ned prawie w ogóle nie myślał o synu, chyba że w radio puścili *La Grange*. – Może dostałem potem taką pokutę – dumał kiedyś. – Że koniec z chłopakami. – Ta nowa byłaby już piątą córką, jeśli liczyć dwie czarne dziewczynki Pam, a Ned czasem i je uwzględniał.

Pam i Ned poznali się w Green Bay po tym, jak ojciec dziewczyny zlecił Nedowi tuning harleya. Ned był starszy od Pam o dziesięć lat, miał smar pod paznokciami, odrastającą brązową brodę i długie włosy rzednące od przodu. Należał do tych facetów, którym satysfakcję przynosi załatwianie się przy otwartych drzwiach toalety i publiczne drapanie się.

Pam miała już wtedy dwie córki: Bliss, którą urodziła w wieku dwudziestu trzech lat, i o dwa lata młodszą Sandrę. Ich ojciec był czarnym dilerem narkotyków, którego Pam poznała w wieku dziewiętnastu lat. Potem dowiedziała się, że była tylko jedną z jego dziewczyn.

– Opowiedz, jak to było, jak tata walnął cię butelką i krew ci leciała z głowy – zażądała raz Sandra, kiedy jechały do banku żywności. Miała wówczas sześć lat.

Pam zmusiła się do smętnego uśmiechu.

– Za mało masz lat, żeby to pamiętać.

– Kiedy pamiętam – odparła Sandra.

To Sandra była tą, która łapała za walający się but i zabijała karalucha, kiedy pozostałe siostry tuliły się do siebie nawzajem z dreszczem zgrozy. Wraz z Bliss były jedynymi czarnymi dziećmi na placu. Jeden z ich

sąsiadów wywiesił raz nazistowską flagę we frontowym oknie przyczepy. Lenny zakazywał takich numerów, ale flaga Konfederacji była okej, o ile nad nią zamocowane były regularne gwiazdy i pasy.

– Nie, ty byłaś wtedy zupełnie malutka. Co innego Bliss. Ona zupełnie się już do tego przyzwyczaiła. Wiecznie widziała, jak leci mi krew.

Pam znalazła sposób, żeby odejść od tego typa. Zaczęła pracę jako salowa z uprawnieniami – opróżniała baseny, wycierała rzygowiny, obracała chorych na łóżkach, by nie zrobiły im się odleżyny. Nauczyła się, jak hurtowo przygotowywać spaghetti czy sałatki makaronowe. Jej matka zginęła w wypadku samochodowym, kiedy Pam była w liceum, więc nie zdążyła wpoić córce tych umiejętności. Ojciec też nie, bo mnóstwo czasu spędzał za kratami, jeśli nie za przestępstwa narkotykowe, to za jazdę po pijanemu. Za to brat Pam radził sobie coraz lepiej. Był w programie metadonowym i twierdził, że nie ciągnie go z powrotem do heroiny.

Były to obiecujące chwile, czas odrodzenia, czas robienia kolejnych małych kroków naprzód. Aż tu nagle ziemia rozstąpiła się jej pod nogami. Pewnego dnia w mieszkaniu Pam zadzwonił telefon. Głos w słuchawce powiedział, że jej brat nie żyje. Zapytała, jak to się stało. Przedawkował, usłyszała. Miał dwadzieścia dziewięć lat. Pam zaczęła wyć w słuchawkę. Potem rozłączyła się i wybrała inny numer, żeby dostać coś, co uratowałoby ją przed utonięciem.

Słowa używane na określenie tego narkotyku – „crack” czy „kryl” – mogłyby sugerować, że to coś chropawego, kanciastego. Jednak kiedy trzymało się porcję w dłoni, mogła być gładka, elegancka. Mogła przypominać pastylkę gumy do żucia, taką, jaka wypada na nadstawioną dłoń dziecka z automatu wrzutowego. Przez wszystkie lata spędzone u boku dilera Pam nie sięgnęła po crack. Widziała, co ten narkotyk robił z ludźmi i co oni byli gotowi zrobić, by go dostać. Zauważyła też, jak pomagał ludziom zapomnieć.

– Nie było dnia, żebym się czymś nie sponiewierała – wspominała Pam. – Czasem łapałam się na myśli: „Kurde, jeszcze nawet go nie opłakałam”. No i nie opłakiwałam. Bo zanim bym zdążyła, już byłam nawalona.

I to wtedy poznała Neda.

Przez pierwszy rok znajomości to właśnie crack trzymał ich razem. Żyli dla cracku i crackiem, w wolnych chwilach zajmując się wychowywaniem dziewczynek. Wkrótce sami zaczęli handlować. Rok po tym, jak się poznali, zostali przyłapani i skazani. Ned, który miał już na koncie wyrok za narkotyki, poszedł za kraty. Dla Pam był to przestępczy debiut. Dostała cztery lata nadzoru kuratorskiego i spędziła dziesięć miesięcy w areszcie, gdzie – w końcu – opłakała brata.

Wyszedłszy na wolność, usiłowała rzucić prochy. Wprowadziła się do najporządniejszej przyjaciółki, jaką miała w Green Bay, ale i ta wpadła w nałóg, kiedy Pam siedziała w celi.

– Każdy, kurwa, każdy, kogo znam w Green Bay, ma łeb rozjebany prochami – ciskała się. Poprosiła ojca, żeby przelał jej pięćset dolarów na przeprowadzkę, i ku jej zaskoczeniu spełnił tę prośbę. Green Bay to jednak małe miasteczko i Pam wkrótce natknęła się na jednego ze swoich dawnych dilerów. – A on od razu znów mnie w to wciągnął.

Pam wróciła do Neda, kiedy ten wyszedł z więzienia, i wkrótce okazało się, że jest w ciąży. Ned zażądał testu na stwierdzenie ojcostwa, który wykazał, że to rzeczywiście jego dziecko. Uzgodnili imię: Kristen. Niedługo potem zamieszkała z nimi córka Neda ze związku z inną kobietą. Laura miała drobny nosek, piegi i była o rok starsza od Bliss. Parę miesięcy po przybyciu Laury Ned zostawił ją, Pam i jej córki u kobiety, którą niedawno poznali przy dilowaniu. Pam i dziewczynki spędzili u tej babki jedną noc, drugą, trzecią. W końcu Pam odprowadziła Laurę do domu jej matki i zapukała do drzwi. Pamięta, jak stała pod tymi drzwiami i tłumaczyła matce Laury: „Niedługo urodzę dziecko. W tej chwili jestem bezdomna. Rzucił mnie twój były. Nie mam pieniędzy, nie mam jedzenia, niczego dla twojej córki. Boję się... Mogłabyś przyjąć swoją córkę?”[6].

Matka Laury, nie przerywając rozmowy telefonicznej, wręczyła jej siatkę konserw i zatrzasnęła drzwi. Pam i dziewczynki nadal mieszkały u tamtej znajomej. Ned wrócił do nich po miesiącu.

Gdy Tobin oznajmił Pam i Nedowi, że zatrzyma sobie ich czek, ale i tak ich eksmituje, miał ze sobą ekipę ochroniarzy. Nikt jednak nie robił afery, choć Tobin dał im tylko dwadzieścia cztery godziny na wyprowadzkę, nim zjawią się ludzie szeryfa. Ned może i chciał dołożyć do pieca, ale po kolejnym wyroku za narkotyki był objęty nakazem aresztowania. Pam i Ned oskarżali się nawzajem o sprowokowanie eksmisji.

– Zjebałaś to – warknął na Pam Ned.

– Sam zjebałeś – odcięła się. – Mnie będzie się czepiał. Oddawałam ci wszystkie pieniądze... To przez ciebie nas wyrzucają.

– Spadaj, suko.

– To twoja wina, Ned.

– Sama możesz się wynosić.

– Nie mogę. To twoja wina. – Pam urwała. – Już sama nie wiem. A może to jednak moja wina? Może to ja mam problem? Nie wiem. Możliwe. To ja mam aż tak nasrane?

Sprzedali wszystko, co mieli wartościowego – czyli telewizor oraz komputer, który Pam dostała pod choinkę. Potrzebowali tych pieniędzy. Każdego miesiąca Pam pracowała trzydzieści godzin, co przekładało się na czek zasiłkowy na sześćset siedemdziesiąt trzy dolary, do tego dostawała trzysta dziewięćdziesiąt dolarów w talonach żywnościowych. Przy pomyślnym wietrze Ned potrafił zarobić dziennie pięćdziesiąt dolarów w gotówce za naprawy i tuningowanie motocykli. Pam pilnowała swoich pieniędzy, Ned swoich. Mieli osobne konta bankowe, a rachunkami dzielili się po połowie.

Po odsiadce Pam miała problem ze znalezieniem pracy, mając w papierach niedawny wyrok za narkotyki. Ostatecznie przyjęła ją firma Quad Graphics, drukarnia komercyjna. Słynęli z tego, że są gotowi zatrudniać ludzi bez matury i z wyrokami pod warunkiem, że będą gotowi pracować na trzeciej zmianie. Pam była na to gotowa. Obsługiwała szumiące, grzejące się maszyny od siódmej wieczorem do siódmej rano.

Siedziba Quad Graphics znajdowała się w Sussex, czterdzieści minut samochodem od placu przyczep. Pam była zachwycona tymi dojazdami – miała czas dla siebie, bez Neda i dzieci.

Aż tu nagle auto rozkraczyło się jej w najgorszym możliwym czasie – zimą, kiedy z pieniędzmi było najbardziej krucho. Ned pracował w ekipie budowlanej, która w zimniejsze miesiące na dobrą sprawę zamykała interes. Nie wystarczyło na naprawę wozu, więc Pam straciła pracę. Wtedy właśnie zaczął się dług u Tobina. Jeden miesiąc opłacili zasiłkiem z programu Pomocy Doraźnej. Parę miesięcy później, w lutym, Pam oddała Tobinowi tysiąc dolarów, które otrzymała w ramach zwrotu nadpłaty podatku. Wciąż jednak byli zadłużeni. Pam mogłaby zapłacić Tobinowi więcej, ale chciała odzyskać posadę w Quad, a to oznaczało, że potrzebny jej był samochód. Kupiła sobie wóz za czterysta dolarów, ale tydzień później Ned usłyszał dochodzące z silnika postukiwanie i poradził jej, żeby go opchnęła, zanim trzaśnie wał korbowy.

Cóż, sporo forsy szło też na prochy. Zdarzały się takie poranki, kiedy wracając z nocnej zmiany, Pam znajdowała Neda u Heroinowej Susie czy z oczami jak spodki u nich w głównym pokoju, po całonocnej imprezie, z nieprzytomnymi babkami osuwającymi się z kanapy. Bywały wieczory, kiedy Pam porobiła się tak, że nie była w stanie chodzić.

Gdy już sprzedali telewizor i komputer, a resztę dobytku poupychali w worki na śmieci, Pam poszła na drugi koniec rzędu przyczep i zapytała Scotta, czy nie mogłaby zamieszkać u niego z rodziną, póki znów nie staną na nogi. Albo przynajmniej do narodzin małej. Scott był heroinistą, dobijał do czterdziestki. Mieszkał z Teddym, starszym facetem, którego poznał, kiedy obaj nocowali w Zajeździe. Pam miała do nich tyle zaufania, że czasem zostawiała u nich dziewczynki, choć raz zdarzyło się, że Scott stracił przy małych przytomność. Scott i Teddy zgodzili się, nie chcieli nawet żadnych pieniędzy.

Tobin prychnął, kiedy Biurowa Susie powiedziała mu, że Pam i Ned zamieszkają u Scotta i Teddy’ego. Wynajmował tę przyczepę Scottowi i Teddy’emu, nikomu na doczepkę. Tobin wręczył im powiadomienie

o eksmisji, dopinając do ich zaległości dług Pam i Neda. Czasami eksmisje były zakaźne.

5

Trzynasta Ulica

Arleen czuła się na Trzynastej Ulicy całkiem nieźle. Na jednym końcu jej kwartału był osiedlowy sklepik należący do Arabów, na drugim bar dla starszych facetów. Mogła odprowadzać Jafarisa do szkoły. Fajniej byłoby bez koksiarzy – narkomanów na cracku – którzy ostatnio wprowadzili się do sąsiedniego, opuszczonego domu, ale kawałek dalej mała dziewczynka uczyła się grać na skrzypcach.

Jej nowe mieszkanie też zaczynało wyglądać po ludzku. Był czas, kiedy ten dom naprawdę miał klasę. Zbudowany w stylu neoklasycznym, był to piętrowy dom licowany blokami piaskowca, z daszkiem nad frontowymi drzwiami wspartym na parze bliźniaczych kolumn. Na ulicę wychodziły dwa okna szprosowe, ozdobione szpiczastymi zwieńczeniami, jak również większe skrzydłowe okno na piętrze. Z biegiem lat dom zaczął jednak niszczeć. Baza jednej z kolumn osiadła, przez co daszek nad drzwiami przekrzywił się ukośnie. Kolumny, ganek i obramowania okien pomalowano na kolor popielatoszary, zainstalowano też dodatkowe drzwi w wejściu głównym, masywne, z żelazną kratownicą. Arleen nie lubiła wchodzić schodkami od frontu, bo łuszczyła się z nich farba, a poręcze po obu stronach były nie do pary, więc zawsze używała bocznego wejścia.

Z energią zabrała się do przeobrażenia tego mieszkania w dom dla swojej rodziny. Poprzedni lokatorzy pozostawili potężną szafę, komodę w sypialni, łóżko i lodówkę. W piwnicy było więcej rzeczy: zastawa stołowa, ubrania, tapicerowany fotel. Arleen wykorzystała, co tylko się dało: poprzestawiała meble, talerze ustawiła przy tych swoich ładnych, tych, które lata temu sprezentowało jej schronisko dla ofiar przemocy domowej. Zaklepała sobie sypialnię od frontu, a tę na tyłach domu oddała chłopakom – ułożyła ich szerokie materace na podłodze, a ubrania powkładała do szuflad komody.

Wypakowała wieżę stereo i słuchała klasyków hip-hopu z wypalanych płytek, w tym ulubionego 2Paca w *Keep Ya Head Up*. W kuchni powiesiła skromną rycinę przedstawiającą czarnych rolników pielących zagony. Nad drzwiami do łazienki umocowała wypatrzoną w aptece tabliczkę: DNIEM DZISIEJSZYM MARTWIŁEŚ SIĘ WCZORAJ, A TU WSZYSTKO W PORZĄDKU.

Arleen znalazła też w piwnicy wałki, pędzle i dwudziestolitrowe wiadro białej farby. Zataszczyła to wszystko do siebie, obwiązała włosy chustą i przemalowała ściany. Z rozpędu pociągnęła też klatkę schodową prowadzącą do mieszkania na górze. Skończywszy tę pracę, zapaliła kadzidełko, by zdusić woń farby, i rozejrzała się dokoła. Czuła się zadowolona z siebie, usatysfakcjonowana.

Mijały dni, Arleen i chłopcy oswajali się z nowym mieszkaniem. Czasami po szkole Jori namawiał innych chłopaków z okolicy na grę w puszki, a Jafaris się przyglądał. Używając piłki do kosza, Jori i jego rywal próbowali trafiać w rozłożone na chodniku spłaszczone puszki po napojach – im dalszy cel, tym więcej punktów. Jori miał długie kończyny, wydawałoby się, że ręce i palce rosną mu szybciej niż reszta ciała, co próbował ukrywać, nosząc bluzy i kurtki większe o rozmiar. Nie kombinował z włosami, w obejściu był zrelaksowany, spolegliwy. Jori był też jednak zapamiętały w lojalności wobec matki. Byłby gotów dla niej kraść, byle się uśmiechnęła. Gdyby ktoś ją znieważył, Jori stanąłby do walki. Niektóre urodzone w biedzie dzieci biorą sobie za cel wyrwanie się z ubóstwa za wszelką cenę. Jori nigdzie się nie rwał, czuł, że przyszedł na świat po to, by sprawować pieczę nad Arleen i Jafarisem. Mając zaledwie czternaście lat, był w tej rodzinie mężczyzną.

Jafaris rósł na potęgę, był największy w swoim roczniku w przedszkolu. Jori wystrzelił w górę, ale był chudy, za to Jafaris miał beczkowatą klatkę piersiową i solidne barki, a do tego wysokie kości policzkowe i rzędy warkoczyków, które wiecznie trzeba było poprawiać. Kiedy się nudził, zapuszczał się do piwnicy czy w alejkę na tyłach domu i wszystko, co znalazł – kije do szczotek, pordzewiałe narzędzia, psie smycze, kawałki sklejki – przeobrażało się w czołgi i helikoptery toczące bój. Po kolacji

Arleen oglądała w telewizji powtórki programów, z wyciszonym dźwiękiem, albo wczytywała się w sprawozdania z Indywidualnego Programu Edukacji, w ramach którego uczył się Jafaris, czy wreszcie kartkowała modlitewnik. Bywało, że nocą wchodziła schodami na piętro i pozwalała sobie na chwilę prywatności w drugim mieszkaniu w tym domu, niezamkniętym przez Sherrenę. Podobało się jej, że mieszkanie na piętrze stoi puste. Wolała, kiedy było cicho.

Pewnego dnia przyjaciółka sprezentowała Arleen kotka: pół czarne, pół białe maleństwo. Kiedy Sherrena powiedziała, że mogą go zatrzymać, Jori nazwał go Malcem i zaczął karmić resztkami posiłków. Śmiał się, kiedy Malec rzucał się na luźną sznurówkę czy siorbał nudla z chińskiej zupki. Jafaris często podnosił kotka i wtulał nos w jego uszko. Obaj chłopcy szczególnie uwielbiali okazje, kiedy Malec złapał sobie mysz. Wyciągał gryzonia na środek pokoju i zaczynał go prać. Myszka próbowała różnych sztuczek, chcąc odgadnąć, czego chce od niej Malec. Pac! Pac! Po każdym ciosie przewracała się, koziołkowała. W końcu nieszczęsne stworzonko kryło się pod łapką kota. On pozwalał myszy odsapnąć, ogrzać się. A potem potrafił opuścić głowę, złapać gryzonia w zęby i podrzucić go, a gdy mu się to spodobało, robił tak raz za razem. W końcu mysz leżała już tylko bez ruchu, a Malec patrzył na nią z chłodnym niesmakiem, zastanawiając się, czemu nie wstaje.

Jori otworzył drzwi i krzyknął:

– Ma atak astmy!

Odprowadzał Jafarisa ze szkoły do domu. Arleen nie wstawała z kanapy, chciała się upewnić, czy to poważne. Jeśli atak był łagodny, Jafaris otwierał i zamykał usta jak schwytana ryba. Przy średnich atakach układał buzię w „O”. Gdy było źle, ściągało mu wargi i dyszał przez rzadko rozstawione zęby.

Jafaris wszedł do domu z buzią w „O”. Zrzucił plecak i oparł się o kanapę, jak staruszek po wejściu schodami na piętro.

– Jafaris, przynieś mi moją torebkę – poleciła mu matka.

Skinął głową i poszedł do sypialni. Gdy wrócił, Arleen wyciągnęła albuterol, wstrząsnęła dozownikiem. Jafaris przyłożył usta do inhalatora i zaciągnął się, ale nie wyszło im z synchronizacją.

– Wydech! – warknęła Arleen. – To nie zabawa!

Jafaris spudłował też z następnym wdechem, ale w trzecim podejściu lek trafił do płuc. Chłopiec wstrzymał oddech, wydął policzki, podobnie jak to robią dzieci przed skokiem do basenu. Jego matka liczyła:

– Raz... dwa... trzy...

Na dziesięć Jafaris wypuścił powietrze, wziął głęboki wdech i się uśmiechnął. Arleen odpowiedziała mu uśmiechem.

Podawała mu albuterol co rano i co wieczór. Przed zaśnięciem dostawał jeszcze prednizon, lek sterydowy, z nebulizatora PARI Proneb Ultra, który miał plastikowe rurki i maseczkę jak te awaryjne w samolotach. Arleen nazywała go „maszynką do oddychania". Astma coraz mniej doskwierała Jafarisowi. Arleen pamiętała czasy, kiedy co tydzień musiała pędzić z synem na ostry dyżur.

Chłopiec dostał imię po ojcu, ostatnimi czasy Arleen niepokoiła się jednak, czy czasem nie przejął po nim czegoś jeszcze. Ojciec miał „problemy z nauką i z panowaniem nad gniewem", a Jafaris w szkole także zaczął przejawiać te cechy. Czytał wyśmienicie, ale z innymi przedmiotami było ciężko, popychał też innych uczniów. Był badany, ale nie zakwalifikowano go do żadnych programów pomocowych. Niektórzy nauczyciele sugerowali, by brał na to leki, ale Arleen od razu się wtedy jeżyła: – Nie lubię takich środków. A ritalin w ogóle skreślam. Moim zdaniem przydałoby się, żeby poświęcili mu więcej uwagi... Nie chcę podawać mu leków, póki nie spotka się z terapeutą, nie przerobi tego.

Arleen poznała ojca Jafarisa w kinie w centrum handlowym Mayfair, gdzie pracowała w bufecie.

– Jakoś tak po prostu wyszło – wspomina. – To nie był żaden regularny związek.

Starali się, żeby było z tego coś więcej, ale Arleen przekonała się, że facet potrafił być gwałtowny. Wkrótce po tym, jak się rozstali, trafił do więzienia. Jafarisowi dał właściwie tylko życie.

Tak samo było z jej ojcem. Zostawił matkę zaraz po tym, jak ją zapłodnił, a urodziła Arleen, mając ledwie szesnaście lat. Babcia Arleen wydawała posiłki w kafeterii szpitala Columbia St. Mary's, ale jej mamie rzadko zdarzało się pracować poza domem. Najpierw miała zasiłek, a potem poślubiła mężczyznę, który miał posadę. Potem został duchownym i to przez niego Arleen omijała kościoły szerokim łukiem.

Kiedy wyprowadziła się z domu jako siedemnastolatka, wyrzuciła wszystkie darowane ciuchy, w których matka kazała jej chodzić do szkoły. „Dzyń, dzyń", drwili z niej koledzy z klasy, kiedy szła w dzwonach z odzysku. Gumkami opinała nogawki u spodu, ale wtedy tylko głośniej rżeli. Kiedy Arleen porzuciła naukę przed ukończeniem liceum, jej matka nie skomentowała tego ani słowem. „Miała to gdzieś".

Arleen wprowadziła się do rodziny, która płaciła jej za opiekę nad dziećmi. W tym czasie poznała mężczyznę, który miał stać się ojcem jej najstarszego syna Geralda, przez mamę nazywanego Ger-Ger. Kiedy Arleen odkryła, że jest w ciąży, jej facet zaczął mieć kłopoty z prawem.

– Nie miałam pojęcia, jak to jest być z chłopakiem, który co rusz ląduje w pudle. Więc kiedy poznałam kogoś innego – w czasie jednej z odsiadek ojca Ger-Gera – po prostu zostawiłam go.

Tym kimś innym był Larry, szczupły mężczyzna o spokojnych oczach i szerokim czole. Larry sam wyuczył się na mechanika i zarabiał, naprawiając ludziom auta w uliczce na tyłach domu. Po wypłacie zabierał Arleen do chińskiej restauracji, bo to lubiła najbardziej. Studiowała długie menu, ale za każdym razem zamawiała to samo: kurczaka w sezamie. Byli biedni i zakochani, a wkrótce Arleen znów była w ciąży – kolejny syn. Dali mu imię po Larrym, ale wołali na niego Boosie. Larry i Arleen mieli potem jeszcze trójkę dzieci, córeczkę i dwóch synów, a imię dla najmłodszego pozwolili wybrać matce Arleen. „Jori". Spodobało im się.

– Wyjdziesz za mnie? – zapytał któregoś dnia Larry.

Arleen roześmiała się. Myśląc, że żartował, odmówiła.

– Nie chodziło mu o żadne wielkie wesele, nawet nie o ślub cywilny – wspomina. Ale Larry nie żartował. Kiedy Arleen zrozumiała, jak jest, spoważniała i powiedziała, że musi to przemyśleć. To nie o Larry'ego chodziło, tylko o jego matkę i siostrę.

– Zawsze im się wydawało, że wiedzą lepiej... Dla nich nigdy do niczego się nie nadawałam.

Od tego czasu Larry zaczął ganiać za innymi babkami. Arleen serce pękało, ale kiedy wracał, zawsze otwierała mu drzwi. Aż wreszcie kiedyś nie wrócił. Tym razem odszedł z kobietą, którą Arleen miała za przyjaciółkę.

Od tego czasu minęło już wiele lat. Czasami Larry parkował samochód tam, gdzie akurat mieszkała Arleen. Wsiadała wtedy do jego furgonetki, jeździli po mieście i rozmawiali, najczęściej o Jorim. Zdarzało się, że Larry zabierał Joriego do kościoła czy dawał mu u siebie przenocować albo przydzwonił mu w twarz za rozrabianie w szkole. Kiedy Jori widział, że Larry przejeżdża gdzieś koło domu, wrzeszczał: „Tata jedzie!", i gnał za samochodem.

Gdy Larry zostawił ją i dzieciaki, Arleen pracowała w hotelu Mainstay Suites, przy lotnisku. W rozpaczy zrezygnowała z roboty i zaczęła utrzymywać się z zasiłków. Jakiś czas później znów znalazła pracę jako sprzątaczka w restauracji Third Street Pier, ale wtedy nagle zmarła jej matka. Niezdolna podźwignąć się ze smutku, rzuciła i tę pracę. Potem żałowała powrotu na zasiłek, ale to były ponure chwile.

Kiedy przeniosła się na Trzynastą Ulicę, była na zasiłku W-2 T, głównie przez chroniczną depresję. W 2008 roku dostawała zasiłek w tej samej wysokości, jaką ustalono ponad dekadę wcześniej, podczas reformy systemu: 20,65 dolara dziennie, 7536 dolarów rocznie. Od roku 1997 kwoty zasiłków w Milwaukee i niemal wszędzie indziej ani drgnęły, choć koszty zamieszkania strzeliły w górę. Od lat politycy mieli świadomość, że rodzina nie zdoła wyżyć z samych zasiłków[1]. Było tak, jeszcze zanim czynsze

i opłaty za media przez całą pierwszą dekadę XXI wieku pięły się coraz wyżej, a potem tym bardziej.

Arleen już dawno porzuciła nadzieję na dopłatę do czynszu. Gdyby miała talon mieszkaniowy czy przydział na mieszkanie komunalne, wydawałaby na czynsz tylko trzydzieści procent dochodów. Oznaczałoby to przejście od kąsającej biedy do stabilnego ubóstwa, różnicę między zakorzenieniem się wśród sąsiadów a byciem przeganianą z miejsca na miejsce. Oznaczałoby to, że większa część zasiłku trafiałaby do jej dzieci, a nie do właściciela mieszkania.

Całe lata temu, jako dziewiętnastolatka, Arleen wynajmowała subsydiowane mieszkanie za sto trzydzieści siedem dolarów miesięcznie. Właśnie urodził się Ger-Ger i była przeszczęśliwa, że mogła wyprowadzić się od matki. Mogła sama o wszystkim decydować. Kiedy więc przyjaciółka poprosiła ją, by opuściła tamto mieszkanie i wprowadziła się do niej, Arleen zdecydowała, że tak zrobi. Zostawiła lokal subsydiowany i weszła na wolny rynek najmu, gdzie pozostawała przez kolejnych dwadzieścia lat.

– Myślałam, że przenieść się gdzieś to żaden ból – wspomina. – A żałuję tego do dziś. Młodość! – Kręci głową na myśl o swoich decyzjach sprzed dwóch dekad. – Jakbym miała dobrze w głowie, może wciąż jeszcze bym tam mieszkała.

Pewnego dnia, ot tak, Arleen zaszła do Wydziału Mieszkalnictwa i zapytała, jak jest z Listą. Kobieta za szybą powiedziała jej: „Lista jest zamrożona”. Znajdowało się na niej trzy i pół tysiąca rodzin, które cztery lata wcześniej złożyły podania o dopłaty do czynszu. Arleen pokiwała głową i wyszła stamtąd z rękami w kieszeniach[2]. Mogło być jeszcze gorzej. W większych miastach, jak stołeczny Waszyngton, czas oczekiwania na mieszkanie komunalne mierzy się w dekadach. W takich miastach matka małego dziecka, która zapisze się na Listę, może być już babcią, gdy jej podanie zostanie rozpatrzone[3].

Większość ubogich Amerykanów jest w tej samej sytuacji co Arleen: nie mieszkają w lokalach komunalnych ani subsydiowanych talonami. Trzy

z czterech rodzin kwalifikujących się na takie wsparcie nie otrzymują go[4].

Gdyby Arleen chciała trafić do mieszkania komunalnego, musiałaby odłożyć równowartość miesięcznych dochodów, by zapłacić Wydziałowi Mieszkalnictwa za to, że bez wypowiedzenia opuściła tamto subsydiowane mieszkanie, potem odczekać dwa czy trzy lata, aż Lista zostanie rozmrożona, następnie kolejne dwa do pięciu lat, aż jej podanie znajdzie się na szczycie stosu, i wreszcie błagać Boga, by zbrojny w wystygłą kawę i ciężką pieczątkę urzędnik przeglądający jej akta cudem przeoczył listę eksmisji, które się jej uzbierały, kiedy próbowała wiązać koniec z końcem na rynku prywatnych mieszkań, dysponując tylko zasiłkiem.

Mieszkanie na piętrze przy Trzynastej Ulicy niedługo stało puste. Sherrena wprowadziła tam nową lokatorkę niedługo po tym, jak wyschła farba na ścianach Arleen. Dziewczyna miała na imię Trisha.

Arleen i Trisha zaczęły rozmawiać, wspólnie jadały posiłki. Arleen bywała nieśmiała i ostrożna przy nieznajomych, czujna, ale Trisha przypominała otwartą książkę. Powiedziała Arleen, że to jej pierwszy prawdziwy dom od ośmiu lat. Ostatni raz tak naprawdę mieszkała u siostry, która jednak kazała jej się wynieść po tym, jak Trisha zwierzyła się, co jej zrobił ojciec. Potem sypiała w przytułkach lub w opuszczonych budynkach, ale najczęściej do domu zabierali ją faceci. Już jako szesnastolatka nauczyła się wykorzystywać swoje chude ciało, faliste, lśniące czarne włosy, cerę barwy miedzi i mieszankę czarnej, meksykańskiej i białej krwi. Rok wcześniej, mając dwadzieścia trzy lata, Trisha urodziła dziecko, ale przepisała je na siostrę, bo brała. Najczęściej crack. Po urodzeniu dziecka Trisha trafiła do Naprawiaczy Wyłomów, lokalnej organizacji pomocy bezdomnym, która ułatwiła jej wystaranie się o zasiłek SSI.

Trisha była niepiśmienna i wrażliwa. Jori doprowadził ją raz do płaczu, gdy zapytał: „Co ty, głupia czy co?”. Była też jednak wyluzowana i urocza. A przede wszystkim po prostu była na miejscu. Kiedy Arleen i Trisha miały chęć na szluga, by zabić nudę, czy – pod koniec miesiąca – oszukać głód, Trisha za uzbierane drobne kupowała fajki w osiedlowym sklepiku albo

wyciągała kiepy z popielniczek stojących pod fast foodami. Kiedy Arleen musiała wyjść coś załatwić, Trisha pilnowała chłopaków – Jori, który widział w niej kogoś równego sobie czy może nieco gorszego, ale na pewno nie osobę dorosłą, żądał od niej, żeby przy Jafarisie nie rzucała mięsem.

– Kiedy ja się urodziłam do bluzgania – odpowiadała.

Pewnego dnia Arleen i Trisha zobaczyły, że pod dom zajeżdża wóz do przeprowadzek. Wysiedli z niego trzy kobiety i mężczyzna, zapukali do Arleen. Ta wyczuła, co się święci, więc uchyliła tylko drzwi, ale zaparła się o nie stopą i kolanem, na wypadek gdyby próbowali się wepchnąć.

Młoda dziewczyna przedstawiła się jako poprzednia lokatorka i oświadczyła, że przyjechała po swoje rzeczy. Że szafa, komoda i lodówka to wszystko jej.

Arleen odparła, że Sherrena całkowicie opróżniła mieszkanie. Dziewczyna nie dowierzała, ale Trisha poparła sąsiadkę. Była lokatorka odjechała z towarzyszami, nie odkrywszy, że została oszukana. Kiedy tamci już zniknęli, Arleen i Trisha skinęły sobie głowami[5].

Od tamtej chwili Trisha zaczęła opowiadać ludziom, że są z Arleen starymi znajomymi, że już lata temu poznały się gdzieś pod sklepem na osiedlu, kiedy Trisha była jeszcze dzieckiem, a Arleen powiedziała jej: „Ładna z ciebie kobietka”. Historia była bardziej rozbudowana: że Arleen poznała w więzieniu matkę Trishy, że Trisha obudziła się raz w szpitalu, a Arleen czuwała przy jej łóżku, ale to wszystko brało się z jej głowy. Trudno było orzec, czy Trisha sama w to wierzy.

Do Sherreny Trisha trafiła za pośrednictwem Belindy Hall, ta zaś okazała się tak korzystna dla biznesu Sherreny, jak nikt od dawna. Była to czarna kobieta o owalnej twarzy, w okularach, niespełna trzydziestoletnia. Prowadziła własną działalność jako zastępczy płatnik rozporządzający finansami odbiorców zasiłków SSI, których uznano za niezdolnych do zajmowania się tym osobiście. Sherrena lubiła znajdować sobie klientów przez służby socjalne, bo te często ręczyły za lokatorów i zakładały za nich pieniądze. Belinda była jednak naprawdę wyjątkowa.

– Pomagam tej dziewczynie, ile się da, bo chcę, żeby mi zapełniała mieszkania – twierdziła Sherrena. – Co miesiąc dostaję czynsz prosto od niej. No i to jest cholernie dobry układ.

Sherrena powiedziała Belindzie, że byłaby gotowa opróżnić wszystkie swoje mieszkania, jeśli Belinda potrzebowałaby ich dla klientów. „Serio mówię. Bo wiem, że będzie zapłacone". Trisha była czwartą lokatorką, która trafiła do Sherreny od Belindy w ciągu trzech miesięcy ich znajomości.

Lista klientów Belindy składała się z ludzi na tyle ubogich i niepełnosprawnych, by otrzymywać zasiłki SSI, ale z powodu złej historii niekwalifikujących się na mieszkania komunalne[6]. Według jej szacunków opłaty czynszowe pochłaniały od sześćdziesięciu do siedemdziesięciu procent miesięcznych dochodów jej typowego klienta. Wielu z nich po tym, jak Belinda opłaciła za nich czynsz, media i zakupy żywnościowe, zostawało niemalże bez grosza[7]. Ponieważ stałość i przystępność ceny mieszkania stanowiły dla klientów Belindy istotne problemy, dbała ona o zawieranie znajomości z właścicielami mieszkań, dzięki czemu w razie potrzeby mogła do nich wydzwaniać. Raz zadzwoniła do Sherreny koło piątej rano, bo w mieszkaniu jednej z jej klientek padło ogrzewanie i trzeba ją było natychmiast przenieść. Im szybciej Belinda była w stanie rozwiązać problemy mieszkaniowe swoich klientów, tym większą ich liczbę mogła obsługiwać – i tym więcej zarabiała pieniędzy. Od każdego klienta za swoje usługi pobierała miesięcznie 37 dolarów. Gdy poznała Sherrenę, miała już dwustu trzydziestu podopiecznych.

Sherrenie i innym właścicielom mieszkań miała do zaoferowania regularne i solidne płatności za czynsz, w zamian zyskując rosnącą pulę klientów, a to przekładało się na większe dochody.

„Wybierz 1, żeby zostawić wiadomość". Sherrena nacisnęła jedynkę.

– Arleen, mówi Sherrena. Dzwonię, żeby się dowiedzieć, czy masz na czynsz. Pamiętasz, umówiłyśmy się, że zapłacisz mi z górką, żeby nadgonić z tym, że jesteś winna te trzysta dwadzieścia za... – Sherrena powstrzymała

się, by nie powiedzieć „za koszty pogrzebu siostry”. – No więc czekam na sześćset pięćdziesiąt – podjęła. – Jakby co, to śmiało dzwoń.

Arleen nie żałowała tego, co zrobiła. Z reguły kiedy był jakiś pogrzeb, nie stać jej nawet było na kupno butów dla Jafarisa i szedł w najlepszych, jakie miał, tylko wyczyszczonych. Zdarzało się jej już nie iść na pogrzeb, bo Jori i Jafaris nie mieli się w co ubrać. Tym razem jednak szło o siostrę – nie w sensie genetycznym, ale duchowym. Były ze sobą zżyte. Siostra od dawna chorowała, miała nadwagę i cukrzycę – w końcu wysiadło jej serce, kiedy trafiła do szpitala z zapaleniem płuc i serią innych powikłań.

Arleen nie miała pieniędzy, ale w tych kręgach to było normalne. Byłoby jej wstyd, gdyby nie dorzuciła się do kosztów pogrzebu. Połowę zasiłku oddała Sherrenie, drugie pół poszło do zakładu pogrzebowego New Pitts Mortuary.

Sherrenie zrobiło się przykro na wieść o śmierci siostry Arleen. Zaproponowała nowej lokatorce taki układ: mogła zostać w mieszkaniu, jeśli przez trzy miesiące będzie płacić po sześćset pięćdziesiąt dolarów, żeby spłacić zaległy czynsz. Nawet gdyby Arleen oddawała jej co miesiąc cały zasiłek, i tak byłoby za mało. Sherrena zakładała jednak, że Arleen zapożyczy się u rodziny lub znajdzie pomoc w którejś z agencji charytatywnych. Arleen przyjęła tę propozycję, bo nie miała innego wyjścia.

Sherrena i Quentin siedzieli akurat w suburbanie, kiedy na początku następnego miesiąca zadzwoniła Arleen. Sherrena rozłączyła się, spojrzała na Quentina.

Arleen mówi, że nie dostała zasiłku.

Arleen minęła się nieco z prawdą. Otrzymała czek, ale nie na całe sześćset dwadzieścia osiem dolarów. Nie poszła na spotkanie z człowiekiem z opieki społecznej, bo zupełnie wyleciało jej to z głowy. Przypomnienie o spotkaniu zostało wysłane na któryś poprzedni adres: przy Atkinson? Przy Dziewiętnastej? Skoro Arleen nie przyszła, w opiece społecznej „upomniano” ją, obcinając zasiłek[8]. Arleen mogła oddać Sherrenie

pomniejszony zasiłek, ale uznała, że lepiej mieć długi i parę stów w kieszeni niż i tak mieć długi i puste kieszenie.

Quentin nie odrywał wzroku od jezdni.

– Takie to ich życie – stwierdził.

6

Nora

W brązowawo-białym domu na rogu Osiemnastej i Wright, tym, za którym miał swoje mieszkanie Lamar, gnieździły się trzy pokolenia rodziny Hinkstonów. Kwoką wśród nich była Doreen. Pleczysta, brzuchata kobieta o nalanej twarzy, w okularach, z brązowymi policzkami oprószonymi ciemniejszymi piegami. Od kiedy pamiętała, miała nadwagę i dzień za dniem żyła bez pośpiechu. Dorobiła się czwórki dzieci – Patrice, Natashy, C.J.-a i Ruby, lat dwadzieścia cztery, dziewiętnaście, czternaście i trzynaście – oraz trójki wnucząt od Patrice: dziesięcioletniego Mike’a i jego młodszych sióstr, Jady, lat cztery, i dwuletniej Kayli Mae. Był tam jeszcze pies Coco, niski a gruby, kąśliwy, wierny tylko Natashy.

Kiedy Patrice dostała powiadomienie od Sherreny i przeniosła się z dziećmi z mieszkania na piętrze do mamy i rodzeństwa na parterze, cała ósemka Hinkstonów (plus Coco) wylądowała na kupie, w małym, ciasnym lokum. Patrice, Natasha i C.J. zareagowali na to, spędzając jak najwięcej czasu poza domem, przy dobrej pogodzie spacerując dokoła kwartału, wieczorami przesiadując u Lamara w domu z tyłu i grając w kierki. Nocą jednak wszyscy upychali się w mieszkaniu. Patrice zaklepała sobie mniejszą sypialnię – skoro miała płacić połowę czynszu, twierdziła, że należy się jej jedna sypialnia, niechby i bez drzwi. W drugiej Doreen dzieliła łóżko z Natashą, a Ruby zwijała się w kłębek na fotelu. Mikey lądował z C.J.-em na materacu bez pościeli w stołowym, przy stole ze szklanym blatem, wśród wysokich na chłopa pryzm czystych i brudnych ubrań, które nie mieściły się w sypialniach. Córeczki Patrice także spały w stołowym, na materacu z porozrywanymi narożnikami, przez które widać było sprężyny i murszejącą gąbkę.

Nikt tu się nie wysypiał. Natasha miała w zwyczaju kopać Doreen przez sen, ta zaś regularnie wtaczała się na córkę albo podbierała jej poduszkę, a gdy Natasha próbowała zabrać ją z powrotem, mogła co najwyżej oberwać jaśkiem. Starsze dzieci często nie wyrabiały się na wczesnoporanny gimbus. Maluchy zasypiały o przypadkowych porach w ciągu dnia. Doreen wychodzi z kuchni, a tu główki leżą już na stole czy na jakimś rozciągniętym na podłodze ciuchu.

A już najgorzej spało się w noc przed swoimi urodzinami. Jeśli przyszły jubilat zasnął w taką noc, miał gwarancję, że zakradnie się do niego Patrice i umaże mu twarz keczupem czy majonezem. Przez sześć ostatnich lat Hinkstonowie nie obchodzili Bożego Narodzenia, bo nie było ich na to stać. Ale w dniu urodzin człowiek budził się z wymazaną, uśmiechniętą twarzą, a na stole czekało już ciasto. Hinkstonowie uwielbiali płatać sobie figle. Raz Natasha wysypała pieprzem bieliznę Patrice. Ta zemściła się, w tajemnicy zabierając Ruby z domu w dniu, kiedy Natasha miała zadanie pilnowania młodszej siostry. Gdy Natasha zorientowała się, że Ruby gdzieś znikła, kilka godzin spędziła na panicznym przeszukiwaniu okolicy.

Tylne drzwi do mieszkania Hinkstonów były wyrwane z zawiasów. W ściankach działowych ziały pokaźne dziury. Łazienkę mieli tylko jedną. Z powodu przecieku na piętrze obrywał się w niej sufit, a na podłodze stężała cienka, czarnawa błonka. Szyby w kuchni były popękane. W paru oknach w stołowym żaluzje były porozginane, połamane, sterczały we wszystkie strony. Patrice powiesiła grube koce we wszystkich oknach od ulicy, więc w domu panował półmrok. W stołowym na komódce ze sklejki obok lampy pokojowej bez abażuru stał mały telewizor.

Po tym jak Patrice przeniosła się na dół, Sherrena odkryła, że dotąd kradła ona prąd. Rachunek za naprawę licznika opiewał na dwieście dolarów – Sherrena odmówiła zapłaty, jeśli Patrice miała mieszkać u Doreen.

– Pierdolę, nie pokryję – stwierdziła. – Te czarne obesrańce same wszystko pokryją albo zimą będą mieć chłodno.

Hinkstonom zeszło parę miesięcy, nim uskładali te dwieście dolarów: przez cały ten czas pomieszczenia na tyłach domu, w tym kuchnia, były bez prądu. Zepsuła się cała żywność, którą mieli w lodówce. Jedli paczkowane dania: ravioli, gotowy makaron w sosie pomidorowym. Lodówkę, cuchnącą, sterczącą w kuchni jak sarkofag, Hinkstonowie traktowali jak całe to mieszkanie: jak coś, co trzeba przetrwać, przetrzymać. Tak samo postrzegali materace i małą kanapę, wszystkie tak stoczone przez karaluchy, że zamierzali zostawić je tutaj, kiedy przyjdzie pora wyprowadzki. Karaluchy gnieździły się w tym mieszkaniu już wtedy, gdy Hinkstonowie się tam wprowadzali: pełzały w zlewie, w toalecie, po ścianach, roiły się w szufladach kuchni.

– Tacy byli wyrywni, że wprowadzili się na te karakany – rodzinę Doreen wspomina Sherrena.

Zanim Hinkstonowie wprowadzili się do mieszkania od Sherreny, przy Wright Street, przez siedem lat mieszkali w domu z pięcioma sypialniami przy Trzydziestej Drugiej. Nie był idealny, ale przynajmniej przestronny, i właściciel był znośny. Wszyscy zrzucali się na czynsz: osiemset dolarów miesięcznie. Patrice wydawała dania w fast foodzie, Natasha też poszła do pracy po tym, jak rzuciła liceum. Doreen również nie ukończyła szkoły średniej, ale lata temu, w programie robót publicznych dla ubogiej młodzieży, nauczyła się pisać na maszynie w tempie siedemdziesięciu dwóch słów na minutę. Patrice prawie dociągnęła do egzaminów końcowych, nawet mimo tego, że Mikeya urodziła jako czternastolatka, w końcu jednak podjęła pracę na cały etat, żeby pomóc utrzymać rodzinę. W wieku szesnastu lat Natasha zaczęła ciągnąć dwunastogodzinne zmiany w Quad Graphics, dziewięć i pół dolara za godzinę, czasem zasypiając wśród maszyn drukarskich. Nie pytali jej o wiek, sama też się nie pochwaliła. Doreen inkasowała miesięcznie tysiąc sto dwadzieścia cztery dolary: czterysta trzydzieści siedem stanowego dofinansowania na wychowanie dzieci i sześćset osiemdziesiąt siedem z SSI, z tytułu dawnego urazu nogi. W ósmej klasie w Niedzielę Wielkanocną doznała złamania kości biodrowej – załatwiły ją nowe szpilki – które nigdy do końca się nie

wygoiło. Może zrosłoby się lepiej, gdyby ojciec od razu zabrał ją do szpitala, zamiast przetrzymać ją w domu przez kilka dni. Stary nie cierpiał lekarzy. Kiedy zaczęły mu wysiadać kolana, po prostu odpiłował nogę od stołu w kuchni i używał jej jako laski.

Na Trzydziestej Drugiej Hinkstonowie byli już swojakami. Dzieciaki wpadały do domów sąsiadów, Doreen z posterunku na werandzie zaznajomiła się z pozostałymi rodzinami w kwartale. Kołysała się i zaśmiewała z babciami, wrzeszczała na chłopaków z okolicy, kiedy ci uganiali się za kotami przybłędami. Gdy nadchodziło lato, dzieci kupowały u sąsiada fajerwerki i odpalały je na ulicy. Co jakiś czas Doreen urządzała imprezę, na którą zapraszała wszystkich.

Aż tu pewnego dnia w sierpniu 2005 roku włączyła telewizor i zobaczyła, jak tonie Nowy Orlean. Błotniste rozlewiska pochłaniały miasto, czarne zwłoki przepływały obok ludzi kulących się na dachach. Zaraz zadzwoniła do Fanny, swojej najlepszej przyjaciółki, i zaprosiła ją do siebie. Doreen i Fanny były wstrząśnięte tym, co widziały w wiadomościach. „To absolutna hańba” – wspomina Doreen swoje ówczesne przemyślenia. Po paru niespokojnych nocach poczuła zew, by zrobić dla poszkodowanych w powodzi coś więcej niż tylko wiercenie się i modlitwy. Powierzyła Patrice nadzór nad rodzeństwem i wraz z Fanny wsiadła do autobusu na Południe. Miała wtedy czterdzieści jeden lat. Patrice – dwadzieścia.

Takie posunięcie nie było w stylu Doreen. Najchętniej siedziała na ganku, nucąc coś pod nosem. „Dalej jak do chodnika nie chodzę” – mawiała. Zdarzały się jednak chwile, kiedy postanawiała ruszyć pod prąd życia, jak owa styczniowa noc w roku 1998, kiedy to pospiesznie spakowała się i wyniosła z rodziną do Illinois, nie uprzedzając nikogo. Musiała urwać się ojcu C.J.-a i Ruby, który wkrótce wylądował w pudle z długim wyrokiem.

Po dwóch dniach w autobusie Doreen i Fanny znalazły się w Lafayette w Luizjanie. Dołączyły tam do dziesiątków innych wolontariuszy przy wydawaniu koców i posiłków.

Przez tę wyprawę Hinkstonowie mieli miesięczną przerwę w opłacaniu czynszu. Mieszkali tam jednak kawał czasu, a właściciel domu był wobec nich w porządku.

– Nie cisnął mnie – wspomina Doreen.

Powiedział jej, że spłaci dług, kiedy będzie mogła. Kiedy tylko miała jakąś nadwyżkę, oddawała mu – tu sto dolarów, tam sto dolarów. Starała się uregulować zaległość, ale czasem coś wypadało i nie miała nawet na cały czynsz. Mijały miesiące, potem lata.

Pewnej nocy wczesną wiosną 2008 roku dwóch chłopaków z okolicy ostrzelało się nawzajem na Trzydziestej Drugiej. Kilka kul przeszło przez drzwi Hinkstonów, wybijając w nich szybę. Natasha, wówczas siedemnastolatka, zamiatała właśnie szkło, kiedy zjawili się policjanci. Zapytali, czy mogą zajrzeć do środka. Jeśli wierzyć Hinkstonom, zrobili im w domu kipisz, szukając broni czy narkotyków. (Patrice domniemywała, że to sąsiad powiązany z jednym z tych, którzy strzelali, obwinił o całe zajście trzech młodzieńców, którzy w owym czasie mieszkali u Hinkstonów: chłopaków Patrice i Natashy oraz kuzyna dziewczyn). Nie znaleźli nic poza syfem: w zlewie góra brudnych naczyń, przepełnione kosze na śmieci, muchy. Hinkstonowie nie należeli do najschludniejszych rodzin, a co gorsza, poprzedniego wieczoru w domu odbyła się impreza. Parę problemów nie było tak błahych: na przykład przybity na słowo honoru arkusz sklejki, którym właściciel domu prowizorycznie zabezpieczył opadający sufit w łazience. Może z powodu bałaganu, może przez to, że Patrice o drugiej rano zaczęła już policjantom pyskować, a może jednak podejrzewali Hinkstonów o odegranie jakiejś roli w tej strzelaninie – tak czy inaczej, policja zawiadomiła służby ochrony dzieci, ci dali znać Wydziałowi Służb Komunalnych (DNS), ten przysłał inspektora budowlanego, który wydał zalecenia dla właściciela domu, a ten wystawił powiadomienie o eksmisji z terminem pięciu dni, powołując się na zaległości w czynszu. Doreen zdążyła spłacić tamten dług tylko do połowy, kiedy doszło do strzelaniny. Nigdy nie było z tym pośpiechu.

Po tym jak komisarz sądowy podstemplował nakaz eksmisji, Hinkstonowie musieli szybko znaleźć sobie nowe lokum. Próbowali szukać na własną rękę, ale bez samochodu czy dostępu do internetu zasięg tych działań był ograniczony. Szukali pomocy u pracowników socjalnych i jeden z nich skontaktował ich z Sherreną. Ta pokazała im mieszkanie przy Wright Street, które wcale im się nie spodobało.

– Nawet niewidomemu bym go nie poleciła – mówiła Patrice.

Całą rodziną doszli jednak do wniosku, że wszystko lepsze niż lądowanie na bruku czy w schronisku, więc przyjęli propozycję. Sherrena z miejsca dała Doreen klucze wraz z wypisanym na kawałku kartki pokwitowaniem wpłaty czynszu. Doreen wetknęła ten świstek, KWITUJĘ WPŁATĘ 1100 $ ZA CZYNSZ I KAUCJĘ, do Biblii.

Wobec presji wynikającej z eksmisji ubogie rodziny często muszą godzić się na mieszkanie w lokalach niespełniających podstawowych norm. Najemcy mieszkań w Milwaukee, których poprzednia przeprowadzka nastąpiła pod przymusem, doświadczają długotrwałych problemów mieszkaniowych z prawdopodobieństwem wyższym o niemal dwadzieścia pięć procent, niż w przypadku innych ubogich najemców[1]. Doreen mówi, że zgodziła się wprowadzić do mieszkania oferowanego przez Sherrenę tylko dlatego, że jej rodzina była pod ścianą: „Ale długo to my tu nie pobędziemy”. Z eksmisjami jest tak, że często powodują nie jedną, tylko dwie przeprowadzki: najpierw przymusową, do lokalu upokarzającego, a czasem wręcz niebezpiecznego, a potem rozmyślne przeniesienie się stamtąd gdzie indziej[2]. Tyle że ta druga przeprowadzka może nastąpić dopiero po dłuższym czasie.

Hinkstonowie zaczęli rozglądać się za nowym mieszkaniem wkrótce po przeprowadzce do lokalu Sherreny – dzwonili pod numery podawane na szyldach, przeglądali ogłoszenia o mieszkaniach w „RedBook”, darmowej kolorowej gazetce dostępnej w większości sklepów osiedlowych w ich dzielnicy. Wciąż jednak byli wyżęci po ostatniej przeprowadzce, a świeży zapis o eksmisji Doreen też nie pomagał. Patrice wkrótce przeniosła się do

mieszkania na piętrze i na jakiś czas zrobiło się luźniej. Nadeszła jesień, Hinkstonowie oswoili się już z okolicą, ale zawsze uważali, że są tu tylko na chwilę, nawet mimo upływu kolejnych miesięcy. Tu nie było jak na Trzydziestej Drugiej, gdzie Doreen za punkt honoru miała zapoznanie się z sąsiadami i doglądanie dzieciaków z pobliskich domów. Kiedy Patrice została eksmitowana, sześć miesięcy po tym, jak przenieśli się na róg Osiemnastej i Wright, Doreen spośród sąsiadów z imienia znała tylko Lamara – i tak naprawdę nie wiedziała o nim niczego więcej.

– Nikogo tu nie odwiedzam, nie to co kiedyś – mówiła o obecnym miejscu zamieszkania. – Kiedyś ledwie wstałam, a już się do kogoś wybierałam. A teraz... tak sobie stoję.

Kiedy nadeszła zima, bywało, że Doreen całymi tygodniami nie wystawiała nosa z domu.

„Spokój w przestrzeni publicznej – na chodniku i ulicy – nie zależy przede wszystkim od policji, choć oczywiście ona też jest potrzebna. Gwarantują go przede wszystkim złożone, niemal nieuświadomione sieci dobrowolnego nadzoru oraz zasady tworzone i egzekwowane przez samych mieszkańców". Tak pisała Jane Jacobs w *Śmierci i życiu wielkich miast Ameryki*. Jacobs wierzyła, że dla tego typu zdrowych, aktywnych społeczności warunkiem niezbędnym była obecność ludzi, którzy po prostu byli na miejscu, doglądali okolicy. Okazało się, że miała rację: ubogie osiedla o wyższym poziomie „skuteczności kolektywnej" – tego, co dają luźne powiązania sąsiedzkie wśród ludzi ufających sobie nawzajem i dzielących poglądy o tym, co mogłoby poprawić warunki w ich społeczności – mają niższe wskaźniki przestępczości[3].

Jedna eksmisja może wytrącić z równowagi kilka kwartałów w mieście: nie tylko ten, z którego usunięto daną rodzinę, lecz również ten, do którego się niechętnie przemieściła. Pod tym względem przenosiny bezpośrednio przyczyniały się do powstania problemu zwanego przez Jacobs „chronicznymi slumsami", środowisk w wiecznym ruchu, z wysokim wskaźnikiem rotacji i jeszcze wyższymi odsetkami ludzi niezadowolonych i nieangażujących się. „Kluczowy splot przyczyn powstawania slumsów

następuje w momencie, gdy zbyt wielu ludzi zbyt szybko wyprowadza się z takiego sąsiedztwa, a wcześniej jeszcze m a r z y o wyprowadzce”[4]. Wraz z eksmisją Doreen przy Trzydziestej Drugiej zniknęła jedna z kotwiczących społeczność osób – ktoś, kto kochał tę okolicę i angażował się w jej życie, kto przyczyniał się do bezpieczeństwa w obrębie kwartału domów – ale nie oznaczało to, że ktoś taki wprowadził się do lokalu przy Wright Street.

Ruby, C.J. i Mikey nie zdjęli strojów szkolnych – przydużych białych koszulek i czarnych dżinsów – i czuwali na zmianę przy oknie od frontu, wypatrując jadłodajni na kółkach. Trzy razy w tygodniu miejscowy kościół rozwoził tu lunche w papierowych torebkach. Tym razem to Ruby pierwsza dostrzegła samochód.

– Lunche jadą! – wrzasnęła.

Wypadła na dwór z resztą rodzeństwa. Dzieci wróciły z torbami dla każdego. Posiłki odebrano bez zaglądania do środka, bo to popsułoby całą zabawę. Zaczął się handel – zielone jabłka za czerwone, czipsy Fritos za te marki SunChips, sok jabłkowy za wieloowocowy.

– Oddam ci dwa kartoniki soku – Natasha zaproponowała Ruby.

– Za oreo? – upewniła się Ruby.

Przemyślawszy sprawę, odmownie pokręciła głową.

– Ruby, ale jesteś!

Ruby błysnęła śnieżnym uśmiechem i zaczęła przeskakiwać z nogi na nogę. Dawka ritalinu przestawała już działać. Czasem, nocą, kiedy skutki działania leku zupełnie minęły, potrafiła w parze z małym Mikeyem robić salta w tył z materacy w stołowym.

Natasha wydęła wargi. Miała dziewiętnaście lat, czyli sześć więcej niż Ruby, zachowywała się jednak raczej jak najstarsze z dzieci niż najmłodsza z dorosłych. O ile Patrice zaliczyła wpadkę z ciążą jeszcze jako niepełnoletnia, Natasha stroszyła się na myśl o macierzyństwie. „Syfią. Brudne są! – mówiła. – No i nie wiesz, czy wyjdzie brzydkie czy ładne, no to za cholerę... Ja tam chcę żyć wolna i niezależna!”

Natasha imprezowała z chłopakami u Lamara, a latem włóczyła się po okolicy na bosaka. Podobnie jak Patrice, cerę miała dość jasną („na czerwonych kościach”, mawiano), choć były od różnych ojców. Faceci w samochodach przyhamowywali, oglądali się za nią. Czasami hamowały także starsze panie i z litością w spojrzeniu oferowały Natashy obuwie. Na ten widok Patrice zawsze się chichrała.

Odczytawszy na głos modlitwy dołożone przez panie z kościelnej grupy dobroczynnej do białych toreb z jedzeniem, Hinkstonowie zabrali się do jedzenia, jednocześnie zaczynając rozmowę o słowach, z których wymową mieli problemy. „Superlatywy”. „Ingrediencje”. Cokolwiek, byle tylko nie myśleć o smrodzie i ogólnym stanie mieszkania. W kuchni i łazience było już tak źle, że Doreen miała ochotę zadzwonić do Sherreny i Quentina. A nienawidziła do nich dzwonić. Hinkstonowie niechętnie by się do tego przyznali, ale bali się właścicieli mieszkania.

– Quentin marudny jest – narzekała często Patrice. Kiedy odwiedzał mieszkanie, napomykał o panującej tam paskudnej woni. Jeśli przywoził ekipę remontową, żeby coś naprawili, często zostawiał po sobie odpady, co Doreen i Patrice miały za oznakę braku szacunku. – Co ja jestem, jego sprzątaczka? – mówiła Patrice. Trudno orzec, czy Quentin rozmyślnie zachowywał się w ten sposób, by zniechęcić lokatorów do wydzwaniania do niego z problemami dotyczącymi mieszkań, ale taki właśnie skutek osiągnął[5].

Kiedy Doreen dzwoniła ze skargą do Sherreny, często okazywało się, że musi wysłuchiwać narzekań pod własnym adresem:

– Za każdym razem, jak z czymś dzwonimy – mówiła – ona chce mi wcisnąć, że to nasza wina, że to myśmy coś popsuli. Nie mam już siły tego słuchać... Więc jak coś się popsuje, to sami naprawiamy.

„Naprawa” oznaczała często obywanie się bez czegoś. Najpierw zatkał się zlew. Kiedy nie odetkał się przez kilka dni, Ruby i Patrice zaczęły myć naczynia w wannie. Nie udawało im się jednak wyłapać wszystkich resztek jedzenia, nim te wpadły do odpływu, więc wkrótce i w wannie gromadziła się woda barwy betonu. Od tej pory rodzina grzała wodę na kuchence

i zadowalała się obmywaniem gąbką nad miednicą. Potem ktoś wylewał wodę z miednicy do toalety i łapał za przepychacz, przez co mała kolonia karaluchów pospiesznie szukała nowej kryjówki. Trzeba było ostro pompować przepychaczem. Z reguły mijało dobre pięć minut, nim spłukiwanie działało jak trzeba. Kiedy i toaleta przestała działać, rodzina zaczęła upychać zużyty papier toaletowy do foliowych torebek wyrzucanych razem z resztą śmieci.

Gdy Doreen zadzwoniła wreszcie do Sherreny w sprawie kanalizacji, nie zastała jej pod telefonem. Minął tydzień od wiadomości zostawianych na poczcie głosowej, nim Sherrena oddzwoniła, tłumacząc, że była z Quentinem na Florydzie. Kupili tam ostatnio apartament wakacyjny z trzema sypialniami. W odpowiedzi na zażalenia na kanalizację Sherrena wytknęła Doreen naruszenie umowy najmu, jakim było pozwolenie Patrice i jej dzieciom na zamieszkanie z pozostałymi Hinkstonami.

Patrice czuła się, jakby dopadło ją déjà vu. Nim przeprowadziła się na piętro, obejrzała tamto mieszkanie. Wymagało sporo roboty – szarobura wykładzina była powycierana i lepka od brudu, w sypialni dzieci zapadał się sufit, drzwi na balkon wylatywały z zawiasów, a sam balkon robił takie wrażenie, jakby był gotów się zapaść pod parką gołębi – ale Sherrena obiecała, że zajmie się tym wszystkim. Dopuszczalne było oddawanie w najem mieszkań naruszających przepisy prawa budowlanego, nawet takich, które nie spełniały „podstawowych wymogów przydatności do zamieszkania”, dopóki właściciel nie krył tego przed najemcą[6].

Patrice uwierzyła Sherrenie na słowo i wpłaciła jej tysiąc sto dolarów – czynsz za pierwszy miesiąc i kaucję. Prace remontowe szły jednak niesporo. W wannie u Patrice zatkał się odpływ, a Sherrena nie odbierała telefonów. Tym razem była z Quentinem na wakacjach. Patrice przetrzymała dwa miesiące z niesprawnym zlewem. Gdy odkryła potężną dziurę w jednej ze ścian, dostała od Sherreny broszurkę o sposobach chronienia dzieci przed ołowiem w farbach. Patrice skarżyła się, że gdy drzwi wyleciały z futryny, Sherrena przysłała do naprawy „tych swoich ćpunów”. To przeważyło szalę.

– Wezmę sobie adwokata i cię pozwę! – krzyczała Patrice.

– Śmiało – odparła ze śmiechem Sherrena. – Pieniędzy wystarczy mi na dłużej niż tobie.

– Skoro ci płacę, czemu tyle rzeczy mam nieponaprawianych?

W kolejnym miesiącu Patrice spróbowała rozegrać to inaczej. Skoro Sherrena nie reagowała, kiedy czynsz był opłacany, może coś zrobi, kiedy czynszu nie dostanie. Patrice zapłaciła jej połowę sumy i oznajmiła, że dołoży resztę, kiedy obiecane naprawy zostaną wykonane. Biorąc pod uwagę, że czynsz pochłaniał sześćdziesiąt pięć procent dochodów Patrice, niełatwo było rozstawać się z taką kwotą w zamian za życie w tak podłych warunkach.

Manewr Patrice obrócił się przeciwko niej. Sherrena odmówiła remontowania jej mieszkania, póki nie otrzyma całej należnej sumy. Patrice miała wrażenie, że to istny paragraf 22. Jeśli płaciła, Sherrena często nie oddzwaniała, póki znów nie przyszedł początek miesiąca. Jeśli odmawiała płacenia, Sherrena wstrzymywała wszelkie naprawy do chwili uiszczenia należności. „Nie będę się szarpać i zapierdalać przy tych wszystkich sprawach, jak mi wszystkiego nie zapłacisz” – mówiła. Patrice wciąż jednak chciała utrzymać to mieszkanie. Fajnie było mieszkać nad mamą, uważała też, że dałoby się to mieszkanie naprawdę fajnie urządzić. Potem jednak kierownik w barze kanapkowym Cousins Subs obciął jej godziny i straciła już jakąkolwiek możliwość manewru. Kiedy dostała od Sherreny powiadomienie o eksmisji, nie miała jak nadrobić zaległych płatności. Obiecała, że odda cały zwrot podatku, lecz wtedy było już za późno. Belinda, ta nowa najlepsza przyjaciółka Sherreny, regularnie płacąca, zadzwoniła w poszukiwaniu mieszkania i Sherrena zaraz wykorzystała okazję. Obiecała Belindzie, że lokal Patrice będzie wolny już za parę tygodni.

Po dwóch miesiącach z niesprawną wanną i zlewem oraz ledwo działającą toaletą Doreen postanowiła sama wezwać hydraulika. Sherrena raz już zapłaciła za fachowca, przy pierwszej awarii kanalizacji, i nie miała chęci

znów ładować się w koszty. Doreen zaś, po tym jak skończyły się sprawy przy Trzydziestej Drugiej, wiedziała, że wzywanie inspektora budowlanego nie jest dobrym wyjściem. Hydraulik za przetkanie rur zażądał sto pięćdziesiąt dolarów. Ustalił, że kanalizacja w domu jest stara, podatna na uszkodzenia, poradził więc Doreen, żeby pilnowała, by do odpływów nie wpadały żadne odpadki. Po jego wyjściu Doreen zaczęła od napuszczenia sobie gorącej wody, w której pławiła się przez godzinę.

Postanowiła, że te sto pięćdziesiąt dolarów potrąci z czynszu. Kiedy Sherrena w odpowiedzi stwierdziła, że w ten sposób zarobi sobie na powiadomienie o eksmisji, Doreen po prostu nic jej nie zapłaciła. Skoro i tak miała być eksmitowana, równie dobrze mogła odłożyć te pieniądze na następną przeprowadzkę[7]. Była to taktyka popularna wśród niezasobnych najemców. Ponieważ czynsz pochłaniał niemal całość ich dochodów, czasem rodziny same prowokowały konieczną eksmisję, dzięki której mogły zaoszczędzić tyle, by móc wprowadzić się gdzie indziej. Co jeden właściciel mieszkania tracił, trafiało do innego[8].

Doreen wiedziała, że gdyby musiała się przeprowadzić, nie znalazłaby mieszkania o znacząco niższym czynszu, na pewno nie dla trójki dorosłych i pięciorga dzieci. W owym czasie mediana czynszów za mieszkanie z dwiema sypialniami wynosiła w Milwaukee sześćset dolarów. Dziesięć procent mieszkań miało czynsz wynoszący najwyżej czterysta osiemdziesiąt dolarów, taki sam ich odsetek – co najmniej siedemset pięćdziesiąt dolarów[9]. Ledwie dwieście siedemdziesiąt dolarów dzieliło jedne z najtańszych mieszkań w mieście od tych najdroższych. Oznaczało to, że czynsz w niektórych naprawdę fatalnych lokalizacjach był niewiele niższy niż ten w znacznie lepszych dzielnicach. Dla przykładu, w najbiedniejszych rejonach miasta, gdzie co najmniej czterdzieści procent rodzin plasowało się poniżej granicy ubóstwa, mediana czynszów za mieszkanie z dwiema sypialniami była niższa o zaledwie pięćdziesiąt dolarów od wartości dla całego miasta[10]. Jak to ujmowała Sherrena, „dwie sypialnie to dwie sypialnie, i cześć”.

Tak to wygląda już od dawna. Kiedy w połowie XIX wieku zaczęły pojawiać się w Nowym Jorku kamienice pod wynajem dla biedoty, czynsze w najgorszych slumsach były wyższe o trzydzieści procent od stawek w najlepszych dzielnicach. W dwudziestoleciu międzywojennym zapuszczone domostwa w czarnych gettach Milwaukee, Filadelfii i innych miast północnych Stanów były obłożone czynszami przerastającymi te, które płacili biali za mieszkanie w lepszych warunkach. Jeszcze nawet w roku 1960 w wielkich miastach czarni płacili wyższe stawki niż biali za mieszkanie podobnej klasy[11]. Biedota tłoczyła się w slumsach nie dlatego, że mieszkanie tam było tanie. Tkwili tam – szczególnie dotyczyło to ubogich czarnych – po prostu dlatego, że tam pozwolono im być.

Kamienicznicy z gorszych okolic generalnie nie obniżali cen w reakcji na popyt ani też dla uniknięcia kosztów zalegających opłat i eksmisji. Unikanie ich także generowało koszty. Dla wielu właścicieli lokali taniej wychodziło pokryć wydatki związane z eksmisją niż remontować wynajmowane mieszkania – można było oszczędzać na naprawach, jeśli lokatorzy wiecznie zalegali z opłatami, a wielu ubogich najemców permanentnie zalegało z czynszem, bo była to dla nich zbyt wysoka kwota.

Lokatorzy zdolni co miesiąc płacić cały czynsz mogą korzystać z ochrony prawa, skonstruowanego z myślą o zapewnieniu im bezpiecznego i godziwego miejsca zamieszkania. Nie dość, że bez obawy eksmisji mogą wzywać inspekcje budowlane, to jeszcze wolno im obniżać czynsz, póki właściciel nie wykona określonych napraw[12]. Kiedy jednak lokatorzy zaczynali zalegać, ochrona przepadała. Lokatorzy z zaległościami nie mogą redukować czynszu ani go deponować, a już wezwanie inspektora budowlanego to igranie z eksmisją. To nie tak, że najemcy o niskich dochodach nie znają przysługujących im praw. Po prostu wiedzą, że skorzystanie z tych praw może być dla nich kosztowne.

– Myślę, że jak wezwiemy inspektora budowlanego, to tylko narobimy sobie kłopotów – powiedziała do Patrice Doreen.

– Tak będzie – potwierdziła córka. – Ona może wyrzucić nas na bruk, jeśli wezwiemy inspektora.

Miała na myśli to, że Sherrena mogła przeprowadzić eksmisję, bo Doreen naruszyła warunki najmu, w myśl których Patrice i jej dzieci były „nieupoważnionymi sublokatorami”, więc w razie zawiadomienia z Wydziału Służb Komunalnych tak by zapewne zrobiła.

Kiedy lokatorzy tracili należną im ochronę wskutek zaległości czy innych naruszeń warunków najmu, właściciele mogli zareagować, zaniedbując naprawy. Czy, jak ujmowała to przed lokatorami Sherrena: „Jak ja wam odpuszczam, to i wy mi odpuśćcie”. Najemcy mogli przehandlować własną godność i zdrowie dzieci za dach nad głową[13]. W latach 2009–2011 niemal połowa najemców mieszkań w Milwaukee doświadczyła poważnego i długotrwałego problemu mieszkaniowego[14]. Więcej niż dwadzieścia procent żyło z wybitą szybą bądź z popsutym sprzętem AGD albo wśród rojących się gryzoni czy karaluchów w okresie dłuższym niż trzy dni. Co trzeci doświadczył kanalizacji zatkanej na ponad dobę. Co dziesiąty zaś spędził co najmniej jeden dzień w nieogrzewanym lokalu. Problemy te z większą częstotliwością dotykają rodzin Afroamerykanów, a także tych mieszkań, gdzie śpią dzieci. Jednak średni czynsz był taki sam, nieważne, czy mieszkanie było z problemami czy nie[15].

Lokatorzy zalegający z opłatami musieli godzić się na nieprzyjemne, upokarzające, czasem wręcz niebezpieczne warunki mieszkaniowe, w przeciwnym razie podlegali eksmisji. Jednak z biznesowego punktu widzenia mógł to być całkiem zyskowny stan rzeczy. Obejmująca cztery lokale posiadłość, do której należały mieszkania zajmowane przez Doreen i Lamara, była dla Sherreny najbardziej dochodowa. Na drugim miejscu był dom przy Trzynastej, gdzie mieszkała Arleen. Wśród nieruchomości należących do Sherreny właśnie te w najgorszym stanie przynosiły największe zyski[16].

Wkrótce po tym, jak Doreen powiadomiła Sherrenę, że potrąci z czynszu rachunek hydraulika, Natasha odkryła, że jest w czwartym miesiącu ciąży. Gdy powiedziała o tym mamie, ta roześmiała się i odparła:

– Mówiłam ci!

Już wcześniej zauważyła zmiany, które córka usiłowała ignorować. Doreen była zachwycona. „Znów będę dumną babcią” – piała. Chłopak Natashy też był szczęśliwy. Nowa ciąża, w małżeństwie czy nie, była powodem do świętowania – chyba że perspektywiczna matka była młodą dziewczyną, żądną wolnego i niezależnego życia[17]. Natasha była załamana.

– Pewnie będzie chłopak, z wielką główką! – drażniła się z nią Doreen.

– Nawet nie wiem, jakim cudem zaszłam – żaliła się Natasha. – Żeby mi się chociaż podobały brzuchy u ciężarówek!

Natasha i Malik poznali się w barze Cousins Subs, gdzie razem pracowali. Malik był niższy od Natashy i miał ciemniejszą skórę, włosy pozaplatane w warkoczyki, wyraziste rysy. Był łagodny w obejściu i choć miał już trzydzieści trzy lata, to dziecko miało być jego pierwszym. W sumie całkiem się Natashy podobał, ale w sercu wciąż miała Tayego, który dwa lata wcześniej, mając siedemnaście lat, został zastrzelony podczas skopanego napadu. Dziewczyna nosiła jeszcze w torebce program jego pogrzebu, w którym była wymieniona wśród żałobników jako „wyjątkowa kobieta”. Ruby też za nim szalała, czasem, namawiana przez Natashę, opowiadała coś z życia Tayego. Wtedy Natasha słuchała w milczeniu, uśmiechając się jak staruszkowie, których od cierpień dzielił już dłuższy czas. W takich chwilach można by pomyśleć, że jakaś okrutna siła wepchnęła między siostry rozpierak i kręciła korbą, wtłaczając Natashę w przedwczesną dojrzałość[18].

Zgodnie z tradycją rodzinną Hinkstonów imię dla dziecka miała wybrać Patrice. Malik widział to inaczej. Kiedy Natasha powiedziała Doreen i Patrice, że Malik chciał, by dziecko, jeśli to będzie syn, nazywało się Malik junior, obie prychnęły.

– Nie bawimy się w juniorów – ucięła Doreen. – Raz już spieprzyłyśmy. Że też na to poszłam.

C.J. miał imię po ojcu, ale żeby nie trzeba było wspominać tego typa, skrócili je z Caleb junior do C.J.

Jeśli Natasha miała zostać matką, była pewna jednego – nie zamierzała mieszkać ze swoim dzieckiem w tym domu. Skoro już zaszła w ciążę, bardziej przejmowała się mieszkaniem i tym, gdzie się podzieją, jeśli Sherrena postanowi ich eksmitować. Jednak Doreen nieraz dźwigała już rodzinę na własnych barkach i Natasha wiedziała, że i tym razem mama sobie poradzi.

– Mama jest silna – mówiła. – Wyciągnęła nas już z gorszych sytuacji. Serio, ze schronisk, z życia na ulicy, spania po kościołach, w samochodach. Ja w mamę wierzę, bardzo. No tak, parę razy wylądowaliśmy na ulicy, ale mama zawsze daje radę.

Tym razem jednak plany matki nie przypadły Natashy do gustu. Od kiedy Doreen usłyszała o planowanym zjeździe rodzinnym w Brownsville w stanie Tennessee, rozważała wyprowadzkę z dziećmi w tamte okolice. Patrice popierała ten pomysł, miała już dosyć Milwaukee.

– To nie miasto, to trup – mówiła. – Same ćpuny i prostytutki.

Natasha nie chciała jednak zabierać dziecka daleko od ojca.

Zdaniem Doreen i Patrice był to bezzasadny sprzeciw. „Nie można na nim polegać”, oceniała Doreen. Jednak Malik od chwili, gdy dowiedział się, że zostanie ojcem, zachowywał się wyjątkowo solidnie: brał po dwie zmiany z rzędu, oszczędzał pieniądze, przynosił jedzenie Natashy i rozglądał się za mieszkaniem dla ich trójki. W rzeczywistości Doreen i Patrice nie spodziewały się po Maliku zbyt wiele nie dlatego, że coś nawywijał, ale ze względu na własne doświadczenia z mężczyznami. Doreen porzucili ojcowie Patrice i Natashy, a ojciec Ruby i C.J.-a siedział w więzieniu. Ojcowie dzieci Patrice odgrywali w ich życiu znikomą rolę, a jej ostatni chłopak niedawno pchnął ją tak, że w drzazgi poleciał blat stołu w dużym pokoju[19]. Doreen i Patrice nie widziały powodu, by jakiś facet miał prawo głosu przy podejmowaniu rodzinnych decyzji w kwestii miejsca wychowywania dziecka, a co dopiero tego, jak miałoby się nazywać.

– Nie miałam przy sobie nikogo, kto rozcierałby mi brzuch, kiedy mnie kopałaś – mówiła Natashy Doreen.

– Nie mieliśmy tatusia. Moje dzieci nie mają tatusia. Twoim też go nie trzeba – dodawała Patrice.

Zadzwonił ktoś z przychodni lekarskiej.

– Mam się zgłosić na kolejne USG – wyjaśniła mamie Natasha, odkładając słuchawkę. – Mówią, że znaleźli tam coś, co się schowało.

– W sensie, że jak to coś się tam schowało?!

– No, skryło się, co nie, jedno za drugim.

– Natasha – sapnęła Doreen – będziesz miała bliźniaki?

– Ale ja w ogóle nie chcę żadnych dzieci! – Tupnęła.

– Trochę za późno na takie gadanie! – powiedziała ze śmiechem Doreen.

– Tego już za wiele. – Natasha klapnęła na kanapę, Coco wskoczył jej na kolana. – Coco, chodź tu. Mamcia ma kiepski dzień.

Doreen próbowała poprawić jej humor.

– Dopilnuję, żebyś dostała duży pokój, jak się przeprowadzimy. Przy holu, za moim. Może na parterze. Aha, mam nadzieję, że dostanie się nam cały dom, jak przy Trzydziestej Drugiej.

– To by było wspaniale – stwierdziła Natasha, głaszcząc psa.

– No pewnie – powiedziała Doreen, po czym zwróciła się do Ruby, która w milczeniu siedziała na podłodze, z kolanami podkulonymi do piersi: – A ty jak myślisz, Ruby, kochanie? Chcesz się przenieść?

– No jasne. Nie cierpię tej nory.

7

Na rzygu

Scott pracował tu i tam za pieniądze, ale jego głównym zajęciem była opieka nad Teddym. Gotował mu, sprzątał, robił zakupy. Rano pomagał ze wstawaniem, pod prysznicem. Scott uważał, że ma do takich spraw powołanie. Dlatego został pielęgniarzem. Scott, łysy trzydziestoośmiolatek o rumianej cerze, z dołkami w policzkach i oczami barwy płomieni kuchenki gazowej, miał łagodny, przetrącony charakter. Z kolei Teddy był drobny, chudy jak patyk, na jego pokrytych strupami ramionach widać było obkurczone tatuaże. Ledwie mógł chodzić. Scott i tak zmuszał go do ruchu, więc Teddy powoli, szurając, wędrował po placu przyczep, powłócząc lewą nogą. Miał pięćdziesiąt dwa lata, ale wyglądał znacznie starzej.

Pam i Ned przenieśli się na parę dni do taniego motelu, ale Tobin i tak zamierzał eksmitować Teddy'ego i Scotta. Ich zaległości z czynszem powstały dwa miesiące wcześniej, kiedy rentgen szyi i tomografia mózgu Teddy'ego pochłonęły pięćset siedem dolarów. Problemy zdrowotne Teddy'ego zaczęły się przed rokiem – obudził się w szpitalu po tym, jak spadł z paru schodków gdzieś koło wiaduktu na Szesnastej. Teren pod wiaduktem należał do jego ulubionych miejsc na picie – samochody śmigały górą, można było patrzeć stamtąd na dno wąwozu. Poszedł tam z flaszką i paroma facetami z przytułku. W szpitalu powiedzieli mu, że ma częściowy paraliż lewej strony ciała, że chirurdzy musieli scalić mu kilka kręgów w szyi i że zostały mu tam różne szpile i śruby, żeby to wszystko się nie porozsypywało.

Scott położył powiadomienie o eksmisji na zagraconym stole, obok rachunków, puszek piwa, starego aparatu Polaroid, dużej popielniczki. Był późny poranek, obaj popijali milwaukee's best. Teddy trącił powiadomienie palcem.

– Pewnie chciałby zgarnąć więcej na swój talerz. Tyle że jego talerz i tak jest wielki w porównaniu z moim.

Mówiąc te słowa, Teddy patrzył prosto przed siebie, z plecami idealnie przylegającymi do oparcia krzesła. Czasami Scott, wchodząc do przyczepy, zastawał Teddy'ego siedzącego na kanapie, bez ruchu, ze swobodnie zwisającymi rękami – nie oglądał telewizji, nie kartkował żadnych magazynów, po prostu siedział. Przy pierwszych paru okazjach, kiedy tak się zdarzyło, Scott sprawdzał, czy Teddy w ogóle żyje.

– No może – odpowiedział Scott. – Tylko czy robi coś złego?

– To po prostu buc. Może go lubisz, twoja sprawa... Gdybym był w takiej formie jak kiedyś, już dawno podszedłbym tam do biura i przylutował mu w nos.

– Bo to na pewno by pomogło – powiedział sarkastycznie Scott.

– Jestem z bidoków. Choćbyś stamtąd wyjechał, i tak masz to we krwi.

Teddy gadał dalej – kiedy miał nastrój, nawijał bez końca – a Scott siedział cicho i słuchał. Nie przerywał starszemu mężczyźnie, kiedy ten wdawał się w ciągnące się monologi, gęste jak jego akcent z Tennessee. Scott wodził wzrokiem po dużym pokoju. Na pokrytych boazerią ścianach nie było nic poza dużym obrazem zostawionym przez poprzednich lokatorów: Jezus i dwaj łotrzy na krzyżach, wszystko w odcieniach czerwieni i fioletu. Scott i Teddy wprowadzili się tu rok temu z niewielkim majątkiem i od tej pory niewiele im przybyło. Najcenniejszą częścią dobytku Teddy'ego były jego wędki i inny osprzęt rybacki. Scott miał plastikowy pojemnik wypełniony zdjęciami, dyplomami i innymi pamiątkami z dawnego życia.

Gdy Teddy skończył perorę, Scott uniósł wzrok znad puszki i wyjrzał przez okno. Po drugiej stronie alejki widział przyczepę Neda i Pam, obecnie pustą, oraz tę zamieszkaną przez Dawn, gdzie czasami kupował morfinę czy vicodin, jeśli było krucho z pieniędzmi. Randy Obsrajgacie, lepki od brudu, siedział na schodkach swojej przyczepy – wierzył, że jego martwy ojciec mieszka tam w przewodach wentylacyjnych – palił papierosa

aromatyzowanego goździkami i mamrotał coś do siebie. Nisko, z rykiem przeleciał samolot.

– Ja... – zaczął Scott – ja nie chcę tu mieszkać. – Podniósł druczek powiadomienia. – Wiesz, co to jest? To kop w dupę, który mnie stąd ruszy.

Scott wychował się na farmie krów w Iowa, później przebranżowionej na trzodę chlewną. Raz na święta dostał konia. Nigdy nie poznał swojego biologicznego ojca – ten zmusił jego matkę do seksu podczas randki. By oszczędzić rodzinie choć trochę wstydu, matka Scotta, Joan, została wydana za gwałciciela. Miała wtedy szesnaście lat. Ojciec Scotta wkrótce jednak ulotnił się bez śladu, już nigdy nie mieli od niego żadnych wieści. Następnym mężem Joan był wredny typ, który klął i bił: zanim się rozwiedli, zmajstrował Joan kolejne dziecko, córkę imieniem Clarissa. Potem matka Scotta znalazła sobie kowboja Cama, z którym miała jeszcze trójkę. Jeden z braci Scotta został strażakiem, inny rozwoził wodę mineralną dla firmy Culligan, a jego najmłodsza siostra pracowała jako pielęgniarka. Clarissa była alkoholiczką, mieszkała w najgorszych blokach w rodzinnym mieście Scotta. Miejscowi nazywali je Pasieką, bo lokatorzy wciąż stamtąd wylatywali.

Scott nigdy nie polubił się z kowbojem. Był zbyt delikatny, by szorstki jeździec z rancza mógł czuć z niego dumę. Zdał próbny egzamin uniwersytecki, poszedł na uniwersytet stanowy w Winonie, w wieku siedemnastu lat wyprowadził się z domu. Wkrótce Winona w Minnesocie okazała się dla niego za mała, podobnie jak wyrósł z wiejskiego krajobrazu stanu Iowa, plantacji soi i wież ciśnień. Już za młodu wiedział, że jest gejem. Pamięta, jak przed wyjazdem do Milwaukee myślał: muszę znaleźć innych ludzi takich jak ja. Wylądował na politechnice okręgowej w Milwaukee (szkole poziomu licencjackiego), po czym, w wieku trzydziestu jeden lat, zrobił uprawnienia pielęgniarskie.

Karierę zawodową zaczął w domu opieki. Sprawdzał tętno i ciśnienie, wydawał leki, kontrolował poziom cukru we krwi, robił zastrzyki insuliny, wpinał kroplówki, karmił pacjentów sondą, opatrywał tracheotomie i rany.

Nauczył się, jak delikatnie i szybko pracować dłońmi, jak powstrzymać pawia, jak znaleźć żyłę. Czuł się potrzebny, bo i był.

Wynajmował sobie fajne mieszkania w rozkwitających okolicach miasta: Bay View czy East Side. Był rok, najlepszy w jego życiu, kiedy zarobił osiemdziesiąt osiem tysięcy dolarów. Wysyłał pieniądze matce.

Po pięciu latach wyciągania bezwładnych kobiet i mężczyzn z łóżek i wanien wypadł mu dysk. Lekarz przepisał Scottowi percocet na bóle[1]. Mniej więcej w tym samym czasie dwóch spośród najlepszych przyjaciół Scotta zmarło na AIDS.

– No i popłynąłem. Słabo sobie z tym radziłem.

Percocet pomagał także na ten ból.

Scott myślał, że z czasem cierpienie ustanie, jak każda inna choroba. Kiedy jednak jego lekarz oświadczył, że odchodzi na emeryturę, złapał się na tym, że wpada w panikę. Ten lekarz był dla Scotta jak skarb, niczym barman, co zawsze leje po brzeżek – może następny nie będzie tak szczodrze przepisywać opioidów? Były też i inne opcje. Scott zaczął kupować pigułki od kolegów po fachu, podkradać leki z pracy. Także pacjenci z domu opieki stali się regularnymi dostawcami, sprzedawali mu vicodin po trzy dolary za tabletkę. Potem zresztą przeobrazili się w nieświadomych regularnych dostawców.

Kilka miesięcy po rozpoczęciu kuracji percocetem Scott odkrył fentanyl. To już była miłość. Fentanyl przenika do ośrodkowego układu nerwowego sto razy lepiej niż morfina[2]. Scott czuł na nim czyste, spokojne szczęście, przyciąganie ku absolutowi.

– Nigdy w życiu nie doświadczyłem tak wspaniałej przyjemności i zadowolenia – mówi.

W domu opieki za pomocą strzykawki ściągał fentanyl z plastrów znieczulających stosowanych u pacjentów z chronicznymi bólami. Potem połykał albo wstrzykiwał sobie narkotyk, a pacjentom naklejał puste plastry, choć pojękiwali cicho w łóżkach.

– W duchu przekonujesz sam siebie, że potrzebujesz tego bardziej niż oni – wspomina Scott. – „Jeśli to zażyję, dam radę obsłużyć nawet trzydziestu z was”.

Jak każdy romans, przygoda Scotta z fentanylem przeobraziła się z czegoś odurzającego i magicznego w głębszy, wymagający większego zaangażowania związek. Wkrótce nie szukał już haju, ale chronił się przed odstawieniem, czyli, jak to nazywał, byciem „na rzygu”. Kiedy nie miał fentanylu, dostawał dreszczy, pocił się, miał biegunkę i bóle całego ciała.

– Kiedy się przestaje, człowiek czuje się tak, że wolałby już nie żyć.

Na tym etapie Scott potrzebował już opioidów, żeby normalnie funkcjonować. Gdy czuł, że do bycia na rzygu już tylko krok, posuwał się do rzeczy, o których nigdy dotąd nawet by nie pomyślał, że byłby do czegoś takiego zdolny.

Pewnego dnia w sierpniu 2007 roku kilku współpracowników Scotta przyłapało go, jak stał z zamkniętymi oczyma, kolebiąc się w przód i w tył. Odesłali go do domu, sprawdzili plastry – okazało się, że były opróżnione. Przełożony Scotta zlecił mu poddanie się testom na obecność narkotyków, które wykazały obecność fentanylu w jego organizmie. Ten sam ciąg zdarzeń powtórzył się w listopadzie, ale Scott utrzymał się w robocie, ponieważ jego przełożony, który sam w przeszłości miał problemy z narkotykami, dał mu jeszcze jedną szansę. Jednak jakoś w okolicy Bożego Narodzenia tego roku pojawiły się skargi od pacjentów, że któryś pielęgniarz zabierał im plastry. Scotta wsadzono do taksówki i wysłano do kliniki na trzeci już test na obecność narkotyków. Wysiadł z auta, trzasnął drzwiczkami i stanął na mrozie.

Za drzwiami kliniki była poczekalnia pełna innych ćpunów garbiących się na plastikowych krzesłach i pielęgniarek z dłońmi okrytymi rękawiczkami, o twarzach bez wyrazu, niezdradzających ani współczucia, ani odrazy. Wiedział, że będą tam grać kolędy. Obrócił się na pięcie i odszedł spod kliniki.

Ze strachu wstąpił do Anonimowych Narkomanów i próbował odstawić prochy. Nie wyszło.

– W moim życiu nic się nie poprawiło – wspomina.

Cztery miesiące później założył najlepszą koszulę i udał się na posiedzenie dyscyplinarne przed Komisją Pielęgniarską stanu Wisconsin. Komisja postanowiła: „Uprawnienia Pana [Scotta W. Bunkera], pielęgniarza dyplomowanego, do wykonywania zawodu pielęgniarza w stanie Wisconsin zostają zawieszone na czas nieokreślony”[3]. W tej właśnie chwili Scott postanowił osiąść na dnie, pójść na całość w ćpanie.

– Uprawnienia pielęgniarskie były dla mnie naprawdę ważne – wspomina. – Kiedy mi je odebrali, no, chuj z tym, pomyślałem.

Straciwszy pracę i komfortowe mieszkanie, Scott sprzedał większość swojego dobytku i przeprowadził się do Zajazdu. W schronisku spotkał Teddy’ego, który niedługo przedtem został wypisany ze szpitala. Do Teddy’ego ciągnęło go z oczywistych powodów: był wątły, schorowany, potrzebował kogoś, kto pomagałby mu wchodzić na piętro, nosił posiłki na tacy. Scott wciąż jeszcze miał serce i nawyki pielęgniarza, choć odebrano mu uprawnienia.

W odróżnieniu od Scotta Teddy był już doświadczonym bezdomnym. Mieszkał w przytułkach i pod mostami, od kiedy trzy lata wcześniej przyjechał tu stopem z Dayton w stanie Tennessee. Wychował się w rodzinie, w której pieniędzy było mało, a dzieci czternastka. Jego ojciec, alkoholik, zginął młodo, huknął pick-upem w tył TIR-a. „To dopiero eksperyment” – lubił dodawać Teddy, opowiadając tę historię.

Niespotykana była z nich para: facet hetero z Południa, który od lat już mieszkał na ulicy, i znacznie młodszy gej, nowy narybek na społecznym dnie. Zaprzyjaźnili się jednak, a potem postanowili razem opuścić przytułek i znaleźć wspólne mieszkanie.

Teddy dostawał miesięcznie sześćset trzydzieści dwa dolary, z SSI, a Scott tylko talony żywnościowe. Potrzebowali taniego lokalu, ale i właściciela, który nie będzie zanadto drążył. Plac przyczep College miał reputację miejsca, w którym przyjmą właściwie każdego. Gdy Teddy i Scott przyszli sprawdzić co i jak, Biurowa Susie pokazała im małą przyczepę bez

pieca, w kiepskim stanie, ale Tobin oddał im ją na własność i brał tylko czterysta dwadzieścia dolarów czynszu za najem miejsca na placu. Wprowadzili się, nim minął tydzień.

Gdy Scott stracił pracę w domu opieki, organizowanie prochów stało się kłopotliwe. Chodził do baru U Woody'ego, Harbor Room czy innych gejowskich knajp z nadzieją, że spotka tam kogoś z dojściami. Na placu przyczep jednak wśród sąsiadów Scott znalazł paru z przepisanym metadonem, inni zaś handlowali narkotykami. Zorganizowanie zaopatrzenia stało się proste jak pożyczenie szklanki cukru.

Pewnego ranka Scott obudził się ze świadomością, że wkrótce będzie na rzygu. Dostawcy tabletek wystrzelali się z towaru. Scott poprosił Dawn o morfinę, ale i ona niczego nie miała. Wypił kilka piw Teddy'ego – nie pomogło. Wieczorem siedział w sypialni sam, roztrzęsiony. Założył swoją bejsbolówkę i z rękami w kieszeniach zaczął robić kółka po placu.

Heroinowa Susie obserwowała te jego spacery ze składanego krzesełka, które wystawiła sobie w ogródku. Skiepowała papierosa i weszła do przyczepy pogadać z Billym, swoim chłopakiem o długim już stażu. Gdy Scott znów przechodził obok, zawołali go do siebie.

Susie i Billy mieli pieska, coś z terierem, i czystą przyczepę umeblowaną stosunkowo nowymi sprzętami. Susie była w średnim wieku, miała długie brudnoblond włosy i ciemne worki pod oczami. Nawykowo poruszała się płynnie, bez stresu. Mówiła ludziom, że ma dar uleczania. Billy był żylastym typem w koszulce z oberżniętymi rękawkami, wydawało się, że mruga o połowę rzadziej niż to normalne. Miał chrapliwy głos i wyblakłe więzienne dziary. Susie i Billy żyli razem już od lat, ale wciąż lubili trzymać się za ręce.

Susie spytała, czy Scott jest na głodzie. Przytaknął. Spojrzała na Billy'ego, a ten wyciągnął niedużą skórzaną aktówkę. Wewnątrz znajdowała się paczka nowych igieł, waciki ze spirytusem, woda sterylizowana, malutkie kuleczki waty – i czarna heroina.

Nigdy hery w żyłę. Taką umowę zawarł sam ze sobą Scott, kiedy opioidy zaczęły panoszyć się w jego życiu. Obiecywał sobie, że nigdy nie

wstrzyknie sobie heroiny, nie po tym, jak na jego oczach AIDS wykańczało mu przyjaciół.

Billy trzymał łyżkę nad palnikiem kuchenki, żeby zagotować smółkę z wodą. Pomrukując cicho, zebrał heroinę kuleczką waty i zassał ją do strzykawki. Była ciemna, barwy kawy. Scott dowiedział się potem, że tak właśnie można rozpoznać mocny towar. Wkłuł się za prawym kolanem. Zamknął oczy, poczekał i przyszła ulga, nieważkość. Był dzieckiem wynurzającym się z wody, nad którą wciąż wibrowała deska trampoliny.

Scott, Susie i Billy zaprzyjaźnili się. Scott dowiedział się, że Susie pisywała wiersze, lubiła opowiadać, jak to w latach siedemdziesiątych dilowała całymi pakami marihuany, a heroinę wstrzykiwała sobie już od trzydziestu pięciu lat. Billy kłuł się w ręce, Susie w nogi, tak pobliźnione i odbarwione, że nawet Scott wzdrygał się na ich widok. Czasami na znalezienie miejsca na wkłucie schodziło Susie nawet parę godzin. Kiedy frustracja brała górę, Billy sięgał po strzykawkę Susie i wtłaczał jej heroinę w żyłę szyjną.

Czasami Billy i Scott zbierali złom czy puszki, żeby mieć na prochy. (Czarna heroina jest tania. Bąbelek zawierający może jedną dziesiątą grama chodzi po 15–20 dolarów). Kiedy indziej całą trójką kręcili wałki pod centrum handlowym. Billy kradł coś wartościowego w którejś sieciówce, najczęściej biżuterię. Potem Susie przynosiła ten towar jako zwrot, udając zawiedzioną klientkę, która na dodatek gdzieś podziała paragon. Z powodu braku paragonu kierownik sklepu wymieniał zwracany towar na bon podarunkowy. Susie przekazywała bon Scottowi, a ten opylał go komuś na parkingu, poniżej wartości. Bon wart osiemdziesiąt dolarów mógł sprzedać za czterdzieści, a z gotówką od razu jechał do Chicago, gdzie mieszkał ulubiony dostawca Susie.

Podanie Susie i Billy’ego o przyczepę na placu zostało zatwierdzone przez Lenny’ego, podobnie jak podanie Scotta i Teddy’ego. Lenny robił dla Tobina selekcję lokatorów. Nigdy nie sprawdzał ich historii kredytowej, bo to było płatne, nie dzwonił też do podanych we wnioskach właścicieli poprzednio zamieszkiwanych lokali, bo czuł, że ludzie najczęściej wpisują

tam nazwiska matek czy kumpli. Procedura selekcyjna Lenny'ego sprowadzała się zasadniczo do wklepywania nazwisk w CCAP.

CCAP oznacza Consolidated Court Automation Programs – Połączone Programy Automatyzacji Pracy Sądów. Jak wiele innych stanów, Wisconsin uważa, że jego mieszkańcy mają prawo śledzić działalność sądów cywilnych i karnych[4]. Udostępnia więc bezpłatną stronę internetową, gdzie zewidencjonowane są wszystkie mandaty za przekroczenie prędkości, spory o prawo do opieki nad dziećmi, rozwody, eksmisje, ciężkie przestępstwa, wszelkie sprawy rozstrzygane sądownie. Zapisy dotyczące eksmisji i wykroczeń są udostępniane przez dwadzieścia lat, te dotyczące przestępstw – przez co najmniej pięćdziesiąt. CCAP wyświetla także oddalone pozwy eksmisyjne i oskarżenia o przestępstwa. Jeśli ktoś był aresztowany, ale nie skazany, CCAP wyświetla informację o popełnionym czynie z klauzulą: „Oskarżenie to nie zostało dowiedzione i nie ma mocy prawnej. [Nazwisko] jest uważany za niewinnego". Pracodawcy i właściciele lokali na wynajem mogą sami wyciągać wnioski. Wśród „najczęściej zadawanych pytań" na stronie CCAP jedno brzmi: „Nie chcę, by moje dane osobowe znajdowały się w programie dostępu do danych sądów obwodu Wisconsin. Jak mogę je usunąć?". Podana odpowiedź to: „Raczej się nie da". Jeśli zapytać Lenny'ego, czy kiedykolwiek znalazł coś obciążającego, kiedy sprawdzał złożone podania, uśmiechnie się szeroko i odpowie: „Częściej coś znajduję niż nie".

A jeśli spytać, co musiałoby być w papierach, żeby podanie zostało odrzucone, powie, że wykluczał wnioski od każdego, kto miał na koncie sprawy związane z narkotykami albo przemocą domową. Tyle że Susie i Billy byli skazywani za narkotyki, i nie tylko oni.

Pewnego sobotniego poranka Lenny miał wczesną pobudkę. Doszła do niego Biurowa Susie, po czym Tobin zabrał ich wszystkich swoim cadillakiem na całodniowe zajęcia w miejskim Programie Szkolenia Właścicieli Lokali. Żadne nie miało ochoty tam siedzieć, ale nie mieli wyboru. Uczestnictwo w szkoleniu należało do warunków ugody zawartej

przez Tobina z radnym Witkowskim. Program Szkolenia, sponsorowany przez Departament Sprawiedliwości, uruchomiono w latach dziewięćdziesiątych w celu „zabezpieczenia wynajmowanych posiadłości przed działalnością nielegalną i niszczycielską”[5].

Tobin, Lenny i Biurowa Susie dołączyli do grupy około sześćdziesięciu innych właścicieli lokali w dużej sali wykładowej w Akademii Bezpieczeństwa Milwaukee przy Teutonia Avenue. Punktualnie o dziewiątej wysoka, barczysta kobieta w ciemnej garsonce wstała i oznajmiła:

– Zaczynamy punktualnie, to i skończymy punktualnie.

Karen Long, koordynatorka programu, mówiła szybko, trzymając ręce za plecami.

– Jaka jest pierwsza zasada w nieruchomościach? Lokalizacja, lokalizacja, lokalizacja. Jaka jest pierwsza zasada w wynajmowaniu ludziom nieruchomości? Selekcja, selekcja, selekcja... Trzeba zrobić parę rzeczy, żeby się przekonać, kto był grzeczny, a kto nie.

Karen powiedziała zebranym, żeby od chętnego na wynajem brać datę urodzenia (żeby sprawdzić, czy figuruje w kartotekach kryminalnych) i numer ubezpieczenia społecznego (dla sprawdzenia historii kredytowej) oraz dwa dowody tożsamości.

– Musicie żądać, żeby legitymowali się dostatecznym i możliwym do potwierdzenia poziomem dochodów. Jeśli twierdzą, że prowadzą własną działalność, cóż, dilerzy narkotyków też to robią.

Wspomniała o CCAP. Właścicielom lokali rozdano też ulotki reklamujące ScreeningWorks, które miało dostarczać „jak najbardziej szczegółowych informacji o przeszłości osób ubiegających się o najem lokalu”. Za 29,95 dolara właściciel lokalu mógł otrzymać raport zawierający informacje o wyrokach i eksmisjach petenta, ocenę jego zdolności kredytowej, poprzednie adresy i inne dane. „ScreeningWorks to usługa świadczona przez RentGrow – głosiła reklama. – RentGrow ma ponad dziesięć lat doświadczenia w selekcji lokatorów budynków

wielorodzinnych, obsługując ponad pół miliona wynajmowanych mieszkań rocznie”[6].

– Słuchajcie – ciągnęła Karen. – Jeśli ktoś ma świeżo wydany wyrok eksmisyjny czy za alimenty, nie ma sensu wynajmować mu mieszkania. Skoro już byli eksmitowani, skąd pomysł, że wam akurat zapłacą?[7]

Sama wynajmowała lokale i zawsze zwracała uwagę na to, jak ludzie oglądają jej mieszkania. Podkreślano to też w grubym podręczniku wręczanym właścicielom mieszkań przy rejestracji na szkoleniu: „Czy zaglądają do każdego pokoju? [...] Czy wyobrażają sobie rozstawienie mebli, w którym pokoju będą spać dzieci, w jaki sposób najlepiej wykorzystać położenie kuchni? A może ledwie wejdą do środka, a już pytają, od kiedy lokal jest do wynajęcia, dziwnie obojętni wobec tych szczegółów? Ludzie uczciwie zarabiający na życie dbają o swój dom, i to widać po tym, jak oglądają mieszkania. Część z tych, którzy wynajmują lokale do nielegalnej działalności, zapomina udawać takie zainteresowanie”[8].

Drobiazg, jakim jest selekcja, miewa poważne konsekwencje. Z tysięcy zero-jedynkowych decyzji wyłania się geografia uprzywilejowania i wykluczenia, która charakteryzuje w obecnych czasach nowoczesne amerykańskie miasto: szkoły dobre i te ledwo ciągnące, ulice bezpieczne i niebezpieczne[9]. Właściciele lokalu odgrywają wielką rolę w podziale dóbr. To oni decydują, kto gdzie będzie mieszkał. A ich procedury selekcji (czy brak tychże) wyjaśniały, czemu przestępczość, działalność gangów czy też zaangażowanie obywatelskie i dobrosąsiedzka atmosfera mogły się tak drastycznie różnić czasem nawet między sąsiednimi przecznicami. Pomagały też zrozumieć, czemu w obrębie jednego kwartału jeden blok mógł być świetnie policji znany, a inny wcale[10].

Procedury selekcji, zabraniające wstępu i ubogim, i notowanym, zmuszały biedne rodziny do mieszkania tam, gdzie wymagania nie były tak surowe, drzwi w drzwi z handlarzami narkotyków, przestępcami seksualnymi i innymi osobami na bakier z prawem. Okolice skażone wysokimi wskaźnikami ubóstwa i przestępczości wyglądały tak nie tylko

dlatego, że zbrodnia mogła rodzić się z nędzy, lecz także ponieważ techniki wykorzystywane przez właścicieli nieruchomości dla „zabezpieczenia wynajmowanych posiadłości przed działalnością nielegalną i niszczycielską” były barierą także dla ubogich. A to oznaczało również, że przemoc, kwestie narkotykowe, skrajna nędza i inne problemy społeczne skupiały się na znacznie mniejszym, ostrzej wyznaczonym obszarze niż całe sąsiedztwo. Gromadziły się pod jednym adresem.

Dla ludzi obznajomionych z głodem i niedostatkiem, uzależnieniami i więzieniem oznaczało to często odcięcie od koneksji ułatwiających znalezienie pracy, a zarazem narażenie się na przemoc i wykroczenia obyczajowe. Znaczyło to też jednak, że mogli dać upust swoim problemom, wymieniać się żywnością, odzieżą, informacjami czy choćby wchodzić jeden drugiemu w słowo, kiedy rozmawiali o parszywych fuchach, pracownikach socjalnych czy odsiadkach („A sos tam leją...” „Na wszystko!”). Oznaczało to, że jeśli byli we wczesnym stadium odstawienia opiatów, mogli się przejść po placu przyczep, żeby uspokoić dreszcze, a jeśli wpadli na innego ćpuna, ten mógł ich poratować tym, czego potrzebowali.

Niektórzy właściciele odpuszczali sobie selekcję z tego samego powodu, dla którego firmy chwilówkowe dają niezabezpieczone, wysoko oprocentowane pożyczki rodzinom z niespłaconymi długami czy fatalną zdolnością kredytową; tego samego, dla którego banki masowo udzielają kredytów hipotecznych ludziom, którzy nie mogą sobie na nie pozwolić; tego samego, dla którego firma Rent-A-Center pozwala klientom brać do domu nowy klimatyzator marki Hisense czy rozkładaną sofę Klaussnera model Lazarus, nie sprawdzając ich historii kredytowej. Ukrytym fundamentem każdego rynku jest jakiś model biznesowy[11].

– Są pytania? – Karen omiotła wzrokiem salę.

– Powinienem zawrzeć umowę krótko- czy długoterminową?

– Przede wszystkim w ogóle zawrzyj umowę. Błagam. Na piśmie. W tym stanie od sześćdziesięciu do siedemdziesięciu procent umów najmu jest zawieranych ustnie.

Mężczyzna w czapce we wzór maskujący uniósł dłoń, miał pytanie o eksmisje:

– Są jakieś takie głupoty, że muszę ich trzymać w mieszkaniu przez trzy miesiące czy coś?

– Nie. Nie ma żadnego zabezpieczenia, jeśli dalej nie płacą czynszu.

– Czy jest jakaś górna granica dla opłat karnych za opóźnioną wpłatę czynszu?

Ludzie w sali zaśmiali się nerwowo, a Karen zmarszczyła brwi, słysząc to pytanie.

– Czy można bez zapowiedzi wejść do obszarów wspólnych, no, na korytarze, do otwartej części piwnicy?

Karen odwlekała odpowiedź dla wzmocnienia efektu. Uśmiechnęła się do kobiety, która zadała to pytanie. Była to Afroamerykanka, chyba po pięćdziesiątce, która przez cały dzień siedziała w pierwszym rzędzie i robiła notatki.

– Jak brzmi odpowiedź? – zapytała zebranych Karen.

– Tak – odezwało się kilku innych właścicieli lokali.

Karen przytaknęła i wróciła spojrzeniem do pytającej:

– Więc proszę powtórzyć za mną: to jest moja własność.

– To jest moja własność – powiedziała tamta.

– To jest moja własność – mówiła głośniej Karen. Uniosła ręce, wzywając salę, by dołączyła.

– To jest moja własność – odpowiedzieli właściciele mieszkań.

– To jest moojaa właaasnooość! – zagrzmiała Karen, wskazując palcem podłogę pod stopami.

Głosy z sali uderzyły jak jeden, w dumnym, potężnym chórze:

– To jest moja własność! Mooojaaa własność!

Minęło kilka dni od otrzymania powiadomienia o eksmisji, nim Teddy zdecydował, że czas wracać do domu, do Tennessee. Zadzwonił do jednej

ze swoich sióstr, a ta powiedziała, że wyśle po niego męża z furgonetką. Teddy przesłał jej przekazem pięćset dolarów.

– Nie chcę wracać do nich spłukany – powiedział Scottowi, a ten pojął, że i jego pieniądze przepadły.

Scott potrzebował więc planu na przyszłość. Zadzwonił do Pito, starego kumpla z Anonimowych Narkomanów, i zapytał, czy ten nie ma jakiejś roboty. Pito skontaktował Scotta z Mirą, cholernie zadziorną portorykańską lesbijką, a ta zaproponowała mu pracę przy sprzątaniu domów zajętych za długi. Mira płaciła Scottowi i innym członkom ekipy gotówką. Sumy bywały bardzo różne – Scott nie rozumiał, czemu tak było, ale też się nie dopytywał. Metal oddawali złomiarzom, tu i tam opchnęli coś wartościowego, reszta lądowała na wysypisku.

Scott był zszokowany tym, co ludzie zostawiali w tych domach. Kanapy, komputery, sprzęty kuchenne ze stali nierdzewnej. Ubranka dziecięce jeszcze z metkami, trójkołowe rowerki, dekoracje świąteczne w pudłach w piwnicy, mrożone kotlety wieprzowe, puszki fasolki szparagowej. Pościelone łóżka, szafki na akta, oprawione plakaty, modlitwy, motywacyjne cytaty, zasłony, bluzki na wieszakach, kosiarki, obrazy. Czasami trafiały się nędzne, przysadziste domy o popękanych szybach, z tłustymi plamami na suficie. Czasem ogromne rezydencje z grubymi dywanami, wielkimi łazienkami i tarasami na tyłach. Scott miał wrażenie, że całe miasto idzie do śmieci.

– Wchodzisz czasem do takiego domu i jest tak, jakby ludzie wyszli stamtąd tylko z tym, w co byli ubrani – opowiadał przy kolejnym piwnym śniadaniu z Teddym. Minął może tydzień, od kiedy dostali powiadomienie o eksmisji. – Jest w tym coś głębokiego, czego jeszcze nie rozgryzłem.

– Szkoda, że ja nie mogę pracować – stwierdził Teddy. – Chciałbym tak być na świeżym powietrzu i pracować. Ale nie w moim stanie.

Nie sama praca tak poruszyła Scotta, ale te pozostałości.

– Nie potrafię zrozumieć, co się stało z tymi ludźmi – podjął. – To naprawdę... – pozwolił temu słowu odpłynąć.

– Scott. – Teddy powoli obrócił się w jego stronę. – Jesteś zupełnie jak moja rodzina. Strasznie mi żal rozstawać się z tobą, ale wracam do swoich.

– Żebym cię chociaż lubił – odparł z szerokim uśmiechem Scott.

– Przecież wiem, że kłamiesz. Wiem, że nie chcesz, żebym wyjechał. Ale sam rozumiesz, że tak musi być.

W sobotę rano, jakoś tak o wschodzie słońca, obok przyczepy zatrzymała się biała furgonetka. Scott zaniósł na tył wozu worek ubrań Teddy’ego i jego sprzęt wędkarski, pomógł staremu przyjacielowi wspiąć się na siedzenie pasażera. Sztywna ręka Teddy’ego uniosła się w niemym pożegnaniu, jak podniesiona na sznurku, i furgonetka odjechała pod niebem pomarańczowym jak w reklamach motocykli Harley-Davidson.

Następnego wieczoru, o zmroku, kiedy Scott pracował z ekipą Miry, zaczęło się plądrowanie jego przyczepy. Teddy wyjechał, wszyscy na placu przyczep wiedzieli też, że i Scott wkrótce się wyniesie. Zaczęli od drobnicy – brali koszulki, filmy, kurtki, plecak. Potem zabrali się do większych rzeczy, wynieśli stół, kanapę, obraz ukrzyżowania.

Szwagier Larraine, Lane, chudy, ciemnowłosy facet ze złotym łańcuszkiem na szyi, obserwował ich ze swojej przyczepy, żółtej jak kwiat mlecza.

– Sępy – komentował, kręcąc głową. – Lepiej zamykać usta, jak się śpi, bo te typy buchną człowiekowi nawet złote zęby.

Gdy Scott wrócił w nocy do domu i zrozumiał, co się stało, rzucił się sprawdzić, czy plastikowe pudło w jego pokoju – to wypełnione zdjęciami, dyplomami, wspomnieniami, namacalnymi dowodami, że kiedyś był kimś innym – uszło uwagi złodziei. Znalazł je na miejscu. Zabrali łóżko, ale pudło zostawili. Miał wrażenie, że otrzymał prezent. Potem ruszył powoli, pokój za pokojem, patrzył, co znikło, a czego nie chcieli nawet ci desperaci. Nikt nie sięgnął po książki ani po polaroid, ale zabrali na złom puszki po piwie. Scott wodził palcami po pozostawionych rzeczach, jak to czasem robił w tych zajętych domach, przyglądał się im, jakby były reliktami czy skamielinami odkrytymi w czasie wykopalisk.

Przypomniał mu się ostatni dom, który sprzątali tej nocy. Z zewnątrz wyglądał jak każdy inny. W środku ujrzał jednak zainstalowaną na improwizowanej scenie rurkę do striptizu, a dokoła niej kanapy. Wszędzie walało się ostre porno. Na piętrze były trzy sypialnie. W dwóch zalegało więcej obscenicznych pisemek. Scott otworzył drzwi do trzeciej i zatkało go na widok piętrowego łóżka, zabawek, zeszytów z niedokończoną pracą domową. Większość opuszczonych domów nie mówiła mu wiele o ludziach, którzy tam dotąd mieszkali. Pracując, Scott dopisywał sobie resztę, w wyobraźni słyszał śmiech wokół stołu przy kolacji, widział zaspane twarze o poranku, mężczyznę golącego się w łazience. Ten ostatni dom opowiedział wszystko z detalami. Myśląc o tej jednej sypialni, Scott usiadł na odsłoniętej podłodze swojej splądrowanej przyczepy i zaczął łkać.

8

Święta w sali numer 400

Sherrena postanowiła eksmitować Arleen. Pogrzeb i ta redukcja zasiłku, do której potem doszło, spiętrzyły jej zaległości do ośmiuset siedemdziesięciu dolarów. Sherrena uznała, że już czas „dać sobie spokój i rozejrzeć się za kolejnym lokatorem". Na początku grudnia złożyła wymagane papiery i wyznaczono jej datę rozprawy, 23 grudnia – tego dnia było ostatnie posiedzenie sądu w sprawach eksmisyjnych przed Bożym Narodzeniem. Sherrena wiedziała, że w sądzie będzie mnóstwo ludzi. Wielu rodziców wolało ryzykować starcie z właścicielem lokalu niż skazać dzieci na święta bez prezentów[1]. Jedna nowa lokatorka pytała ją już, czy mogłaby otrzymać z powrotem część czynszu, żeby kupić prezenty. Sherrena powiedziała jej:

– Bez domu nie będziesz miała gdzie wstawić choinki i prezentów... Przecież już jedenaście miesięcy temu wiedziałaś, że przyjdzie Boże Narodzenie.

W noc poprzedzającą datę spotkania na sali sądowej Sherreny i Arleen zaczął padać śnieg. Gdy mieszkańcy Milwaukee obudzili się następnego poranka, ujrzeli zasypane miasto. Chodnikami powoli wędrowali ludzie okutani w ciepłe kurtki i wełniane czapki. Matki z grubo ubranymi malcami kuliły się pod wiatami przystanków autobusowych, przestępując z nogi na nogę. Z kominów miasta w blade niebo biły kłęby pary, gęstej jak wata. Na North Side pojawiały się już tu i ówdzie dekoracje świąteczne: szopka z czarnoskórymi figurkami, wyszczerzony bałwan ulepiony na opuszczonej parceli.

Sherrena podjechała pod budynek Sądu Hrabstwa Milwaukee. Gmach ten zbudowano w roku 1931, ale zaprojektowany był tak, jakby stał tu od

zawsze. Otaczały go kolumny w porządku korynckim, wyższe i tęższe niż pnie dębów; unosiły dach budynku, który miał górować nad centrum miasta. Był to ogromny gmach z imponującą, obłożoną piaskowcem fasadą, na której architekci kazali wyryć czarne litery: VOX POPULI VOX DEI. Głos ludu głosem Boga.

Sherrena zastanawiała się, czy Arleen też się tu zjawi. Przeważnie lokatorzy nie przychodzili do sądu i Sherrena wolała taki wariant. Nauczyła się już, że to, ile dobroci okazała dotąd lokatorowi, przestawało mieć znaczenie. W sądzie „to wszystko idzie do klopa". Sherrena kupiła Arleen mleko i inne produkty żywnościowe. Jeden z jej pracowników zawiózł nawet do tamtego mieszkania kuchenkę, która stała nieużywana w którymś wolnym lokalu. Wiedziała jednak, że przed sędzią Arleen prędzej wspomni o tym, jak to raz zepsuł się bojler, czy wytknie tę dziurę w szybie, z którą Quentin wciąż nic nie zrobił. Tak czy inaczej, Sherrena zadzwoniła do niej tego ranka, żeby przypomnieć o rozprawie. Nie musiała, ale miała do Arleen słabość. Zresztą to raczej asesorzy ją niepokoili. Uważała, że sprzyjają lokatorom, że próbują blokować wnioski właścicieli, wykorzystując każdy ich techniczny błąd. Sherrenie oddalono już kilka pozwów z powodu błędów w dokumentacji. Za każdym razem musiała wtedy wszczynać procedurę eksmisji od nowa, co z reguły oznaczało, że z danego mieszkania przepadał jej czynsz za kolejny miesiąc. Kiedy jednak sprawa była rozstrzygnięta po jej myśli, Sherrena mogła już w ciągu dziesięciu dni ściągnąć grupę eksmisyjną, która fizycznie usuwała lokatorów z mieszkania.

Po kontroli bezpieczeństwa Sherrena skierowała się pod salę numer 400, Wydział Spraw Niskiej Wartości Hrabstwa Milwaukee, najbardziej obłożoną salę sądową w całym stanie[2]. Stukot jej obcasów o marmurowe posadzki odbijał się echem od sklepionych sufitów. Mijała prawników w trenczach, którzy wpatrywali się w podłogę, rozmawiając przez telefony komórkowe, i młodych rodziców z dziećmi gapiącymi się na wszystko dokoła jak turyści. Sala numer 400 była pełna. Kobiety i mężczyźni tłoczyli się w długich drewnianych ławkach lub stali, podpierając ściany, a ciepło

ich ciał ogrzewało pomieszczenie. Sherrena rozglądała się za wolnym miejscem, machając znajomym właścicielom lokali.

Pod tylną ścianą sali właściciele namawiali lokatorów do zawarcia ugód z planami spłat, oferując wycofanie eksmisji, jeśli lokator nadgoni opóźnienia w spłacie czynszu. Jeden z nich, biały mężczyzna w skórzanej kurtce, który kilka miesięcy wcześniej trafił na łamy miejscowej gazety, bo wystawiane mu mandaty za naruszenia przepisów budowlanych szły już w setki, dowcipkował ze swoją młodą asystentką, kiedy podeszła do niego lokatorka. Czarna kobieta, raczej po pięćdziesiątce. Kuliła się pod znoszonym płaszczem. Sięgnęła do torebki i wręczyła właścicielowi mieszkania siedemset dolarów gotówką.

– Mam taką nadzieję... – zaczęła.

On jej przerwał.

– Daj spokój nadziejom. Wypisuj czek.

– Za dwa tygodnie mogę mieć dla pana jeszcze sześćset.

Powiedział jej, żeby podpisała ugodę z planem spłat, uwzględniającym także pięćdziesiąt pięć dolarów opłaty za zwłokę. Podał jej też długopis[3].

Z przodu sali, w wydzielonej przestrzeni, gdzie były stoły i wiele wolnych krzeseł, siedzieli adwokaci w garniturach w prążki, z modnymi krawatami. Wynajmowali ich właściciele mieszkań. Niektórzy siedzieli skryci za ułożonymi przed sobą stosami akt, czytali gazety czy rozwiązywali krzyżówki. Inni dowcipkowali z woźną sądową, która od czasu do czasu odrywała się od pogawędki i upominała lokatorów, żeby ściągali czapki czy rozmawiali ciszej. W wydzielonej przestrzeni wszyscy, od prawników po woźną, byli biali.

Przed rewirem adwokatów stało pokaźne drewniane biurko. Na obu jego końcach siedziały dwie kobiety, wyczytywały kolejne sprawy z wokandy i sprawdzały obecność. Większość rzucanych w powietrze nazwisk nie spotykała się z odzewem. Około siedemdziesięciu procent wzywanych lokatorów nie zjawia się na rozprawach. To samo tyczy się innych większych miast. Są sądy miejskie, w których stawia się tylko co dziesiąty

lokator[4]. Niektórzy nie mogli wziąć wolnego w pracy, nie znaleźli opiekuna dla dziecka, cały ten proces ich przerastał, nie obchodziło ich to wcale czy wreszcie woleli oszczędzić sobie upokorzeń[5]. Kiedy lokator nie stawił się, a właściciel lokalu czy jego przedstawiciel tak, kobieta wyczytująca nazwisko szybko przybijała w aktach trzy stemple – znak, że zaocznie orzeczono eksmisję lokatora – i odkładała je na wierzch rosnącego stosu. Na sali rozpraw eksmisyjnych słychać było cichy szum ludzkich westchnień, pokasływań, pomruków, szeptów do dzieci, przerywany wyczytaniem nazwiska, chwilą ciszy i trzema głośnymi uderzeniami stempla.

Za wielkim biurkiem, oskrzydlony przez dwie pokaźne drewniane kolumny, wisiał duży obraz przedstawiający Mojżesza schodzącego z nienaruszonymi tablicami z dziesięciorgiem przykazań Bożych z góry Synaj. Prorok mierzył wściekłym spojrzeniem Izraelitów na pustyni, pląsających wokół złotego cielca. Drzwi po obu stronach biurka zajętego przez panie wyczytujące nazwiska prowadziły do biur asesorów, gdzie odbywały się posiedzenia. Kiedy któraś sprawa została wywołana, właściciele mieszkań i lokatorzy wchodzili w jedne drzwi i z reguły pojawiali się z powrotem już po paru minutach.

Na salę wróciła czarna kobieta, w sprawie której posiedzenie zakończyło się przed chwilą. Prowadziła za rękę dziecko. Miała zawój na głowie, nie zdejmowała też grubego granatowego płaszcza zimowego. Szła środkowym przejściem przez salę numer 400, mijając anemicznego białego z domowej roboty tatuażami, białą kobietę na wózku inwalidzkim, ubraną w dół od piżamy i crocsy, niewidomego czarnego z oklapłym kapeluszem na kolanach, Latynosa w robociarskich glanach i koszulce z hasłem MÓDL SIĘ ZA NAMI – oni wszyscy także czekali na swoje sprawy eksmisyjne. Lokatorzy, którzy trafiali na rozprawy, należeli przeważnie do ludzi ubogich, niemal wszystkim (dziewięćdziesiąt dwa procent) zdarzało się nie opłacić czynszu. U większości z nich czynsz pochłaniał co najmniej połowę dochodów gospodarstwa domowego. U jednej trzeciej było to co najmniej osiemdziesiąt procent[6]. Spośród lokatorów, którzy przybyli do sądu

i których eksmisję orzeczono, tylko co szósty miał już upatrzone inne lokum: schronisko, mieszkanie kątem u przyjaciół czy rodziny. Nieliczni, zrezygnowani, wybierali bezdomność. Większość po prostu nie miała pojęcia, gdzie się podzieją[7].

Kobieta w granatowym płaszczu zimowym wypatrzyła twarz innej czarnej kobiety siedzącej na brzeżku ławki. Mijając ją, pochyliła się i szepnęła:

– Nie martw się, kochana. To trwa tylko minutkę.

Jak zwykle na sali było wiele czarnych kobiet. Przeciętnie w ciągu miesiąca trzy czwarte lokatorów przybywających na rozprawy eksmisyjne w sądzie Milwaukee stanowią czarni. Wśród nich trzy czwarte to kobiety. Liczba czarnych kobiet była wyższa niż wszystkich pozostałych grup uczestników rozpraw eksmisyjnych[8]. Wokół nich gromadziły się dzieci, od malców po wyrośnięte. Dziewczynka z całą paczką spinek wpiętą we włosy siedziała cicho, kołysząc nogami pod siedziskiem ławki. Ciemnoskóry chłopiec w koszuli z kołnierzykiem, za dużej na niego o dwa rozmiary, siedział prosto, z zaciętą miną. Obok jego siostrzyczka próbowała zasnąć, jedną ręką przesłoniła sobie oczy, w drugiej ściskała pluszowego pieska.

W najbiedniejszych czarnych sąsiedztwach Milwaukee eksmisje stały się zjawiskiem pospolitym – szczególnie eksmisje kobiet. W tych rejonach co roku co siedemnasta najemczyni była eksmitowana mocą wyroku sądowego, co było wskaźnikiem dwukrotnie wyższym niż u mężczyzn z tych sąsiedztw i dziewięciokrotnie wyższym niż u kobiet z najuboższych białych sąsiedztw miasta. Kobiety z czarnych dzielnic stanowią dziewięć procent ludności Milwaukee i trzydzieści procent eksmitowanych lokatorów[9].

O ile życiem mężczyzn z ubogich czarnych dzielnic rządzą obecnie wyroki więzienia, o tyle życie kobiet kształtują eksmisje. Biedni czarni mężczyźni trafiają za kraty, biedne czarne kobiety – na bruk[10].

Z bocznych drzwi wyłonił się asesor i wziął akta od jednej z wywoływaczek. Sherrena postukiwała stopą, czekając, aż przyjdzie kolej

na nią. Na początku miesiąca była już w sądzie na ośmiu sprawach eksmisyjnych, w tym tej dotyczącej Patrice. Pojawił się tylko jeden lokator – Jednonogi Ricky. Podkuśtykał do Sherreny w holu i zapytał ze skargą w głosie:

– Po co żeś mnie tu ciągała?

Ricky miał piskliwy, a zarazem chrapliwy głos, zionął piwem, a jedną nogę miał drewnianą po tym, jak w dwudzieste drugie urodziny został czterokrotnie postrzelony.

– A co, mam cię walnąć w drugą nogę? – odcięła się. Uniosła pięści, a Ricky udał, że dziobie ją w stopę laską.

Kiedy już skończyli się śmiać, powiedziała mu:

– Uwielbiam cię, Ricky.

– Ja ciebie też, laska.

– No bo rozumiesz, to tylko formalność. Co, poszedłbyś do spożywczaka i powiedział: „No to ja biorę to żarcie i chuja wam zapłacę”?

– Przecież wiem, laska. Jakbym sam miał firmę, robiłbym tak samo jak ty... Tata zawsze mi powtarzał: nie gryź ręki, która cię karmi.

Kiedy już nadszedł ich czas, Sherrena i Ricky podeszli do biurka z przodu sali. Ponieważ sprawy były dzielone według powodów (właścicieli lokali), wywoływaczka sprawdziła, czy na sali są inni lokatorzy Sherreny.

– Sissell Clement?

Bam, bam, bam pieczęcią.

– Patrice Hinkston?

Bam, bam, bam pieczęcią.

Zamiast iść do sądu, Patrice pojechała do pracy w barze Cousins. Nie znalazła nikogo, kto wziąłby za nią tę zmianę, a nie chciała stracić posady. Kierownik przymknął oko na to, że była notowana za wykroczenie (wypisywanie czeków bez pokrycia). Z roboty w barze podobały się jej tylko dojazdy – spokojna godzinna przejażdżka autobusem po ulicach, wzdłuż których stały murowane domy obwieszone amerykańskimi flagami.

– Mam w de ją, mam w de ten cały sąd – oznajmiła później. – Moja mama przerabiała już eksmisję i trafił się jej chamski sędzia. – Patrice miała rozpocząć swoją karierę jako najemczyni od wpisu o eksmisji w rejestrze. Nie przejmowała się tym zbytnio. – Wszyscy moi znajomi, nie licząc białych kumpli, mają w papierach eksmisję, jak Boga kocham.

Patrice wiedziała, że gdyby pojawiła się w sądzie, to nie dość, że przepadłyby jej godziny i rozdrażniłaby kierownika, to jeszcze musiałaby się bronić przed kimś lepiej wykształconym, lepiej obeznanym z prawem i czującym się w sądzie swobodniej. Inni lokatorzy mieli jeszcze gorzej, bo stawali oko w oko z wynajętymi prawnikami.

Do tego jeszcze musiałaby wejść do wspaniałego starego gmachu. Najfajniejszym budynkiem, w którym w życiu była, był supermarket spożywczy Lena’s przy Fond du Lac Avenue. Były tam wózki zakupowe, jasne światło jarzeniówek, wypucowane linoleum na podłodze. Jej biali koledzy mówili, że to gettowy spożywczak, ale na North Side było tylko parę sklepów, które mu dorównywały. No i w tym supermarkecie nigdy nie czuła, że jej obecność budzi czyjekolwiek wątpliwości. Starała się nie wybierać w te części miasta, gdzie mogłoby się tak zdarzyć. Mieszkała ponad sześć kilometrów od brzegów jeziora Michigan: godzina spaceru, autobusem pół godziny, samochodem kwadrans. Nigdy tam nie była.

– Sherrena – szepnął ktoś.

Obejrzała się i zobaczyła, że do sali numer 400 zagląda Arleen.

Sherrena wyszła na korytarz i stanęła przy Arleen, kryjącą twarz pod kapturem czerwonej bluzy.

– Kobieto – zaczęła – albo oddajesz pieniądze, albo muszę cię wystawić z tego domu. Poważnie... W sensie, mam rachunki do zapłacenia, co nie? Nawet przy sobie mam taki, że jak zobaczysz, to ci oczy wyjdą na wierzch.

Sięgnęła między swoje dokumenty i wyciągnęła nakaz podatkowy za budynek uznany przez miasto za niezdatny do zasiedlenia. Wymienione były opłaty karne za odprowadzenie wody deszczowej i kanalizacji, kwota za zabicie drzwi i okien dyktą, inne pozycje, w sumie wychodziło

11 465,67 dolara. Arleen patrzyła na dokument otępiała. Kwota przerastała jej roczne dochody.

Sherrena przechyliła głowę i zapytała:

– Widzisz, z czym muszę sobie radzić?... Może to nie twoja wina, wyszło, jak wyszło, ale... – złapała nakaz między kciuk i palec wskazujący, zatrzepotała kartką – ...ja mam problemy.

Wróciła na miejsce w sali numer 400. Pamiętała swoją pierwszą eksmisję. Zdenerwowana, zdezorientowana, chyba kilkanaście razy sprawdzała, czy w papierach wszystko gra. Wkrótce potem złożyła kolejny pozew, i jeszcze jeden. Nauczyła się, by przy wypełnianiu formularzy sądowych pisać po nazwisku lokatora „i in.”, żeby nakaz eksmisji obejmował wszystkich mieszkańców, nawet tych, o których nie wiedziała. Nauczyła się, że w dokumentach, gdzie miała podać wartość szkody, należało pisać „nieprzekraczająca 5000 dolarów”, czyli najwyższej dopuszczalnej kwoty; że asesorzy krzywo patrzą na opłaty za zwłokę przekraczające pięćdziesiąt pięć dolarów; że ciąganie po sądach lokatorów, którym nie spieszyło się z płaceniem, było warte tych osiemdziesięciu dziewięciu dolarów pięćdziesięciu centów opłaty od pozwu, bo niejednego zmotywowało do tego, żeby jednak znaleźć jakiś sposób na spłatę zaległości. Zresztą opłatę sądową mogła im doliczyć do długu.

Dla Arleen to także nie była pierwsza eksmisja. Do tej doszło szesnaście lat temu, kiedy Arleen miała dwadzieścia dwa lata. Według jej obliczeń od osiemnastego roku życia wynajmowała już dwadzieścia mieszkań, co oznaczało, że wraz z dziećmi przeprowadzała się mniej więcej co roku – nierzadko z powodu eksmisji. A jednak w rejestrach nie występowała tak często, jak powinna. Przez te lata podawała właścicielom mieszkań różne nazwiska – żadnych szaleństw, subtelne różnice. Dzięki temu teraz eksmisje rozkładały się na „Arleen Beal” i „Erleen Belle”. Zagonieni urzędnicy sądowi, podobnie jak niejeden właściciel lokalu, nawet nie żądali okazania dokumentów. Arleen pamiętała czasy, kiedy w okresie Bożego Narodzenia w Milwaukee zawieszano eksmisje. Obyczaj ten ustał jednak w 1991 roku, kiedy jeden z właścicieli lokali przekonał Amerykański Związek Obrony

Swobód Obywatelskich, że to niesprawiedliwe obchody religijne[11]. Niektórzy weterani branży wciąż się go trzymali, przez uprzejmość, z nawyku, może z niewiedzy. Sherrena do nich nie należała.

Wciąż upływał czas. Adwokaci poszli już do domu – ich sprawy wyczytywano w pierwszej kolejności – i z przodu sali została już tylko woźna sądowa oraz wywoływaczki. Nie mając już z kim rozmawiać, woźna, biała, krępa, z trochę jakby króliczym uzębieniem, dla zabicia czasu zaczęła czepiać się lokatorów.

– Wyciszyć telefon komórkowy, bo zostanie skonfiskowany!

Obie wywoływaczki już godzinę temu przestały nawet ukrywać ziewanie.

– Należy usunąć się z drzwi wejściowych! – oznajmiła woźna. Dzieci bębniły butami o ławki. – Jeśli zamierzają państwo omawiać szczegóły sprawy, proszę to robić na korytarzu!

Arleen, wciąż w holu, uniosła wzrok i zobaczyła, że Sherrena przytrzymuje dla niej otwarte drzwi sali.

– Nasza kolej – powiedziała właścicielka.

Sherrena czekała dwie godziny, nim wyczytano jej sprawy. Wylosowała asesor Laurę Gramling Perez, białą kobietę o wojskowej sylwetce, ale z okrągłą, otwartą twarzą. Asesorka Perez, w ciemnej garsonce, z naszyjnikiem z pereł, poprosiła Arleen, by ta poczekała chwilę z przodu sali, bo miała z Sherreną jeszcze jedną sprawę do wyjaśnienia. Sherrena skierowała się za nią do gabinetu, eleganckiego pomieszczenia z pokrytymi boazerią ścianami, na których wisiały oprawne dyplomy, fotografie rodzinne, a na półkach stały woluminy prawniczych ksiąg. Asesorka usiadła u szczytu dużego stołu ze szlachetnego drewna i zapytała:

– Udało się coś zrobić z tym rachunkiem?

Sherrena była w tym gabinecie ledwie dzień wcześniej, wnosząc, by asesorka zaakceptowała pozew o rekompensatę za szkody w wysokości pięciu tysięcy dolarów złożony przeciwko innej eksmitowanej lokatorce, tej, której budynek uznano za niezdatny do zasiedlenia. Każda sprawa

eksmisyjna składała się z dwóch części. „Pierwsza przyczyna działania” dotyczyła wyłącznie tego, czy rzeczywiście dojdzie do eksmisji. Po niej były „druga i trzecia przyczyna działania”, które wiązały się ze zobowiązaniami wobec właściciela lokalu: zadłużeniem czynszowym, opłatami sądowymi, innymi odszkodowaniami[12]. Najczęściej, jeśli lokatorzy byli już pozywani, podwójnie – raz za mieszkanie, drugi za zobowiązania – czekały ich więc dwie wizyty w sądzie. Jednak na tę drugą rozprawę stawiali się jeszcze rzadziej niż na pierwszą, co oznaczało, że z reguły nikt nie podważał wyliczeń właścicieli lokali co do wysokości zadłużenia. Pozywanie lokatora o zaległy czynsz i opłaty sądowe nie było skomplikowane. Właściciel mógł zażądać niezapłaconego czynszu, opłaty za zwłokę w wysokości uznanej przez sąd za niewygórowaną oraz podwojenia czynszu za każdy dzień pobytu lokatorów w domu po wypowiedzeniu umowy najmu. Mniej klarowna była kwestia odszkodowań za zniszczenia. Czasami Sherrena kombinowała, ile policzyć, jeszcze po drodze na rozprawę. „Ile powinnam skasować za tylne drzwi? Sto pięćdziesiąt? Dwieście?” Czasami dokładała opłatę za dezynsekcję, choć przeprowadzał ją sam Quentin. Jeśli żądania nie wydawały się wygórowane, wywoływaczki zatwierdzały „drugą i trzecią przyczynę” na rzecz właściciela lokalu jednym szybkim uderzeniem pieczęci. W przeciwnym razie przekazywały pozew asesorowi – w tym przypadku pani Gramling Perez, która właśnie żądała od Sherreny dowodów uzasadniających pozywanie byłej lokatorki o najwyższą kwotę dopuszczalną w Wydziale Spraw Niskiej Wartości.

– To, co chcę od niej wyciągnąć, to ledwie ułamek kosztów, których mi narobiła w tym mieszkaniu – odparła Sherrena, prezentując zdjęcia zdemolowanego mieszkania i ten sam nakaz podatkowy, który pokazywała już Arleen.

Asesorka Gramling Perez obejrzała to wszystko, po czym stwierdziła:

– Przydałoby się coś jeszcze.

Sherrena broniła się, ale na próżno.

– I tak niczego nie dostanę – prychnęła w końcu.

– Tak to się zapewne skończy – przyznała asesorka. – Zatem...

– Ale to niesprawiedliwe i już! Nikt nigdy takim lokatorom niczego nie zrobi. Zawsze wszystko spada na właściciela. W tym systemie jest błąd... A, nieważne, nawet nie powącham tych pieniędzy. Ci ludzie nie mają grosza przy duszy.

Asesorka zredukowała roszczenie Sherreny z pięciu tysięcy do tysiąca dwustu osiemdziesięciu pięciu dolarów. Orzeczenie dołączyła do tych z ośmiu innych spraw eksmisyjnych, które Sherrena wszczęła na początku grudnia – w sumie wychodziło ponad dziesięć tysięcy dolarów. Sherrena wiedziała, że zasądzenie odszkodowania przez sąd to jedno, a faktycznie otrzymane pieniądze – drugie. Właściciel mieszkania dysponował kaucją wpłaconą przez lokatora, ale poza jej zajęciem możliwości uzyskania dalszych kwot były dość ograniczone. Mogłaby próbować zajęcia komorniczego pensji, ale dotyczyło to tylko tych byłych lokatorów, którzy mieli pracę i żyli powyżej granicy ubóstwa. Mogłaby też dokonać zajęcia konta bankowego, ale wielu spośród jej byłych lokatorów nie miało rachunków w bankach, a nawet gdyby mieli, zasiłki wypłacane przez państwo i pierwszy tysiąc dolarów były nietykalne[13].

Mimo to Sherrena i wielu innych właścicieli lokali pozywało lokatorów z drugiej i trzeciej przyczyny. Pociągało to za sobą konsekwencje dla lokatorów, ponieważ zasądzone odszkodowania figurowały w rejestrach eksmisyjnych. Zapis o eksmisji z adnotacją o długu z tytułu zaległości czynszowych wynoszącym dwieście dolarów wygląda zupełnie inaczej niż taki opiewający na dwa tysiące. Bywa zresztą, że zasądzone odszkodowanie pojawia się w życiu lokatora kilka lat po eksmisji, szczególnie jeśli właściciel lokalu zgłosi wyrok do sądowego rejestru długów. Sprawia to, że wyrok staje się częścią historii kredytowej lokatora. Jeśli ten wejdzie w posiadanie jakiejś nieruchomości w hrabstwie Milwaukee w ciągu następnych dziesięciu lat, zarejestrowany wyrok obciąża jej hipotekę, przez co nowemu właścicielowi jest znacznie trudniej sprzedać ją lub zaciągnąć kredyt pod jej zastaw[14]. Dla właściciela zarejestrowanie wyroku było jak loteria, gdzie o wygranej decydowały przyszłe decyzje lokatora. Kto wie,

może przyjdzie czas, że lokatorka zechce wyczyścić sobie historię kredytową, więc zgłosi się tam, gdzie kiedyś wynajmowała mieszkanie, i zaproponuje spłatę długu. „Plus odsetki” może zażądać właściciel mieszkania, bo do kwot orzeczonych w wyrokach naliczane były karne odsetki w wysokości, której pozazdrościłby każdy fundusz inwestycyjny: dwanaście procent rocznie. Dla chronicznie, rozpaczliwie biednych ludzi, którzy i tak mieli beznadziejną sytuację kredytową, zarejestrowany wyrok był tylko kolejnym kopniakiem spychającym ich głębiej w otchłań. Jednak dla lokatora, który z czasem znalazł porządną robotę czy wziął ślub i chciał zrobić kolejny drobny kroczek naprzód, może złożył wniosek o kredyt studencki czy pożyczkę na zakup pierwszego domu... dla kogoś takiego była to poważna bariera na i tak trudnym szlaku do nabrania wiary w siebie i bezpieczeństwa finansowego.

Sherrena rozważała wynajęcie jakiejś firmy, typu Rent Recovery Service (Służba Odzysku Czynszów), by ściągać kwoty orzeczone w „drugiej i trzeciej przyczynie”. Ci wspomniani wyżej reklamują się jako „największa i najbardziej agresywna agencja windykacyjna w kraju”, niepłacących lokatorów zgłaszają do trzech ogólnokrajowych biur informacji kredytowej, jak również wprowadzają ich do obejmującego całe Stany systemu śledzenia, pozwalającego spółce na obserwowanie sytuacji finansowej lokatorów „bez ich wiedzy”. Firma widzi, kiedy ktoś składa wniosek kredytowy, ubiega się o posadę, otwiera rachunek bankowy. Podobnie jak właściciele mieszkań rejestrujący wyroki, Rent Recovery Service patrzy na to perspektywicznie, czekając, aż lokator „finansowo stanie na nogi i zacznie zarabiać”, nim przystąpi do windykacji. Ta firma „nigdy nie zamyka sprawy niespłaconego długu”[15]. Niektóre z tych spraw dotyczyły kwot długu wyliczonych rozsądnie i solidnie udokumentowanych, inne – napompowanych drugich i trzecich przyczyn, obciążonych astronomicznymi odsetkami. Ponieważ jednak i jedne, i drugie były zatwierdzone wyrokiem sądowym, Rent Recovery Service nie wdawała się w takie rozróżnienia.

Gdy przyszła kolej na Arleen, ta zdecydowała się usiąść za stołem asesorki obok Sherreny. Przez chwilę obie wyglądały jak stare znajome, może nawet siostry, z których jednej w życiu się powiodło. Sherrena wciąż jeszcze przeżuwała odmowę uznania odszkodowania w wysokości pięciu tysięcy, kiedy odezwała się asesorka, nie unosząc wzroku znad akt sprawy Arleen:

– Właścicielka wynajmowanego przez panią mieszkania chce panią eksmitować z powodu niepłacenia czynszu. Czy rzeczywiście zalega pani z czynszem?

– Tak – odparła Arleen.

I w ten sposób przegrała sprawę[16].

Asesorka spojrzała na Sherrenę i zapytała:

– Chciałaby pani pójść z nią na jakąś ugodę?

– Nie. Za dużo już się jej uzbierało tego długu, taka prawda. Bo odpuściłam jej, kiedy jej siostra umarła czy kto to tam był. W tamtym miesiącu w ogóle nie zapłaciła czynszu. Ale teraz minął kolejny miesiąc i w sumie jest mi winna mniej więcej osiemset siedemdziesiąt dolarów.

– No dobrze, dobrze – przerwała jej asesorka. Zwróciła się do Arleen: – Czyli w tym momencie właścicielka lokalu chce, żeby się pani wyprowadziła.

– Jasne.

– Ma pani w domu nieletnie dzieci?

– Yhy.

– Ile?

– Dwójkę.

Pani Gramling Perez należała do tych asesorów, którym zdarza się stosować do sądowego obyczaju odraczania lokatorom eksmisji o dwa dni na każde mieszkające z nimi dziecko.

– Wyprowadzę się przed pierwszym – powiedziała Arleen. – Najpóźniej w Nowy Rok.

– No tylko że to by się wcięło w kolejny miesiąc rozliczeniowy – wtrąciła się Sherrena.

– Czyli zgodziłaby się pani na ugodę, jeśli lokatorka wyprowadzi się przed pierwszym? – spytała asesorka.

– No... – zaczęła Sherrena, nawet już nie próbując ukrywać irytacji. – Mam umówionych ludzi, którzy chcieliby wprowadzić się od pierwszego.

Asesorka zauważyła jednak pole manewru. Wiedziała, że Arleen będzie musiała się wyprowadzić, ale chciała oszczędzić jej piętna zapisu o eksmisji. Spróbowała więc jeszcze raz:

– Może zechciałaby pani zaoferować coś w zamian za zobowiązanie lokatorki, że ta wyprowadzi się do trzydziestego pierwszego, z własnej woli?

– A co miałabym zaoferować? – spytała chłodno Sherrena.

– Wycofanie pozwu.

– Tylko co z tym całym długiem, który u mnie ma? – Wycofanie pozwu o eksmisję oznaczało porzucenie starań o odszkodowanie, a wyroki o odszkodowania, nawet od samotnych matek na zasiłku, były jednym z głównych powodów, dla których Sherrena przeprowadzała eksmisje lokatorów drogą sądową.

– Cóż, chodziło mi o to, że chyba może pani odpuścić te paręset dolarów, żeby nie stracić tych lokatorów, którzy wprowadziliby się już od stycznia. – Asesorka wiedziała, że Sherrena mogła zająć kaucję Arleen, przez co kwota niezapłaconego czynszu zmalałaby do około trzystu dwudziestu dolarów. – W zamian za umowę, że nie będzie pani ścigać...

Przerwała jej Arleen:

– Ale ja nie chcę, żeby się na mnie wykosztowała. – Powiedziała to dobitnie, z urażoną miną. Widziała już, kto tu pociąga za sznurki, i nie była to ta biała pani z perłowym naszyjnikiem.

Sherrena, która obracała sobie to wszystko w myślach, pochyliła się nad stołem.

– Ja nie chcę niczego wycofywać. Naprawdę nie chcę... Znaczy mam już dosyć tego, że tracę na każdym jednym... – Przy każdym słowie biła dłonią w blat.

Arleen spojrzała na asesorkę.

– To nie tak, że ja chcę tam u niej zostać. Znaczy rozumiem, o co jej chodzi. To jej lokal.

– Rozumiem – przytaknęła asesorka.

– Nie próbuję się tam zaczepić.

– Rozumiem.

Asesorka przekładała kartki, nie odzywała się już.

W tej chwili przerwy Arleen spróbowała innej taktyki. Myśląc o rozbitej szybie, o przerwach w dopływie ciepłej wody, o brudnej wykładzinie, odezwała się lekceważąco:

– Mogłabym tu coś powiedzieć, ale nie chce mi się w tym grzebać. Nic mi nie będzie. – I to była jej cała obrona[17].

Asesorka spojrzała na nią i oświadczyła:

– Więc będzie tak. Proszę pani, musi pani wyprowadzić się z własnej woli przed pierwszym stycznia... Jeśli pani tego nie zrobi, właścicielka mieszkania ma prawo przyjść tu bez zwłoki i otrzyma nakaz eksmisji. A wtedy zjawi się szeryf.

Gdy Sherrena i Arleen opuściły gmach sądu, wciąż prószył śnieg. Sherrena zgodziła się odwieźć Arleen do domu. W samochodzie przez chwilę masowała sobie kark, a jej lokatorka oparła czoło na dłoni. Obu dolegał potworny ból głowy. Sherrena przypuszczała, że u niej to wynik rozstrzygnięć w sądzie tego dnia. Wciąż była wściekła, że asesorka Gramling Perez zredukowała wysokość odszkodowania. Ból głowy Arleen brał się z głodu. Dziś nie miała nic w ustach.

– Nie chcę wyrzucać ciebie i twoich dzieciaków na mróz – powiedziała jej Sherrena, kiedy samochód sunął powoli przez śliskie od śniegowej brei ulice. – Nie chciałabym, żeby ktokolwiek mnie tak urządził... Są

właściciele, którym w sądzie pozwalają na wszystko. Ale są i tacy jak ja, idziemy do asesorki, ona mówi, co sobie wymyśli, i tak ma być... Sama wie, że ten system jest spieprzony. Zupełnie jednostronny[18].

Arleen patrzyła przez okno na śnieg osiadający bezszelestnie na żeliwnych słupach latarń, na zdobnej kopule biblioteki publicznej, gotyckich wieżach kościoła Gesu.

– A i lokatorzy to czasem syfiarze jak wszyscy diabli – ciągnęła Sherrena. – Naściąga taki karaluchów. Naściąga myszy. A kto za to potem płaci? No, taka Doreen Hinkston! Leje do zlewu te swoje nudle od chinola i wciąż do mnie dzwoni, że zlew zapchany... No to ja mam wzywać hydraulika. A potem weźmie leje do zlewu tłuszcz z pieczonego kurczaka, smalec tam wylewa, więc znów mam hydraulika do wezwania.

Skręciła w Center Street, minęła kościół, gdzie Arleen czasami na Święto Dziękczynienia czy Boże Narodzenie odbierała koszyki z darami. Zawsze pragnęła sama zostać duchowną, kimś, kto będzie rozdawać żywność i odzież.

– No więc, Arleen – Sherrena zatrzymała się na Trzynastej, przed domem, w którym mieszkała jej lokatorka – jeśli przyjdzie ci do głowy wejście w biznes wynajmu mieszkań, nie radzę. Fatalny układ. Czego byś nie zrobiła, dostaniesz po głowie.

Arleen wysiadła z auta i obróciła się do niej.

– Wesołych świąt – powiedziała.

II

Na bruku

9

Kto zamawiał coś na wynos?

Larraine wstała przed świtem, ochlapała twarz chłodną wodą. Z reguły wstawała jeszcze przed wschodem słońca, rano miała najlepsze samopoczucie. Dzień po starciu z Tobinem wyglądał jednak inaczej. Została wtedy w łóżku, próbowała ignorować całą sytuację, kryjąc się pod kołdrą. Wstała tylko po to, żeby wypuścić Diggera – najpierw przez szpary w żaluzjach sprawdziła, czy nie widać Tobina albo Lenny'ego, a potem wyszła ze smyczą w dłoni. Digger, czarny kundelek, należał do jej brata Beakera. Larraine zgodziła się opiekować psem na czas pobytu Beakera w szpitalu, na serce.

Przyczepa Larraine była czyściutka, wolna od gratów. Kiedy jakiś gość chwalił ten porządek, uśmiechała się i przypisywała zasługę ręcznemu odkurzaczowi parowemu, czy też dzieliła się domowymi patentami, jak dodawanie aspiryny przy praniu białych rzeczy. Mieszkała w tej przyczepie już około roku i polubiła ją, szczególnie ranną porą, nim na dworze zaczynały się zbierać plotkary. Teraz miała tu już wszystko w sam raz. Znalazła białe sztućce do nakładania posiłków, pasujące do białych szafek w kuchni, i biureczko pod swój stary komputer. A to wcale nie ułatwiało oddawania siedemdziesięciu siedmiu procent dochodów Tobinowi w czynszu.

Słońce pięło się wyżej, plac przyczep zaczął się budzić, odzywały się dzieci i silniki samochodów. Larraine wpatrywała się w swój telefon. Wiedziała, że w Milwaukee działają dwa główne programy pomocy ludziom stojącym w obliczu eksmisji. Pierwszy to Pomoc Doraźna dla rodzin zagrożonych „zbliżającą się bezdomnością”. O środki te można ubiegać się raz w roku, jeśli posiada się obywatelstwo USA, otrzymało się powiadomienie o eksmisji, plasuje się na lub poniżej granicy ubóstwa

podwyższonej o piętnaście punktów procentowych i jest się w stanie udowodnić za pomocą wyroku rozwodowego, zaświadczenia o byciu ofiarą przestępstwa, wypowiedzenia pracy czy innych dokumentów, że doświadczyło się raptownej obniżki dochodów. Tyle że warunkiem koniecznym było także zamieszkiwanie wraz z dziećmi na utrzymaniu – więc Pomoc Doraźna odpadała.

Drugi był Program Zapobiegania Bezdomności, oferowany za pośrednictwem organizacji Community Advocates i fundowany głównie ze środków federalnych. Żeby jednak zakwalifikować się do tego programu, nie dość, że trzeba było doświadczyć spadku poziomu dochodów, to jeszcze wykazać, że bieżące dochody wystarczą na pokrycie czynszu w przyszłości. Do tego wkupne musiał wyłożyć właściciel lokalu, a na to Larraine nie miała szans. Podobnie jak Pomoc Doraźna, to świadczenie skierowane było raczej do ludzi niedawno zwolnionych z pracy czy obrabowanych niż permanentnie przeciążonych czynszem. Organizacja Community Advocates była w stanie wypłacać ten zasiłek tylko dziewięciuset pięćdziesięciu rodzinom w ciągu roku. W Milwaukee wystarczało niespełna sześć tygodni, by tyle rodzin wylądowało na bruku[1].

Larraine wybrała numer, który znała na pamięć.

– Tak. Tak się zastanawiałam. Słyszałam, że pomagacie ludziom z czynszem... Aha. Aha, czyli nie?... Jasne.

Rozłączyła się. Dzwoniła do Komisji Rozwoju Społecznego, organizacji walczącej z biedą. Nie mogli pomóc. Ktoś powiedział jej, że YMCA przy Dwudziestej Siódmej Ulicy udziela pożyczek w nagłych sytuacjach. Zadzwoniła tam.

– Tak. Powiedziano mi, żebym do was zadzwoniła, podobno możecie mi pomóc z czynszem... Moim czynszem... Czynszem. CZ-Y-N-SZ.

Nic z tego. Larraine nie dzwoniła do stowarzyszeń lokatorskich, bo w Milwaukee, jak i w większości amerykańskich miast, takowe nie istnieją.

Do południa było jeszcze sporo czasu, a Larraine zdążyła już obdzwonić wszystkie fundacje oraz organizacje miejskie i stanowe, jakie tylko przyszły jej do głowy. Bez żadnego skutku. Dla zabawy wybrała jeszcze jeden

numer. Podniosła słuchawkę – rozbrzmiewało w niej obojętne buczenie zajętej linii. Larraine wzruszyła ramionami. Numer Centrum Usług dla Ludności imienia Marcii P. Coggs – „budynku socjalnego” – był wiecznie zajęty.

Ekipy od przeprowadzek uruchamiały ciężarówki bladym świtem, diesle pomrukiwały gniewnie, kiedy tragarze zbierali się przy papierosach i kubkach czarnej kawy. Miasto było przesiąknięte zeszłonocnym deszczem. Niektórzy z tragarzy byli młodzi, wysportowani, miewali przekłute uszy. Inni, o masywnych torsach, w średnim wieku, dla rozgrzewki tłukli skórzanymi rękawicami w nogawki dżinsów. Najstarszy był tu Tim, chudy, z kwaśną miną, rdzawobrązową karnacją, szczeciną na żuchwie i świeżą paczką salemów w kieszonce na piersi. Niemal wszyscy tu byli czarni, nosili glany i robocze kurtki z nazwą firmy – Przeprowadzki i Składowanie Eagle – z różnymi zabawnymi hasełkami: „Nikomu nie wadzi się przeprowadzić”, „Usługi stękające”, „Kto zamawiał coś na wynos?”.

Bracia Brittain – Tom, Dave i Jim – przejęli firmę po ojcu. Kiedy ją założył, jeszcze w 1958 roku, w tygodniu była jedna, może dwie przeprowadzki spowodowane eksmisją. Miał wszystkiego dwie ciężarówki, biuro w domu, a jeśli potrzebował kogoś do pomocy, brał bezdomnych z przytułku. Pięćdziesiąt lat później firma zatrudniała trzydziestu pięciu ludzi, w większości tragarzy pracujących na cały etat, posiadała całą flotę furgonetek i ciągników siodłowych, a siedzibę miała w trzykondygnacyjnym budynku o powierzchni ponad hektara, niegdysiejszej fabryce mebli. Eksmisje zapewniały im czterdzieści procent obrotów.

Ekipie przeprowadzkowej z firmy Eagle towarzyszyli dwaj zastępcy szeryfa. To oni pukali do drzwi i powiadamiali o eksmisji – potem wchodzili tragarze i opróżniali dom. Rachunek trafiał do właściciela lokalu. Przed wezwaniem ludzi z Biura Szeryfa właściciel nieruchomości musiał zawrzeć umowę z firmą przeprowadzkową, objętą obowiązkowym

ubezpieczeniem. W Milwaukee działały cztery takie przedsiębiorstwa, Eagle było wśród nich największe. Żeby wynająć jedną z pięcioosobowych ekip z Eagle, właściciel lokalu musiał wpłacić trzysta pięćdziesiąt dolarów kaucji – tyle przeciętnie wynosiły koszty eksmisji. Wtedy firma wystawiała upoważnienie, które właściciel lokalu przekazywał do Biura Szeryfa wraz z niezbędnymi dokumentami z sądu, przy czym musiał jeszcze zapłacić sto trzydzieści dolarów. Szeryf miał odtąd dziesięć dni na eksmitowanie lokatorów. Eksmisja przeprowadzona formalnie, z udziałem szeryfa i firmy przeprowadzkowej, mogła kosztować do sześciuset dolarów, wliczając opłatę od pozwu i koszty doręczenia. Właściciele lokali mogli dopisać tę sumę do pozwu odszkodowawczego, ale często i tak do nich nie wracała.

Dave Brittain, sadzący długie kroki biały mężczyzna o siwiejących włosach, dał pracownikom znak, więc wsiedli do ciężarówek. Tim prowadził furgonetkę, Dave siadał obok, kiedy towarzyszył im przy przeprowadzce. Codzienny szlak eksmisyjny zaczynał się od adresu położonego najbardziej na północ, potem, zaliczając kolejne punkty, ciągnął się coraz bardziej na południe. Ciężarówki z Eagle sunęły przez getto North Side rankiem i wczesnym popołudniem. Potem przejeżdżały na drugi brzeg doliny rzeki Menominee i krążyły po głównie latynoskich ulicach bliższej South Side, by zakończyć dzień przy placach przyczep na białej, dalszej części South Side.

Ludzie z Biura Szeryfa czekali na ekipę przeprowadzkową pod blokiem mieszkalnym przy Silver Spring Drive. John, starszy i bardziej modelowy (barczysty, z obwisłymi policzkami, do tego okulary przeciwsłoneczne, sumiaste wąsy, guma do żucia) z dwójki zastępców, zastukał do drzwi. Otworzyła mu niewysoka czarna kobieta, przecierając rozespane oczy. Gdy John rozejrzał się po mieszkaniu i zobaczył schludne wnętrze, naczynia na suszarce i ani jednego spakowanego pudła, obrócił się do partnera i zapytał:

– Na pewno to ten adres?

Zadzwonił do biura.

Jeśli wchodził gdzieś do mieszkania i widział materace na podłodze, tłuste plamy na suficie, karaluchy na ścianach, walające się wszędzie

ciuchy, doczepiane włosy i zabawki, nie było po co sprawdzać. Czasami lokatorzy zdążyli już opuścić lokal, zostawiając po sobie martwe zwierzęta i gnijącą żywność. Bywało, że tragarze rzygali. „Pierwsza zasada przy eksmisjach?” – lubił powiadać szeryf John. „Przenigdy nie otwierać lodówki”. Kiedy było już bardzo źle, kiedy mieszkanie było zawalone śmieciami, psim gównem albo któryś z chłopaków znalazł igłę od strzykawki, Dave ze skinieniem głowy rzucał tylko: „Syf zostaje”, i cały bajzel zostawiali właścicielowi.

John rozłączył się i gestem wezwał tragarzy. Od tego momentu dom nie należał już do jego mieszkańców, sprawę przejmowali tragarze. Łapiąc za wózki, pasy i kartony, pracownicy zaczęli opróżniać pokój za pokojem. Pracowali szybko, bez wahania. Tego ranka w domu nie było dzieci, ale widzieli zabawki, pieluchy. Kobieta, która im otworzyła, poruszała się powoli, wyglądała na przytłoczoną. Z jej stężałej twarzy wyrwał się szloch, kiedy otworzyła lodówkę i zobaczyła, że tragarze już ją opróżnili, spakowali nawet tacki na kostki lodu[2]. Swój dobytek zwalony na pryzmę znalazła w uliczce na tyłach domu. Szeryf John spojrzał na niebo, z którego zaczęło siąpić, po czym wrócił wzrokiem do Tima. „Śnieżyca. Ulewa. Nas to jebie” – rzucił Tim i zapalił salema.

Kolejny adres, piętrowy dom w kolorze pudrowego błękitu. W mieszkaniu nie było nikogo. Tak to wyglądało w połowie przypadków. Czasem lokatorzy wyprowadzili się, nim przybyła ekipa. Inni nie wiedzieli nawet, że przyszedł na nich czas. Garstka oblatanych dzwoniła do Biura Szeryfa z pytaniem, czy ich adres rzeczywiście trafił na dzienną listę do eksmisji. Wielu jednak było nieprzygotowanych i zdezorientowanych, kiedy mundurowy pukał do drzwi. Niektórzy twierdzili, że nie otrzymali powiadomienia, lub wytykali – całkiem celnie – że nie określało ono daty czy choćby okresu, w którym miałaby nastąpić eksmisja. Zastępcy szeryfa wzruszali tylko ramionami. Ich zdaniem lokatorzy próbowali okiwać system, pozostając w mieszkaniu do upadłego. Dave miał na to bardziej zniuansowany pogląd. Uważał, że wśród lokatorów z orzeczoną eksmisją rodziło się coś w rodzaju grupowego wyparcia, jakby nie byli w stanie

oswoić się z tym faktem ani nawet wyobrazić sobie, że niedługo pojawią się dwaj uzbrojeni zastępcy szeryfa, nakażą im opuścić mieszkanie i wprowadzą ekipę tragarzy, która usunie z lokalu wszelkie ślady ich bytności. Psychologowie mogliby zgodzić się z jego oceną, powołując się na badania wykazujące, że ludzie żyjący w niedostatku skupiają się na chwili obecnej, tracąc z oczu przyszłość, za co często słono płacą. Mogliby też przywołać cytat z *How the Other Half Lives*, książki wydanej ponad sto lat temu: „Wśród zajadłej i nieustającej walki o podstawowe rzeczy niezbędne do życia nie ma niczego, co zachęcałoby do patrzenia w przyszłość, za to wszystko odstręcza od takich wysiłków [...]. Fatalny dzień zapłaty odkładany jest zawsze na jutro, które może nigdy nie nadejść. A kiedy jednak nadejdzie [...], to tylko kolejna kłoda pod nogi w życiu od kołyski naznaczonym podobnymi zdarzeniami”[3].

Były też jednak sytuacje niewymagające żadnego rozeznania w psychologii, przypadki właścicieli rozmyślnie wprowadzających w błąd lokatorów czy wprost ich oszukujących.

Dave wysłał Bronteego, nowego, żeby wgramolił się do tego pudrowobłękitnego domu przez okno i wpuścił ich do środka. Wewnątrz znaleźli komputer Dell, czystą skórzaną kanapę, garderoby zastawione nowym obuwiem. Ktoś zostawił włączony telewizor. Dave wskazał na wyświetlany program i parsknął śmiechem:

– Ja jebię, Martha Stewart!

Parę minut później pod dom podjechał soczyście zielony jaguar, starszy model, z którego wyskoczyło czterech młodych czarnych chłopaków.

– Co jest grane? – zapytał jeden.

– Bank zajął dom – odparł John, podnosząc nakaz.

– Co? Przecież właśnie zapłaciliśmy czynsz za ten miesiąc! Chryste Jezu.

Jeden z chłopaków wmaszerował śmiało do środka, po chwili wyszedł, niosąc pudełko po butach. Trzymał je oburącz, jak napastnik w futbolu trzyma piłkę, kiedy szykuje się atak środkiem pola. Zaraz zamknął pudełko w bagażniku jaguara.

Zastępcy szeryfa odeszli kawałek, żeby się naradzić.

– No to chłopaków wyruchali – stwierdził John. – Właściciel zbierał czynsz, ale kredytu hipotecznego nie spłacał.

– Zgoda, John, tyle że oni tu dilowali – odparł jego partner.

John uniósł brwi i obaj ruszyli do kuchni. Tim siedział tam przy składaniu kartonów.

– Tim, odchodziła tu dilerka? – szepnął John.

Tim bez słowa wyciągnął jedną z szuflad, jakby był tu nie pierwszy raz. Wewnątrz znajdowały się torebeczki strunowe i żyletki. Policjanci spojrzeli po sobie. Czasami w takich sytuacjach, kiedy lokatorów zaskakiwał fakt zajęcia nieruchomości za długi właściciela, John odmawiał natychmiastowego wykonania wyroku sądowego, żeby dać ludziom trochę czasu. W tym przypadku jednak postanowił nie ingerować, ale też nie dopytywać się, co było w tym pudełku po butach[4]. Nie robił w sprawach narkotykowych, uważał zresztą, że wywłaszczenie niezawinione przez lokatorów było dla nich wystarczającą karą.

Pod następnym adresem padło „syf zostaje". Kolejny był szybki. Czarny starszy facet prawie niczego nie posiadał. Powtarzał tylko: „Ludzie, to nie ma sensu", kiedy jeden z tragarzy wygarnął do kartonowego pudła całą zawartość komody w jego sypialni. Kiedy Dave szedł już do furgonetki, gotów jechać pod kolejny adres, pokazał palcem stos dobytku starego, już lśniący od deszczu, i powiedział Johnowi:

– Są tacy, co malują na płótnach. A to jest moja sztuka.

Przy następnej eksmisji pryzma rzeczy robiła nawet większe wrażenie. Znalazł się na niej napoczęty tort urodzinowy i balon, wciąż pełen helu.

Larraine wychowywała się u boku dwóch braci i dwóch sióstr w przysadzistym bloku komunalnym z żółtej cegły w południowym Milwaukee, naprzeciwko boiska do bejsbola. Jej matka była inwalidką, cała obrzmiała od problemów z tarczycą. Ojciec zarabiał myciem okien. Larraine pamiętała, że przynosił do domu torby batoników Ziegler Giant

Bars, kiedy mył szyby w fabryce słodyczy, a jeśli zgodnie z rozkładem miał zająć się oknami niektórych miejscowych restauracji, wracał stamtąd z naręczem świeżego chleba. Larraine uwielbiała swoje dzieciństwo, a szczególnie troskliwego ojca. „Nie wiedzieliśmy, że jesteśmy biedni” – mówi.

Nauka sprawiała jej problemy. W drugiej klasie liceum Larraine uznała, że ma już dosyć. „Wszyscy wokół sobie radzili, tylko ja nie”. Rzuciła szkołę i zaczęła pracować jako szwaczka, ze stawką półtora dolara za godzinę. Pracowała w Everbrite, gdzie produkowano oznakowania dla firm. Podczas strajku odeszła stamtąd i znalazła posadę przy obsłudze maszyn w R-W Enterprises, przy Sherman Avenue. Ojciec wciąż bał się o swoją córeczkę obrabiającą arkusze blachy, obsługującą prasę sztancującą. Może to dlatego, kiedy metalowe ostrze opadło kiedyś na jej dłoń i ścięło po połowie palca środkowego i serdecznego, pamięta tylko, że wołała z płaczem o tatę.

Mając dwadzieścia dwa lata, wyszła za Jerry’ego Lee. Chciał, żeby rzuciła robotę w R-W i zajęła się domem. Więc tak zrobiła. Kiedy zaczęła uczyć się na prawo jazdy, Jerry Lee zapytał, po co jej to. Odłożyła więc podręcznik. Trzy lata później doczekali się córeczki, a po kolejnych dwóch latach – drugiej. Megan i Jayme. Wkrótce jednak małżeństwo zaczęło się sypać. Doszło do tego, że Jerry Lee ściągał sobie kobiety do domu. Po ośmiu latach rozwiedli się i Larraine rozpoczęła życie samotnej matki. Były to lata ubóstwa, pracy na dwa etaty, swobody i śmiechu. Gdyby zapytać Larraine, powiedziałaby, że były to jedne z najlepszych lat jej życia. Wtedy właśnie zaczęła tańczyć na stołach. Lubiła i pieniądze, i to poczucie, że ktoś jej pożąda. Zabierała czasem dziewczyny z tej pracy do dziennej fuchy przy sprzątaniu domów. Pomagały jej, a ona dzieliła się z nimi wypłatą.

Pewnego dnia wybrała się z dziewczynami na grilla z okazji święta 4 Lipca. Był rok 1986. Miały zaproszenie, bo koleżanka chciała ustawić Larraine ze swoim bratem Glenem. Poszło świetnie. Zakochali się w sobie szybko i na zabój. Glen był zupełnie inny niż Jerry Lee. Przy nim nie czuła się głupia. Czuła się piękna. I użyteczna. Glen był na warunkowym za

napad na aptekę. Odsiedział już część wyroku – prawdę mówiąc, znaczną część życia spędził za kratkami. Larraine usiłowała pilnować, by nie pakował się w kolejne kłopoty. Rozcierała mu kark, kiedy wracał po kolejnym dniu nieudanych poszukiwań pracy. Glen zachęcał ją, by zdobyła prawo jazdy, i w wieku trzydziestu ośmiu lat zdała egzamin.

Glen był romantyczny i ostro pił. Wdawali się z Larraine w kłótnie, kończyło się wymianą ciosów. Czasami szedł na nią tak ostro, że tłukła go w twarz telefonem, aż do krwi. Raz skończyło się eksmisją, bo właściciel mieszkania miał dosyć tego rabanu. Rankiem po bitce całowali się delikatnie, przepraszali. To była brutalna, wyniszczająca miłość.

Larraine wciąż winiła siebie samą za to, co stało się potem. Glen wrócił do domu od siostry, pijany, naćpany, poobijany. Bił się z kimś, a teraz był w jednym ze swoich mrocznych nastrojów. Zdarzało mu się wpadać w otchłań depresji. Larraine pamięta, że czasami słyszał nawet głosy. Złapał fiolkę leków na receptę, a Larraine, bojąc się, że weźmie wszystkie tabletki, złapała go za rękę. Szarpali się o te pigułki, aż w końcu Glen poślizgnął się, wpadł na lodówkę i osunął na podłogę. Z rozciętej głowy lała się krew. Larraine w panice zadzwoniła pod numer alarmowy. Kiedy ratownicy medyczni skończyli opatrywać mu głowę, policjanci go skuli. Wrócił za kraty, bo narkotyki stanowiły naruszenie warunków zwolnienia.

Gdy Larraine odwiedziła go w więzieniu po raz ostatni, nie wyglądał dobrze. Był spięty, białka oczu przybrały żółtawy odcień. Jak nigdy, poprosił ją, by wyszła wcześniej, bo czuł się źle. Następnego ranka u Larraine zadzwonił telefon. Pamięta kobiecy głos, który mówił: „Tego w żaden sposób nie da się powiedzieć, ale Glen nie żyje”. Przedawkowanie.

Z upływem lat Larraine nabrała przekonania, że to towarzysz z celi go otruł. Jakkolwiek by było, po szesnastu latach, które spędzili razem, Glen odszedł. Słuchawka wypadła jej z rąk, a Larraine wrzeszczała jego imię. „W tamtej chwili umarłam, jak stałam – mówi. – Moje serce rozleciało się w strzępy. Całe ciało się rozpadło, cała ja... Gdy on umarł, to było tak, jakby całe moje życie wpadło w przepaść, i od tej pory nie mogę się z niej wydostać”.

Ciężarówki z Eagle zatrzymały się pod bliźniakiem na North Side, obitym kremowym sidingiem. Drzwi otworzyła niemal dorosła dziewczyna, może siedemnastolatka, o krótko ściętych włosach, ciemnobrązowej skórze i śmiałych szarych oczach.

Dave z ekipą czekali przy wozach, aż John da znać, że można wejść. Zastępcy szeryfa zawsze szli na czele, brali na siebie gwałtowne reakcje lokatorów, jeśli w ogóle do czegoś dochodziło. Często słychać było wrzaski, ale z reguły obywało się bez przemocy. Policjanci używali rozmaitych technik rozładowywania napięcia. John najczęściej odpowiadał na agresję agresją. Raz na oczach kobiety w szlafroku, z chustą na głowie, zadzwonił do Biura Szeryfa i oznajmił: „Jeśli ta baba nie zamknie pyska i nie zacznie rozmawiać jak dorosła, wypierdolę jej klamoty na asfalt!”. Rozmowa z Dziewczyną o Szarych Oczach trwała dłużej niż zwykle. Dave zobaczył, że pick-upem podjechał jakiś biały facet w koszuli w kratę, który wysiadł i ruszył do drzwi. Pewnie właściciel mieszkania. Minęło jeszcze parę minut, John skinął głową Dave’owi i tragarze zabrali się do roboty.

W domu zastali piątkę dzieci. Tim rozpoznał jedną dziewczynkę – była to córeczka faceta, który kiedyś z nimi pracował. Eksmitowanie znajomych wcale nie należało do rzadkości. Większość tragarzy mieszkała na North Side, prędzej czy później zdarzyło im się niezręczne doświadczenie pakowania dobytku kogoś, kogo znali z kościoła czy z najbliższego sąsiedztwa. Tim eksmitował raz własną córkę. W tym domu było jednak coś dziwnego. Dave zapytał, co jest grane, a John wyjaśnił, że nakaz eksmisji był wydany na matkę kilkorga z tych dzieci. Kobieta zmarła dwa miesiące wcześniej, a dzieci po prostu mieszkały tu dalej, same.

Gdy tragarze oczyszczali kolejne pokoje, Dziewczyna o Szarych Oczach zaczęła wydawać rozkazy pozostałym dzieciom – najmłodszy chłopiec miał osiem, może dziewięć lat. Na piętrze tragarze znaleźli obszarpane materace ułożone na podłodze i puste butelki po alkoholu, ustawione niczym trofea. W zawilgoconej piwnicy wszędzie walały się ubrania. Dom i podwórze

były zawalone śmieciami. „Obrzydlistwo” – powiedział Tim, widząc karaluchy łażące po ścianach kuchni.

Podczas gdy właściciel z pomocą wkrętarki wymieniał zamki w drzwiach, a tragarze wystawiali pudła na mokry chodnik, dzieci ze śmiechem zaczęły się ganiać.

Skończywszy z robotą, ekipa zebrała się przy ciężarówkach, odruchowo przytupując, by strącić z ubrań wszelkie karaluchy, które zechciałyby im towarzyszyć. Kto palił, sięgnął po papierosy. Nikt nie wiedział, co teraz stanie się z dzieciakami, ale też nikomu nie paliło się do zadawania pytań.

W tej robocie człowiek mógł się napatrzeć. Był facet z kolekcją dziesięciu tysięcy kaset audio z nagraniami o UFO, który w kółko wrzeszczał: „Wszystko jest w porządku! Wszystko jest w porządku!”. Albo ta babka ze słoikami pełnymi moczu. Typ, który mieszkał w piwnicy, a po domu grasowały jego chihuahua, całe stado. Raptem tydzień wcześniej jeden lokator poprosił szeryfa Johna o chwilę, po czym zatrzasnął drzwi i palnął sobie w łeb[5]. Jednak najbardziej dobijająca była nędza: to właśnie te widoki i wonie człowiek próbował po szychcie utopić w promilach.

Dziewczyna o Szarych Oczach, oparta o poręcz ganku, zaciągała się głęboko papierosem.

Larraine rozważała, czy nie zwrócić się o pomoc do rodzeństwa. Najstarsza siostra, Odessa, mieszkała raptem kilka kilometrów od niej, całe dnie przesiadywała w koszuli nocnej na obitym sztruksem rozkładanym fotelu, oglądając różne talk-show. Pod ręką miała stoliczek zastawiony fiolkami leków na receptę. Żyła z zasiłku SSI, więc nie mogłaby jej wesprzeć, gdyby w ogóle zechciała, a na to nie było szans. Beaker był w nawet gorszym stanie niż Odessa. Ten sześćdziesięciopięciolatek, wysoki jak dąb, o obwisłej skórze, kopcił papierosa za papierosem i poruszał się z chodzikiem. Krewni, jak to ludzie ze Środkowego Zachodu, lubili pokpiwać sobie z jego słabnącego zdrowia. „Mam już wbity w telefon numer do domu pogrzebowego!” No i nawet gdyby akurat nie był w szpitalu, Beaker dostawał z zakładu ubezpieczeń nawet mniej niż

Larraine. Stać go było na opłacanie czynszu, i tyle, żył nędznie w plugawej przyczepie zawalonej ciuchami, paczkami po papierosach i kiepami, talerzami z zaschniętymi resztkami jedzenia, tu i ówdzie trafiłoby się psie gówno.

Susan finansowo stała lepiej. Mieszkała tu, na placu, ze swoim mężem imieniem Lane, w jednej z lepszych przyczep. Desperacko walczyli o prawo adopcji swojej wnuczki, która już od urodzenia „promieniała niczym słoneczko”, jak to ujmował Lane (ich środkowa córka – „nasza rozpacz” – była poważnie uzależniona od kokainy). Nie dość, że co innego absorbowało ich finanse i uwagę, to jeszcze Susan nie ufała Larraine w kwestii pieniędzy. Kiedyś przez całe tygodnie się do niej nie odzywała, bo dowiedziała się, że Larraine przeputała paręset dolarów na reklamowany w telewizji zestaw do makijażu Luminess Air.

No i był jeszcze Ruben, dziecko szczęścia. Tylko on nie odziedziczył po ojcu chorwackiego nochala. Nie mieszkał też na tym placu przyczep ani w ogóle w przyczepie czy nawet w Cudahy, jak Odessa. Ruben mieszkał w Oak Creek, we własnym domu, tak dużym, że co roku gościł tam całą rodzinę na kolacji w Święto Dziękczynienia. Larraine mogłaby poprosić go o pieniądze na czynsz, ale nie była zbyt zżyta z najmłodszym bratem. W dodatku prośby o pomoc do zamożniejszych krewnych to niełatwa sprawa. Takich więzów się strzeże, oszczędza się je na sytuacje awaryjne albo okazje, żeby dokądś w życiu zajść. Ludzie uważali, żeby nie przeciągnąć struny, bo kiedy bogatszym krewnym znudziły się już ciągłe prośby o wsparcie, potrafili czasem zakręcić kranik na długi okres, a niedole rodziny zrzucali na karb wad każdego z osobna. To między innymi z tego powodu czasami nie proszono o pomoc tych osób w rodzinie, którym bez problemu przyszłoby jej udzielenie[6].

Larraine uznała, że najlepiej będzie zwrócić się do młodszej córki, Jayme. Znalazła kogoś, kto podwiózł ją do sieciowego fast foodu Arby’s, gdzie pracowała Jayme. Przed wyjściem przebrała się: założyła bladoniebieską bluzkę, czyste ciemne spodnie, czarne buty na płaskim obcasie, umalowała usta.

– Czy Jayme może przyjąć nasze zamówienie? – zagadnęła inną pracownicę restauracji, stojącą za kontuarem.

– Jayme – zawołała tamta.

Córka Larraine uniosła wzrok znad stosu brudnych naczyń, przewróciła oczami na widok matki i podeszła do lady. Gęste, kręcone, kasztanowe włosy kryła pod firmową czapeczką. Nie była wiele wyższa od matki, nosiła okulary w drucianych oprawkach, a wyraz twarzy miała jak zakonnica: ciepły, ale zdystansowany. Nie wychodząc zza kontuaru, szepnęła:

– Mamo, nie powinnaś tu przychodzić.

– Wiem. – Larraine przestała się uśmiechać, na jej twarzy malował się głęboki smutek. – Dobrze wiem, słonko. Ale właśnie dostałam powiadomienie o eksmisji w ciągu dwudziestu czterech godzin. Wyrzucą mnie, jeśli nie zapłacę czynszu. Więc, no, tak sobie pomyślałam, że może ty mogłabyś mi jakoś pomóc.

Zaczęła się robić kolejka. Jayme przerwała rozmowę z mamą, żeby obsłużyć klientów. Ledwie uporała się z oczekującymi, gdy przyszła kierowniczka baru. Chuda jak patyk, pryszczata biała dziewczyna z włosami jak siano, wyglądała jak licealistka.

– To moja s z e f o w a, mamo. – W głosie Jayme zabrzmiało zażenowanie. Wyglądała na starszą o dziesięć lat od swojej przełożonej.

– Przyszła tu pani z wizytą? – zapytała kierowniczka.

– Na posiłek.

– A, w porządku – kierowniczka objęła Jayme ramieniem. – Po prostu uwielbiam pani córkę. To moja ulubiona pracownica.

Larraine złożyła zamówienie, wyjęła portfel, żeby zapłacić. Kierowniczka jednak kilkoma żwawymi stuknięciami w klawiaturę zlikwidowała nabitą kwotę.

– Ja stawiam. Bo Jayme to naprawdę wspaniała pracownica.

– Niech jej pani nie wyrzuca z pracy, proszę – odpowiedziała Larraine.

Szefowa zerknęła na nią z ukosa, po czym ulotniła się do okienka dla kierowców.

Zostawszy sam na sam z Jayme, Larraine pochyliła się i szepnęła przez ladę:

– Więc co myślisz o tym, żeby...

– Nie mam jak.

– W porządku.

– Nie mam jak.

Larraine wbiła wzrok w podłogę.

Jayme zgarnęła trójkątne ciastka z jabłkiem.

– W sensie teraz nie mam nic. Ale kiedy dostanę wypłatę, mogę ci ją wysłać. Jeśli znajdziesz kogoś, kto pomoże ci przetrzymać do mojej wypłaty. Bo w tej chwili nic nie poradzę. Znajdziesz kogoś?

– Spróbuję. Oddam ci te pieniądze. Słowo.

– Mamo, ja nie chcę, żebyś mi je zwracała.

Larraine zebrała swój posiłek.

– No, dzięki – powiedziała i odwróciła się od lady.

– Mamo, zaczekaj – odezwała się Jayme. – Chcę cię uściskać. – Obeszła kontuar, przytuliła się do matki i pocałowała ją w policzek.

Jayme nie starała się o pracę w barze Arby's. Ulokowano ją tam w ramach programu pracy dla więźniów krótkoterminowych. Kończyła właśnie dwuipółletnią odsiadkę. Wieczorami odwożono ją do więzienia kobiecego przy Keefe Avenue. Był to jej pierwszy wyrok, pierwszy raz została aresztowana i najczęściej siedziała z nosem w Biblii. Urodziła dziecko w toalecie i tam też je porzuciła. Nikt z rodziny nie wiedział, jak do tego doszło: w tamtym czasie była już matką małego chłopca. Jayme od dziecka była molem książkowym, nosiła duże okulary o okrągłych szkłach, a zachowywała się z powagą osoby znacznie starszej.

Teraz, kiedy jej wyrok dobiegał końca, skupiła się na jednym celu: chciała odłożyć dość pieniędzy, by wynająć mieszkanie, w którym mógłby

czasem zostawać na noc jej syn, obecnie sześciolatek. Chłopczyk mieszkał z ojcem.

Gdy Jayme poszła do więzienia, oddała Larraine swój samochód, a na pokrycie kosztów garażowania dała jej pięćset dolarów. Tyle że wkrótce Larraine sprzedała wóz, a te pięć stów poszło na pokrycie rachunków. Podobny numer wycięła swojej starszej córce Megan – pożyczyła od niej pieniądze i ich nie oddała. To przede wszystkim dlatego Megan już od lat się do niej nie odzywała. Jayme nie umiała tak długo chować urazy.

Na parkingu przed barem Larraine wbiła wzrok w przednią szybę samochodu. Biurowa Susie poradziła jej, by wsparcia w sprawie czynszu szukała u rodziny. Nieraz słyszała już podobne rady w ośrodkach pomocowych. Kiedy pracownik socjalny zza szyby pytał: „Nie ma pani krewnych, którzy mogliby pani pomóc?”, odpowiadała czasem: „Tak, rodzinę mam, ale nie, nie może pomóc”.

Tragarze stali w pustej kuchni, zaglądali do otwartego kredensu.

– Dziadki – domniemywał Dave Brittain, kierując się stylem szklanych naczyń.

Dom był niemal opróżniony, gotowy do pokazywania kolejnym lokatorom. Ci dotychczasowi przetarli nawet podłogę na odchodnym. Teraz ekipa była już na South Side, z nową parą zastępców szeryfa.

Pod kolejnym adresem otworzyła im Latynoska, tuż po czterdziestce, z drewnianą łyżką w dłoni.

– Dalibyście mi czas do środy? – zapytała.

Zastępcy szeryfa zaprzeczyli. Z wymuszoną determinacją czy może kapitulując, skinęła głową.

Na ganek wszedł Dave.

– Proszę pani, rzeczy możemy załadować na naszą ciężarówkę albo wystawić na chodnik. Co pani woli?

Wybrała chodnik.

– E, chłopaki, chodnikowa raz! – zawołał do swoich ludzi Dave.

Wchodząc do domu, potknął się o krzesełko z Dorą, która poznaje świat. Wyciągnął rękę nad siedzącym przy stole staruszkiem i włączył więcej świateł. W domu było ciepło, pachniało czosnkiem i ziołami. Jeden z zastępców szeryfa zwrócił uwagę na zabudowę kuchni.

– I takie, kurwa, lubię – powiedział partnerowi. – Teraz już takich nie robią. Solidna rzecz.

Pani domu krążyła wokół, próbując wymyślić, od czego tu zacząć. Jednemu z zastępców szeryfa powiedziała, że wiedziała o zajęciu domu, ale o tym, kiedy to nastąpi, nie miała pojęcia. Adwokat powiedział jej, że do zajęcia może dojść za dzień, pięć, tydzień, trzy tygodnie – postanowiła więc siedzieć, ile się da. Wraz z trójką dzieci mieszkała w tym domu już od pięciu lat. Rok wcześniej dała się namówić na zaciągnięcie kolejnego kredytu hipotecznego, na kiepskich warunkach. Raty wciąż szły w górę, z dziewięciuset dwudziestu dolarów zrobiło się tysiąc dwieście pięćdziesiąt miesięcznie, a jej po urlopie macierzyńskim obcięli godziny w kasynie Potawatomi.

Firmy pożyczkowe oferujące pożyczki na gorszych warunkach brały na cel dzielnice zamieszkane przez Latynosów i Afroamerykanów: najemców mamiono, by brali fatalne kredyty hipoteczne, właściciele nieruchomości byli namawiani na zaciąganie nowych pożyczek pod zastaw tego, co posiadali, zwiększając ryzyko. I w końcu wszystko się waliło. W latach 2007–2010 przeciętna biała rodzina doświadczyła uszczerbku majątku w wysokości jedenastu procent, ale wśród czarnych było to średnio trzydzieści jeden procent. Natomiast w przeciętnej rodzinie latynoskiej – czterdzieści cztery procent[7].

Kiedy pani domu wybiegła, żeby desperacko dzwonić po ludziach, którzy mogliby przyjść jej z pomocą, tragarze popatrywali po sobie znużeni i klęli pod nosem. Taki pełny dom na koniec dnia dawał w kość, a tu właśnie coś takiego się im trafiło. Jeden z nich zaczął pakować rzeczy z pomalowanej na różowo sypialni jednej z córek, z tabliczką na drzwiach: TU ŚPI KSIĘŻNICZKA. Inny zabrał się do zabałaganionego gabinetu, do kartonu wetknął i *CV dla opornych*, i tablicę ścieralną pokazującą, ile dni

zostało do końca roku szkolnego. Siódmoklasista, najstarszy z dzieci, chcąc pomóc, wyniósł śmieci. Jego młodsza siostra, ta księżniczka, stała na werandzie, trzymając za rączkę najmłodszą, dwulatkę. Na piętrze tragarze starali się nie deptać po zabawkach małej, bo te, jeśli je kopnąć, protestowały, piszcząc i błyskając światełkami.

Im dalej posuwała się eksmisja, tym wolniej poruszała się gospodyni. Z początku borykała się z nagłą zmianą sytuacji, skupiona i energiczna, niemal gnała przez dom, jedną ręką łapiąc kolejne przedmioty, drugą trzymając przy uchu telefon. Teraz jednak wędrowała po korytarzach bez celu, niemal jak pijana. No i ten wyraz twarzy. Tragarze i zastępcy szeryfa świetnie go znali. Taką minę miał człowiek, do którego docierało, że wraz z rodziną za parę godzin stanie się bezdomny. Tak jakby wyparcie ustępowało przed absurdem tej chwili, przed szybkością i gwałtownością zmian: szeryfowie podpierają twoje ściany, dłonie mają przy kaburach; wszyscy ci nieznajomi, zapoceni mężczyźni zwalający twój dobytek na stos na dworze, pijący wodę z twojego kranu w twoich kubkach, korzystający z twojej łazienki. Tak wyglądał człowiek obezwładniony nawałnicą pytań. „Czego będę potrzebować na tę noc, na najbliższy tydzień? Do kogo zadzwonić? Gdzie są lekarstwa? Gdzie się podziejemy?” Taką minę miałaby matka wychodząca z piwnicy, by ujrzeć, że tornado zmiotło jej dom z powierzchni ziemi.

W każdy niedzielny poranek Larraine stawała tam, gdzie linoleum z kuchni stykało się z cienką zieloną wykładziną pokoju dziennego, i wyglądała przez frontowe okno, czy nie nadjeżdża już pan Dabbs swoim pick-upem. Dabbs, uczęszczający do tego samego kościoła co Larraine, wjeżdżał na plac przyczep, zdejmował kapelusz i delikatnie pukał do drzwi przyczepy.

Gdy podjeżdżali pod Kościół Chrystusowy Southside, skromny murowany budynek z wysokim spadzistym dachem, odległy może o dwa i pół kilometra od placu przyczep, pan Dabbs otwierał jej drzwi. Larraine z wdziękiem wchodziła do sali, mijając swoją fotografię na ścianie, gdzie wisiały portrety członków zgromadzenia. Z prezbiterium – skromnego, bez

ozdób – na ławki lało się światło słoneczne z dużych okien w głębi. Sklepienie unosiło się łukami, przypominając wielką odwróconą łódź. Larraine zajmowała swoje miejsce w drugiej ławce od tyłu, po lewej, obok Susan i Lane’a. Tam zawsze siadała jej rodzina. Susan z reguły ignorowała Larraine, udawała, że czyta pismo parafialne, kiedy pastor Daryl, postawny, rudowłosy i rudobrody mężczyzna, kroczył nawą, ściskając dłonie wiernych i poklepując ich po plecach.

Był to Kościół Chrystusowy, a więc bez organów czy pianina, nawet gitary akustycznej. Kiedy wierni wstawali, by odśpiewać *Stoję w zadziwieniu* czy *O chwalcie Króla*, ich głosy rozbrzmiewały a cappella. Larraine podczas modlitwy lekko opierała dłonie o uda. Gdy przychodził czas kolekty, podawała koszyk dalej. Susan coś zawsze dokładała.

Ostatnimi czasy pastor Daryl głosił kazania o „koszcie apostolstwa”. Chodził przed zgromadzonymi z Biblią w jednej dłoni i pilotem do PowerPointa w drugiej i powtarzał te co mniej wykonalne nauki Chrystusa: „Kto nie nosi swego krzyża, a idzie za Mną, ten nie może być moim uczniem”. „Łatwiej jest wielbłądowi przejść przez ucho igielne niż bogatemu wejść do królestwa Bożego”[8].

Którejś niedzieli pastor Daryl stwierdził:

– Sądzę, że jedną z najbardziej haniebnych rzeczy w chrześcijaństwie są ci, którzy podążają za Jezusem tylko w połowie. Połowiczne poświęcenie to niebezpieczny wybór w życiu... Macie wokół bliźnich, którzy są w potrzebie. Ludzi, którzy potrzebują pomocy, potrzebują miłości, a wy, jako chrześcijanie, możecie im tę miłość okazać.

Podczas kazań pastora Larraine siedziała nieruchomo, utrzymując niemal idealną sylwetkę, zasłuchana w każde słowo od początku do końca. Uwielbiała chodzić do kościoła, już od dziecka.

Gdy zadzwoniła do pastora z zapytaniem, czy Kościół mógłby udzielić jej pożyczki, dzięki której uniknęłaby eksmisji, Daryl odparł, że musi się nad tym zastanowić. Ostatnim razem, kiedy dzwoniła w podobnej sprawie, powiedziała, że obrabował ją uzbrojony bandyta. Pastor Daryl sięgnął do kościelnych funduszy i dał jej paręset dolarów na czynsz. Larraine

rzeczywiście została okradziona, ale nie przez nieznajomego z pistoletem. To córka Susan i Lane'a, kokainistka, włamała się do jej przyczepy, kiedy nikogo tam nie było. Susan zadzwoniła do pastora i obnażyła kłamstwo siostry.

Daryl czuł się rozdarty. Uważał, że to Kościół, nie państwo, ma obowiązek troszczyć się o ubogich i głodnych. To właśnie miał za „czyste chrześcijaństwo". Jednak w przypadku Larraine sądził, że wiele kłopotów ściągała na siebie sama. „Podejmowała niemądre decyzje, trwoniła pieniądze na głupoty... Może posłuży jej jakiś czas w niedostatku, tak by mogła sobie przypominać: «Ej, kiedy zdecyduję się na coś głupiego, będą konsekwencje»".

Łatwo było mówić o pomocy „ubogim". Pomaganie osobie ubogiej, która miała nazwisko, twarz, przeszłość, rozliczne potrzeby, osobie, której błędy i kiepski osąd widziało się na własne oczy, było trudniejszym zadaniem.

Pastor Daryl zadzwonił do Susan i powiedział jej, że Larraine prosiła o pomoc finansową, by uniknąć eksmisji. Susan odparła, że jej zdaniem Kościół nie powinien udzielać jej siostrze jakiejkolwiek pomocy. Pastor oddzwonił więc do Larraine i powiadomił ją, że tym razem nie otrzyma wsparcia.

W biurze na placu przyczep Lenny siedział pochylony nad biurkiem, wypełniając rejestry opłat, kiedy weszła Britney Baker. Zbliżała się do trzydziestki, na nosie miała tanie okulary przeciwsłoneczne. Wyciągnąwszy pocztę ze skrytki, Britney zwróciła się do Lenny'ego.

– Przecież wiesz, że to pospłacam – powiedziała.

– Świetnie.

– Zapłacę już w tym tygodniu. Nie dawajcie mi pięciodniowego. No przecież Tobin wie, w jakiej jestem sytuacji.

I z tymi słowami wyszła. Lenny pokręcił głową i wrócił do rejestrów. Według jego zapisów Britney była winna w sumie dwa tysiące sto pięćdziesiąt dolarów.

Związek łączący niepłacenie za czynsz i eksmisje bynajmniej nie należy do prostych. Co miesiąc na placu przyczep eksmisji unikali lokatorzy z długami przekraczającymi tysiąc dolarów, podczas gdy na bruk trafiali ci ze znacznie mniejszymi zaległościami[9]. Gdyby zapytać Tobina, czemu tak jest, odpowiedziałby: „Jesteś lojalny wobec kogoś, kto jest lojalny wobec ciebie. Z niektórymi da się współpracować. Innym nie dałbym ani centa". Lenny ujmował to tak: „Zależy, kto ma jaką wymówkę". Co do Larraine, to i Tobin, i Larry uważali, że ona wiecznie zalega. „Miesiąc w miesiąc to samo", mówił Lenny. „Nie ma kasy". Tyle że miesiąc w miesiąc tak samo wyglądało to z Britney Baker, a jednak jej nie eksmitowano.

Rozważając eksmisję danego lokatora, właściciele i zarządcy nieruchomości biorą pod uwagę kilka czynników. Eksmisji może uniknąć ten, kto przekona właściciela, że niedługo otrzyma większą kwotę – powiedzmy, zwrot podatku. Ten, kto narobił zbyt dużych zaległości, a nie ma oczywistego sposobu ich wyrównania, często nie zdoła się wywinąć. Jednak eksmisje nie wynikały wprost z niewłaściwego zachowania lokatorów czy rachuby właścicieli lokali. Ci ostatni wykazywali się dużą uznaniowością w decydowaniu, wobec kogo skierowany zostanie pozew eksmisyjny, i jednych traktowali pobłażliwie, a innych nie[10]. Różnicę mogło zrobić nawet to, jak lokator reagował na powiadomienie o eksmisji. W odróżnieniu od mężczyzn kobiety z reguły nie wdawały się w pertraktacje, a jeśli zalegały z czynszem, częściej kryły się przed właścicielami. Takie reakcje nie były dla nich korzystne.

Generalnie właściciele i zarządcy lokali nie znoszą, kiedy lokator się przed nimi ukrywa. Mówią, że to „triki i uniki". Lenny wściekał się, jeśli któryś lokator próbował się przed nim chować. Kiedy jedna lokatorka wyglądała tylko przez szczelinę w rolecie, ale nie otwierała drzwi, zaczął wrzeszczeć: „A pierdol się! Teraz to już mnie wkurwiłaś. Wylatujesz za pięć dni!".

Podobnie jak wiele innych kobiet w tym położeniu, Larraine zastosowała wobec Tobina i Lenny'ego triki i uniki. Ani razu nie powiedziała im, ani nawet Biurowej Susie, jak zamierza nadrobić zaległości. Nie poprosiła

o odroczenie, choćby krótkie. Tymczasem jej sąsiad, motocyklista Jerry Warren, od razu poszedł na konfrontację z Tobinem i Lennym – zmiął powiadomienie w kulkę i groził, że przefasonuje Lenny'emu facjatę. Jego reakcja, jakkolwiek bojowa, pasowała do szorstkiej, bezpośredniej maniery Tobina. Zarządzanie nieruchomościami to profesja zdominowana przez mężczyzn i przez męski, twardy sposób robienia interesów. Dzięki temu tacy jak Jerry mieli tu przewagę[11].

Mało, że Jerry postawił się Tobinowi zaraz po otrzymaniu powiadomienia, ale potem zaoferował jeszcze, że będzie zbierać śmieci i wyremontuje kilka przyczep, jeśli Tobin wykreśli jego długi. Jerry już wcześniej wykonywał dla niego różne prace, odmalowywał zaczepy, zakładał izolację na rury przed zimą. Skoro już udowodnił, że można na nim polegać, wyrobił sobie opcję „odpracowania czynszu", gdy akurat było krucho z forsą. Larraine dzwoniła po instytucjach socjalnych i błagała krewnych. Jerry szedł prosto do tego, kto wszczął proces eksmisyjny. I to działało – Tobin później anulował jego eksmisję. Plan Larraine miał szansę powodzenia, tylko jeśli z pomocą przyszłaby któraś miejscowa organizacja pomocowa, ktoś z rodziny albo Kościół.

Mężczyźni często unikali eksmisji, wylewając beton, naprawiając dachy czy malując pokoje na rzecz właścicieli. Kobiety jednak prawie nigdy nie zwracały się do właścicieli lokali z podobnymi propozycjami. Niektóre – już przeciążone opieką nad dziećmi, wymaganiami związanymi z otrzymywaniem zasiłku czy z utrzymaniem pracy – po prostu nie miały na to czasu. Inne jednak nawet nie wyobrażały sobie możliwości odpracowania długu. Kiedy zaś występowały z taką propozycją, czasami wiązało się to z usługami natury seksualnej[12].

Władza decydowania, kto może zostać, a kto odchodzi, moc wydalania lub przebaczania: to pradawna władza, i dość kapryśna[13]. Tobin może i arbitralnie decydował, z którymi lokatorami da się pracować, jego szczodrobliwość nie rozkładała się po równo. Ale u niego przynajmniej miało się jakieś szanse. W rzeczy samej jednym z powodów, dla których Larraine, ryzykując eksmisję, opłaciła rachunek za gaz, było to, co mówili

jej inni, doświadczeni lokatorzy: „Tobin jest w porządku. Daj mu choć trochę, to się z tobą dogada”.

I to dlatego mieszkańcy placu zaczęli się niepokoić, kiedy Tobin, stosując się do zaleceń radnego Witkowskiego, wynajął zewnętrzną firmę zarządzającą. Nowa administracja wprowadzi nowe reguły – zarządzanie placem będzie klarowniejsze, bardziej profesjonalne, uczciwsze. Innymi słowy, sytuacja miała się tu radykalnie pogorszyć.

Pewnego dnia pod biurem Lenny’ego pojawił się jakiś facet i wkrętarką przymocował do pustaków tabliczkę z napisem: ZARZĄDZANE PROFESJONALNIE PRZEZ BIECK MANAGEMENT. Kiedy tabliczkę tę ujrzała jedna ze starszych lokatorek, zaszła do biura i zalała się łzami.

– Oni eksmitowali mnie z poprzedniego miejsca – poskarżyła się Lenny’emu. – Są tacy brutalni.

– No, słyszałem, że są bezwzględni – powiedział Lenny. – Wywalają na bruk masę ludzi. Wie pani, z ludźmi trzeba jednak umieć pracować, choć trochę.

– A co będzie z tobą, Lenny? – zapytała staruszka, kiedy już ochłonęła.

– Szukają sposobu, żeby się mnie pozbyć, przecież widzę. – Machnął w stronę tabliczki. – Ale nic z tego. Tu musi być ktoś, kto zna ten plac – zapewnił ją i siebie.

Kiedy wszyscy inni odmówili, z pomocą przyszedł Ruben. Najmłodszy brat Larraine, który znalazł sposób, żeby wspiąć się do klasy średniej, pracując na cały etat w PPG Industries, z oporami zgodził się spłacić jej dług u Tobina. Osobiście przywiózł gotówkę na plac przyczep. Tobin odmówił jednak przyjęcia pieniędzy, oświadczył Larraine, że ich nie chce, po czym poszedł sobie, zostawiając zdezorientowanych Larraine i Rubena pod drzwiami biura. Ruben schował gotówkę do kieszeni i powoli odprowadził Larraine do jej przyczepy[14].

Po paru godzinach ktoś zapukał, Larraine otworzyła drzwi. Na ciasnych schodkach przyczepy ujrzała dwóch zastępców szeryfa. Za ich plecami na

plac wjeżdżały ciężarówki firmy przeprowadzkowej Eagle. Kierowcy mieli tam ciężko, bo wąska brama wymagała manewrowania, plątały się dzieci i psy, a na wyznaczone miejsce trzeba było podjechać tyłem, ale ludzie od Eagle nie pierwszy już raz byli u Tobina. Eksmisja Larraine była ich ostatnią tego dnia i zmordowana ekipa chętnie rozeszłaby się do domów[15].

Tragarze mieli nadzieję, że usłyszą „syf zostaje”, ale Larraine poprosiła o zabranie jej rzeczy do magazynu. Ruben załadował do swojego samochodu jej komputer i telewizor, po czym pojechał odebrać dzieci. Tragarze zaczęli pakować jej dobytek w kartony: białe sztućce z kuchni, prezent pod choinkę dla wnuka, naszyjnik, który dostała od Glena. Zastępca szeryfa taśmą przymocował do drzwi pomarańczowy arkusz papieru.

OBWIESZCZENIE

Eksmisji Pani/Pana z tego lokalu dokonano na mocy nakazu sądowego, doręczonego przez Biuro Szeryfa Hrabstwa Milwaukee

PANI/PANA OBECNOŚĆ W TYM LOKALU BEZ ZGODY WYRAŻONEJ PRZEZ WŁAŚCICIELA STANOWI NARUSZENIE JEGO WŁASNOŚCI I MOŻE DOPROWADZIĆ DO ZATRZYMANIA PANI/PANA (PARAGRAF 943.14)

Larraine poprosiła o więcej czasu na spakowanie rzeczy. Zastępca szeryfa odmówił. Poprosiła więc, by pozwolili jej zabrać część przedmiotów z ciężarówki. Tragarz odmówił, powołując się na warunki firmowej polisy ubezpieczeniowej.

Stała na dworze i bez słowa obserwowała wywózkę. Tragarze wynieśli jej krzesło, jej pralkę, lodówkę, kuchenkę, duży stół. Potem kartony z Bóg wie czym: może były w nich kurtki zimowe, może buty czy szampony. Zaczęli schodzić się sąsiedzi. Co poniektórzy zabrali ze sobą po piwku, rozstawiali krzesełka ogrodowe, jakby przyszli oglądać wyścigi NASCAR.

Poszło szybko. Przyczepę opróżniono w niespełna godzinę. Larraine patrzyła teraz, jak ciężarówka powoli opuszcza plac. Jej rzeczy miały trafić do magazynu firmy Eagle, niedoświetlonej hali, gdzie z sufitu wspartego

potężnymi drewnianymi kolumnami zwieszały się gołe żarówki. Wewnątrz piętrzyły się setki stosów, każdy odpowiadający jednej eksmisji czy zajęciu. Stosy układano do wysokości nosa i każdy z osobna owijano folią, wyglądały jak spowite kokonami owady. Z bliska przez napięty przezroczysty materiał widać było zawartość: porysowane meble, lampy, wagi łazienkowe, wszędzie też rzeczy dla dzieci – konie na biegunach, chodziki, huśtawki, foteliki. Bracia Brittain określali ten magazyn jako „wielki żołądek", gotów strawić całe miasto. Inkasowali dwadzieścia pięć dolarów miesięcznie od palety. Przeciętny dobytek eksmitowanej rodziny zajmował cztery palety, jedenaście metrów sześciennych z hakiem.

Larraine musiała znaleźć jakiś sposób na opłacenie składowania. Gdyby zalegała ponad dziewięćdziesiąt dni, Eagle pozbyłoby się jej rzeczy, żeby zrobić miejsce na nowe stosy. Taki koniec czekał około siedemdziesiąt procent dobytku zabezpieczanego po eksmisjach czy zajęciach. Przed laty bracia Brittain zgłosili się z tym do organizacji charytatywnej Goodwill, ale spotkali się z odmową: Goodwill po prostu nie miało jak przerobić takich ilości dóbr. Poszukali więc innych odbiorców. Kontaktowali się ze złomiarzami. Znaleźli kogoś, kto całymi belami skupował odzież do przerobu na szmaty. Weszli w spółkę z ludźmi gotowymi szperać w tych stosach w poszukiwaniu rzeczy wartych odsprzedania. Dwa razy w miesiącu organizowali publiczne przetargi, każdorazowo obejmujące od dziesięciu do czterdziestu magazynowanych zestawów. Gros rzeczy lądowało jednak na wysypisku[16].

Kiedy mundurowi zniknęli już z pola widzenia, Larraine, ignorując pomarańczowy druk, włamała się do przyczepy. Większe przedmioty wyjechały, ale tragarze zostawili ubrania, koce, różne inne drobiazgi. Larraine pochyliła się i podniosła ręczny odkurzacz parowy.

Pomyślała, że zostało jej tylko jedno wyjście: zabrać to, co zostało, do przyczepy Beakera. Póki był w szpitalu, nie mógł protestować. Larraine zwerbowała sobie do pomocy dwóch chłopaków i w trójkę wykonali kilka kursów między przyczepami, wrzucając do pokoju dziennego Beakera wszystko to, co dali radę zabrać.

Gdy uporali się z tą robotą, Larraine dała każdemu po piątaku i usiadła samotnie w przyczepie Beakera, opędzając się od muszek owocowych. Zażyła tabletki przeciwbólowe, w tym dwieście miligramów leku o nazwie lyrica. W ciszy dała im czas, by zaczęły działać. Wtedy spojrzała dokoła, na te wszystkie graty, zastarzały brud, stos tego, co tragarze uznali za śmieci. Wydała z siebie zdławiony krzyk i zaczęła tłuc pięścią w kanapę, raz za razem.

10
Ćpuny do wynajęcia

Wright Street była zasypana śniegiem. Początek grudnia przyniósł gwałtowne opady, według prognoz mogło spaść nawet i ćwierć metra. Był to ten wilgotny, lepki śnieg, tak ciężki, że szufluje się go małymi porcjami, żeby nie nadwerężyć kręgosłupa. Lamar wyjrzał przez okno na spadające płatki, pijąc kawę rozpuszczalną i odkładając pracę, którą powinien się zająć.

Kiedy wraz z chłopakami skończył malować mieszkanie po Patrice, od razu zadzwonił do Sherreny, a ta zaraz przyjechała sprawdzić jakość wykonanej pracy. Szybko przemierzyła całe mieszkanie, pokręciła głową i podsumowała Lamara w ten sposób:

– Ja tu próbowałam ci pomóc, a ty tak? To już, kurwa, chamstwo taką chujówkę odwalić!

– Narobiłem się tu na o wiele więcej niż dwieście sześćdziesiąt! – wrzasnął w odpowiedzi Lamar. – Ja tu zasuwałem na kolanach, żebyś miała pomalowane! A ty tak chcesz mnie załatwić?

Sherrena wypadła z mieszkania, wściekła. Po paru godzinach Lamar zadzwonił do niej. Błagał, żeby pozwoliła mu dokończyć robotę, przemalować miejsca opuszczone przez chłopaków.

– Proszę. Nie lubię, jak mam u kogoś dług.

Sherrena postanowiła raz jeszcze dać mu szansę. Lamar nie miał lepszego pomysłu na zachowanie dachu nad głową.

Dopił kawę i przypiął protezy nóg. Złapał laskę, otworzył drzwi i wyszedł na schody, krzywiąc się na widok śniegu i przytrzymując poręczy, żeby nie spaść. Syn Patrice, Mikey, był przed domem, walczył przy odśnieżaniu chodnika. Widząc Lamara borykającego się ze schodami,

przerwał pracę, niepewny, czy nie należałoby przyjść sąsiadowi z pomocą. Wstrzymał się jednak, a Lamar poradził sobie świetnie. Nawet parę razy machnął szuflą Mikeya. Gdy powiedział, że idzie na piętro, Mikey zapytał, czy może mu pomóc.

– No to chodź, młody – odparł Lamar.

Weszli do mieszkania – Mikey rozejrzał się po miejscu, z którego został eksmitowany wraz z rodziną.

– Czemu żeś dziś nie poszedł do szkoły? – spytał Lamar. Był wtorek.

– No, chyba zaspałem – odparł Mikey. Chodził do czwartej klasy.

– Ej, Michael, chłopie. W ten sposób to ty wykształcenia nie zdobędziesz.

Mikey spuścił głowę.

– Dzisiaj mieliśmy plastykę.

– Co ty, nie wiesz, że na rysowaniu można zarobić duże pieniądze? Nie wiesz, że da się... da się zrobić karierę, jak jesteś malasz? Albo arkikekt?

Mikey uśmiechnął się szeroko, a Lamar zaczął malować ściany spiżarki. Żeby dobrać się do dolnych części, odpiął protezy nóg i pełzał po podłodze. Mikey pomagał, jak tylko mógł. Podawał Lamarowi ścierki i wałki tak gorliwie, tak sprawnie, że można by pomyśleć, że sam stara się o tę robotę. Gdy Lamar utykał w którymś miejscu na podłodze, Mikey przynosił mu laskę.

– A gdzie twoja mama i reszta, młody? – spytał Lamar.

– Moja mama? Poszła wyciągnąć swoją kartę QUEST od Dace’a – zaczął Mikey, mając na myśli kartę płatniczą zasiłku żywnościowego i obecnego chłopaka Patrice. – No bo on zabrał jej karty i nie ma nic do jedzenia. No. A jej karty...

– Michael, już wystarczy – przerwał mu łagodnie Lamar. – Wystarczyłoby, żebyś powiedział, że wyszła. Facet, nie mów nikomu, co tam u twojej mamy. Ja się z wami kumpluję, wiadomo, ale i tak wcale nie chcę tego wiedzieć.

Mikey powoli pokiwał głową, udając, że rozumie.

Lamar sunął po podłodze i z niemą determinacją co rusz unosił pędzel. Z upływem kolejnych godzin poranka zaczął się pocić, ciężko dyszał. Stękał, modlił się o siłę.

– Jezu, daj mi przetrzymać ten dzień.

– Lamar, przecież to niepoważne – odezwał się Mikey, usiłując go pocieszyć.

– Nie, to po prostu ludzie starają się wycisnąć z człowieka, ile tylko się da. Tak to wygląda, Michael.

Ukończywszy pracę, Lamar przypiął protezy i ruszył z powrotem do swojego mieszkania. Zadzwonił stamtąd do Sherreny z wiadomością, że dokończył malowanie. Nie obiecała niczego, zapowiedziała tylko, że potem podjedzie i sprawdzi. I zażyczyła sobie, żeby Lamar umył tam jeszcze podłogę.

Później, po południu, zajrzał do niego Buck. Widząc ślady farby na skórze i ubraniu Lamara, zapytał:

– Facet, no przecież chyba skończyliśmy już tam z robotą?

– Człowieku, kazała mi znów tam iść i zrobić malowanie w spiżarce. Nie da się ludzi zadowolić.

– Znaczy będzie kasa, panie starszy! – powiedział z uśmiechem Buck, zadowolony, że Lamar i jego synowie zostaną w mieszkaniu.

Lamar westchnął, roztarł nogi pod kolanami, jak pociera się starą bliznę, z którą człowiek się już oswoił.

– Przecież nic mi nie zapłacą, facet.

– Muszą zapłacić!

– Facet, znajdą sobie ćpunów, co obskoczą im tę fuchę znacznie taniej.

Lamar nisko wyceniał swoją pracę, ale wiedział, że da się znaleźć jeszcze tańszych robotników. Kiedy psuła się kanalizacja, przeciekał dach czy trzeba było odmalować pokoje, cwani właściciele mieszkań w getcie nie dzwonili po hydraulikach, dekarzach czy malarzach. Wiedzieli, że mogą liczyć na dwie pule dostępnych, a rozpaczliwie potrzebujących pracy ludzi:

samych lokatorów i bezrobotnych. Nowi w tym fachu mogli mówić, że „znają dobrego hydraulika”. Weterani branży mówili, że „mają faceta”. Lamar wiedział, że Sherrena też „ma ludzi”, i powątpiewał, czy pozwoli mu dłużej tu mieszkać. I tak odmalował jej te ściany, bo lepszego wyjścia nie miał.

Buck zmarszczył brwi, zapatrzył się na śnieg.

– No ale jak, panie starszy – powiedział z niedowierzaniem.

– Ćpuny! – wrzasnął Lamar. – Ćpuny wszystko spieprzyły! Teraz nawet bilet miesięczny trudno odsprzedać za normalne pieniądze... Co się z nią naszarpałem, żeby dostać tę fuchę za dwieście sześćdziesiąt. Przecież ma facetów, co jej to zrobią za setkę. Wszyyyściuutko. Nawet karton-gips i w ogóle.

W następny wtorek Lamar obudził się w ciepłym mieszkaniu. Zostawił na noc włączone palniki kuchenki, żeby przezwyciężyć zimowe chłody – chwyt popularny wśród mieszkańców nieszczelnych bliźniaków na North Side, ogrzewanych piecami starego typu. Minął tydzień, a Sherrena nie odezwała się ani słowem.

Przeważnie na śniadanie pił kawę rozpuszczalną i palił papierosa. Ponieważ jednak pozwolił Luke’owi i Eddy’emu nie iść do szkoły, wziął się do robienia jajek sadzonych i gotowania kaszki kukurydzianej. Woń smażonego bekonu wywabiła chłopaków z łóżek, a wkrótce pojawił się i Buck, jakby zwęszył kulinarne wysiłki Lamara ze swojego mieszkania kawałek dalej.

Rozległo się ciche pukanie do tylnych drzwi – jeden z chłopców pobiegł otworzyć. Z wizytą przyszła Kamala, nowa sąsiadka z mieszkania na piętrze, już trzecia w ciągu pięciu miesięcy. Gdyby na nią spojrzeć tak z trzystu metrów, pomyślałoby się, że chodzi do siódmej, może ósmej klasy. Była drobniutka, karnację miała, jak to mówią, ciemniejszą od fioletu. Chudą sylwetkę opinała biała koszulka na ramiączkach. Kamala nie była umalowana, nie miała lakieru na paznokciach. Przyozdobiła się tylko

medalionem na cienkim złotym łańcuszku. Miała ciężkie spojrzenie. Cała jej dusza była ciężka. Poprosiła Lamara o papierosa.

– Proszę cię bardzo, mała. – Poczęstował ją. Ucieszył go jej widok.

Podziękowała mu i obróciła się, żeby wrócić na górę.

– Idę przypilnować tych moich maluchów, żeby mi domu nie rozniosły.

Miała trzy córeczki, trzylatkę, dwulatkę i ośmiomiesięczną.

– No to dawaj z nimi na dół, niech roznoszą mój. Grasz może w karty?

Kamala uśmiechnęła się do Lamara półgębkiem i ruszyła na górę, ale na schodach spotkała już środkową z córek.

Lamar podjechał do małej na wózku.

– Ej, niech no zobaczę, jak wygląda moja przyszła chrześniaczka. Cześć! Co słychać?

Dziewczynka powiedziała coś, ale jej słowa, na wpół uformowane, grzęzły gdzieś w ustach. Musiała powtórzyć kilka razy, nim Lamar zrozumiał, że mówiła „bunio ałka”.

– Głodna jesteś? – zapytał. – Musimy dodać jej trochę ciałka. Gotowałaś im coś wczoraj? – W pytaniu brzmiała czysta ciekawość, nieskażona insynuacjami.

– Tak, ale tam na górze mam tylko mikrofalę – odpowiedziała niegłośno Kamala.

Jak wielu właścicieli mieszkań w getcie, Sherrena i Quentin starali się ograniczać liczbę sprzętu AGD w lokalach. Jeśli nie wstawiło się gdzieś kuchenki czy lodówki, nie trzeba było ich naprawiać, gdy się psuły.

– Aha. Moment.

Lamar zawrócił wózkiem i pojechał do spiżarki. Gdy stamtąd wrócił, na kolanach trzymał elektryczną kuchenkę turystyczną. Parę dni wcześniej, gdy spotkał Kamalę po raz pierwszy, stwierdził, że z dziewczyną i jej dziećmi „nie będzie się za bardzo kumplował”.

– Nie będzie żadnego „mogę pożyczyć szklankę cukru?” – mówił. – Nie będzie takich układów... Ja tam pilnuję własnego nosa. Tak zdrowiej.

A tu proszę, wręczał Kamali coś wartego zdecydowanie więcej niż szklanka cukru[1].

– To po mojej mamie – powiedział. – Grzeje jak pojebana.

– Ale żadnego pożaru od niej nie będzie? – spytała Kamala.

– Nie będzie żadnego pożaru.

– Dzięki. Będę o nią dbała. Bardzo za nią dziękuję.

– Proszę cię bardzo, słonko. Przyjdźcie wszystkie wieczorem na kolację.

Kamala zabrała kuchenkę elektryczną i córeczkę z powrotem na górę.

Po śniadaniu wyjechały karty i blanty. Wpadł C.J., młodszy brat Patrice, żeby popatrzeć, jak grają. Nikt nie poczęstował go buchem, ale też sam nie prosił. Pojawiła się także dziewczyna Luke’a i zamknęli się w jego pokoju. Ranek mijał powoli, mieszkanie wypełniało się mlecznym dymem i wilgotną wonią zioła.

Lamar i chłopcy dopalali właśnie jointa, trawka wchodziła przyjemnie, gdy nagle ktoś zapukał do drzwi wejściowych, donośnie, śmiało. Tak mógłby pukać właściciel albo policja: cztery czy pięć ostrych uderzeń knykciami, jedno po drugim. Ustały wszystkie rozmowy, zebrani popatrzyli jeden na drugiego.

Minęła chwila, nim Buck zawołał:

– Kto tam?

– Colin, z kościoła.

– O kurwa! – wyrwało się Lamarowi w pomieszaniu ulgi z irytacją.

Chłopcy dusili śmiech. Eddy otworzył okno na oścież i wszyscy zaczęli gorączkowo machać dłońmi, rozpędzając dym, co tylko bardziej ich rozśmieszyło.

– Dobra! Dobra! – szeptał Lamar, dając znaki, żeby wszyscy ochłonęli i zachowywali się normalnie. Potem posłał Eddy’ego, by ten otworzył drzwi.

Nawet jeśli Colin zwęszył trawkę, nie wspomniał o tym choćby słowem. Był biały, dobijał do trzydziestki, miał dobrą sylwetkę, obrączkę ślubną

i włosy nieukładane na żel. W jednej dłoni trzymał Biblię i poradnik pod tytułem *Tylko dzięki łasce*, w drugiej ciasteczka. Kiedy już wszyscy, poza Lukiem i jego dziewczyną, znaleźli sobie miejsce w dużym pokoju, Colin otworzył Biblię i zabrał się do nauczania. Zaczął od podstaw. „Tak bowiem Bóg umiłował świat...” (J 3, 16). „On to dla nas grzechem uczynił Tego, który nie znał grzechu...” (2 Kor 5, 21). Chłopcy siedzieli w milczeniu, usiłując nie zejść z haju. Wtedy Colin poprosił ich, by przeczytali kilka ustępów z Biblii. Uśmiechali się do siebie nawzajem i czytali, wodząc palcami po słowach. Lamar zasłuchał się w słowa Pisma Świętego, kiwając głową w zamyśleniu i dopowiadając zakończenia z pamięci.

– Wszyscy bowiem zgrzeszyli...

– ...i pozbawieni są chwały Bożej – powiedział.

– Tak sobie myślałem, co nie – zaczął Buck, rozparty na poduszce z kanapy.

– No to dawaj! – zachęcił go Lamar, nie otwierając oczu.

– Nie wiem, czemu niektórzy nie wierzą w Boga.

– A w diabła też wierzysz, nie? – spytał Lamar.

– Wiem, że jest. Ale poznać to bym nie chciał – odparł Buck.

– A Ziemia jest piekłem – podjął Lamar.

– No, niezupełnie piekłem – poprawił go Colin.

Lamar otworzył oczy, spojrzał na młodziutkiego kaznodzieję. W powietrzu zawisła cisza, a w tej ciszy słychać było młodzieńcze pojękiwania i skrzypienie sprężyn dochodzące z pokoju Luke’a. Przez te odgłosy reszta chłopaków wbiła wzrok w podłogę, wytężając siły, by zdławić wyrywający się z gardeł śmiech. Odmówiwszy modlitwę na koniec i wręczywszy Lamarowi listę rzeczy, jakie mógłby otrzymać z kościoła – ubrania, koce – Colin wyszedł i w domu gruchnęła salwa śmiechu. Gdy Luke dołączył do ekipy w kuchni, chłopcy znów zaczęli rżeć.

– Słyszeliśmy, jak pukałeś – zakpił Buck, zgięty wpół ze śmiechu. – A tu pastor. Facet, jaki ty głupi!

Lamar pokręcił głową i rozdał karty.

Pod koniec miesiąca Quentin podjechał pod mieszkanie Arleen przy Trzynastej i nacisnął klakson. Tym razem nie po nią tu przyjechał, lecz po Chrisa, nowego chłopaka Trishy.

– Facet, ja pierdolę, ale mam kaca – powiedział Chris, wsiadając do SUV-a. – Kobita zorganizowała mi sześciopak heinekena i jeszcze, kurwa, zero siedemdziesiąt pięć wódki.

Quentin wrzucił bieg. Włosy miał rozczesane na boki i związane z tyłu, tak że powstały dwa małe kłębki afro. Chris, pod czterdziestkę, był ubrany w obszerny zimowy płaszcz, a łysą głowę krył pod wełnianą czapką. Kiedy po zwolnieniu z więzienia wprowadził się do Trishy, zadzwonił do Quentina i powiedział mu, że szuka roboty. Quentin był jego jedynym źródłem dochodów.

Suburban zatrzymał się pod kolejnym domem, Chris wyskoczył, żeby ściągnąć innego robotnika, zwanego Mały. Po paru minutach wrócił samotnie.

– Typ mówi, że nie leży mu dziś robota, facet.

Quentin wzruszył ramionami.

– Sobie koleś pogrywa.

Gdy zadzwonił do Sherreny z wieścią, że Mały nie ma ochoty pracować, ta odparła:

– To nic, wsadzimy na jego miejsce kogoś innego.

Znaleźć czy zastąpić pracownika było bardzo łatwo. Brat Sherreny był uzależniony od cracku, wuj Quentina, Verne, alkoholik o gumowatej twarzy, gotów był zasuwać godzinami, żeby mieć na piwo. Lokatorzy często pytali o pracę, nawet Jednonogi Ricky dzwonił w tej sprawie. Do tego Sherrena miała na telefon całą ekipę ćpunów – „lewusów na cracku”, jak ich nazywała – gotowych pracować za „zupełne grosze”. Quentin, jeśli go przycisnęło, potrafił werbować ludzi prosto z ulicy. To było naprawdę proste w gettach, gdzie tylu mężczyzn nie miało pracy. Sherrena i Quentin zapewniali pracownikom narzędzia, materiały i transport. Płacili akordowo

albo na dniówki. Stawki z reguły mieściły się w przedziale od sześciu do dziesięciu dolarów za godzinę, zależnie od roboty.

– Dla tych ludzi – powiedziała raz Sherrena – ile by tych pieniędzy nie było, to zawsze pieniądze. A oni pracują, i to pracują za małe stawki.

Statystyki wskazujące wysokie bezrobocie wśród czarnych mężczyzn z kiepskim wykształceniem nie odzwierciedlają faktu, że wielu z nich pracuje całkiem regularnie, aczkolwiek nie na legalnym rynku pracy. Niektórzy z zarabiających na życie w szarej strefie chwytali się nielegalnego handlu, ale nawet bossowie na szczycie narkotykowej hierarchii w mieście mogliby pozazdrościć właścicielom mieszkań w getcie potężnej armii opłacanych gotówką robotników, którą ci mieli do dyspozycji[2].

Quentin wysadził Chrisa przy nowo kupionym domu, który wraz ze Sherreną zamierzali wynająć kobiecie z talonem mieszkaniowym. Polecił mu, by umocował balustradę na schodach i naprawił drzwi, nim zjawi się inspektor z wydziału nadzorującego program dopłat, tak zwany Section 8.

– Wiesz, jak to jest z dopłatami do czynszu – powiedział Chrisowi. – Wszystko musi być na tip-top... Powyciągają jakieś syfiaste listy... Będzie dobrze, chłopie – dodał i pożegnał się z Chrisem uściskiem dłoni właściwym dla gangu Vice Lords.

W liceum Quentin trzymał z Vice Lords, gangiem ulicznym wywodzącym się z Chicago. Nigdy nie był w nim szczególnie aktywny, a choć zdarzyło mu się dwukrotnie otrzymać postrzał, nie było to związane z tą działalnością. Po raz pierwszy oberwał jako dziewiętnastolatek. Wraz z kolegami wdał się w gorącą sprzeczkę z inną grupą, kiedy nagle pędem nadjechała furgonetka i usłyszał pach-pach z broni kalibru 9 milimetrów. Dostał w nogę. Drugi postrzał otrzymał rok później, gdy został napadnięty. Tym razem kula utkwiła w łopatce. Po tych zajściach Quentin stał się „superczujny”. Po latach lekarz zdiagnozował u niego wrzody żołądka. Z biegiem czasu Quentin nauczył się relaksować. Gdy lokatorzy obrzucali go pogróżkami, starał się odpuszczać. Od czasu do czasu zdarzało się jednak coś takiego, że zakładał czarną bluzę z kapturem, czarne dżinsy,

a Sherrena patrzyła na niego spode łba, kiedy wychodził, ale nie odzywała się, bo wiedziała już, że skoro sprawy przybrały taki obrót, słowami nie dało się nic zdziałać. Quentin wsiadał wtedy do suburbana, dzwonił do swoich kumpli i jechali załatwić jakiś temat. Ostatnim razem wbił się w te czarne ciuchy, gdy lokator rozmyślnie, na złość, ciężko zdemolował jedno z ich mieszkań.

Koło zachodu słońca Quentin, zrobiwszy kilka kursów do dyskontów budowlanych Home Depot i Lowe’s, gdzie wszystkie kasjerki znał już z imienia, porozwoziwszy pracowników i dostarczywszy narzędzia, zajrzał do mieszkania po Patrice. Przez ostatnie dwa dni siedział tu jego wujek Verne, lakierując deski podłogowe i przemalowując znów na brązowo obudowy okien, które Lamar i jego chłopcy zachlapali białą farbą. Quentin miał już dość dogadywania się z Lamarem, nawet jeśli ten pomalował także spiżarkę. Załatwienie spraw z nim zostawił Sherrenie. Jedno było pewne: jeśli mieli zapłacić wujowi Verne’owi, to nie Lamarowi. Facet będzie musiał wykombinować jakiś inny plan, i to szybko.

Przetłuszczone włosy wyrywały się na wszystkie strony spod wujowej czapeczki Baltimore Ravens. Jego spodnie i flanelowa koszula były uwalane brązową farbą. Oczy miał mętne, przekrwione. Na klatce schodowej walały się zgniecione aluminiowe zewłoki ponadwymiarowych puszek piwa Steel Reserve 211, zwane „puszkowanym crackiem”.

– Bez soczku nie da rady – powiedział Quentinowi wuj.

Quentin rozejrzał się po mieszkaniu. Zrobione było na odwal, ale zrobione.

– Obleci, może się babka wprowadzać – stwierdził.

– Ha. To nie Brookfield! – parsknął wuj Verne, mając na myśli zamożną dzielnicę przedmieść, zamieszkaną głównie przez białych.

– Wiesz co... – zaczął Quentin. – Żeby to chociaż robiło jakąś różnicę. Przecież oni tylko to rozjebią. Przesuwanie mebli, przesuwanie stołów, dzieciaki, psy z pazurami... Po co tracić czas, szarpać się na jakieś kosztowne naprawy, jak oni po prostu to wszystko rozniosą. – Sięgnął po

portfel. – No, chłopie, natłukłeś kasy! To co, zanim skończysz, uskłada się chyba z siedem dych, nie?

– Siedem? No gdzie, za sam ten pokój trzydzieści. – Verne skinął głową na duży pokój dzienny.

– Nie. Za ten pokój dwadzieścia. Pamiętasz, gadaliśmy o tym wczoraj.

– No jak. Ja chciałem dwadzieścia, a ty dawałeś dychę od pokoju – powiedział wuj Verne, po czym zaśmiał się nerwowo.

– No dobra, to przywiozę Małego, on się tym zajmie! – Tak Quentin i Sherrena reagowali za każdym razem, kiedy robotnik żądał wyższego wynagrodzenia. Uświadamiali im, jak łatwo ich zastąpić, i tyle.

Wuj Verne od razu ustąpił.

– Dobra, dobra!

Quentin odliczył banknoty i podwiózł wujka do monopolowego.

Quentinowi i Verne'owi przez cały ten czas przysłuchiwali się z mieszkania na parterze Hinkstonowie. Gdy ci pierwsi odjechali, Patrice i Natasha zakradły się na górę zobaczyć mieszkanie po naprawach. Na widok świeżo odmalowanych ścian i lśniącej podłogi obie z sykiem wciągnęły powietrze. Nowa lokatorka (czy przynajmniej Belinda, jej płatniczka) najwyraźniej wiedziała to, czego nie wiedziała Patrice: lokator ma największą siłę przebicia, póki się nie wprowadzi.

– Jak tu ładnie – odezwała się Natasha. – Normalnie aż mnie szlag trafia.

– Kosmos – przytaknęła Patrice.

– Tu na górze to autentycznie dom z marzeń... A ty siedzisz w norze! – powiedziała ze śmiechem młodsza siostra.

Patrice nie było do śmiechu.

– Ona w naszym domu nie przetrwałaby nawet jednego dnia – stwierdziła, myśląc o Sherrenie.

11

Getto jest git

Gdy jej samolot lądował na pasie, Sherrena wyjrzała przez okno i westchnęła. Jeszcze rano byli z Quentinem na Jamajce. Milwaukee, niczym pozostawiona na dworze ścierka, wyglądało na wilgotne i zimne. Sherrena włączyła telefon i zobaczyła, że na poczcie głosowej ma czterdzieści wiadomości.

Na Jamajce było fantastycznie. Sherrena i Quentin robili sobie długie spacery po białych plażach, wynajęli łódź z przeszklonym dnem, śmigali po Morzu Karaibskim na skuterach wodnych. Quentin kupił sobie laseczkę i kazał wygrawerować swoje inicjały. Sherrena dała sobie zapleść włosy w dwa grube warkocze połączone z tyłu. Spędzili tam osiem dni.

Sherrena i Quentin zawsze układali sobie wakacje tak, żeby wrócić przed pierwszym, kiedy mieli masę roboty z wydawaniem powiadomień o eksmisji, zarządzaniem bieżącymi przeprowadzkami, inkasowaniem czynszu. Ponieważ ich lokatorzy najczęściej nie mieli kont w bankach, wpłaty odbywały się z ręki do ręki.

Kilka wiadomości na poczcie Sherreny zostawiła Tabatha, pracownica społeczna, która co tydzień odwiedzała Hinkstonów. Kiedy Sherrena oddzwoniła do niej, Tabatha poruszyła kwestię kanalizacji w mieszkaniu na rogu Osiemnastej i Wright, usiłując nakłonić właścicielkę lokalu do napraw. Niedługo po tym, jak Doreen z własnej kieszeni opłaciła hydraulika, rury znów się zatkały. Sherrena nie chciała tego słuchać. „Nie wierzę, że wydzwaniasz do mnie, że to mi się skarżysz na zatkany zlew, skoro to oni sami go zapychają! Zrywają drzwi z zawiasów [...] stosy ciuchów po sam sufit. Otwierasz drzwi i od razu czujesz, że wali gównem [...] Normalnie nie wierzę, że wasz urząd pozwala im żyć w takich warunkach”.

Wtedy Tabatha popełniła błąd, zdradzając Sherrenie, że Doreen rozgląda się za innym mieszkaniem. Sherrena rozłączyła się i od razu pojechała do sądu. Jeśli Doreen wstrzymywała się z płaceniem czynszu, żeby Hinkstonowie mieli środki na przeprowadzkę, Sherrena nie musiała się bawić w blefowanie. Uiściła opłatę za pozew i ustaliła datę rozprawy, tak że w elektronicznym systemie CCAP Doreen miała teraz otwartą sprawę eksmisyjną. To zdecydowanie utrudni zmianę mieszkania. Sherrena postanowiła, że jeśli Hinkstonowie chcą się wynieść, to na jej warunkach.

Kiedy Quentin doręczył różowy druczek, Doreen zadzwoniła do Sherreny, chcąc wyjaśnić sytuację.

– Naprawdę potrzebujemy większego mieszkania. Natasha niedługo rodzi, nie możemy tak żyć na kupie. Ale to nie tak, że chciałam już, od razu. Nie dam rady przeprowadzić się w środku zimy... Będzie rodzić jakoś w maju. Może wtedy rozejrzymy się za czymś większym.

Sherrena oświadczyła jej, że nie odwołuje eksmisji.

– Ale ja mam na czynsz. Mam dla ciebie pieniądze.

Sherrena jednak odmówiła ich przyjęcia, powołując się na zniszczenia, do jakich Hinkstonowie doprowadzali w należącym do niej mieszkaniu.

– A jak mi tam przyjdą ze stanu? Zamkną mi lokal i wszyscy będziemy mieli problemy... Nie może być tak, żeby tylu ludzi siedziało na moim mieszkaniu. Za bardzo się niszczy.

Doreen mogła się już tylko modlić, żeby Sherrena zmieniła zdanie przed rozprawą w sądzie.

Pierwszego Sherrena i Quentin jeździli od mieszkania do mieszkania, rozchichotani, flirtując ze sobą. Przywieźli ze sobą trochę Jamajki – skórę muśniętą słońcem, lekkość ducha. Jednonogiego Ricky’ego zastali na zewnątrz, czekał na kuriera, który miał dostarczyć komputer dla jego córki.

– Komputer? – zapytała Sherrena, kiedy Quentin wsiadał z powrotem do suburbana.

– Yhy – powiedział z uśmiechem Quentin.

– Widzisz? Widzisz?! Ma pieniądze na nowy komputer, ale na czynsz to już nie. Proszę bardzo. I tak ich dorwę. Podnosimy czynsz! – Zawiesiła głos dla lepszego efektu. – Inflacja![1]

Gdy ruszali od krawężnika, suburban trząsł się od śmiechu. Quentin rozłożył sobie siedzenie tak nisko, że siedział raczej na biodrach niż na tyłku. Spod lusterka dyndały odświeżacze powietrza, a potężny głośnik z tyłu łupał basem, kiedy tylko któreś z nich nie rozmawiało przez telefon, czyli właściwie nigdy.

Gdy zapadła noc, Quentin dotknięciem słuchawki bluetooth odebrał telefon od lokatora z pokoju umeblowanego. Gdy połączenie dobiegło końca, powiedział: „Pieniądze palą im się w kieszeniach. Ci ludzie mają swoje nałogi, co nie".

Zaparkowawszy pod budynkiem z pokojami umeblowanymi, odprawił mały rytuał. Łańcuszki schował pod kołnierz koszulki, zdjął pierścień z małego palca, na grubą bransoletkę naciągnął frotkę. Wiedział już, że „niektórym się wydaje, że wyciągasz od nich pieniądze za czynsz, żeby sobie fundować, no wiesz, fajne rzeczy". Niedawno jeden z lokatorów wytknął palcem te świecidełka Quentinowi i powiedział: „Chcesz zgarnąć ode mnie czynsz, żeby mieć na swoje życie".

Gdy Quentin opowiadał o tym później Sherrenie, ta wzruszyła ramionami i powiedziała: „A niby jak inaczej mamy to robić?". W sensie żyć tak, jak chcieli.

Lokatorzy pokoi umeblowanych coś tam wypalili, ale nie przepuścili jeszcze tego, co mieli na czynsz. W domu rozbrzmiewała muzyka, śmiech, cała ta beztroska, którą przynoszą zasiłki wypłacane pierwszego, a przepędzają rachunki do opłacenia piątego. Na trzeźwego wyglądał tylko jeden lokator, starszy mężczyzna, który wprowadził się tu niedawno. Siedział na łóżku w koszuli zapiętej pod szyję.

– Nocą się przychodzi, co? – zagadnął. Zaciągał jak ktoś znad Missisipi.

– A kiedy byś chciał zapłacić czynsz? – zapytał go Quentin.

– Jestem gotów. Człowiek zawsze jest coś winien.

Podszedł do nich inny lokator, ze szklistym wzrokiem.

– Ej, czarnuch! – odezwał się do Quentina, unosząc niezapalonego papierosa i opierając się o ścianę, żeby nie upaść. – Ja, ja to będę w barze, facet. Oni mnie w chuja robią, człowieku!

– Powaga? – zapytał Quentin. Schował pieniądze od starego do kieszeni i ruszył do wyjścia.

Wróciwszy do suburbana, wręczył Sherrenie plik banknotów. Musiała przyznać:

– Ćpuny nie ćpuny, ale czynsz płacą!

Roześmiali się oboje.

Dochodziła już dziewiąta wieczorem, kiedy Sherrena poprosiła Quentina, żeby podjechali do domu kolejnej perspektywicznej lokatorki. Ladona zaprosiła Sherrenę do środka, przedstawiła jej swojego syna Nathaniela, ośmiolatka. Ladona, pracująca samotna matka, paliła się do przeprowadzki.

– Tu się strzelają w biały dzień, normalnie na środku ulicy. Mamy na piętrze kryjówkę, ale już mnie męczy ganianie tam.

– Powinni tu wprowadzić Gwardię Narodową – odparła Sherrena.

– Albo coś. Ja się wynoszę. – I Ladona wręczyła jej pięćset dolarów. – Chcę ten dom, bez żartów. Więc w piątek będę dla ciebie miała jeszcze sto. I w następny piątek znowu. A w kolejnym tygodniu sto siedemdziesiąt pięć.

Sherrena wróciła do suburbana, w którym Quentin siedział, nie wyłączając silnika.

– Ale ją pili do tego domu – powiedziała. – A ilu dzwoniło do mnie ludzi od dopłat do czynszu. Nie uwierzysz.

– E, do mnie też dzwonili – odpowiedział.

– Z niepełnych rodzin?

– I nie tylko.

Ladona miała talon mieszkaniowy. Sherrena i Quentin odsiewali takich najemców przy niemal wszystkich swoich lokalach, bo nie chcieli mieć do czynienia z wybrednymi inspektorami zatrudnianymi w tym programie.

– Dopłaty do czynszu to zawracanie dupy – twierdziła Sherrena.

Tak czy inaczej, dysponenci talonów stanowili nieznaczny segment rynku – tylko sześć procent najemców w Milwaukee – niewart wielkiego zachodu. (Co innego „ludzie na SSI – to dopiero nietknięte złoża", jak uważała Sherrena).

Sherrena kupiła jednak niedawno ten właśnie dom, który marzył się Ladonie, piętrową perełkę, i była niemal pewna, że inspektorzy do niczego się w nim nie przyczepią. Gdyby tak się stało, kroiły się spore zyski. Dysponując talonem mieszkaniowym, Ladona pokrywałaby niewielką część czynszu – do wysokości trzydziestu procent przychodów, reszta szła z kieszeni podatników. Sherrena miała więc właściwie gwarantowane wpłaty czynszu, i to powyżej stawki rynkowej.

Dla każdej aglomeracji miejskiej Departament Mieszkalnictwa i Rozwoju Miast ustala Godziwy Czynsz Rynkowy (Fair Market Rent, FMR): maksymalną kwotę, jakiej właściciel lokalu może żądać od rodziny dysponującej federalnym talonem mieszkaniowym[2]. Stawki FMR wylicza się dla całej aglomeracji, często włącznie z bliższymi i dalszymi przedmieściami. Oznacza to, że w rachubie uwzględnia się zarówno dzielnice ekskluzywne, jak i te w zapaści. Obliczenia FMR dla Nowego Jorku uwzględniają i SoHo, i południowy Bronx. W Chicago – zarówno Gold Coast, jak i getto South Side. Była to rozmyślna decyzja, tak by rodzina dysponująca talonem mogła znaleźć lokum w bezpiecznych, dobrze prosperujących częściach miasta czy na przedmieściach. Program ten jednak nie przyniósł większych korzyści w kwestii integracji rasowej czy ekonomicznej. Dysponenci talonów właściwie nie ruszali się z miejsca, przenosili się tylko do przyczepy na nieco schludniejszym placu czy na spokojniejszą ulicę w getcie. Dla właścicieli lokali mógł on jednak być źródłem pokaźnych dochodów[3].

Ponieważ czynsze na przedmieściach są wyższe niż w getcie, w dzielnicach biedy FMR przekracza stawki rynkowe. Jeśli dysponenci talonów mieszkali w takiej dzielnicy, właściciele lokali mogli żądać od nich stawek wyższych niż te, za które wynajmowaliby dany lokal na wolnym

rynku. W roku 2009, kiedy Ladona chciała wprowadzić się do nowo nabytego przez Sherrenę domu, stawka FMR dla pięciopokojowego lokum w hrabstwie Milwaukee wynosiła tysiąc osiemdziesiąt dziewięć dolarów. Tymczasem średnia stawka za wynajem pięciopokojowego mieszkania w getcie była znacznie niższa, sześćset sześćdziesiąt pięć dolarów[4]. Jeśli pozwolić właścicielowi lokalu na pobieranie wyższego czynszu, tak właśnie zrobi. Choć Sherrena podejrzewała, że Wydział Mieszkalnictwa nie klepnąłby stawki maksymalnej, zamierzała jednak inkasować od Ladony siedemset siedemdziesiąt pięć dolarów miesięcznie, o sto ponad średnią dla mieszkań tej wielkości, ale wciąż poniżej stawki FMR. Ladona nie miała nic przeciwko temu. Dzięki talonowi wysokość jej opłat zależała od tego, ile zarabiała, a nie od stawek wyznaczanych przez Sherrenę[5]. Te odbijały się nie na płaconej przez nią kwocie, tylko na obciążeniach dla podatników.

W Milwaukee czynsz pobierany od najemców dysponujących talonami mieszkaniowymi był średnio o pięćdziesiąt pięć dolarów wyższy niż od tych nieobjętych dopłatami, a mieszkających w podobnych mieszkaniach i sąsiedztwach. Narzucanie dysponentom talonów wyższych stawek w samym Milwaukee kosztowało podatników rocznie dodatkowe 3,6 miliona dolarów – co wystarczyłoby na udzielenie pomocy mieszkaniowej kolejnym pięciuset osiemdziesięciu ośmiu rodzinom w potrzebie[6].

Koncepcja „programu certyfikatów czynszowych” została wysunięta po raz pierwszy w latach trzydziestych minionego stulecia, i to nie przez waszyngtońskiego biurokratę czy przedstawiciela organizacji lokatorskiej, lecz przez Ogólnokrajowe Stowarzyszenie Izb Obrotu Nieruchomościami[7]. Grupa ta zmieniła z czasem nazwę na Ogólnokrajowe Stowarzyszenie Sprzedawców Nieruchomości i stała się największą organizacją branżową w tej specjalizacji, zrzeszającą ponad milion członków. Dowodzili oni, że program certyfikatów czynszowych byłby lepszy niż budownictwo komunalne. Właściciele lokali na wynajem, a także pośrednicy w handlu nieruchomościami w budowanych i zarządzanych przez państwo domach, gdzie czynsze byłyby znacząco niższe, widzieli bezpośrednie zagrożenie dla zasadności i zyskowności swoich branż[8].

Z początku federalni prawodawcy mieli na ten temat inne zdanie i w połowie stulecia postanowili ufundować budowę potężnych kompleksów mieszkań komunalnych. Grupy interesów związane z obrotem nieruchomościami wciąż jednak lobbowały na rzecz talonów, dołączyły też do nich różnorakie ugrupowania polityczne, w tym działacze na rzecz praw obywatelskich, którzy sądzili, że talony przyspieszą integrację rasową[9]. W końcu, kiedy amerykańskiemu eksperymentowi z budownictwem komunalnym odebrano fundusze, a następnie ogłoszono jego porażkę (w tej właśnie kolejności), nadszedł ich czas. W miarę jak osiedla komunalne, tak zwane *projects*, ulegały zniszczeniu, to właśnie model talonowy wyrósł na największy w kraju program wsparcia mieszkaniowego dla rodzin o niskich dochodach. W kręgach politycznych talony określa się mianem „partnerstwa publiczno-prywatnego". Wśród osób związanych z handlem nieruchomościami nazywa się je „zwycięstwem".

Sherrena kupiła ów dom, który zamierzała wynająć Ladonie, parę tygodni przed wylotem na Jamajkę. Był duży, w późnym stylu kolonialnym, z okrągłą wieżyczką i obszerną werandą. Ktoś niedawno odmalował go w czerni i bieli. Dach był nowy, podobnie jak bojler i okna z drewnianą stolarką. Drzwi wejściowe otwierały się na salon ze sklepieniem łukowym i kominkiem o palenisku wyłożonym zawiłą mozaiką. Na parterze była jedna sypialnia, trzy kolejne na piętrze, na które wchodziło się długimi zakręconymi schodami. W sypialniach na górze była położona wykładzina o długim włosiu, a w dwóch z nich, sądząc po kolorach ścian, mieszkały niegdyś dzieci. Dom był w tak świetnym stanie, że inspektor budowlany zwierzył się Sherrenie, iż sam by się tam chętnie wprowadził.

Ten czarno-biały budynek znajdował się przy cichej ulicy w gettowej części centrum. Sherrena uznała, że to jednak dobra okolica, bo „[dom] stał pusty przez cały rok i nikt nawet jednego okna nie rozjebał", a w dodatku „ludzie tu się pilnują. Podchodzisz [do domu] i zaraz wychodzą na werandę, «Pan w jakiej sprawie?» Patrzą, co się dzieje na ulicy". Nowa chluba Sherreny kosztowała ją szesnaście tysięcy dziewięćset dolarów,

zapłacone gotówką. Kupowała nieruchomości nawet taniej – po pięć, osiem tysięcy – ale nigdy czegoś tak wspaniałego. Parę dni przed planowaną datą przeprowadzki Ladony Sherrena zajrzała tam, żeby sprawdzić, jak idzie odświeżanie budynku. Chodziła od pokoju do pokoju i uśmiechała się z niedowierzaniem. W końcu uczucia wezbrały w niej do tego stopnia, że przez chwilę wręcz tańczyła.

Od kiedy doszło do kryzysu bankowego, Sherrena mniej więcej co miesiąc kupowała kolejną nieruchomość na North Side[10]. W niektórych miastach nawet co druga nieruchomość zajmowana przez bank była zamieszkana przez najemców. Kryzys dał właścicielom lokali niemal czarodziejską szansę. „To, co mamy teraz, z bardzo wielu ludzi porobi milionerów – dzieliła się przemyśleniami Sherrena. – No, rozumiesz, jeśli w tej chwili masz pieniądze, możesz skorzystać z tego, że innym się nie udało [...] Łykam te nieruchomości. Dosłownie łykam jedną po drugiej”.

„Jeśli w tej chwili masz pieniądze” – w tym cały problem. Podczas kryzysu bankowego branża kredytów hipotecznych mocno się skurczyła: tylko w roku 2007 liczba instytucji oferujących takie kredyty spadła o dwadzieścia pięć procent[11]. W obawie przed niewypłacalnością ocalałe banki przeobraziły się w skąpych pożyczkodawców, wprowadzając większe obostrzenia co do zdolności kredytowej, wymagając idealnej historii kredytowej i żądając znacznego wkładu własnego. Według raportu „Washington Post”, „jeśli chce się w tym roku zaciągnąć kredyt, będzie on kosztował więcej – w niektórych przypadkach nawet o tysiące dolarów”[12]. Właściciele lokali, rzecz jasna, ujmowali to zwięźlej. „Banki poszły z głupoty w głupotę” – oceniali, mając na myśli, że ów zwrot o sto osiemdziesiąt stopni poprowadził banki z zupełnej beztroski w nadmierną ostrożność. Dla inwestorów bez pokaźnych zasobów gotówki było to pechowe, bo roiło się od okazji do robienia interesów – wspaniałych, bezprecedensowych okazji. Gdy pęczniała bańka kredytowa, czynsze strzeliły wysoko w górę, po części dlatego, że boom mieszkaniowy i drapieżne spekulacyjne zakupy obciążały właścicieli napompowanymi ratami kredytów i większymi należnościami podatkowymi. Po załamaniu

rynku spadły wartości nieruchomości (a z nimi raty i podatki) – ale czynsze wciąż były wysokie. W styczniu 2009 roku na „Liście zajęć bankowych”, rozprowadzanej za darmo wśród inwestorów w nieruchomości w Milwaukee, widniało około tysiąca czterystu nieruchomości, każda wyceniona „o co najmniej trzydzieści tysięcy dolarów poniżej wartości katastralnej”. Uszeregowano je od najtańszej do najdroższej, a listę otwierało mieszkanie z dwiema sypialniami za dwa tysiące siedemset pięćdziesiąt dolarów. Dziesięć pozycji dalej było mieszkanie z trzema sypialniami za osiem tysięcy dziewięćset. Dziesięć pozycji dalej: mieszkanie z czterema sypialniami za jedenaście tysięcy dziewięćset[13].

Jeśli Sherrena nie była w stanie zapłacić za nieruchomość gotówką, mogła sfinansować zakup na wiele sposobów. Zaciągała kredyty hipoteczne ze stałym, a nawet ze zmiennym oprocentowaniem. Jeśli widziała dobry interes, ale nie miała wkładu własnego, starała się załatwić to, jak to mówią, „na CK” („cudzą kasę”) czy „niełatwym pieniądzem” – innymi słowy, poprzez pożyczkę na wysoki procent od bogatych białych z Brookfield czy Shorewood, którzy nie wymagali wkładu własnego, ale w zamian chcieli zastawu na nieruchomości. Jak to ujmowała Sherrena: „W banku z reguły słyszysz: «Ma być dwadzieścia procent wkładu własnego». A prywatny typ z kasą mówi: «Spoko, daję ci te pieniądze, ale na dwanaście procent i chcę kasę z powrotem w sześć miesięcy czy tam w rok»”. Gdyby nie zdołała spłacić prywatnego pożyczkodawcy, ten przejąłby całą nieruchomość.

Ta sama okoliczność, wskutek której kupowanie sobie domu w biednym, czarnym sąsiedztwie było kiepską inwestycją – zredukowana wartość nieruchomości – sprawiała, że kupowanie tam lokali na wynajem mogło być całkiem lukratywne. Wartość podobnych domów w białych dzielnicach klasy średniej w tym samym mieście była dwu- albo i trzykrotnie wyższa, co wcale nie przekładało się na wysokość czynszów. Wynajmując mieszkanie z dwiema sypialniami w podmiejskiej dzielnicy Wauwatosa, właściciel mógł liczyć na czynsz rzędu siedmiuset pięćdziesięciu dolarów, a w biednej okolicy Milwaukee objętej kodem pocztowym 53206 –

pięciuset pięćdziesięciu dolarów. Tyle że zakup nieruchomości w Wauwatosa wiązał się z wyższymi ratami kredytu i większym podatkiem od nieruchomości, nie wspominając już o tym, że wymagano od takich lokali wyższych standardów. Jeśli szło o stopę zwrotu z inwestycji, trudno było przebić posiadanie nieruchomości w gettach. Pewien właściciel stu czternastu lokali w tych sąsiedztwach stwierdził: „Kupuje się na North Side, bo tam jest dobry «spływ gotówki». W Brookfield miałem stratę. Ale kiedy wchodzi się tam, gdzie dochody są niskie, co miesiąc ma się stałe wpływy. Nie kupuje się nieruchomości, licząc na zysk ze sprzedaży. Tu nie patrzysz na to, co będzie, ale na to, co jest”.

Sherrena szukała nieruchomości, z których spływałoby jej miesięcznie co najmniej pięćset dolarów netto. Dom, który chciała wynająć Ladona, bez problemu spełniał to kryterium. Sherrena kupiła go za gotówkę, odświeżenie kosztowało tylko tysiąc pięćset, a co miesiąc będzie inkasować siedemset siedemdziesiąt pięć dolarów. Ten dom skłaniał ją do tańców właśnie dlatego, że wiedziała, że cała inwestycja zwróci się jej w jakieś dwa lata. Sherrena była przyzwyczajona do takiego tempa zwrotów. Wkrótce po zakupie owego czarno-białego domu kupiła bliźniaka niedaleko Keefe Avenue za osiem i pół tysiąca, a kolejne trzy tysiące wyłożyła na remonty. Odzyskanie tych wydatków było kwestią zaledwie ośmiu miesięcy. Od tego momentu „już tylko wyjmuje się kasę”.

Sherrena szacowała, że posiada nieruchomości warte na czysto jakieś dwa miliony, ale to była tylko wisienka na torcie. Prawdziwe pieniądze płynęły z czynszów. Co miesiąc inkasowała z tego tytułu około dwudziestu tysięcy. Raty kredytów wynosiły w sumie osiem i pół tysiąca. Po opłaceniu rachunku za wodę Sherrena – właścicielka trzydziestu kilku lokali w getcie, wszystkich zasiedlonych przez lokatorów na granicy ubóstwa lub poniżej niej – miała na czysto, jak sama wyliczała, około dziesięciu tysięcy miesięcznie, więcej niż Arleen, Lamar i wielu innych jej lokatorów przez cały rok. Jak lubiła to ujmować, „getto jest git. Jest tu mnóstwo kasy”.

Quentin zaparkował suburbana na ciemnej, pustej ulicy. To był już ostatni przystanek: Terri, przy Cherry Street. Była to najdalej położona z nieruchomości Sherreny, na West Side, niedaleko parku Waszyngtona, piętnaście minut spacerem od olbrzymiego browaru koncernu Miller. Sherrena załomotała do drzwi Terri, najpierw głośno, potem jeszcze donośniej. Nad schodkami zapaliło się światło, ukazując Sherrenę, która miała na sobie wyścielane futrem buty marki Coach i pasującą do nich torebkę, kupioną na Jamajce.

– Kto tam? – warknął ktoś.

– Po czynsz.

– Aha – mruknął z rezygnacją tamten.

– No właśnie – szepnęła pod nosem Sherrena, kiedy szczęknęły otwierane zamki.

Wewnątrz było ciepło, pachniało smażoną na smalcu kolacją. Paliła się jedna słaba lampka, oszczędnie rzucająca światło, więc część pokoju ginęła w cieniu. Sherrena zastała Terri w towarzystwie krewnych w podeszłym wieku i starszych dzieci. Terri była pulchna, ładniutka, miała ciemną skórę, długie warkocze i nieobecne spojrzenie. Była upośledzona umysłowo, otrzymywała z tego tytułu zasiłek SSI. Jej facet Antoine, ten, który otworzył drzwi – kościsty, z zaczesanymi do tyłu włosami na żel – opierał się o ścianę, tuż poza zasięgiem światła.

– Hm, a cóż tu się dzieje? – zagadnęła lokatorkę Sherrena.

– No, nie mam przy sobie nic kasy, i... – Terri utknęła.

Sherrena pochyliła się nad nią, wzięła pod boki.

– Terri – zaczęła stanowczym tonem nauczycielki.

– No ja wiem.

– Po prostu daj mi te pieniądze... Wystawię ci pokwitowanie.

Minęła chwila, po czym Terri powiedziała:

– No dobra. – I sięgnęła do kieszeni. Na ten widok kilkoro ze starszych dzieci wyszło z pokoju.

Sherrena przyjęła gruby zwitek banknotów.

– Kto tak ci zrobił włosy? – zapytała, dotykając jednego z warkoczy i kręcąc nim. – Podoba ci się jej fryzura, Antoine?

Ten wsuwał właśnie papierosa do ust. Płomień zapalniczki na chwilę wydobył jego twarz z ciemności. Było to oblicze naznaczone upokorzeniem.

Wsiadając do wysoko zawieszonego suburbana, Sherrena powiedziała Quentinowi:

– No i mam tysiąc czterysta... Tysiąc czterysta. Właśnie dlatego nie mogę jej wyrzucić.

Terri wynajmowała mieszkanie z czterema sypialniami za siedemset dwadzieścia pięć dolarów miesięcznie. Wciąż jeszcze była winna trzysta pięćdziesiąt plus opłatę za zwłokę, ale obiecała, że następnego dnia odda pieniądze.

– No i pięknie! – pogratulował żonie Quentin.

Sherrena miała poczucie sukcesu, i wcale nie była tym zaskoczona. Nieraz zdarzało się, że zabierała lokatorowi całą wypłatę. Pewnego razu jedna młoda matka wręczyła jej własną debetówkę.

Na rogu Osiemnastej i Wright Mikey usiłował odrabiać lekcje przy stole w kuchni. Matematyka. Nic trudnego, ale nie mógł się skupić. Za duży hałas. Ruby, która potrafiła odrobić lekcje migiem, zanim gimbus podjechał rano na ich przystanek, ćwiczyła przed telewizorem kroki Stanky Legg. Średnia córka Patrice Jada bębniła butelką po mountain dew w co popadło. Natasha zaś próbowała uczesać Kaylę Mae, co z reguły oznaczało trzygodzinną wojnę.

Brzuch Natashy rósł coraz bardziej. USG pokazało tylko jeden płód, chłopaka z wielką głową, dokładnie tak, jak domyślała się Doreen.

Przy stole siedziały też Doreen i Patrice, naprzeciwko Mikeya, i deliberowały, co zrobić z powiadomieniem o eksmisji otrzymanym od Sherreny. Doreen nie udało się znaleźć innego mieszkania. Gdy zadzwoniła pod jeden z numerów z „RedBook”, usłyszała nagraną wiadomość

dotyczącą warunków wstępnych: „Żadnej eksmisji w ciągu trzech ostatnich lat. Żadnych długów u właściciela lokalu. Żadnych aresztów za przestępstwa kryminalne w ciągu trzech ostatnich lat”. Choć Doreen po wizycie hydraulika nie zapłaciła czynszu, nie spodziewała się, że Sherrena tak szybko złoży pozew w sądzie. Zdaniem Patrice zawiniła tu ta pracownica socjalna, Tabatha. Kiedy Doreen powiedziała córce, jaką wymówkę podała Sherrena w kwestii zaniedbania naprawy kanalizacji – że Quentin pożyczył komuś suburbana na cały miesiąc – Patrice przewróciła oczami.

– Oni sobie latają na Jamajkę, a my nawet nie mamy jak się kąpać... Tyle ma baba pieniędzy, a gada jak głupia. Żeby mnie szlag trafił, jak uwierzę w to jej gadanie.

Plasnęła twardo dłonią w blat kuchennego stołu. Mikey poderwał głowę znad zadań.

Chłopiec przeniósł się z zeszytami na materac Jady i Kayli Mae. Zanim znów wziął się do roboty, ze specjalnej kryjówki wyciągnął chorągiewkę z amerykańską flagą. Nauczycielka rozdała im je w dniu inauguracji prezydentury Obamy. Wcześniej cała North Side była oklejona plakatami wyborczymi: granatowe znaki były solidnie poosadzane na trawnikach, zaklejano nimi popękane szyby, ludzie mocowali je sobie na ścianach sypialni, walały się też na zaśmieconych chodnikach. W noc zwycięstwa Obamy cała Wright Street wybuchła entuzjazmem. Sąsiedzi otwierali drzwi, wychodzili na schody tylko po to, żeby się nawzajem widzieć. Mikey rozciągnął się na materacu, trzymając chorągiewkę na sztorc i wpatrując się w sufit.

W dniu rozprawy eksmisyjnej, 27 stycznia, Doreen wykuśtykała z domu i dotarła na przystanek autobusowy. Zawinęła chustę wokół włosów, obuła się w białe adidasy na rzepy. Buty leżały na jej stopach jak cudze. Chodziła boso, gdy była w domu, czyli prawie zawsze. Stała się częścią tego mieszkania niemal w tym samym stopniu co deski podłogi czy framugi drzwi. Szlag ją trafiał na myśl o jeździe autobusem do sądu w centrum. Na dodatek rwało ją w stopie. Zeszłej nocy przytrzasnęła ją sobie tylnymi

drzwiami. Zaczęło się od tego, że drzwi przewróciły się na Ruby, gdy starała się je poprawić, i przygniotły dziewczynkę do podłogi. Doreen próbowała uwolnić córkę, ale poślizgnęła się i ciężka płyta opadła jej na stopę, która mocno obrzmiała, wewnątrz zbierał się płyn. Lekarz na telefon radził, żeby udać się z tym na ostry dyżur, ale Doreen odmówiła. „Skończy się tylko tym, że przesiedzę tam całą noc" – stwierdziła. Lekarzom wierzyła mniej więcej tak jak jej ojciec[14].

Patrzyła na przesuwające się za szybą autobusu zmrożone miasto. Nie wiedziała, jak jej pójdzie w sądzie, wolała więc pozastanawiać się nad mającym się urodzić dzieckiem. Sama myśl o tym, że Natasha będzie matką – płocha, młodziutka Natasha – budziła w niej śmiech. Doreen pamiętała, jak rodziła się Patrice. Trzeba było zrobić cesarskie cięcie, taka była duża. Doreen musiała wymienić całą wyprawkę na większe rozmiary. Natasha też była duża, i C.J. także. Więc kiedy Ruby przyszła na świat, ważąc ledwie dwa siedemset, Doreen nie miała pojęcia, jak się z nią obchodzić. „O, jak mnie szlag przez nią trafiał. Nie umiałam jej trzymać". Natasha złożyła niedawno wniosek o zasiłek W-2. Doreen niepokoiła się, czy przez to nie obetną jej zasiłków i nie zmniejszą kwot talonów żywnościowych na rodzinę. Wyszłoby na zero, gdyby Natasha została w domu i dokładała się do opłat, ale ostatnio Malik zaczął ją podpytywać, czy nie chciałaby przeprowadzić się do jego mamy w Brown Deer. Natasha zarzekała się, że w życiu, ale Doreen czuła, że córka poważnie rozważa taki ruch.

Sherrena wyjechała z domu później, w drodze do centrum odebrała telefon. Dzwoniąca powiedziała jej, że w czasie przerwy śniadaniowej porzuciła pracę w kasie oszczędnościowo-kredytowej Landmark, gdzie miała umowę na czas określony, z pensją dziesięć dolarów za godzinę.

– Chelsea! – wrzasnęła na nią Sherrena głosem pełnym rozczarowania. – To chyba jednak nie był dobry pomysł... Pogadam jeszcze o tym z tobą, kiedy wyjdę z rozprawy eksmisyjnej, ale wiesz, że będę ci o to suszyła głowę, nie?

– No wiem – odparła tamta.

– Będę cię dręczyć. Ja cię zabiję, Chelsea!

Sherrena usiłowała pomóc Chelsea w „ogarnięciu kredytu”. Za sto pięćdziesiąt dolarów oferowała usługę zbadania jej historii kredytowej i poprawienia jej za pomocą zabiegu zwanego „szybką zmianą scoringu”. Dla klientów takich jak Chelsea był to dobry interes. Sherrena była surową trenerką – jeśli pracowała, chciała osiągać solidne wyniki. Wiedziała, że dobra historia kredytowa to cenna rzecz, szczególnie jeśli chciała potem odsprzedać takiemu klientowi którąś ze swoich nieruchomości.

Parała się też bowiem transakcjami „od wynajmu do zakupu”. Wybierała sobie któregoś z porządniejszych lokatorów i wynajmowała mu na pół roku jeden z domów. Przez ten czas starała się poprawić zdolność kredytową lokatora. Jeśli odniosła sukces, następnym krokiem było udzielenie mu pomocy w uzyskaniu kredytu na taką kwotę, jakiej Sherrena życzyła sobie za tę posiadłość. Federalny Zarząd Mieszkalnictwa często wymagał zaledwie trzy i pół procent wkładu własnego, co większość pracujących lokatorów mogła pokryć z jednego zwrotu podatku. Sherrena miała świadomość, że w czasie bańki kredytowej niektóre z jej posiadłości podwoiły swoją wartość, ale wiedziała też, że nie da się utrzymać tych napompowanych cen. Jednemu z takich lokatorów próbowała sprzedać dom za dziewięćdziesiąt tysięcy, choć kupiła go za znacznie niższą kwotę, i to gotówką, więc bez obciążania hipoteki. Zyski zamierzała zainwestować w kolejne nieruchomości, a lokator miał wejść w nowe życie potężnie zadłużony. Zdaniem Sherreny i tak było to lepsze niż nieposiadanie domu.

W poprzednich latach Sherrena oferowała te usługi, polepszanie zdolności kredytowej i pomoc w uzyskaniu pożyczki na dom, także niepełnosprawnym fizycznie czy umysłowo osobom pobierającym zasiłek SSI. „Ci ludzie walili do mnie masą, kupowali domy. Skończyło się tak, że je potracili, ale rzecz w tym, że ich trzeba trochę bardziej pilnować [...] Nikt nie stał nad nimi, nie powtarzał: «Ej, Johnny, zapłać ratę!»”. Może po prostu nie wystarczyło im zdolności umysłowych.

Mówią, że kryzys bankowy zaczął się na Wall Street, gdzie faceci w szczęśliwych krawatach handlowali toksycznymi aktywami i pakietowali niespłacane kredyty. W getcie jednak wystarczał trener od szybkiej

poprawy zdolności kredytowej i lokator o niewielkich dochodach, wciąż jednak żądny szansy na realizację amerykańskiego snu.

Kiedy Doreen i Sherrena spotkały się w sądzie, ta druga była w nie najlepszym humorze. Rozdrażniła ją rozmowa z Chelsea, a na dodatek dzień wcześniej miasto zajęło na jej koncie niemal dwadzieścia tysięcy na poczet rachunków za wodę i podatków. Nie spodziewała się takiego posunięcia, i zostało jej dokładnie 3,48 dolara na koncie firmowym, 108,32 na prywatnym, a w kieszeni parę niezainkasowanych czeków. Sherrena nie była otrzaskana z biedą, a tu do pierwszego zostało jeszcze kilka dni.

W korytarzu pod salą numer 400 Doreen zaczęła jej tłumaczyć, że nie chciała orżnąć jej na czynszu i ulotnić się raz-dwa, ale rozglądała się za nowym lokum na przyszłość. Sherrena znała już jej plany – tego ranka zadzwoniła do niej Tabatha, nie mówiąc o tym Doreen, i wstawiła się za klientką. Skoro wpakowała Hinkstonów w te kłopoty, chciała spróbować ich z tego wyciągnąć. Kiedy już wyglądało na to, że Sherrena pójdzie na ugodę, Tabatha przypochlebiła się jej jeszcze, mówiąc: „O swoje pieniądze walczysz jak gangster!”.

Sherrena roześmiała się wówczas z dumą.

Sporządziła ugodę dla Doreen. Jeśli tej zależało na odstąpieniu od eksmisji, za przyszły miesiąc będzie musiała zapłacić dodatkowo czterysta dolarów, a przez trzy kolejne miesiące – dodatkowe pięćdziesiąt. Doreen podpisała ugodę. Oszczędzanie na przeprowadzkę będzie musiało poczekać.

12

Doraźne więzi

Arleen musiała opuścić mieszkanie najpóźniej następnego dnia, ale wciąż nie dostała czeku z zasiłkiem. Opiekun rodziny z organizacji Wraparound wręczył już chłopcom prezenty świąteczne. Arleen i ich ojcowie nic im nie dali. Chłopcy nie dostali też niczego od swoich wujków ani cioci, nie to, żeby się czegoś spodziewali. Trzej bracia i siostra Arleen mieli własne dzieci na głowie. Jeden brat otrzymywał zasiłek SSI, drugi dilował i pomagał właścicielom lokali przy remontach, trzeci był bezrobotny. Siostra Arleen usiłowała wykarmić trójkę dzieci z tego, co zarabiała jako opiekunka w gimbusach.

Pieniądze miała ciotka Merva. Pracowała na etacie to tu, to tam, od kiedy Arleen sięgała pamięcią, a z dzieciństwa pamiętała też okazje, kiedy przynosiła jej rodzeństwu jedzenie i prezenty. „Tylko że niczego żeśmy z tego nie dostawali" – wspomina Arleen. Jej matka i ojczym zawsze pierwsi kładli łapę na najlepszych rzeczach. Arleen nie zamierzała jednak dzwonić do ciotki z takimi drobiazgami jak pieniądze na prezenty świąteczne czy nawet na czynsz. Z biegiem lat nauczyła się, żeby do ulubionej cioci zwracać się o pomoc tylko w podbramkowych sytuacjach – nawet eksmisja nie była wystarczającym powodem. Gdyby prosiła o zbyt wiele czy nazbyt często, „nasłuchałaby się". Ciotka wygłosiłaby kazanie albo – co gorsza – przestałaby odbierać telefony.

Sherrena zakładała, że Arleen ma „jakąś rodzinę, u której może zamieszkać". Tyle że nikt z krewnych Arleen nie udał się z nią do sądu. Nikt nie zaproponował, że pomoże jej z czynszem. Nikt nie zaprosił jej i chłopców pod swój dach. Nikt nie zaoferował pomocy przy szukaniu dla niej nowego mieszkania. „No tacy już są dziwni. Moja rodzina nie pomaga

– mówi Arleen. – Nie mam nikogo, kto by mi pomógł. Szukam, aż znajdę kogoś [kto pomoże]”.

Gdy Arleen otworzyła drzwi, na schodkach ujrzała Sherrenę w towarzystwie kobiety w beżowym zimowym palcie. Sherrena, która miała w zwyczaju oprowadzać nowych lokatorów po mieszkaniach, zanim wyprowadzili się z nich ci dotychczasowi, zapytała, czy mogą wejść[1]. Przeszła się z perspektywiczną lokatorką po pokojach, przestępując nad rzeczami Arleen. Zakończywszy okazywanie mieszkania, wyjaśniła, że Arleen ma wyrok eksmisyjny i musi wyprowadzić się najpóźniej następnego dnia.

Młoda kobieta zapytała Arleen, gdzie się teraz podzieje, a ona odpowiedziała, że nie ma pojęcia. Tamta znów rozejrzała się wokół, wpatrując się w szczyty ścian, jakby próbowała ocenić solidność fundamentów. Powiedziała Sherrenie, że bierze to mieszkanie. Następnie zwróciła się do Arleen i oznajmiła, że może tu zostać z chłopcami, póki czegoś sobie nie znajdą. Arleen zerknęła na Sherrenę, która słysząc tę deklarację, uniosła brwi. Właścicielka powiedziała jednak, że nie ma nic przeciwko temu.

Wyciągnęła się pomocna dłoń, więc Arleen musiała szybko przejść do czynu, zanim ktoś tu się rozmyśli. Spojrzała na nową lokatorkę. Była dobrze ubrana, w długą sukienkę, włosy miała obwiązane jedwabną chustą. Miała ciepłą twarz, cerę barwy skóry na siodła, podbarwioną ciemniej w okolicach kości policzkowych. Mówiła łagodnie, nie była „paskudna”, śmierdząca czy obszarpana. Wyglądała młodo – Arleen usłyszała mimochodem, że po raz pierwszy wynajmowała mieszkanie. Zauważyła też jednak, że dziewczyna należała do grupy zbierającej się co wtorek na czytanie Biblii. Może nie była z niej jakaś wariatka. Arleen miała mnóstwo wątpliwości, ale wybór niewielki – albo to, albo przytułek. Wystarczyło, żeby powiedziała „dziękuję”, a cały ten stres, który zżerał ją od świąt, przepadnie.

„Dziękuję” – powiedziała. Uśmiechnęła się, a nieznajoma odpowiedziała jej uśmiechem. Arleen uściskała ją, wyrwał się jej przy tym cichy jęk.

Nieznajoma rozpłakała się z wrażenia. Arleen czuła taką ulgę i wdzięczność, że wyściskała nawet Sherrenę. Dopiero potem zapytała nieznajomą, jak się nazywa[2].

Crystal Mayberry sprowadziła się na Trzynastą Ulicę, wnosząc tylko trzy worki na śmieci pełne ciuchów – nie miała żadnych mebli, telewizora, materaca ani kuchenki mikrofalowej. Może Arleen nie była majętna, ale przynajmniej takie rzeczy posiadała, i podejrzewała, że to właśnie dzięki temu Crystal pozwoliła jej i chłopcom zostać w mieszkaniu. Arleen przeniosła Joriego i Jafarisa do swojej sypialni. Crystal złożyła swoje rzeczy w tej po chłopcach i przebywała tam, kiedy potrzebowała prywatności, ponieważ jednak nie miała łóżka, spała na kanapie Arleen w stołowym.

Arleen planowała rychłą przeprowadzkę, Crystal nie prosiła jej więc o dokładanie się do czynszu. Wobec tego, kiedy wreszcie przyszedł czek, Arleen dała Crystal sto pięćdziesiąt dolarów, opłaciła rachunek za telefon i zaległą należność za prąd. Zostało jeszcze tyle, że mogła zafundować Joriemu nowe adidasy. To było wspaniałe uczucie.

Crystal miała osiemnaście lat, mniej niż najstarszy syn Arleen. Urodziła się przed terminem, w pewien wiosenny dzień 1990 roku, kiedy jej matka podczas napadu została jedenastokrotnie dźgnięta nożem w plecy – napaść wywołała poród. I matka, i córka przeżyły. Nie był to pierwszy raz, kiedy matka Crystal oberwała nożem. Ojciec Crystal bił ją, od kiedy córka sięgała pamięcią. Palił crack, podobnie jak jej matka i matka matki.

W wieku pięciu lat Crystal trafiła do rodziny zastępczej, przeszła przez dziesiątki domów. Przez pięć lat mieszkała u cioci Rhody. Potem jednak Rhoda oddała ją na łaskę systemu. Od tamtego czasu Crystal nigdzie nie mieszkała dłużej niż osiem miesięcy. Gdy weszła w okres dojrzewania, zaczęła wdawać się w bójki z innymi dziewczynami w domach dziecka. Zapracowała sobie na kartotekę policyjną za napaści i szramę przez prawy policzek. Ludzie i ich mieszkania, zwierzęta domowe, meble, talerze – to

wszystko przemijało. Jedzenie zmieniało się rzadziej, więc Crystal w nim zaczęła szukać pocieszenia.

Kiedy miała szesnaście lat, rzuciła naukę w liceum. Gdy skończyła siedemnaście, jej opiekun socjalny zaczął przygotowywać ją do życia poza systemem. Do tego czasu przeszła już przez ponad ćwierć setki rodzin zastępczych i placówek opiekuńczych. Jako notowana za napaści była tymczasowo wykluczona z programu dopłat mieszkaniowych. Jej opiekun załatwił jednak dla niej mieszkanie sponsorowane częściowo przez agencję opieki nad dziećmi. Żeby się tam utrzymać, Crystal musiała znaleźć sobie pracę. Zupełnie jednak nie interesowały jej dwunastogodzinne zmiany w Quad Graphics czy prażenie cebulki w Burger Kingu. Złożyła tylko jedno CV. Poza tym z powodu choroby dwubiegunowej zakwalifikowała się na SSI. Crystal uznała, że comiesięczny czek na pięćset siedemdziesiąt cztery dolary to pewniejsze źródło dochodów niż jakakolwiek robota, którą mogłaby sobie znaleźć. Po ośmiu miesiącach opiekun powiedział jej, że będzie musiała opuścić to mieszkanie. Z systemu rodzin zastępczych wyszła prosto w bezdomność[3]. Sypiała w przytułkach lub na ulicy. Przez krótki czas mieszkała u babci, potem u jednej kobiety z jej kościoła, następnie u kuzynki.

Arleen i Crystal poznały się w szczególnych okolicznościach, ale połączyła je popularna taktyka stosowana przez ubogich, by opłacić rachunki i wykarmić dzieci. Szczególnie w gettach człowiek wiecznie spotyka nieznajomych: na ulicy, w urzędzie pracy, w administracji od zasiłków – i znajduje sposoby, by prosić o wsparcie lub go udzielać. Nim Crystal spotkała Arleen, przez miesiąc mieszkała u kobiety poznanej w autobusie[4].

W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX wieku ubogie rodziny często korzystały ze wsparcia rozległych sieci pokrewieństwa, by przetrwać. Biedne czarne rodziny były „zanurzone w domowej sieci znacznej liczby krewnych i przyjaciół, na których [mogły] liczyć” – pisała antropolożka Carol Stack w książce *All Our Kin* [Wszyscy nasi krewni]. Czynni członkowie takich sieci niemalże codziennie wymieniali się

dobrami czy przysługami. Tylko w nieznacznym stopniu pomagało to rodzinie wyrwać się z nędzy, ale wystarczało, żeby nie tonęła[5]. Jednak gruntowne przeobrażenia społeczeństwa – w tym epidemia cracku, rozwój czarnej klasy średniej oraz boom na więziennictwo – nadwerężyły sieci bezpieczeństwa rodzin w biednych społecznościach. Ten sam skutek miała polityka państwowa, wyrażana programami takimi jak Pomoc dla Rodzin z Dziećmi na Utrzymaniu, które dążyły do ograniczania „zależności od krewnych" poprzez przyznawanie matkom żyjącym samotnie czy z niespokrewnionymi współlokatorami wyższych zasiłków niż tym zamieszkującym u rodziny[6].

Rodzina przestała być pewnym źródłem wsparcia wśród ubogich. Krewni z klasy średniej często nie wiedzieli, jak przyjść z pomocą, albo nie chcieli tego robić[7]. A ci ubodzy zazwyczaj byli zbyt biedni, przerastały ich własne problemy czy uzależnienia, więc ich możliwości pomocy były ograniczone. W grę wchodziły też względy prawne. Crystal była przekonana, że to właśnie dlatego, kiedy opuściła system opiekuńczy, ciotka Rhoda nie przyjęła jej do siebie. Ciotka oberwała za swojego syna, w jej mieszkaniu znaleziono jego prochy, i dostała dwa lata nadzoru policyjnego. Oznaczało to, że funkcjonariusze policji mogli rewidować jej mieszkanie. Wiedząc o tym, Crystal zapytała, czy mogłaby spać u niej na werandzie. Ciotka odmówiła.

Przetrwanie skrajnej nędzy na własną rękę jest niemalże niemożliwe[8]. Jeśli nie dało się liczyć na pomoc rodziny, można było szukać jej u obcych, tworzyć doraźne więzi. Tyle że oznaczało to zwracanie się o znaczną pomoc do osoby niemalże nieznajomej[9].

Tydzień po tym, jak do mieszkania wprowadziła się Crystal, Arleen siedziała przy stole w kuchni i zakreślała ogłoszenia o mieszkaniach w gazecie i w „RedBooku", pomijając te, które wzmiankowały o „weryfikacji historii". Jafaris bawił się pistoletem do pianki uszczelniającej, który zostawił po sobie Quentin. Arleen planowała wyprowadzić się przed pierwszym. „Nigdy więcej nie chcę już mieszkać

w getcie” – mówiła. To pierwsze spotkanie z Crystal było niczym błogosławieństwo, więc stwierdziła, że może trochę powybrzydzać. Marzyło się jej mieszkanie z dwiema sypialniami, gdzieś w centrum, za mniej niż pięćset dwadzieścia pięć dolarów.

Wyprostowała się, gdy do mieszkania wszedł Jori. Chłopak wlókł się z opuszczoną głową, ciągnąc za sobą plecak. Miał na nogach nowe buty.

– Już wiesz, że dzwonił do mnie twój nauczyciel – odezwała się ostro. Jori próbował się tłumaczyć, ale przerwała mu: – Nie chcę tego słuchać, bo w każdej szkole, w której byłeś, masz ten sam problem.

– Ale nie, no bo on, no, on mi na buty nadepnął. No to ja... ja, ja, no, się obróciłem i mówię: „Depczesz mi po butach”, co nie. A nauczyciel wtedy: „No co ty gadasz? Co ty gadasz?”. Każdy w tej szkole mówi, że nauczyciele się dowalają do wszystkich dzieciaków.

– Nie chcę słuchać żadnych wymówek.

– Bo wcale mi nie wierzysz – odpalił Jori. – Ten nauczyciel już ma takich, co się na nich uwziął! Nawet klnie na dzieciaki.

– Weź już z tym skończ, nic z tego nie będzie! – wrzasnęła Arleen.

Jori pociągnął nosem, usiłując powstrzymać się od płaczu. Arleen kazała mu brać się do odrabiania lekcji, więc obrażony poszedł do ich wspólnej sypialni.

Ściskając w garści gazetę, Arleen poszła szukać mieszkania, zostawiając chłopców z Crystal. Skierowała się ku Teutonia Avenue, głównemu szlakowi przelotowemu, przecinającemu North Side po przekątnej, i zadumała się nad ilością śniegu. Od dziecka nie widziała, żeby tyle go napadało. Na Teutonia Avenue zaczęła sprawdzać kolejne szyldy informujące o mieszkaniach do wynajęcia. Czasem właściciele lokali nie odbierali telefonów, inni żądali więcej, niż była gotowa zapłacić.

Arleen zorientowała się, że zawędrowała w okolice, gdzie mieszkał jej brat Martin. Tam także zauważyła szyldy o wolnych lokalach, postanowiła jednak iść gdzie indziej. „Martin sobie pomyśli, że może nas objadać, kiedy tylko mu się, kurna, zechce” – pomyślała. Przedtem zajrzała też w rejon,

gdzie mieszkał ojciec Ger-Gera. Stamtąd również się ulotniła. „Stąd do niego jest po prostu za blisko”[10].

Arleen dała radę odwiedzić dziewięć mieszkań, nim odebrała telefon, a w słuchawce rozległ się wrzask Crystal: „Masz wypierdalać z mojego domu do wieczora. Do wieczora! Zbieraj ten swój bajzel i wynoś się do nocy!”.

Arleen słuchała tego jeszcze przez parę sekund, po czym się rozłączyła. „To już zupełna kpina” – powiedziała sobie. Crystal wspomniała coś o tym, że Jori był wobec niej bezczelny, ale Arleen czuła, że współlokatorka tak naprawdę mówi: „Jestem głodna”. W domu nie było nic do jedzenia, Crystal już wcześniej na to narzekała. Na robienie zakupów Arleen się z nią nie umawiała, ale Crystal była zupełnie bez forsy, odcięli jej też talony żywnościowe[11]. „Dopóki mamy co jeść, jest z nią dobrze ”– pomyślała Arleen. „Ale jak nie mamy, robi się właśnie tak”.

Arleen zaszła do pobliskiego sklepu osiedlowego i zamówiła pakiet mięs za dziewięćdziesiąt dziewięć dolarów, standardowy zestaw w getcie – ponad dwadzieścia kilo skrzydełek i nóżek z kurczaka, kotletów wieprzowych, kości z karczku, solonej wieprzowiny, świńskich nóżek, skrzydełek z indyka, bekonu i innych różności. Mężczyzna za ladą, rozmawiający przez telefon po arabsku, dorzucił jeszcze gratis dwa worki ziemniaków. Przy kasie Arleen dołożyła do tego napój gazowany i czipsy ziemniaczane, za wszystko płacąc talonami (co miesiąc otrzymywała je na kwotę dwustu dziewięćdziesięciu ośmiu dolarów). Za paczkę papierosów Newport 100 zapłaciła gotówką.

Gdy wróciła do mieszkania, Jori z miejsca podjął próbę przedstawienia sytuacji z własnego punktu widzenia.

– Ona mówi, że wystawi Jafarisa na dwór, jak jest, bez kurtki, bez butów, nic!

– Jafaris sam wyszedł na dwór – odpaliła Crystal. – A Jori mi tu: „Ej, suko, jak cię jebnę w ryj! Ej, suko, zrobię to. Zrobię śmo, suko”.

Arleen słuchała w milczeniu, jak matka, kiedy widzi, że jej dzieci się kłócą. Jori twierdził, że próbował wstawiać się za Jafarisem, kiedy Crystal

zagroziła, że wystawi go na dwór. Crystal upierała się, że Jori wściekł się, kiedy dla żartu zamknęła się przed nimi w domu.

– No dobra – powiedziała Arleen, jak już dość się tego nasłuchała. – Ty nawet jej nie tkniesz – powiedziała Joriemu. Potem zwróciła się do Crystal: – Ani ty nie zrobisz nic mojemu dziecku. – Gdy Jori próbował się wtrącić, warknęła: – Lepiej się zamknij.

– Ale ona nie powiedziała ci wszystkiego! – dopominał się syn.

– Czemu żeś ją wyzywał od suk, Jori? – spytała.

– Bo mnie wyzywała od imienia[12]!

– A wiesz co? – wrzasnęła Crystal. – Tak, jestem suka. Tylko pamiętaj, że ta sama suka otworzyła wam drzwi i pozwoliła wam tu zostać, choć ani was znam, ani w ogóle. Właśnie ta sama suka was tu wpuściła! Sherrena miała was gdzieś. Jej to nie musi obchodzić.

– Nie wiem, po co to powtarzasz, bo ja to wszystko wiem – odparła Arleen, czystym, asertywnym głosem. Posłała Joriego po zakupy.

Crystal machnęła telefonem.

– Co mi powie mama, żebym zrobiła, to zrobię, bo już za dużo było tej bezczelności. Za dużo! – Składała los Arleen w ręce swojej „duchowej mamy", starszej kobiety, którą poznała w domu dziecka. Wybrała jej numer, przycisnęła telefon do ucha i ciągnęła swoje: – Gdyby suką nazwał mnie raz, nic by nie było. Po prostu bym to ucięła. Ale żeby mnie wyzywał od suk przez bitą godzinę?

Nikt nie odbierał. Crystal ponownie wybrała numer.

Arleen poszła do swojej sypialni, zaczęła upuszczać sobie pary w stronę sufitu.

– Wiecznie marudzi, że nie ma żarcia. Ale nie muszę karmić nikogo poza moimi dziećmi. Nikogo!

– A ja cię, kurwa, prosiłam, żebyś mi coś kupiła? – wrzasnęła w odpowiedzi Crystal. – Bo ja cię proszę, wierz mi, prooooszę. Bo ja będę miała, co tylko potrzebuję. Co by to nie było. Może trzeba będzie dawać

dupy, ale Crystal Sherella Sherrod Mayberry będzie miała wszystko, czego potrzebuje. Wszyś-ciut-ko!

Arleen spojrzała na swoich synów.

– Rzygać mi się chce na twój widok! – krzyknęła. – Jakbym wiedziała, że będą tu takie cyrki, tobym się wyniosła. Co ja robię nie tak? Sprzątam przecież. Dopiero co kupiłam jedzenie do domu. Więc co takiego robię aż tak źle?

Crystal znów wybrała numer, ponownie bez skutku. Teraz to ona rozmawiała z sufitem. Zaczęła modlić się w głos:

– Boże, potrzebuję odpowiedzi, tak, już. Boże, proszę. Muszę się czegoś dowiedzieć od mamusi, od biskupa. Boże, daję ci słooooowo, tak bardzo chciałabym, żebyś nie nauczył mnie kochać tak, jak kocham... Czemu nie mogę żyć w goryczy przez wszystkie te okropności, które mi się przytrafiły? Jak rany, Panie!

Zaczęła śpiewać pieśń religijną. Krążyła po mieszkaniu, pomrukując, wdychając powietrze przez nos. Czasami zatrzymywała się, zamykała oczy. Starała się uspokoić.

Arleen spojrzała na Joriego.

– Ty jej pyszczysz. A jak nam powie: „Macie się wynosić!”, to gdzie się podziejemy?

– Ale ona... – zaczął.

– Gdzie się podziejemy, pytam.

Jori zamilkł, zaczął płakać. Arleen wydała cały zasiłek i nie miała pojęcia, dokąd mogłaby zabrać chłopców, gdyby Crystal wyrzuciła ich na ulicę. Spojrzała na Jafarisa, który podczas tej kłótni zajął się rysowaniem w notesie: dwa potwory w kapeluszach i buciorach, jeden duży, drugi mały.

– Wiecie co – odezwała się w końcu Crystal. Jej oczy były pełne łez, ale już nie wrzeszczała, wręcz mruczała odmienionym głosem, cichym, kojącym. – Dajcie mi coś powiedzieć. Uuuch, Panie, czemu w ogóle zesłałeś na mnie ducha miłości... Oboje żeście mnie urazili. Ale nie mogę,

no nie mogę was wywalić... No bo tak jak wam mówię, wypełnia mnie Duch Święty, i Duch Święty mówi, że nie mogę kazać wam iść stąd.

– Niby taka pełna Ducha Świętego, a klnie gorzej niż tylko troszkę – wymamrotała pod nosem Arleen. Jej zdaniem to nie Duch Święty, ale porcje mięsa, czipsy i kanapa przemówiły do Crystal. Nawet w najgorętszej kłótni pamiętała, żeby jej przypomnieć: „Bez moich rzeczy się stąd nie wynoszę”.

Jori siedział na swoim materacu w sypialni. Czuł się przygnębiony i Arleen zdawała sobie z tego sprawię. Później, kiedy już się uspokoiło, siadła przy synu i próbowała mu wyjaśnić, czemu tak się zachowywała.

– Co ze mnie za matka, że słuchałam tylko jej, a nie ciebie? – powiedziała półgłosem. – No ale tak to jest, kiedy straci się dom. Tak to właśnie jest.

13

E-24

Kiedy Beaker dowiedział się, że Larraine wprowadziła się do jego przyczepy, przykuty do szpitalnego łóżka klął jak szewc. Wściekły, ale bezradny, obmacywał bliznę po potrójnym by-passie, dwudziestoparocentymetrowego różowego robaka, który nabrzmiał mu pośrodku piersi. Kiedy udało mu się dodzwonić do siostry, ta ciężko dyszała.

– Beaker – powiedziała – zaczynamy od podstaw! Wyrzucam stąd wszystko.

Cały ranek spędziła na sprzątaniu kuchni. Pozbyła się sczerniałych resztek sosu jabłkowego i oblepionych muchami żeberek, nim doszła do wniosku, że wywalić trzeba wszystko, nawet puszkowaną żywność, bo łaziło po niej robactwo. Beaker zaproponował jej, żeby rozgościła się w tylnej sypialni, ale odmówiła, bo pokój lepił się od brudu. Wyciągnęła swój odkurzacz parowy i oczyściła nim kanapę. Będzie spała na zdjętych z niej poduszkach, obok stosu rzeczy, które uratowała ze swojej przyczepy.

Wróciwszy ze szpitala do domu, Beaker usadowił się przy kuchennym stole i cisnął papierosy do jednorazowej plastikowej miseczki, takiej, w jaką w delikatesach pakuje się oliwki. Naprawdę na imię miał Robert, ale wszyscy wołali na niego tak jak w dzieciństwie. Ten ponury, wycofany mężczyzna o zaczesanych do tyłu, przyprószonych siwizną czarnych włosach pracował niegdyś jako kierowca miejskiego autobusu, ale parę lat temu, gdy zdrowie zaczęło mu szwankować, przeszedł na emeryturę.

Beaker chciał, żeby Larraine pokrywała połowę czynszu, ona jednak odmówiła, uzasadniając to potrzebą regularnych wpłat za przechowywanie rzeczy przez firmę przeprowadzkową Eagle. Pokłócili się, ale w końcu

Beaker zgodził się, by opłacała tylko kablówkę i telefon. Wtedy pokłócili się o to, co będą oglądać. Beaker lubił programy typu *Ice Road Truckers. Drogi śmierci*, a Larraine domagała się *You Can Dance*. Potem pożarli się, bo Beaker nie chciał się dzielić posiłkami z objazdowej garkuchni, wciąż urażony, że Larraine wyrzuciła jego puszki. Jej z kolei odcięto talony żywnościowe – w zamęcie towarzyszącym eksmisji zapomniała, że miała się zgłosić do biura agencji socjalnej – zaczęła więc podpytywać sąsiadów o nadwyżki z obiadów, odwiedzać kościelne banki żywności.

Podczas pierwszej wizyty w firmie Eagle Larraine podała swoje nazwisko siedzącemu za ladą czarnemu mężczyźnie, który miał na sobie czapeczkę daszkiem do tyłu i złoty krzyżyk.

– A jak zapłacę, mogę tam wejść i sprawdzić swoje rzeczy? – zapytała.

– Nie, proszę pani. To gwarantowany magazyn. Nie mogę tam pani wpuścić. – Niedozwolone było na przykład szperanie we własnych rzeczach w poszukiwaniu odzieży zimowej.

– Jasne.

– To zapłaciła pani za przyjęcie, wydanie i za pierwszy miesiąc składowania – powiedział tamten. – W sumie trzysta siedemdziesiąt pięć. Potem za każdy miesiąc będzie kolejne sto dwadzieścia pięć.

Poradził jej, żeby postarała się odebrać swoje rzeczy jak najszybciej, żeby ominęło ją płacenie za kolejny miesiąc. Skoro jednak Larraine właśnie oddała mu ponad połowę kwoty zasiłku SSI, świetnie wiedziała, że nie ma na to szans. Jeśli będzie musiała płacić i Beakerowi, i za magazyn, minie dobrych kilka miesięcy, nim uskłada na nowe mieszkanie.

Na placu przyczep Larraine starała się nie rzucać w oczy, unikała Lenny’ego i Biurowej Susie. Wiedziała, że gdyby zwęszyli, gdzie mieszka, daliby znać Tobinowi, a ten mógłby ją wyrzucić na ulicę, i to razem z Beakerem.

Lenny i Biurowa Susie byli niezbędni Tobinowi – jak i jego lokatorom. Eksmitowanie kogoś przychodziło im równie łatwo jak dopilnowanie, żeby jego toaleta znów działała. Susie naciskała na eksmisję Pam i Scotta, ale

potrafiła też gonić za cadillakiem Tobina i wrzeszczeć na niego, jeśli uznała, że komuś policzył zbyt wysoki dług czy zanadto zwlekał z naprawą poręczy przy schodkach. Co najważniejsze, Lenny i Susie byli łącznikami między kulturami, mostem nad przepaścią dzielącą Tobina od jego lokatorów, zderzakami łagodzącymi sytuację, kiedy właściciel placu posunął się za daleko: kiedyś na przykład wypomniał dzieciom jednego z lokatorów, że ich ojciec zalega z czynszem. Lenny niejeden raz dosłownie zasłaniał Tobina własnym ciałem przed rozjuszonym lokatorem. Takie posunięcie – zamiejscowy właściciel zatrudniający kogoś z samej społeczności, najczęściej jednego z lokatorów, by zarządzał jego nieruchomością – było wręcz codziennością[1].

Tobin wypomniał ojcowskie zaległości dzieciom Donny'ego, niedogolonego brzuchacza w wieku około trzydziestu pięciu lat, którego na placu lubił prawie każdy. Donny już wcześniej postanowił, że nie będzie Tobinowi płacić – nie dlatego, że nie miał z czego, ale dlatego, że czuł się pomiatany przez właściciela placu. Czynsz zdeponował w funduszu kaucyjnym, wytykając, że w jego przyczepie cieknie dach, a pod zlewem pojawił się grzyb.

– Wiesz, co mi powiedział? – opowiadał swojemu sąsiadowi Robbiemu Donny. – „Widziały gały, co brały". Tobin to po prostu taki matoł, że nawet nie wie, że nie wszyscy tu żyją z zasiłków.

– Żebyś wiedział, cholera! – Robbie splunął. – Pyta mnie, czy mam pracę. A ja mu: „Ej, kutafonie, pracuję i jestem w związkach!".

Robbie wiercił tunele głębinowe, należał do rejonu związkowego numer 113.

– Będziesz mnie traktował jak gówno na bucie, ni diabła ci nie zapłacę. Nieważne, kim jesteś. Nie będziesz sobie siedział i mną pomiatał. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– No bo jestem robol.

– No bo mieszkasz na placu przyczep, kropka. Ale wciąż, kurwa, jesteś człowiekiem.

Lenny też był z roboli i rozumiał powody irytacji lokatorów. Zgadzał się, że staremu „odbijała palma”. Czasem jednak przechodził do kontrataku.

– Wielu mówi: „Tobin to buc”. A niby czemu to on jest bucem? To wy wisicie mu kasę.

Donny, Robbie i reszta lokatorów placu nie wiedzieli o jednym: Lenny miał motywację finansową, by pilnować ich wpłat. Co miesiąc dostawał sto dolarów premii, jeśli inkaso przekroczyło pięćdziesiąt tysięcy. Za każde kolejne dwa tysiące wpadała mu dodatkowa stówka.

Bywały dni, kiedy Lenny maszerował po placu z Rogerem z Wydziału Służb Komunalnych, dopowiadając za niego końcówki zdań. Inspektor Roger zerkał na swoją podkładkę, przeglądał notatki z poprzedniej wizyty.

– No to W-45, to była...

– Ta szopa – wciął się Lenny. – Zabraliśmy ją stąd.

– Aha.

– Ej, Roger – zawołał ze schodków przyczepy jeden z lokatorów. – Widzisz tu coś?

– Czy ja tu coś widzę?

Większość lokatorów z placu znała się z Rogerem, mieli jego wizytówki w kuchennych szufladach. Kiedy jakiś problem mieszkaniowy dopiekł im już do żywego, grozili nie telefonem do Wydziału Usług Komunalnych, ale bezpośrednio do Rogera. Roger, biały, łysiejący mężczyzna ze starannie przyciętą bródką, miał na sobie białą firmową koszulkę polo i lewisy rozmiar 33/30.

– Znaczy jakieś naruszenia przepisów? – rozwinął myśl lokator, chcąc pomóc.

– No dacza to to nie jest, ale jeśli da się wewnątrz mieszkać, to ja nie mam uwag.

– Więc nie ma żadnych naruszeń?

Roger wzruszył ramionami i poszedł dalej. Pewnie, że były tu naruszenia. Zauważył stos śmieci za przyczepą tego lokatora, arkusz sklejki

zastępujący szybę w oknie. Część przyczep miała po kilka popękanych okien, przy innych stały pokaźne stalowe beczki wykorzystywane nocą jako paleniska, śmieci pływały w kałużach i wysypywały się z dwóch potężnych kontenerów stojących na obu końcach placu. Tobin odmówił wykupienia indywidualnych kubłów na śmieci, ale kontenery przepełniały się znacznie szybciej, niż były opróżniane, nęcąc szopy pracze i oposy. Jeden z mieszkańców zadźgał takiego oposa raptem parę dni przed wizytą Rogera. Kiedyś Lenny jednego zastrzelił. Kiedy śmieciarze przyjeżdżali po kontenery, lokatorzy najbliższych przyczep próbowali namawiać kierowców, by przestawili zbiorniki gdzie indziej. Pokazywali na którąś z przyczep i (czasem nawet zgodnie z prawdą) twierdzili: „W tej nikt nie mieszka!”.

Roger westchnął.

– Facet, przez was muszę naspisywać tyle tego szajsu.

– No to daj czasem ręce odpocząć – odparł Lenny, sugerując, żeby Roger nie notował wszystkich naruszeń.

– Mam jak najlepsze intencje, Lenny, jak najlepsze. Ale za każdym razem, kiedy tu wchodzę, coś znajduję.

I to tylko przy oględzinach z zewnątrz. Roger podczas inspekcji z reguły nie zaglądał do wnętrza przyczep, gdzie mógłby ujrzeć zapadnięte wanny podparte lewarkami samochodowymi czy bojlery odłączone od rurek odpowietrzeniowych.

Roger zatrzymał się przed jedną z przyczep.

– A do tych okien to chyba ktoś strzelał.

– No cóż – odparł Lenny. – Oni nie mają za co kupić nowych. Więc niby co mam zrobić? Nie chcę fundować im okien. – Ta przyczepa należała do lokatorów, czyli to na nich spadała odpowiedzialność za naprawy.

– Też bym nie chciał, żebyś ty za to płacił.

– Czyli nie będzie z tym problemu?

– Dla mnie nie.

Gdy wrócili do biura, Roger westchnął i oparł głowę na rozchylonych dłoniach.

Tobin odłożył słuchawkę.

– No dobra. O co chodzi? Jak stoimy?

– Słuchaj, jeśli chcesz trzymać tu, na placu, tak zapuszczone przyczepy, to musisz zadbać, żeby tu się dało mieszkać. – I Roger zaczął wymieniać część najpoważniejszych problemów: śmieci, pootwierane składziki w szopach, potłuczone szyby.

– To była ciężka zima – wtrącił Lenny.

– Przecież za to was nie spiszę – odparł Roger, mając na myśli popękane okna. Wiedział, że spisanie każdego naruszenia przepisów nie jest nawet możliwe, podejrzewał też, że niekoniecznie przysłużyłby się w ten sposób lokatorom.

Do biura zajrzał złomiarz Rufus.

– To jak, jesteśmy bezpieczni? – zapytał Rogera. Choć miasto przedłużyło Tobinowi koncesję na prowadzenie placu, wielu lokatorów wciąż obawiało się przymusowej wyprowadzki.

– Tak – odparł Roger.

– I dobrze. Nie będę musiał przenosić mojej wielkiej kociej budy.

Matka Rufusa w chwili śmierci miała siedemdziesiąt dwa koty. Udało mu się już zejść do trzech.

Wkrótce po przejęciu zarządzania placem przyczep firma Bieck Management zwolniła Lenny’ego i Susie. Lenny po przeczytaniu wypowiedzenia umowy wziął się do usuwania swoich rzeczy z biura, w którym przepracował dwanaście ostatnich lat. Zebrał narzędzia, odkręcił od ściany poroże.

Drzwi otworzyły się szeroko.

– Da się załatwić odroczenie? – zapytał jakiś mężczyzna w okularach przeciwsłonecznych.

Lenny zawahał się.

– Nie wiem – powiedział w końcu. – Wylali mnie.

Kwestie niegdyś rutynowe stały się nagle bardzo niepewne. Przez twarz mężczyzny przebiegł spazm zaniepokojenia. Wyszedłszy z biura, lokator przekazał te wieści pierwszej napotkanej osobie. Gdy nowiny się rozeszły, placem wstrząsnął lęk. Czy nowy zarząd będzie szanował umowy zawierane na gębę? Czy czynsze pójdą w górę? A liczba eksmisji? Byli tu tacy, którzy nienawidzili Lenny'ego i Biurowej Susie, ale przynajmniej z nimi się znali.

– W tym nowym układzie nikomu nie popuszczą – stwierdziła Dawn. – Ludzie, którzy pracowali w biurze, pomagali innym, bo my tu zarabiamy tyle co nic.

Gdy wieści dotarły do sąsiadki Dawn, Tam, narkomanki w siódmym miesiącu ciąży, ta poszła do biura i przez dłuższą chwilę tuliła Lenny'ego.

W ostatnim dniu pracy Biurowa Susie skasowała swoje przywitanie z poczty głosowej placu, a Lenny zostawił na biurku ciężkie kółko z kluczami.

Bieck Management na miejsce Lenny'ego przyjęło świeżo upieczonego absolwenta Uniwersytetu Stanowego Wisconsin w Eau Claire. Ten dwudziestotrzylatek (tak młody, że mógłby być synem Lenny'ego) nie miał pojęcia o swojej pracy, a lokatorów traktował z wyższością, ale nie odpuszczał. Nowy majster od napraw rzucił robotę po tygodniu, mówiąc: „No bo dziewięćdziesiąt dziewięć procent tych tu przyczep to już zupełne rudery... Siedem lat pracowałem przy przyczepach, ale nie przy takich jak te na tym placu".

Skoro zabrakło Lenny'ego i Susie, Tobin musiał sam zająć się niektórymi kwestiami. Nie miał z tym kłopotu – zawsze należał do tych, którzy biorą sprawy w swoje ręce. Przez dwanaście lat posiadania placu przyczep College Tobin nauczył się czerpać zyski z tych stu trzydziestu jeden zdezelowanych przyczep kempingowych. Największe wrażenie robił jego dar przeobrażania takiej skrajnie zapuszczonej budy w maszynkę generującą czynsz w ciągu zaledwie paru dni – i to niemal bezkosztowo.

Po eksmisji lokatora imieniem Theo i jego dziewczyny z przyczepy numer E-24 Tobin musiał zrobić tam porządek. Theo słynął na placu jako typ, który „nigdy się nie pocił" – leniwy gość, co nie kalał się żadną pracą. W jego przyczepie było potwornie.

Do jej wysprzątania Tobin zatrudnił panią Mytes. W odróżnieniu od niektórych innych starszych lokatorów, którzy, wydawało się, czekają już tylko na śmierć, łykając przepisane przez lekarza pigułki i przysypiając przed telewizorem, pani Mytes wciąż jeszcze nie składała broni. Od samego rana wdawała się we wrzaskliwe, pełne wyzwisk kłótnie ze swoją dorosłą córką Meredith. Gdy mieszkańcy placu wyjeżdżali czy wracali z pracy, zdarzało im się czasem dostrzec ją nawet kilka kilometrów od domu, jak pchała sklepowy wózek po brzegi wypełniony aluminiowymi puszkami. Starsza pani była krzepka i umiała ciężko pracować.

Pani Mytes ucieszyła się z szansy dodatkowego zarobku, niechby i za przyczepę E-24. Dało się ją zwęszyć, nawet stojąc trzy metry od niej. Wewnątrz panował wręcz patologiczny syf. Popielniczki i pety na podłodze, zlew zawalony talerzami z resztkami posiłków, czarny śluz rozpełzł się po całej toalecie, wszędzie walały się śmieci, w kilku miejscach wykładzina była wilgotna od kocich szczyn, a z sufitu zwieszały się paski lepu na muchy w kolorze miodowym. Theo i jego dziewczyna wynieśli się w pośpiechu, zostawiając po sobie stosy bambetli: parę wrotek, kask motocyklowy, kanapę, kompletną skrzynkę narzędziową, zabawkowy helikopter, prawo jazdy. Pani Mytes zaczęła targać to wszystko do kontenera na śmieci. Po paru kursach poprosiła Biurową Susie o parę gumowych rękawic.

Przez drzwi zajrzał złomiarz Rufus.

– Ożeż – powiedział, rozglądając się wokół. – Aż boli, kiedy to mówię, ale nawet czarnuchy nie robią takiego chlewu.

Pani Mytes rzuciła tylko gromkie „ha!", nie przerywając pracy.

Rufus przyszedł po metal. Zarabianiem na śmieciach zajmował się w pełnym wymiarze już od roku 1984 i z dumą podkreślał, że jego życie „nie kręci się wokół skrzynki pocztowej", nie to co u jego sąsiadów co

miesiąc wyczekujących zasiłku SSI. Tobin poprosił go o zabranie mikrofalówki, lodówki, suszarki i wszelkich innych większych sprzętów. Rufus wyciągał właśnie zmywarkę, kiedy Tobin zjawił się w przyczepie. Miał na sobie odprasowane spodnie koloru khaki i koszulkę polo, mrużąc oczy, obserwował postępy prac. Nie ruszał go bałagan, już wcześniej widywał takie rzeczy.

– Dobra, Rufus – powiedział. – Zabierajmy stąd ten szrot, będzie widać, na czym stoimy.

Rufus przez dwie godziny ładował cały złom na pakę swojego starego granatowego chevroleta. Od Tobina nie dostał ani grosza, ale w skupie zgarnął prawie sześćdziesiąt dolarów. Pani Mytes harowała przez bite pięć godzin. Tobin zapłacił jej dwadzieścia dolarów.

Kiedy przyczepa została już opróżniona, Tobin zamieścił w gazecie ogłoszenie. Wkrótce pojawiły się małżeństwa chętne obejrzeć takie lokum, a Tobin oferował im „pakiet robociarza”. Przepraszał za stan przyczepy – wciąż śmierdziało w niej dymem i kocimi szczynami, niektóre szyby były popękane, czarny śluz nie zniknął z toalety – ale na pociechę dokładał parę miesięcy bez czynszu. Kilka tygodni po wyprowadzce Theo Tobin miał już w E-24 nowych lokatorów. Małżonkowie zaczęli remontować swój nowy dom z pieniędzy zaoszczędzonych dzięki zwolnieniu z czynszu. Po dwóch miesiącach płacili już Tobinowi pięćset dolarów miesięcznie tytułem opłaty za miejsce na placu.

Biurowa Susie uważała, że Tobin zapłacił pani Mytes za mało, ale nic nie powiedziała. Innych ludzi pracujących dla Tobina, tych, którzy przycinali trawę czy zbierali śmieci, żeby mieć na piwo, nazywała „regularnymi lumpami z placu”. Tobin przestał im płacić, kiedy radny Witkowski postawił warunek wynajęcia zewnętrznej firmy do pomocy w zarządzaniu placem, ale niektórzy wciąż robili swoje, z nudów czy też w nadziei, że kiedyś jednak dostaną jakieś pieniądze. Jednym z nich był Troy, kościsty, bezrobotny mechanik motocyklowy. Pomógł nawet przy usuwaniu ścieków, kiedy wybicie kanalizacji sprawiło, że plac College trafił do wiadomości telewizyjnych. Zarobił za to tylko tyradę od swojej konkubiny Samanthy.

– Niby co mamy zrobić! – wrzeszczała Samantha, wciąż w uniformie kelnerki George Webb, sieci restauracji z centralą w Wisconsin, które przez cały dzień serwują dania śniadaniowe. Troy i Samantha zalegali z czynszem, mieli nadzieję, że Tobin coś im odliczy za osiem godzin obrzydliwej roboty, choć właściciel placu nie umawiał się z Troyem na tę pracę. – Przecież zbierałeś gówna! Ludzkie gówno!

– Jedno ci powiem – zaczął Troy. – Sprzątałem już końskie gówna, szuflowałem obornik ze stajni. Sprzątałem kurze gówna. Ale ludzkiego jeszcze nigdy. Śmierdziało potwornie.

– No wiem, ty też śmierdziałeś potwornie! – Samantha westchnęła. – Ja jestem suka – podjęła. – Jestem suka. Ale to nie znaczy, Troy, że z ciebie jest kundel.

Troy opuścił głowę w milczącym geście zgody i upił łyk milkshake'a, którego Samantha przyniosła z pracy.

– Tobin najchętniej cały czas by jojczył i płakał – powiedział. – Facet sra szmalem, a wciąż mu mało. Przecież zarabia na tym placu ponad milion. – Gestem wskazał rząd przyczep. – Weź to sobie policz.

Radny Witkowski podał podobną kwotę, twierdząc, że plac przyczep Tobina przynosił mu na czysto blisko dziewięćset tysięcy dolarów rocznie. I Troy, i Witkowski wyszli od prostej matematyki – przemnożyli sto trzydzieści jeden przyczep na placu przez średnią kwotę czynszu (pięćset pięćdziesiąt dolarów). To bardzo leniwe wyliczenie, zakładające, że Tobin nie miał żadnych kosztów czy wolnych przyczep – i że jego lokatorzy zawsze płacili całą należną kwotę.

Plac nie był obciążony hipotecznie – Tobin kupił go w 1995 roku za 2,1 miliona dolara i spłacił to po dziewięciu latach[2]. Musiał jednak opłacać podatki gruntowe, rachunki za wodę, koszty remontów bieżących, pensje i redukcje czynszów Lenny'ego i Biurowej Susie, jak też należności za ogłoszenia i eksmisje. Uwzględniając te wydatki, niezamieszkane przyczepy oraz niepłacone czynsze, Tobin inkasował rocznie na czysto około czterystu czterdziestu siedmiu tysięcy, połowę tego, co wyliczył radny[3]. Mimo to należał do jednego procentu najlepiej zarabiających ludzi

w kraju. Większość jego lokatorów plasowała się w dziesięciu procentach najgorzej zarabiających.

Troy dopił milkshake’a.

– I jak, kochanie, smakowało? – zapytała Samantha, rozcierając mu ramię.

14
Wysoka tolerancja

Scott nie miał zamiaru bronić się przed eksmisją. Odpuścił sobie wizytę w sądzie, nie starał się porozmawiać z Tobinem. Zamiast tego skupił się na szukaniu nowego mieszkania. Po kilku telefonach zorganizował mu coś Pito z Anonimowych Narkomanów. Pito współpracował z właścicielami mieszkań, robił im naprawy i dostarczał lokatorów, więc mógł poręczyć za Scotta jednemu z tych, których znał. Lokal znajdował się w bliższej centrum części South Side, na piętrze, miał dwie sypialnie, był ciasny, nieurządzony, balkon groził zarwaniem, a prysznica w ogóle nie było. Jednak właściciel chciał tylko czterysta dwadzieścia dolarów miesięcznie i nie bawił się w sprawdzanie przeszłości lokatorów.

W pakiecie z mieszkaniem był też siostrzeniec Pito, na którego wołali D.P. Ten dziewiętnastolatek o dziecinnej buzi, z niedużą kolekcją tatuaży i kolczyków, został niedawno zwolniony z więzienia, gdzie odsiadywał wyrok za posiadanie broni i jej modyfikowanie. Ze strzelby zrobił obrzyna. D.P. był w gangu Cobras i chciał mieć spluwę na wypadek, gdyby kosa z Kings poszła już na ostro. W więzieniu zdał testy kończące liceum i zdobył kolejny tatuaż, słowo POCZĄTEK.

Pewnego dnia Pito dowiedział się od innego właściciela lokali, że na pobliskim placu przyczep zmarł jakiś starszy facet i nikt nie zgłosił się po jego rzeczy. Załatwił więc Scottowi i D.P. robotę przy usuwaniu jego dobytku, w zamian za co mogli sobie wziąć, co chcieli. W szafie zmarłego Scott znalazł odprasowany garnitur w zapinanym na suwak pokrowcu i wyściełaną jedwabiem walizkę. W łazience poznał nazwisko zmarłego dzięki naklejkom pocztowym na okładkach pisma związku weteranów wojennych. Najwięcej jednak powiedziały mu osmalenia przy łóżku po tlących się papierosach. Doprowadziły go do wniosku, że starszy pan był

morfinistą. W przemyśleniach Scotta narkotyki objaśniały znaczną część porządku świata: czemu ten człowiek umarł tu samotnie, czemu Pam i Ned wylecieli z placu przyczep, czemu on był właśnie w domu nieznajomego i wybierał sobie do mieszkania zaniedbane meble.

Nowi współlokatorzy załadowali kredens i kanapę na uwalaną olejem pakę forda F-150. Gdy pick-up był już pełen, D.P. odpalił silnik i włączył rap, głośno. Scott wolałby inną muzykę – jego ulubioną piosenką było *Solsbury Hill* Petera Gabriela – ale nic nie powiedział.

Scott wciąż był w ekipie u Miry, ale tam z robotą było coraz słabiej. Mira zbyt szybko przerobiła wszystkie zlecenia, goniąc swoich ludzi do dwunastogodzinnych dniówek przy taszczeniu zmywarek i suszarek, materacy, rozkładanych wersalek. Kiedy tragarze narzekali na wyczerpanie czy uskarżali się na bóle, Mira sprzedawała im środki przeciwbólowe. Zdaniem Scotta miała zbyt wysokie ceny. Kiedy sam potrzebował takiej ulgi, umawiał się gdzieś z Heroinową Susie.

– Chciałbym robić tak jak Pito – odezwał się D.P. – Chcę wracać do domu czysty, wychodzić do roboty czysty. Nie ma opcji, żebym pierdolił się z takimi rzeczami do trzydziestki.

Scott też sobie tego nie wyobrażał, dawno temu, kiedy był w wieku D.P.

Po rozładunku mebli D.P. i Scott wypili po piwku na schodach swojego domu. Mieszkali przy Ward Street, na zachód od Kinnickinnic Avenue, przez miejscowych nazywanej krótko KK. Widok mieli na niezabudowane grunty wzdłuż torów kolejowych. Stąd było niedaleko do mieszkania, które Scott wynajmował przed laty, gdy był pielęgniarzem i mieszkał na Bay View, w prosperującej dzielnicy wabiącej młodych przedstawicieli dobrze płatnych zawodów, artystów, hipsterów. Ze schodków Scott i D.P. widzieli kopułę bazyliki Świętego Jozafata. Sto lat temu polscy parafianie opróżnili swoje konta, by ufundować ten monumentalny gmach, „zredukowaną wersję bazyliki Świętego Piotra w Rzymie”[1]. Sącząc piwo, Scott zażartował:

– Sam złożę osobiste śluby ubóstwa... Będę już tylko kupował trochę jedzenia, ciuchy, czasem jakieś prochy.

D.P. milczał.

– Szlag – stwierdził Scott, gdy minęła dłuższa chwila. – Ależ mnie rypią plecy i kark. – Zaczęły się mścić długie dniówki dla Miry.

– Czemu nie pójdziesz z tym do lekarza? – spytał D.P.

– Bo chyba nic by na to nie poradzili. – Scott urwał. – Mogliby przepisać mi percocet! Tylko szkoda, że całą receptę wyłykałbym w jeden dzień.

Scott wciąż kupował sobie vicodin na placu przyczep. Jak przypuszczał, wśród mieszkających tam dorosłych tylko pani Mytes nie zażywała prochów ani teraz, ani kiedykolwiek wcześniej. Scott uwielbiał narkotyki. Haj był jak „miniwakacje" od hańby, jaką było jego życie. Wybierał się więc w tripy za każdym razem, kiedy mógł sobie na to pozwolić.

Jednego zaliczył z Pam i Nedem wkrótce przed tym, jak otrzymali powiadomienie o eksmisji i wynieśli się w pośpiechu, zostawiając kanapę, łóżka, komody i inne większe przedmioty. Zdaniem Scotta zasłużyli sobie na to, co ich spotkało. W dawnym życiu, nim się stoczył, miałby może dla nich więcej współczucia. Zaczął jednak postrzegać współczucie jako swego rodzaju naiwność, sentyment wyrażany z bezpiecznego dystansu przez nierozgarniętą klasę średnią. „Stać ich na współczucie, bo to nie jest ich jedyna opcja" – powiedział kiedyś o liberałach niemieszkających na placach przyczep. Co do Pam i Neda, Scott uważał, że eksmisję spowodowało ich uzależnienie od cracku, koniec kropka. Zgadzała się z nim Heroinowa Susie. „Wszystkie eksmisje mają pewien wspólny mianownik – powiedziała. – Mnie też raz prawie eksmitowali. Przepuściłam pieniądze na coś innego".

Mieszkańcy placu przyczep rzadko protestowali przeciwko eksmisji sąsiada, czy miał reputację narkomana czy nie. Eksmisje im się należały, uważano je za wynik błędów popełnianych przez poszczególne osoby. Dzięki nim „można było pozbyć się hołoty", powiadali niektórzy. Nikt nie był tak pewien tego, że biednym nie należy się wsparcie, jak sami biedni[2].

Był czas, że najemcy sprzeciwiali się właścicielom, postrzegali siebie jako „klasę" o wspólnych interesach i spójnych celach. W początkach XX

wieku organizowali się, by walczyć przeciwko eksmisjom i niehigienicznym warunkom zamieszkania. Gdy właściciele zbyt często czy zbyt radykalnie podnosili czynsze, lokatorzy posuwali się nawet do strajków czynszowych. Strajkujący wespół odmawiali opłacania czynszu, organizowali pikiety, narażając się na eksmisje, aresztowania czy pobicie przez najemnych opryszków. Ci strajkujący to nie było jakieś szczególnie zradykalizowane towarzystwo – w większości zwyczajne matki i ojcowie wierzący, że właścicielom lokali należą się umiarkowane podwyżki czynszów i godziwe zyski, ale nie „praktyki paskarskie". W Nowym Jorku wielkie wojny czynszowe w latach prohibicji zmusiły władze stanowe do narzucenia ograniczeń czynszowych, które do chwili obecnej pozostają najostrzejsze w kraju[3].

Petycje, pikiety, nieposłuszeństwo obywatelskie – tego rodzaju mobilizacja polityczna wymaga pewnej zmiany oglądu świata. Jak odnotowali socjolodzy Frances Fox Piven i Richard Cloward, „by ruch protestu zrodził się z cierpień życia codziennego, musi dojść do tego, że układy społeczne uważane powszechnie za sprawiedliwe i nienaruszalne będą postrzegane jako zarazem niesprawiedliwe i możliwe do naruszenia"[4]. Z reguły dochodzi do tego w niezwyczajnych czasach, kiedy przekształcenia społeczne na wielką skalę czy zaburzenia gospodarcze – powojenny niedobór substancji mieszkaniowej, powiedzmy – dogłębnie przeorzą status quo. Jednak samo dostrzeżenie niesprawiedliwości to jeszcze zbyt mało. Masowy sprzeciw jest możliwy tylko wtedy, gdy ludzie uwierzą, że w grupie mają zdolność doprowadzenia do zmian. Dla biednych oznacza to konieczność utożsamienia się z ciemiężonymi i uznania, że samemu się do nich należy – a na to większość mieszkańców placów przyczep absolutnie by nie przystała.

Podczas strajków czynszowych lokatorzy wierzyli, że mają wobec siebie zobowiązania natury moralnej[5]. Jeśli protestowali przeciwko nadmiernym podwyżkom czynszów czy bezpodstawnym eksmisjom, to dlatego, że byli zżyci ze swoimi domami i sąsiedztwami. Czuli, że to ich miejsce. Na placu przyczep uczucie to niemalże wymarło. Dla większości jego mieszkańców,

w tym i Scotta, celem była wyprowadzka, a nie zakorzenianie się tam i walka o zmiany. Niektórzy mieszkańcy mówili o sobie, że „to tylko tymczasowe”, nawet jeśli owa tymczasowość trwała niemal tak długo, jak sami żyli. Jeden bezrobotny ojciec trójki dzieci, zasilający sprzęty w przyczepie kradzionym prądem, powiedział: „Nie przyjmujemy tu naszych krewnych. To nie nasze miejsce. Tak żyją niższe klasy, wyrastałem z lepszego”. Była żona Lenny’ego, która, jako była żona Lenny’ego, w swoim czasie praktycznie rzecz biorąc, była zamężna z całym placem, lubiła mówić ludziom: „Zapominacie chyba, że chadzałam niegdyś do opery”. Tam, ciężarna narkomanka, uważała plac przyczep za „hotel”.

Ubogie sąsiedztwa dają swoim mieszkańcom całkiem niemało. Na placu przyczep mogli spotkać ludzi umiejących spiratować sygnał kablówki, ekspertów od godzin otwarcia najlepszych banków żywności czy składania wniosków o SSI. W całym mieście to właśnie osoby żyjące w dotkniętych ubóstwem sąsiedztwach częściej wspierały sąsiadów przy płaceniu rachunków, zakupach żywnościowych, naprawach samochodów czy w inny sposób w porównaniu z tymi w zamożniejszych okolicach[6]. Taka wymiana pomaga tym, którzy otrzymują wsparcie, zaspokoić podstawowe potrzeby materialne, a tym wsparcia udzielającym – silniej poczuć własne człowieczeństwo.

By jednak mogło dochodzić do takich żywotnych wymian, mieszkańcy muszą powiadomić innych o swoich potrzebach i przyznać się do własnych porażek. Gdy Larraine poprosiła sąsiadkę o możliwość skorzystania z jej prysznica, musiała wyjaśnić, że w jej przyczepie odcięto gaz. Fakt ten stał się wiedzą publiczną, kiedy wracała do siebie z mokrymi włosami. Przy innej okazji dzieci lokatorki imieniem Rose zostały zabrane przez służby opiekuńcze. Mieszkańcy placu przyczep przysiadali się do niej, kiedy zanosiła się łkaniem. Pocieszali ją, pilnowali, żeby nie zrobiła sobie krzywdy, ale ponieważ widzieli, co się stało, również ją osądzali. „To żaden powód do dumy – powiedziała jej Dawn. – Ale Pan odebrał ci je nie bez powodu”[7].

Gdy ludzie zaczęli widzieć własne sąsiedztwo jako miejsce podmywane przez ubóstwo i nieobyczajność, pełne „wszelkiego rodzaju życiowych rozbitków”, utracili wiarę w jego polityczne możliwości[8]. Najemcom z Milwaukee, którzy zauważali w okolicy znacznie większe cierpienia – przekonanym, że wśród sąsiadów byli tacy z przeszłością więzienną, ofiary znęcania, uzależnień czy innych bolesnych doświadczeń – zdecydowanie trudniej było uwierzyć, że ich społeczność mogłaby zjednoczyć się w walce o lepsze życie[9]. Ów brak wiary wynikał nie tyle z rzeczywistych poziomów ubóstwa czy przestępczości w danej okolicy, ile raczej z poziomu skondensowanego cierpienia, jaki ci ludzie postrzegali wokół. Społeczność tak wyraźnie dostrzegająca własne udręki miała trudności z dostrzeżeniem, że dysponuje również potencjałem.

Od czasu do czasu zdarzało się, że lokatorzy Tobina rzucali mimochodem uwagę o zyskach, jakie czerpał on z placu, czy wyzywali go od pazernych Żydów. „Ten cadillac to ma niezłe felgi. No, na bank nie kupił ich za dychę”. „Facet po prostu chce sobie nabić kabzę”. Jednak najczęściej cechowała ich wysoka tolerancja dla nierówności. Praktycznie nie poświęcali czasu na rozważania nad szerokością przepaści dzielącej ich nędzę od zamożności Tobina ani na pytania, czemu czynsz za steraną przyczepę o aluminiowej skorupie pochłaniał tak znaczną część ich dochodów. Skupiali się na pomniejszych, bardziej namacalnych problemach. Gdy Witkowski orzekł, że Tobin zarabia rocznie niemal milion dolarów, mężczyzna mieszkający po tej samej stronie placu co Scott, oznajmił: „A ja na to sram w przysiadzie [...] Póki on pilnuje, żeby tu było tak, jak trzeba, a ja nie muszę się martwić, że mi sufit, kurde, spadnie na łeb, wszystko mi jedno”.

Większość najemców w Milwaukee miała dobre zdanie o właścicielach ich lokali[10]. Kto ma czas protestować przeciwko nierównościom, jeśli usiłuje załatać dziurę w przegniłej podłodze, zanim córeczka znów się w niej zapadnie? Kogo obchodzi, ile zarabia właściciel, skoro był gotów iść ci na rękę, póki nie wygrzebałeś się z finansowego dołka? Zawsze może być coś gorszego niż plac przyczep, zawsze można spaść gdzieś niżej.

Lokatorzy mieli okazję sobie o tym przypomnieć, kiedy cały plac był zagrożony eksmisją, i poczuli to znowu, gdy czynsze zaczęli inkasować ludzie z Bieck Management[11].

To był kiepski tydzień. Najpierw Scott zgubił klucze i wymyślił, że włamie się do własnego mieszkania, wybijając pięścią szybę w oknie od frontu. Potem padł prąd. Następnie Mira wylała go z roboty. Osobiście nic do niego nie miała: po prostu znalazła ekipę ćpunów gotowych harować za dwadzieścia pięć dolarów dziennie. Dzięki Anonimowym Narkomanom Scott wiedział, że nałóg trzyma mocniej, kiedy człowiek jest głodny, zły, samotny czy zmęczony – od pierwszych liter angielskich słów *hungry, angry, lonely* i *tired* nazywa się to HALT – a teraz doskwierały mu wszystkie te cztery problemy naraz. Gdy Mira go zwolniła, część ostatniej wypłaty przeputał, żeby się spić i naćpać w domu u kumpla. Wtedy też zadzwonił do matki, salowej w szpitalu na wsi w Iowa. Przez telefon powiedział jej, że pije (o heroinie nie wspominał), o tym, że stracił uprawnienia pielęgniarskie, kiedy uzależnił się od środków przeciwbólowych. Przedtem o tym nie wiedziała. Scott nie rozmawiał z nią od ponad roku. „Mamo – mówił z płaczem – przepraszam. Jestem załamany. Kurwa, jestem załamany”.

Zanim zdążył dokończyć, matka weszła mu w słowo, nie zdając sobie sprawy, że potrzebował całej siły, jaką w sobie miał (i dwunastu piw), żeby wybrać wszystkie dziesięć cyfr, a nie przerwać przy siódmej czy dziewiątej, jak to zwykle bywało. Wyjaśniła, że jest w furgonetce pełnej krewnych i chwilowo nie może rozmawiać. Całą grupą jechali na weekend do Branson w stanie Missouri. „Ale wiesz, Scott, że zawsze możesz wrócić do domu” – powiedziała.

Scott rozważał jej propozycję. Jak miałby dotrzeć do Iowa bez samochodu czy choćby pieniędzy na pociąg? I gdzie znalazłby tam heroinę? Już po jednym dniu jego organizm zacząłby zbliżać się do rzygu. I jeszcze to, że traktowaliby go z litością. Myślał o tym wszystkim, kiedy dzień po tej rozmowie wędrował alejkami supermarketu sieci Pick ’n Save.

Zaproponował Heroinowej Susie, że kupi jej lunch za swoje talony żywnościowe, jeśli da mu działkę. „Znaczy w sumie mógłbym wrócić do domu, no ale mam już, kurwa, te czterdzieści lat [...] Musiałbym tam wrócić i wyjaśnić im, co nie, że zjebałem sobie całe, kurwa, życie”. Scott nigdy nie prosił rodziny o pomoc. Pomyślał sobie o ich trawnikach, etatach, dzieciach, o tych normalnych problemach i doszedł do wniosku: „Nawet by nie wiedzieli, co robić... Więc co by to była za pomoc?”. Pod tym względem krewni w klasie średniej bywali zupełnie bezużyteczni.

Scott ustawił się w kolejce do kasy. Zauważył, że mężczyzna przed nim miał syrop Robitussin.

– Przeziębienie? – zapytał.

– Aha – odparł tamten. – Jakoś nie mogę się z tego wygrzebać. – Zakasłał, jakby na dowód tych słów.

– Moment – powiedział Scott. Wyciągnął długopis, kawałek kartki i napisał: „Witamina C, cynk i jeżówka”. – To bym panu zalecał.

Nie pojechał z powrotem do Iowa. Zamiast tego postanowił pójść na odwyk. Rankiem dnia, w którym zamierzał zgłosić się do kliniki, obudził się jeszcze w ciemnościach, przystrzygł brodę i wetknął koszulkę w spodnie. Chciał wygrzebać się z dołka. Czuł podenerwowanie, ale był gotów.

Gdy o siódmej rano, na godzinę przed otwarciem kliniki, wyszedł z windy, zobaczył, że i tak się spóźnił. W kolejce stało już piętnaście osób. Byli tam starsi czarni panowie, odstawieni na okazję urzędowej wizyty, bluzgająca jak sołdat biała kobieta w kowbojkach, może koło pięćdziesiątki, dwóch młodych Meksykanów w przysiadzie poszeptujących do siebie po hiszpańsku, czarny dwudziestoparolatek, któremu spodnie zjeżdżały z tyłka, a także ponura biała nastolatka, która opuściła sobie grzywkę na oczy, a rękawy bluzy naciągnęła na dłonie. Scott, znużony, oparł się o ścianę na końcu kolejki.

Po paru minutach znów otworzyły się drzwi windy i wyszła z niej starsza Meksykanka. Miała długie włosy, czarne, tylko przez środek głowy biegło siwe pasmo. Jedną nogę miała w lekkim gipsie, a nad oprawkami dużych

okularów popatrywała oczami brązowymi jak fala powodziowa. Z rezygnacją usiadła na podłodze obok Scotta.

Powiedziała mu, że była tu także poprzedniego dnia, ale przyjęli tylko czwórkę pacjentów. Gdy przy biurkach za szybą zaczęli pojawiać się pracownicy społeczni, powiedziała:

– Będą dzwonić do hrabstwa i dowiadywać się, ile jest miejsc.

– Na co? – zapytał sardonicznie Scott.

– Dla was. Przyszedłeś tu na terapię, nie?

Scott spojrzał w górę, na jarzeniówki pod sufitem, i wziął powolny, rozmyślny wdech. Starał się to przetrzymać.

– Owszem.

– Spójrz na tę tam. – Kobieta skinęła głową w stronę białej nastolatki. – Wygląda na taką, co myśli o samobójstwie. Założę się, że ją wezmą. Musisz tu nocować, żeby załapać się na miejsce.

Scott zaczął postukiwać stopą w podłogę.

Dziesięć po ósmej kobieta w jedwabnej bluzce, ze złotymi kolczykami w uszach, otworzyła drzwi i oznajmiła, że tego dnia mogą przyjąć pięć osób. Po niej wyszedł mężczyzna z podkładką i zaczął odliczać. „Numer 1. Numer 2”. Ludzie z kolejki wstali, zwarli szyk. Scott skierował się ku windzie, wcisnął guzik przywoływania na dół. Mógłby spróbować szczęścia następnego dnia, ale poszedł w trzydniowy cug.

15

Uciążliwość

Dzień po tym, jak Crystal i Arleen miały awanturę, z mieszkania na piętrze zeszła Trisha, kiedy już Quentin zabrał Chrisa do roboty. Trisha polubiła Crystal, bo dziewczyna była o wiele bardziej młodzieżowa od Arleen i chętna do wygłupów. Tego ranka zabijały czas dowcipami i zabawą w koci, łapci. Klaszcząc, śpiewały:

Ojej, ojej, ojej,
Nigdy więcej do Meksyku
Nie pojadę, już nie, nie, nie.

Wielki gruby gliniarz
Do drzwi puka, puka, puka.

I cap mnie za ucho.
I każe płacić karę.

Nigdy więcej do Meksyku
Nie pojadę, już nie, nie, nie.

Arleen patrzyła na to i nie było jej do śmiechu. Przeglądała ogłoszenia o mieszkaniach, notowała adresy na kartce w notesie z wypisanym u góry drukowanymi literami słowem DOM. Żałowała, że po rozprawie eksmisyjnej nie zdecydowała się na schronisko. Cóż, kiedy nie cierpiała schronisk – czy raczej nie znosiła ich lokatorów. Zebrała papiery, skinęła Crystal głową i poszła szukać nowego lokum.

Udało się jej odwiedzić ćwierć setki adresów, nim ruszyła z powrotem na Trzynastą. Nic nie wypaliło, ale się nie poddawała. „Jeśli będę uparcie szukać, znajdę dla siebie dom” – powtarzała sobie. Wierzyła też, że Sherrena wycofała jej pozew eksmisyjny. Tu się myliła.

Gdy Arleen wróciła do domu, w mieszkaniu panowała cisza, a na twarzy Crystal malowało się zaniepokojenie. Gdy Chris przyszedł z roboty i Trisha wróciła na piętro, Crystal słyszała, jak darł się na nią, bo paliła jego papierosy i piła jego piwo. Usłyszała też inne odgłosy.

– Ta tam z góry dostaje łomot – powiedziała do Arleen Crystal.

– I co to kogo? Bo mnie wcale. – Arleen miała bolesne skurcze miesiączkowe i po prostu chciała się położyć. – Tak w sumie podejrzewałam, że tym się to skończy, kiedy on wróci.

Arleen uważała, że nie ma w głowie ani w sercu wolnego miejsca na przejmowanie się kłopotami Trishy. Własnych miała aż nadto[1].

Gdy zapadł zmrok, z góry wciąż dobiegały hałasy. Tępe, głuche uderzenia, a czasami głośne i ostre, kiedy Trisha waliła się na podłogę. Arleen nakryła głowę poduszką, ale w Crystal kipiało.

– Ja tam nie zamierzam patrzeć, jak kobieta jest bita przez chłopa – stwierdziła.

Chciała pomóc Trishy, ale nie potrafiła też opędzić się od odrazy, jaką budziła w niej słabość sąsiadki. Z jednej strony litowała się nad Trishą, z drugiej uważała ją za osobę żałosną. „Jeśli chłop tak cię leje, a ty znów wpuszczasz go do domu, znaczy to lubisz” – myślała sobie. W pewnym momencie miała już jednak dość. Weszła po schodach na piętro i wrzasnęła przez zamknięte drzwi:

– Ej, ty, pizdo penerska! Zrobię ci fify na gałach! A jak Chris mnie też słyszy, to bardzo dobrze, bo niech tylko spróbuje mnie tknąć[2]!

Arleen musiała zaciągnąć ją z powrotem na dół.

Crystal zadzwoniła do Sherreny, ale ta nie odebrała. Wtedy wybrała numer alarmowy 911, trzy razy. W końcu nadjechał radiowóz i policjanci zabrali Chrisa. Gdy wyszli, Arleen spojrzała na Crystal:

– Chyba pali ci się do wylotu z tego mieszkania – powiedziała.

Następnego dnia Sherrena otrzymała telefon z policji. Rozmawiająca z nią funkcjonariuszka miała surowy głos, ale Sherrena przerabiała już taką sytuację. Rok wcześniej otrzymała pismo z Wydziału Policji Miasta Milwaukee w sprawie tego samego mieszkania przy Trzynastej. „Na podstawie artykułu 80-10 Kodeksu administracyjnego Milwaukee (Milwaukee Code of Ordinances, MCO) – rozpoczynała się jego treść – powiadamiam Panią/Pana, że Wydział Policji Miasta Milwaukee reagował na uciążliwe zajścia na Pani/Pana posiadłości [...] co najmniej trzykrotnie w okresie trzydziestu dni". Następnie wyliczone były owe uciążliwe zajścia, w tym bójka i poranienie kobiety żyletką. W dalszej części pisma znajdowała się informacja, że Sherrena będzie „podlegać opłacie dodatkowej przy wszelkich przyszłych kosztach dla organów ścigania związanych z wymienionymi wyżej naruszeniami ładu", do których doszło na jej posiadłości. Miasto szczegółowo rozpisało rachunek za usługi policyjne, włącznie z opłatą w wysokości czterech dolarów za każde połączenie z numerem 911. Od Sherreny oczekiwano odpowiedzi na piśmie zawierającej plan „ograniczenia uciążliwych zajść" na jej posiadłości. Gdyby bowiem wciąż do nich dochodziło, poinformowano ją na koniec, mogła być ukarana grzywną w wysokości od tysiąca do pięciu tysięcy dolarów, albo i karą więzienia.

Sherrena odpisała więc do miejskiego wydziału policji, tłumacząc, że telefony pod numer 911, które spowodowały wysłanie do niej tego pisma, wynikały z sytuacji przemocy domowej. „Jeśli te problemy nie ustaną – dodała – poproszę lokatorkę o opuszczenie mieszkania". Gdy kapitan dowodzący policją w tej dzielnicy czytał odpowiedź Sherreny, podkreślił słowo „poproszę" i postawił na marginesie znak zapytania. Dopisał na liście krótko: „Odrzucone".

Otrzymawszy wiadomość, że jej plan ograniczenia uciążliwości nie został zaakceptowany, do następnego listu na policję Sherrena przypięła zszywaczem kopię powiadomienia o eksmisji. Dowódca policji w dzielnicy

odpisał: „Niniejszym powiadamia się, że przedstawiony przez Panią na piśmie tok postępowania został uznany”.

A teraz na Trzynastej znów zaczęły się uciążliwości, problemy i na piętrze, i na parterze. Crystal najczęściej dzwoniła pod 911 w sprawie Trishy, raz jednak było to konsekwencją karczemnej awantury z Arleen. Funkcjonariuszka rozmawiająca z Sherreną poprosiła ją o wyjaśnienie, czemu jej była i obecna lokatorka mieszkają pod tym samym adresem. Sherrena przedstawiła jej okoliczności, w jakich Crystal i Arleen się poznały. Gdy policjantka zapytała, dlaczego zatem wyraziła zgodę na taki układ, Sherrena odparła, że było jej żal Arleen.

– Tyle że każda z nich to bieda z nędzą – dodała. – A dwie biedy i dwie nędze to już spory tłok.

Policjantka parsknęła śmiechem.

– Crystal źle zrobiła, że postanowiła za mnie zdecydować, kto tam będzie mieszkał – ciągnęła Sherrena. – Rozumie pani, ona nie do końca ogarnia, że to jej mieszkanie, ale jednak nie jej.

Po tej rozmowie Sherrena czuła się zażenowana.

– Ja tu wciąż staram się pracować z tymi ludźmi gorszej jakości – powiedziała, gdy się rozłączyła.

Nie miała problemu z „przymykaniem oka na to, że Arleen wciąż tam jest”, ale teraz w sprawę była wmieszana policja. Funkcjonariuszka doradziła jej eksmisję obu lokatorek. Sherrena postanowiła zacząć od Arleen. Wybrała jej numer i zaczęła wrzeszczeć w słuchawkę:

– Mam już tego szajsu potąd, ja już tym, kurwa, rzygam... Potąd mam tego, że się, kurwa, rządzisz, a to ty masz u mnie dług. Jak twoje dzieciaki nie miały co jeść, to kto pojechał do kościoła i przywiózł im wielkie pudło żarcia, mleko i inne rzeczy, kiedy się wprowadziłaś? Kto wyłożył z własnych pieniędzy i nie chciał ani grosza z powrotem? Wiesz co... Halo? Halo?

Telefon z policji był w sobotę. Sherrena kazała Arleen wyprowadzić się do poniedziałku. Niedzielny poranek zastał Arleen na odkurzaniu wykładziny, czemu przyglądała się Trisha. Na kuchennym blacie stało ciasto kukurydziane, wciąż w blasze, brązowe na brzegach, a żółte i puszyste pośrodku. Zeszłej nocy Arleen upiekła też muffiny, ugotowała drobną fasolkę i karczek. Jej bracia przyszli z wizytą – pojeść, popalić i przyciąć w karty na piętrze u Trishy. Pili, ale wiedzieli, że Arleen nie ma co częstować. Prawie nigdy nie sięgała po alkohol, nie lubiła tego, jak się po nim czuje.

– Jednego w Milwaukee nie znoszę – powiedziała. – Że czynsze tu takie wysokie.

– Ale jak! – zgodziła się Trisha, kląskając językiem. – Tu za piętro płacę czterysta pięćdziesiąt, a to jedna sypialnia jest!

W domu było cicho – Crystal i Jori wyszli do kościoła, chłopak w towarzystwie ojca. Jafaris siedział cicho na podłodze, kolorując kredkami obrazek. Arleen próbowała obliczyć, ile jeszcze czasu jej zostało. Gdyby Sherrena następnego dnia oddała wyrok do egzekucji, „to wciąż jeszcze pięć dni na zabranie stąd rzeczy, zanim przyjdzie szeryf”.

Trisha przytaknęła.

Arleen usiadła przy stole i patrząc na Jafarisa, ciągnęła rozmowę z sąsiadką.

– Jesteśmy w tym domu. Więc nie musiałam się martwić o przeprowadzkę. Nie musiałam się martwić, że dzieciaki zmienią szkołę. Żadną z tych rzeczy nie musiałam się przejmować. Szkoda czasu na łzy – stwierdziła, prostując się. – Równie dobrze mogę otrzeć oczy i wziąć się do robienia tego, co mam do zrobienia.

Zadzwoniła do Sherreny. Zaczynała zdania, urywała. Słowa więzły jej głęboko w gardle. Zdołała jednak zapytać Sherrenę, czy mogłaby zostać w mieszkaniu do czwartku. Właścicielka odmówiła, a Arleen zaczęła protestować:

– Ale to Crystal! Nigdy nie było wzywania policji, chyba że Chris tłukł Trishę. To ona dzwoniła!

W ostatnich dziesięcioleciach XX wieku, w miarę jak system prawny wdrażał kompleks penalizujących rozwiązań politycznych, które miały doprowadzić do spęcznienia sił policji i rozkręcić boom w więziennictwie, spychał on też coraz to więcej odpowiedzialności za utrzymanie porządku publicznego na obywateli bez odznak i broni[3]. A taki właściciel lombardu, który sprzedał pistolet? Czy nie ponosi on częściowej odpowiedzialności za morderstwo? Albo właściciel lokali, mieszkający gdzie indziej, który nie przyłożył się do sprawdzenia lokatorów – czy nie odegrał on żadnej roli w tym, że diler znalazł sobie melinę? Policja i sądy coraz częściej odpowiadały na takie pytania twierdząco[4]. W takim właśnie kontekście narodziły się przepisy o uciążliwych nieruchomościach, pozwalające wydziałom policji na karanie właścicieli lokali za zachowanie ich lokatorów[5]. Najczęściej nieruchomości uznawano za „uciążliwe” z powodu nadmiernej liczby połączeń z numerem 911 w określonym czasie. W Milwaukee próg ten wynosi trzy lub więcej połączeń w ciągu trzydziestu dni. Przepisy zobowiązywały właścicieli nieruchomości do „ograniczenia uciążliwości” pod karą grzywny, odebrania koncesji, zajęcia nieruchomości, a nawet więzienia. Zwolennicy tych nowych rozwiązań argumentowali, że doprowadzą one do oszczędności finansowych i nietrwonienia cennych zasobów, bo wydziały policji będą mogły kierować ludzi do najbardziej priorytetowych przestępstw.

W latach 2008–2009 Wydział Policji Miasta Milwaukee wystawiał powiadomienie o uciążliwej nieruchomości dla właściciela tejże średnio co trzydzieści trzy godziny[6]. Najczęstszą działalność uciążliwą stanowiło „naruszenie miru domowego”, nader pojemna kategoria stosowana wobec szerokiego wachlarza zajść, w tym odmowy opuszczenia czyjegoś mieszkania lub głośnych kłótni. Na drugim miejscu były skargi na hałas. Trzecią najczęściej występującą działalnością uciążliwą była przemoc domowa. Liczba incydentów przemocy domowej – w większości z użyciem przemocy fizycznej lub broni – przekraczała sumaryczną liczbę wszelkiego rodzaju innych napaści, zachowań chuligańskich oraz przestępstw związanych z narkotykami. Podczas jednego zajścia kobiecie chluśnięto

w twarz wybielaczem. W innym kobieta była „bita [w] głowę konserwą żywnościową”. Dwa dotyczyły pobicia kobiet w ciąży. Sięgano po noże, nożyki do tapet, broń palną. W jednym przypadku „dzwoniąca oświadczyła, że [jej chłopak] właśnie spryskał ją gazem do napełniania zapalniczek, a teraz podpalił kartkę papieru”.

Większość powiadomień o uciążliwości dotyczyła lokali na North Side. W białych dzielnicach powiadomienia wystawiano niespełna dwóm i pół procent nieruchomości, które spełniały określone w przepisach warunki. W czarnych dzielnicach odsetek ten wynosił ponad sześć procent. Kobieta zgłaszająca przypadek przemocy domowej miała zdecydowanie większe szanse na spowodowanie wystawienia powiadomienia dla właściciela jej mieszkania, jeśli znajdowało się ono w getcie[7].

W znacznej większości przypadków (osiemdziesiąt trzy procent) właściciele, którzy otrzymali powiadomienie o uciążliwości z powodu przemocy domowej, reagowali albo eksmisją lokatorów, albo zagrożeniem im eksmisją, jeśli znów wezwą policję. Czasami oznaczało to eksmisję współmieszkającej pary, najczęściej jednak właściciele eksmitowali kobiety, nad którymi znęcali się mężczyźni zamieszkali gdzie indziej[8].

Jeden z właścicieli napisał do Wydziału Policji Miasta Milwaukee: „To tylko jedna dziewczyna w jednym mieszkaniu, która ma problemy z chłopakiem. Przez długi czas była dobrą lokatorką – póki nie zjawił się ten chłopak. Zapewne nic się już nie zmieni, załączam więc kopię doręczonego jej dziś powiadomienia o wypowiedzeniu umowy najmu”. Inny pisał: „Omówiłem ten raport z [moją lokatorką] [...] Jej chłopak groził jej pobiciem i przez to zadzwoniła [pod numer 911]. Uzgodniliśmy, że nie wolno mu wchodzić do tego budynku i że to ona będzie odpowiedzialna za wszelkie szkody powstałe w budynku i eksmitowana, jeśli on wróci na teren tej nieruchomości”. Kolejny: „Po pierwsze, eksmitujemy Sheilę M., która wzywała pomocy policji. Bił ją jej «facet», który wyłamuje drzwi i trafia do aresztu na dzień lub dwa (krótkotrwałe zatrzymania nie przynoszą efektu). Zaproponowaliśmy, żeby nabyła broń i zabiła go

w obronie własnej, do czego jednak ewidentnie nie doszło. Z tego względu eksmitujemy ją”.

Każdy z tych właścicieli otrzymał z Wydziału Policji pismo identycznej treści: „Niniejszym powiadamia się, że przedstawiony przez Panią/Pana na piśmie tok postępowania został uznany”[9].

W tym samym roku, kiedy do Sherreny zadzwonili z policji, na terenie Wisconsin średnio częściej niż co tydzień ktoś ginął z ręki obecnego bądź byłego partnera w związku lub krewnego[10]. Po ujawnieniu tych danych szef policji w Milwaukee wystąpił w lokalnych wiadomościach telewizyjnych, gdzie dziwił się, czemu wiele spośród ofiar nigdy nie zwróciło się do policji o pomoc. Prowadzący wiadomości wieczorne podsumował poglądy komendanta: „Wierzy on, że gdyby zgłoszenia na policję były częstsze, ofiary dysponowałyby narzędziami pozwalającymi zapobiec takim fatalnym sytuacjom w przyszłości”. Szef policji albo nie zdawał sobie z tego sprawy, albo zachował tę wiedzę dla siebie, ale to przepisy obowiązujące właśnie w podległym mu wydziale stawiały kobiety – ofiary znęcania – w obliczu szatańskiej alternatywy: mogły milczeć i cierpieć katusze albo wzywać policję i znosić eksmisję[11].

Crystal wpadła do domu z podmuchem zimnego powietrza i atmosfera od razu zgęstniała. Nabożeństwo strasznie ją wymęczyło – jak to mówią, „żołądek przysechł jej do krzyża”. Nasypała sobie do miski słodzonych płatków kukurydzianych i klapnęła na kanapę. Miała na sobie czarno-złotą bluzkę z jedwabiu, spódnicę do pół łydki i czerwoną apaszkę owiązaną wokół włosów. Crystal zdawała sobie sprawę z położenia Arleen, bo gdy wracała autobusem do domu, oddzwoniła do Sherreny. Ta ostatnia ustąpiła nieco. Pozwoliła Arleen zostać do czwartku, o ile Crystal zgodzi się na przeprowadzkę do któregoś innego z jej mieszkań.

Gdy skończyły się płatki, Crystal wciąż była głodna. Włożyła do piekarnika kilka chlebków sodowych przygotowanych przez Arleen.

– Chciałbyś też trochę, malutki? – zapytała Jafarisa.

– Niczego od ciebie nie będzie brał – warknęła Arleen.

– Czego się na mnie wściekasz? Na Sherrenie się powyżywaj.

– Jestem wkurwiona na ciebie, i na Sherrenę też!

– A co ja mogę na to, co mi mówi właścicielka? – przerwała jej Crystal z błaganiem w głosie. – Przecież wam mówiłam, że możecie zostać do lutego, bo za styczeń popłaciłaś za mnie. No ale Sherrena... powiedziała, że masz iść. Ja tu nie mam nic do powiedzenia, bo nie wybieram się z tobołami na ulicę za to, że ktoś dał mi sto pięćdziesiąt dolarów. – Odetchnęła głęboko i ciągnęła: – Się staram nie irytować. Się staram nie ekscytować. Się staram nie frustrować. Się nie przymierzam, żeby dzwonić do mamci i skarżyć jej, że nie mam spokoju, bo teraz mam ful spokoju. I go nie oddam. Nie oddam. Nie oddam.

– Ty masz ful spokoju, a ja i moi chłopcy mamy się wynosić.

Crystal przygryzła wargę i spojrzała w sufit.

– Mogę się jutro wynieść. Nieważne! A ty możesz schować te chlebki z powrotem do lodówki, tam, skąd je wyciągnęłaś! – Arleen zaczęła już wrzeszczeć.

Crystal pokręciła głową i zadzwoniła do Sherreny.

– Czyli mówisz, że kiedy Arleen ma się wynieść?... Do poniedziałku? Do poniedziałku, mówisz?

Arleen zaczęła krążyć po pokoju, mówić do ścian.

– Autentycznie, serio szlag mnie trafia, że jestem w takiej sytuacji... Jaka to lipa, przecież to lipa jak cholera, jak Boga kocham! To lipa!

– To ja dzwoniłam na policję – powiedziała Sherrenie Crystal. – Chris i inni robili tyle hałasu tam na górze, no i on tam lał tę swoją dziewczynę.

Arleen poprosiła, żeby podała jej słuchawkę, ale Crystal ją zignorowała.

Arleen zaczęła drżeć.

– No i zobacz! Teraz moje dzieci nie mają domu! Nie mamy gdzie pójść ani pieniędzy nie mamy!... Chuj ze mną i z moimi małymi. Po prostu chuj z tym! Jebać to!

Crystal nigdy przedtem nie widziała Arleen w takim stanie, w takiej rozsypce. Oddała jej telefon.

– Znaczy, że mnie i moje dzieci po prostu wywalają na ulicę! – powiedziała Sherrenie Arleen. – Po tym jak wydałam pieniądze, jak już nic więcej nie mamy... Mogliśmy sobie tu być, nikomu nie przeszkadzało, aż do ostatniego wezwania policji... Mogę tylko podziękować za to, co zrobiłaś dla mnie i moich dzieci. Przed czwartkiem zabierzemy się stąd, ja i dzieci. Tak obiecuję. Ja nie mam ci już co dać!

Słuchała przez kilka sekund, po czym rozłączyła się, przerywając Sherrenie w pół zdania.

– Czuję, że nas wykorzystują. Wykorzystują mnie i moje dzieci! – Spojrzała na Crystal, w której tego ranka gościł dorosły i spokojny duch. – Jestem sfrustrowana – przeprosiła. – Jeśli się na tobie wyładowałam, no, jestem wkurwiona... Bo była umowa. – Plasnęła grzbietem jednej dłoni we wnętrze drugiej.

– Wiesz, rozumiem, co czujesz, bo mnie tak urządziła własna rodzina... Te twoje problemy? Wyłącznie Bóg może je rozwiązać.

– Mam tylko jeden problem, znaczy, żeby komuś zaufać, i zawsze będę miała z tym problem. – Arleen usiadła.

– Ale nie mów tak o sobie, bo to nie jest tak, że od razu każdy chce cię załatwić.

– Kiedy właśnie że tak... Ty nie wiesz, jak to jest. Nie wiesz, co ja mam za sobą. Nie wiesz, jak to jest, jak ojciec cię molestuje, a matki to wcale nie obchodzi! – Dokładniej to ojczym, pastor. Arleen miała dziesięć lat, gdy to się zaczęło, a szesnaście, gdy się skończyło.

– Właśnie wiem – odparła Crystal. – Właśnie że wiem! Świetnie wiem, jak to jest, bo mnie też molestował ojczym, jak byłam jeszcze malutka, i to dlatego oddali mnie do rodziny zastępczej. Jak Boga kocham, dokładnie wiem, przez co przeszłaś! Jak Boga kocham!

Arleen trawiła tę informację. Jori zabrał Jafarisa do ich sypialni i włączył jakąś muzykę, której dźwięki niosły się do pokoju dziennego, gdzie obie kobiety pozwoliły, by chwila wzajemnego zrozumienia obyła się bez słów. Każda w jakimś stopniu rozumiała cierpienie tej drugiej. Chłopcy siedli na materacu i bawili się z Malcem. Arleen opuściła głowę i powiedziała:

– Mam już serdecznie dość tego, że wciąż mnie krzywdzą.

– Dobra, wiesz co? – zaczęła Crystal. – Pamiętam, jakby to było wczoraj. Chodziłam do kościoła może już z miesiąc i zstąpił na mnie duch, a ja na to Bogu: „Mam już dosyć bólu. Mam dosyć płaczu. Mam dosyć cierpienia. Dosyć tego, że ludzie mnie krzywdzą”... Ale to wszystko po to, żeby cię zbudować, umocnić. No bo to, że mnie krzywdzili, że mnie okłamywali, że mnie obgadywali, że mnie wykorzystywali. Wszystko. Że byłam w rodzinach zastępczych, że nie miałam mamusi, że nie miałam tatusia, rodzeństwo ma mnie gdzieś, ciocie mają mnie gdzieś, wujkowie mają mnie gdzieś... to mnie wzmocniło... Jeśli chcesz, żebym cię pokochała, no to jak mogę cię kochać, jak ty mi nie ufasz? Jak mam cię pocieszyć?... Nikt nie może ci pomóc, jak im nie dajesz. Byłaś molestowana? Ja też... Jak miałam dziesięć lat, tak mi się odblokowało, jak miałam pięć lat. Patrzę na mamę, a mama wciąż na prochach. Moja mama została z tym facetem... Matka paliła crack, co nie. Była w ciąży ze mną. Tata bił mamę, mama dostała jedenaście razy nożem w plecy. Więc ja wiem, że Bóg ma dla mojego życia powołanie, ale jak ja Mu nie pozwolę, żeby mnie wykorzystał do tego powołania, to co On może zrobić?... W kościele było rewelacyjnie. Widziałam Ducha Świętego. Ja czuję Ducha Świętego. Wiem, kiedy Duch chodzi po kościele, bo On taki jak dym, serio. No i niech sobie ludzie myślą, że jestem wariatka, bo tak wierzę, no ale wiesz, ja tak właśnie wierzę... Moja pastorka traktuje mnie jak córkę, bardziej niż moja matka. To ci mogę powiedzieć. No i znowu, nie potrafię powiedzieć, co ty czujesz, bo ty matki nie masz, no ale jednak mogę [...] Każdy ma w życiu swoje przejścia. I dalej będziesz je miała. Ale ta twoja sytuacja to po to, żeby cię umocnić. Żeby cię zbudować [...] Miałam tak przez całe lato. Całe lato. Czułam się tak, jakbym nie miała nikogo. No ale pomodliłam się tak, jak pomodliła się nade mną pastorka dwa lata temu, i trzymam się twardo tych słów, ja w nie wierzę. Wtedy jeszcze nawet nie mówiłam pastorce, że mama była ze mną na cracku, a ona idzie między ławkami, nakłada na mnie ręce i mówi: „Mama paliła crack. Ty nie sięgniesz po crack”. No to mogłam już tylko płakać.

Ostatnie słowo Crystal zawisło w powietrzu, aż wreszcie rozpłynęło się wśród jazgotu z telewizora. Arleen siedziała jak ogłuszona. Otrzeźwiała, gdy zadzwonił jej telefon. Przyjaciel miał namiary na jakieś mieszkanie.

– A gość sprawdza ludziom historię i te rzeczy?

– Chodź tu – powiedziała Crystal, kiedy Arleen skończyła rozmowę. Ta posłusznie przysiadła się i Crystal ją przytuliła. – To ile chcą tam za czynsz?

– A wiesz, że nawet go nie zapytałam. – Arleen oddzwoniła, dowiedziała się, że sześćset miesięcznie, i rozłączyła się. – Nic z tego.

Crystal wyszła obejrzeć inne mieszkanie, zaproponowane jej przez Sherrenę.

– Będzie dobrze – obiecała na odchodnym Arleen. – Nawet jeśli niczego innego nie mogę ci obiecać, będzie dobrze. Tyle mogę powiedzieć.

16

Popiół na śniegu

Gdy przyszedł pierwszy dzień miesiąca, na koncie Sherreny znów pokazały się większe kwoty. Bo też był to tłusty miesiąc: luty, kiedy lokatorzy dostają zwroty podatków i wypisują czeki na większe kwoty. Jedna zainkasowała zwrot i wpłaciła Sherrenie dwa tysiące trzysta siedemdziesiąt pięć dolarów. Doreen zgodnie z ugodą wysupłała dziewięćset pięćdziesiąt dolarów. Lamar wpłacił pięćset pięćdziesiąt, ale że za malowanie nie zamierzała mu płacić, z jej punktu widzenia nadal zalegał. Trzeba go będzie eksmitować.

Może dla zatarcia wspomnień niedawnej pustki w portfelu, a może po prostu „bo tak" Sherrena i Quentin w środowy wieczór wybrali się do kasyna. Sherrena założyła dresy marki Rocawear w kolorze purpury ze złotem. Quentin wbił się w skórzaną kurtkę G-Unit, czarną czapeczkę z prostym daszkiem, a na małym palcu miał potężny pierścień. Znalazł miejsce parkingowe dla niepełnosprawnych niedaleko głównego wejścia do kasyna Potawatomi, na lusterku powiesił zezwolenie na parkowanie, prezent od niepełnosprawnego lokatora.

Kiedy kierowali się do grill-baru przez dżunglę mechanicznych odgłosów wszystkich automatów do gry, Sherrena uśmiechnęła się kpiarsko i zagadnęła:

– Mam nadzieję, że na rano nic nie zaplanowałeś.

Potrafiła przesiadywać w kasynie całymi nocami, do trzeciej albo i czwartej rano, długo po tym, jak Quentin wracał do domu spać.

Po kolacji, kiedy to przy hamburgerach i koktajlach Long Island Ice Tea omawiali prezentację, którą miała niedługo wygłosić Sherrena: „Sztuka transakcji przez pośrednika", przeszli do stolików blackjacka. Sherrena powoli wędrowała między nimi, aż znalazła sobie jeden – siedziało przy

nim dwóch białych facetów, jeden samotny, palacz, drugi narwany, ze stojącą nad ramieniem blondynką, która wciąż przybijała mu piątki. Sherrena położyła na sukno sto dolarów – minimalna stawka wynosiła dwadzieścia pięć, rzadko zdarzało jej się grać o niższe – i przysunęła sobie krzesło. Przy stole siedziała w milczeniu: by krupier dał jej kartę, stukała palcem w blat, a machnięcie dwoma palcami oznaczało, że pasuje.

Na drugim końcu miasta, na rogu Osiemnastej i Wright, karty rozdawał Lamar, a przy stole zebrali się Luke, Eddy, Buck i kilku innych chłopaków z okolicy. Noc była sakramencko zimna, od ciepła bijącego z ich ciał zaszły parą okna w kuchni. Tym razem gra toczyła się w innym rytmie, wolniej, nie tak rozrabiacko, bo była z nimi Kamala. Od kiedy zamieszkała na piętrze, Lamar namawiał ją, żeby też przyszła na kierki, aż wreszcie się zgodziła, załatwiła, żeby śpiących dziewczynek doglądał jej ojciec. Kamala miała faceta, Devona, ojca jej dzieci, ale Lamar i tak delikatnie z nią flirtował. Obecność kobiety sprawiała, że w domu zapanowała inna chemia. Przed zajściem w ciążę Natasha spowodowała raz takie napięcie przy stoliku przez samo to, że była śliczna i pożądana, że Lamar przerwał grę i wygonił wszystkich za drzwi. Przy Kamali jednak chłopcy zachowywali się najlepiej, jak tylko umieli. Prawie nie gadali o dziewczynach, udawało im się nie przezywać Lamara „małpią dupką”, jak to mieli w zwyczaju, od kiedy zgolił wąsy. Kamala była raptem o parę lat starsza od Natashy, im jednak wydawała się znacznie bardziej kobieca dzięki chroniącej ją zbroi godności i znużenia światem[1].

W Nowy Rok Lamar postanowił „czcić Boga, nie brać, znaleźć sobie nowe miejsce”. Sherrena ignorowała jego prośby o naprawy: zlew w kuchni ciekł już co najmniej od czterech dni, teraz lało się już na podłogę. Lamar podejrzewał, że Sherrena i tak niedługo go stąd pogoni. „Może to i lepiej” – myślał sobie. Może następne miejsce okaże się też bezpiecznym schronieniem dla wszystkich jego chłopaków. Nie rozumiał, czemu Sherrena traktowała go tak, a nie inaczej. „Czemu ktoś chce wydymać człowieka, który nie dyma jego?” – zachodził w głowę. Sherrena

zastanawiała się nad tym samym. Lamar twierdził, że zlew jest popsuty. Ona uważała, że to on go popsuł.

Quentin nie przysiadł się do Sherreny przy karcianym stoliku. Nigdy tego nie robił. On tylko obserwował z dystansu, żeby mieć pewność, że nikt się jego żony nie czepia ani do niej nie podwala. Jeśli cokolwiek w kasynie sprawiało mu przyjemność, to głównie widok szczęśliwej Sherreny. Quentin nienawidził hazardu.

– Bach, poszło pięćdziesiąt dolarów – mruknął, gdy Sherrena przegrała kolejne rozdanie.

Karty opadały na sukno. Płynęły godziny nocy. Quentin odebrał telefon, rozłączył się, podszedł do stolika. Pochylił się do samej twarzy Sherreny i szepnął, że na Osiemnastej i Wright wybuchł pożar. Sherrena natychmiast zgarnęła żetony i w ślad za Quentinem wyszła na parking.

– U Doreen? – zapytała, gdy już go dogoniła.

– Nie, w tym od tyłu.

– U Lamara?

– Nie. Na piętrze, u Kamali.

Quentin ostro ruszył spod kasyna. „Jezu, błagam, błagam, żeby to tylko było coś drobnego” – modliła się Sherrena, uczepiona uchwytu nad drzwiami, kiedy suburban slalomował po wąskich uliczkach wiodących do Osiemnastej. Uniosła głowę, dręczona niepokojem:

– Biedaki... Mam nadzieję, że mi się tam na amen nie sfajczyło.

Próbując skręcić w Osiemnastą, Quentin natrafił na blokadę policyjną.

– No kurwa, miga tam już jak na święta – stwierdził.

Widział wozy straży pożarnej stojące przed domem od ulicy, ich czerwone i białe koguty strzelały światłem we wszystkie strony, ale domu od tyłu nie mógł dojrzeć. Spróbował innej trasy, potem jeszcze jednej, ale okoliczne ulice i przesmyki były pozastawiane przez jednostki straży i karetki. Kiedy on manewrował suburbanem, Sherrenie udawało się dostrzegać przebłyski akcji gaśniczej w prześwitach między sąsiadującymi budynkami. W końcu Quentin spróbował zapuścić się w zaułek za domami

przy następnej ulicy. Przed szybą suburbana przesunęła się spowita cieniem tylna ściana garażu, a dalej, za zasypaną śniegiem opuszczoną parcelą mieli już odsłonięty widok na ich nieruchomość.

Sherrenie zaparło dech.

– Szlag! O, Sher, paskudnie jest – wydusił Quentin.

Dom stał w ogniu. Płomienie strzelały z dachu i znikały w mlecznym słupie dymu i pary wzbijającym się w zimowe niebo. Quentin i Sherrena widzieli zarysy sylwetek strażaków poruszających się szybko tam, gdzie jeszcze niedawno było mieszkanie Kamali, a teraz została tylko wybebeszona, zwęglona skorupa. Co się nie paliło, było skute lodem, bo woda z sikawek zamarzała.

Quentin ruszył piechotą w stronę domu. Sherrena została w wozie. Ten pożar przypomniał jej, jak kiedyś rozeźlony klient z hipoteką cisnął przez okno jej biura butelkę zapalającą. Od tamtej pory widok ognia rozstrajał ją, osłabiał.

Quentin rozpoznał w Luke’u najstarszego syna Lamara, choć chłopak płakał i krył głowę między kolanami. Obok niego na schodkach mieszkania Doreen siedziała jakaś nastoletnia dziewczyna i pocieszała go. Hałas był taki, że trudno było zrozumieć wypowiadane słowa: dudnienie diesli, motopompy łomoczące jak młoty pneumatyczne, skwierczenie wody zderzającej się z żarem, drewno rozszczepiane ciosami toporów. Na dworze była także Patrice – drżała, bo miała na sobie tylko koszulkę i dżinsy. Wskazała na Quentina, wytężyła głos i krzyknęła w stronę jednego ze strażaków:

– Jest właściciel!

Strażak podziękował skinieniem głowy i podszedł do Quentina. Gdy płomienie biły wyżej, z ciemności wyłaniały się lśniące oranżem twarze gapiów. Patrice pozwoliła sobie raz jeszcze spojrzeć na ratowników medycznych zebranych za jedną z karetek i weszła do domu.

W mieszkaniu Hinkstonów, które od lokalu na tyłach, gdzie mieszkali Lamar i Kamala, dzielił tylko wąski pas błota i chwastów, było gęsto od ludzi. Doreen siedziała w pobliżu drzwi frontowych, tuląc najmłodszą

wnuczkę Kaylę Mae. Natasha, okutana w koc, siedziała na podłodze obok Ruby. Reszta młodych Hinkstonów siedziała rządkiem na materacu, pod takim wrażeniem chwili, że oczy mieli ogromne. Lamar półleżał na wózku, tarł głowę, wycierał oczy. U jego boku stali Eddy i Buck. Przez ciżbę przeciskali się biali mężczyźni w kaskach, przepraszając i zbierając informacje.

– Pani wybaczy. Jak się pani nazywa?

Patrice, która zauważyła strażaka niosącego do karetki coś nakrytego białym prześcieradłem, spojrzała na Kamalę. Ta wiła się na podłodze, krzyczała:

– Moja maleńka! Moja maleńka!

Z jednej strony głowy włosy miała opalone. Wygięła plecy w łuk, wciskając twarz w deski podłogi. Próbowała ją przytrzymywać jakaś starsza kobieta, której nikt nie kojarzył.

– Pomału! – mówiła przy każdym szarpnięciu Kamali. – Powoli.

Kiedy jednak się zmęczyła, puściła dziewczynę, i Kamala z łkaniem zwaliła się na podłogę.

Do mieszkania Hinkstonów wszedł strażak w starszym wieku, przyklęknął obok Kamali. Powiedział jej to, co już sama wiedziała. Jej najmłodsza, ośmiomiesięczna córeczka nie żyła. Kamala osunęła się, wydała z siebie rozedrgany, nieziemski jęk.

– On zabił moją małą! – wrzasnęła, szarpnął nią spazm. – Ja jego zabiję! Ja jego zabiję!

Devon zaczął przemierzać pokój, zaciskając pięści. Raz za razem szeptał: „To już druga. To już druga”. W pewnej chwili zatrzymał się, stanął nad leżącą Kamalą. Wszyscy w pokoju umilkli i czekali, co się stanie. Devon wyglądał tak, jakby od przemocy dzieliły go sekundy. Jednak minęła chwila i znów ruszył przed siebie z tym obłąkańczym szeptem. „To już druga”. Rok przedtem stracili dziecko, córeczka urodziła się martwa. Kamala i Devon nosili jej prochy na łańcuszkach, w medalionach do pary.

– Boże drogi – westchnęła Sherrena, kiedy Quentin jej o tym opowiadał. – Mam nadzieję, że nie zostawili tej małej samej w mieszkaniu. – Wróciła myślami do dawnych lat, kiedy uczyła klasy czwarte, a Kamala była jedną z jej uczennic. – W szkole zawsze była z niej dobra dziewczynka.

Po powrocie do domu Quentin i Sherrena próbowali poskładać historię tego pożaru.

– Devon i Kamala... – zaczął Quentin.

– Byli na dole – podjęła Sherrena.

– Grali w karty z Lamarem. Może zostawili coś włączone... A kiedy się zorientowali, że wybuchł pożar, próbowali wbiec na górę, ale było już za późno.

Quentin włączył komputer, żeby sprawdzić, czy wieści o pożarze trafiły już do mediów. I owszem. „Strażacy po przyjeździe nie słyszeli alarmu przeciwpożarowego” – przeczytał.

– Przecież w kuchni jest detektor dymu – powiedział.

– Powinien być też w każdym pomieszczeniu sypialnym – odparła Sherrena. – Myślałam, że założyliśmy tam na górze kilka detektorów, ale w tej chwili nie pamiętam[2].

Następnego dnia do Sherreny zadzwonił inspektor przeciwpożarowy. Jak oświadczył, przyczyną pożaru było to, że jedna z córeczek Kamali, gramoląc się z łóżeczka, przewróciła lampę. Ojciec Kamali albo uciekł, nie ratując najmłodszej wnuczki, albo – co bardziej prawdopodobne – ulotnił się już wcześniej, pozostawiając dzieci bez opieki. Kamala i Luke próbowali ratować małą, ale płomienie ogarnęły już wszystko. Dwie starsze córki Kamali samodzielnie wyszły z mieszkania, nim ogień rozszalał się na dobre. Nikt nie słyszał, żeby włączył się detektor dymu.

Inspektor przeciwpożarowy dodał, że Sherrena „nie ma się czym martwić”. Nie była odpowiedzialna za nic, co się stało. Sherrena zapytała go, czy ma obowiązek zwrócić Kamali i Lamarowi czynsz, biorąc pod uwagę, że do pożaru doszło ledwie parę dni po pierwszym. Inspektor

odparł, że nie, i to zamknęło sprawę z punktu widzenia Sherreny. „Nic ode mnie nie dostaną” – powiedziała. Podejrzewała, że i Kamala, i Lamar będą chcieli otrzymać zwrot czynszu, i tu się nie myliła.

Sherrena zamierzała wyburzyć pogorzelisko i zainkasować odszkodowanie.

– Jedyny plus, że tak powiem, z tego wszystkiego to to, że mogę dostać konkretne pieniądze – mówiła.

No i... „pozbyć się Lamara”. Czerwony Krzyż miał znaleźć Lamarowi i jego chłopakom nowe mieszkanie, czyli jedna eksmisja z głowy.

Tego samego ranka, ale wcześniej, Doreen wyciągnęło z łóżka donośne łomotanie do drzwi. Otworzyła je, wciąż w koszuli nocnej, i ujrzała reporterów wyciągających kamery i mikrofony. Odpowiedziawszy na kilka pytań, zamknęła drzwi i przyrzekła sobie, że do końca dnia nie będzie ich już otwierać. Przeszła do kuchni i wyjrzała przez okno na tyły domu. Mieszkanie Kamali na piętrze wyglądało jak mroczna jaskinia. Okna zostały wyłamane, z ogniem poszedł kawał dachu, pozostały tylko legary. Ściekająca woda zostawiła na sidingu brudnoszare smugi. Zaśnieżoną ziemię pokrył czarny popiół. Wokół walały się dachówki, długie kawałki drewna, wypalone meble i inne sprzęty domowe – stos poskręcanych rupieci, wszystko zwęglone, pokryte zamarzniętą pianą z aparatów gaśniczych. Woda zastygła w tysiące lodowych kulek, które zdawały się spadać z koniuszków gałęzi drzew dokoła. Doreen spojrzała niżej i na schodach wejściowych do domu zobaczyła sześć białych lilii przewiązanych kremową wstążeczką. Wiosna w środku zimy.

III

Później

17

Witamy w USA

W pokoju dziennym przy Trzynastej Arleen drżała z zimna. Nie miała zimowego palta, założyła więc jeszcze jedną koszulkę i przydużą bluzę z kapturem. Prezenterzy pogody w Milwaukee wychodzili z siebie. Zapowiadali najzimniejszy tydzień tego dziesięciolecia, temperatury odczuwalne spadające na skutek wichur nawet do minus czterdziestu. W wiadomościach lokalnych pulsowało wyświetlane ostrzeżenie: CZAS DO ODMROŻEŃ – 10 MINUT. Nalegano, by ludzie pozostawali w domach. A Arleen pozostały trzy dni na znalezienie nowego mieszkania.

Sherrena miała już dosyć i Arleen, i Crystal. Telefon z Wydziału Policji Milwaukee zasiał w niej strach: postanowiła zlecić szeryfowi usunięcie Arleen i wręczyć Crystal powiadomienie o eksmisji.

– Przecież nie dam się aresztować przez to, że one tam są – stwierdziła. – Nie pozwolę, żeby mi zabrali moją własność przez te dwie. Potąd mam tej jebaniny... Arleen jest strasznie samolubna. Nie myśli o nikim, tylko o sobie i swoich dzieciach. Mną wcale się nie przejmuje.

Kopię powiadomienia Crystal o eksmisji przesłała faksem do Wydziału Policji Miasta Milwaukee. Po paru dniach otrzymała pismo: „Przedstawiony przez Panią/Pana na piśmie tok postępowania został uznany”.

Arleen umówiła się z właścicielką mieszkania i czekała pod swoim domem, aż ta w końcu podjechała subaru, spóźniona pół godziny. Wysoka, biała, ubrana w polar marki North Face i nowe tenisówki, pospiesznie przeprosiła Arleen i przedstawiła się. Na imię miała Carol.

Proponowała małe, skromne mieszkanie z jedną sypialnią na północnym skraju North Side za pięćset dwadzieścia pięć dolarów miesięcznie. Arleen

wystarczyło pół minuty, żeby obejrzeć je i oświadczyć, że przyjmuje ofertę. Nie podobało się jej ani mieszkanie, ani okolica, ani to, że w razie przeprowadzki chłopcy znów zmienią szkołę. To wszystko jednak były kwestie drugorzędne. „Nieważne – myślała sobie. – Na razie dom to dom”.

Carol postanowiła z miejsca sprawdzić Arleen. Siadła na podłodze w pustym pokoju dziennym i poprosiła ją o przeliterowanie imienia i nazwiska oraz podanie daty urodzenia i numeru ubezpieczenia społecznego. Następnie zadała pierwsze konkretne pytanie:

– Czy w ciągu ostatnich trzech lat była pani eksmitowana? [...] Sprawdzę to w bazie sądowej, więc równie dobrze może pani od razu się przyznać.

Arleen podała Carol prawdziwe imię, ale nie była pewna, które eksmisje były do niego przypisane. Postanowiła więc opowiedzieć jej wszystkie swoje przeżycia od czasu wysiedlenia z domu uznanego za niezdatny do zasiedlenia z powodu braku wody. Opowiadała o dilerach na Atkinson, o śmierci siostry. Trochę jej z tym zeszło. Wszystkie te przeprowadzki, tyle szczegółów... W końcu Carol od zdezorientowania przeszła w irytację. Weszła Arleen w słowo i zapytała ją o źródło dochodów:

– Od jak dawna jest pani na W-2 i z jakiego powodu?

– Tak naprawdę to wpisali mnie na W-2 T, bo, no, chodzę na terapię z powodu depresji... U terapeutki jestem raz w tygodniu. No i jeszcze pilnują, żebym szukała pracy. Próbują przygotować mnie do niej, ale też sprawdzają, czy mogę się zgłosić na SSI.

– Lepiej nie utrzymywać się ani z tego, ani z tego – powiedziała Carol, sugerując, że Arleen powinna znaleźć pracę.

– No wiem – odparła Arleen.

Przy dochodach zaczęła ściemniać, mówiąc Carol, że dostaje zasiłek na dziecko. A gdy Carol powiedziała: „W tym budynku nie mamy dzieci”, Arleen kłamała dalej, przyznając się tylko do Jafarisa.

– Muszę zobaczyć, jak pani mieszka obecnie – powiedziała jej Carol. Dodała, że zajedzie na Trzynastą za parę godzin.

Po powrocie do mieszkania Arleen wyniosła śmieci, oczyściła wykładzinę, schowała wszystkie ciuchy Joriego. Z łazienką niewiele mogła zrobić – w zatkanej wannie stała woda, umywalka też nie działała – ale że i światło tam padło, była szansa, że Carol tego nie zauważy. W kuchni stanęła przy zlewie i zapatrzyła się na stos brudnych naczyń. Malec ocierał się o jej nogi i miauczał, domagając się jedzenia. Zabrakło płynu do naczyń, trudno, będzie trzeba użyć detergentu Crystal. Arleen oparła się dłońmi po obu stronach zlewu, gdy do misy lała się woda. Zabrała się do szorowania garnków. Zadzwonił jej telefon.

– To nic – powiedziała dzwoniącemu. – Nic. Nic.

Potem pozwoliła sobie na serdeczny płacz.

Crystal, która nie ruszała się z kanapy, patrząc, jak Arleen gorączkowo krząta się po mieszkaniu, teraz wstała i przytuliła ją. Arleen płakała jej w ramię, ale Crystal nie odepchnęła jej. Gdy Arleen sama się cofnęła, Crystal powiedziała jej:

– Daję ci słowo, jeśli uwierzysz, będziesz miała dom.

Gdy przyjechała Carol, mieszkanie wyglądało całkiem przyzwoicie. Arleen rozpyliła nawet odświeżacz powietrza. Carol szybko obeszła pokoje, po czym usiadła przy stole ze szklanym blatem.

– No, prawdę mówiąc, to nie wygląda dobrze – stwierdziła. – Ja rozumiem, zmarła pani siostra i w ogóle, ale to przecież nie jest problem właściciela, nie?

– Rozumiem, co pani chce powiedzieć. – Arleen sądziła, że biali lubią, kiedy im się mówi: „Rozumiem, co pani chce mi powiedzieć” czy „Staram się ogarnąć i przestać podejmować głupie decyzje” i „Zamierzam wrócić do szkoły, żeby zdać test końcowy”. I patrzeć w oczy, cały czas patrzeć w oczy.

– Nie mówię, że to nie było straszne – podjęła Carol. – Ale, prawda, my nawet mamy pracownicę, której zmarła matka. A ona nie miała ubezpieczenia ani nic. Hrabstwo zapłaciło. No wie pani, dają na pogrzeb trzysta dolarów czy ileś tam. I taki właśnie miała pogrzeb.

Patrzeć w oczy.

– Więc co planujesz zmienić, żeby nie było tak, że po miesiącu cię wyrzucam? – Carol zastukała długopisem.

Do tego czasu Arleen sprawdziła już ćwierć setki mieszkań, czasem na telefon, czasem jej wnioski odrzucano, i Carol była jej ostatnią nadzieją. Czując, jak ta nadzieja się oddala, Arleen zagrała ostatnią kartą, jaka jej została. Zaoferowała Carol możliwość załatwienia w W-2 potrącenia, tak by czynsz za dany miesiąc był automatycznie przelewany z jej zasiłku przed wypłatą.

– Więc zanim ja dostanę czek z zasiłkiem, pani będzie miała już czynsz.

– To mi się podoba! – stwierdziła Carol, czym sama siebie zaskoczyła. – To wygląda na dobry kompromis. – Po czym dodała: – Ale kota nie możesz zabrać.

– Jasne.

– Chciałam też dodać, że musisz dbać o karmienie siebie i swojego syna.

– Chcę panią uściskać, bo, nie no, muszę. – Arleen uściskała Carol, która zarumieniła się i uciekła z mieszkania. Arleen przytuliła też Crystal, biegała po pokoju, tańczyła. – Mam dom! Nie wierzę! Mam doooooom!

Carol powiedziała, że Arleen może się wprowadzać od pierwszego. Do tego czasu Arleen zamierzała przenieść się z chłopcami do schroniska, a rzeczy złożyć w magazynie. Jako mieszkance schroniska przysługiwały jej fundusze z Czerwonego Krzyża, w sam raz na kaucję. Tylko w ten sposób mogła wyłożyć tyle, ile chciała Carol[1]. Arleen naznosiła kartonów z okolicznych sklepów monopolowych i zabrała się do pakowania rzeczy.

– Nie płacz, kiedy się wyprowadzę – powiedziała do Crystal, układając w pudle talerze.

– Laska, zachowujesz się tak, jakbyś wyjeżdżała na wieki wieków. Będziesz tu wpadać. Bo już nie umiesz beze mnie żyć.

– Ty też nie umiesz beze mnie żyć – powiedziała z uśmiechem Arleen.

Crystal zaczęła klaskać w dłonie i śpiewać:

– Nigdzie nie pójdę. Nigdzie nie pójdę. – A potem klepnęła Arleen w plecy.

– Aua, Crystal! – krzyknęła Arleen i obie ze śmiechem wdały się na chwilę w zapasy.

Gdy Arleen znów zaczęła się pakować, Crystal zapytała:

– Zostawiłabyś mi parę talerzy? – Arleen odłożyła kilka na bok.

W czwartek o świcie niebo miało kolor zwietrzałego piwa. Po paru godzinach przybrało barwę jaj drozda wędrownego. Sztywne, bezlistne gałęzie drzew wyglądały jak pęknięcia na tej skorupce. Samochody powoli toczyły się po ulicach uwalanych solą i zimowym brudem. Z powodu ostrzeżeń o mrozie szkoły publiczne w Milwaukee odwołały lekcje. Nie to żeby chłopcy Arleen wybierali się do szkoły. Potrzebowała ich do pomocy w przeprowadzce. Jori załadował ciężarówkę do samodzielnych przeprowadzek, którą wynajął im przyjaciel rodziny. Ścisnął go mróz. Zakłuło w palcach i uszach. Lodowate powietrze wypełniało usta – miał wrażenie, że dziąsła tężeją mu w jeden z tych plastikowych odlewów zębów, które były w szkolnym gabinecie pielęgniarskim. Gdy oddychał, para niczym gęsta biała gaza spowijała mu twarz. Uśmiechał się jednak przez cały czas, szczęśliwy, że może pomóc.

Po paru kursach schował dumę w buty i założył palto Crystal, to piaskowe. Sama Crystal siedziała na podłodze, owinięta kocami z darów kościelnych, jadła pudding o smaku bananowym i oglądała talk-show w telewizji.

W nocy przed przeprowadzką Arleen przykleiła sobie nową perukę i wyczyściła buty. Chciała wyglądać na młodszą, niż była – kto wie, na kogo się natknie w schronisku czy w magazynie Public Storage? Żadne schronisko do niej nie oddzwoniło, nie wiedziała więc, gdzie wraz z chłopcami trafi na następną noc. Tym jednak mogła zająć się później. Na razie skupiła się na zabraniu do magazynu wszystkiego, co tylko się da.

Mężczyzna za kontuarem w Public Storage miał pierścień na małym palcu, włosy zaczesane do tyłu na żel, a zalatywało od niego mocnym

alkoholem i tanią wodą po goleniu. Boks Arleen, numer C-33, miał trzy na trzy metry.

– Ten sam rozmiar co ta wasza ciężarówka – powiedział mężczyzna, zaciągając po teksańsku. – Musicie tylko to z sensem ułożyć.

Wszystko zmieściło się bez trudu. Arleen uciułała dwadzieścia jeden dolarów na obniżoną stawkę za pierwszy miesiąc, sprzedając trochę talonów żywnościowych i dmuchawę elektryczną (za kolejny miesiąc opłata miała wynosić czterdzieści jeden dolarów). Nie dopatrzyła się jednak, że musi jeszcze kupić kłódkę i zapłacić osiem dolarów składki ubezpieczeniowej. Na to już jej zabrakło. Teksańczyk, którego ogorzała twarz zdradzała, że i on nie miał w życiu lekko, znalazł jej jakąś kłódkę i odpuścił ubezpieczenie. Podziękowała mu, po czym podreptała przez zimny beton placu, by zamknąć pomarańczowe aluminiowe drzwi boksu C-33. Przynajmniej jej manele nie były bezdomne.

Tę noc i następne, przez cały weekend, spędzili wciąż przy Trzynastej z Crystal, śpiąc na podłodze.

Arleen dzwoniła do Zajazdu i do innych schronisk, tam jednak jak zwykle nie było wolnych miejsc. W poniedziałek rano spróbowała ze schroniskami dla ofiar przemocy domowej i zarezerwowała pokój w jednym z nich, gdzie zdarzyło się jej już mieszkać kilka lat wcześniej, gdy uciekła od ojca Jafarisa. Kiedy zadzwoniła do Carol, by podać jej nazwę schroniska w celu realizacji wypłaty z Czerwonego Krzyża, okazało się, że ta wynajęła już obiecane mieszkanie komu innemu. Arleen nie pytała o powody, uznała, że Carol znalazła sobie lepszego lokatora, kogoś o większych dochodach czy bezdzietnego. Wydała z siebie długie westchnienie, jakby wyrzucała wszystko z wnętrza, i zwinęła się w kłębek na krześle.

– No to znów jestem w punkcie wyjścia – stwierdziła.

W zwarzonym humorze zbierała resztki swoich rzeczy w mieszkaniu. Zdjęła zasłony, przypomniała sobie, że w zabudowanej szafie Crystal leżało

trochę jej ubrań do prania. Wraz z Jafarisem zaniosła Malca na piętro, do Trishy.

– Zajmij się kotkiem – poprosił Jafaris.

– Tak zrobię, słonko, daję słowo – odpowiedziała Trisha.

Po chwili namysłu chłopiec dodał:

– Daj mu coś do jedzenia.

Arleen zamierzała zostawić swoją małą kanapę, która zapadła się, gdy Crystal zaczęła na niej sypiać. Poza tym jednym meblem i zbieraniną koców, ubrań i popsutych lamp w mieszkaniu nie zostało nic. Nagle przypomniała sobie, że kupiła za pięć dolarów złączkę doprowadzającą do kuchenki gaz z instalacji. Poleciła Joriemu, by zdemontował tę część, przez co kuchenka stałaby się bezużyteczna.

Widząc to, Crystal wrzasnęła:

– Won z mojego domu! – Zaczęła chwytać rzeczy Arleen i wyrzucać je przez drzwi wejściowe. – Na chuj mi te twoje rzeczy!... Tylko mnie wyruchałaś!

– Ty suko zasyfiała! – wydarła się Arleen, stając twarzą w twarz z Crystal.

– Ja jestem zasyfiała?! A niby czyje ciuchy masz na sobie? Moje! Moją bluzkę!... Trzeci dzień z rzędu, szmaciaro jebana!

– Wyjebię ci w ryj! – krzyczał na Crystal Jori, biegnąc do matki. Wychylił się tak, że byli prawie nos w nos, już szykował pięść do ciosu. – Zaraz ci lutnę! – wrzeszczał. – Wzywaj se, kurwa, policję, chuj mnie to obchodzi!

Nagle do pokoju wkroczył Quentin. Oprowadzał właśnie perspektywicznych lokatorów po mieszkaniu na tyłach domu, gdy usłyszał raban. Wpadł do pokoju przez otwarte drzwi i złapał Joriego za kołnierz koszulki.

– Ej! Ej! – warknął.

Jori wyrywał się do Crystal.

– No dawaj! – wrzeszczał, wymachując pięściami.

Quentin ciągnął go do tyłu. Crystal podeszła jeszcze bliżej.

– Słuchaj, mały – parsknęła. – Nie jesteś taki twardy, jak ci się wydaje.

– Nie! Nie! – krzyczał Jafaris.

Próbował pomóc – znalazł złamany karnisz od zasłony prysznicowej i bił nim Crystal. Arleen złapała synka i wyciągnęła go za drzwi. Popychany przez Quentina, Jori także ruszył w tamtą stronę, ale po drodze kopniakiem rozwalił jeszcze szafkowy telewizor Crystal.

Gdy opuścili mieszkanie, Crystal wyszła za nimi na schody i dalej ciskała ich rzeczami gdzie popadnie. Wkrótce na całym trawniku przed domem walały się łapane na chybił trafił przedmioty: podręczniki, lalka z kolekcji Precious Moments, flakonik wody kolońskiej.

– Wcale nie jesteście nietykalni! – darła się Crystal. – Witamy w USA! Witamy w U-ES-A!

Gdyby Arleen nie znajdowała się pod taką presją, może uświadomiłaby sobie, że demontaż tej złączki był niczym chluśnięcie w twarz Crystal całą rozpaczliwością jej położenia. Może zdołałaby wówczas załagodzić sytuację. W korzystniejszych okolicznościach mogłyby się zaprzyjaźnić. Gdy były najedzone, a jutro nie stanowiło zupełnej niewiadomej, dogadywały się całkiem nieźle. Jednak Arleen była pod presją miasta, zupełnie bez sił. Kiedy więc Crystal wybuchła, Arleen eksplodowała zaraz obok[2].

Crystal potrafiła błyskawicznie przejść do przemocy. W roku poprzedzającym poznanie Arleen zbadał ją psycholog kliniczny, który zdiagnozował u niej chorobę afektywną dwubiegunową, zespół stresu pourazowego, reaktywne zaburzenia przywiązania, pogranicze funkcjonowania intelektualnego, zaniedbanie w dzieciństwie, wykorzystywanie seksualne w dzieciństwie oraz kształtujący się zespół zaburzeń osobowości z cechami pogranicznymi. Dzieciństwo pozostawiło na niej swoje piętno. „Crystal jest bardzo wrażliwa na spodziewane odtrącenie, porzucenie i krzywdę w związkach, które tworzy – napisał w raporcie ów psycholog. – Kryje w sobie potężną wściekłość na ważne osoby w jej życiu za to, co postrzega u nich jako niechęć i/lub niezdolność

do odpowiadania na jej potrzebę opieki, bezpieczeństwa i szacunku [...] Ma ograniczoną zdolność tolerowania poważniejszych frustracji i niepokojów, jak również skłonność do rozładowywania spowodowanych tym napięć bez głębszego [...] namysłu czy planu działań [...] Wciąż jeszcze uważa się ją za osobę słabo zintegrowaną”. Według raportu iloraz inteligencji Crystal oceniano na około 70, przewidywano też, że będzie potrzebować „długoterminowej opieki nad zdrowiem umysłowym i czynnego wsparcia, jeśli ma funkcjonować w społeczności jako osoba dorosła”.

A tu stała samotnie, w pustym mieszkaniu. Zaczęła przeglądać rzeczy pozostawione przez Arleen. Gdy zaszła do kuchni, zobaczyła, że Joriemu nie udało się zdemontować złączki, ale za to przeciął kabel zasilający kuchenkę. Crystal powiedziała sobie, że tego dnia i tak nie zamierza jeść. Pastorka ogłosiła post.

18

Homar za talony

Kolejka do budynku opieki społecznej ciągnęła się przez całą długość Vliet Street i niknęła za rogiem. Rozstawiono barierki, wezwano policyjne posiłki. Gubernator stanowy obwieścił, że gospodarstwa domowe poszkodowane w nawałnicach, w wyniku których podtopieniu uległa część Wisconsin, w tym hrabstwo Milwaukee, otrzymają specjalne bony żywnościowe. Już o siódmej rano stały tu więc tysiące ludzi, przepychając się do przodu, a nawet próbując wyłamać drzwi, by dostać się do wnętrza budynku.

Centrum Usług dla Ludności imienia Marcii P. Coggs to potężny gmach. Trzy kondygnacje z cegły koloru śmietanki, prawie szesnaście tysięcy metrów kwadratowych powierzchni, dwieście trzydzieści dwa duże okna. Pierwotnie mieścił się tu dom towarowy Schustera. Jednak, podobnie jak centrum Milwaukee i zresztą całe miasto, sklep zaczął podupadać w połowie XX wieku. W roku 1961 został ostatecznie zamknięty, a gmach kupiło hrabstwo. Po renowacji na początku tego stulecia pod jednym dachem ulokowano czterystu pięćdziesięciu urzędników hrabstwa. Artystce z Kalifornii zlecono ułożenie nad oknami jaskrawych, wielobarwnych płytek ceramicznych tworzących słowa takie jak „kontemplacja” i „taniec”. Swoją instalację nazwała *Klucz do społeczności* [1].

Nieco po ósmej, mijając kłębiących się ludzi, Larraine weszła do budynku, rzadko unosząc wzrok, kiedy mijała przechadzających się ochroniarzy czy schody ruchome niosące ludzi na wyższe piętra, gdzie mieli wypełniać formularze i rozmawiać z pracownikami socjalnymi. Pobrała numerek (4023) i zaczęła czekać. Przyszła tu po to, żeby znów otrzymywać talony żywnościowe. Wkrótce w pomieszczeniu zabrakło wolnych krzeseł, sala numer 102 wypełniła się głosami dzieci i rozmów

dorosłych. Jakaś starsza pani próbowała zasnąć, wspierając się na parasolu. Mały brzdąc dostawał klapsy od matki. Inną pochłonęła lektura *Kobiet, które kochają za bardzo*. Po godzinie i czterdziestu minutach wywołano numerek Larraine. „Niezgorzej” – pomyślała, bo zdarzało się jej spędzać w tym gmachu całe dnie[2].

– Byłam umówiona na dwudziestego tego miesiąca – wyjaśniała zajętej wieloma rzeczami naraz, wymanikiurowanej pani za szybą. – No ale mnie, znaczy między telefonem a wizytą zostałam eksmitowana.

– Musi więc pani umówić się na ponowną wizytę – odparła tamta. Kolejna przegapiona wizyta, kolejny cofnięty zasiłek, jedno i drugie wynikające z eksmisji, która sprawiła, że wszystko się rozjechało. Urzędniczka podała Larraine kilka kartek. – Ma tu pani listę rzeczy, które powinna pani ze sobą przynieść.

– Przy sobie nie mam niczego – powiedziała Larraine, czytając tę listę. Niezbędne dokumenty w większości trafiły do magazynu.

– Skoro niczego pani nie ma, nie może pani niczego przynieść – powiedziała z uśmiechem urzędniczka.

Larraine miała zdezorientowaną minę.

– Ale wciąż będę dostawać zasiłki?

– Dlatego właśnie trzeba przychodzić na umówione wizyty... Mogę dać pani skierowanie do banku żywności. Chce pani tam podejść?

Larraine zjechała schodami ruchomymi na dół, gdzie mieścił się bank żywności, i wyszła stamtąd z dwiema torbami pełnymi puszek wołowiny, fasoli i innych rzeczy, których serdecznie nie znosiła. Czasami niezorientowani w temacie krewni pytali Larraine, czemu po prostu nie zadzwoni, żeby umówić się na wizytę. Śmiała się wtedy i mówiła: „Aha, może sam spróbujesz tam zadzwonić?”.

Za każdym razem, kiedy próbowała, trafiała na zajętą linię.

Podczas następnej wizyty zdołała uzyskać przywrócenie comiesięcznych talonów żywnościowych na osiemdziesiąt dolarów, choć nie miała wszystkich niezbędnych papierów. Wychodziła z budynku opieki

społecznej, powłócząc nogami, mijając tłumy znudzonych, wymęczonych ludzi i zbierających się w pobliżu ulicznych alkoholików. Zaszła do sklepu meblowego nieopodal, z zakratowanymi szybami wystawowymi. Wewnątrz nad zorganizowanym mętlikiem rozkładanych foteli z grubymi poduchami, zestawów stołowych z ciemnego drewna i mosiężnych lamp unosiły się dźwięki eksperymentalnego jazzu.

Sprzedawca z bliskowschodnim akcentem podszedł do Larraine, a ta zapytała go o szafy. Potem obejrzała siedmioczęściowy zestaw mebli do sypialni. Zapatrzyła się na sześćdziesięciodwucalowy telewizor.

– Mam i mniejsze telewizory – powiedział sprzedawca.

– Ale nie, ja bym chciała ten! – Uśmiechnęła się.

– To może rozłożę go pani na raty, te argentyńskie?

– Macie tu taki układ? Uwielbiam tak kupować!

Larraine urządziła sobie coś w rodzaju rytuału oczyszczenia, zastępując panujący w gmachu opieki społecznej fetor niemytych ciał i brudu wonią nowej skórzanej kanapy. Roiła też sobie dla przyjemności, że urządzi piękny dom dla siebie i swoich córek. Jayme wyszła wreszcie po odsiadce i mieszkała z Larraine i Beakerem, wciąż jednak szukała samodzielnego mieszkania – ale może Megan wróci do mamy? Kiedyś także ubrania dla dziewczynek, nowe ubrania, kupowała systemem argentyńskim.

Jej zdaniem taka metoda robienia zakupów jest jak oszczędzanie. „Nie mogę trzymać pieniędzy na koncie – mówiła. – Kiedy człowiek jest na SSI, wolno mu mieć tylko ileś tam pieniędzy na koncie, mniej niż tysiąc dolarów. Bo jak ma się więcej [...], to obcinają wypłaty, póki się tego nie wyda”.

Miała na myśli „limit zasobów”, obowiązujący przy SSI. Wolno jej było mieć na koncie dwa tysiące dolarów, nie tysiąc, jak sądziła, ale każde przekroczenie tej kwoty mogło doprowadzić do utraty zasiłku[3]. Larraine uważała ten przepis za ewidentne zniechęcanie do oszczędzania.

„Jak nie mogę trzymać pieniędzy na koncie, to równie dobrze mogę sobie zafundować coś porządnego [...], no bo wiem, że jak już to spłacę, to

jest moje i nikt mi tego nie zabierze, tak jak mojej biżuterii”. Cóż, nikt, jeśli nie liczyć firmy przeprowadzkowej Eagle.

Przed eksmisją Beaker zapytał siostrę, czemu po prostu nie sprzeda biżuterii, żeby spłacić Tobina.

„Przecież to jasne, że tego nie zrobię – odparła. – Zbyt ciężko harowałam, żeby teraz sprzedawać moją biżuterię [...] Nie wyprzedam się z oszczędności całego życia tylko dlatego, że jestem bezdomna czy mnie eksmitowali”.

W końcu nie było tak, że tylko chwilowo wpadła w dołek i zaraz miała się z niego wygrzebać. Larraine uważała, że już zawsze będzie biedna i obciążona czynszem. Więc skoro taki miał być jej los, to czemu na pociechę nie zachować sobie trochę biżuterii? Chciała też mieć nowy telewizor, nie jakieś używane pudło od Susan i Lane’a. Chciała łóżka, w którym nikt inny nie spał. Uwielbiała perfumy, wystarczyło, że minęła jakąś kobietę na chodniku, a mogła określić, jakich tamta używała.

„Nawet ludzie tacy jak ja – powiadała – nawet my zasługujemy na coś nowiutkiego”[4].

Tamtego dnia Larraine w końcu nie zamówiła sobie niczego na raty. Jednak gdy znów otrzymała talony, poszła do supermarketu i kupiła dwa odwłoki homara, krewetki, nogi krabów królewskich, sałatę i cytrynowe ciasto bezowe. Przyniosła to wszystko do przyczepy Beakera, nogi krabów doprawiła po cajuńsku, a odwłoki homarów ugotowała na maśle cytrynowym w temperaturze stu osiemdziesięciu stopni. Zjadła to za jednym posiedzeniem, zapijając pepsi. Ten posiłek pochłonął jej talony na cały miesiąc. Było to w rocznicę jej spotkania z Glenem i chciała to jakoś specjalnie uczcić.

„Wiem, nasz związek nie był może zbyt dobry, ale był nasz. Są rzeczy, które zawsze będą mnie dręczyć”. Ale homar pomagał.

Gdy Larraine wydawała gotówkę czy talony nie na rzeczy pierwszej potrzeby, jej najbliżsi, w tym jej siostrzenica Sammy, córka Susan i Lane’a, czuli zdezorientowanie i frustrację[5].

„Moja ciotka Larraine to jedna z tych osób, które, gdy widzą jakiś krem do twarzy za dwieście dolarów usuwający zmarszczki, kupią go sobie, zamiast opłacić czynsz – mówi Sammy, fryzjerka z własnym zakładem w Cudahy. – Nie mam pojęcia, czemu po prostu nie narzuci sobie budżetu”.

Tak samo uważał pastor Daryl, twierdząc, że Larraine nie szanowała swoich pieniędzy, ponieważ funkcjonowała w „mentalności biedy”.

Zdaniem Sammy, pastora Daryla i innych Larraine była biedna, bo szastała pieniędzmi. Jednak prawdziwsze byłoby zdanie odwrotne. Larraine szastała pieniędzmi, bo była biedna.

Nim została eksmitowana, po opłaceniu czynszu zostawały jej sto sześćdziesiąt cztery dolary. Mogłaby część tej kwoty odkładać, wyrzekając się kablówki i wizyt w Walmarcie. Gdyby udawało się jej w ten czy inny sposób odłożyć pięćdziesiąt dolarów miesięcznie, niemal trzecią część dochodów po opłaceniu czynszu, po roku miałaby z tego całe sześćset – wystarczyłoby na miesiąc czynszu. A dokonałaby tego kosztem istotnych wyrzeczeń, bo czasami musiałaby zrezygnować na przykład z gorącej wody czy nowych ubrań. Owszem, mogłaby zaoszczędzić, nie płacąc za kablówkę. Jednak dla starszej kobiety mieszkającej na odciętym od reszty miasta placu przyczep, nieposiadającej samochodu, nieumiejącej korzystać z internetu, tylko z rzadka dysponującej telefonem, niewykonującej już żadnej pracy, a czasem doświadczanej rzutami fibromialgii i klasterowymi bólami głowy, kablówka była cennym przyjacielem.

Osoby takie jak Larraine żyją wśród tylu skumulowanych ograniczeń, że trudno wręcz wyobrazić sobie skalę dobrego zachowania czy samozaparcia, która pozwoliłaby im wyrwać się z biedy. Nawet różnica między dojmującą a stabilną biedą potrafi być tak ogromna, że ci na samym dnie mają niewielkie szanse wydostania się z tej otchłani, choćby ciułali każdy grosz. Wobec tego decydują, że szkoda zachodu. Wolą żyć kolorowo, osłodzić cierpienie przyjemnością. Może się troszkę upalą, wypiją, pozwolą sobie na mały hazard czy nabędą telewizor. Albo zafundują sobie homara za talony żywnościowe[6].

Jeśli Larraine trwoniła swoje pieniądze, to nie dlatego, że miała tych zasiłków tak dużo, lecz dlatego, że zostawało jej z nich tak mało. Za kolację z homarów też musiała zapłacić – przez resztę miesiąca jadła to, co przyniosła z banku żywności. Bywały dni, kiedy po prostu głodowała. Ale było warto. „Jestem zadowolona z tego, co miałam – mówi. – Nawet jeśli do końca miesiąca mam jeść chińskie zupki, bardzo chętnie".

Już dawno temu nauczyła się nie przepraszać za to, że żyje. „Ludzie wszystkiego ci żałują" – mówi. Ma gdzieś, że kasjerka dziwnie się na nią patrzyła. Tak samo gapili się na nią, kiedy kupowała ostry ocet balsamiczny za czternaście dolarów czy żeberka, przeceniony stek, kurczaka. Larraine uwielbia gotować. „Mam prawo żyć, mam prawo żyć tak, jak chcę żyć – mówi. – Ludzie nie zdają sobie sprawy, że nawet biedakom może się znudzić jedzenie w kółko tego samego. Na przykład ja po prostu nienawidzę parówek, a tym mnie karmiono w dzieciństwie. Więc sobie człowiek myśli: «Jak będę starszy, zjem stek». No to ja już jestem starsza. I jem steki".

W kolejnym miesiącu, sierpniu, Larraine wydała część talonów na piure ziemniaczane instant, szynkę i przecieraną kukurydzę dla mocno dociśniętej przez biedę rodziny, która wprowadziła się do przyczepy obok tej należącej do Beakera. Było ich sześcioro, ostatnio w eksmisji stracili znaczną część swojego dobytku, więc spali na podłodze. Gdy kolacja była już gotowa, Larraine rozpoczęła modlitwę: „Panie Boże, Królu Nieba, składamy Ci wielkie podziękowania za ten posiłek. Dziękuję też wszystkim ludziom, dzięki którym moje życie było błogosławione. Dzięki Ci za Jayme. Dzięki Ci też za mojego brata Beakera. Choć czasami okropnie mnie denerwuje, i tak go kocham, Panie. Proszę, miej mojego brata w opiece. Amen".

Dwa dni później ktoś zapukał do drzwi. Był to biały mężczyzna, wysoki, wąsaty, z wetkniętą w spodnie koszulą z kołnierzykiem. W dłoni trzymał jasnożółtą kartkę.

– Dzień dobry. Dziś rano musimy odciąć państwu gaz – powiedział.

Larraine przyjęła kartkę.

– Aha, w porządku – odparła zbaraniała.

– Tam na odwrocie są informacje o formie zapłaty. Miłego dnia życzę.

I poszedł za przyczepę, niosąc skrzynkę narzędziową.

– Czyli wujek Beaker nie płacił za gaz? – spytała Jayme, rozprowadzając tusz po rzęsach.

– No chyba nie – odpowiedziała Larraine, spuszczając wzrok na żółtą kartkę, zgodnie z którą zadłużenie wynosiło dwa tysiące siedemset czterdzieści osiem dolarów sześćdziesiąt centów.

– Kiedy wy wreszcie dorośniecie i zaczniecie płacić rachunki, co? Wujek Beaker musi dorosnąć, przestać żyć jak małe dziecko. Ty też, mamo. Masz poważny problem z życiem ponad stan. Naprawdę, serio, nie możesz tak dalej.

Larraine spojrzała na córkę.

– A od kiedy to się taka mądra zrobiłaś? – zapytała.

Gdy jesień zaczęła przechodzić w zimę, z przyczepy coraz szybciej uciekało ciepło. Cienkie ściany, blaty, woda, sztućce w szufladach robiły się zimne. Larraine i Beaker okrywali się kolejnymi kocami, nosili po dwa swetry, włączyli dwie małe dmuchawy. Oboje spali więcej, żeby było im cieplej. Gdy Larraine zasypiała na kanapie, Beaker okrywał ją dodatkowym kocem. Najgorzej było wczesnym rankiem. Beaker mógł założyć swój gruby płaszcz, ale zimowa odzież Larraine wciąż była w magazynie firmy Eagle. Nie ich jednych na placu nie było stać na przywrócenie dopływu gazu, nim spadły pierwsze śniegi. Swoją drogą, Tobin nienawidził śniegu. Na zimę wyjeżdżał w cieplejsze okolice.

Pewnego jesiennego dnia Beaker powiedział Larraine, że wyprowadzi się do subsydiowanej przez władze federalne placówki opieki dla osób starszych i niepełnosprawnych. I tak też zrobił następnego ranka. Było to dla Larraine duże zaskoczenie. Jakoś nigdy nie nauczyli się ze sobą rozmawiać.

Larraine wiedziała, że po wyprowadzce Beakera musi przestać się kryć i unormować sobie kwestię mieszkania, jeśli nie z samym Tobinem, to z nową firmą zarządzającą. Zebrała się na odwagę i podeszła do biura, ubrana w spodnie dresowe i poplamiony czarny polar.

– Potrzebna mi nagła pomoc, tak szybko, jak tylko się da – powiedziała temu studentowi, który zastąpił Lenny'ego. – Jest tak zimno... Ogrzewanie. Wiem, że muszę mieć włączone ogrzewanie.

– Ojejku – odparł student, nie podnosząc wzroku.

Nie był poruszony. Poduczył się już. Wybrał numer Bieck Management i połączył Larraine z Geraldine, kierowniczką biura. Ta wyjaśniła Larraine, że Beaker był winien niemal tysiąc dolarów z tytułu nieopłaconych czynszów. Wyglądało na to, że nie tylko za gaz nie zapłacił. Larraine siadła na biurowym krześle, opierając czoło na dłoni.

– Geraldine, proszę, potrzebuję pani pomocy. Niech mnie pani zrozumie.

Po paru minutach Larraine odłożyła słuchawkę. Była przekonana, że jeśli chce utrzymać się w tej przyczepie, najlepiej będzie nakłonić brata do zapłacenia zaległego czynszu.

Beaker mieszkał obecnie w Woods Apartments, na rogu College Avenue i Trzydziestej Piątej, przez ulicę od jeziorka Mud. Białe ściany lśniły czystością, pachniały nowością, było ciepło. Larraine poprosiła brata, żeby spłacił swój dług wobec Bieck Management. Odparł, że dwóch czynszów nie uciągnie. Larraine powiedziała, że nie może zapłacić za zeszły miesiąc, bo wydała już pieniądze na magazynowanie rzeczy. Do tego czasu zapłaciła już firmie Eagle tysiąc dolarów[7]. Ruben miałby gdzie przechować rzeczy Larraine, a Lane miał pick-upa. Gdy jednak poprosiła ich o pomoc, obaj odmówili.

– No to mam nadzieję, że zamieszkasz tam w magazynie, bo nic więcej...

Beaker ugryzł się w język. Larraine wyglądała rozpaczliwie. Miała potężne worki pod oczami, skudlone włosy. Minęło już wiele dni, od kiedy ostatnio brała prysznic. Uparła się, że nie będzie prosić Susan i Lane'a o możliwość wykąpania się u nich. Beaker zdawał sobie sprawę,

że jego przyczepa równie dobrze mogłaby być opuszczoną szopą: odcięto ogrzewanie, ciepłą wodę, telefon i kablówkę. Między bratem a siostrą zawisła beznadziejna, tępa cisza.

– Weź jeden z tych swetrów – powiedział w końcu.

Larraine miała sześć dni na wyprowadzkę z przyczepy Beakera. Ten bowiem napisał do Bieck Management list następującej treści: „Wyprowadzam się, a przyczepę oddaję Bieck Management tytułem kwoty, którą jestem im winien. Opuszczam przyczepę... podobnie jak moja siostra”. Larraine dowiedziała się o braterskiej zdradzie – tak to przynajmniej odebrała – kiedy jeden z pracujących dla tej firmy zarządców nieruchomości ściągnął ją do telefonu w biurze trzy dni po tym, jak odwiedziła Beakera w Woods Apartments. Zarządca powiedział jej, że ma opuścić przyczepę do pierwszego.

– Proszę, nie mam się gdzie podziać – błagała go. – Przecież nie jestem jakimś podłym człowiekiem. – Pod koniec jednak mówiła już tylko: – Rozumiem. Rozumiem. Dziękuję za poświęcony mi czas. Niech pana Bóg błogosławi.

Usiadła i powiedziała do siebie: „Nie mam pojęcia, gdzie teraz pójść, co ze sobą zrobić. Nie mam pojęcia”.

Nowego lokum zaczęła szukać przy ulicach wokół kościoła. To on stanowił oś jej życia, więc równie dobrze mógł posłużyć za oś poszukiwań domu. Ostrożnie, szurając, wędrowała po oblodzonych chodnikach, dzwoniła do właścicieli mieszkań. Potem postanowiła zajrzeć do bloków komunalnych w południowej części Milwaukee, gdzie się wychowywała. Urzędniczka w biurze powiedziała jej, że mają komplet lokatorów i nie przyjmują zgłoszeń, ale dała jej adres oddziału DMiRM.

Siedziba oddziału Departamentu Mieszkalnictwa i Rozwoju Miast w Milwaukee mieściła się w centrum, na najwyższym piętrze nowoczesnego wieżowca zwanego The Blue (Błękitny), którego lustrzaną fasadę przecinały rzędy cukierkowoniebieskiego szkła. Podeszwy przemoczonych butów Larraine popiskiwały na lastrykowej podłodze

westybulu. Recepcjonistka w biurze wręczyła jej „Zestawienie dostępnego budownictwa wielorodzinnego”, trzynaście stron formatu większego niż A4, gdzie wyszczególniono wszystkie subsydiowane przez rząd federalny lokale do wynajęcia w aglomeracji Milwaukee. „Nie wiem nawet, gdzie jest połowa z tych adresów” – mruknęła Larraine, przeglądając tę obszerną listę miejsc i numerów telefonów. Zresztą i tak nie miało to większego znaczenia, gdyż przeważnie były to lokale zastrzeżone dla osób niepełnosprawnych lub w podeszłym wieku. W rzeczy samej, Larraine przez lata zakładała, że lwia część mieszkań komunalnych jest dostępna tylko dla osób starszych. „A i oni, wielu z nich, często nie dostają mieszkań z dopłatą – wspominała. No to pomyślałam sobie: jak oni nie mogą, to co dopiero ja”. Właśnie dlatego nigdy wcześniej nie pomyślała o ubieganiu się o mieszkanie komunalne.

Politycy mieli już świadomość, że ich wyborcy zdecydowanie mniej niechętnie odnosili się do koncepcji mieszkań dla emerytów niż do lokali komunalnych dla biednych rodzin. Babcia i dziadziuś budzili znacznie większe współczucie, a dzięki mieszkaniom dla emerytów ich dorosłe dzieci nie musiały decydować się na umieszczanie rodziców w domu opieki. Choć ustały programy budowy mieszkań komunalnych dla rodzin o niskich dochodach, te dla emerytów kontynuowano, dostosowywano też dla osób w starszym wieku wieżowce budowane pierwotnie dla młodych rodzin[8].

W zestawieniu otrzymanym z Departamentu Larraine znalazła dwa adresy miejsc, gdzie przyjmowano podania nie tylko od osób starszych czy niepełnosprawnych, ale także mieszkających na dalszym skraju South Side. Larraine odrzucała opcję mieszkania w bliższej części South Side, a North Side w ogóle nie wchodziła w rachubę. Wniosek zawierał pytanie o to, czy petent był kiedykolwiek eksmitowany. Larraine zakreśliła „tak”, dopisując: „Miałam pewne nieporozumienia z właścicielem, więc mnie eksmitował”.

W dniu, w którym Larraine miała opuścić przyczepę Beakera, miasto było skute lodem. Spadł wczesny grudniowy śnieg, stopił się, a gdy temperatura

się obniżyła, wszystko zamarzło. Larraine stała w kuchni i słuchała zgrzytliwych odgłosów, kiedy ludzie odskrobywali szyby samochodów, odłupywali warstewki lodu z drzwi. Na podłodze zalegała pryzma śmieci, głównie paczek po papierosach Maverick Beakera i butelek po mleku czekoladowym, w zlewie piętrzyły się brudne naczynia. Ziąb przyszpilił ją do kanapy, gdzie kryła się pod kocami – ziąb i pytanie, co dalej. Od nadejścia zimy właściwie odpuściła sobie sprzątanie. „Już mnie to nie obchodzi” – mówiła, łykając środki przeciwbólowe i antydepresanty.

Składała podania lub dzwoniła do prawie czterdziestu mieszkań. Na rynku prywatnym zupełnie nic się nie znalazło, a wnioski o mieszkanie komunalne wciąż czekały na rozpatrzenie. Larraine nie miała pojęcia, gdzie się podzieje. Myślała o tym, żeby spróbować z Thomasem, mężczyzną w jej wieku, który mieszkał tu na placu samotnie, albo z panią Betty, którą Larraine kojarzyła tylko jako „tę staruszkę po drugiej stronie uliczki”. Spakowała resztę swojego dobytku. Plan był taki, że odda to wszystko na przechowanie do Public Storage za pięćdziesiąt dolarów.

Późnym popołudniem zapukała do drzwi pani Betty. Była to drobna biała kobieta o oczach jak kryształy i srebrzących się blond włosach, splecionych w dwa warkocze opadające poniżej barków. Pani Betty wyglądała młodziej, kiedy siedziała i niespiesznie napawała się papierosem, ale chodziła jak staruszka, przygarbiona, z podkurczoną ręką. Wiedziały o sobie tyle co z powitań, kiedy się spotykały, i z krążących plotek. Kiedy jednak Larraine zapytała, czy mogłaby zamieszkać z panią Betty, ta wyraziła zgodę.

– Jasne, że możesz u mnie zostać, póki zima nie minie. – Pani Betty uniosła brew. – Wiem, że nie robisz takich problemów, jak o tobie mówią.

Larraine uśmiechnęła się i powiedziała:

– Będę mogła wziąć prysznic i w ogóle!

Przyczepa Betty należała chyba do najbardziej zagraconych na placu. Larraine dało się tu jeszcze wcisnąć, ale to by było właściwie na tyle. Pani Betty na stolikach trzymała pryzmy pism, starych listów, konserwy, buteleczki sosu sojowego, słodycze. W salonie ku oknu nachylało się drzewko, z którego na podłogę sypały się liście, a na półeczkach przy

obrazie z Jezusem cisnęły się różnorakie pamiątki. W tym bałaganie krył się jednak ład. Szuflady w łazience przypominały dział ze śrubami w sklepie żelaznym: wszystkie tubki pasty do zębów w rozmiarze podróżnym, klamerki, gumki do włosów czy cążki do paznokci były pogrupowane w osobnych pojemnikach. W kuchni Betty powiesiła hasło: „DEFINICJA PANOWANIA NAD SOBĄ: GDY POWSTRZYMUJESZ SIĘ OD UDUSZENIA TEGO TYPA, KTÓRY NA TO, KURWA, ZASŁUŻYŁ”. Larraine umówiła się z panią Betty, że będzie jej płacić sto dolarów miesięcznie.

Parę dni po tym, jak wprowadziła się do starszej pani, Larraine dostała odpowiedź na swoje podania o mieszkanie komunalne – dwie odmowy. Każda z nich wymieniała dwie przyczyny odrzucenia złożonych przez Larraine wniosków: „należności wobec stanu Wisconsin” oraz „przeszłe eksmisje”. „Przeszłe eksmisje” były zrozumiałe, ale nie „należności wobec stanu Wisconsin”. Gdy zadzwoniła, żeby dowiedzieć się, o co chodzi, usłyszała, że zalega z podatkiem od nieruchomości.

– Od nieruchomości! – Parsknęła śmiechem, odkładając słuchawkę. – Chętnie bym się dowiedziała, jakim cudem zalegam z podatkiem od nieruchomości[9].

Betty uważała, że Larraine powinna się odwoływać.

– Musisz walczyć, Larraine – powiedziała, spoglądając nad oprawkami pokaźnych okularów. – Ja też musiałam wojować, żeby się załapać na ubezpieczenie medyczne.

– Nie mam na to siły – odparła Larraine. – I nie uśmiecha mi się kolejna odmowa[10].

Betty pokiwała głową. Rozumiała to.

Parę dni później Larraine była w nastroju szczególnej pobożności, świeżo w myślach tkwiło jej nauczanie prawdy w kościele.

– Co widzisz, kiedy patrzysz na Jezusa? – zapytała więc Betty.

– Ciacho – odpaliła z miejsca starsza pani. Niezapalony długi papieros sterczał spomiędzy jej warg niczym deska z burty statku pirackiego.

– Och, Betty! – parsknęła Larraine.

Betty podeszła do obrazka z Jezusem, kręcąc biodrami, i zapukała w szybkę.

– Ciacho – powtórzyła. – Zawsze miałam słabość do brodatych.

– Betty, zbereźnico – zagruchała Larraine.

Nowe przyjaciółki rozmawiały i śmiały się do późna w nocy. Jedna obok drugiej zapadły w sen na kanapie[11].

19
Malec

Najtańszy motel, jaki zdołała znaleźć Pam, żądał pięćdziesięciu dolarów za noc. Zameldowali się tam i postanowili obdzwonić przyjaciół i krewnych z nadzieją, że ktoś ich przygarnie. Minęły dwa dni, zero sukcesów, i Pam zaczęła się niepokoić. „Nikt, kogo znamy, nie odbiera od nas telefonów, bo wiedzą, że szukamy dachu nad głową” – mówiła.

Potem Ned stracił tę swoją dorywczą robotę na budowie. Wylali go za dwa opuszczone dni, kiedy pomagał rodzinie wyprowadzić się z placu przyczep. Utrata pracy mogła prowadzić do eksmisji, ale działało to również w drugą stronę[1]. Eksmisja nie tylko pochłaniała czas najemców, powodując ich nieobecność w pracy, ale też bardzo zaprzątała ich myśli, co często przekładało się na błędy przy pracy. Przeciążała pracowników stresem, doprowadzając ich do nieprofesjonalnych zachowań, z reguły też sprawiała, że przeprowadzali się dalej od miejsca pracy, przez co rosło prawdopodobieństwo spóźnień czy nieobecności[2]. Zwolnienie Neda nie było czymś nadzwyczajnym, ale to nie poprawiało humoru Pam. Kończyły się im pieniądze.

Mimo to Ned uparł się i nie dzwonił do krewnych. Cały on, pomyślała Pam. Ned dzwonił do rodziców, żeby im się chwalić, a raczej nie po to, by o coś prosić. Więc to Pam wisiała na słuchawce, obdzwaniała niemal wszystkich swoich znajomych, nawet kościoły. Nic. W końcu koleżanka zgodziła się przyjąć dziewczynki, póki Pam i Ned nie staną na nogi. Odstawili do niej trzy najstarsze, z rodzicami została dwuletnia Kristin. W końcu telefon Neda odezwał się o dziesiątej wieczorem. Dzwonił Travis, kumpel, z którym niegdyś imprezowali na placu przyczep, a który tymczasem przeprowadził się do bloku niedaleko. Travis oferował im swoją

kanapę. Pam odetchnęła z ulgą. Przynajmniej nie będzie musiała wracać z noworodkiem do tandetnego motelu.

Travis był pierwszym darem niebios, drugim okazał się Dirky, muskularny, siwowłosy facet, który urządził sobie w garażu profesjonalny warsztat mechaniki pojazdowej. Dirky zatrudnił Neda na czarno do przerabiania motocykli na życzenie klientów. Ned poznał go przez znajomego mechanika.

Spędziwszy u Travisa miesiąc, Pam i Ned czuli już, że powoli ma ich dość. Gdy Kristin zaczynała marudzić, Travis zaciskał zęby i zamykał się w swojej sypialni bynajmniej nie tylko dlatego, że musiał zrywać się o wpół do piątej rano, żeby zdążyć do pracy. Kiedy poprzednim razem zgodził się na współlokatorów, zamieszkał u niego brat ze swoim synem, i przez tych dwóch pijaków Travis został eksmitowany. Ned posyłał Pam, żeby uciszyła małą, na co Pam odpowiadała mu, że to także jego córka, psiakrew.

Pewnego ranka pojechali do garażu Dirky'ego. Na tylnym siedzeniu przypięta pasami była Kristin i jej Troskliwy Miś. Pam miała termin za dziewięć dni; znalezienia nowego lokum byli równie bliscy jak w chwili, kiedy Tobin wykopał ich z placu przyczep; mogło się okazać, że przyjdzie im mieszkać w bliższej centrum części South Side, wśród Meksykanów; Ned nie miał fajek, bo Pam paliła więcej, żeby zagłuszyć stres i kłujący głód; Kristin robiła awanturę, bo jej ukochany misio po eksmisji wylądował w magazynie; Dirky chciał, żeby Ned przerobił komuś skrzynię biegów, a to zapewne oznaczałoby robotę do późna w nocy; no i szlag go trafiał, że cała rodzina była zależna od Travisa. Kiedy obrócił się ku dudniącej muzyce i na sąsiednim pasie zobaczył w samochodzie dwóch czarnoskórych chłopaków, ich też nienawidził. „Czarnuchy jebane” – warknął.

Parę minut później zauważył szyld z informacją o mieszkaniu do wynajęcia w białej robociarskiej dzielnicy West Allis i kazał Pam spisać numer telefonu. Nie zdążyła.

– Przecież ci mówiłem – wściekł się. – Dyktowałem ci, kurwa, ten numer, i co, nie szło spisać?

– No nie, kiedy mówisz tak szybko!

– Kurwa, to nie ja mam tu problem!

Zatoczyli koło, spisali numer.

– Dzień dobry, dzwonię w sprawie tego mieszkania, róg Siedemdziesiątej Szóstej i Lincoln... Dwie sypialnie, tak?

– Yhy – odparł męski głos. – Sześćset dziewięćdziesiąt pięć miesięcznie, z ogrzewaniem.

Pam się nie rozłączyła. Może da się z facetem ponegocjować.

– Okej. A od kiedy dostępne?

– Od zaraz.

– Naprawdę? Super.

– A kto będzie z panią mieszkał?

– Moja rodzina. – Pam zawahała się, po czym postanowiła przyznać do większości dzieci. – Mam trójkę dzieci, kolejne w drodze. Ale to same dziewczynki!

– O nie, nie, nie. Staramy się mieć tu samych dorosłych.

– Aha, okej. Dziękuję panu. – Pam odłożyła telefon. – Z dziećmi nie chcą.

Ned miał na sobie czarną koszulkę Ozzy’ego Osbourne’a z obciętymi rękawami i czapeczkę z logo Harley-Davidsona, daszkiem do tyłu. Świsnął przez zęby.

– No tak. Wystarczy, kurwa, że wspomnisz, że masz czwórkę dzieci, i mamy przejebane.

Pam wiedziała, że i bez tego mieli małe szanse. Kiedy parę dni wcześniej rozglądali się za mieszkaniem, dwaj właściciele odmówili im ze względu na dzieci. Jeden powiedział: „Mamy tu takie raczej ostre reguły. Żadnych w ogóle hałasów ani nic”. Drugi oznajmił jej, że umieszczenie tylu dzieci w mieszkaniu z dwiema sypialniami – a na nic więcej nie było Pam i Neda stać – byłoby z jego strony naruszeniem prawa. W rozmowach z właścicielami mieszkań zaczęła więc redukować liczbę dzieci w rodzinie.

Wzięło ją też na zastanowienie, co miało największy wpływ na ich niemożność znalezienia mieszkania: jej wyrok za narkotyki sprzed kilku lat, fakt, że Ned ukrywał się przed aresztowaniem i nie mógł udokumentować dochodów, ich zarejestrowane eksmisje, ich ubóstwo czy ich dzieci.

Dzieci były dla właścicieli mieszkań źródłem stresu. W obawie przed panującą na ulicach przemocą wielu rodziców w sąsiedztwach o wysokich wskaźnikach przestępczości wciąż trzymało dzieci w domu. A te, nudząc się w ciasnych mieszkaniach, robiły sobie z zasłon superbohaterskie peleryny, spuszczały w toalecie zabawki, nabijały wyższe rachunki za wodę. Mogły wykazać objawy zatrucia ołowiem, a to potrafiło ściągnąć kosztowny nakaz remontu. Mogły trafić pod nadzór służb opiekuńczych, których pracownicy przeprowadzali inspekcje mieszkań rodziców, zwracając uwagę na niehigieniczne warunki czy poważne naruszenia przepisów budowlanych. Nastolatkami, bywało, zaczynała się interesować policja.

Właściciele mieszkań zakazujący obecności dzieci to już wieloletnia tradycja. W warunkach ostrej konkurencji na rynku mieszkaniowym w powojennych latach czterdziestych właściciele mieszkań regularnie odmawiali najmu rodzinom z dziećmi i eksmitowali lokatorki, które zaszły w ciążę[3]. Widać to wyraźnie w listach pisanych przez matki ubiegające się o mieszkania komunalne. „Obecnie mieszkam w nieogrzewanej izbie na strychu z rocznym dzieckiem [...] – pisała jedna. – Gdziekolwiek pójdę, właściciele nie chcą dzieci. Mam też dziesięcioletniego synka [...]. Nie mogę mieszkać z nim, bo gospodyni nie życzy sobie dzieci. Czy moglibyście w jakikolwiek sposób pomóc mi z otrzymaniem nieumeblowanego pokoju, mieszkania czy choćby starej szopy? [...] Nie mogę już dłużej tak żyć, bo jestem o włos od aktów desperacji”. Inna matka pisała: „Moje dzieci są obecnie chore, tracą na wadze [...]. Starałam się, błagałam, żebrałam o mieszkanie, ale zawsze [słyszę] «za późno» albo «przykro nam, żadnych dzieci»”. Kolejna pisała: „Ta pani, u której mieszkam, wystawiła dwójkę moich dzieci na ulicę chyba ze trzy tygodnie

temu i nie chce, żebym je wpuściła z powrotem [...]. Jakbym mogła dostać garaż, też bym wzięła”[4].

Przyjmując w roku 1968 Ustawę o uczciwym mieszkalnictwie, Kongres nie potraktował rodzin z dziećmi jako grupy objętej ochroną, pozwalając, by właściciele mieszkań nadal odrzucali czy eksmitowali takich najemców. Niektórzy narzucali dużym rodzinom kosztowne restrykcje, do standardowych opłat czynszowych dokładając „kaucję za zniszczenia spowodowane przez dzieci”. Na pewnym osiedlu w Waszyngtonie od najemców bez dzieci żądano kaucji w wysokości stu pięćdziesięciu dolarów, od rodzin z dziećmi zaś – czterystu pięćdziesięciu dolarów, a dodatkowo za każde dziecko miesięczny czynsz rósł o pięćdziesiąt dolarów[5]. W roku 1980 DMiRM zlecił ogólnokrajowe badania dla oszacowania skali problemu – okazało się, że tylko co czwarte mieszkanie oferowane na wynajem było wolne od takich obostrzeń[6]. Osiem lat później Kongres uchwalił wreszcie prawo zakazujące dyskryminowania dzieci i rodzin w wynajmie mieszkań, ale jak przekonała się Pam, nadal było to nagminnie praktykowane[7]. Rodziny z dziećmi otrzymywały odmowę wynajmu mieszkania nawet w siedemdziesięciu procentach podejmowanych prób[8].

Ned wysiadł z auta, oddał Kristin resztkę swojej kanapki śniadaniowej z McDonalda.

– Daj tacie buzi. Idę do pracy. Kocham cię.

Pam też pocałował.

Przyłożyła dłoń do czoła.

– Zaraz mnie rozniesie.

– Mama? Plac zabaw. Bawimy! – zażądała z tylnego siedzenia Kristin.

– Nie, Kristin. Mama jest zajęta, szuka dla nas domu.

– Ile lat ma dziecko? – zapytał właściciel mieszkania.

– Sześć.

– Pani zadzwoni za miesiąc.

Arleen się rozłączyła. Złożyła już wnioski albo przynajmniej zadzwoniła w sprawie osiemdziesięciu dwóch mieszkań. W żadnym jej nie przyjęto. Nawet w getcie większość lokali była poza jej zasięgiem. A właściciele mieszkań, na które byłoby ją stać, gdyby oddawała im wszystkie dochody, nawet nie oddzwaniali.

Znów podniosła telefon. Wybrała trzy kolejne numery. Zbyt drogo. Nagrana wiadomość. „Pani zadzwoni w poniedziałek”. Była wykończona, bo ostatniej nocy znów mieli rajd do szpitala. Skończył się jej prednizon, a Jafaris dostał ataku astmy. Arleen miała już tyle rzeczy na głowie, że z astmą synka ledwie dawała sobie radę. Raz, po długim i bezowocnym dniu strawionym na szukanie mieszkania, ze zgrozą uświadomiła sobie, że plecak z aparatem do oddychania Jafarisa został na przystanku autobusowym. Jeden dzień bez inhalacji syn zniósł, wydawało się, całkiem nieźle. Dwa dni później obudził się jednak i powiedział Arleen: „Źle się czuję, mamo”.

Słysząc, jak rzęzi, wezwała karetkę. Wtedy zabrali go do szpitala dziecięcego, niedaleko zoo, i przetrzymali tam przez noc. Tym razem udało im się wrócić do schroniska przed dziesiątą trzydzieści wieczorem. A dyżurny pracownik socjalny był tak uprzejmy, że opłacił taksówkę do szpitala i z powrotem.

Gdy telefon odebrał właściciel mieszkania numer 85, Arleen zagaiła: „*Dzień* dobry! Jak się pan miewa?”, zamiast „Dzień *dobry*! Jak się pan miewa?” czy „Dzień dobry, dzwonię w sprawie pańskiego mieszkania”. Próbowała inaczej rozkładać akcenty, na różne sposoby modulować głos. Temu właścicielowi mówiła jedno, tamtej – co innego. Czasami była w schronisku, czasem nie. Czasami miała dwóch synów, czasem jedno dziecko. Czasami dzieci były w placówkach opiekuńczych, czasem nie. Czasami Arleen dostawała na nie zasiłek, czasem nie. Szukała po omacku, eksperymentowała, losowo testowała różne wersje. Nie wiedziałaby, jak naginać reguły tego systemu, nawet gdyby rzeczywiście chciała to uczynić.

– Jest w tym układzie jakiś mężczyzna? – zapytał numer 85.

– Nie będzie żadnych mężczyzn.

– Czy jacyś mężczyźni będą panią okazjonalnie odwiedzali?

– Nie. To tylko dla mnie i mojego syna.

– Ile lat ma syn?

Numer 86 chciał osiemset dwadzieścia pięć dolarów miesięcznie plus dodatkowe dwadzieścia pięć za Joriego, ale numer 88 brzmiał obiecująco. Był to duży, dwupiętrowy murowany budynek na końcu ślepej uliczki na North Side. „Wydaje mi się, że kiedyś był tu jakiś zakład opiekuńczy – powiedział Arleen zarządca budynku. – Może dom starców czy coś”.

Arleen obstawiałaby raczej zakład psychiatryczny. Wewnątrz było czysto i cicho. Ściany nie były kremowe czy beżowe, ale białe jak w szpitalu, jak zęby bogaczy. Opatrzone mosiężnymi cyframi drzwi z ciemnego drewna otwierały się na długie korytarze o niskich sufitach. Arleen szła z chłopcami za zarządcą budynku, słuchali, jak piszczą podeszwy ich butów. Za plecami zarządcy Jori podskoczył do Jafarisa – małego aż poderwało z wrażenia i obaj chłopcy zaśmiali się w kułak, rozpędzając nieco tę przytłaczającą atmosferę.

– Jestem Ali – przedstawił się zarządca. – To znaczy „ze szlachetnego rodu”. – Był to czarny mężczyzna, wyprostowany jak strzała, ubrany w brązową czapeczkę kufi, beżowe spodnie i dobraną do nich koszulę, zapiętą pod szyję. Pokazał Arleen pierwsze z mieszkań. – Mam tu jednego, może dwóch trudniejszych lokatorów, ale to wszystko – stwierdził. – Jest jak jest, niektórzy nie potrafią żyć tak jak ta rodzina Huxtable w telewizji, co nie. Oni by tak raczej woleli kulturę jak w South Central, gettową. A mnie się taka kultura nie podoba.

Arleen rozejrzała się po mieszkaniu, skąpo umeblowanym sprzętami chyba nawet starszymi niż *Bill Cosby Show*.

– No rozumie pani – ciągnął Ali. – Żyć trzeba tak, jak się należy. Rachunki trzeba płacić. – Odchrząkiwał, mówił głośniej. – I trwałe związki. To jest, prawda, ważny temat. W sensie że czarne kobiety. No wie pani, że właśnie bez trwałych związków, że ja jestem Pani Niezależna... Ale właśnie przywróćmy rodziny. Jak nie chcecie mieć rodziny, to mnie tam nie

obchodzi, że ty jesteś niezależna siostra, ja ci nic a nic nie pomogę... Więc mnie właśnie chodzi o rodziny. O to, co słuszne, o to, co dobre.

Arleen uśmiechała się do niego, a on dopiero co to zauważył. Zabawny facet.

– Ee, znaczy podoba się pani to mieszkanie czy idziemy zobaczyć drugie?

– Nawet mi nie zależy. Po prostu potrzebuję miejsca dla nas.

Czynsz za mieszkanie z jedną sypialnią wynosił pięćset dolarów, także rachunek za prąd miała pokrywać Arleen. Na podaniu przy pytaniu o właściciela poprzedniego mieszkania Arleen wpisała „Sherrena Tarver". Przy „Powody przeprowadzki" postanowiła wpisać „Wyzyskiwaczka". Zawahała się przez chwilę, po czym zebrała się na odwagę i zapytała, czy mogą mieć kota.

– Mówią, żeby nie mieć tu zwierząt, ale ja osobiście, prawda, koty uważam. Psów nie znoszę. Więc co do tego możemy ponegocjować.

– No więc byłabym bardzo wdzięczna. Ee, no i my, no. – Spojrzała na Joriego. Robiła to przede wszystkim ze względu na niego. Rozumiał to i to zrozumienie odbiło się w jego dużych piwnych oczach. – Jori, nie płacz, bo zaraz ja się przez ciebie rozpłaczę!

Syn szybko się odwrócił i podszedł do okna.

Arleen postanowiła wpaść z wizytą do swojego kuzyna J.P. Uwielbiała go, jego szerokie policzki i wieczny luz. „Zobaczymy, może u niego właściciel ma coś wolnego" – stwierdziła. Ali był miły, ale to nie on decydował o przyjęciu podania. Arleen chciała też sprawdzić, co słychać u jej syna Boosiego, który nocował właśnie u J.P., na rogu Dwudziestej Szóstej i Chambers, kto wie, może w samym geometrycznym środku getta.

Niedługo po tym, jak porzucił ją Larry, służby opiekuńcze odebrały jej Ger-Gera, Boosiego i pozostałą trójkę dzieci. „Po prostu odpuściłam sobie całą odpowiedzialność – wspomina Arleen. – Jak on ode mnie odszedł, bardzo, bardzo mnie to bolało. Szkoda, że nie byłam silniejsza". Mijały

lata, dzieci Arleen trafiały to do niej, to do rodzin zastępczych. „Ale Boosie nigdy nie chciał wrócić do domu” – mówi Arleen. Pamięta, jak w wieku piętnastu lat sam zadzwonił do służb opiekuńczych i powiedział temu, kto odebrał telefon, że dzieci zostały bez opieki. „No to znów przyszli i mi je zabrali”. Wtedy miała już także Jafarisa. Miał wówczas dwa latka, Jori dziesięć. Ci dwaj chłopcy wrócili do Arleen, ale Boosie i pozostała dwójka dzieci ze związku z Larrym nie opuściły systemu rodzin zastępczych. Arleen nie znała powodów ich decyzji. Wiedziała, że ich rodziny zastępcze były bogatsze niż ona. Mogły kupować jej dzieciom nowe ubrania, dbały, by nie szły spać głodne, zapewniały im własne łóżka. Jednak w odróżnieniu od swojego młodszego brata i siostry Boosie dość szybko wypadł z systemu. W wieku siedemnastu lat opuścił rodzinę zastępczą, rzucił liceum i zaczął dilować crackiem.

Z ciemnej klatki schodowej weszli do jasnego mieszkania. Było tu ciepło, pachniało jajecznicą z kiełbasą. Boosie, chudy, w czapce daszkiem do tyłu, siedział na kanapie. Widząc Arleen i chłopców, złapał pistolet ASG wyglądający zupełnie jak regularna czterdziestkapiątka i rzucił się ku Jafarisowi. Wetknął lufę pistoletu w plecy malca i przewrócił go na materac w sąsiedniej sypialni, aż na podłogę spadł czyjś egzemplarz *Bękarta z Karoliny*, z zagiętą kartką dla zaznaczenia miejsca. Jafaris wiercił się, śmiał, ale nie mógł się oswobodzić.

– Kurde, widział ktoś kiedyś takiego przekozackiego sześciolatka? – powiedział ze śmiechem Boosie, oswobodził Jafarisa i podał mu pistolet.

Chłopczyk uśmiechnął się, przyjrzał broni.

– No i git, czarny ludku, oddawaj spluwę.

Arleen pokręciła głową, Boosie odpowiedział jej skinieniem.

Poprosiła J.P., żeby ten zadzwonił do właściciela swojego mieszkania, a on spełnił to życzenie. Okazało się, że jest wolny lokal na parterze. Przed pożegnaniem z rodziną Arleen umówiła się na oglądanie tego mieszkania na następny dzień.

– Boosie ściemnia! – wyładowała się przy Jorim, kiedy już wyszli. – Taki chudy tam siedzi! Albo ciągnie prochy, albo go tam nie karmią. – Jej twarz

stężała w matczynej trosce. Arleen otrząsnęła się. – Teraz nie mogę się tym przejmować.

– To co, weźmiesz to mieszkanie? – spytał z nadzieją Jori.

Arleen rozważała to mieszkanie na parterze.

– No nie wiem. Za dużo tu akcji – powiedziała, mając na myśli gliny i prochy.

Ruszyła w dalszą drogę, wciąż na North Side. Przeszła obok tego prostego niebieskiego domu, w którym zmarła jej matka, minęła bloki przy Atkinson, na które mówiła „Ćpuńskie Miasto". Zatrzymała się przy przeznaczonym do wyburzenia domu na rogu Dziewiętnastej i Hampton, tym, w którym niegdyś mieszkała – przysadzistym, cichym, wciąż tylko na wpół odmalowanym. Do drzwi wejściowych przyczepiona była tabliczka: TEN BUDYNEK JEST NIELEGALNIE ZASIEDLONY LUB NIE NADAJE SIĘ DO ZAMIESZKANIA I NALEŻY GO OPUŚCIĆ.

– Boże, jak ja tęsknię za tym domem – westchnęła. Jafaris zaoferował, że sprawdzi skrzynkę pocztową, obdarzyła go uśmiechem. – Nie mamy tu żadnych listów, bąblu.

To nie przez problemy z wodą wezwała tam inspektora budowlanego. Gdy zawodziły krany, nosili baniaki z pobliskiego sklepu. Kiedy jednak wreszcie przybył właściciel mieszkania ze skrzynką z narzędziami, powycinał tylko mnóstwo dziur w ścianach łazienki i porobił z rurami coś takiego, że wciąż z nich ciekło. Arleen zadzwoniła do niego ze skargą. Pamięta, że odpowiedział jej: „Cóż, mam ponad pięćdziesiąt lokali. Jak nie możesz poczekać, to się wyprowadź".

To wtedy zadzwoniła po inspekcję. „Głupio pograłam".

Ned spędził cały dzień nad tą skrzynią biegów, a Pam – na szukaniu mieszkania. Obdzwoniła tyle numerów, że już się jej pomieszały, i ponownie uderzała do właścicieli, którzy już raz jej odmówili. W popołudniowym amoku znów wybrała numer do właściciela z West Allis. „Nie chcemy tu pani dzieci, tak?" – powiedział zirytowany.

Pam postanowiła wypytać się o mieszkanie w bloku, który według słów jej przyjaciółki był gniazdem „cracku i kurewstwa”, bo przypuszczała, że właściciel nie będzie wtedy wnikał w historię. Tyle że za lokal z trzema sypialniami zaśpiewał osiemset dziewięćdziesiąt pięć dolarów. Nie wierzyła własnym uszom: „Za mieszkanie w takim szambie?”. To właśnie wtedy rozciągnęła poszukiwania na latynoską część South Side. „No chyba nie mam wyboru” – powiedziała sobie, wzdychając.

Zadzwoniła do trzydziestu ośmiu mieszkań, ale w rezultacie umówiła się na oglądanie tylko dwóch: jedno było w Cudahy, białej robociarskiej dzielnicy na przedmieściach, zachodnimi obrzeżami stykającej się z lotniskiem, a drugie na South Side. To w Cudahy, przy Packard Avenue, miało dwie sypialnie. Czynsz wynosił sześćset czterdzieści dolarów, z wliczonym ogrzewaniem. Rozpoczynając poszukiwania, Pam roiła sobie, że znajdzie coś nawet za pięćset dolarów, „na wypadek gdybym ja z Nedem, w sensie, kto wie, co się może zdarzyć”. Jednak takie okazje właściwie się nie zdarzały[9]. Pam wolałaby już oddawać w czynszu właściwie wszystko, co miała, niż mieszkać w kwartale, gdzie większość mieszkańców stanowiliby niebiali.

Ned i Pam czekali spięci pod mieszkaniem przy Packard Avenue. Ned polecił Pam, by trzymała gębę na kłódkę i jemu zostawiła negocjacje. Pam, która mogła urodzić lada dzień i marzyła tylko o tym, żeby paść do łóżka, wcale nie protestowała.

– Módlmy się, módlmy się, módlmy się – szeptała.

– Nie ma co się modlić, bo tam w górze i tak nie ma żadnego Boga. – Ned splunął. Gdy wreszcie zjawił się właściciel, Ned zaczął nawijkę: – Robię w budowlance już prawie od dwudziestu lat, cholera... Miałby pan tu jakąś robotę do wykonania?

Mieszkanie było czyste, nowe, z wielką sypialnią, w której zmieściłyby się wszystkie dziewczynki. Wyglądało na to, że sprawy idą w dobrym kierunku, kiedy nagle właściciel polecił im wypełnić druk podania. Ned oferował mu gotówkę, ale facet uparł się, żeby mieć wypełniony wniosek.

– Ciężko będzie dostać to mieszkanie? – spytał Ned.

– Sprawdzamy zdolność kredytową i inne takie – odparł właściciel.

– No, zdolność to my akurat mamy raczej słabą.

– To nie problem, grunt, żebyście nie byli skazani ani eksmitowani.

Drugie oględziny mieli na rogu Trzydziestej Piątej i Becher, spokojnych ulic w okolicy zdominowanej przez Latynosów. Właściciel chciał sześćset trzydzieści dolarów za mieszkanie z trzema sypialniami.

– Da się żyć – stwierdził Ned, rozglądając się po przecznicy. – Z Meksykańcami wytrzymam. Ale z czarnuchami w życiu. To świnie. – Wyszczerzył się, przypomniał coś sobie. – Wiesz, czemu z czarnych są fatalni sąsiedzi? Bo miejsce asfalta jest na ulicy[10]!

Zarechotał, a Pam zmusiła się do uśmiechu. Czasem jeżyła się na słowa Neda, szczególnie kiedy wygadywał takie rzeczy przy Bliss i Sandrze czy wmawiał im, że ich czarne loczki brzydko wyglądają. Cóż, kiedy sama podzielała jego poglądy, przynajmniej w kwestii sąsiadów. „Wolałabym już mieszkać w motelu niż w getcie – mówiła. – Przynajmniej na placu przyczep niemalże wszyscy byli biali. Z białych śmieci, ale zawsze”. Z jej punktu widzenia całe getto było jednolite. Jedna wielka „czarna wiocha”.

Pojawił się właściciel mieszkania – siwowłosy mężczyzna z pokaźną sprzączką u pasa – i zaprosił ich do środka. Było tu pięknie: lśniące drewniane podłogi, nowe okna, świeża farba na ścianach, przestronne sypialnie. Pam wyjrzała przez okno na tyłach, zobaczyła białe dzieci bawiące się na zadbanym podwórzu. Właściciel zaoferował nawet, że dorzuci „trochę AGD”.

Ned i Pam śmieli się, kiedy Pan Sprzączka rzucał jakimś dowcipem, próbowali wkradać się w jego łaski.

– Widzę, że przydałoby się panu tutaj trochę porobić w betonie – stwierdził Ned. – Ja nie odwalam fuszerki, a ceny mam przyzwoite.

Pam dodała od siebie, że za parę tygodni będzie już gotowa, gdyby potrzebował sprzątaczki.

Kiedy przyszedł czas na wypełnianie wniosku, Ned spróbował innego podejścia.

– A tu co, referencje co do kredytu? – spytał.

– Zostaw pan puste miejsce – odparł właściciel.

– A jak my tu jeszcze nie mamy konta. Dopiero co sprowadziliśmy się z Green Bay.

– No to mówię, zostaw pan puste.

Pomachali mu na pożegnanie, po czym Pam zwróciła się do Neda:

– Może i syfiasta okolica, ale mieszkanie jest fajne, naprawdę fajne. Jak na getto byłaby wersja luksusowa.

– Może załapię się na fuchę przy betonie? – rozmarzył się Ned.

– Może załapię się na fuchę przy sprzątaniu?

Ned zapalił czerwonego marlboro.

– To naprawdę wygląda na mieszkanie, które mogą nam wynająć – dodała Pam.

Ned miał to samo wrażenie. Powiedział Pam, że już nie musi spisywać numerów telefonów z szyldów z ogłoszeniami o wynajmie.

– Nie bój nic, Pam. Już mamy chatę.

Tego wieczoru Travis powiedział im, że mają się zabierać. Przenieśli się do taniego motelu. Pam siedziała na gryzącej, zbyt wiele razy już pranej kapie na krawędzi łóżka, oddychała powoli i mówiła do swojej córeczki:

– Jeszcze nie teraz. Najpierw musimy podpisać umowę, jeszcze nie teraz.

Mała nie posłuchała. Pam odeszły wody i mieszkająca też w hotelu starsza pani odwiozła ją, Neda i Kristin do szpitala. Dziecko ważyło trzy i pół kilograma. Zdaniem Neda dużo jak na dziewczynkę. „To dowodzi, że palenie nie powoduje niskiej wagi noworodka”. Roześmiał się. Na polecenie lekarza spędzili w szpitalu dwie noce, nabijając wyższy rachunek w motelu za pokój, w którym zostały tylko ich rzeczy.

Cztery dni po narodzinach małej zadzwonił do nich Pan Sprzączka z wiadomością, że ich podanie zostało przyjęte. Pam miała na koncie dwie zarejestrowane eksmisje i wyrok za dilowanie, żyła z zasiłku. Ned był ścigany przez policję, nie mógł udokumentować swoich dochodów, a lista

jego grzechów obejmowała między innymi trzy eksmisje, wyroki za narkotyki, a także kilka wykroczeń typu naruszenia przepisów drogowych czy posiadanie przy sobie ukrytej broni. Mieli pięć córek. Ale byli biali.

Pam wolałaby tamto mieszkanie przy Packard Avenue. Może i mniejsze, ale w Cudahy. Tamten właściciel jednak im odmówił. Byli skazani i eksmitowani, a to wypychało ich z białych dzielnic w okolice, o których rodziny mieszkające na North Side mogły tylko marzyć.

A Ned to wszystko przeputał. Trzy dni po tym, jak się wprowadzili, wdał się w pijacką awanturę z sąsiadami z góry. Właściciel dał im tydzień na znalezienie innego lokalu. Tyle im wystarczyło. Ned wytropił czyste mieszkanie z dwiema sypialniami w białej robociarskiej okolicy, niedaleko warsztatu Dirky'ego, za sześćset czterdzieści pięć dolarów miesięcznie. Przed domem rosła grusza. Ned złożył wniosek na własną rękę, nie wpisując w umowie najmu Pam ani jej dwóch czarnych córek.

– Ludzie mają słabość do samotnych ojców – powiedział jej.

Podanie zostało przyjęte.

– Czyli właścicielka nic nie wie o mnie ani o nich? – spytała.

– Nic a nic, ale poczekaj, spokojnie. Musiałem znaleźć chatę, no i w ciągu tygodnia zorganizowałem nam to mieszkanie. – Uniósł dłonie, jakby dziękując za brawa. – Widzisz, dobrym ludziom szczęście sprzyja.

Niedługo po tym, jak się tam wprowadzili, sąsiad załatwił Nedowi robotę na budowie, a Pam zaczęła pracować jako asystentka medyczna. Ned kazał Bliss i Sandrze nie przyznawać się właścicielce, że też tam mieszkają, gdyby je kiedykolwiek zapytała. Mówił im zresztą wiele różnych rzeczy typu: „Jesteś głupia jak twój ojciec" czy „Nie dość, że półczarna, to jeszcze kablara". Raz dla rozrywki kazał wszystkim dziewczynkom maszerować po mieszkaniu i skandować „Biała siła!".

Pam czuła się przez to jak wypatroszona. Modliła się, by nie zaszkodziło to dziewczynkom na dłuższą metę. Modliła się o przebaczenie za swoje macierzyńskie niepowodzenia. Czuła jednak, że w tych okolicznościach nie może rozstać się z Nedem. „To nie jest dobre życie – mówiła sobie. – Odstawiliśmy crack, ale wciąż tkwimy w tym samym syfie, do kurwy

nędzy... Nigdy nie było tak, żebym mogła odejść”. Stać ją było co najwyżej na to, żeby tłumaczyć dziewczynkom, kiedy zostawała z nimi sama, że Ned to diabeł wcielony. Bywały wieczory, że przed zaśnięciem zastanawiała się, czy nie powinna zabrać się z córkami do schroniska dla bezdomnych czy pod most. „Grunt, żebyśmy były razem, szczęśliwe, i bez wygadywania negatywnych tekstów. No po prostu chcę im mówić, że są piękne, bo moje dziewczyny to najsilniejsze kobietki na całym świecie”.

Arleen spróbowała szczęścia w dużym bloku mieszkalnym przy Silver Spring Drive (Ali z numeru 88 nie oddzwonił). Wybrała numer, a zarządca zgodził się natychmiast pokazać jej wolne mieszkanie.

– Mamy dom, Jafaris! – wrzasnął z uśmiechem Jori.

– Nie mów mu takich rzeczy – ucięła.

– Ale to nasz dom, facet! – ciągnął żart Jori i szturchnął brata łokciem.

– Przestań tak mówić! – Tym razem w jej krzyku było błaganie.

Kolejne oglądanie mieszkania, kolejny wniosek i znów byli na chodniku.

– Jestem głodny – odezwał się Jafaris.

– Zamknij się! – warknęła Arleen.

Po paru minutach poszperała w kieszeni, znalazła trochę drobnych i zaszła do McDonalda, żeby kupić Jafarisowi frytki.

Pod koniec dnia poszła z chłopakami pod ich dawne mieszkanie na Trzynastej. Przy wyprowadzce zostawiła tam jedną parę butów. Gdy zbliżali się do budynku, zobaczyli, że na dworze, w śniegu jest Malec, skrobie łapką w drzwi. Jori i Jafaris podbiegli do kotka. Jori podniósł Malca i podał go Jafarisowi, który przytulił zwierzątko i ucałował je.

– Weź go, kurna, zostaw! – wrzasnęła Arleen i szarpnęła Jafarisa za rękę.

Malec spadł w śnieg.

Gdy była sama, czasem płakała za Malcem. Synów jednak uczyła, by kochali oszczędnie, odrzucali to, na co nie mogli sobie pozwolić. Chroniła ich i siebie samą. Jakie inne metody samoobrony mogła mieć samotna matka, niezdolna nawet przyodziać dzieci? Jeśli swoją rodzinę zawiódł

ubogi ojciec, mógł odejść, jak to zrobił Larry, i spróbować szczęścia kiedy indziej[11]. Ubogie matki – a przynajmniej większość z nich – musiały oswoić się z tą porażką, żyć z nią.

Dzieci Arleen nie zawsze miały dom. Nie zawsze miały co jeść. Arleen nie zawsze mogła zapewnić im stabilność, bo stabilność kosztowała zbyt wiele. Nie zawsze mogła je uchronić przed niebezpiecznymi ulicami, bo na tych właśnie ulicach żyła. Arleen poświęcała się dla synów, karmiła ich najlepiej, jak mogła, ubierała w to, co miała. Kiedy jednak chcieli więcej, niż mogła im dać, miała swoje sposoby, czasem subtelne, czasami nie, żeby dać im do zrozumienia, że na to nie zasługują. Gdy Jori pragnął czegoś, czego chcą wszyscy nastolatkowie, nowych butów czy jakiegoś kosmetyku do włosów, mówiła mu, że jest samolubny albo po prostu niedobry. Gdy Jafaris płakał, krzyczała czasem na niego: „Jasny gwint, nic do ciebie nie dociera. Przestań się mazać!” albo „Przestań, Jafaris, bo ci stłukę tyłek! Jojczysz i jojczysz, mam już tego dość”. Czasami, gdy był głodny, mówiła mu: „Nie idź do kuchni, bo wiem, że nie chce ci się jeść” albo nakazywała nie zaglądać do świecących pustkami szafek, bo niby brzucho mu rosło.

Nie da się bez końca powtarzać: „Przykro mi, nie stać mnie”, bo człowiek czuje się coraz bardziej bezwartościowy, coraz bliższy chwili, kiedy pęknie. Chroni się więc, odruchowo, wynajdując sposoby, by mówić: „Nie, nic z tego”. Nie mogę ci pomóc. Zatem uznaję cię za niegodnego pomocy[12].

Pastorzy i panie z rad kościelnych, pracownicy społeczni i politycy, nauczyciele i sąsiedzi, policjanci i kuratorzy sądowi w czarnych społecznościach powiedzą, że robisz dobrze, że właśnie twarda ręka jest tym, czego potrzebują młodzi czarni chłopcy i dziewczęta. Nie żałować pasa. To, co powstało jako mechanizm przetrwania, przybrało nazwę spuścizny kulturalnej[13].

Gdy odchodzili już z Trzynastej Ulicy, zostawiając za sobą Malca i wciąż porozrzucane na śniegu resztki dobytku, Jafaris rozchylił palce, odsłaniając ukrytą w dłoni parę kolczyków.

– Skąd to masz, Jafaris? – zapytała Arleen.

– Ukradłem Crystal.

– Ożeż. – Chwila przerwy i zaraz: – To nie jest śmieszne ani grzeczne, Jafaris. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Usta chłopca wygięły się w podkówkę. Chciał tylko sprawić mamie przyjemność. Arleen zdawała sobie z tego sprawę i była wzruszona. Oddała później kolczyki, ale w tamtej chwili założyła je. Jafaris się uśmiechnął.

Musieli zajrzeć pod jeszcze jeden adres. Niebo robiło się już ciemnogranatowe, temperatura spadała, gdy Arleen dotarła do białego właściciela z pasem na narzędzia opinającym flanelową koszulę, który remontował mieszkanie z dwiema sypialniami w takim pośpiechu i stresie, że zaczęła podejrzewać, iż na następny dzień zapowiedział się inspektor budowlany. Wypełniła podanie, a Jafaris skorzystał z łazienki. Niestety dopiero poniewczasie zorientował się, że spłuczka nie działa. Arleen podziękowała właścicielowi, złapała synka za rękę i pospiesznie opuściła mieszkanie.

Po paru minutach odezwał się jej telefon. „Co za bezczelność! – darł się właściciel lokalu. – Takich dzieci to ja wcale nie lubię!”

Arleen i jej synowie mogli przebywać w schronisku jeszcze przez dwadzieścia dziewięć dni.

20

Nikt nie chce mieszkać na North Side

Zajazd znajduje się na rogu Siódmej i Vine, niedaleko centrum miasta. Jego mieszkańcy najczęściej gromadzą się w pobliżu drzwi wejściowych – palą, gadają, uganiają się za swoimi dziećmi. Tam też od końca lutego większość czasu spędzała Crystal. Na jej pozwie eksmisyjnym Sherrena zaznaczyła pole wyboru przy „Powód/powody, dla których WŁAŚCICIEL domaga się zwolnienia posesji" i wpisała: „Wszczynanie poważnych sporów z sąsiadami z piętra i parteru (interwencje policji). Ponadto nieupoważnione podnajęcie mieszkania eksmitowanej lokatorce". Crystal zupełnie nie była w stanie ogarnąć tego całego procesu. Jak Sherrena mogła mówić, że sytuacja z Arleen była „nieupoważniona", skoro wiedziała o tym od samego początku? Crystal spakowała swoje rzeczy w dwa przezroczyste worki na śmieci i zwinęła się z mieszkania bez stawiennictwa w sądzie, mylnie zakładając, że w ten sposób nie trafi do rejestrów.

Posiłki w Zajeździe uważała za obrzydliwe, a wśród personelu zdarzali się tacy, którzy składali mieszkańcom niewybredne propozycje, w zamian za seks oferując świeżą pościel, przekąski czy dodatkową porcję szamponu[1]. Podobał się jej jednak pokój, który dostała. Był ciepły, czysty i za darmo. „Nie muszę płacić pięć i pół stówy i jeszcze czuć się tak, jakbym nic z tego nie miała" – mówiła. W dodatku szukała sobie nowej przyjaciółki, a Zajazd nadawał się do takich łowów idealnie. Pod jednym dachem zbierały się tu dziesiątki ludzi, którzy znaleźli się w wyjątkowo rozpaczliwej sytuacji, którzy co do jednego „mieli trudny moment", jak to sami ujmowali[2].

Ludzie lgnęli do Crystal. Była towarzyska, zabawna, wiecznie klaskała i zaśmiewała się z własnych słabości. Potrafiła przy wychodzeniu z Zajazdu

kręcić biodrami, śpiewając pieśni gospel i unosząc dłonie, by chwalić Pana. Ten i ów zalecał się do niej, ale Crystal wśród swoich nowych przyjaciół szukała tego samego co u Arleen – kogoś, kto zastąpiłby jej matkę. Taką osobą okazała się Vanetta.

Vanetta Evans mieszkała w Zajeździe już od stycznia. Miała dwadzieścia lat, niewiele więcej od Crystal, ale przyszło jej szybko wydorośleć. Pierwszego syna, Kendala juniora, urodziła jako szesnastolatka, rok później córeczkę Tembi, a w kolejnym roku przyszedł na świat drugi syn, zwany Bo-Bo. Można by rzec, że Vanettę wychowało osiedle Robert Taylor Homes, osławione wieżowce komunalne w Chicago, albo że jej ociężała umysłowo matka, którą Vanetta i jej rodzeństwo bez cienia uczucia nazywali Biszkoptową, wychowywała ją „w niemal każdym schronisku dla bezdomnych, jakie tylko istnieje w Illinois i Wisconsin". Crystal podobało się to, jak Vanetta się nosi. Zawsze była zadbana, z włosami ściągniętymi ciasno do tyłu w krótki kucyk. Nawet komórkę nosiła w pokrowcu przy pasku, jak jakiś właściciel mieszkania. Jej ciemnobrązowa skóra miała ten sam odcień co karnacja Crystal. Prawie nigdy nie musiała podnosić na dzieci głosu, a mówiła z przepaloną chrypką klubowej szansonistki. Wystarczało, by na nie spojrzała Tym Wzrokiem, a zaraz się uspokajały. Kiedy Kendal junior zaczynał dokazywać, Vanetta udawała, że dzwoni do jego ojca, Dużego Kendala, i choć mały wiedział, że to zgrywa, i tak się uspokajał. Gdy Bo-Bo miał ataki, od razu wiozła go do szpitala[3].

Dziewczyny zaczęły od częstowania się papierosami – każda notowała w pamięci, ile newportów wzięła, ile dała. Wkrótce stawki wzrosły, Crystal i Vanetta drobnymi, ale żwawymi krokami zmierzały ku stosunkowi opartemu na wzajemnych usługach. Jedna drugiej pożyczała batonik, potem drobne kwoty, wreszcie kupowały sobie nawzajem posiłki w fast foodach. Z rzucanych mimochodem wzmianek dowiadywały się, ile która miała do dyspozycji – Vanetta dostawała miesięcznie sześćset siedemdziesiąt trzy dolary zasiłku plus trzysta osiemdziesiąt w talonach żywnościowych – poznawały też swoje usposobienia i temperament. Zaczęły mówić do siebie per „siostra"[4]. Po tygodniu postanowiły, że mieszkania będą szukać razem.

W schronisku mieszkały w jednym pokoju, więc po jego opuszczeniu chciały mieć wspólne lokum.

Crystal nie sądziła, że trzeba się martwić zbliżającą się datą orzeczenia wyroku w sprawie Vanetty. „Modlitwa to potęga” – powiadała. Vanetta przypuszczała, że ma niezłe szanse na wywinięcie się z odsiadki nawet bez Bożego wstawiennictwa. To był jej pierwszy wyrok.

Kłopoty zaczęły się od tego, że w restauracji Old Country Buffet obcięli jej godziny. Zamiast pięciu dni w tygodniu miała teraz pracować tylko jeden. Szef zwalał wszystko na recesję. Pensji przestało wystarczać na opłacenie rachunku za prąd. We Energies zagroziło Vanetcie odcięciem licznika, jeśli nie zapłaci siedmiuset pięciu dolarów. Nie miała jak wyłożyć takiej kwoty i mieć jeszcze na czynsz. Bała się jednak, że służby opiekuńcze odbiorą jej dzieci, jeśli będzie miała odcięte gaz i prąd. Na myśl o utracie dzieci Vanetta czuła wręcz mdłości ze strachu. Z czynszem też zaczęła zalegać, otrzymała powiadomienie o eksmisji. Czuła się bezradna, przerażona. Tak samo jak jej przyjaciółka, która również dostała powiadomienie na różowym papierze. Pewnego dnia, kiedy obie siedziały w furgonetce w towarzystwie chłopaka Vanetty, zobaczyły dwie inne kobiety niosące torebki i kierujące się do wypożyczalni filmów. Ktoś zaproponował, żeby obrobić te dwie i podzielić się pieniędzmi – nagle niespodziewanie przeszły do czynu. Chłopak Vanetty rozładował pistolet i podał go jej przyjaciółce. Ta wypadła z furgonetki, wycelowała w tamte dwie. Vanetta wybiegła za nią i zabrała im torebki. Gliny zwinęły ich wszystkich już po paru godzinach[5].

Przyznając się do winy, Vanetta oświadczyła: „Rozpaczliwie usiłowałam pospłacać rachunki, byłam zdenerwowana, przerażona, nie chciałam, żeby moje dzieci żyły po ciemku czy na ulicy”. Ukończywszy osiemnaście lat, wpisała się na listę oczekujących na mieszkanie komunalne. Gdyby teraz została skazana, już dożywotnio miałaby właściwie zerowe szanse na pozytywną decyzję[6].

Na rozprawie wstępnej usłyszała od sędziego, że „może zostać jej zasądzona grzywna w wysokości do stu tysięcy dolarów, czterdzieści lat

więzienia lub obie te kary łącznie”. Vanetta starała się nawet o tym nie myśleć. Po rozprawie zwolniono ją z pracy, a następnie eksmitowano, i wtedy właśnie wprowadziła się z dziećmi do Zajazdu.

Crystal i Vanetta uzgodniły, że mieszkania będą szukać wyłącznie w latynoskiej części South Side. Gdy czuły, że Bóg patrzy na nie łaskawiej, zaglądały nawet do białych dzielnic. North Side w ogóle nie brały pod uwagę. „Byłoby fajnie wyrwać się od tych czarnych kutasiarzy” – stwierdziła Crystal[7].

Zaczęły codzienne wyjazdy autobusem na South Side, zaglądały wszędzie, gdzie zauważyły znak „Do wynajęcia”. Nawet w erze internetowych portali z lokalami do wynajęcia skromny szyld z ogłoszeniem wciąż był widocznym i skutecznym magnesem dla najemców, szczególnie w dzielnicach zamieszkanych przez mniejszości. Tylko piętnaście procent czarnych najemców szukających lokum korzysta z internetu. Crystal i Vanetta, nie sięgając po ogłoszenia drukowane czy dostępne online, ograniczyły się do tego, co widziały na własne oczy, często przez zaparowane okno autobusu[8].

Młode przyjaciółki obejrzały małe mieszkanie z dwiema sypialniami, zrezygnowały jednak z wypełniania wniosku, kiedy okazało się, że właściciel nie życzy sobie palących. Odłożyły słuchawkę, gdy inny odezwał się po hiszpańsku. „Sześćset pięćdziesiąt za dwie sypialnie? Chyba zwariowałeś” – powiedziała trzeciemu Crystal. Gdy sprawdziły już paręnaście mieszkań, Vanetta zaproponowała, żeby spróbowały w firmie Affordable Rentals [Najem w przystępnej cenie]. Patrząc na ich skromne biuro w lokalu sklepowym przy National Avenue, jednej z głównych dróg przelotowych przez South Side, nikt by się nie domyślił, że Affordable Rentals to gigant na rynku mieszkań na wynajem dla osób o niskich dochodach w Milwaukee. Do firmy należy ponad trzysta mieszkań, a ponadto zarządzają niemal pięciuset innymi[9].

„Tylko żeby ci tu getto z butów nie wylazło” – Vanetta upomniała Crystal, zanim weszły do siedziby firmy.

W biurze wpłaciły kaucję, a recepcjonistka zza grubej szyby dała im klucz uniwersalny, żeby mogły same obejrzeć sobie mieszkania. Były nieduże, ale czyste, z wyjątkiem jednego, gdzie na podwórzu za domem walały się pieluchy i opony. Znalazła się jedna perełka – mieszkanie z dwiema sypialniami i wanną, za które czynsz wynosił zaledwie czterysta czterdzieści pięć dolarów. Popędziły z powrotem do biura i wypełniły wniosek. Na przyklejonej taśmą do ściany kartce wydrukowane były kryteria odsiewu lokatorów stosowane w Affordable Rentals:

ODRZUCAMY PODANIA Z NASTĘPUJĄCYCH POWODÓW:

1. Pierwszy najem przy braku żyranta
2. Jakakolwiek eksmisja w ciągu ostatnich trzech lat
3. Wyrok za przestępstwo narkotykowe lub zagrażające życiu czy zdrowiu w ciągu ostatnich siedmiu lat
4. Oskarżenie o wykroczenie narkotykowe czy naruszenie porządku publicznego w ciągu ostatnich trzech lat
5. Nieudokumentowane bądź niewystarczające dochody
6. Nieudokumentowana historia najmu bądź złe referencje od poprzedniego wynajmującego

Crystal i Vanetta w ogóle się tym nie przejęły. Na wniosku Vanetta wpisała swojego brata bliźniaka jako osobę, która może za nią poręczyć. Crystal – swoją duchową mamę.

Czekając na odpowiedź z Affordable Rentals, Vanetta zastanawiała się, czy nie powinny brać pod uwagę także lokali wycenionych ponad limit pięciuset pięćdziesięciu dolarów, jaki sobie założyły. Wolała jednak nie ryzykować z tymi droższymi głównie dlatego, że nie miała pewności, czy Crystal potrafi utrzymać pieniądze w kieszeni. W Zajeździe miała okazję patrzeć, jak Crystal przepuszcza zasiłek na ciuchy, fast foody, a nawet jednorękich bandytów w kasynie. „Laska, jak ci walnę w ryj” – wściekała

się Vanetta. Spora część pieniędzy Crystal lądowała też na tacy w pierwszą niedzielę każdego miesiąca.

– Ja sieję – stwierdziła Crystal, kiedy siadały do posiłku w barze sieci George Webb. To ona stawiała. Poprzedniego wieczoru wygrała na automatach w kasynie Potawatomi czterysta pięćdziesiąt dolarów, startując od czterdziestu, które dostała w prezencie urodzinowym od agencji rodzin zastępczych. Kelnerka przyniosła jej kubek wrzątku, którego sobie zażyczyła. Crystal zanurzyła w nim sztućce. – Pamiętasz, jak ci to tłumaczyłam ostatnim razem? Jak jesteś rolnik i siejesz sobie kukurydzę, warzywa i w ogóle, i podlewasz to wszystko, i pielisz, to zbierzesz plon. Tak właśnie na to patrzę, kiedy robię swój siew w kościele. Potrzebuję czegoś od Boga. No to rzucam ziarno... Potrzebny mi dom. Potrzebna mi duża poprawa finansowa. Muszę się wyleczyć z różnych rzeczy. Muszę się stać kompletnym człowiekiem. Tak bym to ujęła.

Vanetta wciąż miała chłodną minę.

– Dlatego właśnie nie kręci mnie ten twój kościół, bo nic ci nie mogą dać, ale mają mnóstwo do powiedzenia. A to mi się nie podoba. No bo idziesz do nich, mówisz im, jak wygląda sytuacja, a oni nic, jakby ich to wcale nie obchodziło.

– Bo ja wiem. – Crystal spojrzała na swój talerz. – Bo to... no po prostu czekam, aż się przeprowadzę. – Spróbowała zmienić temat. – Ale sernik to zajebisty.

Vanetta nie zamierzała tak szybko odpuścić.

– Się tak nie opychaj – powiedziała. – A te skurwysyny szczerzą ci się prosto w twarz, kiedy płacisz dziesięcinę.

– E nie! – Crystal pokręciła głową.

– Tyle forsy im tam rzucasz na tacę! Żadne tam „e nie”, widziałam przecież, jak byłam z tobą w niedzielę.

Vanetta wiedziała, że kościół znaczy dla Crystal bardzo wiele. Słuchała, kiedy przyjaciółka piała o pastorce Barber, o diakonach, o Duchu Świętym i tak dalej. Patrzyła, gdy Crystal szła do kościoła w niedziele, wtorki, piątki,

a czasem i w soboty na specjalne nabożeństwa. To chyba właśnie zbór zielonoświątkowców Mt. Calvary był dla Crystal rodziną, bo i kto inny? Tyle że ten kościół był też największym rywalem Vanetty. Każde ziarno zasiane przez Crystal na tacy zostawiało Vanetcie mniej pieniędzy dla ich zalążka wspólnego domostwa. Vanetta nie wiedziała jednak, czy jej słowa dotarły do współlokatorki, aż po kilku godzinach zobaczyła, że Crystal, cała we łzach, modli się językami do telefonu:

– Iiee szonta. Iiee szonta.

Nadeszło późne popołudnie. Vanetta musiała iść na wieczorowe zajęcia licealne.

– Nie idź – poprosiła ją Crystal.

– Nie mogę wagarować. Chcę mieć ten dyplom – odparła Vanetta.

– Nie możesz opuścić?

– Tylko kiedy naprawdę jest sytuacja awaryjna.

– Ej, suka, szukasz mieszkania. Masz sytuację awaryjną.

Vanetta uśmiechnęła się i wyszła.

Crystal powinna była kontynuować poszukiwania, postanowiła jednak zajrzeć do kościoła. Kościół zielonoświątkowców Mt. Calvary znajdował się na rogu Sześćdziesiątej i National Avenue, daleko na południowym zachodzie miasta, ale dało się tam dojechać autobusem. Był ładny, murowany, z witrażami w oknach, rynnami pomalowanymi cynobrem. Był poniedziałkowy wieczór, co oznaczało, że kościelny bank żywności jest otwarty.

Crystal wzięła torbę produktów żywnościowych, od pastorki przyjęła hot doga. Diakon Dixon dociął jej, że wysyła esemesy podczas nabożeństwa, więc w kontrze zapytała go, czy podczas błogosławieństw nie wypada mu czasem sztuczna szczęka. Siostrze Atalyi powiedziała, że powinna przychodzić do kościoła z psem. „Czemu nie? Może i on usłyszy Słowo". Roześmiały się. Był przy nich także starszy zboru Johnson, w nastroju kaznodziejskim. „Jeśli naprawdę mamy w duszach Jezusa – powiedział – ja powinienem czuć wasz ból, a wy powinniście czuć mój ból".

Starszy Johnson nie czuł bólu Crystal. Nie dlatego, że nie obchodziła go, jak podejrzewała Vanetta – dlatego, że o nim nie wiedział. Starszy Johnson, diakon Dixon, siostra Atalya – nikt z nich nie wiedział, że Crystal mieszka w Zajeździe. Nikt poza pastorką Barber. Crystal nie chciała, żeby członkowie zboru umniejszyli ją sobie, widzieli w niej tylko przedmiot litości, jedną z „ubogich i osieroconych". Chciała, żeby patrzyli na nią jak na siostrę Crystal, część Ciała, jedną z umiłowanych. Raz na jakiś czas dostawała torbę żywności, raz czy dwa członkowie zboru udzielili jej noclegu. Jej kościół bynajmniej nie dysponował jednak możliwościami sprostania spiętrzonym potrzebom Crystal[10]. Tym, co miał jej do zaoferowania, był spokój.

– Jaki jest twój ulubiony cytat z Pisma Świętego, siostro? – zapytał starszy Johnson. Zauważył, że Crystal sięgnęła po jedną z leżących w pobliżu Biblii.

– To nie szkoła, nie ma odpytywania – powiedziała z uśmiechem. Po chwili dodała: – „Choćby mnie zabił Wszechmocny – ufam".

Crystal i Vanetta wciąż szukały mieszkania. Czasami Vanetta brała dzieci ze sobą, kiedy indziej oddawała je do przedszkola albo pod opiekę swojej starszej siostry Ebony. Miała je ze sobą, kiedy wraz z Crystal odwiedziły już trzydzieste drugie mieszkanie, na rogu Piętnastej i Madison. Właściciel wysiadł z saaba i otworzył drzwi do małego lokum z dwiema sypialniami. Umówiły się na oglądanie wieczorem, bo za dnia właściciel pracował na rządowym etacie w Madison. Był to nieźle odkarmiony Portorykańczyk, ubrany w spodnie od garnituru z zakładkami przy pasku i elegancką koszulę.

Mieszkanie było ciasne, niełądne, w łazience nie było wanny. Po oględzinach Vanetta zapytała właściciela, czy ma coś innego, z wanną. Potwierdził i zaczął opisywać to drugie mieszkanie. Było większe, nieco schludniejsze od tego, które właśnie pokazywał Vanetcie i Crystal, ale czynsz wynosił tyle samo. I nagle, jakby o czymś sobie przypomniał, urwał w pół słowa. Sięgnął do kieszeni i zaczął rozmawiać przez telefon. Vanetta

i Crystal widziały wyraźnie, że nikt do niego nie zadzwonił, że rozmowa była udawana. Rozłączając się, właściciel oświadczył, że dzwonił do niego wspólnik z innego numeru, który właśnie wynajął komuś to drugie, większe i ładniejsze mieszkanie.

Stały na ulicy i śledziły wzrokiem odjeżdżającego saaba. Crystal wyciągnęła swoją starą empetrójkę, włożyła w uszy słuchawki. Vanetta aż się trzęsła.

– Jestem taka wściekła – szepnęła.

– Weź się w garść, musisz uleczyć swe serce – śpiewała Crystal z zamkniętymi oczami, kołysząc się w tył i w przód.

– Facet normalnie tylko: „A, przecież to czarne. One i tak zrobią tam bajzel". – Vanetta szybkim gestem otarła łzę i zassała drżącą dolną wargę. Jej dzieci zadzierały głowy ku mamie, zbite z tropu.

– Weź się w garść, możesz w powietrze się wznieść – śpiewała coraz głośniej Crystal.

Większość mieszkańców Milwaukee uważa, że ich miasto jest podzielone rasowo dlatego, że ludzie tak wolą. Getto było jednak zawsze bardziej wytworem planowania socjalnego niż czyichś pragnień[11]. Nigdy nie powstawało jako produkt uboczny nowoczesnych miast, nieszczęsny wypadek przy industrializacji i urbanizacji, coś niezamierzonego, z czego nikt nie czerpał korzyści. Getto zawsze stanowiło główny aspekt inwestycji kapitałowych w grunty, było pierwszorzędnym źródłem zysków dla tych, którzy w głodzie ziemi, niszczejącej substancji mieszkaniowej i segregacji rasowej dostrzegali wspaniałą okazję.

Może zaczęło się to pod koniec XV wieku i winić powinniśmy za to technikę wojenną. Po wynalezieniu żelaznych kul armatnich miasta nie mogły już liczyć na to, że przed atakiem ochronią je fosy i skromne wały. Trzeba było konstruować złożone systemy obronne, a miasta za wysokimi murami musiały piąć się wzwyż. W dawnej Genewie i Paryżu kamienice sięgały sześciu kondygnacji, Edynburg chełpił się dwakroć wyższymi domami. Gdy rodziny rolników były wypędzane ze wsi do coraz bardziej zagęszczonych miast, rywalizacja o ziemię powodowała wzrost cen

gruntów i czynszów. Właściciele domów w miastach szybko uświadomili sobie, że poprzez tworzenie slumsów da się zbić wielkie majątki: „Maksymalne zyski przynosiły nie pierwszorzędne mieszkania oferowane tym, którzy bez problemu mogli sobie na nie pozwolić [...], lecz zatłoczone domostwa w slumsach dla tych, którzy groszy mieli mniej niż bogacze dukatów”[12]. Począwszy od XVI wieku, mieszkanie w dzielnicach nędzy było pisane już nie tylko wyrzutkom, żebrakom i złodziejom, lecz także znacznej części ludności.

W okresie raptownej urbanizacji Stany Zjednoczone zaimportowały ów model. Właściciele kolonialni zapożyczyli instytucje i prawa angielskiej arystokracji ziemskiej, w tym doktrynę absolutnego zobowiązania czynszowego, zgodnie z którą od dzierżawcy czynsz należał się bezdyskusyjnie nawet mimo pożaru czy powodzi. W XVIII i XIX wieku amerykańska biedota gnieździła się po piwnicach, strychach, w oborach czy w pozbawionych okien izbach, gdzie mieszkało po kilka rodzin[13]. Niektóre slumsy były odcięte od podstawowych usług miejskich i miejscowych ujęć wody, więc mieszkańcy musieli żebrać o wodę w innych dzielnicach miasta[14]. Warunki życia pogarszały się, a czynsze rosły. Wkrótce wielu rodzin nie było już stać na dotychczas zajmowane mieszkania. Kiedy tak się działo, właściciele mogli przywołać „przywilej krzywdy”, który uprawniał ich do zajęcia dobytku lokatorów i sprzedania go w celu odzyskania utraconych zysków, przy czym proceder ten utrzymywał się jeszcze długo w XX wieku[15].

Ucisk rasowy umożliwił czerpanie zysków z gruntów na masową skalę. W czasach niewolnictwa czarni niewolnicy wyrywali dochody z ziemi, ale nie mogli posiadać własnych parcel. Po wojnie secesyjnej wyzwoleńcy postrzegali w posiadaniu ziemi szansę na prawdziwe oswobodzenie, ale w czasie zwanym rekonstrukcją bogaci biali zachowali niemal całkowity monopol na własność ziemską, bo grunty przejęte od konfederatów czy przez nich porzucone były zwracane pierwotnym właścicielom. Czarne rodziny, powracające na plantacje jako połownicy, pogrążały się w spirali głodowego rolnictwa i długów, podczas gdy biali plantatorzy w dalszym

ciągu się bogacili[16]. Wciąż stały szałasy dla niewolników, jak i dworki plantatorów.

W pierwszych dekadach XX wieku afroamerykańskie rodziny szukające wolności i dobrej pracy dołączyły do wielkiej migracji, masowo przenosząc się z wiejskich regionów Południa do miast takich jak Chicago, Filadelfia czy Milwaukee. Przybyłych upychano w miejskich gettach, a lwia część tych ludzi szukała mieszkań do wynajęcia[17]. Właściciele zapuszczonych budynków w gettach nie mieliby żadnej korzyści z ich naprawiania, bo dysponowali wyodrębnioną i pozbawioną innych możliwości pulą klientów. Zaczęli więc dzielić swoje mieszkania na ciasne izby z aneksami kuchennymi, stawiając tyle ścianek działowych z dykty, że powstawały istne „królikarnie". W wielu domach brakowało ogrzewania i kanalizacji. Czarne rodziny gotowały więc i jadły w zimowych płaszczach, a za potrzebą chodziło się do wychodka lub do zaimprowizowanej toalety[18]. Wkrótce świetnie już wiedzieli, jak brzmi gruźliczy kaszel. W roku 1930 śmiertelność wśród czarnych mieszkańców Milwaukee była niemal o sześćdziesiąt procent wyższa od tej dla całego miasta, w znacznym stopniu wskutek kiepskich warunków mieszkaniowych[19]. Po raz pierwszy w dziejach Stanów Zjednoczonych rozwiązania polityczne w ramach Nowego Ładu sprawiły, że własny dom znalazł się w realnym zasięgu białych rodzin, czarnym jednak tego odmówiono, kiedy rząd federalny uznał, że zamieszkane przez nich sąsiedztwa są zbyt ryzykowne, by oferować im ubezpieczenie hipoteki, a urzędnicy wierni idei segregacji rasowej blokowali przyznawanie czarnym weteranom wojennym kredytów hipotecznych dla żołnierzy[20]. Ponad trzy stulecia systematycznego wyzuwania z ziemi stworzyły na wpół permanentną klasę społeczną czarnych najemców i sztucznie wyśrubowany popyt na mieszkania w getcie[21].

W latach pięćdziesiątych XX wieku biali agenci sprzedaży nieruchomości obmyślili wyrafinowaną technikę wyzysku, biorąc na cel czarne rodziny odcięte od rynku prywatnych domów. Kupując tanio domy od nerwowych białych właścicieli w dzielnicach, które zmieniały profil

rasowy, prywatni inwestorzy odsprzedawali je następnie „na umowę” czarnym rodzinom za dwu- albo i trzykrotną wartość rynkową. Czarni nabywcy musieli wyłożyć zaliczkowo sporą część ceny, często ponad dwadzieścia pięć procent wyśrubowanej wartości nieruchomości. Kiedy już się wprowadzili, spadały na nich wszystkie obowiązki związane z posiadaniem domu, choć wciąż nie mieli do niego żadnych praw. Jeśli zalegali ze spłacaniem rat, co zdarzało się często, bo te wzrastały, albo przyszło zapłacić za niezbędne naprawy, mogli zostać eksmitowani, a dom przejęty za długi, przy czym przepadały wpłacone pieniądze. Zyski bywały zawrotne. Pewien właściciel nieruchomości w Chicago w roku 1966 zeznał w sądzie, że z jednego domu zainkasował w czynszach czterdzieści dwa i pół tysiąca dolarów, a utrzymanie kosztowało go tylko dwa tysiące czterysta. Gdy zarzucono mu czerpanie nadmiernych profitów, odparł wprost: „Po to kupiłem ten budynek”[22].

Ustawa o prawach obywatelskich z roku 1968 zdelegalizowała dyskryminację mieszkaniową, jednak jej nieoczywiste formy przetrwały. Crystal i Vanetta chciały opuścić getto, ale właściciele tacy jak ten z Piętnastej Ulicy je odrzucali. Inni właściciele i firmy zarządzające, jak Affordable Rentals, starając się unikać dyskryminacji, wprowadzali przejrzyste kryteria i jednakowo traktowali wszystkich petentów. Cóż, kiedy równe traktowanie w społeczeństwie pełnym nierówności wciąż rodzi kolejne nierówności. Ponieważ czarni mężczyźni są nieproporcjonalnie często więzieni, a czarne kobiety eksmitowane, odmawianie wynajmu wszystkim petentom z niedawnymi wyrokami karnymi czy eksmisyjnymi odciskało się szczególnie mocno na Afroamerykanach. Gdy Crystal i Vanetta otrzymały odpowiedź z Affordable Rentals, dowiedziały się, że ich podanie zostało odrzucone, gdyż były notowane za eksmisje, a jedna aresztowana.

Sama eksmisja wyjaśnia często, czemu niektóre rodziny mieszkają przy bezpiecznych ulicach, a inne przy niebezpiecznych, czemu jedne dzieci chodzą do dobrych szkół, a inne do tych o kiepskim poziomie. Trauma przymusowego opuszczenia domu, piętno eksmisji w papierach,

wyczerpujący pośpiech przy szukaniu nowego lokum wypychają eksmitowanych najemców w bardziej podupadłe i niebezpieczne rejony miasta[23]. Vanessa i Crystal nie czuły tego jeszcze z pełną ostrością. Jak na razie kończyła się dla nich ta pierwsza faza szukania mieszkania, kiedy proces ten wciąż ma w sobie pewną świeżość. Dopiero kiedy bez powodzenia spróbowały szczęścia w ponad pięćdziesięciu lokalach, nie bez oporów zaczęły sprawdzać także ogłoszenia z gorszych rejonów. Młode przyjaciółki zawracały z powrotem do getta, choć w dalszym ciągu nie były do tego przekonane.

Crystal walczyła, żeby utrzymać nerwy na wodzy. To dlatego postanowiła w poniedziałkowy wieczór zajrzeć do kościoła, zamiast szukać mieszkania. Dlatego złapała za empetrójkę i śpiewała po zajściu z właścicielem mieszkania na Piętnastej. „Za dużo, za dużo tego stresu. Ale nie będę tego odchorowywać” – mówiła. Kiedy wreszcie puściły jej nerwy, wydarła się na jednego z pracowników technicznych schroniska, bo odmówił jej wydania świeżej pościeli. Miała już krechę, bo przespała obowiązkowe szkolenie zawodowe. Zwaliła to na dolegający jej bezdech senny. Po pyskówce z technicznym powiedziano jej, że ma się zabrać przed śniadaniem następnego dnia.

Potem do wieczora wisiała na telefonie, usiłując znaleźć kogoś, kto by ją przygarnął. Gdy te starania zawiodły, a robiło się już ciemno, Crystal westchnęła i zadzwoniła do pastorki Barber, ta zaś znalazła wśród członków zboru starsze małżeństwo, które zgodziło się pomóc. Crystal spędziła noc na ich rozkładanym fotelu.

Następnego wieczoru, po rozważaniach biblijnych w kościele, Crystal wróciła pod dom starszych państwa. Deszcz ostro chłostał ciemne, opustoszałe ulice – ten lodowaty, tnący deszcz, który oznacza, że puszczają mrozy i nadchodzi wiosna. Gdy Crystal zapukała do drzwi, pan domu uchylił je, nie odpinając łańcuszka. Mieszkali na rogu Czternastej i Burleigh, w jednym z najciężej dotkniętych przestępczością rejonów

miasta. Na widok Crystal starszy pan otworzył na tyle, na ile pozwalał łańcuszek, przez szparę podał torebkę z jej rzeczami i zamknął drzwi.

Crystal przypuszczała, że to dlatego, że „nie posmarowała”. Nie miała jednak z czego dać, bo jednej ze swoich kuzynek pożyczyła czterysta dolarów, głównie z tych wygranych w kasynie. Kuzynka potrzebowała pieniędzy na czynsz. „Crystal, jakbym przy tym była, dostałabyś taki łomot, że byś się zeszczała! – powiedziała wściekła Vanetta, gdy o tym usłyszała. – Sama nie masz gdzie żyć. Co mnie obchodzi, czy to twoja rodzina czy nie, już byłaś bezdomna i musisz mieć dach nad głową”.

Czasem Crystal nie mogła się powstrzymać, jak wtedy, kiedy jadły z Vanettą lunch w McDonaldzie, gdy do baru wszedł chłopiec, dziewięcio- czy dziesięciolatek, w brudnym ubraniu, z rozczochranymi włosami. Nie podszedł do lady. Snuł się tylko powoli między stolikami, szukając resztek.

Crystal i Vanetta zauważyły go.

– Ile masz? – spytała Crystal, szperając po kieszeniach.

Zebrały wszystko, co miały, żeby kupić mu większy posiłek. Zadzierając głowę ku menu, Crystal objęła chłopca ramieniem, jak starsza siostra. Upewniła się, że małemu nic nie jest, podała mu jedzenie i uścisnęła go na pożegnanie.

– Aż mi się przypomniało, jak byłyśmy małe – odezwała się Vanetta, wstrząśnięta.

Crystal odprowadzała wzrokiem chłopca, gdy ten przebiegał przez jezdnię.

– Ech, gdybym tylko miała dom. Bym go przygarnęła.

Na Burleigh Street gnany wichrem deszcz padał poziomo, w płachtach. W żółtym świetle latarni wyglądało to niczym niekończąca się ławica srebrzystych rybek przemykających przez snop jasności, by zaraz zniknąć w rozpościerającym się wokół mroku. Crystal spojrzała na telefon. Była już prawie jedenasta w nocy. Wybrała numer. Kuzynka, której pożyczyła pieniądze, nie odebrała. Kolejny. Matka zastępcza oznajmiła, że w domu

nie ma wolnych miejsc. Wybrała jeszcze jeden. I następny, i następny, i następny, i następny.

21
Chłopak z wielką główką

Sherrena zleciła wyburzenie wypalonego domu, w którym mieszkali Lamar i Kamala. Za pieniądze z ubezpieczenia kupiła kolejne dwa bliźniaki, w dwójnasób odzyskując to, co straciła w pożarze. Gdy Hinkstonowie wyglądali przez okno na tył domu, widzieli tylko pustą parcelę. Jedyną ocalałą pamiątką tamtej nocy było improwizowane miejsce pamięci, urządzone przez Kamalę i jej rodzinę: pluszowe zwierzątka i fotografie, przytroczone do pnia drzewa bawełnianym sznurem do zasłon. Najlepiej widoczne zdjęcie ukazywało małą ubraną na Wielkanoc, jej spokojne oczy były takie wielkie w tej drobnej buzi. Z pluszaków wybrali króliki, misie, gęś, szopa pracza i hipopotama. U stóp drzewa stały świeczki w szklanych wazonikach i puszkach po coli.

Natasha przeglądała kolejne dziecięce ubranka, wyciągane z worka na śmieci, w który zapakowano je w kościelnej grupie charytatywnej. Delikatnie gładziła je dłońmi, uśmiechając się do każdego ciuszka w minirozmiarze. Coraz bardziej podobała się jej idea bycia mamą.

– Chcę, żeby moje maleństwo wygląd miało po mnie – stwierdziła. – Nie chcę, żeby wyglądało jak Malik. Ten to ma gały jak stary Murzyn.

– A ty wredna! – parsknęła Doreen.

– A on cały c z a r n y.

Słysząc ich rozmowę, do pokoju weszła Patrice, przebrana w uniform z baru Cousins Subs.

– Ten twój dzieciak to będzie przypominał całą masę facetów – zakpiła.

– Nie! – powiedziała ze śmiechem Natasha.

Patrice westchnęła i zmieniła temat.

– Ludzie, musimy coś zrobić z tą toaletą.

Toaleta znów się zatkała. Tak samo zlew w kuchni, pełen burych pomyj, na których unosiła się rdzawopomarańczowa błonka. Raz na jakiś czas ktoś wybierał je wiaderkiem. Utrudniało to jednak zmywanie, więc brudne garnki i talerze zaczęły piętrzyć się na blatach. A wśród nich coraz więcej karaluchów i innego robactwa.

Doreen nie zadzwoniła do Sherreny ze skargą na kanalizację. Nie miała ochoty na słuchanie wykładów, podejrzewała też, że Sherrena nie kiwnęłaby palcem, żeby im pomóc, bo wciąż zalegali z czynszem. Hydraulika też nie wezwała. Nawet jeśli miałaby z czego mu zapłacić, i tak czułaby się, jakby robiła coś za Sherrenę, a na to nikt w rodzinie nie miał ochoty, szczególnie po tym, jak parę dni wcześniej Patrice dostała pismo z sądu. Według tego, co w nim napisano, była winna Sherrenie dwa tysiące czterysta dziewięćdziesiąt cztery dolary pięćdziesiąt centów – taki był wynik rozprawy w kwestii drugiej i trzeciej przyczyny[1].

– Przecież ja tam mieszkałam cztery miesiące – powiedziała wtedy Patrice. – A ona mówi, że jestem jej winna dwa i pół tysiąca!

– Znaczy, że wcale nie płaciłaś jej czynszu – stwierdziła Doreen.

– No nie, teraz to już zmyślasz. – Patrice zapatrzyła się na pismo z sądu. Dotąd myślała, że jej dług wynosi jakieś dziewięćset dolarów.

– No i co teraz zrobisz?

– Nawet nie wiem, co w ogóle mogę zrobić.

Hinkstonowie płacili Sherrenie tyle, że mieli wobec niej pewne oczekiwania. Czynsz był zdecydowanie największym wydatkiem w ich rodzinnym budżecie, więc w zamian spodziewali się żyć w przyzwoitym domu ze sprawnymi urządzeniami. Chcieli, żeby to, co się popsuje, było naprawiane. Jeżeli jednak Sherrena nie zamierzała naprawiać domu, który należał do niej, oni także nie byli do tego skłonni. Skoro dom ich zawiódł, oni również o niego nie dbali[2].

Im gorzej wyglądał dom Hinkstonów, tym bardziej wycofani i ospali wydawali się jego mieszkańcy, co tylko pogarszało sytuację. Natasha zaczęła spędzać więcej czasu u Malika. Doreen zarzuciła gotowanie, więc

dzieci nawet na obiad jadły płatki zbożowe. Patrice więcej spała. Dzieci miały coraz gorsze stopnie, nauczycielka Mikeya zadzwoniła z wiadomością, że być może będzie musiał repetować, głównie dlatego, że często nie odrabiał pracy domowej. Nikt już nie sprzątał, śmieci pokrywały całą podłogę w kuchni. Nieodpowiednie warunki mieszkaniowe to cios dla zdrowia psychicznego: nie tylko dlatego, że wilgoć, grzyb, ciasnota i inne czynniki tego typu mogły wpędzić w depresję, ale też przez to, czego człowiek dowiadywał się o sobie, gdy przyszło mu żyć w tak okropnym miejscu.

Jak to ktoś kiedyś powiedział, ludzie biedni „stale mają przed oczyma dowody tego, jak mało znaczą”[3]. Szczególnie to ubogie rodziny afroamerykańskie, zamieszkujące sąsiedztwa, w których poziomy przestępczości i koncentracja nędzy są tak ekstremalne, że nawet najgorszych sąsiedztw białych właściwie nie da się z nimi porównać, skoro żyły w upokarzających warunkach w tych niebezpiecznych rejonach, otrzymywały dobitny komunikat: oto gdzie było ich miejsce zdaniem szerszych warstw społeczeństwa[4]. „Szczerze, to przecież zwykła buda” – stwierdziła pewnego razu Doreen. Wkrótce Ruby, wchodząc do domu, oświadczyła, że „właśnie przed samym sklepem zabili jednego pana”. Dorastanie w budzie gdzieś w getcie oznaczało konieczność opanowania umiejętności przetrwania w takim otoczeniu, a zarazem oswojenia się ze świadomością, że nie wszystkim tego typu umiejętności są potrzebne. Ludzie, w których własne mieszkanie budziło wstręt, którzy czuli, że nie mają w nim żadnej władzy, a jednak oddawali za nie lwią część dochodów – tacy ludzie czuli się umniejszeni we własnych oczach[5].

Starsze dzieci mogły się wyrwać z mieszkania do biblioteki publicznej przy Center Street. C.J., Ruby i Mikey najbardziej lubili grać na komputerze. Ruby zaczynała swój czas przed monitorem od zajrzenia, co słychać w „jej domu”, który sobie stopniowo budowała i ulepszała w darmowej grze online zwanej Millsberry, aplikacji marketingowej przygotowanej przez koncern żywnościowy General Mills. Jej dom stał przy Bounty Drive [Zaułku Obfitości] w Golden Valley [Złotej Dolinie].

Były w nim podłogi tak czyste, że odbijało się w nich światło, łóżko z obleczoną pościelą, biurko do odrabiania lekcji. Doreen czy Patrice mogłyby podejść do biblioteki i szukać nowego mieszkania przez internet. Nigdy tego jednak nie zrobiły. Po części dlatego, że spłacanie długu u Sherreny oznaczało, iż nie mają pieniędzy na przeprowadzkę, a po części dlatego, że jak większość czarnych najemców nie szukały mieszkań w sieci i już, a także dlatego, że rodzina pogrążyła się w mglistej depresji.

Patrice czuła, że to mieszkanie wysysa z nich energię. „Normalnie wsiąkliśmy w ten dom jak w bagno – mówi. – Nikt się nie stara z tego wygrzebać. Nawet mi się nie chce ciągnąć w górę. Jak dzień w dzień jest się z ludźmi, którym nic się nie chce, to w końcu i tobie wszystkiego się odechce". Z każdym upływającym dniem coraz bardziej podobał się jej pomysł wyjazdu do Tennessee.

Gdy przyszedł czas, Malik zaraz po fajrancie popędził do szpitala, gdzie już czekała Natasha, do kompleksu Świętego Józefa prowadzonego przez franciszkanki z Wheaton, przy Chambers i Czterdziestej Dziewiątej. Natasha wyglądała na gotową, i przerażoną. Jedną dłonią ściskała poręcz łóżka, drugą – dłoń Malika. Gdy ten próbował wstać, Natasha pociągała go znów w dół. Uśmiechał się, masował jej plecy. Skupiała się na oddychaniu, właśnie tak, jak to ćwiczyli w szkole rodzenia. Doreen patrzyła na to wszystko doświadczonym okiem z bujanego fotela, założywszy ręce na brzuchu.

Chłopak urodził się dziesięć po jedenastej wieczorem, ważył trzy tysiące siedemset gramów. Miał okrągłą buzię, bujne włoski, różowawobrązową skórę i płaski nos Hinkstonów.

Następnego ranka, jeszcze we śnie, Natasha usłyszała, że Patrice szepcze jej do ucha: „Cześć, mamuśka". Uśmiechnęła się, zanim otworzyła oczy.

Gdy malec się zbudził, wszyscy chcieli go potrzymać, choć Natasha opornie wypuszczała go z rąk. Przez cały dzień przytulała synka i całowała go delikatnie w nosek i czoło. Patrice, widząc dumę na twarzy Malika, z miejsca postanowiła, że chłopak będzie się nazywał Malik junior.

Następnego dnia Natasha zawinęła swojego ukochanego maluszka w rożek i zabrała go z powrotem do nory.

22

Jeśli mamusi dadzą karę

W kwietniu Vanetta schowała w różnych miejscach Zajazdu czekoladowe jajeczka wielkanocne, żeby jej dzieci mogły się bawić w szukanie. Kendal pozwolił, żeby Tembi i Bo-Bo zebrali wszystkie. Czasami wydawało się, że ten chłopiec dał już sobie spokój z dzieciństwem. Miał ledwie cztery latka, a już nie chciał chodzić z Vanettą za rękę, nie lubił śpiewać w swojej grupie w przedszkolu. Ładny był z niego chłopak, o oczach koloru espresso i wydatnych wargach. Domyślał się, że mamusia ma pod dostatkiem zmartwień. A to oczywiście sprawiało, że Vanetta martwiła się jeszcze bardziej.

Parę dni przed Wielkanocą Tembi uruchomił alarm przeciwpożarowy. Gdy zarząd schroniska wykrył sprawcę, Vanetta otrzymała polecenie opuszczenia Zajazdu z dnia na dzień. Nie zawracała sobie głowy protestami. Z miejsca ruszyła w samo serce getta i zaczęła obdzwaniać kolejne mieszkania. Zaglądała wszędzie, gdzie tylko widziała szyld o wynajmie, nieważne, w jakim stanie był dom ani w jakiej okolicy. Obejrzała brudne mieszkanie o popękanych ścianach i tłustych plamach na suficie, przy przecznicy, gdzie gangi malowały swoje tagi na opuszczonych domach. Odrzucało ją od tego miejsca, ale wypełniła wniosek.

„Laska, wystawili cię na ulicę przez dzieciaki?” – spytała Crystal. Owej zimnej nocy na ganku udało się jej w końcu dodzwonić do jednego kuzyna, który pozwolił jej u siebie przenocować. Od tamtej pory sypiała w poczekalni szpitala franciszkanek (mówiła na niego „szpital Świętego Józefa”) czy na nowo wyremontowanym dworcu linii ekspresowej Amtrak, w centrum, gdzie próbowała wtopić się w czekających pasażerów. Pewnego dnia na przystanku autobusowym poznała kobietę imieniem Patricia. Nim zapadł wieczór, były już współlokatorkami. Crystal potrzebowała dachu

nad głową, a Patricia, która kombinowała, jak pogonić brutalnego męża, musiała znaleźć nowe źródło dodatkowych dochodów. Była dwa razy starsza od Crystal, miała nastoletnią córkę i dom jednorodzinny w jednym ze spokojniejszych rejonów North Side. Crystal zaczęła mówić do niej „mamo”[1].

Następnego dnia Vanetta wyprowadziła się z Zajazdu, zabierając rzeczy do mieszkania starszej siostry. Ebony mieszkała przy Orchard Street, czysto mieszkaniowej ulicy niedaleko latynoskiego kościoła, w małym mieszkaniu na piętrze, z trzema sypialniami, gdzie mieścili się ona z mężem i trójką dzieci oraz młodszą siostrą Vanetty. Mieszkanie było ciasne i zapuszczone, beżowa wykładzina poplamiona, prawie w każdym pokoju materace, maleńka kuchnia wciśnięta na tyły. Vanetta nie zamierzała pozostawać tam zbyt długo. Dała siostrze pięćdziesiąt dolarów, dzieci wprowadziła do jednej z małych sypialni, a sama wyjechała do centrum, do sądu, gdzie miał zapaść wyrok w sprawie recydywy D’Seana.

D’Sean był ojcem Bo-Bo, Vanetta czuła, że go kocha. Kiedy nie pił, był dobrym ojcem. Policja zwinęła go pół roku wcześniej za naruszenie warunków zwolnienia związane z oskarżeniem o posiadanie narkotyków. Rozważając sprawę, sędzia przywołał kilka telefonów pod 911 – Vanetcie zdarzało się wzywać policję, kiedy D’Sean robił się brutalny. „A następnie, 10 października, telefon od Vanetty Evans. I kolejny, 19 października, znów od Vanetty Evans”. Vanetta, żgnięta wspomnieniami, ukryła twarz w dłoniach i zaczęła płakać. Pamiętała te telefony i to, co się stało, kiedy wyrzuciła D’Seana za drzwi. Wrócił potem pijany, wyrwał drzwi z zawiasów i pobił ją. Pamiętała też, jak po tym zajściu właściciel mieszkania jedną ręką zgarnął pieniądze za czynsz, a drugą wręczył powiadomienie o eksmisji „bez podania przyczyn”, z terminem dwudziestu ośmiu dni. Sędzia skazał D’Seana na półtora roku. Vanetta prawie nigdy nie piła, ale tego dnia kupiła sobie butelkę taniego ginu New Amsterdam i padła przy dzieciach, gdy film się jej urwał.

Przespała telefon od Crystal. Ta rozłączyła się więc i zaczęła dzwonić do kuzynostwa i sióstr z rodzin zastępczych. Właśnie rozleciał się jej układ

z Patricią. Czternastoletnia córka Patricii zabrała do szkoły komórkę Crystal i albo ją posiała, albo przehandlowała. Crystal zażądała rekompensaty, Patricia odmówiła. „Wylatujesz z mojego domu!” – wrzeszczała, upiwszy się winem mieszanym z brandy E&J. Crystal ściągnęła swoich bliskich jako wsparcie. Czekali w samochodzie. Kłótnia przeniosła się przed dom, Patricia straciła równowagę i upadła na ziemię. Crystal, patrząc na nią, uniosła nogę i uderzyła stopą w twarz starszej kobiety – raz, drugi, trzeci. Widząc to, jedna z jej sióstr podbiegła i dodatkowo zdzieliła Patricię młotkiem. „Jeszcze kiedyś spróbuj!” – krzyknęła, po czym odciągnęła Crystal. Obolała Patricia leżała na chodniku nieruchomo, w pozycji płodowej. Crystal poprosiła krewnych, żeby odstawili ją pod szpital Świętego Józefa, i tam spędziła noc[2].

Po siedemdziesięciu trzech nieudanych próbach Vanetta i Crystal zostały przyjęte jako najemczynie mieszkania z dwiema sypialniami, za pięćset dolarów miesięcznie. Desperatki gotowe przymknąć oczy na niedokonane naprawy trafiły na zdesperowanego właściciela, chętnego wynająć nawet klientkom po eksmisjach i wyrokach. Drewniane podłogi mieszkania lepiły się od brudu, drzwi frontowe nie domykały się jak trzeba, a sypialnie były tak małe, że gdyby wstawić tam podwójne łóżka, właściwie nic więcej by się nie zmieściło. W kuchni był zapchany zlew, poszczerbiony gres na podłodze, a szafki na jednej ścianie zostały zaklejone folią do laminowania, żeby nikt ich nie otwierał. Po kuchence i lodówce zostały puste miejsca. W łazience była jednak wanna, a mieszkanie było na rogu Siódmej i Maple, w bliższej getta części South Side: z okna w kuchni widać było bliźniacze wieże kościoła Świętego Stanisława. Vanetta kojarzyła, że to niebezpieczna okolica. Jeszcze z dzieciństwa pamiętała dilera, który kręcił się tu na winklu. „Beznadziejne miejsce, ale mam już dosyć szukania – stwierdziła. – Nie chciałabym tego brać... ale innej opcji nie mam”.

Nowe przyjaciółki wprowadziły się tam z całym dobytkiem składającym się z kilku worków na śmieci wypełnionych odzieżą i zabawkami. Większość rzeczy Crystal pozostało u Patricii – założyła, że już ich nie

odzyska. Jedynym meblem w mieszkaniu był stary tapicerowany fotel bujany, który ktoś tu porzucił.

Vanetta i Crystal zamierzały przemieszkać tu rok. Jednak niedługo po tym, jak się wprowadziły, z wizytą wpadła Clara, ich znajoma z Zajazdu, i wygadała Crystal wszystkie minuty na komórce. Więc Crystal wypchnęła ją przez okno. Zamknięte. Gdy pojawiły się gliny, Crystal przygotowała sobie parę kanapek na drogę. Na naprawę wybitego okna Vanetta wydała lwią część z tego, co zdołała zaoszczędzić w schronisku, po czym oświadczyła Crystal, że ma już nie wracać. Tylko w ten sposób mogła nakłonić właściciela, by nie eksmitował jej wraz z dziećmi.

Po paru dniach do mieszkania Ebony zadzwonił ktoś ze służb opiekuńczych, pytając o Vanettę[3]. Gdy Ebony zadzwoniła do siostry z ostrzeżeniem, ta podejrzewała, że to robota Crystal.

– Zabiję sukę – ciskała się w rozmowie z Biszkoptową. – Wiesz, że ta pizda nadała na mnie służbom socjalnym!

– Ty nasypałaś jej soli na ogon. To teraz ona sypie tobie – odparła Biszkoptowa.

– Na moje dzieci sypie sól! – powiedziała Vanetta i się rozpłakała.

Wieści o telefonie ze służb rozstroiły ją. Przypuszczała, że państwo nie pozwoli jej trzymać dzieci w mieszkaniu bez kuchenki i lodówki. Była spłukana, ale i tak podeszła do osiedlowego sklepu z używanym sprzętem AGD. Wśród poustawianych byle jak używanych zmywarek, suszarek i innego wyposażenia domu rozbrzmiewała latynoska muzyka. Właściciel sklepu, pan Rodriguez, pulchniutki Meksykanin z grzywą gęstych włosów, wytykał poszczególne sprzęty upchane w tym ciasnym lokalu kijkiem przypominającym nauczycielski wskaźnik.

– Ile za najtańszą kuchenkę i najtańszą lodówkę? – spytała Vanetta.

– Ma piec? Nie ma piec? – odparł z mocnym akcentem Rodriguez.

Vanetta pokręciła głową. Obejdzie się bez sprawnego piekarnika.

Rodriguez wskazał kijkiem małą kuchenkę gazową.

– Ile? – powtórzyła Vanetta.

– Dziewięćdziesiąt.

Znów pokręciła głową.

– Za dużo. Ile?

Rodriguez wzruszył ramionami.

Targowali się, dopóki Vanetta nie nakłoniła go, by sprzedał kuchenkę za osiemdziesiąt dolarów wraz z rurką do podłączenia gazu, za którą najpierw chciał policzyć osobno. Gdzie indziej znalazła lodówkę, negocjowała ze sprzedawcą, aż zgodził się na sześćdziesiąt dolarów. Pieniądze pożyczyła od przyjaciela, obiecując, że pierwszego odda. Na koniec dnia poszła na zakupy do dyskontu Aldi. Przy kasie wyłożyła lody i inne śmieciowe jedzenie na sam koniec taśmy, żeby łatwiej było coś odłożyć, gdyby zabrakło jej talonów.

Rozpakowawszy zakupy, siadła wymęczona w fotelu bujanym i zapaliła papierosa. Gdyby ktoś ze służb wpadł na inspekcję, była już gotowa.

Potem jednak przyszły inne myśli. Wciąż jeszcze nie zdecydowała, komu chciałaby powierzyć opiekę nad dziećmi, gdyby przyszło jej pójść do więzienia za udział w napadzie. Ostatnio skłaniała się ku kobiecie, która zajmowała się jej dziećmi w przedszkolu. „Może oszaleję, ale przynajmniej będę wiedziała, że o nie dba” – myślała sobie. Do tego jeszcze zbliżało się zakończenie roku w przedszkolu Kendala. Vanetta zamierzała wydostać skądś pieniądze, żeby kupić synkowi nowe buty na ten ważny dzień. Chciała, żeby poczuł się wyjątkowo. W getcie do pierwszych kamieni milowych w życiorysie przykłada się wielką wagę. Następnych może już nie być.

Rankiem w dniu orzeczenia wyroku Vanetta obudziła dzieci, nakarmiła je i ubrała, po czym wzięła się do odprasowywania swojego stroju na podłodze pokoju dziennego. Poza zainstalowaniem kuchenki i lodówki nie zdołała zrobić z tym mieszkaniem zbyt wiele, więc wydawało się puste, jakby niezamieszkane. Do pokoju wszedł Kendal, stanął niemal na baczność w płowym świetle poranka. Vanetta ubrała go w koszulkę z czerwonym kołnierzykiem i te nowe buty. Może o metr dalej, na półeczce,

stało zdjęcie Kendala z zakończenia roku w przedszkolu, w miniaturowej wersji uroczystego stroju na zakończenie liceum.

– Mamusiu, dzieci nie powinny chodzić do sądu – powiedział. – Dzieci powinny chodzić do przedszkola albo do szkoły.

Nie marudził. Po prostu zauważył w świecie coś dziwnego, zakłócenie ustalonego porządku. Równie dobrze mógłby powiedzieć: „Psy nie powinny lubić się z kotami” czy „W kwietniu nie powinien padać śnieg”.

Vanetta odstawiła żelazko, wzięła głęboki wdech.

– Pójdziesz ze mną do sądu, Kendal? – spytała dokładnie tak samo jak zeszłego wieczoru.

Kendal widział, że mama go potrzebuje.

– Mamusiu, pójdę z tobą do sądu – stwierdził stanowczo.

– Jeśli mama dostanie karę, co masz zrobić?

– Trzymać się z siostrą i bratem, troszczyć się o nich i słuchać się cioci.

Vanetta w ostatnim momencie postanowiła, że to siostrę poprosi o zajęcie się dziećmi, gdyby skazano ją na więzienie. Nie potrafiła tego wytłumaczyć.

Do sądu przybyła przed czasem, bezgłośnie roztrzęsiona, w statecznym czarnym swetrze i luźnych spodniach pod kolor. Umalowała się, założyła kolczyki, włosy ciasno upięła wokół głowy. Chodziła tam i z powrotem po korytarzu, próbując obmyślić, co powie sędziemu, co jakiś czas zatrzymując się, by obserwować powolne przemarsze skutych czarnych w pomarańczowych uniformach więziennych. Przyszła Biszkoptowa, w wełnianej czapce i zimowym płaszczu, a także brat bliźniak Vanetty i jej młodsza siostra. Ebony została w domu, pilnowała Tembi, Bo-Bo i reszty dzieciaków. Potem dołączyła też do nich żona pastora i jeszcze jedna biała kobieta ze zboru Vanetty, kościoła baptystów Tylko Biblia, obie ubrane w dziergane swetry, w grubych okularach.

Gdy nadszedł czas, Vanetta usiadła obok swojego obrońcy z urzędu, ubranego w prosty czarny garnitur białego mężczyzny, który wciąż postukiwał stopą. Sala sądowa nie przypominała tych, które pokazują

w telewizji, istnych amfiteatrów z balkonami, pokaźnymi wentylatorami pod sufitem, z tłumami ludzi w drewnianych ławach. Było to małe pomieszczenie oddzielone od części dla publiczności grubą szybą. Głośniki w suficie przekazywały widzom wypowiedzi uczestników procesu.

Najpierw była kolej oskarżenia reprezentowanego przez wysportowanego, rumianego zastępcę prokuratora okręgowego o rzednących włosach i przystrzyżonej bródce. Wiele cech Vanetty robiło na nim dobre wrażenie. Nigdy wcześniej nie była aresztowana, miała „pewne doświadczenie zatrudnienia". „Wygląda na to, że przerwała naukę w trzeciej klasie liceum. To lepsze wykształcenie, jakkolwiek ponuro to brzmi, lepsze wykształcenie niż u wielu innych oskarżonych, których tu widzimy". I dalej: „Ma oparcie w rodzinie. I to dobrze [...]. Niestety, nie dysponowała podobnie silnym wsparciem rodziny, wsparciem emocjonalnym w czasie, gdy dopuściła się tego przestępstwa, a jej własna siła woli okazała się niewystarczająca [...]. Nie wątpię, że do tej decyzji pchnęła ją desperacja, ale fakt, że była zdesperowana, nie zmniejsza skutków tego czynu dla jego ofiar". Jak podał prokurator, jedna z ofiar napadu przestała nosić torebkę i nie czuła się już bezpiecznie w swoim sąsiedztwie. „Państwo stoi na stanowisku, że ludzie muszą mieć świadomość, że jeśli ktoś używa broni, by odebrać drugiemu jego własność, pójdzie do więzienia".

Po nim mówił adwokat z urzędu, w nieskładnym, ale wygłoszonym z uczuciem apelu o łagodne potraktowanie Vanetty. Twierdził, że czuje ona wyrzuty sumienia, przyznała się też do popełnienia tego przestępstwa. Była młodsza i „nie tak cwana" jak jej wspólnicy. To jej przyjaciółka trzymała pistolet. Przestępstwo zrodziło się z biedy. „Jestem pewien, że można wymierzyć karę ograniczającą się do prac społecznych – podsumował adwokat. – Nie wierzę, żeby niezbędna była kara więzienia".

Przyszła kolej na wystąpienie Vanetty. Przyjęła ona „pełną odpowiedzialność" za swój postępek, przeprosiła ofiary i sąd. „Gdy doszło do tej sytuacji, ja i moje dzieci przeżywaliśmy trudne chwile, byliśmy o włos od eksmisji, od odcięcia światła. Te kłopoty mnie przerosły. To

jednak nie usprawiedliwia tego, co zrobiłam [...]. W tej chwili proszę o wyrozumiałość dla mnie, ale przede wszystkim dla moich dzieci”.

Następnie wypowiadali się ci, którzy ręczyli za Vanettę. Żona pastora powiedziała: „Nawet w ciężkich okolicznościach widziałam w niej cichy spokój”. Biszkoptowa ograniczyła się do czterech zdań. Brat bliźniak Vanetty stwierdził, że „dopiero co skończyliśmy dwadzieścia jeden lat” i że dzieci jego siostry powinny budzić się przy mamie, a nie przy wujkach i ciociach.

Wreszcie głos zabrał sam sędzia, starszy biały mężczyzna. Zaczął od podsumowania tego, co dotąd usłyszał. „Czyli mieliśmy tu ogólną dyskusję na temat istoty tego przestępstwa, które zasadniczo było odchyleniem od normy [...] czynem desperackim. Biorę to pod uwagę. Jestem też jednak świadom faktu, że od tamtego czasu do chwili obecnej właściwie nic się nie zmieniło [...]. Mam na myśli to, że ogólna sytuacja finansowa nie uległa poprawie. Zgadza się, panie mecenasie?

– Tak, Wysoki Sądzie – odparł obrońca z urzędu.

Podnosił już fakt, że Vanetta szuka pracy. Nie dodawał, że choć wstawała codziennie o piątej rano, wciąż miała mało czasu na szukanie pracy, skoro musiała rozglądać się za nowym mieszkaniem, uczęszczać na lekcje w wieczorówce oraz opiekować się dziećmi, a w dodatku pracodawcy z reguły nie zatrudniali ludzi, którzy mieli na koncie świeże przyznanie się do przestępstwa.

– Tak – powtórzył sędzia. – Zatem, szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, żeby się poprawiła, mogła się wręcz nieco pogorszyć, biorąc pod uwagę, że oskarżoną przepychano tu i tam, wyrzucono z pracy.

Mowa sędziowska sprowadzała się zasadniczo do tego: wszyscy zgadzamy się, że byłaś biedna i przerażona, kiedy dopuściłaś się tego gwałtownego, bolesnego aktu, a gdybyś mogła nadal pracować w Old Country Buffet pięć dni w tygodniu, dolewając zupy do waz i ścierając plamy po mrożonym jogurcie, nikt z nas nie musiałby tu dziś przychodzić. Może zdołałabyś zaoszczędzić dosyć, by przenieść się do mieszkania oczyszczonego z bieli ołowiowej, schludnego, w okolicy bez dilerów,

z bezpiecznymi szkołami. Z czasem może zdołałabyś zapewnić Bo-Bo opiekę medyczną, której potrzebuje na te ataki, a nawet zacząć wieczorowe kursy pielęgniarskie, o których zawsze marzyłaś. Kto wie, może i rzeczywiście zostałabyś pielęgniarką, taką prawdziwą, w kitlu i tak dalej. Wtedy faktycznie mogłabyś zapewnić swoim synom i córce dzieciństwo zupełnie niepodobne do tego, które miałaś przy Biszkoptowej. Gdyby tak się stało, chodziłabyś po tym zimnym mieście z podniesionym czołem, może wreszcie poczułabyś, że jesteś coś warta, że godna jesteś mężczyzny, który dałby ci coś więcej, niż tylko użyczył pistoletu do napadu, czy przynajmniej takiego, który nie wyłamywałby drzwi, nie biłby ciebie na oczach dzieci. Może poznałabyś kogoś, kto ma stałą pracę, wzięła z nim ślub w małym kościółku, gdzie Kendal stałby dumnie z przodu, przy panu młodym, Tembi, ubrana jak z obrazka, niosłaby bukiet, a wyszczerzony Bo-Bo na niepewnych nóżkach – obrączki, i wszystko byłoby tak, jak sobie wymarzyłaś, a od tego dnia małżonek, przedstawiając cię, mówiłby: „Moja żona”. Tak się jednak nie stało. Stało się tak, że obcięto ci godziny pracy, zaraz miał być odcięty prąd, a ty wraz z dziećmi miałaś zostać wyrzucona na ulicę, więc wyrwałaś komuś torebkę, kiedy twoja koleżanka celowała tamtej osobie prosto w twarz. Więc skoro to przestępstwo zrodziło się z biedy, skąd pewność, że teraz tego nie zrobisz? Byłaś biedna wtedy, teraz też jesteś biedna. Wszyscy widzimy przyczyny podstawowe, oglądamy je tu w sądzie każdego dnia, ale system sądownictwa to nie instytucja dobroczynna, nie urząd pracy, nie zarząd mieszkalnictwa. Skoro nie możemy wyrwać chwastu z korzeniami, przynajmniej możemy przyciąć go nisko, tuż przy ziemi.

Sędzia westchnął, zapadła chwila ciszy. Stenografka sądowa w oczekiwaniu uniosła dłonie nad klawiszami. Kendal, który zasnął na kolanach Biszkoptowej, oddychał bezgłośnie.

– To nie jest... przypadek warunkowy – orzekł sędzia. – Wymierzam karę w wysokości osiemdziesięciu jeden miesięcy w stanowym systemie penitencjarnym, w podziale na piętnaście miesięcy wstępnego więzienia i pięć i pół roku nadzoru policyjnego.

Woźny sądowy podszedł do Vanetty i polecił jej wstać, nim zostanie skuta.

– O Chryste – wyrwało się Biszkoptowej. Obudziła Kendala i podprowadziła go pod szybę. – Pomachaj mamie na pożegnanie, synek.

Vanetta, z rękami za plecami, odwróciła się do nich. Po policzkach ciekły jej strumienie łez. Kendal patrzył na nią z kamienną twarzą, silny, tak jak nauczyła go mama.

Po kilku spięciach z członkami zboru, starszymi, a wreszcie i z pastorką, Crystal odeszła z kościoła Mt. Calvary i dołączyła do Międzynarodowego Kapłaństwa Odnowy, mieszczącego się w getcie w niepozornym piętrowym biurowcu przy Czterdziestej Pierwszej i Burleigh.

Którejś niedzieli Crystal siedziała w trzecim rzędzie od przodu i klaskała w rytm muzyki. Miała na sobie czarną bluzkę i zielone spodnie – żeby się w nie zmieścić, zostawiła rozpięty guzik, a suwak zaciągnęła tylko do połowy. Pastorka, czarna kobieta, której faliste włosy opadały łukami na ramiona, miała na sobie białą szatę ze złotymi szamerowaniami. Chodziła przed zebranymi władczo, niczym królowa, zatrzymując się, gdy porywał ją duch.

– Bóg mówi, że On jest prawdą i światłem – powiedziała. Młodzieniec przy pianinie potrząsnął dłońmi, jeszcze młodszy chłopak na perkusji zaczął trącać talerz. – Prawdą! I... światłem! Słyszycie mnie?!

– Amen – odezwała się Crystal.

Kiedy Vanetta wyrzuciła ją z mieszkania, Crystal została przyjęta do schroniska dla bezdomnych. Potem znów zaczął się ten męczący cykliczny rytm: znaleźć przyjaciela, wykorzystać przyjaciela, stracić przyjaciela – kiedy znajdowała sobie na krótką metę suche i ciepłe miejsca do spania. Gdy paliły się kolejne mosty, wracała na ulicę, do poczekalni szpitala Świętego Józefa czy dworca Amtrak. Czasami nocą wędrowała po ulicach, a zasypiała dopiero rankiem, w autobusie. Jednak przez cały ten czas prawie nigdy nie opuściła nabożeństwa.

– *Sza la la la JABA SZO TA tama ma ma* – modliła się pastorka przez mikrofon. Modlitwa w językach miała rytm podobny do bicia serca: delikatny wstęp, nagły mocny impuls, rozedrgane wyciszenie. – Jesteś tu w tłoku? Wciskasz się w ten tłum, żeby ujrzeć Chrystusa? Ach! – Zatoczyła się w tył, jakby uderzona niewidzialną siłą.

– Pięknie, wielebna! – krzyknęła Crystal.

Zawsze wierzyła, że zasiłek SSI to źródło utrzymania pewniejsze niż pensja. Z SSI nie mogli człowieka zwolnić, nie mogli mu obciąć godzin. „Zawsze jest SSI" – mówiła. Aż nagle przepadło. W dzieciństwie została zakwalifikowana do zasiłku, ale gdy dane przeanalizowano ponownie, kiedy osiągnęła pełnoletniość, uznano, że zasiłek już się jej nie należy. Teraz jedynym źródłem dochodów Crystal pozostały talony żywnościowe[4]. Próbowała oddawać krew, ale miała zbyt wąskie żyły. Prosiła o pieniądze swoje matki: duchową, te z rodzin zastępczych, nawet biologiczną, lecz to, co mogły jej dać, nie starczało na długo. W kościele nie prosiła o nic, bo „to zawsze kończy się konfliktami". Ponieważ nie miała pojęcia, co jeszcze mogłaby zrobić, „poszła pod latarnię" – zaczęła sprzedawać seks. Nigdy nie była rannym ptaszkiem, ale wkrótce przekonała się, że najlepszy moment na złapanie klienta to właśnie wczesny ranek, kiedy panowie idą do pracy.

– U mamy wszystko w porządku? – spytała pastorka. Patrzyła na starszą kobietę podtrzymywaną przez dwóch mężczyzn.

– Nie.

– No to przerywamy wszystko i modlimy się za nią. – Pastorka uklękła przed staruszką. Otoczył ją może tuzin wiernych, niektórzy weszli na krzesła, inni kładli dłonie na głowie starszej pani.

– Wyciągnijcie ręce w tę stronę i módlcie się! – nakazała pastorka, a jej wierni, nawet dzieci, zareagowali posłusznie. – O Jezu! – krzyczała w mikrofon. – O, przez Twoją krew, o, ty duchu śmierci, ty duchu udaru, odejdź!

Crystal podskakiwała, dotykała dłońmi to ramion, to bioder i skandowała rytmicznie:

– Przez Twą mękę, Panie, przez Twą mękę!

– Przez Twoją krew – modliła się pastorka. – Przez krew! *SzabbabmaSZOTtala!* Wiążę cię. Wróć do nas, mamo. Wracaj!

Muzyka przycichła w wyczekiwaniu. Gromadka ludzi otaczających starszą panią rozstąpiła się, odsłaniając jej zwiotczałą, bezkrwistą twarz. Kobieta wyglądała na śpiącą albo i martwą. Po chwili znów zwarli się wokół niej. Minęło parę minut, ludzie otaczający staruszkę podnieśli głosy i cofnęli się o parę kroków, by ukazać pastorkę całującą ją po twarzy i dłoniach. Ludzie zaczęli klaskać, gdy starsza pani zaczęła stawać na nogi.

– Chwalmy Pana! – krzyknęła pastorka. Wrzasnęła triumfalnie do mikrofonu i padła na kolana, pogrążona w modlitwie.

Pianino i bębny nabrały tempa, w kościele eksplodowała euforia. Ludzie zaczęli biegać wzdłuż nawy tam i z powrotem, krzyczeli, śpiewali. Ktoś znalazł tamburyn i zaczął w niego bębnić. Perkusista tłukł w talerze, pianista trzymał się wysokich tonów. Jakaś kobieta zaczęła biec sprintem w miejscu, zanosząc się wrzaskiem, a pot lał się z jej twarzy strumieniami.

– My tu nie planujemy żadnego pogrzebu! – oznajmiła chełpliwie pastorka.

A wśród tego wszystkiego była i Crystal, z uniesionymi rękami, rozczapierzonymi palcami, rozpromieniona, tańcząca.

– Bóg mnie ma! – wołała. – Bóg mnie ma!

23
Klub Trzeźwości

Gdy Scott udał się do Klubu Trzeźwości, zadymionego, wykończonego boazerią baru Anonimowych Alkoholików, gdzie serwowano zwietrzałą kawę i kulki lodów pływające w lemoniadzie korzennej, niczego nie brał już od ośmiu dni. „Można się od nich uzależnić – powiedział o tych lodach jeden regularny gość, wyrokowiec. – Ale nie aż tak, żebym miał ludzi napadać". Gdy przyszła pora na przemówienia, na podest weszła Portorykanka o jasnej karnacji, nosząca do winylowej kurtki czarną bandanę. Była to Anna Aldea, niegdyś twarda jak niewygarbowana skóra członkini gangu motocyklowego, która brała kwas i ciągnęła nosem kokę, ale została arcykapłanką AA. Do otrzymania odznaki za dziesięć lat brakowało jej już tylko paru miesięcy, a pomogła przetrzymać program odwykowy kilkudziesięciu uzależnionym. Podczas mowy wskazała na swojego ostatniego podopiecznego.

– Kocham cię, Scott – powiedziała. – Wracaj do nas. To działa...

– „Jeśli i ty działasz" – zakończyli zebrani.

Tydzień wcześniej Scott obudził się po tym trzydniowym ciągu, spłukany i skacowany. By ukoić nerwy, ubrał się i wyszedł z mieszkania. Był wczesny sobotni poranek, więc wędrował przez miasto pogrążone we śnie. Dotarł aż do domu Pito i wyciągnął go z łóżka. Pito, czysty już od dwóch lat, wiedział, czego do odtrucia potrzebuje ćpun, który chce się oczyścić: dużo wody, kawy, witamin, papierosów, jedzenia, a przede wszystkim stałego nadzoru. Pito spędził ze Scottem cały ten dzień, a wieczorem zabrał go na spotkanie z bratem Davidem (czystym od czternastu lat) i jego żoną Anną. Anna rozpaliła ogień w palenisku za domem i siedziała przy Scotcie aż do drugiej rano, kiedy w mieście zamykają knajpy. Był to bolesny,

mdlący, niekończący się dzień – pierwszy od lat, kiedy Scott niczego nie wziął.

Dzień piąty też był okropny, ale w inny sposób. Scott spędził go w domu Pito, bez przerwy łkając. „Czuję, że moje ciało ma się coraz lepiej – powiedział – ale kiedy przez całe lata, rok za rokiem, nie czuło się nic, bo były dragi i chlanie, to jednak nagle człowieka dobija”.

AA ma własny typ ciągu dla tych, którzy zaczynali marsz ku trzeźwości: dziewięćdziesiąt spotkań w dziewięćdziesiąt dni. Idzie o to, żeby wokół niemowlaka, jak w swoim żargonie nazywają tam nowo zaczynających program, zbudować strukturę wsparcia, która zastąpi jego ćpuńskie kontakty. I nie dopuszczać, żeby był sam. I tak Scott zaczął zjawiać się u Pito przed ósmą, godziną otwarcia sklepów monopolowych, a dzień kończył przy palenisku u Anny po tym, jak zamykały się bary.

Scott był trzeźwy już prawie od trzech tygodni, kiedy właściciel domu powiedział mu, że ma się wynosić. Nowo nabyty pitbull D.P. wydostał się z mieszkania i jakimś cudem wślizgnął do sąsiadów na parterze. Ci zadzwonili na policję, policja zawiadomiła właściciela, a on, chcąc utrzymać długoterminowych lokatorów, pogonił Scotta i D.P. A że Scott właściwie całymi dniami przesiadywał już u Davida i Anny, powiedzieli mu, iż równie dobrze może u nich także nocować.

Robociarski dom Davida i Anny był jednym z tych domostw, które wydawały się otwarte dla każdego. Ludzie wchodzili bez pukania, bez pytania dobierali się do zawartości lodówki. „To Ośrodek Rehabilitacji u Aldeów – mawiała Anna. – Jeśli kogoś tu nie ma, to zaraz zadzwoni”. Miała na podorędziu spore miski ryżu gotowanego z fasolą i nigdy nie zamykała drzwi na klucz.

Scott zaczął spędzać noce na ich kanapie i odbierać ich dzieci ze szkoły. Wkrótce podjął pracę u boku Davida, murarza – wolnego strzelca, w gorszych tygodniach dorabiającego sobie zbiórką złomu. Scottowi podobała się ta robota, szczególnie miejskie przygody podczas łowów na złom stalowy czy aluminiowy, nawet jeśli czasem trzeba było wskoczyć do kontenera na śmieci. David, skory do uśmiechów Portorykańczyk

o masywnym torsie i wiecznie przymrużonych oczach, czasem płacił Scottowi za pomoc, czasem nie. Scott nie narzekał. Bo i jak, skoro David i Anna tyle dla niego robili?

Z początku Scott lubił sprzątać w Klubie Trzeźwości. Płacili grosze – 7,15 dolara za godzinę, wychodziło około stówy tygodniowo – ale pracował sam, najczęściej od dziesiątej wieczorem do pierwszej po północy, więc miał czas na przemyślenia. Myślał o tym, że mógłby kogoś znaleźć, choć nie bardzo wiedział, jak się do tego zabrać bez wizyt w gejowskich knajpach. Serwisy z darmowymi ogłoszeniami? Myślał o ślubie siostry. Może uda mu się na ten czas wyjechać do rodziców? Modlił się: „Proszę, spraw, żebym jutro nie wziął”.

Przede wszystkim jednak marzył o powrocie do pracy w zawodzie. Uważał, że „to byłby świetny sposób na pozostanie w trzeźwości, bo zaczyna się myśleć o innych, a nie tylko o tym, jaki to z ciebie biedny, żałosny chujek”. Jednak na drodze do tego celu stały zatrważające przeszkody. Komisja Pielęgniarska nie tylko odebrała Scottowi uprawnienia zawodowe, ale też, ze zrozumiałych względów, sprawiła, że odzyskanie ich byłoby dla niego niezwykle trudne. Musiałby poddawać się „testom próbek moczu nie rzadziej niż pięćdziesiąt sześć razy w ciągu roku”, co kosztowałoby go tysiące. Musiałby nie brać nic przez pięć lat, co dwa tygodnie uczestnicząc w zebraniach Anonimowych Alkoholików[1]. Scott był świadom swoich słabości. Nie potrafiłby powiedzieć, czy już kilka lat wcześniej nie spróbowałby skuteczniej odstawić narkotyków, gdyby komisja aż tak nie utrudniała odzyskania uprawnień pielęgniarskich. Jednak rezygnacja faktycznie przychodziła łatwiej, gdy coś wydawało się niemożliwe.

Również spotkanie „zawodowców z nałogiem” wprawiło go w zniechęcenie. Jedna pielęgniarka opowiadała, że szukała pracy przez ponad rok, mimo że już od około dwóch lat nie brała i spełniała wszystkie wymagania. A miała nawet magisterium!

Pomiędzy cofnięciem uprawnień a pełnymi uprawnieniami istniały etapy pośrednie. Jednak rzadko zdarzały się posady dla ludzi z ograniczeniami w papierach – na przykład bez zezwolenia na wydawanie opiatów. Scott miał trochę znajomości. Stale podtrzymywał kontakty z kilkorgiem kumpli z czasów pielęgniarskich, a niektórzy z nich awansowali już na stanowiska, na których sporo mogli załatwić. Jedna z jego ciotek była nawet dziekanką wydziału pielęgniarstwa na dużym uniwersytecie stanowym niedaleko Milwaukee. Tyle że utrzymywanie kontaktów z tymi ludźmi oznaczało, że musiał się kryć z nałogiem i ubóstwem, więc zwracając się do nich o pomoc, musiałby trochę się nagimnastykować. Podczas ostatniej rozmowy z kolegą, który był obecnie dyrektorem miejscowego domu opieki, Scott twierdził, że u niego wszystko w porządku.

– No więc teraz musiałbym to wszystko odkręcać, powiedzieć mu: „No nie, wcale nie było w porządku. Wtedy wciąż byłem ćpunem. Nakłamałem ci od góry do dołu...”. To chyba właśnie w tym miejscu wychodzą prawie wszystkie moje zahamowania. – Scott sądził, że nie ma prawa prosić kogokolwiek o taką przysługę[2].

Po czterech miesiącach sprzątania w klubie, podczas których miał tylko jedną wolną noc, Scotta zaczęło to męczyć. Był trzeźwy i znudzony. Opróżniał popielniczki, szorował toalety, a na koniec oceniał, jak mu poszło: pięć minus, trzy plus. A potem, po dwudziestu jeden godzinach, znów to samo. Kiedy ćpał, jego życie miało przynajmniej jakiś sens: skołować towar. Teraz miał wrażenie, że drepcze w kółko po ciasnej, nużącej pętli. Na życzenie Anny za noclegi na kanapie płacił dwieście dolarów miesięcznie, talony żywnościowe oddawał na codzienne zakupy, więc nie bardzo mógł odłożyć większą sumę.

Nie chodziło tylko o pracę w klubie. Gdy zgasł pierwszy urok trzeźwości, Scottowi generalnie coraz mniej podobało się w AA. To uczucie rozczarowania, jak po miesiącu miodowym, jest tak powszechne, że w AA określa się je zwięzłą frazą: „spadłeś z puchowej chmurki”.

„Od niezdecydowania przeszedłem do wrogości” – mówi Scott. Żenowało go spędzanie wieczorów na ustawionych w półokręgu

składanych krzesłach, pomiędzy pijaczkami i koksiarzami, którzy też wylądowali na dnie, sączenie kawy rozpuszczalnej ze styropianowego kubeczka i przerzucanie się koszmarnymi historiami. W końcu znienawidził te rytuały, nieznajomych poklepujących go po ramieniu, czerstwe slogany: „łaska boska mnie ocaliła”, „wypuść nałóg, wpuść Boga” – a co dopiero przeświadczenie tych, którzy zbierali się w Klubie Trzeźwości, że walka z nałogiem za pomocą narkotyków na receptę, na przykład metadonu, to ściema. Przymierzał się do wizyty w przychodni publicznej, żeby przepisali mu coś, co pomogłoby oprzeć się ssaniu i depresji. Nie mógł jednak wspomnieć o tym Annie czy Davidowi. Rzygał, telepało go, płakał, żeby tylko oczyścić organizm z trucizn, ale kiedy ocierał oczy, widział, że wciąż jest spłukany i bezdomny, przesiaduje w AA jakieś chore godziny, a o północy wyciska mop do wiadra. „Jebane ćpuny i żury! – wrzeszczał w pustej sali, gdzie wciąż miał do poskładania krzesła. – Oszaleję przez to wszystko!”

O siódmej trzydzieści siedem rano Scott zarejestrował się w Wolnej Przychodni Wydziału Pomocy Behawioralnej hrabstwa Milwaukee. Przyjmowano tu miejscowych pacjentów, nieubezpieczonych lub objętych tylko publicznym ubezpieczeniem zdrowotnym hrabstwa, zwanym GAMP. Tabliczka na ścianie oznajmiała: PIERWSZA WIZYTA MOŻE ZAJĄĆ OD TRZECH DO PIĘCIU GODZIN. Kto nie miał pieniędzy, płacił własnym czasem. Pielęgniarki i pracownicy socjalni żwawym krokiem mijali snujących się po korytarzach pacjentów, którzy czekanie wypełniali nicnierobieniem. Scott nie miałby nic przeciwko temu, żeby pracować w tej przychodni, znaleźć się wśród tych żwawych. Tego dnia jednak był tu po leki. Jego zdaniem ci nawróceni na AA nie potrafili pojąć jednego – dlatego że żaden z nich nie brał heroiny: jego ciało fizycznie potrzebowało czegoś, co dałoby mu kopa, rozruszało motywację. Trzymał kciuki za to, żeby lekarz przepisał mu suboxone stosowany w leczeniu uzależnienia od opioidów. Po niemal trzech godzinach wyczytano jego nazwisko. Scott wstał z ulgą – jednak zobaczy się z lekarzem.

Psychiatra był chudym Azjatą, ściętym na żołnierza, mówił niemalże szeptem. Zaprowadził Scotta do ponurego prostokątnego gabinetu, wyglądającego jak przerośnięta szafa ścienna. Scott siadł na kozetce, a psychiatra pochylił się nad starym biurkiem, zaczął czytać jego historię choroby. Biurko było przysunięte pod ścianę, więc kiedy Scott unosił wzrok, widział profil lekarza.

– Od jak dawna odczuwa pan depresję? – spytał psychiatra, wpatrzony w akta.

– Od bardzo dawna – odpowiedział Scott.

– Więc jakie ma pan objawy?

– No po prostu zupełnie brak mi energii... Myślę, czy by nie spróbować z suboxone'em. Nie wiem, czy to nie jest faza po odstawieniu.

– Jak długo miał pan problemy narkotykowe?

– Chyba tak z sześć, siedem lat, powiedziałbym.

– A od jak dawna nic pan nie bierze?

– Od czterech miesięcy.

Kiedy już Scott opowiedział mu o swojej narkotykowej przeszłości, psychiatra zawahał się, nim zadał mu następne pytanie.

– Hm – podjął – mam tu napisane, że w młodym wieku był pan wykorzystywany seksualnie.

– To prawda – Scott pociągnął nosem.

– Ile miał pan wtedy lat?

– Byłem młody. Od czwartego do... – Scott namyślał się przez chwilę – dziesiątego roku.

– Kto był sprawcą?

Scott odpowiedział.

– I jak to się skończyło? Powiadomieniem kogoś?

– Nie. Nigdy nikomu o tym nie opowiadałem.

– Czy w związku z tym był pan kiedykolwiek w jakimś programie terapeutycznym?

– Nie.

– A byłby pan zainteresowany?

– Nie[3].

Wyszedł z przychodni z dwiema fiolkami antydepresantów. Miał zażywać dwa razy dziennie po 100 miligramów zoloftu, a na dobranoc 50 miligramów amitryptyliny[4]. Gdy Scott zapytał: „Poleciłby pan coś, żeby pomogło na ssanie?”, psychiatra wspomniał o programach terapeutycznych, a nie o suboxonie. Ta jego odpowiedź trochę Scotta „zdołowała”. Cóż, nie było źle, trafił dwa leki. Na dworze było zimno, minus osiemnaście, i to bez uwzględniania działania wiatru. Pod butami Scotta skrzypiał śnieg.

Trzy miesiące później, szukając drobnych, dwunastoletnia córka Davida i Anny Aldeów znalazła w kąpielówkach Scotta strzykawkę. Oscar, ich najstarszy syn, który niedawno wprowadził się z powrotem do rodziców, rzucił sugestię, że może to z dawnych czasów, co było jak najbardziej prawdopodobne. Gdy Scott zamieszkał u Aldeów, co jakiś czas znajdował narkomańskie fanty w kieszeni dawno nienoszonej bluzy czy spodni. Raz trafił nawet na fifkę do palenia cracku – oglądał ją i wspominał, to trochę jakby w pranych rzeczach znaleźć wyblakły bilet do kina. David i Anna nie łyknęli jednak tego wyjaśnienia. Tej samej nocy, kiedy Scott wrócił po sprzątaniu Klubu Trzeźwości, znalazł swoje rzeczy na ganku, z przypiętą karteczką. Spróbował otworzyć drzwi. Zamknięte. A mieszkał u nich siedem miesięcy.

Scott nie walczył o swoją sprawę. Zawsze unikał konfrontacji, a zresztą David i Anna i tak by mu nie uwierzyli. „Zdecydowanie łatwiej im wierzyć, że to moja, a nie Oscara” – uznał. Na dodatek byłby to dla Oscara kiepski moment na odtrucie, bo chłopak właśnie został ojcem. Według Scotta niesamolubnym rozwiązaniem było właśnie przyzwolenie mu na branie, bo dzięki temu mógł być ze swoją dziewczyną i córeczką.

Scott wiedział, że strzykawka należała do Oscara, bo razem dali sobie w żyłę. Nie określiłby tego mianem „powrotu do nałogu”. „Po prostu było normalnie” – powiedziałby.

Bo zwaliło się kilka spraw naraz. Przede wszystkim Scott dowiedział się, że te wszystkie spotkania Anonimowych Alkoholików, na których przesiadywał, wszystkie sesje terapii grupowej, których nie cierpiał nawet bardziej, nie liczyły się przy odzyskiwaniu uprawnień pielęgniarskich. Komisja miała własne procedury, a Scott się ich nie trzymał. Miała też własne laboratorium do badania moczu, więc skoro i z niego nie korzystał, wszystkie te czyste próbki, które składał, także się nie liczyły. „Chodziłem i sikałem do kubeczka, tydzień w tydzień, bez przerwy. W końcu zadzwoniłem do komisji, żeby się dowiedzieć, czy wszystko tam się zgadza. A oni, normalnie: «Nie»”.

Raptem parę dni po tej hiobowej nowinie Scott natknął się na stacji benzynowej na Heroinową Susie i Billy’ego. Poczęstowali, a on, w cichym buncie, nie odmówił. Może skończyłoby się na jednostkowym incydencie, drobnym obsunięciu podczas wspinaczki na stromy szczyt, ale wtedy do rodziców sprowadził się Oscar, mocno uzależniony. Scott zaczął dawać z nim w żyłę w weekendy. W poniedziałki już nie brał, żeby w piątek siki nic nie wykazały. Wciąż chodził na terapię i na spotkania AA. Po paru miesiącach dał sobie jednak spokój z pilnowaniem kalendarza i zaczął brać przy każdej możliwej okazji.

Stojąc na ganku Ośrodka Rehabilitacji u Aldeów o drugiej rano, z workiem ciuchów i pojemnikiem z pamiątkami, Scott zrobił kolejny naturalny krok – zadzwonił do Susie i Billy’ego. Tę noc spędził w ich przyczepie, znów wrócił na start.

Parę dni później, kiedy Susie piekła szarlotkę, Scott zadzwonił do swojej matki Joan. Postanowił spróbować z metadonem, ale potrzebował dwóch rzeczy: heroiny w krwiobiegu, co sobie załatwił, i stu pięćdziesięciu dolarów, a tych nie miał. Miesiąc wcześniej wpadł do rodzinnego miasteczka z dwudniową wizytą. Zamieszkał w ciasnym, ale zadbanym domu mamy, odwiedził babcię w domu opieki, z nastoletnimi siostrzenicami grał na konsoli, patrzył, jak siostra przymierza nową sukienkę ślubną. Od kiedy ostatnio widział się z matką, minęły dwa lata.

„Podjechałabym do ciebie w odwiedziny, gdybym umiała jeździć po mieście” – przeprosiła go Joan, nie przepraszając. Była to miła wizyta. Scott był wyluzowany, spokojny, nie to co poprzednim razem, kiedy Joan miała wrażenie, że był spięty jak królik w klatce. „Nogi mu się trzęsły jak po maratonie” – wspomina. Teraz zorganizowała specjalny lunch i wielką kolację, żeby cała rodzina mogła się zobaczyć ze Scottem. Wrócił do Milwaukee z poczuciem, że ludzie go kochają, i to wspomnienie pomogło mu sięgnąć po słuchawkę.

– No i to jest klinika metadonowa – tłumaczył. – Wiesz, co to takiego?... Będę tam chodził codziennie, żeby wydawali mi lek. A to pomoże mi z uzależnieniem od opioidów i z depresją... No w sumie to próbowałem już tego wszystkiego, rzucić tak na czysto; no, nie chciałem, żebyście dowiedzieli się wszystkiego, co nie. Ale tak nie wyszło. – Wziął głęboki wdech. – Mamo, rozumiesz w ogóle, o czym ci mówię?

Joan wiedziała jedno – jej syn, który prawie nigdy o nic jej nie prosił, teraz prosił o pomoc. Uskładała te sto pięćdziesiąt dolarów.

Następnego ranka Scott siedział w klinice metadonowej przy Dziesiątej i czekał na swoją kolej. W klinice były cztery stanowiska. W rejestracji inkasowali pieniądze, w punkcie przyjęć odbierali siki. Pielęgniarki witały stałych klientów po ksywce albo po numerze pacjenta. „Siema, Deano!” „O, 3322, dziś masz farta”. Trzecim stanowiskiem była toaleta, obserwowana przez kamerę, żeby pacjenci nie podmieniali próbek moczu. No i ostatni punkt, dozowniki metadonu za solidnymi drzwiami, na których ktoś przykleił wycięty z satyrycznej gazety „The Onion” artykuł z nagłówkiem WSZYSTKO TRWA ZBYT DŁUGO i zdjęciem mężczyzny wpatrującego się niecierpliwie w mikrofalówkę. Gdy rozlegał się brzęczyk, pacjent mógł wejść za drzwi i wbić swój numer w klawiaturę dozownika, który strzykał gorzką czerwoną cieczą do plastikowego naparstka.

Scott podejrzewał, że klinika metadonowa o siódmej rano to miejsce, gdzie najpełniej widać cały przekrój społeczny Milwaukee. Przez te drzwi przechodziła biała dziewczyna po dwudziestce, idealnie umalowana, z designerską torebką pod pachą, postękujący Meksykanin przy chodziku,

biała kobieta z niemowlakiem, wysoki czarny facet, na którego patrzenie sprawiało Scottowi przyjemność, gruby malarz, krzepki budowlaniec, biała kobieta w odprasowanych letnich spodniach i różowej bluzeczce, mężczyzna ubrany jak księgowy. Gdy powłócząc nogami, weszła do kliniki przygarbiona Chinka, z wyglądu osiemdziesięciolatka, podeszła do niej Portorykanka o lasce i wyściskała ją.

– Nowy? – zapytał ktoś.

Obrócił się i zobaczył młodą białą dziewczynę, która wyglądała tak, jak gdyby powinna właśnie być na treningu drużyny lekkoatletycznej liceum East High School. Miała może osiemnaście lat, włosy w kuc, piegi, zęby prostowane u ortodonty.

Przytaknął.

– No to ja bym ci radziła – podsunęła się bliżej – żebyś nie brał tego, co tu dają. Bo wiesz, oni mówią, że chcą cię na to przestawić, żebyś odstawił co innego, ale to wszystko ściema. Chcą tylko wyciągnąć od ciebie kasę. Jadę na tym już sama nie wiem jak długo, a wciąż biorę po sto miligramów.

Scott aż uniósł brwi. Pamiętał, że ta dawka, po której przy ostatniej próbie z metadonem wylądował w szpitalu, to także było sto miligramów. O ile dobrze kojarzył, poprawił jeszcze xanaxem i wkrótce po wyjściu z kliniki weszło mu tak, że zatoczył się na jezdnię, przed samochody. Policjant wezwany na miejsce zajścia wstrzyknął mu dawkę narcanu, powodując taki spazm odstawienia, że Scott skończył na OIOM-ie.

– A ile płacisz? – zapytał dziewczynę.

– Trzysta siedemdziesiąt – powiedziała, podając kwotę za cały miesiąc.

Pokiwał głową, zastanawiając się, skąd weźmie pieniądze na kontynuowanie terapii.

Gdy przyszła jego kolej, połknął czerwony płyn, odrobiną wody przepłukał kubeczek i to także wypił. Te ostatnie kropelki mogły zrobić wielką różnicę.

Przed wyjściem z kliniki miał jeszcze spotkanie z konsultantem terapii metadonowej, czarnym mężczyzną, mniej więcej równolatkiem Scotta.

– Ile razy w ciągu ostatnich trzydziestu dni używał pan heroiny? – zapytał konsultant.

– Trzydzieści. – Scott przeszedł do opowiadania konsultantowi o tym, jak to matka pożyczyła mu te sto pięćdziesiąt dolarów. – To chyba najbardziej moja wina, że jej nie doceniałem. Może po prostu wyciąłem ją z mojego życia.

– Im więcej sekretów, tym cięższa choroba – stwierdził konsultant.

Ponieważ wypłaty z Klubu Trzeźwości nie wystarczyłoby i na czynsz, i na metadon, Scott poszedł w bezdomność. Wprowadził się do schroniska na osiemdziesiąt sześć łóżek, zwanego Domem Gościnnym. Co rano jeździł autobusem do kliniki metadonowej, co wieczór kładł się na pryczy w wielkiej sali wśród innych bezdomnych mężczyzn. Od metadonu pocił się, przybrał na wadze, za to libido prawie wygasło. Grunt, że terapia działała[5].

Większość zaczynających terapię metadonem rzuca ją, nim minie rok[6]. Scott się nie poddawał. Z czasem, wciąż mieszkając w Domu Gościnnym, został tam szefem obsługi i znów zaczął pomagać ludziom. Przez cztery dni w tygodniu pracował w jednym z terenowych schronisk podległych Domowi Gościnnemu, nieoznakowanym, dwupiętrowym domu z oknami wykuszowymi, ukrytym przy cichej ulicy na South Side. Szorował wybielaczem toalety, wyprowadzał staruszków do stołu ogrodowego za domem, gdzie siedzieli i strącali popiół z papierosów do zaadaptowanej na popielniczkę puszki po kawie rozpuszczalnej Folgers.

Rok później, gdy zdążył już wydać niemal cztery tysiące siedemset dolarów, hrabstwo zgodziło się dofinansowywać jego terapię metadonową, obniżając jej miesięczne koszty do trzydziestu pięciu dolarów. Potem, dzięki oferowanemu przez Dom Gościnny programowi stałego zamieszkania, Scott otrzymał możliwość przeprowadzenia się do własnego lokum, z czynszem w wysokości jednej trzeciej dochodów. Wybrał wieżowiec Majestic Loft Apartments przy Wisconsin Avenue, zaraz obok centrum handlowego Grand Avenue. Zawsze chciał mieszkać w dobrej dzielnicy, a do tego centrum przychodził regularnie na zakupy, kiedy

sprowadził się do Milwaukee – wtedy, przynajmniej dla chłopaka z wiochy w Iowa, centrum handlowe tętniło życiem i możliwościami towarzyskimi. Trzynastopiętrowy gmach Majestic Loft zbudowano w roku 1908, pierwotnie jako biurowiec, z teatrem wodewilowym na parterze. Gdy przeobrażono go w budynek mieszkalny, deweloperzy urządzili w nim centrum fitness, kryte boisko do koszykówki, małe prywatne kino i tor golfowy ze sztuczną darnią.

Mieszkanie Scotta znajdowało się na dziewiątym piętrze. Były tam czysta wykładzina koloru pszenicy, nieskazitelnie białe ściany, wąskie żaluzje w wysokich na dwa metry oknach, obszerna łazienka, sprawna kuchenka i lodówka. Dom Gościnny wyposażył mieszkanie w duży ciemnobrązowy puf i kanapę pod kolor, kilka lamp, które Scott chronił, nie zrywając foliowych owijek z abażurów, i regularne łóżko, którego prawie nie używał – tak przyzwyczaił się do zasypiania na kanapie. Miał tam nawet zmywarkę i suszarkę do prania. Wierzyć się nie chciało. Z początku Scott był niemal pewien, że zadzwonią do niego z Domu Gościnnego i powiedzą, że to przez pomyłkę. Czynsz za to mieszkanie wynosił siedemset siedemdziesiąt pięć dolarów miesięcznie – Scott płacił z tego tylko sto czterdzieści jeden.

Minął cały miesiąc, nim Scott zdołał oswoić się z myślą, że to jego dom. Gdy jednak do tego doszło, kupił dywanik do łazienki, granatową kapę na łóżko, mydło, aromatyzowane świece, poduchy, płyn do płukania ust, talerze, wycieraczkę, na której mógł stawiać buty. Mieszkanie sprawiło, że czuł się aprobowany, jak człowiek, któremu należy się coś lepszego. Motywowało go. Któregoś dnia wziął magnesik z Towarzystwa Świętego Wincentego a Paulo i przymocował do lodówki notatkę. Oto jej treść:

PLAN PIĘCIOLETNI

Wrócić do pielęgniarstwa

Zarabiać o wiele większe pieniądze

Żyć tak tanio, jak się da

Założyć rachunek oszczędnościowy

Po dwóch latach i trzech miesiącach od utraty uprawnień Scott wreszcie mógł zacząć odkładać na badania laboratoryjne, bez których nie udałoby mu się wrócić do zawodu. W tym celu zbierał nawet bilon, wrzucając monety do słoja w kuchni.

Na placu przyczep Scott miał wrażenie, że grzęźnie. „Po prostu nie miałem pojęcia, jak miałbym cokolwiek naprawić – wspomina. – Tam to był zupełny koniec świata, jak gdyby reszta miasta w ogóle nie istniała". Często myślał wówczas o samobójstwie. Zrobiłby to potężnym strzałem heroiny, tyle że nigdy nie potrafił uskładać odpowiedniej kwoty. Jego nowe mieszkanie dramatycznie kontrastowało z przyczepą kempingową i wszystkim tym, co się z nią wiązało, do tego stopnia, że na okres życia na placu zaczął patrzeć jak na „długą wyprawę pod namiot", z dala od cywilizacji. Czasami, kiedy wspominał tamte czasy i wszystko to, co utracił, wychodził z mieszkania i wędrował po wąskich, słabo oświetlonych korytarzach Majestic, aż trafiał do pewnych drzwi. Przechodził przez nie i już był w środku centrum handlowego Grand Avenue, jak gdyby wyłaniał się z tajemnego przejścia. Wędrując po poziomach centrum handlowego, Scott chłonął światła, muzykę, wonie jedzenia, ludzi i wspominał, jak się czuł przed laty, kiedy to miasto wciąż było dla niego pełne dziwów i możliwości.

24

Weź wygraj, jak wciąż przegrywasz

Wybierając numer, Arleen spojrzała na Joriego z miną mówiącą „no to próbujemy”. Właściciel mieszkania numer 90 zostawił na jej poczcie głosowej wiadomość – chciał, żeby do niego zadzwoniła. W zasadzie wiadomość przekazał jego syn, bo to on pokazywał Arleen mieszkanie. Miał niewiele ponad dwadzieścia lat, nosił czapeczkę daszkiem do tyłu, włosy splatał w warkocz. „Mów mi Pana” – nalegał. Arleen pamiętała, że w roku 2003 mieszkała w budynku należącym do jego ojca, w mieszkaniu z dwiema sypialniami, za które płaciła wtedy pięćset trzydzieści pięć dolarów. Teraz chodziło po sześćset dwadzieścia pięć. Tym razem ubiegała się więc o takie z jedną sypialnią, za pięćset dwadzieścia pięć dolarów. Sześć lat, a jaka różnica.

Dzwoniąc, wspominała to, co powiedziała Panie. Nałgała mu o swoich dochodach, twierdząc, że dostaje miesięcznie dwieście pięćdziesiąt dolarów w alimentach, ale o eksmisjach nie kłamała. Głównie błagała. Powiedziała, że weźmie to mieszkanie, jeszcze zanim je zobaczyła. Właściwie nie brała pod uwagę okolicy ani stanu lokalu. „Biorę, co jest” – postanowiła. Mówiła mu: „Błagam. Mieszkam w schronisku”.

Pana odebrał połączenie.

– No więc jest tak, że sprawdziliśmy, co pani mówiła. I wszystko się zgadza. Znaczy będziemy z panią pracować.

Arleen podskoczyła z wrażenia, wyrwało się jej zdławione:

– Tak!

– Tylko żeby była jasność: tu nie będzie miejsca na błędy.

– Rozumiem.

– Ma pani stały dochód. Więc musi pani płacić czynsz i nie pakować się w kłopoty.

Arleen podziękowała mu. Gdy się rozłączyła, złożyła też dzięki Chrystusowi. Uśmiechała się. Uśmiechnięta wyglądała zupełnie inaczej. Presja nieco odpuściła. Osiemdziesiąt dziewięć razy właściciele mieszkań mówili jej „nie”, ale dziewięćdziesiąty powiedział „tak”.

Jori przybił z mamą piątkę. Wraz z bratem będzie musiał przenieść się do innej szkoły. Wisiało mu to. Cały czas zmieniał szkoły. W siódmej i ósmej klasie chodził w sumie do pięciu różnych szkół – o ile nie wagarował. Tylko w czasie, kiedy mieszkali w schronisku dla ofiar przemocy domowej, uzbierał siedemnaście nieobecności z rzędu. Arleen postrzegała szkołę jako potrzebę wyższego rzędu, coś, czym może się przejmować, kiedy już znajdzie dom. Ponadto Jori był bardzo pomocny. Wybiegał naprzód na ulicy i zapamiętywał numery telefonów z szyldów ogłaszających mieszkania na wynajem albo pilnował Jafarisa, kiedy Arleen sama szła w miasto z notesem z adresami. Umiał też ją rozśmieszyć. Gdy sprawy wyglądały kiepsko, próbował wywołać uśmiech na twarzy mamy, siląc się na freestyle (raczej słaby), gdy za szybami autobusu przesuwały się ulice miasta.

Aha, aha, aha

Szukam sobie domu, żebym miał gdzie mieszkać.

O, moja stara buda.

O, moja stara dzielnia.

O, moja stara stacja benzynowa.

Szukamy se domu.

Może Jori też martwił się, czy znajdą mieszkanie, ale nie dawał tego po sobie poznać.

Ściskając zdalnie sterowany samochodzik i wypchanego Elmo, prezenty pożegnalne od jednego z pracowników socjalnych, Jafaris rozpłakał się, gdy opuszczali schronisko. „Nie mogę patrzeć” – powiedział, kiedy samochód ruszał od krawężnika. Arleen pogładziła go po głowie

i powiedziała, że powinien się cieszyć, że wyprowadza się ze schroniska. Jafaris nie rozumiał, czemu tak miałoby być. Było tam spokojnie i ciepło, no i miał zabawki.

Nowe mieszkanie znajdowało się w bloku przy ruchliwym skrzyżowaniu alei Teutonia i Silver Spring, w bardziej przemysłowej okolicy North Side. Arleen wspinała się na drugie piętro po schodach, a Jori i Jafaris, rozchichotani, przejechali się rzężącą windą. Mieszkanie miało świeżo odmalowane ściany, szara wykładzina była gruba i czysta. Mieli tu klimatyzację, żadnych żarówek wiszących na kablach, wszystko w żyrandolach. Każda szafka z jasnego drewna w niedużej kuchni miała na drzwiczkach uchwyt. Odkręcisz gorącą wodę – i taka leci z kranu. Arleen bez pośpiechu obejrzała całe mieszkanie i nie znalazła w nim żadnych usterek. Otworzyła okno, patrzyła z góry na przejeżdżające samochody i na centrum dystrybucyjne firmy Auer Steel & Heating po drugiej stronie ulicy. Czuła się „dobrze, ale zmęczona”.

Kiedy już wnieśli do mieszkania wypełnione odzieżą worki na śmieci i kartony konserw, Arleen siadła na podłodze. Znalazła sobie miękką torbę i oparła się o nią. Czuła spokój, była w domu. Od rozprawy eksmisyjnej z Sherreną minęły dwa miesiące. Jori usiadł obok niej i położył głowę na ramieniu mamy. Po nim zjawił się Jafaris – ułożył się na nogach Arleen, z głową na jej brzuchu. Przez dłuższą chwilę nie ruszali się z miejsca.

Po kilku spokojnych dniach Arleen dostała wiadomość o śmierci Terrance’a – wszyscy mówili o nim po prostu „T”. T należał do nielicznych członków rodziny od strony Larry’ego, z którym Arleen wciąż utrzymywała kontakt. Zastrzelił go jego kuzyn P.A., którego Arleen również uwielbiała. Podczas kłótni T zdzielił P.A. w głowę drzewcem od siekiery, więc P.A. poszedł po spluwę. Zanim wrócił, przedzwonił jeszcze do matki T i zapowiedział jej, że zabije jej syna. Co też zrobił.

Śmierć T zaburzyła życie Arleen, jak to zwykle bywa. Arleen opłakiwała go, wspominała ze starymi znajomymi, załatwiła z dawną matką zastępczą Jafarisa, że chłopiec będzie mógł u niej zostać na czas pogrzebu – uważała,

że jest jeszcze za młody, żeby brać w nim udział. Część żałobników umawiała się już na późniejsze wyjście do restauracji Ponderosa Steakhouse. Jeśli kogoś nie było stać, oddawał osocze, żeby też móc zasiąść do stołu.

Gdy Arleen i Jori odwiedzili miejsce pamięci T, na ulicy niedaleko Fond du Lac Avenue, na Northwest Side, Arleen zajęła się poprawianiem kwiatów i pluszaków. Miejsce pamięci urządzone było elegancko, z kremową wstęgą, wierszami, sztucznymi różami z jedwabiu i kilkoma bukietami białych i żółtych stokrotek, goździków, alstromerii. Arleen podeszła do domu, w którym mieszkał T, zatrzymała się na schodach, wróciła pod miejsce pamięci i znów poszła na schody.

– Czas szybko leci, nie? – odezwał się Jori. – Założę się, że jak będziemy na pogrzebie, będzie płynął powoli.

Rano w dniu pogrzebu Arleen założyła ciemne dżinsy, koszulkę firmy Rocawear i granatową bluzę z kapturem. Gdy z Jorim szła schodami do wyjścia z bloku, natknęła się na Panę, który wdrapywał się na górę.

– Muszę z wami pomówić – oznajmił. – Chodzi o to, co było przedwczoraj wieczorem.

W głowie Arleen zakotłowały się myśli. Tamtego wieczoru dzwoniła pod 911, bo Jafaris miał atak astmy.

– Ten blok jest na liście uciążliwych – powiedział Pana. – Nie można tu ściągać policji.

– Przyjechała tylko straż pożarna i pogotowie – wyjaśniła Arleen. – Do ataku astmy policja nie jeździ.

To jednak nie był jedyny problem. Sąsiad poskarżył się, że do jego drzwi zapukała jakaś koleżanka Arleen i pytała o trawkę (Trisha. Została z chłopcami, żeby się nimi opiekować). A Jafarisa przyłapano na tym, że wyrzucał coś z ich okna na drugim piętrze.

– Jeśli sytuacja się nie poprawi, poprosimy was o opuszczenie mieszkania.

Na dworze, w drodze do zakładu pogrzebowego New Pitts, Arleen pokręciła głową.

– Jak nie urok, to sraczka – stwierdziła.

Nie dość, że musiała zadbać o dobrą opinię u Pany, to jeszcze pojawił się problem z talonami żywnościowymi. Złożyła niezbędny formularz powiadomienia o zmianie adresu, ale coś się przyblokowało. Doszła jeszcze kwestia wyciągnięcia wszystkich rzeczy z magazynu. Arleen musiała znaleźć jakiś sposób na wydostanie ich stamtąd, i to szybko, bo od początku następnego miesiąca miała do wyboru – zalegać albo z opłatami za przechowanie, albo z czynszem. A teraz na dodatek nie było już T, w pewnym sensie P.A. też przepadł. Bieda potrafi się skumulować – życie w niej oznacza często przedzieranie się przez tak gęste chaszcze powiązanych ze sobą nieszczęść, że można od tego zwariować. Zdarzały się chwile spokoju, ale generalnie życie składało się z kolejnych kryzysów, którym trzeba było stawiać czoła[1]. Arleen miała przynajmniej dom, kawałek własnej podłogi, gdzie mogła spać.

Przed wejściem do domu pogrzebowego miała chwilę zawahania. Zakład New Pitts, przy West Capitol Drive, zbudowany w latach trzydziestych XX wieku, wrósł już w dzielnicę North Side. Kamienny budynek projektu Lannona w eklektycznej amerykańskiej wariacji stylu francuskiego był zdobny ośmiościenną wieżą schodową, wąskimi eleganckimi oknami, miał ciemnofioletowy baldachim nad wejściem na całą szerokość chodnika i ostro spadziste dachy, nad którymi wznosił się wysoki komin. Jori dołączył do matki, tak że do środka weszli razem. Kaplica była nabita ludźmi. Nastolatki i dzieci tłoczyły się razem, ubrane w specjalne koszulki z twarzą T czy wizerunkami innych osób zamordowanych za młodu. Babcie i dziadkowie przybyli w kremowych lub brązowych garsonkach i garniturach, z filcowymi kapeluszami pod kolor. Duży C, brat T, stał z przodu, w odprasowanej granatowej koszulce, dobranej pod kolor bandanie i okularach przeciwsłonecznych. Wuj Link przybył z niedopalonym papierosem zatkniętym za ucho. Jakiś potężny mężczyzna kroczył powoli nawą, a jego żona łkała, opierając twarz o jego plecy.

Arleen zajęła miejsce w ławce z tyłu, zgodnie ze swoim statusem wśród krewnych.

T wyglądał elegancko, ubrany w czarną bluzę z długimi rękawami i nową czapeczkę Oakland Raiders. Dożył prawie do czterdziestki. Kaznodzieja opuścił głowę, patrząc na niego.

– Czuję się tak, jakbym za każdym razem, kiedy tu jestem, widział w trumnie kogoś, kto wygląda jak ja, kogoś, kto odszedł zbyt młodo – powiedział, kręcąc głową nad szerokim węzłem windsorskim krawata. I zagrzmiał, chrapliwie, emocjonalnie: – Gdzie się podziała miłość pomiędzy nami? Gdzie się podziała troska?... Kto nam pomoże, jak nie my sami?!

– Tak jest!

– Dobrze mówi!

– To był mój synek!

Kiedy ceremonia dobiegła końca, Arleen stanęła na dworze z wujem Linkiem i paroma innymi krewnymi. Ktoś podał jej puszkę mocnego piwa Olde English – wylała libację dla T, kreśląc w śniegu piękne bursztynowe kręgi. Na stypie, w suterenie Centrum Afroamerykanek Stanu Wisconsin na rogu Trzydziestej i Vliet, rodzina zajadała się smażonym kurczakiem na kromkach chleba, duszoną zieleniną i makaronem z serem. Przez cały czas Arleen była obejmowana, całowana, serdecznie witana. Czuła wsparcie bliskich. Niewielki był z nich pożytek, kiedy potrzeba było znaleźć dach nad głową czy pieniądze, żeby ogrzać mieszkanie, ale na urządzaniu pogrzebów to się znali.

Dzień później nie było żadnych gości, więc Arleen znów zajęła się urządzaniem mieszkania, tak żeby czuć się w nim jak w domu. Zapisała chłopców do nowych szkół. Zabrała rzeczy z magazynu i powiesiła obrazki na ścianach. Jeden z sąsiadów sprezentował jej kanapę. W poprzednim mieszkaniu, przy Trzynastej, miała przeważnie bajzel, bo sprzątanie nie zdawało się na wiele przy popękanych szybach, sponiewieranej wykładzinie i zdezelowanej toalecie. Tu jednak ojciec Pany dbał

o porządek. Mieszkanie mogło więc wyglądać, jak trzeba, jeśli Arleen zadbałaby o porządek. Nad zlewem wywiesiła liścik dla Joriego: „Sprzątaj po sobie, bo inaczej będziemy mieli kłopoty”. Na blacie w kuchni postawiła świeczkę dla Świętego Judy, patrona trudnych spraw. Oglądając to mieszkanie, ludzie mówili Arleen: „Ale masz ładny dom”. Niektórzy pytali nawet, czy nie mogliby się wprowadzić. Arleen, cała dumna, odmawiała.

Jori usiłował dostosować się do nowej szkoły. Powinien chodzić do ósmej klasy, ale zaległości miał takie, że jego miejsce było raczej w siódmej. Frustrował się tym. Co więcej, rozstroiła go śmierć T. Wyszło na jaw, że kiedy P.A. dzwonił do matki T, posłużył się telefonem Larry’ego. Policja przesłuchała Larry’ego, ale puścili go wolno. Joriego wciąż skręcało na tę myśl. Czemu jego tata był tamtej nocy z P.A.? Dokładnie dwa tygodnie po pogrzebie któryś nauczyciel warknął na Joriego, ten odwarknął w odpowiedzi, kopnął nauczyciela w goleń i pobiegł do domu. Przyjechali tam także wezwani przez nauczyciela policjanci.

Gdy dowiedział się o tym Pana, złożył Arleen propozycję: jeśli wyprowadzi się do niedzieli, dostanie z powrotem wpłacony czynsz i kaucję, w przeciwnym zaś razie Pana eksmituje ją i nie odda pieniędzy. Dzieci nie chroniły rodziny przed eksmisją – zwiększały jej ryzyko[2].

Arleen poszła na ten układ, a Pana był na tyle miły, że pomógł jej przy wyprowadzce. Wyciągnęła talerze z czystych szafek, pozdejmowała ze ścian swoje ozdoby. Gdy skończyła już upychać wszystko w worki na śmieci i kartony z odzysku, Pana załadował jej dobytek na pick-upa i zawiózł z powrotem do magazynu.

Straciwszy swój piękny dom, Arleen czuła się fatalnie[3]. „Co jest, przeklął mnie ktoś, czy jak? – zastanawiała się. – Weź tu wygraj, jak wciąż przegrywasz. Choćbym się starała nie wiadomo jak”.

Arleen zadzwoniła do Trishy i powiedziała jej, że właściciel mieszkania wściekł się, kiedy usłyszał, że kolędowała po sąsiadach, sępiąc jointa. Tak naprawdę to odwiedziny policji przeważyły szalę, ale przez lata niedostatków Arleen nauczyła się już, jak prosić o pomoc, a jedną

z najskuteczniejszych metod było uderzanie w cudze poczucie winy, formułowanie zapytań tak, żeby ten, kto by odmówił, wyglądał na stuprocentowego sukinsyna[4]. „Przynajmniej mogłabyś mi pomóc, skoro to przez ciebie wyleciałam na bruk".

Trisha powiedziała, że mogą się do niej sprowadzić.

Na Trzynastej Ulicy pojawiło się nowe miejsce pamięci. Zauważył je Jafaris. „Zastrzelili tu kogoś" – oznajmił głosem sześciolatka. Gdy dotarli pod dawny adres, chłopcy pobiegli do mieszkania Trishy zobaczyć się z Malcem. Kotek jednak już nie żył. Jakiś samochód wprasował go w asfalt. Gdy Trisha powiedziała o tym Joriemu, ten robił, co mógł, żeby się nie rozpłakać. Szybkim krokiem przemierzał jej mieszkanie, co rusz rękawem ocierał uciekające z nosa smarki. Znalazł piankową głowę manekina. U Trishy zawsze walały się takie przypadkowe przedmioty. Klęknął nad tym czerepem i obrócił go twarzą do góry. Zacisnął pięść, uderzył twarz. Znów i znów. Wkrótce sapał, ciosy zadawał coraz szybsze, mocniejsze, głośniejsze, aż Arleen i Trisha wrzasnęły na niego, żeby przestał.

Trisha nie kryła się z tym, że zaczęła dorabiać dupą. Nawet nie miała jak, choćby chciała. Faceci przychodzili, więc prowadziła ich do sypialni, mówiąc Arleen: „Patrz, zorganizuję nam kasę na fajki". Potem wychodziła, mając w dłoni osiem czy dziesięć dolarów. Raz Jori wszedł do sypialni, akurat jak Trisha była w łóżku z jakimś typem, którego spodnie leżały obok na podłodze, ona miała rozmazaną szminkę. W ciasnych mieszkaniach nie było miejsca na prywatność, więc dzieci szybko poznawały tajniki świata dorosłych.

Trisha nie zerwała z tym procederem nawet wtedy, gdy zamieszkał z nią jej nowy facet. Arleen czuła, że sam ją do tego popychał. Domyślała się też, że to on kazał Trishy zażądać, by Arleen płaciła jej miesięcznie sto pięćdziesiąt dolarów, a nie sześćdziesiąt, jak na początku. Typ miał cały pakiet ksywek, Trisha mówiła na niego Śmieszek. Miał trzydzieści lat i dopiero co wyszedł z więzienia, odsiedziawszy piątkę za sprzedaż narkotyków. Chudy, o kocich ruchach, chełpił się, że pięciu różnym babkom spłodził już dziewiątkę dzieci, kpiarsko rzucał, że Trishę pogania

chochlą. Gdy ta dostawała pieniądze od swoich klientów czy od płatniczki, Śmieszek wszystko jej zabierał. Jeśli wołała za nim na ulicy, olewał ją, tylko później syczał: „Żebyś więcej przy ludziach nie mówiła na mnie «kochany»”. Trisha kuliła się w ubraniu pod kołdrą albo siadała na parapecie i paliła papierosa. Dym ożywał na wietrze, niczym szalejący duch, któremu zostało tylko parę sekund życia.

Rodzice Śmieszka i jedna z jego sióstr także wprowadzili się do Trishy, niedługo po Arleen. Ciasne mieszkanie z jedną sypialnią, które nigdy nie było w świetnym stanie, pod brzemieniem ośmiu osób zaczęło się sypać. Popsuła się toaleta, ze zlewu w kuchni ciekło. Przeciek nasilił się do tego stopnia, że podłoga nasiąkła wodą, która wzbierała nawet pod stopami Joriego. Ten rozłożył na ziemi stare ubrania, żeby zebrać płyn.

„Zupełnie jak w slumsach – stwierdziła Arleen. – W kuchni syf, cała podłoga usyfiona. Łazienka. – Zamyśliła się nad tym, co teraz począć. – Co będzie dalej? Co się stanie? Bo gorzej już nie da rady”.

I wtedy przybyła kobieta ze służb opiekuńczych, szukając „pani Belle”. Nie była to dotychczasowa pracownica zajmująca się rodziną Arleen, lecz inna, zupełnie jej nieznana. Wiedziała, że Arleen mieszka pod tym adresem – a nawet Sherrena nie miała o tym pojęcia – wiedziała też o problemach z toaletą i zlewem. Zajrzała do lodówki i się skrzywiła. Arleen tłumaczyła się jej, że to koniec miesiąca. Była na zakupach, ale do wykarmienia miała tu osiem osób[5].

Kobieta ze służb opiekuńczych powiedziała, że jeszcze tu wróci. Arleen aż mdliło z niepokoju, podejrzewała w duchu, że to Trisha na nią doniosła. Musiała znaleźć jakieś wyjście. Zadzwoniła więc do J.P. Kuzyn jak zawsze stanął na wysokości zadania – zabrał ją do siebie, skleił jointa. Pomogło. Więc skleił następnego. „J.P. zawsze się stara, żebym całkiem zapomniała, że coś mnie stresuje – powiedziała Arleen następnego dnia”.

W końcu do miasta przyszła wiosna. Stopniał śnieg, zostawiając wilgotne ulice obłożone bandami przemoczonych śmieci. Tego samego dnia wszyscy w getcie uświadomili sobie, że już nie trzeba zaciskać zębów ani płaszczy,

kiedy wychodzi się na dwór. Ludzie odważnie przesadzali z reakcjami. Chłopcy ganiali bez koszulek, dziewczyny smarowały nogi blokerem i wystawiały je na słońce, choć jeszcze wcale nie było gorąco. Na werandy wróciły krzesła i śmiechy. Dzieci wygrzebały skakanki.

Arleen i jej synowie spędzili kilka ostatnich dni w mieszkaniu Trishy, gdzie nie było nikogo poza nimi. Arleen była zachwycona tą ciszą i spokojem. Trisha, Śmieszek i jego rodzina gdzieś przepadli. Arleen nie zastanawiała się nad tym, sądziła, że pojechali w odwiedziny gdzieś do krewnych. Jednak 1 maja mieszkanie wzięła szturmem ekipa przeprowadzkowa. Tragarze weszli od razu w rękawicach, gotowi do pracy, ale koniec końców, patrzyli tylko po sobie, zdezorientowani, nie mając pojęcia, co tu pakować, a co wyrzucać do śmieci. Ekipę zamówiła Belinda, płatniczka Trishy. Podjechała później, żeby zobaczyć postępy pracy – nowym fordem expedition XLT z tymczasowymi tablicami rejestracyjnymi, prosto z salonu. Chris wyszedł z więzienia i zajrzał na Trzynastą w poszukiwaniu Trishy. Belinda uznała, że jej podopieczna nie jest już bezpieczna pod tym adresem.

„Na to już nie mam siły” – wymamrotała Arleen, wyglądając przez okno od frontu. Przemieszkała u Trishy półtora miesiąca.

Jafaris wrócił ze szkoły z włosami na połowie głowy zaplecionymi w warkoczyki. Patrzył, jak tragarze wynoszą materace i komody, upychają ubrania do czarnych worków na śmieci. Zupełnie nie reagował na to wszystko. Nie płakał, nie zadawał pytań, nie pobiegł sprawdzić, co się stało z jakimś szczególnie ważnym przedmiotem. Po prostu obrócił się na pięcie i wyszedł.

Na jakiś czas zamieszkali u siostry Arleen, która życzyła sobie dwieście dolarów miesięcznie, choć Arleen i chłopcy nie mieli nawet osobnej sypialni. W tym okresie przepadło wszystko, co Arleen miała w magazynie: duży stół ze szklanym blatem, szafa i komoda sypialniana, które sobie zorganizowała na Trzynastej, klimatyzatory. Dała Boosiemu pieniądze na opłacenie składowania, ale je posiał albo ukradł. Potem zamknęli jej sprawę

w opiece społecznej, bo nie pojawiła się w urzędzie na trzy kolejne wyznaczone spotkania: powiadomienia znów były wysyłane na adres, z którego ją eksmitowano. „No nijak nie odpuszcza” – skwitowała. W końcu znalazła sobie kolejne zapuszczone mieszkanie, na rogu Trzydziestej Czwartej i Clarke, niedaleko fabryki firmy Master Lock. „Może na tym się skończy” – myślała. Okrzepła tam na tyle, że mogła zacząć rozglądać się za pracą. Jednak niedługo po tym, jak miała rozmowę kwalifikacyjną w fast foodzie Arby’s, okradziono ich – dwaj faceci wpadli do jej mieszkania, jeden przystawił pistolet do twarzy Joriego. Zajmujący się Arleen pracownik opieki społecznej powiedział jej, że to mieszkanie stało się zbyt niebezpieczne, więc znów nawiała do schroniska. Czynsze wciąż rosły. Za kolejne mieszkanie płaciła sześćset dolarów – z sześćset dwudziestu ośmiu, które otrzymywała co miesiąc. Kwestią czasu było, kiedy odetną jej prąd. Gdy wreszcie do tego doszło, Jori zamieszkał z Larrym, a służby opiekuńcze ulokowały Jafarisa u siostry Arleen.

Arleen zaczęła się rozsypywać. „No w duchu mam bajzel – powiedziała. – Czasami łapię się na tym, że cała drżę albo się trzęsę. Jestem zmęczona, a nie mogę zasnąć. Kroi mi się załamanie nerwowe. Ciało próbuje dać sobie spokój”.

A jednak się pozbierała. Zapożyczyła się u ciotki imieniem Merva, żeby znów podłączyli jej prąd, wrócili do niej synowie. Znalazła inne mieszkanie, przy Tamarack Street, niedaleko kościoła baptystów Tabernacle Community. Nie było tam kuchenki ani lodówki, ale gotowali sobie parówki w wolnowarze albo chodzili do garkuchni i wśród żuli jedli boeuf Stroganow.

Czasami Arleen wychodziła do banku żywości, a Jafaris zagadywał:

– Mama, przyniesiesz mi ciasteczka?

Uśmiechała się wtedy i odpowiadała:

– Wiesz, że się postaram, jeśli tylko jakieś będą.

Jori robił plany na przyszłość. Chciał zostać cieślą, żeby umieć zbudować dom dla mamy.

– Ludzie sobie myślą, że nie dam rady. Aha, tylko poczekajcie.

Arleen uśmiechała się do niego.

„Chciałabym, żeby w życiu inaczej mi się ułożyło – powiedziała. – Żeby było tak, że jak będę stara, będę mogła sobie siąść wygodnie i popatrzeć na swoje dzieci. Że już dorosłe, co nie. I że, rozumiesz, coś z nich wyrośnie. Coś więcej niż ze mnie. I będziemy wszyscy razem, i będziemy się śmiać. Będziemy wspominać takie chwile i śmiać się z tego wszystkiego”.

Epilog

Dom i nadzieja

Dom jest ośrodkiem życia. To wytchnienie od harówki w pracy, od ciśnienia w szkole, od zagrożeń ulicy. Mówimy, że w domu możemy „być sobą”. Wszędzie indziej jesteśmy kimś innym. W domu zdejmujemy maski.

Dom to źródło, z którego bije osobowość. Tam właśnie ukorzenia się i rozkwita nasza tożsamość, to tam jako dzieci marzymy, bawimy się, zadajemy pytania, a dojrzewając – kryjemy się i szarpiemy. Z wiekiem pojawia się w nas nadzieja, by osiąść w jakimś miejscu i założyć tam rodzinę czy znaleźć pracę. Kiedy próbujemy zrozumieć siebie samych, często zaczynamy od przemyśleń nad domem, w którym przyszło nam się wychowywać.

W językach całego świata słowo oznaczające „dom” obejmuje nie tylko dach nad głową, ale i ciepło, bezpieczeństwo, rodzinę – łono. Hieroglif używany przez starożytnych Egipcjan na oznaczenie domu wykorzystywany był też często w znaczeniu „matka”. Chińskie *ji* może oznaczać i dom, i rodzinę. Angielskie *shelter*, schronienie, bierze się z dwóch staroangielskich słów: *scield* (tarcza) i *truma* (oddział), które wespół tworzą obraz rodziny zbierającej się pod osłoną[1]. Dom pozostaje fundamentem życia. To tu spożywamy wspólnie posiłki, tworzymy ciche nawyki, zwierzamy się z marzeń, budujemy tradycje.

Także życie społeczne zaczyna się w domu, który pozwala nam zapuścić korzenie i zawładnąć wkładem w naszą społeczność, udzielać się w lokalnej działalności politycznej, do sąsiadów odnosić się w duchu solidarności i szczodrości. „Człowieka trudno jest zainteresować losem całego państwa, gdyż nie dostrzega on wpływu, jaki los państwa może wywrzeć na jego własne życie – zauważył niegdyś Alexis de Tocqueville. – Kiedy jednak

zechcemy przeprowadzić obok jego domu publiczną drogę, od razu dostrzeże związek istniejący między tą drobną sprawą publiczną a jego najżywotniejszymi sprawami prywatnymi i sam zrozumie ścisłą zależność interesu osobistego od interesu społecznego”[2]. Dopiero wtedy, gdy zaczniemy patrzeć na ulicę jako na naszą ulicę, w parku publicznym ujrzymy nasz park, w szkole zobaczymy naszą szkołę, możemy stać się obywatelami zaangażowanymi, poświęcić czas i zasoby w chwalebnych sprawach: poprzez wstąpienie do straży sąsiedzkiej, zgłoszenie się na ochotnika do prac przy upiększaniu placu zabaw, kandydowanie do rady rodziców w szkole.

Praca dla wspólnego dobra jest motorem demokracji, nie mogą się bez niej obejść nasze społeczności, miasta, stany – a koniec końców, i cały naród. To „upust idealizmu i moralizmu Amerykanów” – pisał Gunnar Myrdal[3]. Niektórzy nazywają ten impuls „umiłowaniem ojczyzny” czy „patriotyzmem” albo „amerykańskim duchem”. Jakkolwiek go zwać, jego fundamentem jest dom. Czymże jest naród, jeśli nie patchworkiem z miasteczek i miast; miasteczka i miasta – mozaiką sąsiedztw, a sąsiedztwa – układanką z domów?

Ameryka ma być tym miejscem, gdzie człowiek może podciągnąć siebie samego, swoją rodzinę, całą społeczność. Jest to jednak możliwe tylko wtedy, gdy ma się stabilne domostwo. Gdy Scottowi w prowadzonym przez Dom Gościnny programie stałego zamieszkania przydzielono mieszkanie z obniżonym czynszem, potrafił nie wracać do heroiny, znalazł pożyteczną pracę jako kierownik obsługi bezdomnych, zaczął walkę o odzyskanie niezależności. Nadal mieszka pod tym samym adresem i nie bierze. Albo tacy Hinkstonowie. Kiedy urodził się Malik junior, Patrice i Doreen faktycznie wyprowadziły się do Brownsville w Tennessee, miasteczka liczącego około dziesięciu tysięcy mieszkańców. Znalazły tam sobie miłe mieszkanie z trzema sypialniami. Patrice, wyrwawszy się z nory, zrobiła wieczorową maturę, wywierając na nauczycielu takie wrażenie, że zdobyła tytuł Dorosłej Uczennicy Roku. Następnie zapisała się na miejscowe studia licencjackie, uczestniczyła online w zajęciach z informatyki i prawa

karnego z nadzieją, że w przyszłości zostanie funkcjonariuszką nadzorującą więźniów na zwolnieniach warunkowych. Lubiła mówić półżartem: „Mam mnóstwo kumpli, którzy zostali przestępcami. Przyda im się moja pomoc!”.

Uporczywość i brutalność nędzy w Ameryce może zniechęcać, sprawiać, że będziemy cynicznie oceniać szanse rozwiązania tego problemu. Scott i Patrice powiedzieliby wam jednak, że dobry dom może posłużyć jako najsolidniejsza odskocznia. Gdy ludzie mają gdzie mieszkać, stają się lepszymi rodzicami, pracownikami, obywatelami.

Gdyby Arleen i Vanetta nie musiały wydawać na czynsz siedemdziesięciu czy osiemdziesięciu procent dochodów, mogłyby wykarmić swoje dzieci, ubrać je i zadbać, by nie ciągnęła ich ulica. Mogłyby osiąść w jednym sąsiedztwie, posyłać dzieci wciąż do tej samej szkoły, dając im szansę nawiązania długotrwałych związków z przyjaciółmi, nauczycielami, wzorcami do naśladowania. Mogłyby założyć konta oszczędnościowe lub kupować dzieciom zabawki i książki, może nawet komputer. Czas i energię emocjonalną, które zużywały na opłacanie czynszu, odwlekanie eksmisji czy szukanie nowego miejsca zamieszkania w okresach bezdomności, mogłyby poświęcać na to, co wzbogacałoby ich życie: zajęcia wieczorowe, ćwiczenia, poszukiwanie lepszej pracy, a może i dobrego partnera.

Jednak nasza obecna sytuacja sprawia, że „nieraz i nieźli ludzie muszą przez to iść z torbami”[4]. Przez niemal sto lat utrzymywał się w Stanach szeroki konsensus, stanowiący, że rodzina ma wydawać na mieszkanie nie więcej niż trzydzieści procent dochodów[5]. Jeszcze niedawno większość rodzin najemców mieściła się w tym przedziale. Sytuacja uległa jednak zmianie – i w Milwaukee, i w całych Stanach. Rok w rok eksmisje z mieszkań dotykają nie dziesiątek czy nawet setek tysięcy ludzi, lecz milionów[6].

Do niedawna nie mieliśmy po prostu świadomości, jak ogromny jest to problem ani jak poważne konsekwencje za sobą pociąga, chyba że przyszło nam samym tego doznać. Socjologowie, dziennikarze i politycy przez lata

niemalże ignorowali problem eksmisji, sprawiając, że stały się one jednym z najsłabiej badanych procesów dotykających życia ubogich rodzin. Nowe dane i metody pozwoliły nam jednak zmierzyć częstość eksmisji i udokumentować ich skutki. Dowiedzieliśmy się, że eksmisja jest zjawiskiem pospolitym, które pociąga ze sobą poważne konsekwencje dla rodzin, społeczności, dzieci.

Stabilność mieszkaniowa rodzi swego rodzaju stabilność psychologiczną, ta zaś pozwala ludziom zżyć się ze swoim domem i nawiązywać stosunki społeczne. Rodzi też stabilność szkolną, co zwiększa prawdopodobieństwo uzyskiwania przez dzieci dobrych wyników w nauce i ukończenia przynajmniej szkoły średniej. Rodzi również stabilność społeczności, skłaniając sąsiadów, by zadzierzgnęły się między nimi silne więzi i by dbali o to, co dzieje się wokół ich domostw[7]. Ubogie rodziny rzadko mogą się tym jednak cieszyć, ponieważ z wielką częstotliwością poddawane są eksmisjom. To, że rodziny o niskich dochodach często zmieniają miejsce zamieszkania, jest znanym faktem. Dlaczego tak się dzieje – oto pytanie, które przez długi czas stanowiło zagadkę dla badaczy i polityków, ponieważ ignorowali oni częstotliwość eksmisji w sąsiedztwach zwiększonego wykluczenia[8]. W latach 2009–2011 około ćwierci ogółu przeprowadzek wśród najuboższych najemców w Milwaukee miało charakter przymusowy. Kiedy odejmie się te wyprowadzki (eksmisje, zajęcia nieruchomości przez banki), okazuje się, że ubogie rodziny przeprowadzają się mniej więcej równie często jak wszystkie inne[9]. Jeśli zbadać dane o sądowych orzeczeniach eksmisji z innych miast, widzi się równie zaskakujące liczby. W hrabstwie Jackson w stanie Missouri, w którego granicach leży pół Kansas City, w latach 2009–2013 orzekano dziewiętnaście eksmisji dziennie. Sądy miasta Nowy Jork w roku 2012 orzekały dziennie niemal osiemdziesiąt eksmisji z tytułu niepłacenia czynszu. W tym samym roku rozprawy eksmisyjne dotyczyły co dziewiątego wynajętego mieszkania w Cleveland i co czternastego w Chicago[10]. Niestabilność nie jest immanentną częścią biedy. Rodziny ubogie przeprowadzają się tak często, gdyż są do tego zmuszane.

Prócz niestabilności eksmisje powodują też straty. Rodziny tracą nie tylko dom, szkołę, sąsiadów, lecz także dobytek: meble, odzież, książki. Założenie domu kosztuje niemało pieniędzy i czasu. Eksmisja potrafi to wyzerować. Arleen straciła wszystko. Podobnie Larraine i Scott. Eksmisja może sprawić, że pracownik utraci posadę. Prawdopodobieństwo zwolnienia z pracy wzrasta o mniej więcej piętnaście procent dla osób, które doświadczyły eksmisji. Jeśli brak stabilności mieszkaniowej wiedzie do niestabilności zatrudnienia, to dlatego, że stres i absorbująca natura przymusowego opuszczenia domu potwornie odbijają się na wynikach pracy osób, które tego doświadczają[11]. Eksmitowane rodziny często tracą też szansę na mieszkania komunalne, bo wydziały mieszkalnictwa przy rozpatrywaniu podań uznają eksmisje i niespłacone długi za okoliczności obciążające. Tak oto tym, którzy najbardziej potrzebują wsparcia mieszkaniowego – przytłoczonym czynszami, eksmitowanym – systemowo się go odmawia[12].

Wszystko to – utrata dobytku, pracy, domu, prawa do pomocy rządowej – pomaga wyjaśnić, dlaczego eksmisje tak silnie odbijają się na tym, co socjologowie nazywają „niedostatkiem materialnym”, wskaźniku określającym skalę braków. Niedostatek materialny określa na przykład, czy dana rodzina doświadcza głodu bądź chorób, ponieważ żywność czy opieka medyczna są poza jej zasięgiem finansowym, lub też czy musi się obywać bez ogrzewania, prądu, telefonu, bo jej na to nie stać. W ciągu roku po eksmisji poziom niedostatku materialnego jest o dwadzieścia procent wyższy niż u podobnych rodzin, które nie zostały eksmitowane. Tacy ludzie nie mają co jeść. Cierpią chłód i choroby. Rodziny eksmitowane doświadczają wyższych poziomów niedostatku materialnego przez co najmniej dwa lata od tego zdarzenia[13].

Często muszą się godzić na mieszkania niespełniające wymogów przepisów budowlanych. W Milwaukee najemcy, których poprzednia przeprowadzka była wymuszona, doświadczają długoterminowych problemów mieszkaniowych z prawdopodobieństwem o dwadzieścia pięć

procent wyższym od podobnych rodzin, których przeprowadzka nie zaszła w tak drastycznych okolicznościach[14].

Rodziny wyrzucane z domów są wypychane w niepożądane rejony miasta, przenosząc się z sąsiedztw ubogich do jeszcze uboższych, z okolic naznaczonych przestępczością w jeszcze groźniejsze. Ulubiony dom Arleen znajdował się w czarnym robociarskim sąsiedztwie. Kiedy został uznany przez miasto za niezdatny do zamieszkania i musiała się wyprowadzić, przeniosła się do mieszkania w rojącym się od dilerów bloku. Nawet jeśli wziąć poprawkę na szereg istotnych czynników, rodziny doświadczające przymusowej przeprowadzki osiedlają się w gorszych sąsiedztwach niż te, które mogły się przeprowadzić w mniej stresujących okolicznościach[15]. Kondensacja biedy i przemocy zadaje kolejne rany, bo sąsiedztwo, w którym mieszkasz, bardzo silnie determinuje różne aspekty twojego życia, od dostępnych ofert pracy po szkoły, do których mogą chodzić twoje dzieci[16].

Dodajmy do tego jeszcze psychiczne koszty eksmisji. Gwałtowność wysiedlenia może pchnąć ludzi w depresję, a w przypadkach skrajnych nawet do samobójstwa. Co druga wśród niedawno eksmitowanych matek deklaruje mnogie symptomy depresji klinicznej – dla podobnych matek, które nie musiały przymusowo opuszczać mieszkań, wskaźnik ten jest dwukrotnie niższy. Nawet po upływie lat eksmitowane matki są mniej szczęśliwe, energiczne i optymistyczne od innych[17]. Gdy kilku pacjentów popełniło samobójstwo w dniach poprzedzających ich eksmisje, grupa psychiatrów opublikowała list w periodyku „Psychiatric Services", wskazując w nim eksmisję jako „istotny prekursor samobójstwa". Podkreślali, że żaden z tych pacjentów nie był zagrożony bezdomnością, co prowadziło ich do uznania, że sama eksmisja była powodem popełnienia samobójstw. „Należy traktować eksmisję jako traumatyczne odrzucenie – pisali – odmowę zaspokojenia jednej z najbardziej podstawowych potrzeb ludzkich i doświadczenie nadzwyczaj hańbiące". Liczba samobójstw, za których powody uznano eksmisje i zajęcia nieruchomości, była w roku

2010 dwukrotnie wyższa niż w 2005 – roku, w którym zaczął się raptowny wzrost wysokości czynszów[18].

Eksmisja odbija się nawet na społecznościach opuszczanych przez wysiedlane rodziny. Dzięki sąsiadom, którzy współpracują ze sobą i sobie ufają, ulice mogą stawać się bezpieczniejsze i zamożniejsze. To jednak wymaga czasu. Wysiłki na rzecz stworzenia lokalnej zwartości i zaangażowania w społeczność gasną w sąsiedztwach, gdzie tempo rotacji mieszkańców jest wysokie. W ten sposób eksmisje mogą rozpruć tkaninę społeczności, przyczyniając się do stanu, w którym sąsiedzi się nie znają, a ich zbiorowy potencjał zwalczania przestępczości i wspierania zaangażowania w działalność obywatelską wciąż leży odłogiem[19]. Sąsiedztwa Milwaukee o wysokim wskaźniku eksmisji mają w kolejnym roku wyższe wskaźniki gwałtownej przestępczości, nawet przy uwzględnieniu wcześniejszych wskaźników przestępczości i innych czynników z tym związanych[20].

Utrata domu, dobytku, nierzadko także pracy, naznaczenie statusem eksmitowanego w rejestrach sądowych i odmowa rządowych dopłat mieszkaniowych, przeniesienie w uwłaczające warunki mieszkaniowe w nędznych i niebezpiecznych sąsiedztwach, wreszcie narażenie na zwiększony niedostatek materialny, bezdomność, depresję, choroby – to wszystko są toksyczne skutki eksmisji. Eksmisja to coś więcej niż tylko strącenie ubogiej rodziny w dolinę ciemności, trudne, lecz względnie krótkie zboczenie z kursu życia. Powoduje ona gruntowną zmianę trasy, spycha tych ludzi na inne, znacznie trudniejsze szlaki. Eksmisja jest przyczyną ubóstwa, a nie tylko jednym z jego aspektów.

Eksmisje dotykają starych i młodych, chorych i zdrowych. Jednak dla ubogich niebiałych kobiet i ich dzieci stały się też codziennością. Wejdźcie do wydziału sądowego zajmującego się eksmisjami w właściwie każdym amerykańskim mieście, a zobaczycie je, siedzące na twardych ławkach w oczekiwaniu na rozpatrzenie ich spraw. Wśród najemców z Milwaukee co piąta czarna kobieta zgłasza, że była eksmitowana po osiągnięciu

dorosłości – dla porównania wśród Latynosek co dwunasta, co piętnasta wśród białych kobiet[21].

Większość eksmitowanych rodzin w Milwaukee mieszkała z dziećmi, a w całym kraju wiele eksmitowanych dzieci kończy na ulicy. Nieodpowiednie warunki mieszkaniowe i niebezpieczne sąsiedztwa, do których nierzadko muszą przeprowadzać się eksmitowane rodziny, mogą osłabić zdrowie dziecka, jego zdolność uczenia się, obniżyć jego samoocenę[22]. A jeśli eksmisja trwale pogłębia depresję matek, odbiera im energię i radość, dzieci odczują chłód także z tej strony. Rodzice tacy jak Arleen czy Vanetta chcieli zapewnić dzieciom stabilność, ale eksmisja to unicestwiła, przerzucając dzieci z jednej szkoły do drugiej, miotając nimi od sąsiedztwa do sąsiedztwa. Kiedy te matki w końcu znalazły kolejne mieszkania, znów musiały oddawać właścicielom większość swoich dochodów, na dzieci zostawało im już niewiele. Im więcej rodziny wydają na mieszkania, tym mniej mogą wydać na dzieci[23]. Ubogie rodziny żyją ponad stan w mieszkaniach, na które ich nie stać. Problem w tym, że to i tak najtańsze lokale na rynku[24]. Nasze miasta stały się zbyt drogie dla naszych najuboższych rodzin, a problem ten zostawia głębokie, poszarpane blizny na kolejnym pokoleniu.

Wszystkie te cierpienia to hańba, i to zupełnie zbędna. A ponieważ jest zbędna, można żywić nadzieję. To nie są problemy nieprzezwyciężalne ani wiekuiste. Możliwy jest inny kształt społeczeństwa, a w naszym zbiorowym zasięgu leżą potężne rozwiązania.

Rozwiązania te są jednak zależne od tego, jak odpowiemy na jedno pytanie: czy uważamy, że prawo do godziwego domu jest częścią tego, co rozumiemy jako bycie Amerykaninem?

Stany Zjednoczone powstały na fundamencie szlachetnej idei, że ludziom nadane są „pewne niezbywalne prawa; że należą do nich prawo do życia, wolności i dążenia do szczęścia”[25]. Każde z tych trzech nienaruszalnych praw – tak podstawowych dla charakteru Amerykanów, że założyciele państwa mieli je za dane od Boga – wymaga stabilnego domostwa.

Życie i dom są tak silnie splecione, że niemal nie da się myśleć o jednym bez drugiego. Dom daje prywatność i osobiste bezpieczeństwo. Dom żywi i broni. Ideał wolności zawsze obejmował nie tylko swobody wyznaniowe i obywatelskie, lecz również prawo do awansu: do zarabiania na życie w dowolny wybrany przez siebie sposób, do nauki i nabywania nowych umiejętności. Stabilne domostwo pozwala nam dążyć do samodzielności i uzewnętrzniania się, do szukania dobrze płatnej pracy i cieszenia się osobistymi swobodami.

A szczęście? Było w tym uśmiechu, który błyskał szeroko na twarzy Joriego, gdy Arleen mogła mu kupić nowe adidasy, w pieśni kościelnej, którą nuciła Larraine, gdy mogła ugotować suty posiłek, w śmiechu, od którego trzęsły się ściany u Hinkstonów, kiedy udała się fajna psota. Dążenie do szczęścia bezsprzecznie obejmuje również dążenie do materialnego dobrobytu: co najmniej zdolność do zaspokojenia podstawowych potrzeb. Serce pęka na myśl o tym, jak wiele szczęścia straciliśmy, ile talentów przepadło wskutek wzbierającej w naszym kraju nędzy i naszej zbiorowej decyzji, by nie wszystkim obywatelom zapewnić stabilne i godne miejsce do życia.

Uznaliśmy, że każdemu obywatelowi należy się zaopatrzenie na starość, dwanaście lat nauki oraz podstawowe wyżywienie, ponieważ przyznaliśmy, że godność człowieka zależy od spełnienia tych fundamentalnych ludzkich potrzeb. Trudno zaprzeczyć, że dach nad głową jest fundamentalną ludzką potrzebą. Przyzwoite a niedrogie mieszkanie powinno należeć do podstawowych praw każdego obywatela tego kraju. Z prostej przyczyny: bez stabilnego schronienia wszystko inne wali się w gruzy.

Jak moglibyśmy zrealizować takie zobowiązanie? Jest jedna dobra wiadomość – wiele już w tym kierunku zrobiono. W kwestiach mieszkaniowych Stany Zjednoczone poczyniły szereg wspaniałych kroków. W minionych pokoleniach ubodzy tłoczyli się w nędznych slumsach, gdzie w mieszkaniach nierzadko brakowało toalet, ciepłej wody, ogrzewania czy okien[26]. Choroby i śmierć były tam częstym gościem. Z pokolenia na

pokolenie jakość substancji mieszkaniowej ulegała zasadniczej poprawie, a w celu rozwiązania problemu cenowego wprowadzano śmiałe i skuteczne programy. W połowie XX wieku kwestia mieszkaniowa była jednym z czołowych punktów programu zwolenników postępu. W miejsce slumsów budowano komunalne wysokościowce, tak zwane *projects*, często w jednym, szeroko zakrojonym posunięciu. „Przecięcie wstęgi przy nowym komunalnym osiedlu mieszkaniowym było okazją do świętowania – wspominał nieżyjący już ekonomista mieszkaniowy Louis Winnick. – Burmistrzowie i radni wielkich miast żebrali o głosy, obiecując zbudowanie w dzielnicy komunalnych drapaczy chmur”. Gdy mieszkańcy tych wieżowców widzieli swoje mieszkania – przestronne i nowe, w kompleksach otoczonych rozległymi terenami zielonymi i placami zabaw – byli zachwyceni. Jak powiedział jeden z nich: „To przepiękne miejsce, jak wielki ośrodek wczasowy”[27].

Wkrótce jednak te potężne wieżowce wzniesione, by zastąpić slumsy, same się w nie przeobraziły. Gdy politycy zakręcili kurek z funduszami, mieszkania komunalne zaczęły popadać w żałosną ruinę. Wybite okna, popsuta kanalizacja i windy nie były naprawiane, na zewnątrz piętrzyły się hałdy śmieci, a ze studzienek kanalizacyjnych znikały pokrywy. Kto tylko mógł, wyprowadzał się, pozostawali tylko najubożsi obywatele miast. Wkrótce komunalne osiedla mieszkaniowe opanował chaos i przemoc. Doszło do tego, że policja odmawiała wizyt w kompleksie Pruitt-Igoe Towers w St. Louis, który ostatecznie wyburzono (wydarzenie to transmitowała telewizja) zaledwie osiemnaście lat po tym, jak wprowadzili się tam pierwsi mieszkańcy. W całych Stanach wyburzanie betonowymi kulami i dynamitem stało się losem innych niesławnych kompleksów komunalnych, jak Robert Taylor Homes w Chicago czy McDaniel-Glenn Homes w Atlancie – posępne wieże rzucające cień na podzielone rasowo, zapuszczone okolice miast. Biorąc pod uwagę, w co wyrodziły się te osiedla, zrównanie ich z ziemią było opcją nie tylko najtańszą, ale i najbardziej humanitarną, niczym rozjechanie buldożerem domu, w którym niegdyś wydarzyło się coś nieopisanie potwornego[28].

Z tych gruzów wyrósł program talonów mieszkaniowych. Można o nich mówić różne rzeczy, ale przynajmniej nie były to blokowiska Pruitt-Igoe, Robert Taylor Houses czy te wszystkie inne osiedla komunalne, które stały się synonimem miejskiej przemocy, rozpaczliwej nędzy i politycznej porażki. Dziś sponsorowany przez rząd federalny Program Talonowy Wyboru Domu (Housing Choice Voucher Program) pomaga rodzinom znaleźć sobie przyzwoite mieszkania na prywatnym rynku najmu. Stał się on największym programem dopłat mieszkaniowych dla rodzin o niskich dochodach w Stanach Zjednoczonych, obejmując obecnie ponad 2,1 miliona gospodarstw domowych. Kolejne 1,2 miliona rodzin korzysta z mieszkań komunalnych[29]. Miasta takie jak Filadelfia, Seattle czy Oakland zmieniły obraz tych lokali, często stawiając niewysokie, atrakcyjne budynki, rozsiane po różnych dzielnicach. Najczęściej i lokatorzy mieszkań komunalnych, i beneficjenci programu talonowego płacą czynsz do wysokości tylko trzydziestu procent dochodów, a resztę kosztów pokrywają fundusze rządowe[30].

Inicjatywy publiczne, zapewniające rodzinom o niskich dochodach godziwe, a dostępne cenowo warunki zamieszkania, należą do najbardziej sensownych i skutecznych programów walki z ubóstwem w Stanach Zjednoczonych. Nie każdy lokator mieszkania komunalnego jest ubogi – wielu to osoby starsze czy niepełnosprawne, inni mają skromne dochody – co roku jednak programy dopłat czynszowych wyciągają z biedy około 2,8 miliona ludzi. Programy te zmniejszają liczbę bezdomnych, pozwalają też rodzinom przeznaczać większe środki na opiekę zdrowotną, transport... oraz żywność[31]. Rodziny, które po latach od zapisania się na listę oczekujących otrzymują w końcu talony mieszkaniowe, często z uwolnioną od opłat czynszowych częścią dochodów w pierwszej kolejności kierują się do sklepów spożywczych. Uzupełniają zawartość lodówki i spiżarni. Ich dzieci stają się silniejsze, mniej anemiczne, lepiej odżywione[32].

Większość biednych rodzin nie ma jednak tyle szczęścia, a ich dzieci – dzieci takie jak Jori, Kendal czy Ruby – nie jedzą tyle, ile powinny, bo pierwsze żre mieszkanie. W roku 2013 w mieszkaniach o prawnie

ograniczonej wysokości czynszu mieszkał jeden procent ubogich lokatorów; piętnaście procent – w mieszkaniach komunalnych, a siedemnaście procent otrzymywało dofinansowanie rządowe, najczęściej w postaci talonu redukującego wysokość czynszu. Pozostałe sześćdziesiąt siedem procent – dwie trzecie ubogich rodzin – nie otrzymywało żadnych dopłat od rządu federalnego[33]. Ten drastyczny niedobór rządowego wsparcia, w połączeniu ze wzrostem stawek czynszów i kosztów opłat, przy jednoczesnej stagnacji dochodów, to powód, dla którego obecnie większość ubogich rodzin najmujących gros dochodów wydaje na czynsz[34].

Wyobraźmy sobie sytuację, w której odmawiamy zasiłku dla bezrobotnych czy innych ubezpieczeń społecznych większości rodzin, którym potrzebne byłoby takie wsparcie. Wyobraźmy sobie, co by było, gdyby ogromna większość rodzin wnioskujących o talony żywnościowe nie otrzymywała ich i stawała w obliczu głodu. A tymczasem tak właśnie traktujemy większość ubogich rodzin szukających dachu nad głową.

Problem tak wielki jak kryzys dostępu do mieszkań w przystępnej cenie domaga się rozwiązania na wielką skalę. Powinien znaleźć się na czele listy zadań polityki krajowej Stanów Zjednoczonych – bo wpędza ubogie rodziny w finansową katastrofę, zaczyna już też podgryzać korzenie rodzin o przeciętnych dochodach. Obecnie co piąta z wszystkich najmujących rodzin w kraju wydaje na mieszkanie połowę dochodów[35]. Stany Zjednoczone mogą i powinny pracować nad tym, by w ich miastach znów dało się mieszkać.

Sensowne zmiany mają różną postać, różne skale. Niektóre rozwiązania wprowadzane są powoli i wymagają dużych nakładów, szczególnie te wyrastające z fundamentalnych reform. Inne, mniejsze, są dostępne w znacznie krótszej perspektywie czasowej. Spójrzmy na sądy.

Pomoc prawna dla ubogich ulega stałym redukcjom od czasów prezydentury Reagana, a podczas wielkiej recesji została wprost zdziesiątkowana. Skutki są takie, że w licznych wydziałach rozpatrujących sprawy eksmisyjne w całym kraju dziewięćdziesiąt procent właścicieli jest

reprezentowanych przez prawników, a dziewięćdziesiąt procent lokatorów – nie[36]. Zagrożone eksmisją rodziny o niskich dochodach nie mają prawa do adwokata z urzędu. Kiedy jednak lokatorzy mają obrońcę, ich szanse na zachowanie dachu nad głową zdecydowanie rosną[37]. Ustanowienie opłacanych przez państwo usług prawnych dla rodzin o niskich dochodach w rozprawach eksmisyjnych byłoby wydajnym finansowo posunięciem zapobiegającym bezdomności, redukującym liczbę eksmisji i zapewniającym ubogim rodzinom uczciwe traktowanie.

W przełomowej sprawie Gideon kontra Wainwright w roku 1963 Sąd Najwyższy jednogłośnie ustanowił prawo do adwokata z urzędu dla ubogich oskarżonych o przestępstwa kryminalne, wychodząc z założenia, że niemożliwy jest uczciwy proces bez obrońcy. Osiemnaście lat później pod obrady trafiła sprawa Abby Gail Lassiter, ubogiej czarnej mieszkanki Karoliny Północnej występującej bez prawnika na rozprawie cywilnej, wskutek której odebrano jej prawo do opieki nad dziećmi. W tym przypadku sędziowie niejednogłośnie orzekli, że oskarżonym przysługuje prawo do adwokata wyłącznie wtedy, gdy zagraża im utrata wolności. Więzienie to udręka, ale wyroki w sprawach cywilnych również potrafią człowieka zmiażdżyć. Spytajcie choćby panią Lassiter.

Dobry prawnik podniósłby w obronie argumenty, których lokatorzy często nie używają, bo albo są ich nieświadomi, albo, jak Arleen, są zanadto zdenerwowani i zastraszeni, by bronić się z całych sił. Adwokaci pohamowaliby bezzasadne eksmisje i rozpasane nadużycia, pomogliby lokatorom uchronić się przed podpisywaniem niekorzystnych ugód. Gdyby eksmisje nie były tak łatwe, lokatorki takie jak Doreen czy Patrice mogłyby zgłaszać władzom kwestie fatalnych warunków mieszkaniowych czy nielegalnego traktowania bez lęku przed odwetem. Gdyby lokatorzy mieli adwokatów, nie musieliby stawiać się w sądzie. Mogliby pójść do pracy czy zostać w domu, z dziećmi, a w ich imieniu występowałby prawnik. I rzeczywiście byliby reprezentowani.

Sądy nie wykazują większego zainteresowania przyczynami, dla których większość lokatorów zagrożonych eksmisją nie zjawia się na rozprawach.

A wręcz zaczęły nawet liczyć na taki obrót sprawy, ponieważ każdy dzień przynosi stos pozwów eksmisyjnych, a celem każdej osoby pracującej w wydziale obsługującym eksmisje, niezależnie od tego, po czyjej stronie opowiada się sercem, jest po prostu przerobienie tego stosu, bo następnego dnia zwali się kolejny. Zasada sprawiedliwego procesu została zredukowana do procesu maszynowego: przepychania kolejnych spraw. Adwokaci z urzędu zmieniliby ten stan rzeczy. Wymagałoby to nakładów finansowych, i to nie tylko na pensje adwokackie, ale też na zatrudnienie kolejnych asesorów, sędziów i personelu urzędniczego, by obsługiwali procedury wymiaru sprawiedliwości. Każdy wydział zajmujący się sprawami mieszkaniowymi musiałby mieć odpowiednie fundusze, by mógł funkcjonować jak sąd, a nie taśma produkcyjna eksmisji: bam, bam, bam pieczęcią.

Byłaby to cenna inwestycja w nasze miasta i nasze dzieci. Prewencyjne wsparcie w postaci kilku godzin usług prawniczych mogłoby obniżyć koszty na dłuższą metę. Na przykład program wdrożony w latach 2005–2008 w południowym Bronksie objął pomocą prawną z górą tysiąc trzysta rodzin i w osiemdziesięciu sześciu procentach spraw zapobiegł orzeczeniu o eksmisji. Jego koszty wyniosły około czterystu pięćdziesięciu tysięcy dolarów, ale miasto Nowy Jork zaoszczędziło ponad siedemset tysięcy na samych szacowanych kosztach miejsc w schroniskach dla bezdomnych[38]. Eksmisja pociąga za sobą rozliczne konsekwencje – i równie rozmaite obciążenia dla finansów publicznych[39].

Prawo do adwokata z urzędu w sprawach cywilnych to standard przyjęty w wielu krajach świata: nie tylko we Francji czy w Szwecji, lecz również w Azerbejdżanie, Indiach, Zambii i wielu innych państwach, które chętnie uważalibyśmy za mniej postępowe niż Stany Zjednoczone[40]. Gdybyśmy rozciągnęli prawo do adwokata z urzędu na sprawy eksmisyjne, byłby to znaczący krok na drodze ku społeczeństwu uczciwszemu i mniej rozwarstwionemu. Nie dotknęlibyśmy jednak głębszego korzenia epidemii eksmisji toczącej Amerykę: gwałtownie kurczącej się puli mieszkań za niewygórowaną cenę.

Jeśli uznamy, że mieszkanie należy do podstawowych praw wszystkich Amerykanów, musimy zmienić myślenie o innym prawie – prawie do zarabiania, ile się da, na zapewnianiu rodzinom mieszkań, a już szczególnie o wyciskaniu nadmiernych zysków kosztem tych, którym w życiu się nie powiodło. Od zarania tego kraju długi szereg amerykańskich wizjonerów wzywał do zaprowadzenia w tych relacjach większej równowagi, takiej, która chroniłaby ludzi przed motywacją zorientowaną na zysk, „nie po to, by unicestwić indywidualizm – jak to ujął Franklin D. Roosevelt – lecz by go strzec”[41]. Prawne uregulowanie pracy dzieci, pensja minimalna, przepisy bezpieczeństwa i higieny pracy oraz inne zapisy ochronne, które teraz traktujemy jako elementarne, były wprowadzane, kiedy postanawialiśmy przedłożyć dobro ludzi ponad mamonę.

Jedni przegrywają, inni wygrywają. Żeby ktoś mógł wygrać, ktoś musi przegrać. „Każdy stan rzeczy istnieje po prostu dlatego, że ktoś czerpie z niego profity – napisał kiedyś Martin Luther King junior. – Ów wyzysk gospodarczy w postaci skrystalizowanej przejawia się w slumsach”[42].

Wyzysk. To dopiero słowo, które wygumkowano z dyskusji o ubóstwie[43]. Słowo to wskazuje, że bieda nie rodzi się wyłącznie z niskich dochodów. To także wytwór drenujących rynków. Zwiększenie dochodów ludzi ubogich, na przykład poprzez podniesienie płacy minimalnej czy zasiłków socjalnych, jest bezwzględnie konieczne. Jednak nie wszystkie te dodatkowe pieniądze zostaną w kieszeniach ubogich. Podwyżki płac kurczą się, jeśli równocześnie rosną czynsze, podobnie talony żywnościowe są warte mniej, jeśli zakupy w getcie kosztują więcej – a kosztują, nawet o czterdzieści procent, jak wynikałoby z jednego porównania[44]. Bieda ma dwa oblicza – jest kwestią i dochodów, i wydatków, wpływów i tego, co wypływa – i w świecie opartym na wyzysku nie da się jej skutecznie zaradzić, jeśli będziemy to ignorować.

Dowodzi tego historia. Gdy amerykański ruch robotniczy w latach trzydziestych XIX wieku wysunął żądanie podwyżek płac, kapitał ziemski nie sprzymierzył się z kapitałem przemysłowym. Wręcz przeciwnie,

właściciele gruntów trzymali z robotnikami, bo podwyżki płac pozwoliłyby inkasować więcej w czynszach. Historia powtórzyła się sto lat później, kiedy podwyżki wywalczone przez robotników dzięki strajkom zostały wkrótce skonsumowane przez wzrost czynszów. W okresie międzywojennym rósł rynek pracy w przemyśle, ale nie rynek mieszkaniowy, szczególnie dla czarnych, dzięki czemu właściciele domów przejęli wzrost dochodów robotników. Dziś, jeśli liczba eksmisji jest najniższa w lutym, to dlatego, że wielu wśród pracującej biedoty w miastach poświęca część albo i całość zwrotu podatku, by pokryć zaległości czynszowe. Nierzadko ów coroczny przychód służy zarówno właścicielom domów, jak i rodzinom robotniczym o niskich dochodach[45]. Skupiając się niemal wyłącznie na tym, czego ubogim ludziom i ich społecznościom brakuje – dobrych posadach, silnej sieci zabezpieczeń, wzorach do naśladowania – przeoczyliśmy krytycznie istotne sposoby, dzięki którym wyzysk przyczynia się do uporczywości biedy. Umknęło nam to, o czym zawsze pamiętali właściciele domów: że na biednych da się świetnie zarobić[46]. Getto, w rzeczy samej, jest git.

Wyzysk przynosi największe zyski, gdy dotyczy spraw podstawowych, jak mieszkania czy żywność. Większość spośród dwunastu milionów Amerykanów zaciągających wysoko oprocentowane pożyczki chwilowe nie robi tego, by kupować towary luksusowe czy pokryć niespodziewane wydatki, lecz by opłacić czynsz czy rachunek za gaz, kupić żywność czy mieć środki na inne regularne koszty. Chwilówki to tylko jedna z wielu technik finansowych – od opłat za przekroczenie limitu na karcie kredytowej po pożyczki na studia na uczelniach działających dla zysku – zaprojektowanych właśnie po to, by wyciągać pieniądze z kieszeni ludzi biednych[47]. Jeśli biedni płacą więcej za dach nad głową, żywność, dobra trwałe i kredyty, a inwestycje w wykształcenie i kredyty hipoteczne przynoszą im mniejsze (o ile w ogóle jakiekolwiek) korzyści, ich dochody stają się nawet niższe, niżby się nam wydawało. A to jest z gruntu nieuczciwe.

Ci, którym obecny stan rzeczy przynosi korzyść – i ci wobec niego obojętni – powiedzą, że rynek mieszkaniowy powinno się zostawić samemu sobie, niech się sam reguluje. W rzeczywistości chodzi im o coś zupełnie innego. Wyzysk na rynku mieszkaniowym zależy od wsparcia rządowego. To rząd legitymizuje i broni prawa właścicieli do żądania w czynszu, ile tylko zechcą; to on subsydiuje budowę drogich apartamentów, windując czynsze i pozostawiając ubogim coraz mniej opcji; to on płaci właścicielom, kiedy rodzina nie jest do tego zdolna, poprzez jednorazowe czy stałe dopłaty mieszkaniowe; to on na żądanie właściciela usuwa rodziny, wysyłając uzbrojonych funkcjonariuszy organów ścigania; to on rejestruje i upublicznia dane o eksmisjach w ramach usługi dla właścicieli mieszkań i firm windykacyjnych. Tak jak policja i więziennictwo przyczyniły się do rozsortowania negatywnych konsekwencji rosnącego bezrobocia w gettach (jak niepokoje społeczne czy rozkwit czarnej strefy gospodarczej), tak też sądy cywilne, zastępcy szeryfów i schroniska dla bezdomnych biorą na siebie toksyczne konsekwencje rosnących kosztów zamieszkania dla miejskiej biedoty i prywatyzacji rynku mieszkań dla osób o niskich dochodach[48].

Właściciele domów lubią przedstawiać się jako szczególny rodzaj ludzi. Jednak nie oni jedni zarabiają na ubogich ani też specjalnie się od nas nie różnią. Przemiany historyczne i strukturalne na wielką skalę dały miejskim właścicielom domów okazję do dorobienia się niezłych, czasem wręcz spektakularnych zysków przez dzierżawienie mieszkań rodzinom z kłopotami finansowymi po stawkach uznanych przez prawo za godne i sprawiedliwe. Czy ktokolwiek z nas, stojąc w obliczu podobnej szansy, ustawiłby stawkę wynajmu własnego mieszkania o połowę niżej, niż to możliwe, albo po prostu odpuścił i przebaczył zaległe tysiące dolarów, gdyby opłaty za czynsz nie wpływały? Podkreślanie wagi wyzysku nie oznacza ciskania gromów na właścicieli nieruchomości jako ludzi chciwych czy bezdusznych. Oznacza odsłanianie ironicznych czy nieefektywnych skutków prób politycznych działań na rzecz pomocy ubogim rodzinom, pomyślanych bez zajęcia się źródłami ich ubóstwa. Oznacza próbę

zrozumienia tego, czemu i właściciele, i lokatorzy godzą się na skrajne nierówności – i czemu godzimy się na nie my sami.

Nieważne, jak właściciele weszli w posiadanie swoich nieruchomości – ciężką pracą, inteligencją czy pomysłowością w części przypadków, w innych, bywa, poprzez spadek, farta czy zwykłe oszustwo – wzrost czynszów oznacza więcej pieniędzy dla właściciela, a mniej dla lokatora. Ich losy są połączone, ale interesy sprzeczne. Co innego, gdyby posiadanie nieruchomości w mieście niosło za sobą umiarkowane profity. Często jest jednak inaczej. Roczny dochód właściciela najgorszego chyba placu przyczep w czwartym na liście najuboższych miast Stanów Zjednoczonych jest trzydziestokrotnie wyższy od dochodów jego lokatorów pracujących na pełnym etacie za pensję minimalną, pięćdziesięciopięciokrotnie wyższy od tych, którzy żyją z tych czy innych zasiłków. Walczą tu ze sobą dwie swobody: swoboda czerpania zysków czynszowych i swoboda mieszkania w bezpiecznym i przystępnie wycenionym domu[49].

Istnieje sposób, by zmienić równowagę między tymi swobodami: poprzez gruntowne rozszerzenie zakresu programu talonów mieszkaniowych, tak by mogły z niego korzystać wszystkie rodziny o niskich dochodach. Najpotrzebniejszy jest nam program mieszkaniowy dla nieszczęsnej większości – milionów biednych rodzin, bez wsparcia usiłujących przetrwać na prywatnym rynku najmu – który działałby na rzecz wartości wspieranych przez większość z nas: bezpieczeństwa, uczciwości, równości szans. Powszechny program talonów żywnościowych wytyczyłby pośredni szlak pomiędzy pragnieniem właściciela nieruchomości, by zarobić na życie, a pragnieniem lokatora, by po prostu przeżyć.

To zasadniczo prosty pomysł. Każdej rodzinie poniżej określonego poziomu dochodów należałby się talon mieszkaniowy. Mogłaby wykorzystać go, by zamieszkać, gdzie zechce (tak jak gospodarstwa domowe mogą wykorzystywać talony żywnościowe, by dokonywać zakupów właściwie wszędzie), pod warunkiem że wybrane mieszkanie nie byłoby zbyt kosztowne, duże, luksusowe ani zbyt zapuszczone

i zaniedbane. Musiałoby to być lokum przyzwoite, ale skromne, uczciwie wycenione. Zarządzający programem mogliby wypracować precyzyjne analizy, korzystając z algorytmów i innych narzędzi używanych powszechnie na rynku prywatnym, by przeciwdziałać narzucaniu przez właścicieli zbyt wysokich cen oraz wybieraniu przez rodziny mieszkań większych, niż rzeczywiście są im potrzebne. Rodzina opłacałaby koszty mieszkania do poziomu trzydziestu procent dochodów, a talon pokrywałby resztę.

Powszechny program talonowy odmieniłby oblicze ubóstwa w naszym kraju. Radykalnie spadłaby liczba eksmisji, które stałyby się rzadkim zjawiskiem. W zasadzie niemal zanikłaby bezdomność. Rodziny natychmiast odczułyby wzrost dochodów, mogłyby kupować tyle jedzenia, ile potrzebują, inwestować w siebie i swoje dzieci poprzez edukację czy szkolenia zawodowe, zacząć nawet odkładać drobne kwoty. Odnalazłyby stabilność, miałyby poczucie życia we własnym domu, we własnej społeczności.

Powszechne programy mieszkaniowe wdrożono już z powodzeniem w wielu krajach rozwiniętych. W państwach, które posiadają takie programy, każda rodzina o dochodach poniżej określonego poziomu, a spełniająca podstawowe wymogi programu, ma prawo do zapomogi mieszkaniowej. Zasiłek mieszkaniowy w Wielkiej Brytanii przysługuje tak wielu gospodarstwom domowym, że dziennikarz prowadzący niedawno program na temat tej inicjatywy zapytał: „Może łatwiej byłoby powiedzieć, kto go nie otrzymuje?”. „W rzeczy samej” – usłyszał w odpowiedzi. Zasiłek ten, najczęściej przelewany bezpośrednio na konta właścicieli mieszkań, gwarantuje, że opłacanie czynszu nie strąci rodziny w ubóstwo. Podobnie działa holenderska zapomoga mieszkaniowa przyczyniająca się do poprawy warunków mieszkaniowych niemal jednej trzeciej tamtejszych lokatorów. Program ten z dużym powodzeniem zapewnia mieszkania najuboższym obywatelom kraju[50].

Państwa te nie bez powodu wybrały programy talonowe. Choć nie wszędzie stanowią one najbardziej efektywny wariant – szczególnie

w miastach, gdzie ceny są wysokie – nie ma lepszej metody wdrożenia takiego programu na skalę ogólnokrajową. W teorii problem dałoby się rozwiązać przez rozbudowę mieszkalnictwa komunalnego, ulgi podatkowe, inicjatywy wspierające zakup mieszkań własnościowych czy subsydia dla deweloperów. Każda z tych opcji szybko zderza się jednak z kwestią skali. Talony są zdecydowanie bardziej efektywne finansowo niż nowe budownictwo, czy to komunalne, czy dotowane prywatne przedsięwzięcia deweloperów. Nie wymurujemy sobie wyjścia z tej sytuacji. Zważywszy na rosnące koszty administracji i budowy, proponowanie każdej rodzinie o niskich dochodach szansy zamieszkania w lokalu komunalnym generowałoby zaporowe koszty. A nawet gdyby tak nie było, szeroko zakrojony program budownictwa komunalnego wiązałby się z ryzykiem powtórki z błędów przeszłości, gdyż ściąganie pod jeden dach najuboższych obywateli przyczyniałoby się do segregacji rasowej i kumulacji ubóstwa[51].

Czy powszechny program mieszkaniowy zniechęcałby beneficjentów do szukania pracy? To uczciwe i istotne pytanie. W jednym badaniu stwierdzono, że wsparcie mieszkaniowe prowadzi do nieznacznego zmniejszenia liczby przepracowywanych godzin i zarobków, w innych nie stwierdzono jednak takiej zależności[52]. Prawdę mówiąc, status quo stanowi znacznie większe zagrożenie dla samowystarczalności, niż mógłby nim być jakikolwiek program mieszkaniowy. Rodzin przygniecionych wysokimi kosztami zamieszkania nie stać na szkolenia zawodowe czy dodatkowe zajęcia, które mogłyby pozwolić im na zdobycie nowych umiejętności, często też nie mogą one utrzymać się w jednym mieszkaniu na tyle długo, by nie stracić posiadanej pracy. Mieszkanie w przyzwoitej cenie to inwestycja w kapitał ludzki, tak samo jak programy stażowe czy edukacja, inwestycja, która wzmocniłaby i ustabilizowała zasoby siły roboczej Stanów Zjednoczonych. W znacznej większości ubogim ludziom nie marzy się życie pomalutku. Nie chcą ogrywać systemu ani liczyć każdego grosika, by wiązać koniec z końcem, pragną rozwijać się i wnosić coś w życie: pracować w pielęgniarstwie (jak marzyła Vanetta) czy

prowadzić własną działalność dobroczynną (tego chciała Arleen). Stabilizacja mieszkaniowa dałaby im szansę na spełnienie tych marzeń.

W większości stanów właściciele domów nie są zobligowani do przyjmowania rodzin dysponujących talonami mieszkaniowymi, wielu więc tego nie czyni, bo nie uśmiechają im się kary za naruszenia przepisów budowlanych czy przepychanki z administracją programu. Powszechny program talonowy zająłby się tymi ich problemami na poważnie. Niektóre przepisy budowlane mają fundamentalne znaczenie dla zapewnienia bezpieczeństwa i odpowiedniej jakości mieszkań, inne jednak już zdecydowanie mniejsze. Ścisłe egzekwowanie przepisów budowlanych w mieszkaniach zajętych przez dysponentów talonów może być niepotrzebnym brzemieniem dla właścicieli tych lokali i generować koszty[53]. Jednak nawet gdyby uczynić egzekwowanie przepisów i zarządzanie programem znacznie bardziej zdroworozsądkowymi i przyjaznymi właścicielom domów, niektórzy – szczególnie ci działający w zamożniejszych okolicach – i tak odmawialiby najmu dysponentom talonów. Po prostu nie chcą dawać mieszkań „tym ludziom”. Przyzwalając na tego typu dyskryminację, dysponentów talonów przywiązujemy do określonych właścicieli, posiadaczy nieruchomości w określonych sąsiedztwach. To zaś pozbawia rodziny o niskich dochodach możliwości przeniesienia się w gospodarczo zdrowe, bezpieczne okolice, paraliżuje naszą zdolność do poszerzania integracji poprzez politykę społeczną. Powszechny program talonowy nie tylko dążyłby zatem do sprawienia, by uczestnictwo w nim było dla właścicieli atrakcyjne, ale też obligowałby do takiego uczestnictwa. Tak jak zakazaliśmy dyskryminacji z tytułu przynależności rasowej czy wyznania, w powszechnym programie talonowym nielegalna stałaby się też dyskryminacja zwrócona przeciwko dysponentom talonów.

Dobrze zaprojektowany program zapewniłby rozsądne czynsze, rosnące wraz ze wskaźnikiem inflacji, zawierając również elastyczne zapisy gwarantujące właścicielom niewygórowaną stopę zwrotu. Zapewniłby im również bardziej stabilne dochody z czynszu, mniejszą rotację lokatorów

i liczbę eksmisji. Jeśli większość mieszkań dla rodzin o niskich dochodach mamy znajdować na rynku prywatnym, rynek ten musi wciąż być zyskowny. „Interes wynajmu mieszkań dla ubogich, jeśli cokolwiek ma z niego być, musi być interesem, tak jak był interesem dla naszych ojców, dzięki czemu doszli do tego, co osiągnęli – pisał sto dwadzieścia pięć lat temu Jacob Riis. – Jako instytucja dobroczynna, hobby czy moda poniesie żałosną klęskę, zawsze i wszędzie”[54]. Z tym że dach nad głową to dla ludzi potrzeba zbyt fundamentalna, zbyt kluczowa dla zdrowia i rozwoju dzieci, zbyt istotna dla rozwoju możliwości gospodarczych i stabilizowania całych społeczności, by można tę branżę traktować po prostu jako działalność gospodarczą, banalny instrument inwestycyjny, coś, z czego po prostu „ciągnie się kasę”.

Sprawienie, by powszechny program mieszkaniowy był tak wydajny finansowo, jak to tylko możliwe, wymagałoby uregulowania kosztów. Rozszerzenie programu talonów mieszkaniowych bez ustabilizowania czynszów równałoby się zażądaniu od podatników, by dotowali zyski właścicieli mieszkań[55]. Obecnie właściciele mieszkań żądają od dysponentów talonów wyższych stawek po prostu dlatego, że mają taką możliwość. W dotkniętych biedą sąsiedztwach, gdzie najczęściej mieszkają dysponenci talonów, rynkowe stawki czynszów są niższe od tych, które właściciele mieszkań mogą dyktować dysponentom talonów, zgodnie z górnymi limitami ustalanymi przez administratorów programu dla całych metropolii. Wobec tego Program Talonowy Wyboru Domu najprawdopodobniej kosztuje nawet nie o miliony, lecz o miliardy dolarów więcej, niż powinien, co owocuje niepotrzebnymi odmowami pomocy dla setek tysięcy rodzin. W rzeczy samej ekonomiści podnosili już argument, że obecny program talonów mieszkaniowych dałoby się rozciągnąć na wszystkie ubogie rodziny Stanów Zjednoczonych bez wzrostu wydatków, gdybyśmy przeciwdziałali zawyżaniu stawek czynszowych i usprawnili zarządzanie programem[56].

Nawet gdybyśmy nie zrobili nic, by lepiej zarządzać finansami w programie talonowym, i tak byłoby nas stać na objęcie tym kluczowym

zasiłkiem wszystkich rodzin o niskich dochodach w USA. W roku 2013 Bipartisan Policy Center wyliczył, że rozciągnięcie programu talonów mieszkaniowych na wszystkie rodziny najemców plasujące się poniżej trzydziestego centyla mediany dochodów w swoim rejonie wymagałoby dodatkowych wydatków rzędu 22,5 miliarda dolarów, przez co ogólny koszt zasiłków mieszkaniowych wzrósłby do około sześćdziesięciu miliardów. Prawdopodobnie kwota ta powinna być znacznie niższa, gdyż przy szacowaniu jej nie uwzględniono potencjalnych oszczędności zrodzonych z rozszerzenia programu w postaci zapobiegania bezdomności, obniżenia kosztów opieki zdrowotnej i ukrócenia innych kosztownych skutków kryzysu na rynku taniego mieszkalnictwa[57]. To niemała kwota, ale bez problemu możemy sobie na taki wydatek pozwolić.

Mamy takie pieniądze. Po prostu podjęliśmy już pewne decyzje co do tego, na co je wydajemy. Od lat politycy z obu partii ograniczali wsparcie mieszkaniowe dla ubogich, przyznając je za to zamożnym w postaci ulg podatkowych dla właścicieli domów[58]. Obecnie redukcje podatkowe związane z posiadaniem domów znacznie przerastają wydatki na pomoc mieszkaniową. W roku 2008, kiedy Arleen została eksmitowana z mieszkania przy Trzynastej Ulicy, wydatki rządu federalnego na bezpośrednią pomoc mieszkaniową wyniosły w sumie niespełna 40,2 miliarda dolarów, a ulgi podatkowe dla właścicieli domów przekraczały sto siedemdziesiąt jeden miliardów. Liczba ta, sto siedemdziesiąt jeden miliardów dolarów, jest równa budżetom na rok 2008 Departamentu Edukacji, Departamentu Spraw Weteranów, Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego, Departamentu Sprawiedliwości oraz Departamentu Rolnictwa razem wziętych[59]. Co roku na ulgi dla właścicieli domów, takie jak odliczenie oprocentowania kredytów hipotecznych czy wyłączenie zysków kapitałowych z opodatkowania, wydajemy trzy razy tyle, ile według szacunków kosztowałby (w sumie!) powszechny program talonów mieszkaniowych.

Większość federalnych subsydiów mieszkaniowych przynosi korzyść rodzinom o sześciocyfrowych dochodach[60]. Jeśli większość naszych

publicznych środków mamy wydawać na ludzi zamożnych – przynajmniej jeśli idzie o sprawy mieszkaniowe – powinniśmy przyznać się do tej decyzji i przestać powtarzać za politykami stare łgarstwo, że jednego z najbogatszych państw pod słońcem nie stać na to, by uczynić coś więcej. Jeśli w Stanach uporczywie utrzymuje się bieda, to nie dlatego, że brak nam środków.

Powszechny program talonowy to tylko jedno z potencjalnych posunięć, jakie rekomendujemy politykom. Niech pojawią się kolejne. Ustanowienie w Stanach Zjednoczonych podstawowego prawa do dachu nad głową można realizować na przeróżne sposoby – i prawdopodobnie tak właśnie powinno być. Co świetnie działa w Nowym Jorku, może nie sprawdzić się w Los Angeles. Rozwiązania problemów mieszkaniowych dla prężnie rozwijających się Houston, Atlanty czy Seattle nie odpowiadają najważniejszym potrzebom pustoszejących metropolii pasa rdzy, zubożałych przedmieść na Florydzie czy rozsianych po kraju małych miasteczek. Jedno miasto musi budować, drugie burzyć. Jeśli nasze duże i małe miasta są bogate swoją różnorodnością – unikalnymi konsystencjami i stylami, przez swoje dary i problemy – równie bogaty wachlarz rozwiązań musimy im przedstawić.

Jakąkolwiek drogę z tego bagna wybierzemy, pewne jest jedno. Ta skala nierówności, to odbieranie szans, ta oziębła odmowa zaspokajania podstawowych potrzeb, to poparcie dla bezsensownego cierpienia – tego wszystkiego nie da się usprawiedliwić żadną z amerykańskich wartości. Żadnego kodeksu moralnego, żadnych zasad etycznych, żadnego cytatu ze świętych ksiąg czy nauk natchnionych przez bogów nie da się przywołać na obronę tego, co za naszym przyzwoleniem stało się z tym krajem.

Słowo o tym projekcie

Kiedy dorastałem, mój ojciec był kaznodzieją, a matka, kobieta pracowita, łapała każdą możliwą robotę. Z pieniędzmi zawsze było kiepsko. Czasami odcinali nam gaz, a wtedy mama gotowała obiady na opalanym drewnem piecu grzewczym. Wiedziała, jak sobie radzić, bo w dzieciństwie mieszkała zaraz koło wysypiska śmieci w Columbus w stanie Georgia, a potem w osławionym hotelu Ford w San Francisco. Wyrwała się z tej biedy, od swoich dzieci oczekiwała, że także będą się piąć, że pójdą na studia, nawet jeśli wespół z ojcem nie była w stanie opłacić czesnego. Mój ojciec wbijał nam tę myśl w głowy na swój sposób. Za każdym razem, kiedy przejeżdżaliśmy obok rzędu pochylonych ludzi pocących się w słońcu przy jakiejś parszywej robocie, ojciec obracał się do nas i pytał:

– Chcielibyście tak harować do końca życia?

– Nie.

– No to marsz na studia.

Dzięki różnym kredytom i stypendiom mogłem uczęszczać na Uniwersytet Stanu Arizona, cztery godziny jazdy od miasteczka Winslow, w którym się wychowałem. Wydawało mi się, że mógłbym zostać prawnikiem, zapisałem się więc na zajęcia z komunikatywności, historii, sądownictwa. Na tych kursach zacząłem poznawać fakty, które nie przystawały do obrazu Ameryki wpajanego mi przez rodziców, nauczycieli ze szkółki niedzielnej i skautowych drużynowych. Czy naprawdę w żadnym innym z państw rozwiniętych nie było tak powszechnej i tak czasem głębokiej biedy jak w naszym kraju? Czy amerykański sen był ogólnie dostępny, czy zastrzeżony dla garstki wybrańców? Kiedy nie pracowałem ani się nie uczyłem, wertowałem książki w bibliotece, szukając odpowiedzi na pytania o charakter mojej ojczyzny.

Mniej więcej w tym czasie bank zajął dom, w którym dorastałem. Wraz z kolegą pokonaliśmy tę czterogodzinną trasę, by pomóc moim rodzicom przy przeprowadzce. Pamiętam, że przenikały mnie smutek i zażenowanie. Nie wiedziałem, jak to sobie poukładać w głowie, ale chyba jednak coś do mnie dotarło, bo kiedy już wróciłem na kampus, złapałem się na tym, że w weekendy pomagałem dziewczynie budować domy w programie Domostwo dla Ludzkości. Potem co tydzień przez kilka nocy dotrzymywałem towarzystwa bezdomnym w okolicy Mill Avenue w Tempe. Ci uliczni koczownicy, których poznałem, byli starzy i młodzi, dowcipni, bez fałszu, za to z kłopotami. Ukończywszy studia, czułem potrzebę zrozumienia amerykańskiego ubóstwa, w którym widziałem źródło tak wielu niedoli. Doszedłem do wniosku, że najlepiej będzie podejść do tego przez socjologię. Zapisałem się więc na studia doktoranckie na Uniwersytecie Wisconsin w Madison, miejscu ochrzczonym przez siwych mieszkańców Milwaukee „osiemdziesięcioma kilometrami kwadratowymi otoczonymi przez rzeczywistość”.

Gdy jako doktorant zacząłem badać ubóstwo, dowiedziałem się, że w większości opracowań objaśnia się nierówności na jeden z dwóch sposobów. Pierwszy powoływał się na „siły strukturalne”, z pozoru niepodlegające naszej kontroli: historyczną spuściznę dyskryminacji, powiedzmy, czy potężne przekształcenia gospodarki. Drugi podkreślał niedostatki indywidualne, od praktyk „kulturowych”, jak zakładanie rodziny bez ślubu, po niedobory „kapitału ludzkiego”, jak niski poziom wykształcenia. Liberałowie preferowali pierwsze wyjaśnienie, konserwatyści drugie. Oba wydawały mi się mijać sedno sprawy. W każdym rodziny o niskich dochodach traktowano tak, jak gdyby żyły w kwarantannie. W książkach o samotnych matkach, członkach gangów czy bezdomnych badacze zjawisk społecznych i dziennikarze pisali o ubogich tak, jakby ci byli odcięci od reszty społeczeństwa. Mówiono, że ubodzy są „niewidzialni”, że stanowią część „tej drugiej Ameryki”. Getto traktowano jak „miasto w mieście”. Biednych wyłączano z dyskusji o nierównościach, jak gdybyśmy wierzyli, że poziomy życia bogaczy i klasy średniej są ze sobą powiązane, ale te ludzi ubogich i całej reszty –

już nie. A gdzie byli ci bogacze, którzy wywierali ogromny wpływ na życie rodzin o niskich dochodach i społeczności składających się z tych rodzin – ci, którzy majątek zawdzięczali właśnie temu wpływowi? Zadawałem sobie pytanie: dlaczego opisywaliśmy, jak ubodzy wiążą koniec z końcem, nie zadając pytania, czemu płacą tak wysokie rachunki ani do kogo płyną ich pieniądze?

Chciałem spróbować napisać książkę o biedzie, która nie koncentrowałaby się wyłącznie na biednych ludziach czy dzielnicach biedy. Uważałem, że ubóstwo było stosunkiem, który wiązał i biednych, i bogatych. Żeby pojąć ubóstwo, musiałem zrozumieć naturę tego stosunku. Pchnęło mnie to do poszukiwań procesu, który wiązałby biednych z bogatymi we wzajemnych zależnościach i bojach. Takim procesem okazała się eksmisja[1].

Na plac przyczep Tobina wprowadziłem się w maju 2008 roku, po tym jak przeczytałem w gazecie, że jego lokatorom może grozić zbiorowa eksmisja. Do tego nie doszło (acz koniec końców Tobin sprzedał plac, a Lenny i Biurowa Susie przeprowadzili się gdzie indziej). Pozostałem tam jednak, bo plac okazał się świetnym miejscem zapoznawania się z ludźmi otrzymującymi powiadomienia na różowym papierze. Dał mi też możliwość spędzenia czasu w towarzystwie Tobina i Lenny'ego.

Moja przyczepa była uznawana za jedną z najfajniejszych na całym placu. Była czysta, wewnątrz wyłożona boazerią, z grubą, rdzawopomarańczową wykładziną na podłodze. A jednak, choć mieszkałem tam przez cztery miesiące, przez większość tego okresu nie miałem ciepłej wody, bo mimo wielokrotnie powtarzanych próśb Tobin i Lenny nie zabrali się do naprawy odprowadzenia spalin z mojego junkersa. Po prostu nawet się do tego nie wzięli, choć mówiłem im, że jestem pisarzem, że pracuję nad książką o nich i o placu przyczep, którym zarządzają. Gdybym używał tego junkersa, wprowadzałby on spaliny prosto do wnętrza przyczepy. Raz spróbowała go naprawić Biurowa Susie. Wetknęła pod junkersa kawał deski

i oświadczyła, że już jest bezpiecznie, choć między wylotem spalin a końcem rury kominowej wciąż ziała pięciocentymetrowa szczelina.

Prawdziwa etnografia moim zdaniem jest wtedy, kiedy próbuje się zrozumieć ludzi, pozwalając, by ich życie kształtowało życie badacza tak kompletnie, tak autentycznie, jak to tylko możliwe. Osiąga się to poprzez nawiązywanie wzajemnego porozumienia z ludźmi, których chce się lepiej poznać, śledzenie ich losów przez dłuższy czas, obserwowanie i doświadczanie tego samego co oni, pracę i zabawę u ich boku oraz rejestrowanie tylu działań i interakcji, że w końcu człowiek zaczyna poruszać się jak oni, mówić jak oni, myśleć jak oni, nawet trochę jakby odczuwać jak oni. W tym fachu bardzo pomocne jest zamieszkanie „w polu". Tylko w ten sposób można zanurzyć się w doznaniach, a z praktycznego punktu widzenia nigdy nie wiadomo, kiedy może się przydarzyć coś istotnego. Wynajęcie przyczepy pozwoliło mi spotykać się z dziesiątkami ludzi, podłapywać plotki, chłonąć troski i obserwacje lokatorów, oglądać ich codzienne życie o każdej porze dnia i nocy.

Zbieranie informacji o placu przyczep rozpocząłem od przesiadywania w biurze, gdzie znaczną część czasu spędzali też niektórzy z moich sąsiadów. Byłem tam owego wieczoru, kiedy przyszła roztrzęsiona Larraine, ściskając w dłoni ostrzeżenie od ekipy eksmisyjnej Biura Szeryfa. Patrzyłem, jak zapłaciła Tobinowi tyle, ile mogła, po czym pokuśtykała z powrotem do swojej przyczepy. Poszedłem tam za nią. Otworzyła mi drzwi, ocierając łzy rąbkiem koszuli. Tak się poznaliśmy. Kiedy rozeszła się wiadomość, że jestem zainteresowany rozmowami z ludźmi przechodzącymi przez eksmisję, Pam wydębiła od kogoś mój numer telefonu i zadzwoniła do mnie. Parę dni po tym, jak ją poznałem, zacząłem jeździć za nią i jej rodziną, kiedy szukali nowego mieszkania. Pam opowiedziała o moim projekcie Scottowi, a ten poprosił, bym podszedł do jego przyczepy. Tak też uczyniłem któregoś ranka, a wtedy on wyszedł na dwór i powiedział: „Chodźmy na spacer". Potem oświadczył: „A, czas wyłożyć kawę na ławę. Byłem pielęgniarzem, przez... całe lata. Ale potem

uzależniłem się od środków przeciwbólowych i wszystko straciłem. Pracę, samochód, mieszkanie”.

Nikt do końca nie wie, jak to jest, że niektórzy ludzie tak się rozkulbaczają przed nieznajomym z notesem i długopisem, czemu otwierają drzwi i wpuszczają takiego do swojego domu. Dla lokatorów o włos od bezdomności wiązało się to z korzyściami materialnymi, jak dostęp do samochodu i telefonu, ale i psychologicznymi. Kilku stwierdziło, że jestem ich „głowologiem”. Jest też jednak inna prawda, mianowicie taka, że niektórzy ludzie na dnie uważają, że nie mają już nic do stracenia. Pewnego wieczoru w „Ośrodku Rehabilitacji” u Aldeów, gdzie Scott żył w trzeźwości już od paru miesięcy, wytknął mnie brodą, kiedy gryzmoliłem coś w notesie, i zapytał twardą weterankę AA, Annę Aldeę:

– Nie denerwujesz się, że Matt tu jest?

– Ni chuja – odparła. – W moim życiu nie ma tajemnic.

– Mam to samo – stwierdził. – Nie ma we mnie już żadnej dumy, rozumiesz, nic a nic.

Gdy przyszła jesień i widziałem, jak z placu eksmitowano Scotta, Larraine, Pam i Neda, zacząłem rozglądać się za nowym lokum na North Side. Pewnego dnia wspomniałem o tym strażnikowi Ło, jednemu z ochroniarzy, których musiał wynająć Tobin, żeby dojść do porozumienia z radnym Witkowskim. Ło naprawdę nazywał się Kimball, ale wszystkim mówił, żeby używali jego ksywki z dzieciństwa. Ten towarzyski czarny mężczyzna, który próbował zaprzyjaźnić się z każdym lokatorem placu, nosił koszulki w rozmiarze 6XL i odznakę, którą kupił sobie w sklepie z nadwyżkami mienia wojskowego.

– W sensie że chcesz się wynieść gdzieś aż pod Silver Spring? – zapytał, mając na myśli rejon, w którym czarne getto Milwaukee przechodzi w północne przedmieścia, Glendale i Brown Deer.

– No nie, bliżej centrum – uściśliłem.

– Tak koło Marquette, znaczy? – dopytywał się, wzmiankując o ulokowanym w dzielnicy biznesowej uniwersytecie jezuickim.

– Nie przy Marquette. Interesuje mnie coś w getcie.

Ło spojrzał na mnie z ukosa, zakładając, że czegoś tu nie rozumie. Musieliśmy porozmawiać jeszcze parę razy, nim uświadomił sobie, że naprawdę chcę mieszkać na North Side, w okolicy takiej jak ta, w której mieszkał on sam, gdzie tabliczki z nazwami ulic są zielone, a nie niebieskie, jak na przedmieściach typu Wauwatosa. Kiedy już to pojął, zaproponował, żebym wprowadził się do pokoi umeblowanych na rogu Pierwszej i Locust, gdzie i on mieszkał. Czynsz wynosił tam czterysta dolarów, w czym uwzględnione też były opłaty. Przystałem na te warunki i zacząłem płacić właścicielom – Sherrenie i Quentinowi.

Pokoje umeblowane znajdowały się na piętrze bliźniaka, białego z zielonymi wykończeniami. Ło i ja dzieliliśmy salon, łazienkę i kuchnię, gdzie szafki można było zamykać na kłódkę, żeby współlokatorzy człowieka nie objadali. W pokoju miałem zasłonięte grubym kocem okno i duże łóżko, pod którym znalazłem puszkę po miejscowym piwie Classic Ice, broszurki Anonimowych Narkomanów, obcinaczki do paznokci i maszynę do pisania w futerale z twardego plastiku. Na tyłach bliźniaka biegła uliczka, pokryta pospiesznie namazanymi wrzutami gangu Gangster Disciples, było też małe, zarośnięte chwastami podwórko, a na nim wiśnia, która w maju okryła się delikatnym kwieciem, wyglądającym jak wybuch konfetti. Mieszkałem tam do czerwca 2009 roku.

Ło powiedział Sherrenie, że pracuję „nad książką o właścicielach i lokatorach”. Sherrena zgodziła się udzielić mi wywiadu – na koniec złożyłem jej propozycję.

– Sherrena, bardzo chciałbym zostać kimś w rodzaju twojego czeladnika – zacząłem, tłumacząc, że moim zamierzeniem było „wejść w [jej] rolę w największym możliwym stopniu”.

Podeszła do tego entuzjastycznie.

– Wchodzę w to na bank – stwierdziła. – Nie musisz już dalej szukać.

Uwielbiała swoją robotę i była z niej dumna. Chciała, żeby ludzie wiedzieli, „co musi znosić właściciel mieszkania”, żeby pokazać swój świat

szerszej publiczności, która dotąd rzadko się zastanawiała nad takimi rzeczami.

Zacząłem wędrować za Sherreną i Quentinem, kiedy kupowali nieruchomości, odsiewali kandydatów na lokatorów, odtykali kanalizację i dostarczali powiadomienia o eksmisji, tak samo jak to robiłem z Tobinem i Lennym. Poprzez Sherrenę poznałem Arleen, Lamara i rodzinę Hinkstonów. Potem przez Arleen poznałem Crystal, a za pośrednictwem tej ostatniej Vanettę. Doreen czuła się samotna i z radością powitała kogoś, z kim mogła siedzieć i gadać. Lamar nabrał do mnie nieco zaufania, kiedy pomogłem mu zorganizować malowanie mieszkania po Patrice, a był kupiony, kiedy okazało się, że nieźle gram w kierki, a to dlatego, że kiedy na studiach pracowałem w straży pożarnej, regularnie tłukliśmy w karty.

Z Arleen było zdecydowanie trudniej. Z początku trzymała mnie na dystans, milczała zawzięcie, kiedy objaśniałem jej mój projekt. Gdy próbowałem wypełniać tę ciszę, przerywała mi: „Nie musisz wciąż gadać". Najbardziej niepokoiło ją podejrzenie, że pracuję dla służb opiekuńczych. „Nie czuję się komfortowo, kiedy z tobą rozmawiam, nie dlatego, żeby coś z tobą było nie tak, ale po prostu przez to wszystko, co mi się przydarzyło – powiedziała mi podczas jednej z naszych pierwszych rozmów. – Jestem w tym systemie [opieki nad dziećmi] od tak dawna, że już normalnie nie ufam ludziom".

W odpowiedzi powiedziałem, że rozumiem to, wręczyłem jej niektóre z moich publikacji – nauczyłem się już, żeby na takie sytuacje mieć ich trochę w samochodzie – a potem posuwałem się naprzód powoli, krok za krokiem, przy każdym spotkaniu ograniczając się do paru pytań.

Inni wietrzyli we mnie policjanta albo (na placu przyczep) szpiega nasłanego przez radnego. Jeszcze inni brali mnie za narkomana czy klienta prostytutek (przez jakiś czas Ło i ja mieliśmy pracownice seksualne jako współlokatorki na naszym piętrze). Sherrena przedstawiała mnie jako swojego asystenta. Dla Tobina byłem nikim.

Niektórzy lokatorzy podejrzewali, że jestem w konszachtach z właścicielami ich mieszkań, że to „moi kumple", jak ich określali.

Czasami zdarzało się, że próbowali wymusić na mnie przyznanie, iż właściciel mieszkania czyni źle – na przykład Lamar nalegał raz, bym potwierdził, że Sherrena to „wyzyskiwaczka”. Kiedy odmówiłem, oskarżył mnie, że dla niej szpieguję. Czasami właściciele odmawiali rozmowy o szczegółach sprawy któregoś lokatora albo wręcz przeciwnie – prosili mnie, bym wypowiedział się w tej czy innej kwestii. Trzymałem się polityki minimalnej ingerencji (choć, jak opiszę poniżej, dwukrotnie wyłamałem się z tych ograniczeń), często jednak właściciele zmuszali mnie do zajęcia stanowiska. O ile wiem, faktyczny wpływ na przebieg zdarzeń miałem tylko raz, kiedy Sherrena uparcie pytała mnie, czy powinna wezwać szeryfa, by eksmitował Arleen. W końcu powiedziałem jej, żeby nie posuwała się do tego, i tak też się stało. „Gdyby nie twoja opinia – powiedziała mi później – szczerze, serio mówię, powiadomiłabym szeryfa i czekałabym tylko, aż przyjedzie jego ekipa... Gdybyś nie interweniował, byłoby już po niej”. A tak jej rzeczy nie trafiły do magazynów firmy przeprowadzkowej Eagle, lecz mogła je złożyć w firmie Public Storage, choć i tak wylądowały na wysypisku, kiedy spóźniła się z opłatami.

Z czasem i lokatorzy, i właściciele zaczęli się ze mną oswajać, ich życie wróciło na dawne tory. Mieli poważniejsze zmartwienia. Siedziałem u boku lokatorów na rozprawach eksmisyjnych, pomagałem im przy przeprowadzkach, ich śladem trafiałem do schronisk dla bezdomnych czy opuszczonych budynków, pilnowałem ich dzieci, kłóciłem się z nimi, sypiałem w ich mieszkaniach. Chodziłem z nimi na nabożeństwa, a także na terapie, spotkania AA, pogrzeby, narodziny. Za jedną rodziną pojechałem aż do Teksasu. Ze Scottem odwiedziłem stan Iowa. Kiedy spędziłem z tymi ludźmi więcej czasu, pojawiło się coś w rodzaju zaufania, choć zawsze było to zaufanie kruche i obwarowane silnymi zastrzeżeniami[2]. Jeszcze całe lata po tym, jak się poznaliśmy, Arleen w cichych chwilach pytała mnie, czy aby nie pracuję czasem dla służb opiekuńczych.

Moja przeprowadzka na North Side początkowo zbiła Ło z pantałyku, ale moich sąsiadów z placu przyczep głęboko zaniepokoiła. Gdy wspomniałem

o tym Larraine, prawie się rozpłakała: „Matt, nie. Nie masz pojęcia, jak tam jest niebezpiecznie”. „Nie trawią tam białych” – dorzucił od siebie Beaker.

Prawda jest jednak taka, że w getcie biali mają szczególne przywileje. Przede wszystkim moje zetknięcia z policją przebiegały szybko i gładko, nawet kiedy pod drzwiami wejściowymi do domu, w którym mieszkałem, dwa razy ktoś został zastrzelony. Widziałem raz, jak policjant podjechał radiowozem do Ger-Gera, najstarszego syna Arleen, i oznajmił: „O, facet, ale jesteś nakurwiony!” (Ger-Ger wskutek niedorozwoju porusza się i mówi wolniej). Gdy wyszedłem z mieszkania, by z bliska przyjrzeć się tej sytuacji, policjant spojrzał na mnie i odjechał. Niekoniecznie zachowałby się tak, gdybym nie był białym mężczyzną z notesem.

Takich sytuacji było więcej. Weźmy zetknięcie się Crystal i Vanetty z dyskryminującym właścicielem mieszkania przy Piętnastej Ulicy. Gdy do tego doszło, byłem na ulicy, w samochodzie, pilnowałem dzieci Vanetty. Opowiedziały mi o tej sytuacji bezzwłocznie, zaraz po tym, jak wyszły z mieszkania. Z szyldu mieszkania na wynajem spisałem numer właściciela i zadzwoniłem do niego następnego dnia. Spotkaliśmy się w tym samym mieszkaniu, które pokazywał Crystal i Vanetcie. Powiedziałem mu, że miesięcznie zarabiam około tysiąca czterystu dolarów (tyle, co Vanetta i Crystal razem), że mam trójkę dzieci (jak Vanetta) i że naprawdę wolałbym mieć mieszkanie z wanną. Oświadczył, że ma wolny inny lokal. Nawet zawiózł mnie tam swoim saabem. Zgłosiłem go do Komisji Uczciwego Mieszkalnictwa. Przyjęli moje zgłoszenie, ale więcej się do mnie nie odezwali.

Mieszkańcy getta dokładali starań, by mnie chronić, także przed naciągaczami – Lamar pokrzykiwał na swoich chłopaków: „Ej, bez takich, kurwa!”, kiedy prosili mnie o dolara. Pewnego dnia, kiedy mieszkałem w pokoju umeblowanym, jedna z sąsiadek z parteru, C.C., poprosiła mnie, żebym pożyczył jej parę dolarów, bo chciała kupić worki na śmieci. Spełniłem jej prośbę i znów zająłem się pisaniem. Jednak Keisha, młoda siostrzenica Ło, która w tym czasie mieszkała z nami, miała oko na C.C., kiedy ta wyszła – jak twierdziła, zauważyła, że C.C. zaraz zadzwoniła do

swojego dostawcy towaru. Nieświadom tego faktu, wybrałem się do sklepu. Kiedy Ło wrócił do domu, Keisha opowiedziała mu o wizycie C.C. i zadzwonił do mnie, rozeźlony.

– Nigdy niczego jej nie dawaj, Matt! Im się wydaje, że skoro nie jesteś taki jak my, skoro jesteś nietutejszy, to mogą tak sobie do ciebie podbijać [...]. Zaraz zejdę tam na dół i powiem im, żeby ci, kurwa, oddali tę kasę.

– Chwila, Ło, posłuchaj...

– Nie ma bata, Matt.

Rozłączył się. Nie wiem, co dokładnie powiedział C.C., ale kiedy wróciłem do domu, czekała na mnie przed bliźniakiem, w peruce, kusych szortach, obcisłej bluzce na ramiączkach i sandałkach na wysokim obcasie. Wręczyła mi pieniądze. Nie pytałem, skąd je ma.

Czułem się z tym okropnie.

– Za bardzo mnie chronisz – powiedziałem Ło, gdy wszedłem na piętro.

Stał pochylony nad kuchennym zlewem, z nagim torsem, zajęty myciem naczyń.

– Ty jesteś z przedmieść. My z dzielni – zaczął, posługując się tym basowym tonem, jak ojciec do syna, którego używał wyłącznie w podobnych sytuacjach. – Ale sprowadziłeś się tu do nas, zaryzykowałeś, żeby żyć na dzielni jak ja. To dla mnie prawdziwy zaszczyt, więc czuję się odpowiedzialny, skoro tu jesteś. Nie pozwolę, żeby coś ci się stało.

Biały człowiek mieszkający w getcie i piszący o nim nie jest wyjątkowo narażony na niebezpieczeństwa, lecz wyjątkowo przed nimi chroniony. Mieszkańcy getta zaś czasami sztywnieli w mojej obecności. Często zdarzało się, że przy pierwszym spotkaniu ludzie przepraszali mnie i brali się do porządków. Jeszcze nie miałem trzydziestki, a „proszę pana” słyszałem nieskończenie więcej razy niż żądanie od jakiegoś twardego młodziaka, żebym sobie zorganizował „kartę G” – „gangsterską przepustkę”, zasadniczo prawo do bycia białym w danej okolicy. To nie są banalne kwestie dla kogoś, kto stara się rejestrować życie takie, jakim rzeczywiście żyją inni. Można zrobić tylko jedno: być w terenie tak długo,

ile się tylko da, z sezonowej ciekawostki przeobrażając się w wiecznego gościa. Jeśli upłynie dość czasu, ludziom generalnie przechodzi stres i zaczynają zajmować się własnymi sprawami, choć w szczególnych okolicznościach znów błyskawicznie mogą pojawić się mury.

Trzeba też czasu, żeby nauczyć się zauważania pewnych rzeczy od ludzi takich jak Keisha, którzy wiedzą już, kiedy trzeba nadstawić uszu i na co uważać. Ludzie, których poznałem w Milwaukee, wyćwiczyli we mnie to widzenie poprzez pokazywanie, jak powinienem patrzeć i jak pojąć to, co zobaczyłem. I tak wiem, że wiele przegapiłem, szczególnie w początkowym okresie, i to nie tylko dlatego, że byłem outsiderem, ale też przez nieustające analizowanie tego czy owego ponad wszelką miarę. Natrętny wewnętrzny monolog sprawiał często, że zatracałem się w myślach, ograniczając swoją czujność na akcję życia toczącą się tuż przed moim nosem. Tak jest bezpieczniej. Nasze idee pozwalają nam poskramiać życie społeczne, porządkować je według rozmaitych typologii i teorii. Jak ostrzegała Susan Sontag, ta wygoda może „zubożyć i wyczerpać rzeczywistość” i przesłaniać nasz wzrok[3].

Zbieranie materiałów do tej książki wiązało się ze spędzaniem dłuższego czasu w towarzystwie kobiet, często w ich domach, co budziło podejrzenia. Dwukrotnie zdarzyło mi się, że mężczyźni oskarżali mnie o sypianie z ich dziewczynami. Do pierwszego takiego zajścia doszło podczas pijackiej awantury między Nedem a Pam, kiedy warknął on:

– To ty gadasz z tym całym Mattem, jakby był z niego jakiś, kurwa, psycholog czy coś... Idź sobie z nim zaruchaj.

Gdy trzasnął drzwiami i wyszedł, Pam odezwała się do mnie:

– Wydaje mu się, że się pieprzymy. Żałosne, nie?

Awantura rozeszła się po kościach, Ned wycofał zarzut, ale przez kilka następnych tygodni trzymałem się z dala od Pam i starałem się spędzać jak najwięcej czasu z Nedem. Drugie zdarzenie miało miejsce, kiedy zajrzałem do Vanetty w miesiącu poprzedzającym jej skazanie na więzienie i zastałem u niej Earla, starszego faceta, którego poznała w Zajeździe. Earl żywił do

niej mocno romantyczne uczucia, co Vanetcie całkiem pasowało, i nie ucieszył się na mój widok. „To jest moja kobieta, rozumiesz? – powiedział. – Powinienem chyba wiedzieć, co robi moja laska”. Poświęciłem sporo czasu na wyjaśnianie mu, na czym polega moja praca, pokazałem mu swój dotychczasowy dorobek. Sądziłem, że potrafiłby zrobić Vanetcie krzywdę – był notowany, między innymi za przemoc domową – albo przynajmniej rzucić ją, tak że nie mogłaby już korzystać z jego zasiłku dla weteranów. W końcu mnie przeprosił, ale ta rozmowa mocno mnie zaniepokoiła. Wyszedłszy od Vanetty, poprosiłem jej siostrę Ebony, żeby sprawdziła, co u niej. Tak też zrobiła. Następnego ranka sam zadzwoniłem, żeby się upewnić, czy wszystko w porządku. „Ale wiesz, ja tam się go nie boję” – powiedziała mi Vanetta. A powinna. Gdy wyszła z więzienia i zerwała z Earlem, ktoś ostrzelał mieszkanie Ebony, do którego sprowadziła się też Vanetta z dziećmi. Wszyscy podejrzewali, że to robota Earla.

Zawsze uważałem, że w pracy etnograficznej moim głównym obowiązkiem jest upewnianie się, że nie wyrządzam szkody ludziom, którzy zaprosili mnie do wejścia w ich życie. Bywa to jednak kwestia złożona i delikatna, bo nie zawsze na pierwszy rzut oka widać, co może okazać się szkodliwe[4]. Szczególnie w biednych sąsiedztwach nie ma nic za darmo. Ktoś, kto robi ci przysługę, w ten czy inny sposób dostanie za to zapłatę. Ned i Earl uznali, że skoro podwożę ich dziewczyny, kiedy te szukają mieszkania czy zajmują się innymi swoimi sprawami, to na pewno dostaję coś w zamian. Bo i dostawałem: ich opowieści. To właśnie było najdziwniejsze. Zarzuty ze strony obu mężczyzn były absolutnie uzasadnione, więc potraktowałem je poważnie.

Także pod innymi względami kwestie płciowe wpływały na to, jak ludzie mówili i zachowywali się w mojej obecności. Po odsiadce Vanetta znalazła pracę jako kelnerka w restauracji sieci George Webb i poznała nowego mężczyznę, Bena, który starał się o robotę kierowcy ciężarówki. Pewnego wieczoru Ben raptownie opuścił ich wspólne mieszkanie.

– Między wami wszystko w porządku? – zapytałem.

– Nie bardzo – westchnęła Vanetta. – Jego zdaniem zachowuję się za bardzo jak facet.

– A co to znaczy?

– No w sensie, że za dużo wiem... Zawsze mi mówi: „Się zachowujesz jak facet. Znaczy na wszystko zawsze musisz mieć odpowiedź”.

– Zdarza ci się udawać, że czegoś nie wiesz?

– Czasami.

Od razu zacząłem się zastanawiać, jak często Vanetta udawała przy mnie głupią, jak często zgrywała niewiedzę, żeby wyglądać bardziej kobieco.

Każda cecha etnografa – rasa i płeć, gdzie i w jakich warunkach się dorastało, temperament i usposobienie – może wpłynąć na spotykanych przez niego ludzi, na to, z czego mu się zwierzą, co mu pokażą i jak zinterpretuje to, co zobaczy. Moja tożsamość otwierała przede mną jedne drzwi i zatrzaskiwała drugie. Koniec końców, możemy tylko radzić sobie najlepiej, jak umiemy, skoro jesteśmy, jacy jesteśmy, uważnie odnotowując, jak części naszego jestestwa odnoszą się do naszej pracy, ale zawsze mając na oku te najważniejsze kwestie[5].

Gdy mieszkałem w Milwaukee, zajmowałem się wyłącznie badaniami terenowymi. Niemal każdego dnia nosiłem ze sobą cyfrowy dyktafon i po prostu nagrywałem wszystko. Dzięki temu mogłem rejestrować wypowiedzi innych co do słowa. Miałem też notesik i zapisywałem spostrzeżenia i rozmowy, najczęściej na gorąco. Nigdy nie ukrywałem, że jestem pisarzem i że usiłuję odnotować tak wiele, jak tylko mogę. Wieczorami i wczesnymi porankami poświęcałem całe godziny na przepisywanie na komputerze zapisków z notesów i opisywanie zdarzeń z danego dnia. Zrobiłem tysiące zdjęć. Przeprowadziłem ponad sto wywiadów z ludźmi, którzy nie pojawili się w tej książce, w tym z trzydziestoma właścicielami mieszkań. Obserwowałem i rozmawiałem z pracownikami sądownictwa i opieki społecznej, inspektorami budowlanymi, zarządcami nieruchomości oraz innymi mieszkańcami placu przyczep i getta.

Gdy skończyłem z pracą w terenie, rozpocząłem długi proces transkrypcji nagrań. Pomagało mi przy tym kilku ludzi, ale znaczną część pracy wykonałem sam. Kiedy już wszystko znalazło się na papierze, moje notatki obejmowały ponad pięć tysięcy stron z pojedynczą interlinią. Zacząłem studiować te zapisy, przywoływać zdjęcia, nagrań słuchałem w drodze do pracy czy kołysząc do snu swoje nowo narodzone dziecko. Przeczytałem to wszystko kilka razy, nim uznałem, że jestem gotów, by zacząć pisać[6]. Chciałem być jak najbliżej tego materiału, doświadczyć na podstawie słów i opisów zdarzeń czegoś w rodzaju wtórnego zanurzenia. Za wszystkimi zaś tęskniłem. Przeprowadzka z North Side w Milwaukee do Cambridge w stanie Massachusetts – bogatej i wyrafinowanej społeczności – wprawiła mnie w głęboką dezorientację. Z początku pragnąłem tylko wrócić na plac przyczep czy do getta. I wracałem tam, kiedy tylko mogłem.

Podczas pisania tej książki jako podstawę miałem to, co sam zaobserwowałem. Gdy zdarzyło się coś istotnego, czego sam nie widziałem, rozmawiałem o takim zajściu z wieloma osobami, jeśli tylko było to możliwe, a szczegóły weryfikowałem, sięgając do innych źródeł, jak serwisy informacyjne, akta medyczne czy sądowe, jak również dokumentacja hipoteczna. W przypisach wskazałem każde zdarzenie, którego opis zaczerpnąłem z drugiej ręki. O tym, co ktoś „myślał” czy w co „wierzył”, pisałem tylko wtedy, jeśli sam mi o tym powiedział. Gdy relacjonowałem zdarzenia z czyjejś przeszłości, pisałem, że osoba ta „pamięta” czy „wspomina” je w takiej czy innej formie. By ustalić tego rodzaju szczegóły, pytałem tę samą osobę o to samo wiele razy w ciągu kilku lat. Okazało się to niewiarygodnie przydatne, bo zdarzało się, że z początku ludzie opisywali mi niektóre sprawy niezupełnie dokładnie. Czasami prawda wychodzi na jaw powoli.

Na ile było to możliwe, weryfikowałem informacje zawarte w tej książce, sięgając do osób trzecich. Często oznaczało to, że mogłem potwierdzić prawdopodobieństwo jakiegoś zdarzenia, a nie samo jego zajście. Zdołałem na przykład ustalić z Wydziałem Dzieci i Rodzin Stanu Wisconsin, że sankcje (redukcje zasiłków), które spotkały Arleen, nie są

niczym nadzwyczajnym. Podsłuchałem, kiedy Arleen tłumaczyła tę sytuację Sherrenie, byłem przy niej, kiedy wyjaśniała szczegóły swojego położenia pracownikowi opieki społecznej – ale skoro uzyskanie urzędowego potwierdzenia wymagało tylko paru mejli i rozmów telefonicznych, tak też zrobiłem. Bądź co bądź, jak potwierdzi każdy adwokat procesowy, naoczny świadek to źródło ryzykowne i niedoskonałe. Wzrokowi umykają rzeczy oczywiste, wszędzie zaś czają się zmyłki. Zrezygnowałem z historii, których nie zdołałem w ten sposób zweryfikować. Natasha Hinkston powiedziała mi kiedyś, że przestała chodzić do liceum po tym, jak na stołówce w jej szkole doszło do strzelaniny. Gdy tę opowieść potwierdziła mi Doreen, złapałem się na tym, że bardzo chcę gdzieś jej użyć, wmontować ją w narrację – a nauczyłem się już nie ufać takim impulsom. Spotkałem się więc z trzema różnymi pracownikami administracji szkół publicznych w Milwaukee i żaden z nich nie był w stanie potwierdzić, by w okresie wskazanym przez Natashę doszło do takiej strzelaniny. Może rzeczywiście coś takiego miało miejsce, a pracownicy administracji mylili się, może opowieść Natashy była prawdziwa w ogóle, ale nie w szczególe, a może całkiem zmyślona. Tak czy inaczej, zrezygnowałem z tej historii oraz z dwóch innych, których nie zdołałem w ten sposób potwierdzić. Kiedy już stworzyłem kompletny tekst roboczy tej książki, zatrudniłem niezależną weryfikatorkę faktów[7]. Odwiedziłem też Milwaukee, jak również Brownsville w stanie Tennessee, by podomykać otwarte wątki[8].

Ludzie pytają mnie często, „jak sobie poradziłem” z tymi badaniami – co ma oznaczać: „Jakim doświadczeniem dla ciebie osobiście było ujrzenie takiego poziomu biedy i cierpienia?”. Chyba nie zdają sobie sprawy, jak bolesnych i intymnych spraw dotykają tym pytaniem. Przygotowałem więc sobie kilka nieszczerych odpowiedzi, których używam jak tych bomb dymnych, za pomocą których iluzjoniści ulatniają się ze sceny. Odpowiedź szczera jest taka, że praca ta złamała mi serce, na kilka lat wpędziła mnie w depresję. Człowiek rzeczywiście uczy się, jak sobie radzić, od tych, którzy też jakoś sobie radzą. Po tym jak od paru osób usłyszałem: „Przestań się tak na mnie gapić”, nauczyłem się skrywać wstrząs, jaki budziły we

mnie traumatyczne zjawiska. Nauczyłem się odróżniać autentyczne kryzysy od zwyczajnej biedy. Nauczyłem się, że zachowanie, które dla kogoś usadowionego wysoko ponad granicą ubóstwa może wydawać się lenistwem czy zdystansowaniem, w rzeczywistości bywa techniką wytrzymałościową. Ludzie tacy jak Crystal czy Larraine nie mogą sobie pozwolić na zainwestowanie całej energii w kłopoty dnia dzisiejszego, bo na jutro nie zostanie im już nic. Na placu przyczep i w getcie byłem świadkiem wytrwałości, ikry, geniuszu. Często słyszałem radosny śmiech. Widziałem też jednak wiele bólu. Pod koniec pracy w terenie zapisałem w dzienniku: „Zbierając te historie i niedostatki jak jakieś puchary, czuję się plugawie". Poczucie winy, którego doświadczałem podczas badań terenowych, nasiliło się jeszcze po ich zakończeniu. Czułem się jak pozer, jak zdrajca, byłem gotów przyznać się do jakiegoś niewiadomego oskarżenia. Butelkę wina stawianą przede mną na uniwersyteckiej uroczystości czy miesięczny rachunek za żłobek automatycznie przeliczałem na kwoty czynszu czy kaucji tam, w Milwaukee – to było silniejsze ode mnie. Taka praca odciska się na człowieku. A teraz wyobraźcie sobie, że chodzi o wasze życie.

Im więcej czasu spędzałem z lokatorami i właścicielami mieszkań, tym bardziej dręczyła mnie potrzeba znalezienia odpowiedzi na podstawowe pytania pozostające jednak poza zakresem moich badań. Jak istotnym zjawiskiem jest eksmisja? Jakie są jej konsekwencje? Kto zostaje eksmitowany? Jeśli ubogie rodziny tak dużo wydają na mieszkanie, bez czego muszą się obchodzić? Zacząłem więc szukać badań, które odpowiedziałyby mi na te pytania. Miejska bieda, społeczności, slumsy – to tematy fundamentalne dla amerykańskiej socjologii od jej zarania. Przecież na pewno ktoś już się tym zajął.

Nie znalazłem jednak żadnej publikacji – ani żadnych ogólnodostępnych danych – dającej wyczerpującą odpowiedź na te moje pytania. Było to zaskakujące, szczególnie zważywszy na to, co dzień w dzień oglądałem w Milwaukee. Zastanawiałem się, jak to możliwe, że nasza społeczność badawcza przeoczyła tak fundamentalny aspekt biedy w Ameryce:

przemiany na prywatnym rynku mieszkaniowym. Jak sobie z czasem uświadomiłem, odpowiedź kryła się w tym, jak do tej pory zajmowaliśmy się kwestiami mieszkaniowymi. Badacze tematu ubóstwa w większości skupiali się na mieszkalnictwie komunalnym i innych politycznych podejściach do tej kwestii, albo w ogóle pomijali mieszkalnictwo, bardziej interesował ich bowiem charakter miejskich sąsiedztw, na przykład poziomy segregacji wśród mieszkańców czy opór przed gentryfikacją[9]. A tymczasem prywatny rynek najmu, na którym funkcjonowała lwia część biedoty, odgrywał dominującą i żywotną rolę w życiu rodzin, które poznałem w Milwaukee: pochłaniał gros ich dochodów; pogłębiał ich ubóstwo i niedostatki; prowadził do ich eksmisji, niepewności jutra, bezdomności; dyktował, gdzie i wśród kogo mogą mieszkać; a także potężnie wpływał na charakter i stabilność zamieszkiwanych przez nich sąsiedztw. A my nie wiedzieliśmy o nim prawie nic.

Próbowałem zignorować ten problem, chciałem cały czas przebywać wśród właścicieli i najemców, w terenie. Skoro jednak pytania wciąż czekały na odpowiedź, sam przystąpiłem do zbierania danych. Zacząłem od zaprojektowania ankiety dla lokatorów w segmencie mieszkalnictwa prywatnego w Milwaukee. Z początku była ona skromna, ale dzięki wsparciu Fundacji MacArthurów rozwinęła się w coś poważniejszego. Nadałem temu sondażowi nazwę Milwaukee Area Renters Study (Badania najemców rejonu Milwaukee), w skrócie MARS. Od 2009 do 2011 roku zawodowi ankieterzy przeszkoleni i nadzorowani przez Centrum Ankietowe Uniwersytetu Wisconsin, które składało mi raporty z wyników ich pracy, przepytali około tysiąca stu lokatorów w ich mieszkaniach. By umożliwić rozciągnięcie wniosków z danych na ogół populacji najemców w Milwaukee, ankiety przeprowadzano w gospodarstwach domowych na całym obszarze miasta. Dzierżąc podkładki i laptopy Lenovo ThinkPad, ankieterzy zapuszczali się nawet w najgorsze sąsiedztwa. Jeden z nich został pogryziony przez psa, a kiedy indziej napadnięty.

Dzięki heroicznym wysiłkom Centrum Ankietowego MARS miało niespotykanie wysoki wskaźnik odpowiedzi jak na badania przeprowadzane

w tak mobilnej i ubogiej populacji – osiemdziesiąt cztery procent. To, czego uczyłem się w trakcie badań terenowych, miało znaczny wpływ na dwieście pięćdziesiąt pytań w kwestionariuszu MARS – ważne było nie tylko to, o co pytałem, ale i sposób formułowania pytań. Na przykład w okresie spędzonym na placu przyczep dowiedziałem się, że niełatwo jest zapytać kogoś o powody przeprowadzki. Lokatorzy często uzasadniają przeprowadzkę tak, by maksymalnie podkreślić brak przymusu. Natomiast pytanie o przeprowadzki wymuszone pociągało za sobą osobne komplikacje, bo lokatorzy z reguły posługują się ostrymi kryteriami dla wyróżnienia tu eksmisji. Weźmy na przykład moich sąsiadów z placu przyczep, Rose i Tima. Musieli oni opuścić swoją przyczepę po tym, jak Tim doznał w pracy urazu kręgosłupa. Nie byli na rozprawie eksmisyjnej, ale niewątpliwie zostali eksmitowani (ich nazwiska widnieją w rejestrze eksmisji). Oni sami jednak patrzyli na to inaczej. „Kiedy mówisz «eksmisja» – tłumaczy Rose – widzę od razu ludzi szeryfa, którzy przyjeżdżają, wywalają cię na ulicę i wymieniają zamki w drzwiach, a tragarze z Eagle wyrzucają na chodnik twoje manele. To właśnie jest eksmisja. Nas nie eksmitowali”.

Gdyby zapytano ich w trakcie ankiety: „Czy byliście kiedykolwiek eksmitowani?”, Rose i Tim zaprzeczyliby. Stąd też sondaże, które zadają takie pytanie, znacznie nie doszacowują częstotliwości wymuszonych wyprowadzek z miejsca zamieszkania. Nauczyłem się formułować to pytanie inaczej, w świetle pojmowania tej kwestii przez samych lokatorów, i tak też zaprojektowałem ankietę.

Badania MARS dostarczyły nowych danych o mieszkalnictwie, mobilności mieszkańców, eksmisjach, miejskiej biedzie. Dane te prezentują jedyny pełny obraz statystycznej częstości wymuszonych przeprowadzek z miejsc zamieszkania wśród najemców w miastach. Gdy dokonałem odpowiednich obliczeń, wstrząsnęło mną odkrycie, że co ósmy wśród najemców w Milwaukee doświadczył przynajmniej jednej wymuszonej przeprowadzki – eksmisji formalnej czy nieformalnej, zajęcia mienia

właściciela bądź uznania budynku za niezdatny do zamieszkania – w ciągu dwóch lat poprzedzających udzielenie odpowiedzi na ankietę.

Badania wykazały też, że niemal połowę z tych wymuszonych przeprowadzek (czterdzieści osiem procent) stanowiły eksmisje nieformalne – nierejestrowane wysiedlenia, które nie przechodziły przez sąd, czyli sytuacje, kiedy właściciel płaci lokatorowi, żeby ten się wyniósł, albo paru osiłkom, żeby go wyrzucili. Formalne eksmisje występowały rzadziej, stanowiąc dwadzieścia cztery procent wymuszonych przeprowadzek. Kolejne dwadzieścia trzy procent wynikało z zajęcia nieruchomości za długi właściciela, a uznanie budynku za niezdatny do zamieszkania odpowiadało za pozostałe pięć procent[10].

Innymi słowy, na każdą eksmisję przeprowadzoną drogą sądową przypadają dwie inne, wykonane bez nadzoru sądu czy jakichkolwiek regularnych procedur. Oznacza to, że szacunki, które nie uwzględniają eksmisji nieformalnych, minimalizują skalę kryzysu w naszych miastach. Jeśli uwaga opinii publicznej i dostępne zasoby są skutkiem tego, jak powszechny zdaniem twórców polityki jest dany problem, to badania dające sztucznie zaniżane wyniki są więcej niż błędne – one szkodzą ludziom.

Wśród najważniejszych odkryć, które przyniosły badania MARS, są te dotyczące długofalowych konsekwencji eksmisji. Uzyskane dane powiązały eksmisje ze wzrostem niestabilności mieszkaniowej, mieszkaniami niespełniającymi standardów, spadkiem jakości życia w sąsiedztwach, a nawet utratą pracy. Ustalenia te pchnęły mnie do przeanalizowania konsekwencji eksmisji poprzez zbiór danych reprezentatywny dla całego państwa (badania Fragile Families and Child Wellbeing Study – Wrażliwe rodziny i dobrobyt dziecka), co wykazało, że eksmitowane matki cierpią z powodu zwiększonych niedostatków materialnych, jak również odbija się to na ich zdrowiu fizycznym i psychicznym.

Choć znacznie częstsze są eksmisje nieformalne, z rejestrów rozpraw eksmisyjnych także można się czegoś dowiedzieć. Dają nam one dokładny obraz częstotliwości i lokalizacji eksmisji formalnych w całym mieście.

Sięgnąłem więc po rejestry wszystkich spraw eksmisyjnych, do których doszło w Milwaukee w latach 2003–2013, a były ich setki tysięcy. Według tych oficjalnych danych co roku niemal połowa formalnych, orzeczonych przez sąd eksmisji, w Milwaukee dotyczy sąsiedztw zamieszkanych przeważnie przez czarnych. W tych sąsiedztwach kobiety są eksmitowane z dwukrotnie większym prawdopodobieństwem niż mężczyźni[11].

Na koniec zaprojektowałem jeszcze jedną ankietę, która pomogłaby mi ustalić, czemu jednym ludziom udawało się uniknąć eksmisji, a innym nie. Badania Milwaukee Eviction Court Study (Sondaż rozpraw eksmisyjnych w Milwaukee) polegały na osobistym ankietowaniu dwustu pięćdziesięciu lokatorów, którzy stawili się na rozprawach eksmisyjnych w ciągu sześciu tygodni stycznia i lutego 2011 roku (odpowiedzi udzieliło sześćdziesiąt sześć procent). Ankiety te, przeprowadzane natychmiast po rozprawach eksmisyjnych tych lokatorów, są niczym fotografia populacji eksmitowanych mieszkańców Milwaukee. Zebrane dane wykazują, że mediana wieku lokatora trafiającego na rozprawę eksmisyjną w Milwaukee wynosiła trzydzieści trzy lata. Najmłodsza wśród tych osób miała dziewiętnaście lat, a najstarsza sześćdziesiąt dziewięć. Mediana miesięcznych dochodów w gospodarstwie domowym lokatora trafiającego na rozprawę eksmisyjną wynosiła dziewięćset trzydzieści pięć dolarów, mniej więcej tyle samo co mediana sumy zaległości czynszowych. Ankietowanie uczestników rozpraw eksmisyjnych wykazało też, że eksmitowanych od niemal eksmitowanych dzieli znacznie więcej niż tylko kwota zaległości. Gdy przeanalizowałem te dane, okazało się, że nawet uwzględniwszy wysokość długu lokatora u właściciela – oraz inne czynniki, jak wysokość dochodów gospodarstwa domowego czy rasa – to obecność dzieci w gospodarstwie domowym niemal trzykrotnie zwiększała prawdopodobieństwo orzeczenia eksmisji lokatora. Jeśli chodzi o orzekanie eksmisji, mieszkanie wspólnie z dziećmi jest czynnikiem zwiększającym możliwość wydania takiego wyroku na równi z zaleganiem z czynszem przez cztery miesiące[12].

Rozmaite metody i źródła danych wykorzystane w tej książce wpływały na siebie w istotnym stopniu. Rozpocząłem ten projekt, mając zestaw kwestii, które zamierzałem zgłębić, ale w miarę postępów badań terenowych kierunki moich zainteresowań skręcały, niektóre zanikały. Inne nie zaświtałyby mi nawet, gdybym nie udał się w teren. Jednak dopiero po przeanalizowaniu rejestrów sądowych i danych z ankiet zobaczyłem ten problem w szerszej perspektywie: uchwyciłem skalę eksmisji w biednych sąsiedztwach, dostrzegłem rozróżnienia, stworzyłem katalog konsekwencji przeprowadzki. Przeprowadzenie działań ilościowych pozwoliło mi również ocenić, na ile reprezentatywne były moje spostrzeżenia. Kiedy tylko było to możliwe, przeprowadzałem swego rodzaju weryfikację statystyczną tego, co obserwowałem na poziomie jednostkowym, co umożliwiało określenie, czy zjawiska dostrzegane przeze mnie w terenie są także notowane w szerszych kręgach populacji. Gdy porównania z szerszymi danymi klarowały czy uściślały jakąś koncepcję, wracałem do notatek z obserwacji, by zidentyfikować mechanizmy odzwierciedlane w liczbach. Harmoniczne stosowanie tych metod sprawiało, że wzbogacały się one nawzajem. Każda z nich sprawiała też, że pozostałe przynosiły uczciwe rezultaty.

Poza szerszymi przedsięwzięciami, takimi jak przeprowadzanie specjalnie zaprojektowanych ankiet i analizy dużych zbiorów danych z rejestrów sądowych, zrobiłem też rozległą kwerendę w celu znalezienia dowodów na poparcie zasadności moich spostrzeżeń i pogłębienia mojego zrozumienia tematu. Przeanalizowałem powiadomienia o uciążliwości nieruchomości wystawione w ciągu dwóch lat przez Wydział Policji Miasta Milwaukee; uzyskałem dostęp do rejestrów ponad miliona połączeń z numerem alarmowym 911 w mieście Milwaukee; gromadziłem też rejestry czynszowe, protokoły rozpraw, dane archiwalne dotyczące ksiąg wieczystych, akta szkół i oceny psychologów.

Zebrane razem, te połączone źródła danych przedstawiają nowy obraz potężnego wpływu, jaki ma prywatny sektor mieszkaniowy na kształtowanie życia ubogich rodzin w Ameryce i ich szerszych

społeczności. Wykazały one, że problemy endemiczne wśród ubogich – niestabilność mieszkaniowa, rozległe niedostatki, koncentracja przestrzenna negatywnych czynników, różnice stanu zdrowia, nawet bezrobocie – rodzą się z braku dostępnych tanich mieszkań w naszych miastach. Wszystkie dane zebrane w ankietach upubliczniłem na portalu Harvard Dataverse Network[13].

Miejscem, w którym rozgrywa się akcja tej książki, jest Milwaukee. Największe miasto stanu Wisconsin nie jest każdym miastem, zdecydowanie jednak nie jest tak unikalne jak garstka pamiętnych, lecz wyjątkowych miejsc, którym dotąd przychodziło reprezentować doświadczenie życia miejskiego w Ameryce. Każde miasto tworzy własny ekosystem, w niektórych jednak ta odrębność jest znacznie wyraźniejsza. Milwaukee to całkiem typowa metropolia średnich rozmiarów, o całkiem typowym profilu socjoekonomicznym i rynku mieszkaniowym oraz całkiem typowych zabezpieczeniach dla najemców[14]. Zdecydowanie lepiej nadaje się, by reprezentować doświadczenia ludzi żyjących w Indianapolis, Minneapolis, Baltimore, St. Louis, Cincinnati, Gary, Raleigh, Utica i innych miastach pomijanych w ogólnonarodowym dyskursie, bo nie należą one do największych sukcesów Ameryki (jak San Francisco czy Nowy Jork) ani jej największych porażek (Detroit, Newark).

Nie zmienia to faktu, że ostatecznie to przyszli badacze stwierdzą, czy to, co ustaliłem w Milwaukee, sprawdza się również gdzie indziej. Tysiące pytań wymagają jeszcze odpowiedzi. Potrzebna nam jest solidna socjologia mieszkalnictwa wykraczająca poza ciasne spojrzenie na kwestie polityki i mieszkań komunalnych. Potrzebna nam nowa socjologia przesiedleń, rejestrująca w pełni skalę, przyczyny i konsekwencje eksmisji. Co być może najważniejsze, potrzebna nam też zaangażowana socjologia nierówności, obejmująca głębokie badania nad wyzyskiem i rynkami drenującymi.

Wciąż jednak zastanawiam się czasem, o co właściwie pytamy, kiedy pytamy, czy ustalenia badań da się też zastosować gdzie indziej.

Czyżbyśmy naprawdę wierzyli, że coś, co może się zdarzyć w Pittsburghu, nie ma prawa pojawić się w Albuquerque, w Memphis tak, ale w Dubuque nigdy? Dowody wskazywałyby raczej, że jest wręcz przeciwnie, szczególnie jeśli chodzi o problemy tak poważne i szeroko rozpowszechnione jak miejska bieda i wysokie koszty najmu. Badania przeprowadzałem w sercu dużego amerykańskiego miasta, a nie w odciętej od świata wiosce gdzieś w Polsce, zarośniętym jeżyną miasteczku w Montanie czy na Księżycu[15]. Liczba eksmisji w Milwaukee jest proporcjonalna do tych z innych miast, a ludzie wzywani na rozprawy eksmisyjne w sądzie w Milwaukee zdecydowanie przypominają tych, którzy stawiają się w sądach w Charleston czy na Brooklynie. Może kiedy pytamy, czy badania można „uogólnić", pytamy właściwie: czy rzeczywiście wszędzie jest aż tak źle? A może: czy naprawdę muszę się tym przejmować?

Ostatnimi czasy stało się tak, że etnografia pisana jest niemal wyłącznie pierwszoosobowo. To niepowikłana metoda pisarska, a i całkiem skuteczna. Jak zauważył kiedyś antropolog kultury Clifford Geertz, jeśli etnografowie chcą, by to, co piszą, było traktowane poważnie, muszą przekonać czytelników, że „byli przy tym". „I to właśnie wtedy, kiedy przekonują nas, że wydarzył się ten pozasceniczny cud – pisał Geertz – wkracza pisanie"[16]. Zadaniem tym obarczono osiołka w postaci narracji pierwszoosobowej. „Byłem tam. Widziałem, jak to się stało. A ponieważ widziałem, jak to się stało, możecie uwierzyć, że rzeczywiście tak było". Etnograf, w terenie nieznaczny, między okładkami książki pęcznieje, bo relacje pierwszoosobowe sugerują doświadczenie, a doświadczenie – autorytet.

Jednak narracja pierwszoosobowa nie jest jedyną techniką daną nam do dyspozycji[17]. Co więcej, możliwe, że dla uchwycenia esencji świata społecznego nadaje się najgorzej, ponieważ wszystko filtrowane jest przez ja. W narracji pierwszoosobowej zawsze widzimy i osoby obserwowane, i autora, przez co za każdym spostrzeżeniem ciągnie się reakcja na

obserwatora. Choćby autor dołożył wszelkich starań, etnografia pierwszoosobowa zawsze obraca się tyleż wokół badaczki w terenie, co wokół wszystkiego, co dane jej było zobaczyć. Nie zliczę dyskusji na temat dzieł etnograficznych czy reporterskich, przy których byłem obecny, a w których nie odnoszono się wcale do tematu książki, za to skupiano się na decyzjach autora, jego błędach czy „postawie etycznej". A po niemal każdej prezentacji akademickiej, którą wygłosiłem na podstawie materiałów wykorzystanych w tej książce, padały pytania typu: „Jak się pan czuł, widząc coś takiego?", „Jak udało się panu zdobyć taki dostęp?". To zasadne pytania, ale polujemy tu na grubszego zwierza. W tym bogatym kraju mamy do czynienia z niezmierzonym cierpieniem i ubóstwem. W czasach rozpasanych nierówności i rozpowszechnionego niedostatku, kiedy w całych Stanach widzi się głód i bezdomność, interesuje mnie inna debata, pilniejsza. Ja się nie liczę. Mam nadzieję, że kiedy będziecie rozmawiać o tej książce, to przede wszystkim o Sherrenie i Tobinie, o Arleen i Jorim, o Larraine, Scotcie i Pam, o Crystal i Vanetcie – i o tym, że gdzieś w waszym mieście jakaś rodzina właśnie została eksmitowana z mieszkania, że jej dobytek leży w stercie na chodniku.

Rezygnacja z narracji pierwszoosobowej wiąże się z pewnymi kosztami. W kontekście tej książki oznaczało to konieczność ukrycia sytuacji, w których moje interwencje wykraczały poza drobiazgi. Opisane tu są dwa takie przypadki. Kiedy „przyjaciel" wynajął dla Arleen ciężarówkę do samodzielnych przeprowadzek, żeby mogła się wyprowadzić z Trzynastej Ulicy, i kiedy Vanetta pożyczyła pieniądze od „przyjaciela" na zakup kuchenki i lodówki, gdy spodziewała się wizyty służb opiekuńczych, chodziło o mnie. Należy też pamiętać, że żaden z lokatorów występujących w tej książce nie miał samochodu. Ja tak, więc czasem woziłem ludzi po mieście, kiedy szukali mieszkania. Gdy tego nie robiłem, musieli liczyć na nieregularnie kursujące linie autobusowe albo wybierali się piechotą. Poszukiwania kolejnych mieszkań zajmowałyby tym rodzinom znacznie więcej czasu, gdyby nie możliwość korzystania z mojego auta (czy telefonu).

Nie płaciłem ludziom za wywiady ani za czas, który mi poświęcali. Zagadywali mnie o pieniądze, bo zagadywali o pieniądze każdego. Przestałem nosić portfel, nauczyłem się odmawiać tak, jak odmawiali wszyscy wokół. Jeśli miałem przy sobie parę dolarów, czasem je komuś dawałem. Z zasady jednak nie rozdawałem większych kwot.

W Milwaukee ludzie kupowali dla mnie żywność, a ja kupowałem ją dla nich. Kupowali mi prezenty, a ja kupowałem prezenty dla nich. Hinkstonowie posłali mnie raz do piwnicy, żebym spróbował przydzwonić w piec CO – a nuż zacząłby znów działać. Kiedy wyszedłem stamtąd, bez powodzenia, okazało się, że czeka na mnie tort urodzinowy. Raz Arleen kupiła mi puszkę ciastek i jedną z tych kartek okolicznościowych, które wygrywają durne melodyjki. Trzymałem ją w samochodzie i otwieraliśmy ją, kiedy chcieliśmy się pośmiać. Scott wciąż wysyła mojemu najstarszemu synowi kartki urodzinowe, w każdą wkłada banknot dziesięciodolarowy, tak samo robił, kiedy był bezdomny.

Dla każdego, kto prowadzi badania w terenie, opuszczenie go jest sztuką znacznie trudniejszą niż wejście. A najpoważniejszym dylematem moralnym nie jest to, jak reagować, kiedy proszą cię o pomoc, ale jak odpowiadać, kiedy dają ci tak wiele. Ludzie, których spotkałem w Milwaukee, błogosławili mi niezliczonymi dowodami szczodrości. Każdy z tych czynów przypomina mi, jak szlachetnie bronią się przed tym, by sprowadzać ich tylko do sumy niedostatków. Ubóstwo nie odebrało im człowieczeństwa.

Podziękowania

Ludziom, których poznałem w Milwaukee: dziękuję Wam za wszystko. Zapraszaliście mnie do swoich domów i miejsc pracy, nauczyliście tak wiele, że nie wszystko zdołałem tu opowiedzieć, byliście cierpliwi, odważni, szczodrzy i uczciwi.

Moja redaktorka Amanda Cook przeczytała tę książkę kilka razy i do wcześniejszych jej wersji spisała trzydzieści stron uwag z pojedynczą interlinią. Dziękuję ci, Amando, za Twoje genialne odczytania, szerokie horyzonty, autentyczną harówkę, a przede wszystkim za to, że załapałaś, dokąd zmierzam. Chciałbym też podziękować reszcie ekipy z Crown, w tym Molly Stern za jej poświęcenie dla porządnej literatury faktu i Emmie Berry za czujne oko.

Jill Kneerim, moja wnikliwa i rezolutna agentka, ściśle współpracowała ze mną przy formułowaniu propozycji wydawniczej tej książki, co było wymagającą harówką, ale wiele wyjaśniło. Mam u niej, i wszystkich w agencji Kneerim and Williams, olbrzymi dług wdzięczności.

Rozpocząłem ten projekt podczas studiów socjologicznych na Uniwersytecie Stanu Wisconsin w Madison. Mustafa Emirbayer, mój promotor i socjolog totalny, spędził nieprzeliczone godziny na lekturze moich prac i pchaniu mnie coraz dalej. Dziękuję, Mustafo, że tak wiele nauczyłeś mnie o tej sztuce. Robert Hauser wspierał tę pracę na wiele sposobów, w tym poprzez opłacenie mojego ostatniego semestru w Madison. Ruth López Turley oraz Felix Elwert szkolili mnie w statystyce i nie tylko. Timothy Smeeding powiązał moje koncepcje i ustalenia z wdrażanymi rozwiązaniami politycznymi. Chad Goldberg, Myra Marx Ferree, Douglas Maynard i Pamela Oliver służyli swoim czasem i wskazówkami.

Centrum Ankietowe Uniwersytetu Stanu Wisconsin pomogło mi zaprojektować i przeprowadzić badania nad najemcami w regionie Milwaukee (Milwaukee Area Renters Study, MARS) oraz badania rozpraw eksmisyjnych w Milwaukee (Milwaukee Eviction Court Study). Dziękuję całemu personelowi Centrum Ankietowego, a szczególnie Kerryann DiLoreto, Charliemu Palitowi, Jessice Price i Johnowi Stevensonowi, których pomoc wykraczała poza zakres obowiązków służbowych (i moje możliwości budżetowe).

Pisząc tę książkę, ogromne korzyści czerpałem z pomocy moich kolegów i studentów na Harvardzie. Chciałbym tu podziękować Bruce’owi Westernowi za lekturę całego rękopisu i fundamentalne ukształtowanie mojego sposobu myślenia o ubóstwie i sprawiedliwości w Stanach; Robertowi Sampsonowi, który pogłębił sposób, w jaki patrzę na miasta, przestępczość, oraz cele nauk społecznych; Williamowi Juliusowi Wilsonowi, który wytyczył plan i kibicował mi na każdym kroku; Kathryn Edin za rzetelne porady i zaraźliwy optymizm; Christopherowi Jencksowi za to, że nigdy nie przyjmował łatwych odpowiedzi; Devah Pager za klarowność myśli i szczodrego ducha; Christopherowi Winshipowi za pobudzające rozmowy na temat teorii, metod oraz powodowania zmian; i wreszcie Michèle Lamont, która rozciągnęła moje pojmowanie nierówności poza granice tego kontynentu. Mogłem też polegać na wnikliwości Williama Apgara, Mary Jo Bane, Jasona Beckfielda, Lawrence’a Bobo, Alexandry Killewald, Jane Mansbridge, Orlanda Pattersona, Jamesa Quane’a, Maria Smalla oraz Mary Waters. Deborah DeLaurell pomagała w nieprzeliczonych kwestiach, w tym poprzez uwagi do rękopisu. Nancy Branco i Dotty Lukas sprawnie radziły sobie z zarządzaniem grantem. Szczególne podziękowania należą się też pewnemu taksówkarzowi z Brisbane.

Przy tym projekcie towarzyszyło mi wielu niesamowitych pomocników badawczych i współpracowników. Dziękuję wam, Weihua An, Monico Bell, Thomasie Ferrissie, Carlu Gershensonie, Rachel Tolbert Kimbro, Barbaro Kiviat, Jonathanie Mijsie, Kristin Perkins, Tracey Shollenberger,

Adamie Travisie, Nicol Valdez, Nacie Wilmersie oraz Richelle Winkler. Jasmin Sanderson, zapoznawszy się z kompletnym tekstem, zgłosiła inteligentne uwagi.

Harvardzkie Towarzystwo Naukowe zapewniło mi ciepłe i pełne energii środowisko intelektualne, że nie wspomnę już o czasie na przemyślenia i pisanie. Szczególnie zobowiązany jestem wobec następujących osób z Towarzystwa: Daniela Aarona, Lawrence’a Davida, Waltera Gilberta, Joanny Guldi, Noah Feldmana, Sarah Johnson, Kate Manne, Elaine Scarry, Amartyi Sena, Maury Smyth, Rachel Stern, Williama Todda, Glena Weyla, Winnie Wong oraz Nura Yalmana. Kelly Katz i Diano Morse: dziękuję wam za gościnność i za to, że pozwoliłyście mi dokończyć pracę nad tą książką w Green House.

Na Wydziale Prawa Uniwersytetu Harvarda Esme Caramello i nieodżałowanej pamięci bohaterski David Grossman wpoili mi wiedzę o tym, co obiecuje ustawodawstwo dotyczące ubóstwa i jakie kryją się w nim pułapki. Anne Harrington, John Durant i wszyscy w Pforzheimer House dali mojej rodzinie i mnie samemu poczucie bycia w społeczności.

Znacznego wsparcia temu projektowi udzieliła Fundacja Johna D. i Catherine T. MacArthurów w ramach swojej inicjatywy „Dlaczego mieszkalnictwo jest istotne”, jak też Fundacja Forda, Amerykańskie Towarzystwo Filozoficzne, Narodowa Fundacja Naukowa, federalny Departament Mieszkalnictwa i Rozwoju Miast, Fundacja Horowitza na rzecz Polityki Socjalnej, Instytut Badań nad Ubóstwem, Fundusz Williama F. Miltona, Połączone Centrum Badań nad Mieszkalnictwem, Wydział Nauki i Sztuki Uniwersytetu Harvarda, jak również Centrum Polityki Socjalnej imienia Malcolma Wienera w Szkole Administracji imienia Johna F. Kennedy’ego.

Barry Widera z firmy Court Data Technologies pomógł mi zebrać setki tysięcy rekordów danych o eksmisjach. Jeffrey Blossom z Centrum Analiz Geograficznych Uniwersytetu Harvarda opatrzył olbrzymie zbiory danych geotagami i połączył je z szacunkami dotyczącymi zaludnienia. Chrissy Greer i Liza Karakashian dokonały precyzyjnej transkrypcji niełatwego

materiału etnograficznego. Chciałbym też podziękować Timowi Balleringowi, Davidowi Brittainowi, April Hartman, Michaelowi Kienitzowi, Maudwelli Kirkendoll i Bradleyowi Werginzowi, którzy w Wisconsin podzielili się ze mną swoją ekspercką wiedzą.

Gillian Brassil, moja zapamiętała i niestrudzona weryfikatorka faktów, uczyniła tę książkę lepszą. Michael Carliner odpowiedział na kilka pytań dotyczących danych o mieszkalnictwie i polityki mieszkaniowej. Marion Fourcade przez tydzień gościła mnie na Sciences Po, gdzie zacząłem rozpisywać konspekt tej książki na wielkich arkuszach papieru. Za wsparcie i bycie moimi przewodnikami intelektualnymi dziękuję również Elijahowi Andersonowi, Javierowi Auyerowi, Jacobowi Avery’emu, Vicki Been, Rogersowi Brubakerowi, Megan Comfort, Kyle’owi Crowderowi, Johnowi Diedrichowi, Mitchellowi Duneierowi, Ingrid Gould Ellen, Russellowi Englerowi, Josephowi „Piko” Ewoodowi juniorowi, Danielowi Fetterowi, Gary’emu Alanowi Fine’owi, Herbertowi Gansowi, Phillipowi Goffowi, Markowi Granovetterowi, Suzi Hall, Peterowi Hartowi-Brinsonowi, Chesterowi Hartmanowi, Christopherowi Herbertowi, Neilowi Fligsteinowi, Colinowi Jerolmackowi, Nikki Jones, Jackowi Katzowi, Shamusowi Khanowi, Ericowi Klinenbergowi, Issie Kohler-Hausmann, Johnowi Leviemu Martinowi, Kate McCoy, Alexandrze Murphy, Timowi Nelsonowi, Amandzie Pallais, Andrew Papachristosowi, Mary Pattillo, Victorowi Riosowi, Evie Rosen, Megan Sandel, Barbarze Sard, Hilary Silver, Adamowi Slezowi, Diane Vaughan, Loïcowi Wacquantowi, Christopherowi Wildemanowi, Evie Williams i Robbowi Willerowi.

Dziękuję recenzentom tej książki oraz dziesiątkom anonimowych czytelników związanych z nią artykułów naukowych. Wdzięczność jestem też winien następującym instytucjom, gdzie mogłem zaprezentować fragmenty tego projektu i zebrałem użyteczne opinie na jego temat: Amerykańskiemu Stowarzyszeniu Ludnościowemu, Amerykańskiemu Stowarzyszeniu Socjologicznemu, Australijskiemu Uniwersytetowi Państwowemu, Brytyjskiemu Stowarzyszeniu Socjologicznemu, Centrum Max Planck – Sciences Po, Centrum Polityki Mieszkaniowej, Centrum

Ubóstwa Wybrzeża Pacyfiku, Forum Prawodawstwa Ogólnokrajowej Koalicji na rzecz Mieszkalnictwa dla Osób o Niskich Przychodach, Harvard Business School, Harvard School of Public Health, King’s College w Londynie, London School of Economics, Massachusetts Institute of Technology, New York Law School, Sieci Sprawiedliwości w Mieszkalnictwie, Stowarzyszeniu Analiz i Zarządzania Polityką Społeczną, Stowarzyszeniu Spraw Miast, Université de Paris, Uniwersytetowi Browna, Uniwersytetowi Chicago, Uniwersytetowi Columbia, Uniwersytetowi Duke’a, Uniwersytetowi Georgii, Uniwersytetowi Harvarda i jego Wydziałowi Prawa, Uniwersytetowi imienia Brandeisa, Uniwersytetowi Marquette, Uniwersytetowi Michigan, Uniwersytetowi Northwestern, Uniwersytetowi Pensylwanii, Uniwersytetowi Purdue, Uniwersytetowi Queensland, Uniwersytetowi Rice, Uniwersytetowi Stanforda, Uniwersytetowi Stanu Kalifornia w Berkeley i Wydziałowi Prawa imienia Boalta, Uniwersytetowi Stanu Kalifornia w Los Angeles, Uniwersytetowi Stanu Nowy Jork w Buffalo, Uniwersytetowi Teksasu w Austin, Uniwersytetowi w Aarhus, Uniwersytetowi w Amsterdamie, Uniwersytetowi Waszyngtonu, Uniwersytetowi Wisconsin w Madison, Uniwersytetowi Yale i jego Wydziałowi Prawa, Uniwersytetowi York oraz Wydziałowi Prawa Uniwersytetu Nowojorskiego.

Książkę tę dedykuję mojej siostrze Michelle, która wciąż inspiruje mnie swoją nieskalaną ciekawością i serdecznością wobec biednych. Dziękuję wam, Shavon, Nicku i Maegan Desmondowie, za nieustające wsparcie i miłość. Dziękuję też wam, Sterlingu, Walterze, moje oczka w głowie, moja radości.

Tessa... cóż mam powiedzieć? Dzięki ci za to, że mnie osądzasz, że nadałaś tej pracy moc. Byłaś przy mnie w każdy czas i przepełnia mnie wdzięczność za twoją mądrość, ofiarność, miłość. „Stałość twa obieg mój uściśli / I każe skończyć, gdzie zacząłem”[1].

Just Shelter (Godne Schronienie)

Aby dowiedzieć się więcej o tym, jak pomagać rodzinom uchronić się przed eksmisją lub, kiedy już do niej dojdzie, ułatwiać im stanięcie na nogi, wejdź na www.justshelter.org.

Przypisy

Przypisy

Prolog. Zimne miasto

[1] Frances Fox Piven, Richard Cloward, *Poor People's Movements: Why They Succeed, How They Fail*, New York: Vintage, 1979, s. 53–55; St. Clair Drake, Horace Cayton, *Black Metropolis: A Study of Negro Life in a Northern City*, New York: Harcourt, Brace, and World, 1945, s. 85–86; Beryl Satter, *Family Properties: How the Struggle over Race and Real Estate Transformed Chicago and Urban America*, New York: Metropolitan Books, 2009. Choć nie istnieje reprezentatywny zbiór danych historycznych dotyczących eksmisji w całych Stanach, owe relacje z pierwszej połowy XX wieku przedstawiają eksmisje jako zdarzenia niezwykłe i wstrząsające. Istnieją jednak badania lokalne z drugiej połowy XX wieku wskazujące na niebagatelną częstość wymuszonych przesiedleń w miastach Stanów Zjednoczonych. Zob. Peter Rossi, *Why Families Move*, wyd. 2, Beverly Hills: Sage, 1980 [wyd. 1: 1955]; H. Lawrence Ross, *Reasons for Moves to and from a Central City Area*, „Social Forces" 1962, t. 40, s. 261–263.

[2] Rudy Kleysteuber, *Tenant Screening Thirty Years Later: A Statutory Proposal to Protect Public Records*, „Yale Law Journal" 2006, t. 116, s. 1344–1388.

[3] Szacunki te opierają się na wynikach badań ankietowych American Housing Survey (AHS) z lat 1991–2013. Są to wyliczenia zachowawcze, ponieważ nie uwzględniają rodzin zgłaszających żadnych dochodów pieniężnych ani tych, których dochody były równe lub niższe od kosztów mieszkania. W AHS odnotowywano rodziny najemców zgłaszające koszty mieszkania przekraczające 100 procent dochodów rodziny. Dla części gospodarstw domowych wynika to z udzielenia błędnej odpowiedzi na pytanie. Dla innych, w tym dla ludzi żyjących z oszczędności i tych, którzy rzeczywiście za mieszkanie i rachunki powinni płacić więcej, niż zarabiają, jest to fakt. Analizy gospodarstw domowych, które zgłosiły przekraczające 100 procent dochodu rodziny koszty mieszkania i rachunków za

media, wykazały, że tylko nieznaczna część tych gospodarstw zadeklarowała otrzymywanie jakiejś formy dopłat do czynszu (11 procent) lub rachunków (5 procent) – przy czym mogło to być wsparcie ciągłe lub jednorazowe. Jeśli uwzględnić gospodarstwa domowe zgłaszające, że łączny koszt mieszkania przekraczał 100 procent dochodu rodziny, okaże się, że w 2013 roku 70 procent ubogich rodzin wynajmujących wydawało ponad połowę dochodów na koszty mieszkania, a 53 procent – ponad 70 procent dochodów. Jeśli odliczyć te gospodarstwa, okaże się, że 51 procent ubogich rodzin wynajmujących wydawało na koszty mieszkania ponad 50 procent dochodów, a niemal ćwierć – ponad 70 procent dochodów. Faktyczna liczba znajduje się gdzieś pomiędzy wyliczeniami dla obu tych wariantów, co oznacza, że w 2013 roku od 50 do 70 procent ubogich rodzin wynajmujących wydawało na koszty mieszkania ponad połowę dochodów, a od 25 do 50 procent wydawało na ten cel co najmniej 70 procent dochodów.

Liczba gospodarstw domowych, w których koszty wynajmu wynosiły mniej niż 30 procent dochodów rodziny, spadła z 1,3 miliona w roku 1991 do 1,07 miliona w 2013, choć przez ten czas ogólna liczba gospodarstw domowych wynajmujących mieszkanie wzrosła o 6,3 miliona. W tym samym okresie liczba gospodarstw domowych wynajmujących mieszkanie, a wydających na ten cel co najmniej 70 procent dochodów, wzrosła z 2,4 miliona do 4,7 miliona (jeśli wliczyć gospodarstwa deklarujące koszty mieszkania przekraczające 100 procent dochodów) lub z 901 tysięcy do 1,3 miliona (jeśli ich nie uwzględnić).

Koszty mieszkania obejmują czynsz umowny, opłaty za media, ubezpieczenie nieruchomości, jak również opłaty parkingowe w parkach przyczep kempingowych. Natomiast przychód w tych wyliczeniach obejmuje sumę kwot wypłat z wszelkiego rodzaju stosunków pracy, zasiłków, a także różnorakiej pomocy w naturze (talonów żywnościowych), pobieranych przez najemcę, jego krewnych zamieszkujących pod tym samym dachem oraz przez „osobę istotną” mieszkającą w tym samym gospodarstwie domowym, ale niespokrewnioną z najemcą. Przy wyliczaniu obciążenia kosztami mieszkania dla potrzeb AHS wybrano tę definicję dochodów, czyli tak zwane dochody rodziny, w odróżnieniu od dochodów gospodarstwa domowego, by „w przybliżeniu ustalić, czyje dochody mogą być wykorzystywane dla potrzeb opłat mieszkaniowych i innych wspólnych kosztów utrzymania”. (Równocześnie definicje poziomu ubóstwa wykorzystywane przez AHS opierają się na dochodach gospodarstwa

domowego). Zob. Frederick Eggers, Fouad Moumen, *Investigating Very High Rent Burdens among Renters in the American Housing Survey*, Departament Mieszkalnictwa i Rozwoju Miast, Washington, DC 2010; Barry Steffen, *Worst Case Housing Needs 2011: Report to Congress*, Departament Mieszkalnictwa i Rozwoju Miast, Washington, DC 2013.

[4] Rejestry eksmisji hrabstwa Milwaukee za lata 2003–2007 oraz oszacowania liczby ludności firmy GeoLytics za lata 2003–2007; badania najemców z regionu Milwaukee (Milwaukee Area Renters Study, MARS) za lata 2009–2011. Szczegółowe objaśnienie metodologii w: Matthew Desmond, *Eviction and the Reproduction of Urban Poverty*, „American Journal of Sociology” 2012, t. 118, s. 88–133; Matthew Desmond, Tracey Shollenberger, *Forced Displacement from Rental Housing: Prevalence and Neighborhood Consequences*, *Demography*, w przygotowaniu do publikacji. W niniejszej książce posługuję się specjalnie przygotowanymi wagami, które pozwalają na uogólnienie szacunków dotyczących populacji najemców w Milwaukee. Wszystkie statystyki opisowe oparte na wynikach MARS są ważone.

W badaniach ankietowych American Housing Survey (AHS) dane o powodach przeprowadzek najemców zbiera się jako odpowiedzi na pytanie „Dlaczego wyprowadził/a się pan/pani z poprzedniego miejsca zamieszkania?”, a przedstawia się je w odniesieniu do ostatniej przeprowadzki tych najemców, którzy zmienili miejsce zamieszkania w ciągu poprzedniego roku. Według AHS za rok 2009 (tabela 4-11) spośród najemców z całego kraju, którzy zmienili miejsce zamieszkania w roku poprzednim od 2,1 do 5,5 procent zostało zmuszonych do opuszczenia poprzedniego lokum wskutek okoliczności prywatnych (na przykład właściciel wprowadził się do mieszkania, doszło do zmiany struktury własności na użytkowanie sezonowe), wysiedlenia przez władze (na przykład uznano lokal za niezdatny do zamieszkania) lub wskutek eksmisji. (Odsetek 2,1 procent dotyczy „głównego powodu przeprowadzki” wskazanego przez najemców, co nadmiernie ogranicza tę liczbę, ponieważ wykluczyłoby wszystkich tych, którzy musieli się przeprowadzić wbrew woli, ale jako „główny” powód przeprowadzki wskazali jakiś inny czynnik, na przykład kiepskie warunki mieszkaniowe. Odsetek 5,5 procent odnosi się do wszystkich podanych powodów przeprowadzki, przez co może prowadzić do podwójnego uwzględnienia niektórych najemców,

wskazujących więcej niż jeden powód wymuszonej zmiany adresu. Dlatego też najbardziej adekwatna liczba leży gdzieś pomiędzy tymi dwoma wyliczeniami). Według badań MARS za lata 2009–2011 10,8 procent ostatnich przeprowadzek najemców, do których doszło w ciągu poprzedniego roku, nastąpiło pod przymusem. Moje szacunki są wyższe – i dokładniejsze – ponieważ badania MARS uwzględniają eksmisje nieformalne. Jeśli odliczyć te ostatnie, moje szacunki spadają do 3 procent, co jest zbieżne z wyliczeniami na podstawie AHS. AHS, podobnie jak większość badań dotyczących ubóstwa, pokazuje, że istotnie zanika częstotliwość wymuszonego opuszczania lokali przez najemców, ponieważ opiera się na pytaniach otwartych, niedostatecznie wychwytujących eksmisje nieformalne, gdyż wielu najemców nie uważa ich za rzeczywiste „eksmisje".

[5] Ogólnokrajowe szacunki dotyczące odsetka ubogich rodzin najemców niezdolnych opłacić całego czynszu lub spodziewających się rychłej eksmisji pochodzą z badań American Housing Survey za rok 2013, tabela S-08-RO, gdzie wskazano również, że ponad 2,8 miliona wynajmujących mieszkania gospodarstw domowych w Stanach uważało swoją eksmisję w ciągu najbliższych dwóch miesięcy za „bardzo prawdopodobną" lub „całkiem prawdopodobną". Chester Hartman i David Robinson (*Evictions: The Hidden Housing Problem*, „Housing Policy Debate" 2003, t. 14, s. 461–501, tu s. 461) szacują, że liczba Amerykanów poddawanych w danym roku eksmisji „to prawdopodobnie wiele milionów". Zob. też: Kathryn Edin, Laura Lein, *Making Ends Meet: How Single Mothers Survive Welfare and Low-Wage Work*, New York: Russell Sage Foundation, 1997, s. 53.

W kwestii oszacowań liczby eksmisji w skali kraju: Sąsiedzkie Ambulatorium Prawnicze przy Wydziale Prawa Uniwersytetu Wisconsin zaczęło rejestrować pozwy eksmisyjne na poziomie poszczególnych stanów. [Pozew eksmisyjny (wniosek do sądu o rozpatrzenie sprawy o eksmisję) to co innego niż wyrok eksmisyjny (sądowy nakaz opuszczenia zajmowanego lokalu). W każdym mieście liczba pozwów jest wyższa od liczby wyroków. Moje szacunki dotyczące odsetka eksmisji nakazywanych przez sądy w Milwaukee opierają się na liczbie wyroków, które to dane znacznie trudniej jest uzyskać i potwierdzić dla innych miast]. W roku 2012 liczby te wyglądały następująco: Alabama – 22 824 pozwy eksmisyjne złożone w sądzie (4,8 miliona mieszkańców); Minnesota – 22 165 pozwów

eksmisyjnych złożonych w sądzie (5,4 miliona mieszkańców); Oregon – 23 452 pozwy eksmisyjne złożone w sądzie (3,9 miliona mieszkańców); Waszyngton – 18 060 pozwów eksmisyjnych złożonych w sądzie (6,9 miliona mieszkańców); Wisconsin – 28 533 pozwy eksmisyjne złożone w sądzie (5,7 miliona mieszkańców). O szacunkach liczby eksmisji w miastach innych niż Milwaukee zob. Epilog. W kwestii określania skali wymuszonych zmian miejsca zamieszkania zob. Matthew Desmond, Tracey Shollenberger, *Forced Displacement from Rental Housing*, dz. cyt.; Chester Hartman, David Robi, *Evictions: The Hidden Housing Problem*, dz. cyt.

1. W branży posiadania miasta

[1] Mediana rocznych dochodów w gospodarstwach domowych wynajmujących mieszkania w Milwaukee wynosi 30 398 dolarów, niemal 5500 dolarów mniej, niż wynosi mediana dla całej ludności miasta. Por. Nicolas Retsinas, Eric Belsky, *Revisiting Rental Housing*, Brookings Institution Press and the Harvard University Joint Center for Housing Studies, Washington, DC 2008.

[2] W tym mieście wybór sąsiedztwa, w którym kupi się dom, zależy od tego, co człowiek sobą reprezentuje, szczególnie w kwestii rasy. Właściciele nieruchomości w Milwaukee najczęściej odzwierciedlają rasową czy etniczną tożsamość swoich lokatorów. Biali najemcy w tym mieście najczęściej (87 procent przypadków) wynajmują od białych właścicieli, a czarni – w 51 procentach przypadków od czarnych. Jednak ogółem niemal co piąty najemca płaci czarnemu właścicielowi, a niemal co dziewiąty – latynoskiemu.

Wśród latynoskich najemców mniej więcej połowa wynajmowała od latynoskich właścicieli, podobnie jak od białych, przy czym 41 procent latynoskich najemców w Milwaukee wierzy, że właściciel ich mieszkania urodził się poza granicami Stanów Zjednoczonych. Wynajmowanie mieszkań od dawna było dla imigrantów sposobem na wniknięcie w szeregi amerykańskiej klasy średniej. W początkach XX wieku polscy imigranci w Milwaukee jęli się procederu podnoszenia na lewarach swoich domów, budowania mieszkań w suterenach i wynajmowania ich chętnym. Kiedy dzielnica South Side z polskiej stała się latynoską, to imigranci z Meksyku i Puerto Rico zaczęli oferować najem tych „polskich mieszkań”. Zob. John

Gurda, *The Making of Milwaukee*, wyd. 3, Milwaukee: Milwaukee County Historical Society, 2008 [wyd. 1: 1999], s. 173.

W odróżnieniu od minionych dekad, kiedy właścicielami mieszkań w centrum miasta byli z reguły biali, im głębiej zapuszcza się teraz człowiek w centrum, tym bardziej prawdopodobne, że trafi na czarnego właściciela: w rejonach, gdzie Afroamerykanie stanowią co najmniej dwie trzecie mieszkańców, trzy czwarte najemców płaci czarnemu właścicielowi. O białych właścicielach lokali w czarnych dzielnicach w minionych czasach zob. St. Clair Drake, Horace Cayton, *Black Metropolis*, dz. cyt., s. 718.

Lokatorzy w Milwaukee wynajmują mieszkania najczęściej od mężczyzn (82 procent lokatorów w Milwaukee deklaruje najmowanie lokalu od pojedynczej osoby, a nie małżeństwa, przy czym 62 procent tych indywidualnych właścicieli to mężczyźni). Sherrena odstaje więc od normy. Kiedy jednak wysiadała z samochodu przed domem Lamara, jako czarna właścicielka udająca się na spotkanie z czarnymi lokatorami, było to zjawisko jak najbardziej normalne, a nie wyjątkowe. Dane za Milwaukee Area Renters Study za lata 2009–2011.

[3] Nie byłem świadkiem tego zajścia. Przebieg wydarzeń odtworzyłem dzięki wywiadom z Sherreną, Quentinem i pracownikami socjalnymi z organizacji pozarządowej Community Advocates.

[4] Z tej grupy mniej więcej co siódmej rodzinie rzeczywiście odcina się prąd. Rodzina wynajmująca walący się dom przy niebezpiecznej ulicy płaci niższy czynsz niż zamożni ludzie mieszkający w luksusowym lofcie w dobrej dzielnicy – ale często ich rachunki za media są w zbliżonej wysokości. Zdarza się, że ludzie żyjący w najgorszych z dostępnych na rynku lokalach płacą za media więcej niż ci mieszkający w najlepszych warunkach, bo nie stać ich na nowe budownictwo z grubą izolacją termiczną i podwójnymi szybami w oknach ani na energooszczędne sprzęty domowe. W skali kraju dla rodzin wynajmujących mieszkanie i opłacających rachunki, a dysponujących dochodami poniżej 15 000 dolarów rocznie średnia wysokość miesięcznego rachunku za prąd wynosi 116 dolarów. Dla tych, których dochody przekraczają 75 000 dolarów, jest to 151 dolarów. Bureau of Labor Statistics, *Consumer Price Index* (Wskaźnik cen konsumenckich) za lata 2000–2013; badania American Housing Survey za rok 2013, tabela S-08-R0; Michael Carliner, *Reducing Energy Costs in Rental Housing: The Need and the Potential*, Joint Center for Housing Studies of Harvard University, Cambridge 2013.

[5] Spółka energetyczna We Energies, której region działania rozciąga się poza Milwaukee na położone na Górnym Półwyspie części stanów Wisconsin i Michigan, rozpatruje rocznie około 4000 przypadków kradzieży (wymiana korespondencji z Brianem Mantheyem z We Energies, 22 lipca 2014). Zob. Peter Kelly, *Electricity Theft: A Bigger Issue than You Think*, „Forbes", 23 kwietnia 2013; *Using Analytics to Crack Down on Electricity Theft*, „CIO Journal" – segment „Wall Street Journal", 2 grudnia 2013.

[6] Moratorium dotyczy domów ogrzewanych zarówno prądem, jak i gazem. Szacunki dotyczące odcinanych domostw pochodzą z wymiany korespondencji z Brianem Mantheyem z We Energies, 24 lipca 2014. O liczbie eksmisji w poszczególnych miesiącach zob. Matthew Desmond, *Eviction and the Reproduction of Urban Poverty*, dz. cyt., rys. A2.

2. Mieć na czynsz

[1] John Gurda, *The Making of Milwaukee*, s. 421–422, por. też s. 416–418; Sammis White i in., *The Changing Milwaukee Industrial Structure, 1979–1988*, Milwaukee: University of Wisconsin–Milwaukee Urban Research Center, 1988.

[2] William Julius Wilson, *The Truly Disadvantaged: The Inner City, the Underclass, and Public Policy*, wyd. 2, Chicago: University of Chicago Press, 2012 [wyd. 1: 1987]; Marc Levine, *The Crisis Continues: Black Male Joblessness in Milwaukee*, Milwaukee: University of Wisconsin–Milwaukee, Center for Economic Development, 2008.

[3] Jason DeParle, *American Dream: Three Women, Ten Kids, and the Nation's Drive to End Welfare*, New York: Penguin, 2004, s. 16, 164–168.

[4] Wydział Spraw Dzieci i Rodzin Stanu Wisconsin, *Rights and Responsibilities: A Help Guide*, 2014, s. 6.

[5] Nie byłem świadkiem rozmowy Lamara z pracownikiem pomocy społecznej. Cytat pochodzi z relacji Lamara z tej rozmowy. Nie byłem też świadkiem malowania mieszkania po Patrice. Scenę tę zrekonstruowałem na podstawie rozmów z Lamarem, jego synami i chłopcami z sąsiedztwa.

[6] Życie z wynajmu nieruchomości należy do ostatnich niedobitków kapitalizmu w modelu rodzinnym w Stanach. Posiadłości na wynajem przechodzą z ojca na syna, nierzadko więc zdarza się spotkać kogoś, kto zajmuje się tym interesem w drugim albo i czwartym pokoleniu. Zob. Daniel Bell, *The End of Ideology: On the Exhaustion of Political Ideas in the Fifties*, New York: Collier Books, 1961, rozdział 2.

[7] Badania z lat sześćdziesiątych XX wieku wykazały, że 80 procent lokali pod wynajem w Newark w stanie New Jersey należało do ludzi, dla których dochody z czynszu

stanowiły mniej niż trzy czwarte ogólnych dochodów. George Sternlieb, *The Tenement Landlord*, New Brunswick: Rutgers University Press, 1969.

[8] A miało to miejsce w czasie, kiedy liczba zatrudnionych ogółem w Stanach wzrosła zaledwie o 50 procent. David Thacher, *The Rise of Criminal Background Screening in Rental Housing*, „Law and Social Inquiry" 2008, t. 33, s. 5–30.

[9] Wyliczenia autora na podstawie klasyfikacji HD1394 w katalogu Biblioteki Kongresu (posiadłości pod wynajem, zarządzanie nieruchomościami). Pomysł tego porównania zawdzięczam Thacherowi, za jego artykułem *The Rise of Criminal Background*, dz. cyt.

[10] W roku 2009 w centrum Milwaukee średni czynsz za mieszkanie z dwiema sypialniami wynosił 550 dolarów plus opłaty. Za pokój umeblowany w tej samej okolicy płaciło się średnio 400 dolarów, z opłatami wliczonymi w stawkę. Nierzadko prowadzenie pokoi umeblowanych daje wyższy margines zysku. Milwaukee Area Renters Study, 2009–2011.

3. Zimny prysznic

[1] W dotychczasowych publikacjach akademickich opisywałem ten plac przyczep pod kryptonimem. Tutaj używam jego prawdziwej nazwy.

[2] Patrick Jones, *The Selma of the North: Civil Rights Insurgency in Milwaukee*, Cambridge: Harvard University Press, 2009, s. 1, 158, 176–177, 185; *Upside Down in Milwaukee*, „New York Times", 13 września 1967.

[3] O dziejach Latynosów w Milwaukee zob. John Gurda, *The Making of Milwaukee*, dz. cyt., s. 260. O segregacji rasowej zob. John Logan, Brian Stults, *The Persistence of Segregation in the Metropolis: New Findings from the 2010 Census*, Washington, DC: Federalny Urząd Spisów Powszechnych, 2011; Harrison Jacobs, Andy Kiersz, Gus Lubin, *The 25 Most Segregated Cities in America*, „Business Insider", 22 listopada 2013.

[4] Kwota ta wyliczona jest na podstawie zestawień wpłat czynszu z placu przyczep za okres od kwietnia do lipca 2008 roku (Lenny Lawson pozwolił mi je skopiować). Ponieważ szacunki zadłużeń sporządzono na podstawie danych z miesięcy letnich, kiedy najwięcej jest zadłużonych i eksmisji, jest to wartość zawyżona.

[5] Nie byłem osobiście obecny przy tej rozmowie, ale odtworzyłem jej szczegóły dzięki rozmowom z Jerrym, Lennym i innymi mieszkańcami placu przyczep. Zacytowana wypowiedź pochodzi wprost z relacji Jerry'ego.

[6] Tobin szukał później kruczka, który pozwoliłby mu eksmitować Phyllis, choć ta płaciła czynsz miesiąc w miesiąc. Lenny podpowiadał, żeby wręczyć jej powiadomienie o eksmisji za posiadanie psa. Umowy najmu u Tobina, trzy strony wypłowiałych i gęsto

naściubionych kapitalików, stanowiły wyraźnie: żadnych psów czy zwierząt gospodarskich. Wielu lokatorów trzymało jednak zwierzęta, ponieważ Tobin i Lenny powiedzieli im, że to dozwolone. „Generalnie nie patrzę, nie widzę” – mawiał Tobin. Lenny sugerował, żeby przestać trzymać się ustaleń na gębę i egzekwować to, co mieli na piśmie. Zapisy umowy najmu zakazywały również spożywania alkoholu na terenie placu.

4. Piękne inkaso

[1] W całej historii Stanów Zjednoczonych politycy miejscy próbowali okiełznać władzę właścicieli mieszkań i polepszyć życie lokatorom, narzucając reguły – od wyburzeń slumsów po egzekwowanie przepisów prawa budowlanego – jak gdyby podstawowym problemem nie była powszechność biedy w Ameryce i niedostatek tanich mieszkań, lecz nieład i niedostateczna skuteczność działań. Często pociąga to za sobą nieprzewidziane konsekwencje, pogarszające sytuację lokatorów. Marc Bloch, *Społeczeństwo feudalne*, przeł. Eligia Bąkowska, Warszawa: Państwowy Instytut Wydawniczy, 1981, s. 254–255; Beryl Satter, *Family Properties*, dz. cyt., s. 135–145.

[2] Najsilniejszym wyrazem sprawowania przez kogoś władzy nad ziemią jest akt wygnania. Być może najwcześniejsza eksmisja odnotowana w dziejach ludzkości dotyczyła Adama i Ewy. Zob. Lewis Mumford, *The City in History: Its Origins, Its Transformations, and Its Prospects*, New York: MJF Books, 1961, s. 107–110. O związku między suwerennością a wysiedleniami zob. Hannah Arendt, *Korzenie totalitaryzmu*, przeł. Daniel Grinberg, Mariola Szawiel, Warszawa: NOWA, 1989.

[3] To typowo amerykańskie pragnienie posiadania domu widzi się równie wyraźnie wśród ubogich, jak i wśród przedstawicieli klasy średniej. Od czasów pionierskich swoboda, obywatelstwo i własność gruntu są nierozłącznie splecione w umysłach Amerykanów. Być Amerykaninem znaczy posiadać grunt. Co do dzierżawy, to „kłóci się ona z wolnością”, oświadczył przed Kongresem w roku 1820 Thomas Hart. „Kładzie ona kamień węgielny pod rozdzielenie stanów w społeczeństwie, unicestwia umiłowanie ojczyzny oraz osłabia ducha niezależności”. Cytaty za: Lawrence Vale, *From the Puritans to the Projects: Public Housing and Public Neighbors*, Cambridge: Harvard University Press, 2000, s. 96.

[4] Na przykład wskaźnik wolnych mieszkań z czynszem od 300 do 349 dolarów w skali kraju spadł z niemal 16 procent w roku 2004 do niespełna 6 procent w 2011. Obliczenia autora na podstawie Current Population Survey za lata 2004–2013.

[5] Odsetek wolnych przyczep na placu na podstawie czynszów Lenny’ego (kwiecień–lipiec 2008).

[6] Do tej sceny doszło, nim rozpocząłem badania, więc nie byłem jej świadkiem. Cytat przytaczam za relacją Pam.

5. Trzynasta Ulica

[1] W 1997 roku federalny wskaźnik Godziwego Czynszu Rynkowego (Fair Market Rent, FMR) dla Milwaukee – koszt czynszu i opłat za media, odpowiadający czterdziestemu centylowi rozkładu czynszów w mieście – wynosił 466 dolarów za kawalerkę. Gdyby Arleen wynajmowała takie mieszkanie, zostawałyby jej co miesiąc 162 dolary. Dziesięć lat później FMR dla kawalerki wynosił 608 dolarów, a czek z zasiłkiem dalej opiewał na 628 dolarów, musiałaby więc wynaleźć jakiś sposób, żeby przeżyć cały miesiąc za 20 dolarów. Dane dotyczące FMR i wysokości zasiłków pochodzą z federalnego Departamentu Mieszkalnictwa i Rozwoju Miast, Wydziału Spraw Dzieci i Rodzin Stanu Wisconsin oraz Wydziału Równouprawnienia Stanu Wisconsin. W kwestii praktycznej niemożności przeżycia z samych zasiłków więcej w: Kathryn Edin, Laura Lein, *Making Ends Meet*, dz. cyt.

[2] W roku 2013 około 3900 rodzin w Milwaukee korzystało z mieszkań komunalnych, około 5800 otrzymywało talony mieszkaniowe. Około 105 tysięcy rodzin wynajmuje w tym mieście mieszkania. Zob. Georgia Pabst, *Waiting Lists Soar for Public Housing, Rent Assistance*, „Milwaukee Journal Sentinel”, 10 sierpnia 2013.

[3] Adrianne Todman, *Public Housing Did Not Fail and the Role It Must Play in Interrupting Poverty*, Uniwersytet Harvarda, seminarium „Nierówności i polityka społeczna”, 24 marca 2014.

[4] Życie najuboższym jeszcze bardziej utrudnia to, że obcięcie federalnego wsparcia mieszkaniowego zbiegło się z powstaniem systemu zasiłków uzależnionego od zatrudnienia, gdzie pomoc dla rodzin pracujących trafia przez programy typu kredytowania podatku dochodowego od zarobków czy rezerwowania mieszkań komunalnych dla rodziców pracujących na nisko płatnych posadach. W rezultacie rodziny tuż ponad i pod granicą ubóstwa otrzymują obecnie znacznie większą pomoc niż 20 lat temu, ale ci zdecydowanie poniżej tej granicy – o wiele mniejszą. Zarówno zasiłki, jak i wsparcie mieszkaniowe dla osób w głębokim ubóstwie zostały zredukowane. O kwestii prawidłowości w wydawaniu pieniędzy zob. Janet Currie, *The Invisible Safety Net: Protecting the Nation’s Poor Children and Families*, Princeton, Princeton University Press, 2008; Robert Moffitt, *The Deserving Poor, the Family, and the US Welfare System*, „Demography” 2015, t. 52, s. 729–749. O kwestii rozziewu między skalą wsparcia mieszkaniowego a zapotrzebowaniem zob. Danilo Pelletiere, Michelle Canizio, Morgan Hargrave, Sheila Crowley, *Housing Assistance for Low Income Households: States Do Not Fill the Gap*, Ogólnokrajowa Koalicja na rzecz Mieszkalnictwa dla Osób o Niskich Przychodach, Washington, DC 2008; Douglas Rice, Barbara Sar, *Decade of Neglect Has Weakened Federal Low-Income Programs: New Resources Required to Meet Growing Needs*, Washington, DC: Center on Budget and Policy Priorities, 2009.

[5] Nie byłem obecny przy tym zdarzeniu. Zajście zrekonstruowałem na podstawie wywiadów z Arleen i Trishą.

[6] Lista wniosków do Wydziału Mieszkalnictwa Milwaukee o wsparcie mieszkaniowe dla po prostu biednych rodzin jest zamknięta i przekracza możliwości realizacji, ale wydział ma stale otwarte kolejki do wsparcia dla osób starszych o niskich dochodach oraz dla niepełnosprawnych. Wydział Mieszkalnictwa może jednak odrzucić nawet i taki wniosek, jeśli petent był notowanym przestępcą, jest osobą uzależnioną od narkotyków lub zdarzyło się mu niepłacenie czynszu. Wydział Mieszkalnictwa Miasta Milwaukee, Procedura aprobowania i przedłużania umów lokatorskich. (Admissions and Continued Occupancy Policy, ACOP), październik 2013, dział 7.4: Podstawy do odrzucenia wniosku.

[7] Kiedy świadczona przez stany pomoc potrzebującym została zredukowana, w dzielnicach biedoty w całym kraju pojawiły się agencje pokroju firmy Belindy, wypełniając powstałą niszę. Niektóre działają charytatywnie, inne to regularne przedsiębiorstwa. Lester Salamon, *The Rise of the Nonprofit Sector*, „Foreign Affairs 1994, t. 73, s. 111–124, 109; John McKnight, *The Careless Society: Community and Its Counterfeits*, New York: Basic Books, 1995; Jennifer Wolch, *The Shadow State: Government and Voluntary Sector in Transition*, New York: The Foundation Center, 1990. Prace z zakresu etnografii miejskiej publikowane w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX wieku uderzająco rzadko wspominają o służbach socjalnych. Kiedy czyta się te opisy, nie da się nie dojść do wniosku, że 50 lat temu pracownicy socjalni nie mieli większego znaczenia w życiu miejskiej biedoty. Carol Stack w *All Our Kin: Strategies for Survival in a Black Community* (New York: Basic Books, 1974) wzmiankuje tylko o jednym pracowniku socjalnym, prawie nic nie pisze też o służbach opieki nad dziećmi czy innych tego typu agendach. Także w książce *Tally's Corner* opublikowanej przez Liebowa w roku 1967 nie znajdzie się nic o działalności urzędów pracy czy doradców zatrudnieniowych, choć rzecz dotyczy (głównie) bezrobotnych czarnych mężczyzn. Zob. Elliot Liebow, *Tally's Corner: A Study of Negro Streetcorner Men*, Boston: Little, Brown and Company, 1967.

[8] Kiedy prawodawcy dokonali reformy systemu opieki społecznej, narzucili stanom obowiązek nakładania na odbiorców zasiłku z programu Czasowego Wsparcia Potrzebujących Rodzin sankcji – które obejmowałyby obcięcie zasiłku, w całości lub w części – przyłapanym na niestosowaniu się do regulaminu. Kiedy w Wisconsin uruchomiono program W-2, w ciągu pierwszych czterech lat takie sankcje dotknęły niemal dwóch trzecich objętych nim osób. Chi-Fang Wu, Maria Cancian, Daniel Meyer, Geoffrey Wallace, *How Do Welfare Sanctions Work?*, „Social Work Research" 2006, t. 30, s. 33–50; Matthew Fellowes, Gretchen Rowe, *Politics and the New American Welfare States*, „American Journal of Political Science" 2004, t. 48, s. 362–373; Richard Fording, Joe Soss, Sanford Schram, *Race and the Local Politics of Punishment in the New World of Welfare*, „American Journal of Sociology" 2011, t. 116, s. 1610–1657.

6. Nora

[1] Pełny opis modelowania i metodologii w: Matthew Desmond, Carl Gershenson, Barbara Kiviat, *Forced Relocation and Residential Instability among Urban Renters*, „Social Service Review” 2015, t. 89, s. 227–262. Lokatorów objętych Milwaukee Area Renters Study (MARS) sklasyfikowano jako doświadczających długotrwałych problemów mieszkaniowych, jeśli w roku poprzedzającym ankietowanie dotknął ich którykolwiek z poniższych problemów: a) popsuta kuchenka lub inny sprzęt AGD, b) wybite okno, c) wyłamane drzwi wejściowe lub popsuty zamek, d) myszy, szczury czy inne szkodniki, e) odkryte przewody lub inne problemy z elektrycznością trwające co najmniej 3 dni, jak również f) brak ogrzewania, g) brak bieżącej wody lub h) niedrożna kanalizacja przez co najmniej 24 godziny. By ocenić skutki wymuszanej przeprowadzki, posłużyliśmy się modelami regresji podwójnie odpornej, które korzystały z dopasowania dokładnego według procedury CEM. W tych analizach uwzględniono także lokatorów subsydiowanych talonami mieszkaniowymi.

[2] O ile przymusowa przeprowadzka z definicji powoduje niestabilność zamieszkania, o tyle wpływ wymuszonych przenosin na niestabilność zamieszkania może sięgnąć dalej niż zmiana lokum natychmiast po eksmisji. Kluczowym mechanizmem łączącym bezpośrednią (wymuszoną) przeprowadzkę po eksmisji z późniejszą, pośrednią (dobrowolną) jest niezadowolenie z warunków zamieszkania, ponieważ osoby wyprowadzające się pod przymusem często godzą się na niedostateczne warunki mieszkaniowe, potem jednak starają się przenieść do lepszego lokum. Analiza danych z Milwaukee Area Renters Study z użyciem podwójnie odpornej regresji na zbiorze danych przetworzonym z zastosowaniem brutalizowanych dokładnych dopasowań wykazała, że najemcy, którzy doświadczyli przymusowej przeprowadzki, wkrótce dokonywali przeprowadzki niewymuszonej z prawdopodobieństwem większym o 24 punkty procentowe od tych, którzy nie doznali wymuszonego przesiedlenia. W dodatku 53 procent najemców, którzy doświadczyli przymusowej przeprowadzki, przypisywało swoje ostatnie przenosiny chęci zamieszkania w lepszym lokum czy w lepszym sąsiedztwie – wśród tych, którzy dwa razy z rzędu przeprowadzili się bez przymusu, odsetek ten wynosił tylko 34 procent. Innymi słowy, ci, którzy przeprowadzali się z własnej woli po tym, jak najpierw uczynili to pod przymusem, zdecydowanie częściej wymieniali problemy z mieszkaniem czy sąsiadami jako przyczynę przeprowadzki niż ci, którzy i teraz, i wcześniej zmieniali mieszkanie z własnej woli. Nie dość, że ubodzy najemcy doświadczają wymuszonych przeprowadzek nieproporcjonalnie często, to jeszcze sama wymuszona zmiana miejsca zamieszkania powoduje dalszą mobilność mieszkaniową. Zob. Matthew Desmond, Carl Gershenson, Barbara Kiviat, *Forced Relocation*, dz. cyt.

[3] Jane Jacobs, *Śmierć i życie wielkich miast Ameryki*, przeł. Łukasz Mojsak, Warszawa: Fundacja Centrum Architektury, 2014, s. 49; Robert Sampson, *Great American City: Chicago and the Enduring Neighborhood Effect*, Chicago: University of Chicago Press,

2012, szczególnie s. 127, 146–147, 151, 177, 231–232. Spojrzenie etnografa na użytkowanie przestrzeni publicznej w: Mitchell Duneier, *Sidewalk*, New York: Farrar, Straus and Giroux, 1999.

[4] Jane Jacobs, *Śmierć i życie wielkich miast Ameryki*, dz. cyt., s. 284, wyróżnienie moje.

[5] Owa taktyka, o ile rzeczywiście była rozmyślna, potrafiła przynieść skutki odwrotne od oczekiwanych, kiedy lokatorzy nie zgłaszali problemów zagrażających dochodom Sherreny i Quentina, jak wiecznie pobierająca wodę spłuczka.

[6] Właściciele mieszkań są zobowiązani do wyjawienia naruszeń przepisów budowlanych przed zawarciem umowy z potencjalnym najemcą. Miasto Milwaukee, *Landlord Training Program: Keeping Illegal and Destructive Activity Out of Rental Property*, wyd. 8, Wydział Służb Komunalnych Miasta Milwaukee, Milwaukee 2006, s. 12; Kodeks postępowania administracyjnego stanu Wisconsin, paragraf ATCP134.04: Wymogi jawności.

[7] Problemy mieszkaniowe należą do przyczyn znacznej liczby przeprowadzek wśród najemców w Milwaukee. Spójrzmy na „przeprowadzki skutkowe", czyli ani wymuszone (na przykład przez eksmisję czy wykluczenie budynku z użytkowania), ani całkowicie dobrowolne (do lepszego lokum), lecz coś pośredniego. Dane z Milwaukee Area Renters Study wskazują, że najczęstszym wariantem przeprowadzek skutkowych wśród najemców w Milwaukee od roku 2009 do 2011 był ten wynikający z problemów mieszkaniowych. Obejmował on 23 procent przeprowadzek skutkowych i 7 procent wszystkich przeprowadzek, których dokonali najemcy w ciągu 2 lat poprzedzających wypełnienie kwestionariusza. Przeprowadzki te nie wynikały z motywu pozytywnego (zmiany mieszkania na większe), lecz negatywnego (potrzeby opuszczenia lokalu, w którym pogorszyły się warunki bytowe). Zob. Matthew Desmond, Carl Gershenson, Barbara Kiviat, *Forced Relocation and Residential Instability among Urban Renters*, dz. cyt., s. 227–262.

[8] Jak przekonały się tysiące tonących właścicieli domów, gdy pękła bańka kredytów hipotecznych, odmowa płacenia może być rozwiązaniem o wiele rozsądniejszym niż szuflowanie pieniędzy w czarną dziurę. Timothy Riddiough, Steve Wyatt, *Strategic Default, Workout, and Commercial Mortgage Valuation*, „Journal of Real Estate Finance and Economics" 1994, t. 9, s. 5–22; Lindsay Owens, *Intrinsically Advantaged? Middle-Class (Dis)advantage in the Case of Home Mortgage Modification*, „Social Forces" 2015, t. 93, s. 1185–1209.

[9] Milwaukee Area Renters Study za lata 2009–2011. Pomiędzy rokiem 2009 a 2011 mediana czynszów za kawalerkę wynosiła 550 dolarów, a przy trzech sypialniach – 775 dolarów.

Uzawodowienie rynku najmu mieszkań, w połączeniu z szerzeniem się rozwiązań informatycznych, mogło przyczynić się do spłaszczenia różnic

czynszów w miastach czy to wskutek konkurencji, czy porozumień cenowych. Osoby zarządzające nieruchomościami na dużą skalę posługują się często oprogramowaniem takim jak Rainmaker LRO, RentPush czy RENTmaximizer – złożonymi algorytmami porównującymi setki aktualnych i historycznych wskaźników rynkowych, by regulować ceny najmu co dzień, a nawet co godzinę. RENTmaximizer, stosowany dla ponad ośmiu milionów mieszkań na całym świecie, daje właścicielom nieruchomości „zwiększone przychody dzięki szybszemu dostosowaniu do warunków rynkowych" (www.yardi.com). Tym, którzy wolą robótki ręczne, poradniki dla właścicieli nieruchomości zalecają przeprowadzanie własnych comiesięcznych badań rynku. „Dzwonisz po blokach w okolicy i dowiadujesz się, jakie mają czynsze, żeby mieć pewność, że nie wywindowałeś ceny zbyt wysoko ani zanadto jej nie zbiłeś" – pisze Bryan Chavis w *Buy It, Rent It, Profit! Make Money as a Landlord in Any Real Estate Market*, New York: Touchstone, 2009, s. 51. Sięganie po telefon to już wyjątkowy wysiłek, bo istnieje kilka stron internetowych błyskawicznie wykazujących, czy czynsz za dane mieszkanie jest wyższy czy niższy niż przeciętna w okolicy (www.rentometer.com).

[10] Milwaukee Area Renters Study za lata 2009–2011, połączone z danymi na poziomie sąsiedztw z badań American Community Survey (2006–2010) oraz raportami o stanie przestępczości Wydziału Policji Milwaukee (2009–2011). Zwróćmy uwagę na jeszcze jeden wskaźnik: mediana czynszów za mieszkanie z dwiema sypialniami w najbardziej niebezpiecznych sąsiedztwach Milwaukee (tych w siedemdziesiątym piątym centylu wskaźnika przestępstw przeciwko życiu i zdrowiu lub wyżej) wynosiła 575 dolarów, a w najmniej niebezpiecznych (w dwudziestym piątym centylu tego wskaźnika lub niżej) – 600 dolarów.

[11] Jacob Riis, *How the Other Half Lives: Studies among the Tenements of New York*, New York: Penguin Books, 1997 [wyd. 1: 1890], s. 11; Allan Spear, *Black Chicago: The Making of a Negro Ghetto, 1890–1920*, Chicago: University of Chicago Press, 1967, s. 24–26; Joe William Trotter junior, *Black Milwaukee: The Making of an Industrial Proletariat, 1915–45*, wyd. 2, Urbana: University of Illinois Press, 2007, s. 179; Thomas Sugrue, *The Origins of the Urban Crisis: Race and Inequality in Postwar Detroit*, Princeton: Princeton University Press, 2005, s. 54; Marcus Anthony Hunter, *Black Citymakers: How the Philadelphia Negro Changed Urban America*, New York: Oxford University Press, 2013, s. 80.

[12] Według wskazówek dotyczących redukcji czynszu przedstawianych przez organizację pozarządową Community Advocates w czasie, kiedy zbierałem materiały do tej książki, lokator mógł obniżyć czynsz o 5 procent, jeśli mieszkanie nie miało drzwi lub roiło się w nim od karaluchów, o 10 procent przy popsutej toalecie i o 25 procent przy niedziałającym ogrzewaniu.

[13] Właściciele z wolnymi mieszkaniami mogliby obniżyć czynsz, niektórzy jednak woleli zostać z pustostanem. Kiedyś Sherrena pokazała chętnemu na najem kierowcy TIR-a lokal na parterze w domu z czterema mieszkaniami. To na parterze stało puste od dwóch miesięcy. Klient popatrzył na wykładzinę, w kilku miejscach poszarpaną przez psa, przeciągnął dłońmi po koślawo zwisających drzwiczkach szafek, z piskiem przejechał obcasem po brudnej podłodze kuchni. „Nie do takich warunków jestem przyzwyczajony – powiedział. – Może 380 miesięcznie?” „W życiu” – odparła z urazą Sherrena.

Inkasowanie 380 dolarów było lepsze niż nic dla tego akurat mieszkania, ale tylko pod warunkiem, że nie spadłyby czynsze dla wszystkich pozostałych lokatorów w budynku. Pozostałe trzy mieszkania były zajęte, najemcy płacili po sześćset dolarów miesięcznie. Gdyby Sherrena przyjęła propozycję tirowca, inni lokatorzy dowiedzieliby się o tym i zapewne zażądali takich samych stawek. Gdyby na to przystała, z czterech mieszkań dostawałaby mniej niż obecnie z trzech. Gdyby odmówiła, niektórzy lokatorzy mogliby się wyprowadzić i zostałoby jej więcej pustostanów. Pokazała więc tirowcowi drzwi i zamknęła je za nim na klucz.

[14] Dokładnie 44 procent. Poważne i długotrwałe problemy mieszkaniowe zdefiniowane są powyżej, w przypisie 1 niniejszego rozdziału. Milwaukee Area Renters Study za lata 2009–2011.

[15] Porównania mieszkań z dwiema sypialniami w Milwaukee Area Renters Study za lata 2009–2011. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX wieku czynsze rosły głównie dlatego, że wzrastała jakość najmowanych mieszkań – zob. Christopher Jencks, *The Homeless*, Cambridge: Harvard University Press, 1994, s. 84–89. Od tamtej pory jednak jakość substancji mieszkaniowej w całych Stanach właściwie nie uległa poprawie – jeśli już, po roku 2000 doszło do jej nieznacznego obniżenia w kolejnych regionach – a czynsze wystrzeliły w górę. Według badań American Housing Survey w roku 1993 było około 909 tysięcy najmowanych mieszkań dotkniętych ciężkimi, namacalnymi problemami. Liczba ta wzrosła do 1 miliona 200 tysięcy w roku 2011. Odsetek wszystkich najmowanych lokali z poważnymi problemami nie uległ zmianie w ciągu ostatnich dwóch dekad, waha się w granicach 3 procent. To samo dotyczy innych mierników jakości mieszkań. Na przykład w 1993 roku 9 procent najemców zgłaszało, że doznali

„nieprzyjemnego chłodu przez dobę lub dłużej" z powodu awarii ogrzewania. W roku 2011 było to 10 procent. W pierwszej dekadzie XXI wieku mieszkania na wynajem w Stanach nie uległy tak gwałtownej poprawie jakości, by odzwierciedlało to wzrost opłat czynszowych.

[16] Kiedy posiadanie jakiejś nieruchomości przestawało się opłacać, bo wystawiono na nią zbyt wiele mandatów czy wymagała kosztownych remontów, Sherrena „pozwalała miastu ją zabrać". Oznaczało to, że po prostu przestawała płacić podatek gruntowy, aż w końcu miasto zajmowało nieruchomość za długi. Sherrena zabezpieczała się przed osobistą odpowiedzialnością, rejestrując każdą nieruchomość jako osobną spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością (sp. z o.o.). Według prawa to spółka, a nie Sherrena, nie płaciła podatku. W Milwaukee liczba nieruchomości przejmowanych za długi podatkowe waha się od 1000 do 1200 w skali roku. Kiedy miasto przejmuje te wyeksploatowane i porzucone budynki, są one odsprzedawane lub wyburzane, co powoduje dalsze kurczenie dostępnej substancji mieszkaniowej. Dla Sherreny taki sposób tracenia posiadłości nie był pomyłką ani konsekwencją problemów finansowych. Był to zasadniczy element jej pomysłu na biznes. „Kiedy któraś nieruchomość mi się znudzi, po prostu ją sobie odpuszczam – mówi. – Po co wyrzucać dobre pieniądze w błoto?"

Sherrena tworzyła spółki z ograniczoną odpowiedzialnością przez internet, za pośrednictwem Wydziału Instytucji Finansowych stanu Wisconsin (Department of Financial Institutions, DFI, www.wdfi.org). Wydział rejestruje dla każdej spółki upoważnionego przedstawiciela, ale nie nazwiska właścicieli firmy czy dane dotyczące podatków stanowych. Szacunki dotyczące liczby nieruchomości zajmowanych za zaległości podatkowe otrzymałem od Kevina Sullivana, zastępcy prokuratora miejskiego (wymiana korespondencji z 13 sierpnia 2015).

Politycy i badacze zajmujący się kwestią mieszkalnictwa dla ubogich w większości nie postawili nawet nogi w mieszkaniu takim, które zajmowała Doreen, często twierdzą jednak, że Stany Zjednoczone dokonały wielkich postępów, jeśli chodzi o poprawę jakości warunków mieszkaniowych dla tej części społeczeństwa. „Dziś zdecydowanie bardziej istotna jest kwestia przystępnych czynszów za mieszkania niż ich stan fizyczny czy zatłoczenie" – pisze Alex Schwartz, powtarzając ów powszechny pogląd (Alex Schwartz, *Housing Policy in the United States*, wyd. 2, New York: Routledge, 2010, s. 26). Nie jest to mylny osąd, ale tworzy poczucie, jakoby te dwa problemy były od siebie niezależne – że

skoro w miastach wyburzono już slumsy, a używanie farb zawierających ołów jest karalne, to czas zająć się kwestią niedoboru przystępnie wycenionych mieszkań. Oba te zagadnienia – kiepskie warunki mieszkaniowe i wysokie koszty – są jednak ze sobą powiązane. W przydennych strefach rynku mieszkaniowego bez jednego nie byłoby drugiego, i na odwrót.

[17] Kenneth Clark, *Dark Ghetto: Dilemmas of Social Power*, New York: New York Harper and Row, 1965, s. 72; Carol Stack, *All Our Kin: Strategies for Survival in a Black Community*, New York: Basic Books, 1974, s. 46–47; Kathryn Edin, Timothy Nelson, *Doing the Best I Can: Fatherhood in the Inner City*, Berkeley: University of California Press, 2013, rozdział 2.

[18] Socjolożka Linda Burton określa ów proces przedwczesnego wystawiania młodych ludzi na zagrożenia dorosłości jako „udorośląnie dzieciństwa". Por. Linda Burton, *Childhood Adultification in Economically Disadvantaged Families: A Conceptual Model*, „Family Relations" 2007, t. 56, s. 329–345.

[19] Nie byłem świadkiem tego zajścia, ale widziałem połamany stół i omawiałem sprawę z Doreen, Patrice, Natashą i dziećmi Patrice. Oto jak interpretował to zdarzenie dziesięcioletni syn Patrice, Mikey: „No bo wiesz, czasami ludzie są w stresie. Każdemu zdarzają się stresy, że się zdenerwuje. No i oni też byli w nerwach i musieli upuścić sobie pary". Jak powiedział, czuł przez to „wstyd, bo przez to źle wygląda nasza rodzina, jako całość".

7. Na rzygu

[1] Od początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku liczba przepisywanych pacjentom w Stanach Zjednoczonych opioidów wzrosła trzykrotnie, podobnie jak liczba przedawkowań. Centers for Disease Control, *Policy Impact: Prescription Pain Killer Overdoses*, Centers for Disease Control, Washington, DC 2011; National Institutes of Health, *Analysis of Opioid Prescription Practices Finds Areas of Concern*, NIH News, Federalny Departament Zdrowia i Usług dla Ludności, Washington, DC 2011.

[2] Stacey Mayes, Marcus Ferrone, *Transdermal System for the Management of Acute Postoperative Pain*, „Annals of Pharmacotherapy" 2006, t. 40, s. 2178–2186.

[3] Ten cytat i opisy zajść dotyczących lekomanii Scotta w czasie, kiedy pracował jako pielęgniarz, pochodzą z protokołów jego postępowania dyscyplinarnego przed Komisją Pielęgniarską stanu Wisconsin. Scott potwierdził mi szczegóły tych wydarzeń.

[4] Zob. Przepisy zasadnicze stanu Wisconsin, paragrafy 19.31–19.39 oraz 59.20(3).

[5] Miasto Milwaukee, *Landlord Training Program*, dz. cyt.

[6] RentGrow przeobraziło się od tego czasu w firmę Yardi Resident Screening, która oferuje „odsiew terrorystów, handlarzy narkotykami, przestępców seksualnych i osób skazanych za nadużycia federalnych programów zasiłkowych” (www.yardi.com). W Stanach Zjednoczonych działa około 65 firm świadczących tego typu usługi. Choć sporządzane przez nie raporty roją się często od błędów, właściciele lokali coraz chętniej z nich korzystają. Zob. Rudy Kleysteuber, *Tenant Screening Thirty Years Later*, dz. cyt.; Matthew Callanan, *Protecting the Unconvicted: Limiting Iowa's Rights to Public Access in Search of Greater Protection for Criminal Defendants Whose Charges Do Not End in Convictions*, „Iowa Law Review” 2013, t. 98, s. 1275–1308.

[7] „Ci lokatorzy to często są jak świnie w pałacu” – mówił mi Wilbur Bush. Bush, starszawy Afroamerykanin ostrzyżony na żołnierza, noszący złoty łańcuch do skórzanej kurtki, wynajmował ludziom mieszkania już od lat sześćdziesiątych. Osobiście odwiedzał mieszkania zajmowane przez tych, którzy chcieli wprowadzić się do jego lokali, zawsze zaglądając im do lodówek (towarzyszyłem mu przy tych wizytach, byłem też w jego biurze, kiedy rozmawiał z perspektywicznymi lokatorami). „No więc, jeśli dasz radę sobie coś takiego wyobrazić – ciągnął – to po prostu człowiek stara się wyłowić najlepszych wśród najgorszych... Bo bywałem w takich miejscach, że stamtąd nawet do dna mieliby pod górkę”.

[8] Nie wszystkie metody selekcji doczekały się w ten sobotni poranek wzmianki. Pewien właściciel lokali, którego ojciec też się tym parał, opowiadał mi, że stosuje następującą taktykę: jeśli otrzymuje podanie od kobiety z dziećmi, nie patrzy najpierw na jej dochody czy poprzednie adresy, ale na to, kogo podaje jako osoby do kontaktów w nagłych przypadkach. „Jeśli podają i matkę, i ojca, wiem, że z nimi nie będzie żadnych problemów”. Jeśli jednak wskazana jest tylko matka, patrzy na nazwisko petentki. Jeżeli jest inne od nazwiska matki, domniemywa, że petentka jest rozwiedziona lub ponownie wyszła za mąż – to plus. Jeśli nazwiska są takie same, uznaje, że petentka to samotna matka i w dodatku dziecko samotnej matki – i z reguły odrzuca taki wniosek.

[9] W porównaniu z konwencjonalnymi poglądami mamy tu do czynienia ze zdecydowanie odmiennym pojmowaniem tego, dlaczego ci, a nie inni ludzie zamieszkują pod takimi, a nie innymi adresami – takim, które uwzględnia tych dokonujących selekcji: właścicieli mieszkań. Dla szkoły chicagowskiej miasto to przestrzeń odczuć, a istniejące w nim podziały fizyczne i społeczne wynikają przede wszystkim z dziesiątek tysięcy indywidualnych decyzji zależnych od tego, komu życie w którym miejscu pasuje najlepiej. „Na dłuższą metę – pisał Robert Park – każda osoba znajdzie gdzieś wśród rozmaitych przejawów miejskiego życia takie środowisko, w którym może rozwinąć skrzydła czy czuć się swobodnie”. Zob. Robert Park, *The City: Suggestions for the Investigation of Human Behavior in the Urban Environment*, w: *The City*, red. Robert Park, Ernest Burgess, Roderick McKenzie, Chicago: University of Chicago Press, 1925, s. 41.

Sąsiedztwo sentymentalne, podobnie jak habitaty roślin, od czego wyszedł ogląd ekologii miejskiej, staje się w zasadzie świadomym bytem, przyciągając do siebie tych, którzy byliby w nim na swoim miejscu. McKenzie objaśniałby selekcję mieszkańców jako proces sterowany „siłą doboru czy przyciągania [emanującą z poszczególnych sąsiedztw], wabiącą do siebie odpowiednie elementy populacji, a odpychającą te niedopasowane, co prowadzi do biologicznych i kulturalnych podziałów wśród ludności miasta". R.D. McKenzie, *The Ecological Approach to the Study of the Human Community,* w: *The City*, dz. cyt., s. 63–79, tu s. 78.

Najbardziej wpływowy ogląd mobilności mieszkańców – model spełnienia mieszkaniowego – pozostaje pod głębokim wpływem szkoły chicagowskiej i jej wizji mobilności i selekcjonowania sąsiedztw. Jednak badacze pracujący w tej optyce w miejsce typowego dla szkoły chicagowskiej podkreślania znaczenia sentymentu i moralności podstawiają koncentrację na celowości i awansie ekonomicznym. W modelu spełnienia mieszkaniowego mobilność postrzegana jest jako wynik awansu społecznego. Miasto nie jest postrzegane jako mozaika odrębnych obyczajowych światów, lecz jest mapą miejsc korzystnych i niekorzystnych. W tym oglądzie, kiedy już ludzie się przeprowadzają, próbują przenieść się w lepsze miejsce, kapitał ekonomiczny zamieniając na mieszkaniowy. Zob. John Logan, Richard Alba, *Locational Returns to Human Capital: Minority Access to Suburban Community Resources*, „Demography" 1993, t. 30, s. 243–268; Scott South, Kyle Crowder, *Escaping Distressed Neighborhoods: Individual, Community, and Metropolitan Influences*, „American Journal of Sociology" 1997, t. 102, s. 1040–1084.

Każdy z tych oglądów pomija kluczowy fakt: dzielnice miast to rynki, w znacznej części (w przypadku biednych dzielnic) we władaniu ludzi, którzy tam nie mieszkają. W konsekwencji ludzie aktywni na tym rynku w ogóle – a szczególnie właściciele nieruchomości – powinni być postrzegani jako kluczowi gracze w naszych teoriach dotyczących doboru i mobilności mieszkańców poszczególnych sąsiedztw. Zob. John Logan, Harvey Molotch, *Urban Fortunes: The Political Economy of Place*, Berkeley: University of California Press, 1987, s. 33–34.

[10] O różnicach między sąsiedztwami zob. Robert Sampson, *Great American City*, dz. cyt.; Peter St. Jean, *Pockets of Crime: Broken Windows, Collective Efficacy, and the Criminal Point of View*, Chicago: University of Chicago Press, 2007.

[11] Zob. John Caskey, *Fringe Banking: Check-Cashing Outlets, Pawnshops, and the Poor*, New York: Russell Sage Foundation, 2013; Gary Rivlin, *Broke, USA: From Pawnshops to Poverty, Inc.*, New York: Harper, 2010.

8. Święta w sali numer 400

[1] Matthew Desmond, *Eviction and the Reproduction of Urban Poverty*, dz. cyt., s. 88–133.

[2] W roku 2013 sąd hrabstwa Milwaukee przeprowadził około 64 tysięcy spraw cywilnych, mniej więcej dwa razy tyle co karnych. W skali kraju w roku 2010 do sądów spłynęło 13,8 miliona pozwów w sprawach cywilnych (dla porównania w sprawach karnych wniesiono 10,6 miliona pozwów). Sąd Obwodowy Stanu Wisconsin, *Caseload Summary by Responsible Court Official, County Wide Report*, Wisconsin Courts, Madison 2014; Court Statistics Project, *National Civil and Criminal Caseloads* i *Civil/Criminal Court Caseloads: Total Caseloads*, National Center for State Courts, Williamsburg, VA 2010.

[3] Jeden z takich właścicieli, do którego należy około 100 mieszkań w ubogich sąsiedztwach Milwaukee, opowiedział mi, że co miesiąc wręcza mniej więcej 30 procentom swoich lokatorów powiadomienia o eksmisji z pięciodniowym terminem. Do każdego powiadomienia dołącza wezwanie do zapłaty 50 dolarów za zwłokę. Według jego szacunków 90 procent tych spraw kończy się ugodą i planem spłat, pozostałe 10 procent – eksmisją. Oznacza to, że co miesiąc inkasował około 1350 dolarów z samych opłat za zwłokę od lokatorów, których nie eksmitował. W skali roku przychody tylko z tego źródła wyniosłyby ponad 16 tysięcy.

[4] Badania Milwaukee Eviction Court Study, 2011. Poza ankietowaniem lokatorów przeprowadzający badania odnotowali też odsetek obecnych w każdy dzień powszedni (poza jednym) od 17 stycznia do 26 lutego 2011. W ciągu tych sześciu tygodni lokatorzy nie przybyli do sądu w 945 na 1328 spraw – w większości orzeczono w nich eksmisję. Spośród tych, którzy zjawili się na sali sądowej, nieco ponad jedna trzecia podpisała ugody. Niektórzy potem i tak zostali eksmitowani, ale inni nie. Co czwarty musiał przybyć do sądu jeszcze raz, czy to z powodu błędów w papierach, czy dlatego, że poziom skomplikowania sprawy wymagał, by orzekał w niej sędzia. W dwunastu przypadkach na sto sprawy były oddalane. Pozostałe 29 procent otrzymywało wyroki eksmisyjne.

Udokumentowane wskaźniki absencji w innych miastach i stanach wahają się od 35 do ponad 90 procent. Zob. Randy Gerchick, *No Easy Way Out: Making the Summary Eviction Process a Fairer and More Efficient Alternative to Landlord Self-Help*, „UCLA Law Review" 1994, t. 41, s. 759–837; Erik Larson, *Case Characteristics and Defendant Tenant Default in a Housing Court*, „Journal of Empirical Legal Studies" 2006, t. 3, s. 121–144; David Caplovitz, *Consumers in Trouble: A Study of Debtors in Default*, New York: The Free Press, 1974.

[5] Z pomocą Jonathana Mijsa połączyłem komplet postanowień w sprawach eksmisyjnych z okresu od 17 stycznia do 26 lutego 2011 roku (czas trwania badania Milwaukee Eviction Court Study) z danymi o rejonach zamieszkania lokatorów uzyskanymi po geotagowaniu adresów podanych w postanowieniach sądowych. Przy współpracy harwardzkiego Centrum Analiz Geograficznych wyliczyłem też odległość (liczoną w długości i czasie dojazdu) z miejsc zamieszkania lokatorów do budynku sądu. Skonstruowałem wtedy model statystyczny, który próbowałby wyjaśnić prawdopodobieństwo pojawienia się lokatora w sądzie z uwzględnieniem różnorakich aspektów poszczególnych spraw i rejonu zamieszkania. Model ten przynosił same bezwartościowe wyniki. Wysokość długu lokatora u właściciela, czas dojazdu do sądu, płeć – żaden z tych czynników nie miał istotnego wpływu na szansę pojawienia się w sądzie. Sprawdziłem też, czy na absencję mogły mieć wpływ niektóre aspekty okolicy, w której zamieszkiwał lokator, to jest wskaźniki liczby eksmisji, ubóstwa czy przestępczości. Nic z tego. Żadna z objaśniających zmiennych, które testowałem, nie była statystycznie powiązana z obecnością na sali sądowej. Brak wyraźnego wzorca w uzyskanych danych sugeruje, że przyczyny nieobecności są mniej lub bardziej losowe. Do podobnych wniosków doszli autorzy innych badań, jak również specjaliści od mieszkalnictwa w organizacji Community Advocates. Jeden z nich powiedział mi: „Co do obecności w sądzie... cóż, muszą jeść, muszą dojechać autobusem, znaleźć kogoś, żeby zaopiekował się ich dziećmi. Tu właściwie wszystko zależy od układów w danej chwili". Zob. Barbara Bezdek, *Silence in the Court: Participation and Subordination of Poor Tenants' Voices in Legal Process*, „Hofstra Law Review" 1992, t. 20, s. 533–608; Erik Larson, *Case Characteristics and Defendant Tenant Default in a Housing Court*, dz. cyt.

[6] Badania Milwaukee Eviction Court Study, 2011. Więcej informacji na temat badań MECS zob. Matthew Desmond, *Eviction and the Reproduction of Urban Poverty*, dz. cyt.; Matthew Desmond i in., *Evicting Children*, „Social Forces" 2013, t. 92, s. 303–327. Według badań ankietowych American Housing Survey za rok 2013 (tabela S-08-RO) 71 procent ubogich rodzin, które żyją w wynajętych mieszkaniach i zgłosiły otrzymanie powiadomienia o eksmisji w ciągu ostatnich trzech miesięcy, zostało poddane tej procedurze z powodu zaległości czynszowych.

[7] Badania Milwaukee Eviction Court Study, 2011. W badaniu American Housing Survey za rok 2013 wszystkich ankietowanych pytano, gdzie by się przeprowadzili w razie eksmisji (tabela S-08-RO). Większość odpowiedzi brzmiała dość optymistycznie: przeniosą się „do nowego domu". Gdyby jednak przejść od teorii do rzeczywistości i zapytać lokatorów, którzy właśnie otrzymali wyrok eksmisyjny, dokąd zamierzają się udać, większość z nich nie miałaby żadnego pomysłu.

[8] Badania Milwaukee Eviction Court Study, 2011.

[9] W najuboższych czarnych sąsiedztwach Milwaukee corocznie wyrokiem sądowym eksmitowanych jest 3 procent najemców płci męskiej, w porównaniu do 0,75 procent najemców płci męskiej i 0,67 procent najemców płci żeńskiej w najuboższych białych sąsiedztwach miasta. Pod pojęciem „najuboższych sąsiedztw" rozumiem okręgi spisu powszechnego, w których co najmniej 40 procent rodzin znajduje się poniżej granicy ubóstwa. Przez „czarne" czy „białe" sąsiedztwa rozumiem rejony, w których co najmniej dwie trzecie mieszkańców należy do danej grupy. Ponieważ rejestry eksmisji nie określają płci osoby eksmitowanej, do ustalenia tych danych posłużono się dwiema metodami. Po pierwsze, dwoje pomocników badawczych typowało płeć każdego eksmitowanego – ponad 90 tysięcy osób – na podstawie imion. Po drugie, z pomocą Felixa Elwerta wnioskowałem o płci eksmitowanych na podstawie wniosków o nadanie numerów ubezpieczenia społecznego dla osób urodzonych w Stanach Zjednoczonych. Obie metody przyniosły niemal identyczne wyniki liczbowe. Odsetek eksmitowanych w ciągu roku wyliczono, dzieląc liczbę eksmisji w danym roku przez szacowaną liczbę wynajmowanych i zamieszkanych lokali w tymże roku. Ponadto dla każdego sąsiedztwa (okręgu spisowego) wyliczałem wskaźnik eksmisji dla najemców każdej płci, dzieląc liczbę eksmitowanych danej płci przez liczbę dorosłych osób tejże płci mieszkających w wynajętych lokalach. Wszystkie te wskaźniki wyliczano dla każdego okręgu spisowego, rok po roku. Następnie wyniki zebrano razem i wyliczono średnie roczne wartości. Pełniejsze objaśnienie metod, za pomocą których oszacowano te wyniki, zob. Matthew Desmond, *Eviction and the Reproduction of Urban Poverty*, dz. cyt.

W latach 2003–2007 w sąsiedztwach zamieszkanych przeważnie przez Latynosów w ciągu roku dochodziło średnio do 276 eksmisji z wyroku sądu, w porównaniu do 1187 w sąsiedztwach białych i 2759 w czarnych. Podobnie jak kobiety z czarnych sąsiedztw, także i Latynoski były eksmitowane z większą częstotliwością. Średnio w najuboższych sąsiedztwach zamieszkanych przez Latynosów co roku eksmitowano wyrokiem sądowym 1,2 procent najemców i 2,5 procent najemczyń. Szacunki uwzględniające eksmisje nieformalne i zajęcia budynków przez banki były jeszcze bardziej dramatyczne. W okresie 2009–2011 około 23

procent Latynosów wynajmujących mieszkania w Milwaukee doświadczyło przymusowej przeprowadzki w ciągu dwóch lat poprzedzających badania na drodze sądowej, eksmisji nieformalnej, zajęcia czy uznania budynku za niezdatny do zamieszkania. Ten nadzwyczaj wysoki wskaźnik wymuszonych przeprowadzek – niemal dwukrotnie wyższy niż u czarnych lokatorów – przypisuje się faktowi, że kryzys hipoteczny wyjątkowo mocno uderzył w latynoskich najemców w Milwaukee. Jeśli wykluczyć zajęcia budynków przez banki z szacunków częstotliwości przymusowych zmian miejsca zamieszkania, odsetek lokatorów, którzy doświadczyli przymusowej przeprowadzki w ciągu dwóch lat przed badaniem, spada z 13,2 do 10,2 procent. Wykluczenie to powoduje spadki tego wskaźnika wśród białych i czarnych najemców odpowiednio z 9 do 7 procent i z 12 do 10 procent. Jednak najbardziej widoczne jest na przykładzie najemców latynoskich, gdzie nieuwzględnienie zajęć budynków przez banki powoduje spadek wskaźnika wymuszonych przeprowadzek z 23 do 14 procent. Rejestry eksmisji hrabstwa Milwaukee za lata 2003–2007; Milwaukee Area Renters Study za lata 2009–2011.

[10] W ubogich czarnych społecznościach to kobiety częściej niż mężczyźni znajdowały legalne zatrudnienie, ponieważ wielu z tych drugich było notowanych za przestępstwa, stąd wśród nich wysoki wskaźnik bezrobocia. Wielu właścicieli mieszkań odmawia najmu bezrobotnym i notowanym. W czarnych gettach kobietom łatwiej niż mężczyznom było udokumentować wymagane dochody, by wynająć lokal, czy to z pensji od pracodawcy, czy z zasiłku z pomocy społecznej. W Milwaukee połowa czarnych mężczyzn w wieku sprawnym nie ma pracy, a jedna trzecia z tych między trzydziestym a czterdziestym rokiem życia ma za sobą więzienie – te równoległe trendy nie pozostają bez związku ze sobą nawzajem. Rozgłośnia WUMN (publiczne radio Milwaukee), audycja *Project Milwaukee: Black Men in Prison*, 16 lipca 2014; Marc Levine, *The Crisis Continues*, dz. cyt. Audyty wykazały, że pracodawcy w Milwaukee częściej oddzwaniają do notowanych białych osób szukających pracy niż do nienotowanych czarnych. Czarne osoby szukające pracy, a notowane, są w dwójnasób na gorszej pozycji. Devah Pager, *The Mark of a Criminal Record*, „American Journal of Sociology” 2003, t. 108, s. 937–975.

Skoro w rejestrach sądowych odnotowuje się z reguły tylko najemców wskazanych w umowach, można by twierdzić, że kobiety z ubogich czarnych sąsiedztw nie są wcale eksmitowane częściej niż mężczyźni, ale tylko łatwiej odnotować ich eksmisje niż eksmisje nieujętych w umowach

mężczyzn. W czarnych sąsiedztwach ów rozziew między płciami utrzymuje się, jednak nawet jeśli uwzględnimy osoby dorosłe, niewyszczególnione w umowach. W badaniach Milwaukee Eviction Court Study (2011) brano pod uwagę wszystkich dorosłych z danego lokalu, nawet osoby niewymienione w wezwaniu sądowym i pozwie. Wtedy także czarnych kobiet naliczono więcej niż innych grup. Stanowiły one połowę osób dorosłych z domostw, których przedstawiciele przybyli na rozprawę sądową, jak też 44 procent dorosłych w domostwach, w których orzeczono eksmisję. Nie dość, że czarne kobiety częściej były „naznaczone" eksmisjami, to jeszcze samo wysiedlanie przydarzało im się z większą częstotliwością. Tego wysokiego wskaźnika eksmisji wśród czarnych kobiet nie da się zrzucić na błąd pisarski.

Kolejny czynnik wart uwzględnienia: w gettach kobietom trudniej zarobić na czynsz niż najemcom płci męskiej. Choć wielu czarnych mężczyzn jest odciętych od możliwości legalnego zarobkowania, ci, którzy znajdą posadę, pracują więcej godzin i za lepszą stawkę niż czarne kobiety. W 2010 roku mediana dochodów rocznych dla osób pracujących na cały etat w Milwaukee wynosiła 33 010 dolarów dla czarnych mężczyzn i 29 454 dolary dla czarnych kobiet – a to różnica rzędu pięciomiesięcznego czynszu za przeciętne mieszkanie w tym mieście. Wiele kobiet w gettach ma też większe wydatki. Szczególnie dotyczy to samotnych matek, które w Milwaukee stanowią większość wśród czarnych gospodarstw domowych. Samotne matki często nie mogą liczyć na regularne wsparcie ze strony ojców dzieci, a z powodu dzieci muszą szukać większych, kosztowniejszych mieszkań niż niesprawujący opieki nad dziećmi ojcowie, którzy mogą waletować u kogoś na kanapie czy wynająć pokój umeblowany. Sherrena wynajmowała pokoje umeblowane w swoim budynku w getcie za 400 dolarów miesięcznie (w tym opłaty za media), zdecydowanie taniej niż mieszkania z dwiema sypialniami, jakie zajmowała Arleen czy inne samotne matki, gdzie czynsz wynosił 550 dolarów (nie licząc opłat). Biorąc pod uwagę obowiązujące w Milwaukee limity zagęszczenia – ogólnie uznaje się, że to dwie głowy na sypialnię – wielu właścicieli odmawia wynajmowania samotnym matkom mniejszych lokali.

Więcej głów oznacza więcej sypialni – czyli wyższy czynsz. Zob. Kodeks praw miasta Milwaukee, rozdział 200: Kodeks budownictwa i zagospodarowania przestrzennego, podrozdział 8: Zamieszkanie i użytkowanie. Por. Matthew Desmond, *Eviction and the Reproduction of Urban Poverty*, dz. cyt.

[11] Manny Fernandez, *Still Home for the Holidays, When Evictions Halt*, „New York Times", 21 grudnia 2008.

[12] „Druga przyczyna" dotyczy zaległości czynszowych, „trzecia przyczyna" – szkód w lokalu. W sądzie obie kwestie są rozpatrywane łącznie, przez co prawnicy mówią o „drugiej i trzeciej przyczynie".

[13] W latach 2006–2010 Wydział Spraw Niskiej Wartości Sądu Milwaukee orzekał rocznie średnio w 12 tysiącach spraw o eksmisję, ale tylko w 200 dotyczących zajęć komorniczych. Nie uwzględniam tu roku 2009, kiedy to z niewiadomych względów liczba zajęć była wyjątkowo wysoka i wynosiła 537. W kwestii pozwów o eksmisję i o zajęcie zob. Stan Wisconsin, *2010 Annual Report: Milwaukee County Circuit Court, First Judicial District*, s. 2. W kwestii przepisów dotyczących zajęć komorniczych i eksmisji zob. Przepisy zasadnicze stanu Wisconsin, paragrafy 814–815.

[14] Podczas szkoleń dla właścicieli mieszkań w Milwaukee zachęca się ich stanowczo do zgłaszania wyroków do rejestru. „Najważniejszą rzeczą, o którą bym was prosiła, jest to, żebyście wyłożyli tych dodatkowych 5 dolarów i zarejestrowali ten wyrok w sądzie – perswadowała instruktorka Karen Long. – Dobrze jest, gdy trafi do ich historii kredytowej, bo wtedy wszyscy wiedzą, że ci ludzie mają u was dług [...] Proszę was o to w imieniu nas wszystkich, którzy muszą sprawdzać zdolność kredytową kandydatów. [...] A może też być tak, że za parę lat ktoś do was zadzwoni i powie: «Jestem George Jones. Kojarzy mnie pani?». «Wcale». «No, trzy lata temu wynajmowałem od pani mieszkanie. Ma pani wyrok, jestem winien 750 dolarów. A muszę sobie kupić samochód. To może się dogadamy, ja pani dam 500 i jesteśmy kwita?»". W dalszej części wykładu Karen radziła właścicielom mieszkań, by uprzedzali o tym lokatorów: „Umieszczę to w twojej historii kredytowej, więc nikt nie pożyczy ci pieniędzy ani w ogóle niczego, póki mi nie zapłacisz. Więc rozumiesz, twoja w tym głowa, żeby te rzeczy nie trafiły do twojej historii".

[15] Rent Recovery Service zgłasza lokatorów do dużych biur informacji kredytowej, nawet jeśli właścicielom mieszkań nie zasądzono od nich odszkodowań (www.rentrecoveryservice.com).

[16] W Milwaukee i wielu innych miastach Stanów Zjednoczonych prawo nie daje większej osłony lokatorom z długami. Jak to mówią właściciele mieszkań, „liczy się co, a nie dlaczego". Innymi słowy, sądu z reguły nie interesuje, czemu lokator zaczął zalegać z opłatami, tylko sam fakt zaległości. Arleen mogłaby wyraźnie przedstawić swoje

problemy mieszkaniowe, mogłaby przedstawić zdjęcia. Tyle że najprawdopodobniej nie zrobiłoby to żadnej różnicy. Pewien asesor sądowy, dowiedziawszy się, że eksmitowana staruszka przez miesiąc żyła bez prądu, bo właściciel mieszkania nie spieszył się z naprawą instalacji, oświadczył: „Tą sprawą niekoniecznie musimy się zająć dzisiaj". Przy innej okazji sędzia do spraw mieszkaniowych słuchał cierpliwie, kiedy lokatorka opisywała kanalizację wybijającą przez odpływ wanny, gnijące deski podłogi, po czym stwierdził: „Opowiedziała mi pani o wszystkim poza jednym: że płaci pani czynsz na bieżąco".

[17] Lokatorzy mogą mieć słuszne argumenty, ale źle je przedstawiać: zbyt szorstko czy nieskładnie, zbyt gniewnie czy zbyt potulnie. Naiwnością byłoby sądzić, że nie mają na to wpływu różnice klasy, płci czy napięcia rasowe pomiędzy lokatorami, właścicielami a pracownikami sądów. Podczas szkoleń dla właścicieli mieszkań wpaja się im: „Ten, kto będzie najgłośniejszy, najbardziej hałaśliwy, najbardziej zawzięty – przegra. Lepiej przygryźć język i wytrzymać". A nawet jeśli dany właściciel jest w kwestii eksmisji nowicjuszem, wielu z nich to wykształceni przedstawiciele klasy średniej, podobnie jak urzędnicy sądowi, asesorzy, sędziowie, którzy z racji zbliżonej pozycji klasowej posługują się tym samym językiem, w ten sam sposób.

[18] Prawie każdy właściciel mieszkań czy zarządca budynków w Milwaukee, którego miałem okazję poznać, zgodziłby się z nią. Ich zdaniem system sądownictwa był tak bezczelnie „prolokatorski", że to tak, jakby właściciele nieruchomości musieli „grać pod górkę" na nierównym boisku, albo że asesorzy lubią się bawić w dobijanie targu, a powinni zająć się po prostu wydawaniem wyroków o odszkodowania. Jedynym wyjątkiem był tu Lenny Lawson, który powiedział mi, że system sądownictwa „kiedyś był za lokatorami. Ale tak już nie jest".

9. Kto zamawiał coś na wynos?

[1] Jak poinformowała mnie Maudwella Kirkendoll, dyrektorka zarządzająca w Community Advocates (wymiana korespondencji z 19 grudnia 2014), w roku 2013 z Programu Zapobiegania Bezdomności skorzystało 946 gospodarstw domowych. W owym roku całkowity budżet programu wyniósł 646 tysięcy dolarów – wyłącznie ze środków Departamentu Mieszkalnictwa i Rozwoju Miast, dystrybuowanych przez stan i miasto.

[2] Powiadomienie rozsyłane do lokatorów przez Biuro Szeryfa mówi: „Tragarze nie zabiorą żywności pozostałej w pani/pana lodówce czy zamrażarce". Firmy przeprowadzkowe nie zabierają żywności do ubezpieczonych magazynów, lecz zostawiają ją na chodniku.

[3] Jacob Riis, *How the Other Half Lives*, dz. cyt., s. 129. O psychologii niedostatku zob. Sendhil Mullainathan, Eldar Shafir, *Scarcity: Why Having So Little Means So Much*, New

York: Times Books, 2013.

[4] Po załamaniu się rynku kredytów hipotecznych kilka stanów wprowadziło przepisy nakazujące właścicielom lokali powiadamianie lokatorów zawczasu o tym, że budynek zostanie zajęty, a w maju 2009 roku Kongres przyjął Ustawę o ochronie lokatorów przy zajęciach, która nakazuje przejmującemu zajęty budynek honorowanie umów najmu zawartych z wywłaszczonym właścicielem. Kiedy jednak jeździłem po Milwaukee z grupą eksmisyjną w roku 2014, spotkałem kilku lokatorów, którzy nie wiedzieli nawet, kto jest właścicielem budynku, w którym mieszkali. Kryzys bankowy sprawił, że miejskie nieruchomości na wynajem przechodziły przez szereg instytucji: agencje nieruchomości, firmy zarządzające, prywatnych właścicieli, co kompletnie dezorientowało lokatorów. Zob. Vicki Been, Allegra Glashausser, *Tenants: Innocent Victims of the Foreclosure Crisis*, „Albany Government Law Review” 2009, t. 2, s. 1–28; Creola Johnson, *Renters Evicted En Masse: Collateral Damage Arising from the Subprime Foreclosure Crisis*, „Florida Law Review” 2010, t. 62, s. 975–1008.

[5] Przedstawione w tym akapicie sceny z eksmisji opisał mi szeryf John, a także kilku spośród tragarzy.

[6] Wyniki Milwaukee Area Renters Study wykazały, że o ile niektóre rodziny o niskich dochodach dotknięte są „podwójnym handicapem”, jako że mieszkają w kiepskim sąsiedztwie i tkwią w sieci powiązań z równie ubogimi ludźmi, o tyle inne, mówiąc wprost, choć mieszkają we względnie nieciekawych okolicach, mają dobre powiązania, a są i takie, które mieszkając w dość dobrych rejonach, mają jednak złe powiązania. Matthew Desmond, Weihua An, *Neighborhood and Network Disadvantage among Urban Renters*, „Sociological Science” 2015, t. 2, s. 329–350. Zob. też Kathryn Edin, Laura Lein, *Making Ends Meet*, dz. cyt., s. 189; Xavier de Souza Briggs, *Brown Kids in White Suburbs: Housing Mobility and the Many Faces of Social Capital*, „Housing Policy Debate” 1998, t. 9, s. 177–221; Matthew Desmond, *Disposable Ties and the Urban Poor*, „American Journal of Sociology” 2012, t. 117, s. 1295–1335; Carol Stack, *All Our Kin*, dz. cyt., s. 77–78.

[7] Jacob Rugh, Douglas Massey, *Racial Segregation and the American Foreclosure Crisis*, „American Sociological Review” 2010, t. 75, s. 629–651; Signe-Mary McKernan i in., *Less than Equal: Racial Disparities in Wealth Accumulation*, Urban Institute, Washington, DC 2013; Thomas Shapiro, Tatjana Meschede, Sam Osoro, *The Roots of the Widening Racial Wealth Gap: Explaining the Black-White Economic Divide*, Institute for Assets and Social Policy, Waltham, MA 2013.

[8] Wszystkie cytaty biblijne podawane są za *Biblią Tysiąclecia*.

[9] Według rejestrów czynszowych Lenny’ego w miesiącu, w którym powstał dług Larraine, zaległości miało też czterdzieści siedem innych rodzin mieszkających na placu. Najniższa kwota wynosiła 3,88 dolara, a największą dłużniczką była Britney.

[10] Kiedy pytałem właścicieli, jakie okoliczności wpływały na ich decyzję o eksmitowaniu lokatora, najczęściej udzielali gotowych odpowiedzi odzwierciedlających wyłącznie aspekt finansowy. Gdy jednak spędziłem z nimi więcej czasu, przekonałem się, że w rzeczywistości był to proces zdecydowanie bardziej chaotyczny i arbitralny.

[11] Choć różni ich status, mężczyźni – właściciele nieruchomości i ich lokatorzy płci męskiej, wskutek socjalizacji w rytmach i pozach męskości, mogą porozumiewać się za pomocą wzajemnie zrozumiałych kodów. Wśród właścicieli ujętych w rejestrach sądowych eksmisji w Milwaukee jest niemal trzy razy tyle mężczyzn co kobiet. Rejestry eksmisji Sądu Hrabstwa Milwaukee za lata 2003–2007.

[12] Widywałem mężczyzn, którzy po otrzymaniu powiadomienia o eksmisji kryli się przed właścicielami lokali, a także kobiety, które odebrawszy takie pismo, szły na konfrontację. Ponieważ jednak płeć bardzo silnie wyznacza wzorce interakcji, a także indywidualne oczekiwania odnośnie do właściwych zachowań, kobieta agresywnie stawiająca czoła właścicielowi lokalu jest uważana za nieuprzejmą lub zachowującą się niestosownie.

Może to dlatego Bob Helfgott, od dwudziestu lat żyjący z wynajmu mieszkań, uważał lesbijki za kłopotliwe lokatorki. „Te gejówki – wzdychał. – Jak mnie irytuje taka klasyczna wściekła lesba. One są okropne. Wiecznie narzekają”.

Zob. Cecilia Ridgeway, *Interaction and the Conservation of Gender Inequality: Considering Employment*, „American Sociological Review” 1997, t. 62, s. 218–235.

[13] Lewis Mumford, *The City in History*, dz. cyt., s. 107, 110.

[14] Tobin i Lenny mieli jej już dość. Należy jednak zauważyć, że Larraine omal nie uniknęła eksmisji, podobnie jak zdarzało się jej już wcześniej, dzięki pożyczce od krewnego. Prośby o pomoc kierowane do znajomych, przyjaciół czy rodziny potrafiły czasem przynieść oczekiwany skutek. Czarnym kobietom rzadziej się to jednak udawało. Czarne kobiety uciekały się do „trików i uników” częściej niż białe z tego względu, że ich sieci kontaktów społecznych z reguły dysponowały znacznie mniejszymi zasobami. Ponieważ białe kobiety były powiązane z większą liczbą ludzi o znaczniejszych możliwościach pomocy, miały większe szanse na uniknięcie eksmisji. Zob. Colleen Heflin, Mary Pattillo, *Poverty in the Family: Race, Siblings, and Socioeconomic Heterogeneity*, „Social Science Research” 2006, t. 35, s. 804–822; Matthew Desmond, *Eviction and the Reproduction of Urban Poverty*, dz. cyt.

[15] Nie byłem świadkiem tego zajścia. Przebieg zdarzeń odtworzyłem na podstawie licznych rozmów z Larraine, Dave’em Brittainem, niektórymi członkami ekipy przeprowadzkowej i innymi lokatorami placu przyczep.

[16] Dzięki nowej ustawie (Ustawa stanu Wisconsin numer 76, 179 posiedzenie Senatu) właściciele nieruchomości w Wisconsin mogą obecnie pozbywać się rzeczy po eksmitowanych lokatorach w dowolny wybrany przez siebie sposób. Mają teraz możliwość osobistego usuwania dobytku lokatorów, zdjęto zaś z nich obowiązek magazynowania tych rzeczy. Gdy trwały debaty nad wprowadzeniem tego przepisu, bracia Brittain sięgnęli po własne oszczędności, by wesprzeć wyborców mobilizujących się przeciwko nowemu prawu. Przeciwko sobie mieli jednak znacznie większe pieniądze. Stowarzyszenie Właścicieli Mieszkań Południowo-Zachodniego Wisconsin, Agencje Nieruchomości Wisconsin oraz Stowarzyszenie Właścicieli Mieszkań Wisconsin połączyły siły, by wspierać ustawę, którą pomogły też napisać. Jak to ujął jeden z komentatorów: „Ta nowa ustawa przyniesie korzyści właścicielom lokali i «dobrym» lokatorom. «Źli» lokatorzy (to jest ci, którzy nie płacą czynszu w terminie [...]) nie będą zadowoleni z tej nowej ustawy”. Zob. Tristan Pettit, *ACT 76 – Wisconsin’s New Landlord-Tenant Law – Part 1: Background and Overview*, blog *Tristan’s Landlord-Tenant Law*, 21 listopada 2013.

10. Ćpuny do wynajęcia

[1] W biednych społecznościach często słyszy się deklaracje typu „pilnuję własnego nosa”. Jednak w tych grupach rzadko widzi się, żeby ktoś faktycznie się do nich stosował. Alexandra Murphy roztrząsa tę sprzeczność w swoim opracowaniu *„I Stay to Myself”: What People Say versus what They Do in a Poor Black Neighborhood*, robocza wersja pracy, Wydział Socjologii Uniwersytetu Michigan.

[2] Większość badań nad podziemiem gospodarczym skupia się na handlu narkotykami czy usługach seksualnych. Jednak na każdego chłopaka z towarem, każdą prostytutkę na rewirze przypadają co najmniej dziesiątki oficjalnie bezrobotnych mężczyzn, opłacanych gotówką lub redukcjami czynszu za prace przy cudzych nieruchomościach. O niewyraźnej granicy dzielącej legalną działalność gospodarczą od szarej strefy w miastach Stanów Zjednoczonych zob. Sudhir Venkatesh, *Off the Books: The Underground Economy of the Urban Poor*, Cambridge: Harvard University Press, 2006.

11. Getto jest git

[1] Badacze zagadnień socjalnych i prawnych domniemywają z reguły, że zmiany wysokości czynszów wynikają z presji rynku (odsetka wolnych lokali w danym mieście) czy interwencji politycznych (udostępniania lokatorom pomocy prawnej). Czasami jednak właściciele lokali podnoszą czynsz, kiedy wyczują, że lokator może zapłacić więcej. Jednonogi Ricky nie mógł sobie na to pozwolić, ale Belinda owszem. Jak ujęła to Sherrena: „Ricky’ego czeka zimny prysznic. Podnoszę mu czynsz. Mam to gdzieś. Może

się wynieść [...]. Bo jestem pewna, że Belinda będzie miała więcej [...] lokatorów. Podnoszę mu czynsz o pięć dych”.

[2] Technicznie rzecz biorąc, czynsz z wszystkimi składnikami może przekroczyć stawkę FMR, jeśli dysponent talonu zgodzi się pokryć różnicę, a zasadność takiego naliczenia czynszu zostanie zaakceptowana przez inspekcję.

[3] Deborah Devine, *Housing Choice Voucher Location Patterns: Implications for Participant and Neighborhood Welfare*, Departament Mieszkalnictwa i Rozwoju Miast, Washington, DC 2003; George Galster, *Consequences from the Redistribution of Urban Poverty during the 1990s: A Cautionary Tale*, „Economic Development Quarterly” 2005, t. 19, s. 119–125.

[4] Milwaukee Area Renters Study za lata 2009–2011; Departament Mieszkalnictwa i Rozwoju Miast, *Final FY 2008 Fair Market Rent Documentation System*.

[5] Robert Collinson, Peter Ganong, *Incidence and Price Discrimination: Evidence from Housing Vouchers*, robocza wersja opracowania, Uniwersytet Harvarda i Departament Mieszkalnictwa i Rozwoju Miast, 2014; Eva Rosen, *The Rise of the Horizontal Ghetto: Poverty in a Post–Public Housing Era*, praca doktorska, Uniwersytet Harvarda, Cambridge 2014.

[6] Milwaukee Area Renters Study stworzyło unikalną możliwość zbadania, czy dysponenci talonów są dodatkowo obciążani, ponieważ próba badawcza obejmowała zarówno najemców z dopłatami, jak i tych bez. Przy pomocy Kristin Perkins scaliłem adresy wskazane w badaniach MARS z rejestrami własności nieruchomości. Dzięki temu uzyskałem szczegółowe informacje o jakości lokali, w tym o metrażu, wieku budynku, szacowanej wartości metra kwadratowego, typie budynku (bliźniak, jednorodzinny), komfortach (kominek, klimatyzacja, garaż) oraz problemach ze stanem lokalu. Zyskaliśmy też kilka wskaźników jakości życia w danym sąsiedztwie, takich jak odsetek ludzi ubogich, skład rasowy, medianę cen domów. Następnie badaliśmy walory danej lokalizacji, takie jak odległość do najbliższego parku, przystanku autobusowego czy sklepu spożywczego, a także średnie wyników egzaminów końcowych w szkołach, do których przypisany był dany adres. Uwzględniono także szeroki zakres zmiennych demograficznych dotyczących najemców. Użycie regresji hedonicznej wskazywało na istotny związek między byciem dysponentem talonu a wysokością czynszu, gdzie narzut dla dysponentów talonów wynosił dodatkowo od 49 do 70 dolarów miesięcznie, w zależności od stosowanego modelu. Dysponenci talonów doświadczali także większej liczby problemów z mieszkaniami, co podważa tezę, jakoby ich zwiększony czynsz wynikał z nowszego sprzętu AGD czy innych bonusów niewykazanych w zebranych danych. (Pełne dane o modelach zob. Matthew Desmond, Kristin Perkins, *Are Landlords Overcharging Voucher Holders?*, robocza wersja opracowania, Uniwersytet Harvarda, czerwiec 2015). W 2010 roku 5455 gospodarstw domowych w Milwaukee subsydiowało koszty mieszkania dzięki talonom redukującym wysokość płaconego czynszu. Przyjmując wyniki naszego podstawowego modelu

uwzględniającego 27 zmiennych kontrolnych i wskazującego, że średni narzut wysokości czynszu dla dysponentów talonów wynosi 55 dolarów miesięcznie, szacujemy, że w samym Milwaukee dodatkowe koszty programu talonów Housing Choice (Wybór Domu) wynoszą 3,6 miliona dolarów (55 dolarów × 12 miesięcy × 5455 talonów). Według danych władz miasta Milwaukee przeciętne koszty pomocy dla gospodarstwa domowego objętego programem talonów w roku 2010 wynosiły 511 dolarów miesięcznie, czyli 6126 dolarów rocznie. Jeśli podzielić 3,6 miliona przez 6126, otrzymujemy około 588 dodatkowych rodzin, które mogłyby otrzymać wsparcie, gdyby nie zwiększanie czynszów płaconych przez dysponentów talonów. Niektóre poradniki dla właścicieli nieruchomości zawierają już całe rozdziały opisujące zyski, jakie można osiągnąć, wynajmując lokal dysponentowi talonu mieszkaniowego. Zob. na przykład: Carleton H. Sheets, *Real Estate: The World's Greatest Wealth Builder*, Chicago: Bonus Books, 1998, s. 121.

[7] Charles Orlebeke, *The Evolution of Low-Income Housing Policy, 1949 to 1999*, „Housing Policy Debate” 2000, t. 11, s. 489–520, tu s. 502.

[8] Gdy Kongres debatował nad zgłoszonym przez Tafta, Ellendera i Wagnera projektem legislacyjnym, który miał ostatecznie przeobrazić się w Ustawę o mieszkalnictwie z roku 1949, prezes Ogólnokrajowego Stowarzyszenia Izb Obrotu Nieruchomościami nazwał budownictwo komunalne „awangardą komunistycznego frontu”. Stowarzyszenie wytoczyło zacięty bój – opłacało apele w radiu, publikowało artykuły redakcyjne, wzywało członków, by dzwonili do regionalnych kongresmenów – i mogłoby wygrać, gdyby przemysł budowlany i jego stowarzyszenie, chętne lać beton na nowych placach budów, nie wytężyły własnych mięśni. Ustawa przeszła różnicą pięciu głosów. Gdyby tak się nie stało, zniknęłyby federalne środki na budownictwo komunalne. Zob. Louis Winnick, *The Triumph of Housing Allowance Programs: How a Fundamental Policy Conflict Was Resolved*, „Cityscape” 1995, t. 1, s. 95–118, tu s. 101; Lawrence Vale, *From the Puritans to the Projects*, dz. cyt., s. 238–241.

Deweloperzy, którzy w połowie XX wieku wsparli wysiłki na rzecz budownictwa komunalnego, by zwolnić pod prywatne inwestycje pożądane tereny w centrach miast, byli raczej wyjątkiem od reguły. Ponadto nie popierali oni budownictwa komunalnego jako takiego: widzieli w nim niezbędny środek pozwalający na likwidację slumsów i zagarnianie gruntów. Arnold Hirsch, *Making the Second Ghetto: Race and Housing in Chicago, 1940–1960*, New York: Cambridge University Press, 1983, s. 104–134.

[9] Zob. Philip Tegeler, Michael Hanley, Judith Liben, *Transforming Section 8: Using Federal Housing Subsidies to Promote Individual Housing Choice and Desegregation*, „Harvard Civil Rights–Civil Liberties Law Review” 1995, t. 30, s. 451–486; Ustawa

o mieszkalnictwie i rozwoju społeczności z 1974, Pub. L. No. 93–383, § 101(a)(1), (c)(6), 88 Stat. 633, 633–634.

[10] Na temat zajęć przez banki lokali pod wynajem zob. Gabe Treves, *California Renters in the Foreclosure Crisis, Third Annual Report*, San Francisco: Tenants Together, 2011; Vicki Been, Allegra Glashausser, *Tenants*, dz. cyt.; Matthew Desmond, *Housing Crisis in the Inner City*, „Chicago Tribune", 18 kwietnia 2010; oraz Craig Karmin, Robbie Whelan, Jeannette Neumann, *Rental Market's Big Buyers*, „Wall Street Journal", 3 października 2012. Poradniki dla inwestorów w nieruchomości zalecały kupowanie budynków z zajęć lub do remontu na długo przed tym, nim pękła bańka kredytowa. „Na problematycznych nieruchomościach da się dosłownie zbić majątek – podpowiadał jeden w roku 1998. – Banki nie lubią zajęć nieruchomości. Co innego inwestorzy, bo dla nich może to być szybka okazja na dobry interes". Carleton H. Sheets, *Real Estate*, dz. cyt., s. 231, 234.

[11] Dwight Jaffee, Anthony Lynch, Matthew Richardson, Stijn Van Nieuwerburgh, *Mortgage Organization and Securitization in the Financial Crisis*, w: *Restoring Financial Stability: How to Repair a Failed System*, red. Viral Acharya, Matthew Richardson, Hoboken: John Wiley & Sons, 2009, s. 61–82.

[12] Kenneth Harney, *Even with Great Credit and Big Down Payment, Home Loans Will Cost More in 2011*, „Washington Post", 8 stycznia 2011.

[13] Według jednego z oszacowań nieruchomości po zajęciu wyprzedawano po cenie niższej od rynkowej średnio o 27 procent. John Campbell, Stefano Giglio, Parag Pathak, *Forced Sales and House Prices*, „American Economic Review" 2011, t. 101, s. 2108–2121.

[14] Nie było mnie przy tym, kiedy drzwi przewróciły się na Ruby, a potem na Doreen. Później widziałem jednak, że nie wisiały na zawiasach, oglądałem też opuchniętą stopę Doreen, a kilkoro Hinkstonów potwierdziło tę historię.

12. Doraźne więzi

[1] Chodzi o to, żeby mieszkanie nie stało puste ani przez chwilę.

[2] Nie byłem świadkiem tej sceny, ale zrekonstruowałem ją po rozmowach z Arleen, Crystal i Sherreną.

[3] W niedawnych badaniach oszacowano, że co trzecia albo i co druga młoda osoba opuszczająca system rodzin zastępczych z powodu osiągnięcia dorosłości doświadcza życia bezdomnego przed ukończeniem dwudziestego szóstego roku. Amy Dworsky, Laura Napolitano, Mark Courtney, *Homelessness during the Transition from Foster Care to Adulthood*, „American Journal of Public Health" 2013, t. 103, s. S318–S323.

[4] W codziennych rozmowach mieszkańcy placu przyczep i gett twierdzą, że nie mają żadnych przyjaciół albo że mają ich mnóstwo, że otacza ich troskliwa rodzina albo że nie utrzymują z nią kontaktu. Czasami, zależnie od nastroju, te opisy więzów społecznych i wsparcia ulegają radykalnym zmianom z dnia na dzień. W końcu nabrałem do nich sceptycyzmu, traktując je jako swego rodzaju dane, które jednak nie stanowią dokładnego odzwierciedlenia jakości więzi społecznych tych osób. Problemy rodziło nie tylko określenie, kto znajdował się w sieci kontaktów danej osoby, ale też przy pytaniach, co takiego ci ludzie robili. Ponieważ dawanie poprawia ludziom samoocenę, a branie ją obniża – nalewanie zupy w garkuchni Armii Zbawienia budzi zdecydowanie odmienne uczucia niż stanie z nadstawionym talerzem – można zasadnie domniemywać, że ludzie będą przeszacowywać zakres pomocy, której udzielają, równocześnie nie doszacowując tej, którą sami otrzymali. Etnografia pozwoliła mi odróżniać opisy działań od samych działań, co więcej, eksmisja stanowiła wyjątkową okazję do porównania tego, co ludzie mówili o wsparciu udzielanym im przez rodzinę i przyjaciół, z rzeczywistą pomocą otrzymaną w krytycznym momencie. Eksmisja sprawia, że zacieśniają się więzy, doświadczane są związki międzyludzkie, obnażana jest autentyczność zaangażowania, a przez to na powierzchnię wypływają sprawy, które często były dotąd zanurzone pod poziomem obserwacji. Matthew Desmond, *Disposable Ties and the Urban Poor*, dz. cyt.

[5] Carol Stack, *All Our Kin*, dz. cyt., s. 93, 33, 43.

[6] Programy publiczne takie jak SSI czy talony żywnościowe nadal faworyzują osoby żyjące samodzielnie. Jeśli mieszka się i stołuje z inną osobą, kwota zasiłku SSI jest obcinana o jedną trzecią. Większe gospodarstwa domowe otrzymują większe kwoty w talonach żywnościowych – ale w kwocie mniejszej, niż zostałaby przyznana, gdyby członkowie takiego gospodarstwa zamieszkali osobno. Na przykład para dokonująca rejestracji jako mieszkająca wspólnie otrzymałaby maksymalnie 347 dolarów miesięcznie na żywność. Gdyby zarejestrowali się osobno, każde mogłoby otrzymać maksymalnie 189 dolarów miesięcznie, czyli w sumie 378 dolarów. Poza określonymi wyjątkami wszyscy mieszkający razem muszą zgłaszać się do Programu Uzupełniania Potrzeb Żywieniowych (Supplemental Nutrition Assistance Program, SNAP) wspólnie, a nie indywidualnie. Zob. Federalny Departament Rolnictwa, *Food and Nutrition Service, Supplemental Nutrition Assistance Program*, „Applicants and Recipients”, 30 grudnia 2013. W kwestii wymagań mieszkaniowych wobec odbiorców zasiłku SSI zob. Federalna Administracja Ubezpieczeń Społecznych, *Simplifying the Supplemental Security Income Program: Options for Eliminating the Counting of In-Kind Support and Maintenance*, „Social Security Bulletin”, nr 68 (4 listopada 2008); Brendan O’Flaherty, *Making Room: The Economics of Homelessness*, Cambridge: Harvard University Press, 1996, s. 222. O zależności od rodziny i programie Pomocy dla Rodzin z Dziećmi na Utrzymaniu zob. M. Lisette Lopez, Carol Stack, *Social Capital and the Culture of Power: Lessons from the Field*, w: *Social Capital and Poor Communities*, red. Susan Saegert i in., New York: Russell Sage Foundation, 2001, s. 31–59. Otrzymujący SSI najemcy w Milwaukee wykazują niższy

poziom zagęszczenia mieszkań niż osoby nieotrzymujące tego zasiłku, nawet przy uwzględnieniu różnic dochodów. Milwaukee Area Renters Study za lata 2009–2011.

[7] Gdy chodzi o zaspokajanie podstawowych potrzeb, biedni krewni zawsze byli bardziej użyteczni niż ci z klasy średniej. Zob. Matthew Desmond, *Disposable Ties and the Urban Poor*, dz. cyt.; Carol Stack, *All Our Kin*, dz. cyt., s. 77–78.

[8] Samotne matki takie jak Arleen nie są w stanie utrzymać się wyłącznie z pomocy społecznej: suma zasiłków, w tym SSI, i talonów żywnościowych wynosi przeciętnie około 60 procent wydatków samotnej matki. Nawet mimo wysiłków skierowanych na pokrycie tej różnicy poprzez prace dodatkowe czy szukanie pomocy w organizacjach pozarządowych wiele z nich znosi dojmującą biedę, głoduje czy rezygnuje z odzieży zimowej lub opieki medycznej. Kathryn Edin, Laura Lein, *Making Ends Meet*, dz. cyt.

[9] Zob. na przykład: Lee Rainwater, *Behind Ghetto Walls: Black Family Life in a Federal Slum*, Chicago: Aldine, 1970, s. 73; Sandra Susan Smith, *Lone Pursuit: Distrust and Defensive Individualism among the Black Poor*, New York: Russell Sage Foundation, 2007. Szerzej na ten temat zob. Matthew Desmond, *Disposable Ties and the Urban Poor*, dz. cyt. Inni etnografowie notowali podobne relacje w sieciach w dzielnicach biedy – zob. Elliot Liebow, *Tally's Corner*, dz. cyt., s. 163–165, 182; Lee Rainwater, *Behind Ghetto Walls*, dz. cyt., s. 73. Oczywiście takie relacje da się zauważyć na każdym szczeblu hierarchii społecznej. Skłonność do szukania pociechy emocjonalnej, na przykład, jest całkiem szeroko rozpowszechniona wśród klasy średniej, czego dowodzi tak zwany fenomen nieznajomego w samolocie. Choć stosowana przez biednych taktyka opierania się na doraźnych więziach należy do tego samego rodzaju zachowań co szukanie pociechy u obcych przez bogaczy, często istnieje tu różnica skali. Tylko biedni regularnie szukają ratunku w doraźnych więziach, by zaspokoić podstawowe potrzeby życiowe.

[10] Ludzie bynajmniej nie widzą w sąsiedztwach tylko rejonów szkolnych i tradycyjnych wskaźników ekologicznych. Widzą sprawy tak osobiste, że nie da się im przypisać wartości, ale tak silne, że przyciągają one poszczególne osoby lub odstręczają je od całych sektorów miasta.

[11] Crystal zaniedbała odnowienie wniosku o przydział talonów po tym, jak rok wcześniej zmarła jej babcia. Pamięta, że śmierć babci pchnęła ją w ciężką depresję. „Nic, kurwa, nie robiłam. Spałam całe dnie. Prysznic. Wyjść coś zjeść. Wrócić do domu i znów spać. Wyłączyłam się... na wszystko i wszystkich”. Oto kolejny przykład, jak traumatyczne doznania pogłębiają nędzę.

[12] To znaczy Crystal zamiast imienia Joriego używała wyzwiska.

13. E-24

[1] Na North Side biali właściciele często zatrudniali czarnych zarządców. Jak mówi Sherrena: „Wbija tu z Brookfield masa białych kolesi, wykupują cały ten szajs w getcie [...]. No i wynajmą sobie czarnego zarządcę, żeby się za nich wszystkim zajął [...]. Biały koleś zatrudni czarnego typa, może takiego, co wygląda trochę wrednie i ma siłę w łapie, no i będzie się darł na ludzi. Łatwizna". Ma tu na myśli, że taki zarządca bez wahania nakrzyczy na lokatorów („będzie się darł"), jeśli będą zalegać z czynszem. Zob. Jennifer Lee, *Cultural Brokers: Race-Based Hiring in Inner-City Neighborhoods*, „American Behavioral Scientist" 1998, t. 4, s. 927–937.

[2] Dane o obciążeniu i oczyszczeniu hipoteki za księgami wieczystymi hrabstwa Milwaukee.

[3] Rejestry czynszów Tobina i Lenny'ego wskazują, że generalnie w miesiącu 5 przyczep stało pustych, a 40 lokatorów zalegało z wpłatami, przy czym średnia zaległość na lokatora wynosiła 340 dolarów. 5 niezamieszkanych przyczep miesięcznie znaczy, że ze 126 przyczep ściągano w czynszu średnio 550 dolarów. Odejmijmy od tego sumę zaległych wpłat za czynsz w kwocie 163 200 dolarów (40 × 340 × 12). To prawdopodobnie zawyżona redukcja – z dwóch względów. Po pierwsze, Tobin eksmitował miesięcznie znacznie mniej niż 40 osób, więc większość lokatorów jakoś była w stanie wyrównać zaległości. Po drugie, szacunki dotyczące zaległości oparte są na kwotach z miesięcy letnich (rejestry placu przyczep za okres od kwietnia do lipca 2008), kiedy następuje znaczny wzrost liczby zalegających i eksmisji. Mimo to posłużyłem się tymi prawdopodobnie zawyżonymi odliczeniami, by nie przeszacować wyniku końcowego. Na koszty stałe Tobina składały się pensje i redukcje czynszu dla Lenny'ego i Susie, w sumie niespełna 50 000 rocznie. Roczna pensja Lenny'ego oraz zniesiony czynsz wynosiły w sumie 42 600 dolarów (36 000 + 6600), a pensja i obniżony czynsz Susie – 6400. Tobin uważał Susie za pracownicę na część etatu, płacił jej 5 dolarów za godzinę przy 20 godzinach tygodniowo: czyli (5 × 20 × 52) plus 1200 tytułem obniżki czynszu. Jeśli chodzi o naprawy, tylko 20 przyczep nie miało „właścicieli", co oznaczało, że to lokatorzy pokrywali większą część tych kosztów. Szacunkowe koszty regularnego utrzymania rzadko przekraczały 5000 dolarów miesięcznie, nawet wliczając kwoty wypłacane za koszenie trawy czy zbieranie śmieci. Jednak i tę kwotę przyjąłem mimo prawdopodobnego zawyżenia. Z tytułu podatków gruntowych Tobin zapłacił za rok 2008 kwotę 49 457 dolarów, a rachunki za wodę za ten rok wyniosły w sumie 26 708 dolarów (obie kwoty ustalono na podstawie jawnych danych publicznych). Za gaz i prąd płacili sami lokatorzy. Koszty rozpraw eksmisyjnych? Tobin przeprowadzał średnio 3 formalne eksmisje miesięcznie, a adwokata wynajmował tylko w bardzo niepewnych przypadkach, co oznaczało, że rocznie płacił niespełna 7000 dolarów z tytułu opłat za pozwy, udział Biura Szeryfa i usługi prawne [jeśli średnio eksmitował 3 osoby miesięcznie, to podstawowy koszt – opłaty sądowe – wyniósłby 3222 dolary (89,50 × 3 × 12). Podwoiłem tę kwotę, by uwzględnić mniej regularne należności dla Biura Szeryfa, firmy przeprowadzkowej oraz adwokatów, i zaokrągliłem w górę do 7000 dolarów]. Śmieci? Lenny mówił, że rachunek

za obsługę dwóch kontenerów wynosił 800 dolarów miesięcznie (czyli 9600 rocznie). Oświetlenie? Tobin płacił za lampy (mocowane do słupów energetycznych), które oświetlały plac nocą. Posługując się standardową stawką We Energies, wyliczyłem, że roczne wydatki z tego tytułu (oraz za zużycie prądu w biurze) wynosiły 5000 dolarów. Inne wydatki? Uznałem, że kwota 15 000 pokrywa koszty ogłoszeń w prasie i premie dla Lenny'ego za dobre inkaso. Po tym wszystkim zostaje rocznie kwota 446 635 dolarów. Nie uwzględniłem w tych szacunkach znacznych jednorazowych wydatków na utrzymanie – na przykład kiedy Tobin zlecił zainstalowanie na placu śpiących policjantów – bo zdarzały się one rzadko i nieregularnie. Lenny uważał, że moje wyliczenia dają zbyt niską kwotę. Jego zdaniem Tobin zarabiał na czysto „bliżej 600 000” rocznie.

14. Wysoka tolerancja

[1] John Gurda, *The Making of Milwaukee*, dz. cyt., s. 174.

[2] Sądząc po moich doświadczeniach, dzielnice nędzy cechuje nie „kultura sprzeciwu”, tylko raczej ewidentny brak tejże.

[3] Robert Fogelson, *The Great Rent Wars: New York, 1917–1929*, New Haven: Yale University Press, 2014, s. 85, 86.

[4] Frances Fox Piven, Richard Cloward, *Poor People's Movements*, dz. cyt., s. 12, 4.

[5] Robert Fogelson, *Great Rent Wars*, dz. cyt., s. 88.

[6] Wnioski te oparte są na modelu ujemnej regresji dwumianowej zastosowanym do próby z danych Milwaukee Area Renters Study (2009–2011). By zmierzyć „wsparcie społeczności”, pytano respondentów, czy kiedykolwiek pomogli komuś z okolicy, w której obecnie mieszkają: a) opłacić rachunki lub zakupić żywność; b) znaleźć pracę; c) dokonać napraw mieszkania lub samochodu; d) udzielając wsparcia emocjonalnego; lub e) pilnując im dzieci. Poziom niekorzystnego otoczenia sąsiedzkiego był mierzony przy użyciu ładunku czynnikowego, na który składały się: mediana dochodów gospodarstw domowych, wskaźnik liczby gwałtownych przestępstw oraz odsetki rodzin żyjących poniżej granicy ubóstwa, mieszkańców poniżej osiemnastego roku życia, mieszkańców bez przynajmniej pełnego wykształcenia średniego, mieszkańców otrzymujących zasiłki państwowe i pustostanów wśród lokali mieszkalnych. W pracy napisanej wspólnie z Weihua An stwierdziłem, że istnieje pozytywna korelacja między poziomem niekorzystnych zjawisk w sąsiedztwie a wsparciem w społeczności, dochodami netto, wykształceniem, mobilnością mieszkańców, rasą, wiekiem, płcią, stanem zatrudnienia oraz składem sieci społecznych. Mieszkańcy sąsiedztw w trudnej sytuacji mający silne więzi z właścicielami mieszkań i osobami z wyższym wykształceniem byli równie skłonni udzielać wsparcia swoim sąsiadom jak ci, którzy takich więzi nie posiadali. Sugeruje to istnienie w takich

sąsiedztwach silnej obecności miejscowych wymian darów, względnie niezależnej od składu społecznego szerokiej sieci kontaktów mieszkających tam osób. Zob. Matthew Desmond, Weihua An, *Neighborhood and Network Disadvantage among Urban Renters*, dz. cyt.

[7] Organicznie powstające w biednych dzielnicach systemy wsparcia pomagają ludziom znaleźć pożywienie i przetrwać, ale też wystawiają ich na silnie traumatyzujące przeżycia, a czasem i przemoc. Bruce Western, *Lifetimes of Violence in a Sample of Released Prisoners*, „Russell Sage Journal of the Social Sciences”, w przygotowaniu do publikacji.

[8] Harvey Zorbaugh, *The Gold Coast and the Slum: A Sociological Study of Chicago's Near North Side*, Chicago: University of Chicago Press, 1929, s. 70.

[9] Wniosek ten oparłem na modelu regresji logistycznej dla zmiennych porządkowych, zastosowanym do danych z Milwaukee Area Renters Study za lata 2009–2011. Zmienna wynikowa to prawdopodobieństwo upolitycznienia. Respondentom zadano pytanie: „Jak ocenia pani/pan szanse, że ludzie w tym sąsiedztwie kiedykolwiek zorganizują się i będą działać razem, by poprawić coś w społeczności i w swoim życiu: żadne, minimalne, umiarkowane, spore czy ogromne?”. Podstawową zmienną objaśniającą była miara postrzegania traumy sąsiedzkiej. Respondentom zadano pytanie: „Czy w czasie pani/pana zamieszkiwania w tym sąsiedztwie zdarzyło się kiedykolwiek, by któryś z sąsiadów: a) został eksmitowany; b) trafił do więzienia; c) znajdował się w związku przemocowym; d) był uzależniony od narkotyków; e) został pozbawiony praw rodzicielskich przez służby opiekuńcze; f) stracił wskutek morderstwa członka bliskiej rodziny lub przyjaciela?”. Odpowiedzi sumowano. Pełen model wykazuje znaczący negatywny związek pomiędzy zdolnością do działań politycznych a obserwacją traumy w swoim sąsiedztwie, przy uwzględnieniu takich zmiennych kontrolnych jak uprzednie zaangażowanie polityczne, długość zamieszkiwania w danej okolicy, wskaźniki ubóstwa i przestępczości oraz szeregu czynników demograficznych. Zob. Matthew Desmond, Adam Travis, *Perceived Neighborhood Trauma and Political Capacity*, nieopublikowany maszynopis, Uniwersytet Harvarda 2015. O tym, że postrzeganie zaburzeń ładu społecznego jest istotniejsze niż same zaburzenia zob. Lincoln Quillian, Devah Pager, *Black Neighbors, Higher Crime? The Role of Racial Stereotypes in Evaluations of Neighborhood Crime*, „American Journal of Sociology” 2001, t. 107, s. 717–767; Robert Sampson, *Great American City*, dz. cyt.

[10] W trakcie Milwaukee Area Renters Study zadano respondentom pytanie „Jakie dwa słowa najlepiej opisują właściciela pani/pana lokalu?”. Dwaj analitycy niezależnie od siebie przypisywali do każdego z określeń wartość, od 1 jako najniższej do 10 jako najwyższej. Słowa takie jak „buc” czy „pasożyt” otrzymywały wartość 1, takie jak „doskonały” czy „kochający” – wartość 10. Mniej skrajne oceny krytyczne czy pochwalne otrzymywały wartości pośrednie. Następnie z ocen obu analityków wyciągnięto średnią, by uzyskać wynik ogólny. Według niego przeciętny najemca w Milwaukee ocenia właściciela swojego lokalu na 6 w dziesięciopunktowej skali. Najemcy o skrajnie wysokich

obciążeniach czynszowych nie oceniali właścicieli lokali lepiej czy gorzej niż inni. Natomiast ci, którzy doświadczyli problemów z mieszkaniem, postrzegali właścicieli swoich lokali zdecydowanie gorzej.

[11] Lokatorzy rzeczywiście zjednoczyli się, gdy nadeszła wiadomość o możliwości likwidacji placu: to był ich „niezwyczajny czas". Jednak kiedy ów moment minął, wszystko wróciło do normy. Nie kwestionowali wysokości czynszu, nie walczyli o lepsze warunki mieszkaniowe, nie wpisywali eksmisji w narrację polityczną. Pretensje mieli do swojego radnego, nie do właściciela placu. Raz po placu przeszła petycja. Żądano w niej usunięcia kobiety uważanej za donosicielkę i ogólnie osobę kłopotliwą. „Prosimy, żeby Grace z przyczepy S12 została eksmitowana z placu przyczep, zanim sytuacja jeszcze się pogorszy [...] – głosił tekst. – Uważamy, że jedynym rozwiązaniem tego problemu jest usunięcie tej pani, zanim ktoś się nią zajmie, a nie potrzeba nam tu, żeby do tego doszło". Pod listem, który zyskał miano petycji przeciwko Grace, podpisało się 40 osób.

15. Uciążliwość

[1] Psychologowie wykazali, że kiedy empatii przychodzi rywalizować z instynktem samozachowawczym, z reguły wygrywa ten drugi. Zob. Keith Campbell i in., *Responding to Major Threats to Self-Esteem: A Preliminary, Narrative Study of Ego-Shock*, „Journal of Social and Clinical Psychology" 2003, t. 22, s. 79–96.

[2] „Fify na gałach" znaczy podbite oczy. „Penerska" oznacza osobę tchórzliwą.

[3] Przez cały XX wiek, kiedy do Ameryki wkraczała nowoczesność, a szeregi policji rosły, obywateli uczono, by opuszczali miejsce przestępstwa, trzymali się za kordonem. Tylko państwo miało mieć prawo do ścigania i karania złoczyńców. Jednak w latach sześćdziesiątych demonstranci antywojenni zaczęli krwawić pod ciosami etatowych pałek, obywatele ujawniali brutalność policji wobec społeczności mniejszościowych, szerzyły się historie o głęboko zakorzenionej korupcji, płonęło Watts, pleniła się brutalna przestępczość. W obliczu tego wichru przemian w Amerykanach zaczęło narastać rozczarowanie do organów ścigania i sprawiedliwości. Cios łaski został zadany w roku 1974, kiedy to Robert Martinson zapoznał się z 231 odnośnymi badaniami i na szpaltach kwartalnika „The Public Interest" podsumował je, twierdząc, że „poza nielicznymi i odosobnionymi wyjątkami oceniane dotąd wysiłki na rzecz rehabilitacji nie miały istotnego wpływu na częstotliwość recydywy". „Nic nie działa" – wzdychali politycy i kryminolodzy. System sprawiedliwości, którego autorytet został skompromitowany, zareagował schizofrenicznie: zarazem zwiększając uprawnienia i zasoby policji, jak i wprowadzając do ograniczania przestępczości czynniki pozapolicyjne. Na temat rozwoju i charakteru pozapolicyjnej działalności porządkowej zob. Matthew Desmond, Nicol Valdez, *Unpolicing the Urban Poor: Consequences of Third Party Policing on Inner-City*

Women, „American Sociological Review” 2013, t. 78, s. 117–141; David Garland, *The Culture of Control: Crime and Social Order in Contemporary Society*, Chicago: University of Chicago Press, 2001; Lorraine Mazerolle, Janet Ransley, *Third Party Policing*, Cambridge: Cambridge University Press, 2005.

[4] Reinier Kraakman, *Gatekeepers: The Anatomy of a Third-Party Enforcement Strategy*, „Journal of Law, Economics, and Organization” 1986, t. 2, s. 53–104.

[5] Matthew Desmond, Nicol Valdez, *Unpolicing the Urban Poor*, dz. cyt., tabela S1; Lorraine Mazerolle, Janet Ransley, *Third Party Policing*, dz. cyt.

[6] Przepisy o uciążliwości zachwalano także jako skuteczny oręż w wojnie przeciwko narkotykom. Jednak wśród 1666 uciążliwych działań wyszczególnionych we wszystkich powiadomieniach wydanych w Milwaukee w latach 2008–2009 tylko 4 procent dotyczyło przestępczości związanej z narkotykami. O metodologii, dzięki której dokonano tych oszacowań, zob. Matthew Desmond, Nicol Valdez, *Unpolicing the Urban Poor*, dz. cyt., s. 122–125.

[7] W tym przypadku „sąsiedztwo czarne/białe” odnosi się do rejonu spisu powszechnego, gdzie co najmniej dwie trzecie mieszkańców należą do rasy czarnej/białej. Natomiast „nieruchomości, które spełniały określone w przepisach warunki”, oznaczają te, z których w ciągu trzydziestu dni dokonano trzech lub więcej połączeń z numerem 911. To, że większość powiadomień o uciążliwości wystawiano na nieruchomości w dzielnicach zdominowanych przez czarnych, wynika nie tyle z wyższych wskaźników przestępczości w tych okolicach, ile z koloru skóry. Różnica wciąż jest widoczna po uwzględnieniu wskaźników przestępczości, liczby połączeń z numerem awaryjnym, stopnia zubożenia sąsiedztwa i innych istotnych czynników. Wyobraźmy sobie dwie kobiety dzwoniące jednocześnie na policję, obie zgłaszające przypadek przemocy domowej. Jedna mieszka w sąsiedztwie zamieszkanym w 80 procentach przez czarnych, w przypadku drugiej odsetek ten wynosi 20 procent. Prawdopodobieństwo wystawienia powiadomienia o uciążliwości jest trzyipółkrotnie wyższe dla właściciela pierwszego mieszkania, nawet po uwzględnieniu częstości zgłoszeń incydentów przemocy domowej oraz wskaźnika przemocy domowej w danym sąsiedztwie. Zob. tamże.

[8] Może to rodzić namysł, czy ostatnio notowany spadek przemocy domowej wiąże się z rosnącą kryminalizacją zachowań przemocowych w rodzinach czy raczej z szerzeniem się lokalnych przepisów o uciążliwych nieruchomościach, które odstręczają od zgłaszania takich incydentów. Zob. Cari Fais, *Denying Access to Justice: The Cost of Applying Chronic Nuisance Laws to Domestic Violence*, „Columbia Law Review” 2008, t. 108, s. 1181–1225.

[9] Inni właściciele reagują na powiadomienia o uciążliwości nieruchomości, zniechęcając lokatorów do dzwonienia pod numer alarmowy. Niektórzy pouczali lokatorów, by dzwonili do nich, a nie na policję. Jeden, prowadzący placówkę mieszkalną dla „osób

z niepełnosprawnościami”, rozwiesił w tym budynku tabliczki następującej treści: NIM ZADZWONISZ POD 911 – POMYŚL / POLICJA / MOŻE UKARAĆ CIĘ GRZYWNĄ / ZA WEZWANIA W BŁAHYCH SPRAWACH / DZWOŃ NA [414-###-####] / PROŚ O POŁĄCZENIE Z DAWN. Inni właściciele grozili lokatorom eksmisją lub karami finansowymi, jeśli ci znów zadzwonią pod numer alarmowy. Jeden z właścicieli, otrzymawszy powiadomienie, rozesłał do swoich lokatorów następujący list: „Lokatorzy nękający Wydział Policji Miasta Milwaukee uciążliwymi wezwaniami lub wykorzystujący system numerów alarmowych niezgodnie z przeznaczeniem będą ponosić kary finansowe [...] KAŻDORAZOWO W WYSOKOŚCI 50,00 DOLARÓW”.

[10] Wisconsin Coalition against Domestic Violence, *Wisconsin Domestic Violence Homicide Report: 2009*, Milwaukee, wrzesień 2010.

[11] Milwaukee wprowadziło zmiany w tych przepisach w roku 2011, wkrótce po tym, jak przedstawiłem moje ustalenia Wydziałowi Policji, prawnikom administracji miejskiej oraz adwokatom zajmującym się sprawami mieszkaniowymi. Obecnie powiadomienia stanowią wprost, że „uciążliwa działalność” nie obejmuje przemocy domowej, napaści seksualnych ani stalkingu. W ten sposób Milwaukee dołączyło do garstki innych miast, takich jak Chicago, Madison w stanie Wisconsin, Phillipsburg w New Jersey czy miasteczko East Rochester w stanie Nowy Jork, których przepisy dotyczące uciążliwych nieruchomości zakazują wystawiania powiadomień za powtarzające się wezwania spowodowane przemocą domową. To wyjątki od reguły. Czy skreślenie przemocy domowej z listy działalności uciążliwych wystarczy, by chronić bite kobiety przed konsekwencjami tych przepisów? Zapewne nie, z dwóch względów.

Po pierwsze, przypadki przemocy domowej często kryją się pod innymi określeniami stosowanymi przez policję, antyseptycznymi i wyzutymi z kontekstu, jak „uszkodzenie własności” (kiedy były chłopak wyłamuje drzwi kopniakiem) bądź „osoba uzbrojona” (kiedy mąż kaleczy żonę dwoma nożykami do tapet). Przemoc domowa, napaść seksualna i stalking nie zostały wykreślone z pierwotnej listy działalności uciążliwych obowiązującej w Milwaukee, bo też nigdy tam nie figurowały. Ponieważ wśród trzydziestu dwóch wymienionych w przepisach działań objętych powiadomieniami nadal znajdują się takie jak pobicie, dręczenie czy niesłuszne użycie numeru alarmowego, te opisy również mogą być stosowane do przestępstw domowych.

Drugi problem z poprawką wprowadzoną na chybcika przez miasto jest taki, że zakłada ona, iż to właściciele lokali, którym grozi się konkretnymi grzywnami, będą zgłaszać, czy działania uciążliwe mają związek

z przemocą domową. Jedni poruszą ów temat w rozmowie z policją, drudzy po prostu eksmitują lokatora, co też da się zrobić na chybcika. Około 80 procent właścicieli nieruchomości ograniczało działalność uciążliwą, niezależnie od jej charakteru, poprzez eksmitowanie lokatorów lub grożenie im eksmisją, jeśli znów wezwą policję. Można by zaproponować listę innych ulepszeń: mogłoby pomóc pełniejsze szkolenie policjantów, miasta mogłyby kierować przepisy wyłącznie przeciwko działalności narkotykowej czy hałasowi – ale wydaje się, że to jeden z tych przypadków, kiedy przydałaby się raczej siekiera niż skalpel. Nie dość, że przepisy o uciążliwych nieruchomościach mogą istotnie krzywdzić ludzi, to dodatkowo ukazują one, do jakiego stopnia władze lokalne są gotowe odpuścić troskę o prawa obywatelskie i obchodzić proces prawny, gdy stoją w obliczu niedoboru zasobów. „Uciążliwi lokatorzy” nie są winni w świetle zgromadzonych dowodów. Nie są też niewinni, ponieważ kwestie winy i niewinności nie mają znaczenia w procedurach obmyślonych tak, by omijały drogę sądową. Jeśli lokator nie narobi porządnego rabanu, dowody w jego sprawie nawet nie trafią do sądu. Poza tymi zastrzeżeniami dotyczącymi prawa do należytego procesu eksperci prawni podnosili argument, że przepisy o uciążliwych nieruchomościach naruszają ochronę zapewnianą przez zapisy konstytucyjne (czwarta poprawka zakazująca dokonywania przeszukań i konfiskat bez uzasadnienia) oraz ustawowe (jak Ustawa o uczciwym mieszkalnictwie). Może do dzisiejszych przepisów o uciążliwych nieruchomościach dałoby się zastosować to, co Caleb Foote stwierdził sześćdziesiąt lat temu na temat ówczesnych praw USA dotyczących włóczęgostwa: otóż że jedynym powodem, dla którego są one tolerowane, jest to, że rodziny starające się związać koniec z końcem na rynku mieszkań dla osób o niskich dochodach są zbyt biedne lub zbyt zagrożone, by obstawać przy swoich oczywistych prawach. Zob. John Blue, High Noon, *Revisited: Commands of Assistance by Peace Officers in the Age of the Fourth Amendment*, „Yale Law Journal” 1992, t. 101, s. 1475–1490; John Diedrich, *Domestic Violence Victims in Milwaukee Faced Eviction for Calling Police, Study Finds*, „Milwaukee Journal Sentinel”, 18 sierpnia 2013; Caleb Foote, *Vagrancy-Type Law and Its Administration*,

„University of Pennsylvania Law Review” 1954, t. 104, s. 603–650; Karen Phillips, *Preliminary Statement, Grape v. Town/Village of East Rochester*, nr 07 CV 6075 CJS (F) (W.D.N.Y., 16 marca 2007).

16. Popiół na śniegu

[1] W tamten wieczór z początku towarzyszyłem Sherrenie i Quentinowi w kasynie. Scenę gry w karty z Lamarem i Kamalą odtworzyłem na podstawie rozmów z Lamarem, Lukiem, Eddym i niektórymi chłopcami z okolicy. Zapoznałem się też z dokumentacją sądową oraz raportami anatomopatologów i specjalistów od pożarów i bezpieczeństwa. Resztę wydarzeń tego wieczoru obserwowałem osobiście.

[2] Łkanie matek słychać było już ponad sto lat temu, gdy płomienie trawiły kamienice, których nie zabezpieczano od pożarów, uznając to za zbyt kosztowne przedsięwzięcie; płacz ten rozbrzmiewał przez cały XX wiek, gdy w gettach kolejnych miast dom za domem stawał w ogniu czy waliły się przegniłe mury. Tylko w Chicago od roku 1947 do 1953 pożary przyniosły śmierć ponad 180 mieszkańcom slumsów, w tym 63 dzieciom poniżej dziesiątego roku życia. Okoliczności sprzyjające pożarom – przeludnienie, partactwo budowlane – mogły też utrudniać rodzinom ucieczkę przed ogniem. W latach sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych minionego wieku niektórzy właściciele puszczali z dymem własne budynki, by zainkasować odszkodowanie. Czasami domy te były opuszczone, czasem nie. Dziś prawdopodobieństwo śmierci w pożarze jest ponad dziesięciokrotnie większe dla dzieci mieszkających w budynkach niespełniających norm niż dla tych w porządnych, bezpiecznych domach. Jak mówił Jacob Riis, nocny pożar to „koszmar, z którym niewiele ludzkich przeżyć może się równać”. Cytat za: Jacob Riis, *How the Other Half Lives*, dz. cyt., s. 88, zob. też s. 35–36. O pożarach w slumsach zob. Jacob Riis, *Battle with the Slum*, Mineola: Dover Publications, 1998 [wyd. 1: 1902], s. 89; Marcus Anthony Hunter, *Black Citymakers*, dz. cyt., rozdział 3; Arnold Hirsch, *Making the Second Ghetto*, dz. cyt., s. 25–26; Thomas Sugrue, *The Origins of the Urban Crisis*, dz. cyt., s. 37; Beryl Satter, *Family Properties*, dz. cyt., s. 335; Douglas Parker i in., *Fire Fatalities among New Mexico Children*, „Annals of Emergency Medicine” 1993, t. 22, s. 517–522.

17. Witamy w USA

[1] O „pójściu w bezdomność” w celu otrzymywania zasiłków zob. Adrian Nicole LeBlanc, *Random Family: Love, Drugs, Trouble, and Coming of Age in the South Bronx*, New York: Scribner, 2004.

[2] W brutalnych warunkach ludzie zachowują się brutalnie. „Ci, którzy nigdy nie doświadczyli chronicznego głodu, często nie doceniają jego skutków – napisał kiedyś psycholog A.H. Maslow. – Jeśli zawładnie nimi – tymi odkarmionymi, z dachem nad głową – jakaś potrzeba wyższego rzędu, potrzeba ta wyda się im najważniejsza ze wszystkich”. Podobnie też tak wielu myślicieli i panditów próbuje objaśniać przemoc w biednych społecznościach bez uwzględniania ograniczeń człowieczeństwa w paści niedostatku i cierpienia. Spójrzcie na tych, którzy żyją obok siebie zupełnie zgodnie, gdy zbiory są obfite, ale podczas klęski głodu będą się szarpać, tratować i gryźć, byle złapać chleb rzucany z ciężarówki z żywością. Czy też, znów według słów Maslowa: „Otóż całkiem prawdziwe jest, że człowiek żyje samym chlebem – gdy brak jest chleba”. Koncepcje dotyczące agresji w społecznościach o niskich dochodach, nieuwzględniające bolesnej presji nędzy, tego bezpośredniego brzemienia towarzyszącego dojmującemu niedostatkowi, a przygniatającego emocje i myśli, nawet nie zbliżają się do odzwierciedlenia doświadczeń życia ludzi takich jak Arleen czy Crystal. A.H. Maslow, *A Theory of Human Motivation*, „Psychological Review” 1943, t. 50, s. 370–396, 387, 375. Opisy zachowań ludzkich w warunkach ekstremalnych zob. na przykład: Elie Wiesel, *Noc*, przeł. Małgorzata Kozłowska, Kraków: Wydawnictwo Literackie, 2007, s. 143–150; Tim O’Brien, *Rzeczy, które nieśli*, przeł. Krzysztof Schreyer, Warszawa 1997, s. 62–81.

Na warunki strukturalne, takie jak niedostatek żywności czy koncentracja niekorzystnych okoliczności, ludzie reagują w wymowne sposoby. Antropolog Oscar Lewis, który spopularyzował pojęcie „kultury ubóstwa”, uważał, że owe wzorce zachowań i przekonań same uzyskują świadomość i przyczyniają się do umacniania warunków, które doprowadziły do ich pierwotnego zaistnienia. Sądzi się, że to właśnie w tym momencie świadomości owe zachowania i przekonania tworzą coś na kształt „kultury” – trwałych i współdzielonych poglądów i praktyk – a nie coś bardziej ulotnego, wymuszonego okolicznościami. Model ten pomija instytucje zajmujące przestrzeń między ludźmi a warunkami strukturalnymi, a wdrukowujące niekorzystne uwarunkowania w język, jakim posługują się ludzie, ich nawyki, systemy wierzeń i praktyki. Niedostatecznie wyposażone szkoły w sąsiedztwach o niskich dochodach często wypuszczają absolwentów o obniżonych umiejętnościach językowych i zdolności do krytycznego myślenia. Deficyty te nie znikną, nawet jeśli dzieci te w późniejszym okresie życia przeniosą się do bezpiecznych i zamożnych dzielnic. Postrzeganie tych uformowanych przez szkołę schematów językowych i systemów wierzeń jako dowodów na

„kulturę ubóstwa”, wynalazek samych rodzin biedoty, oznacza niedostrzeganie wpływu przetrąconych instytucji kultury, przez które przepuszczane są rodziny o niskich dochodach. Nie uważamy, że bogaci są bogaci, ponieważ wynaleźli sobie „kulturę zamożności”, ale dlatego, że przechodzą przez elitarne instytucje, które modyfikują ich behawior, nawyki, ogląd świata, a ta kombinacja umiejętności i sposobów bycia z kolei ułatwia im dostanie się do innych elitarnych instytucji. To, co można by postrzegać jako „kulturę zamożności”, to po prostu zamożność, a „wiele cech mających rzekomo charakteryzować kulturę ubóstwa [...] to po prostu definicje ubóstwa samego w sobie”, jak dobitnie zauważyła Carol Stack w *All Our Kin*, dz. cyt., s. 23. O kulturze ubóstwa zob. Oscar Lewis, *Five Families: Mexican Case Studies in the Culture of Poverty*, New York: Basic Books, 1959; Michèle Lamont, Mario Luis Small, *How Culture Matters: Enriching Our Understanding of Poverty*, w: *The Colors of Poverty: Why Racial and Ethnic Disparities Persist*, red. David Harris, Ann Lin, New York: Russell Sage Foundation, 2008, s. 76–102; Mustafa Emirbayer, Matthew Desmond, *The Racial Order*, Chicago: University of Chicago Press, 2015, rozdział 6; Matthew Desmond, *Relational Ethnography*, „Theory and Society” 2014, t. 43, s. 547–579.

18. Homar za talony

[1] Jason DeParle, *American Dream*, dz. cyt.; John Gurda, *The Making of Milwaukee*, dz. cyt.

[2] O czekaniu jako jednym z doświadczeń życia w nędzy zob. Javier Auyero, *Patients of the State: The Politics of Waiting in Argentina*, Durham: Duke University Press, 2012.

[3] Social Security Administration, *Understanding Supplemental Security Income SSI Resources*, Washington, DC 2014.

[4] – Gdy o tym napiszę, ludziom może być raczej trudno to zrozumieć – powiedziałem.

– Chcesz napisać o tym w tej swojej książce? – spytała Larraine.

– No, tak myślę. Będą pytać: „Co ona wyprawia? Dopiero co ją eksmitowali. Jest w zasadzie bezdomna. Mieszka z bratem, kto wie, co

będzie dalej. Właśnie wyszła z urzędu, gdzie załatwiała przywrócenie talonów żywnościowych. Więc co to za pomysł, żeby kupować w systemie argentyńskim sześćdziesięciodwucalowy telewizor za półtora tysiąca?". Takie będą pytania.

– No ale przecież nie muszą tego rozumieć. Ja też nie rozumiem całej masy rzeczy, które robią inni, a oni to robią, i cześć.

– A co byś im powiedziała, gdyby siedzieli tu z nami i pytali: „Larraine, jak rany, co cię podkusiło?".

– Powiedziałabym im, że tak chciałam, i już.

[5] Są w klasie średniej ludzie, którzy nie potrafią pohamować zdumienia czy wręcz wściekłości, gdy wchodząc do domu rodziny o niskich dochodach, zauważą szerokoekranowy telewizor czy nowe buty Nike w przedpokoju. Konserwatywne think tanki i kanały informacyjne serwują raporty pod tytułami: „Czy jesteś biedny, jeśli masz telewizor z płaskim ekranem?" czy „Klimatyzacja, kablówka i xbox: Czym jest ubóstwo w USA?". Liberałowie próbują zmieniać temat, żeby uniknąć rozmowy o zachowaniach, które ich zdaniem nie powinny występować. Ten bajerancki telewizor w nędznym mieszkaniu? Nowe buty na stopach chłopaka, któremu obiady funduje szkoła? Ich właściciele najprawdopodobniej nie zapłacili za nie tyle, ile chciałby producent. Fajny telewizor da się kupić od ćpuna za pięć dych, przecenione buty Nike trafią do osiedlowego sklepu. Metki z cenami w gettowych sklepach odzieżowych są dla białych szczawiów z przedmieść, którzy nie umieją się targować. A taki wielki telewizor sprawia też, że trudniej zauważyć różne braki. Z niemal takim samym prawdopodobieństwem tyle samo telewizorów znajdzie się w domu rodziny o niskich dochodach i bogatej. Większość ubogich Amerykanów nie posiada jednak komputera. Gdy Larraine urządziła sobie tę specjalną ucztę, nie miała nawet telefonu. Zob. Tami Luhby, *Are You Poor If You Have a Flat-Screen TV?*, „CNN Money", 13 sierpnia 2012; Robert Rector, Rachel Sheffield, *Air Conditioning, Cable TV, and an Xbox: What Is Poverty in America?*, The Heritage Foundation, Washington, DC 2011; US Energy Information Administration, *Residential Energy Consumption Survey*, 2012.

Ignorowanie tych paskudniejszych, bardziej żenujących aspektów biedy to zadawniona tradycja wśród liberałów. A ponieważ, by sparafrazować Carol Stack (*All Our Kin*, dz. cyt., s. 24), liberalni komentatorzy i badacze nie przyglądają się bacznie tym aspektom ubóstwa, mogą tylko za nie przepraszać. Jak jednak dowodził William Julius Wilson w *The Truly Disadvantaged*, dz. cyt., s. 6, 12, „unikanie opisywania wszelkich zachowań, które mogłyby być postrzegane jako niepochlebne czy

stygmatyzujące” dla ubogich, „sprawia, że argumenty liberałów stają się nieskuteczne”, ponieważ społeczeństwo amerykańskie żąda odpowiedzi na pytania dotyczące tych zachowań. Do dehumanizacji wiodą dwie drogi: można odebrać ludziom wszelkie cnoty bądź oczyścić ich ze wszystkich grzechów.

[6] Czy ludzie ci zachowywaliby się inaczej, gdyby dać im autentyczną możliwość wyrwania się z nędzy? Są mocne podstawy, by tego właśnie się spodziewać. Ekonomiści i psycholodzy behawioralni wykazali, że „ubóstwo samo w sobie obciąża umysł”, sprawiając, że ludzie stają się mniej inteligentni, bardziej impulsywni. Co więcej, gdy biedne rodziny otrzymają istotne wsparcie ekonomiczne, często reagują poprzez rozbudowę zasobów i spłatę długów. Ostatnie badania wykazały, że niemal 40 procent rodziców, którzy otrzymali ze względu na dzieci kredyt od podatku dochodowego w wysokości przekraczającej 1000 dolarów, znaczną jego część ulokowało w oszczędnościach, a niemal 85 procent używa zwrotu podatku, by spłacać długi. Oczekiwanie dalszych zwrotów podatkowych daje tym rodzicom nadzieję, więc w odpowiedzi zaczynają oszczędzać z myślą o wyrwaniu się z nędzy. Zob. Sendhil Mullainathan, Eldar Shafir, *Scarcity*, dz. cyt., s. 60, 66; Abhijit Banerjee, Sendhil Mullainathan, *The Shape of Temptation: Implications for the Economic Lives of the Poor*, National Bureau of Economic Research Working Paper, nr 15973 (2010); Ruby Mendenhall i in., *The Role of Earned Income Tax Credit in the Budgets of Low-Income Households*, „Social Service Review” 2012, t. 86, s. 367–400.

[7] Eksmisja jest kosztowna, często nie pozwala lokatorom na zaoszczędzenie kwoty potrzebnej na wprowadzenie się do nowego lokalu, to jest kaucji i czynszu za pierwszy miesiąc.

[8] Większość lokatorów mieszkań komunalnych stanowią osoby niepełnosprawne lub w podeszłym wieku. O ekspansji mieszkalnictwa dla osób starszych zob. Lawrence Vale, *From the Puritans to the Projects*, dz. cyt., s. 285–290. O tym, jakie grupy ludności znajdują się wśród mieszkańców lokali komunalnych, zob. Alex Schwartz, *Housing Policy in the United States*, dz. cyt., rozdział 6.

[9] Praktyka odmawiania pomocy mieszkaniowej na podstawie rejestrów eksmisyjnych i wyroków w sprawach cywilnych rodzi kilka zasadniczych wątpliwości. Jak przekonała się Larraine, rejestry sądowe bywają nieścisłe, zdarza się, że uwzględniają bezzasadne eksmisje, a także predylekcje właścicieli mieszkań, co może powodować rozmaite skutki dla określonych grup lokatorów, jak samotne matki czy ofiary przemocy domowej. O wątpliwych standardach dokładności w rejestrach sądowych zob. Rudy Kleysteuber, *Tenant Screening Thirty Years Later*, dz. cyt.; David Thacher, *The Rise of Criminal Background Screening in Rental Housing*, dz. cyt., s. 5–30.

[10] W debacie nad biedą przydałoby się częściej dostrzegać silny wpływ takich odmów na pewność siebie i wytrzymałość petenta. Ubieganie się o mieszkanie czy pracę i spotkanie się z odmową dziesiąty, dwudziesty czy czterdziesty raz może człowieka wykończyć. Teorie dotyczące doboru sąsiedzkiego czy bezrobocia zakładają często, że ludzie o niskich dochodach to w mniejszym czy większym stopniu „osoby działające racjonalnie”, świadome konsekwencji działań i podejmujące klarowne decyzje. W rzeczywistości wielu z nich to „wyczerpani rozbitkowie”, godzący się na kiepskie mieszkanie w niekorzystnym sąsiedztwie czy pracę bez perspektyw albo na czarno po tym, jak kolejne starania i kolejne porażki pochłonęły ich energię i podkopały morale. Nie dość, że wstyd związany z odmową może zmuszać ludzi do godzenia się na niepożądane warunki w teraźniejszości, to jeszcze może zniechęcić ich do walki o coś lepszego w przyszłości. O doświadczeniu odmowy podczas szukania pracy na poziomie początkowym zob. Philippe Bourgois, *In Search of Respect: Selling Crack in El Barrio*, New York: Cambridge University Press, 1995, rozdział 4; Katherine Newman, *No Shame in My Game: The Working Poor in the Inner City*, New York: Vintage, 1999, rozdział 3.

[11] Kilka miesięcy później Betty otrzymała list od Tobina grożący jej eksmisją za to, że przyjęła do siebie Larraine. W odpowiedzi Larraine zapłaciła mu tyle, ile – jak twierdził – była winna z tytułu zaległości za czynsz i kosztów sądowych. Była to kwota dwukrotnie wyższa od tej figurującej w rejestrach sądowych jako dług Larraine. Wskutek tego jej zaległości w firmie Eagle wzrosły do tego stopnia, że Larraine straciła wszystko, co u nich przechowywała. Jej meble, zdjęcia, biżuteria kupiona w systemie argentyńskim – wszystko to zostało sprzedane Bóg wie komu na publicznej aukcji albo wylądowało na wysypisku.

19. Malec

[1] Niepewność mieszkania jest ważnym źródłem niepewności zatrudnienia wśród pracowników o niskich dochodach. Zastosowawszy z pomocą Carla Gershensona do zbioru danych z Milwaukee Area Rent Study techniki dopasowania, jak również modele proporcjonalnego hazardu dla zmiennych dyskretnych, przekonałem się, że pracownicy o niskich pensjach, którzy wbrew woli musieli opuścić dom, ze znacznie większym prawdopodobieństwem tracili też pracę. Gdy zbadaliśmy skutki wymuszonych wyprowadzek na najemców o relatywnie stabilnej historii zatrudnienia i tych o względnie niestabilnym zatrudnieniu, okazało się, że wymuszona wyprowadzka zwiększała ryzyko utraty pracy w obu tych grupach. Matthew Desmond, Carl Gershenson, *Housing and Employment Insecurity among the Working Poor*, Social Problems, w przygotowaniu do publikacji.

[2] Rozważmy przypadek Tiny. Tina, samotna matka trójki dzieci, pracowała na część etatu w firmie ogrodniczej przy wprowadzaniu danych i dzwonieniu do klientów. Tobin doręczył jej powiadomienie o eksmisji, po czym zaczął wydzwaniać do niej w godzinach pracy,

grożąc przeprowadzeniem eksmisji, jeśli nie zapłaci mu 600 dolarów (Tina twierdziła, że jej dług wynosił tylko 100 dolarów). Walcząc z eksmisją, Tina kilka razy była w sądzie, czasem musiała w tym celu opuścić dzień pracy. Choć jej sprawa wciąż się toczyła, pod jej przyczepę przybyli tragarze z firmy Eagle i zastępcy szeryfa. Nastoletnia córka Tiny nie wpuściła ich do środka, a w końcu przybyła ona sama i wyjaśniła sytuację. Tina szukała innego lokum, ale kilku właścicieli mieszkań odrzuciło jej podania z powodu otwartej sprawy eksmisyjnej i kiepskiej zdolności kredytowej. Wkrótce jej wyniki w pracy zaczęły się pogarszać. Przygnębiona i przytłoczona sytuacją, brała wolne pod pretekstem choroby. W pracy zaczęła popełniać błędy, nie wprowadzając na przykład do systemu adnotacji o rozmowach z klientami, co składała na karb stresu związanego z procesem o eksmisję. Pewnego dnia załamała się i zaczęła szlochać przy biurku, na oczach współpracowników i przełożonych. Sędzia zgodziłby się, że Tobin żądał od niej zbyt wiele, ale i tak została eksmitowana. Wtedy szukała schronienia u przyjaciół i przygodnych znajomych, aż w końcu wprowadziła się z córkami do domu należącego do mężczyzny, który okazał jej zainteresowanie natury romantycznej. Jego dom był położony w znacząco większej odległości od miejsca pracy Tiny, a jej samochód działał, kiedy chciał. Sytuacja ta wpłynęła na zwiększoną częstotliwość spóźnień i nieobecności w pracy. Późną jesienią Tina została zwolniona. Przypadek ten ujawnia liczne mechanizmy łączące eksmisję z utratą pracy. Eksmisja, w swej naturze absorbująca i zakłócająca życie, spowodowała, że Tina zaczęła opuszczać pracę i spisywała się w niej gorzej. Przeprowadzając się pod przymusem, bez większej kontroli nad sytuacją, Tina znalazła dom w większej odległości od pracodawcy, co zwiększało ryzyko spóźnień i nieobecności. A konieczność szukania schronienia u przygodnych znajomych wprowadziła ją w nowy splot komplikacji i oczekiwań międzyludzkich.

[3] Thomas Sugrue, *The Origins of the Urban Crisis*, dz. cyt., s. 53.

[4] Matki te pisały prośby o mieszkania komunalne w Detroit w latach 1946–1948. Detroit Housing Commission, *“Children Not Wanted”: The Story of Detroit’s Housing Shortage Victims Told in Their Own Words*, Detroit Housing Commission, Detroit 1948.

[5] Jim Buchanan, *Fair Housing and Families: Discrimination against Children*, Public Administration Series, Bibliography, P1732, Monticello: Vance Bibliographies, 1985.

[6] Mary Ellen Colten, Robert Marans, *Restrictive Rental Practices and Their Impact on Families*, „Population Research and Policy Review” 1982, t. 1, s. 43–58, 49.

[7] Edward Allen, *Six Years after Passage of the Fair Housing Amendments Act: Discrimination against Families with Children*, „Administrative Law Journal of American University” 1995, t. 9, s. 297–359.

[8] W odróżnieniu od dyskryminacji o podłożu rasowym czy płciowym większość Amerykanów nie zdaje sobie nawet sprawy, że dyskryminowanie dzieci jest nielegalne. Rigel Oliveri, *Is Acquisition Everything? Protecting the Rights of Occupants under the*

Fair Housing Act, „Harvard Civil Rights–Liberties Law Review” 2008, t. 43, s. 1–64, 5. Raport sporządzony na podstawie sondażu przeprowadzonego wśród próbki mieszkańców całych stanów stwierdził, że większość respondentów wiedziała, iż bezprawna jest dyskryminacja dotycząca rasy, wyznania czy niepełnosprawności, ale tylko 38 procent miało „świadomość, że traktowanie rodzin z dziećmi inaczej niż bezdzietnych jest nielegalne”. Zob. Martin Abravanel, Mary Cunningham, *How Much Do We Know? Public Awareness of the Nation's Fair Housing Laws*, Departament Mieszkalnictwa i Rozwoju Miast, Washington, DC 2002, s. 10. Zob. też *Live Free: Annual Report on Fair Housing*, Departament Mieszkalnictwa i Rozwoju Miast, Washington, DC 2010; *Discrimination against Families with Children in Rental Housing*, Fair Housing of Marin, San Rafael 2002; *An Audit Report on Race and Family Status Discrimination in the Mississippi Gulf Coast Rental Housing Market*, Gulf Coast Fair Housing Center, Gulfport 2004.

[9] Dane z Milwaukee Area Renters Study za lata 2009–2011.

[10] Ned może i był bezdomny i ścigany, ale wciąż rekompensowała mu to – w słowach W.E.B. DuBois – „wypłata psychologiczna” obejmująca także szyderstwa z czarnych. Zob. *Black Reconstruction in America*, Cleveland: Meridian Books, 1969 [wyd. 1: 1935], s. 700.

[11] Jak od dawna już uważają socjolodzy, brzemię wstydu wyjaśnia, czemu w biednych czarnych sąsiedztwach rozpada się tyle związków. Szczególnie dla bezrobotnych mężczyzn hańba stawania przed rodziną z pustymi rękami narastała do takiego stopnia, że porzucenie bliskich stawało się mniej poniżające. Pozostawać w stałym związku znaczyło „żyć z własną porażką, dzień w dzień stawać z nią twarzą w twarz [...]. W samoobronie mąż wycofywał się na winkiel”. Gros samotnych matek nie miało takiej opcji. Elliot Liebow, *Tally's Corner*, dz. cyt., s. 135–136. Zob. Kathryn Edin, Timothy Nelson, *Doing the Best I Can*, dz. cyt.

[12] Orlando Patterson, *Rituals of Blood: Consequences of Slavery in Two American Centuries*, New York: Basic Civitas Books, 1998, s. 134; Nancy Scheper-Hughes, *Death without Weeping: The Violence of Everyday Life in Brazil*, Berkeley: University of California Press, 1992, s. 276.

[13] Carl Nightingale, *On the Edge: A History of Poor Black Children and Their American Dreams*, New York: Basic Books, 1993, s. 76–77; Orlando Patterson, *Rituals of Blood*, dz. cyt., s. 133–134.

W czasach niewolnictwa i połownictwa czarne matki i ojcowie często surowo karali dzieci, „by przygotować je do życia w świecie rządzonym przez białych, gdzie wszyscy czarni musieli zachowywać się ostrożnie”. Jacqueline Jones, *Labor of Love, Labor of Sorrows: Black Women, Work, and the Family from Slavery to the Present*, wyd. popr., New York: Basic Books, 2010, s. 96. Potem, w czasach segregacji rasowej, czarni rodzice

uczyli czasem dzieci uniżoności i potulności. „W [czarnych] rodzinach z niskich klas – napisał pewien obserwator – uczy się dziecko, że jest «czarnuchem» i że musi być posłuszne białym, bo musi dla nich pracować". Wśród czarnych rodzin powstało wówczas powiedzonko: „To świat białych, ty trafiłeś tu tylko przypadkiem, czarnuchu". Zob. Jennifer Ritterhouse, *Growing Up Jim Crow: How Black and White Southern Children Learned Race*, Chapel Hill: University of North Carolina Press, 2006, s. 98.

Dzisiejsze ubogie matki udzielają mniejszego wsparcia, mniej angażują się emocjonalnie, mniej troski poświęcają potrzebom, pragnieniom i marzeniom swoich dzieci. Rzadziej je przytulają, oszczędniej mówią im komplementy. Matki doświadczające cięższych ekonomicznych niedostatków częściej biją i karcą swoje dzieci. Socjolog Orlando Patterson posunął się wręcz do stwierdzenia, że „opieka rodzicielska nad chłopcami i dziewczętami wśród niższych klas Afroamerykanów staje się coraz bardziej przemocowa". Standardowe wytłumaczenie tych niepokojących wzorców jest mniej więcej takie: ubóstwo redukuje w człowieku zdolność do rodzicielstwa wspierającego i afirmującego, bo powoduje u matek rozdrażnienie, przygnębienie i niepokój. Jeśli rodzice są rozdrażnieni, przygnębieni i niespokojni, nasila się u nich tendencja, by dzieci karać, a nie wspierać. Ta zbitka niedostatków i traum, którą nazywamy „ubóstwem", może wyssać z matki całą radość. Jednak nie tylko ubogie matki bywają rozdrażnione, przygnębione czy pełne niepokoju. Takie stany psychiczne nie są wyłączną domeną ubogich. Wyłączną domeną ubogich jest ubóstwo. To właśnie samo doświadczenie rodzicielstwa w warunkach niedostatku sprawia, że matki pokroju Arleen bywają szorstkimi opiekunkami. Ich nastroszony cierniami chłód to niezbędny pancerz, mechanizm obronny przed kąsającą nędzą. Orlando Patterson, *Rituals of Blood*, dz. cyt., s. 133. Istnieje obszerna literatura wiążąca rodzicielski brak wsparcia i oparte na karach modele wychowania z obniżoną samooceną, agresją i zachowaniem aspołecznym u dzieci. Zob. Robert Bradley, Robert Corwyn, *Socioeconomic Status and Child Development*, „Annual Review of Psychology" 2002, t. 53, s. 371–399; *Societal Contexts of Child*

Development: Pathways of Influence and Implications for Practice and Policy, red. Elizabeth Gershoff, Rashmita Mistry, Danielle Crosby, New York: Oxford University Press, 2013; Vonnie McLoyd, *How Money Matters for Children's Socioemotional Adjustment: Family Processes and Parental Investment*, „Health Disparities in Youth and Families" 2011, t. 57, s. 33–72.

W krajach rozwijających się to właśnie niedostatek popycha matki chorowitych niemowląt do mówienia, że ich dzieci od urodzenia „pragnęły już umrzeć", i kojenia swojej obojętności wmawianiem sobie, że „takie małe to niczego nie czują". Jak pisała antropolożka Nancy Scheper-Hughes o brazylijskich slumsach, „tutaj dostateczne macierzyństwo może wymagać niemal nadludzkich wysiłków". Nancy Scheper-Hughes, *Death without Weeping*, dz. cyt., s. 342, 128, 361.

20. Nikt nie chce mieszkać na North Side

[1] Osobiście nigdy nie widziałem, by członkowie personelu składali mieszkańcom schroniska takie propozycje, ale Crystal, Vanetta i inne kobiety, które tam spotkałem, mówiły, że do tego dochodziło. W późniejszych rozmowach członkowie Armii Zbawienia twierdzili, że nie docierały do nich wieści o tego typu kontaktach między pracownikami a korzystającymi ze schroniska.

[2] Instytucje, którym powierzono zadanie troski o ubogich, te, w których zbierali się ludzie o równie pilnych potrzebach, stanowiły wyjątkowo płodny grunt do nawiązywania doraźnych więzi. Urzędy socjalne, banki żywności, agencje pracy, zebrania Anonimowych Alkoholików, kliniki terapii metadonem, schroniska dla bezdomnych, nawet sale w sądzie, gdzie czekało się na rozprawę eksmisyjną – w takich właśnie miejscach regularnie dochodziło do zadzierzgnięcia doraźnych więzi. O roli instytucji w tworzeniu sieci kontaktów zob. Mario Small, *Unanticipated Gains: Origins of Network Inequality in Everyday Life*, New York: Oxford University Press, 2009.

[3] Jeśli wierzyć Vanetcie, ataki zaczęły się po tym, jak opiekunka w żłobku upuściła Bo-Bo na główkę.

[4] Elliot Liebow, *Tally's Corner*, dz. cyt.; Matthew Desmond, *Disposable Ties and the Urban Poor*, dz. cyt.

[5] Za aktami z procesu Vanetty i jej własną relacją.

[6] Wydział Mieszkalnictwa Masta Milwaukee w „Procedurze aprobowania i przedłużania umów lokatorskich" stwierdza, że „nie ma obowiązku ani wymogu obejmowania pomocą petentów, którzy [...] wśród członków gospodarstwa domowego mają osoby z przeszłością kryminalną, obejmującą przestępstwa z użyciem przemocy fizycznej wobec osób lub własności, jak też wszelką inną działalność przestępczą (s. 16).

[7] Większość naszej wiedzy na temat ludzkiej akceptacji czy odrzucania integracji rasowej pochodzi z badań winietowych przeprowadzanych w laboratoriach. Badania te regularnie wykazują, że czarni są silnymi zwolennikami integracji, a biali popierają segregację. W jednej z prac czytamy, że wymarzone sąsiedztwo większości czarnych respondentów składało się pół na pół z czarnych i białych mieszkańców, podczas gdy większość białych odpowiedziała, że z takiego sąsiedztwa by się wyprowadzili. Jeśli jednak wyjść poza laboratorium i przyjrzeć się rodzinom faktycznie szukającym mieszkań, zobaczy się coś zgoła innego, bardziej niepokojącego. Biali przeprowadzkowicze żywią silną niechęć do mieszkania w czarnych dzielnicach – ale to samo dotyczy także czarnych. Ani razu nie słyszałem, żeby czarny najemca wyraził chęć wprowadzenia się do „zintegrowanego sąsiedztwa", choć już przez sam fakt wyprowadzki z rejonu zdominowanego przez czarnych przyczynialiby się do integracji rasowej. Słyszałem za to, jak mówią o pragnieniu „wyrwania się od tych czarnych kutasiarzy", jak to ujęła Crystal. Gdy Arleen szukała mieszkania poza gettem, powiedziała kiedyś: „Jedyni ludzie, z którymi mam problemy, to ci o moim kolorze skóry". Natasha stwierdziła: „Czarni ludzie nie wiedzą, jak się zachowywać [...]. Jakbym miała wybór, też bym się tam wyniosła [to jest na przedmieścia]! Nikt nie chce mieszkać tu dłużej, wciąż słychać strzały". W takich stwierdzeniach nie znajdzie się (pozytywnego) pragnienia integracji, lecz (negatywną) odrazę wymierzoną w społeczności zdominowane przez czarnych. O badaniach metodą winietową dotyczących preferencji rasowych zob. Reynolds Farley i in., *Stereotypes and Segregation: Neighborhoods in the Detroit Area*, „American Journal of Sociology" 1994, t. 100, s. 750–780; Reynolds Farley i in., *Chocolate City, Vanilla Suburbs: Will the Trend toward Racially Separate Communities Continue?*, „Social Science Research" 1978, t. 7, s. 319–344.

[8] W latach 2009–2011 połowa najemców w Milwaukee znalazła sobie lokum dzięki więziom społecznościowym, a 45 procent szukało mieszkania na własną rękę. Tylko około 5 procent najemców znalazło mieszkanie za pośrednictwem Wydziału Mieszkalnictwa czy innej instytucji socjalnej. Co do tych, którzy znaleźli mieszkania dzięki własnym poszukiwaniom, około połowy białych najemców korzystało z internetu, a jedna trzecia – z szyldów. Co trzeci czarny najemca samodzielnie szukający mieszkania znalazł go dzięki szyldowi, drugie tyle – przez ogłoszenie w gazecie czy innej publikacji, typu „RedBook". Poszukiwania online prowadziło 15 procent. Dla większości czarnych najemców szukanie mieszkania to czynność analogowa. 58 procent z nich znalazło lokum dzięki więziom społecznościowym. Dla białych najemców wskaźnik ten wynosi tylko 41 procent. Ogromna większość tych, którzy problem mieszkania rozwiązali dzięki swoim kontaktom,

polegała na krewnych i przyjaciołach, przy czym biali najemcy dwukrotnie częściej korzystali z pomocy przyjaciół niż rodziny. Przeciwnie do badań dotyczących poszukiwania pracy, które wskazują, że czarni w tej sytuacji mogą liczyć na znacznie mniejsze wsparcie ze strony swoich sieci kontaktów niż inne grupy społeczne, rezultaty Milwaukee Area Renters Study dowodzą, że przy szukaniu mieszkań to wsparcie jest u nich najsilniejsze. Por. Sandra Susan Smith, *Lone Pursuit*, dz. cyt.

[9] Jak oświadczył właściciel firmy Tim Ballering, w lipcu 2014 roku Affordable Rentals było właścicielem 322 mieszkań, a kolejne 484 były przez nią zarządzane.

[10] „Nie musimy mieć rządu, żeby zaopiekował się ubogimi i głodnymi. To zadanie Kościoła" – mówił pastor Daryl, uwielbiany przez Larraine. Podobne poglądy wyrażają często konserwatywni politycy. W roku 2013 republikański kongresmen Doug LaMalfa przedstawił opinię podzielaną przez wielu członków tej partii, gdy twierdził, że Amerykanom o niskich dochodach pomoc powinny nieść „kościoły [...], bo wtedy idzie to z serca, a nie z funkcji czy nakazu". Kiedy jednak patrzy się na ludzi takich jak Larraine czy Crystal, gdy szukają oni pomocy w swoich kościołach, nie sposób nie zastanowić się, czy aby na pewno mamy tak wielkie serca, by zaradzić ich wielkim i długotrwałym potrzebom, bo ludziom tym trzeba znacznie więcej niż okazjonalnej torby z jedzeniem, paruset dolarów raz na jakiś czas („Moja wiedza o pracy socjalnej jest właściwie zerowa" – stwierdził pastor Daryl). Według opowieści biblijnych wczesny Kościół był w stanie pomagać biednym dopiero wtedy, gdy wierni „sprzedawali majątki i dobra i rozdzielali je każdemu według potrzeby" (Dz 2,45). Dzisiejsi uczestnicy nabożeństw są mniej skłonni do takiej ofiarności. Pastor Daryl odczuwał frustrację z powodu – jak to nazywał – „mentalności biedy" Larraine, jej niezdolności do „zaciśnięcia pasa" i „zapanowania nad finansami". Pastorka Barber często dzwoniła do Crystal i objeżdżała ją za rzeczy typowe dla osiemnastolatków, jak choćby późne chodzenie spać. Oboje duchowni udzielali im pomocy w przeszłości i oboje mieli powody, by uznawać, że w przyszłości nie powinni już tego robić. Nakazy i przydziały rządowe nie są bynajmniej idealne, ale w mniejszym stopniu uzależnione są od granic ludzkiego współczucia. Cytat z Douga LaMalfy za: Michael Hilzik, *Families on Food Stamps Would Suffer While Farms Get Fat*, „Los Angeles Times", 14 czerwca 2013. O roli, jaką obecnie odgrywa w gettach czarny Kościół zob. Omar McRoberts, *Streets of Glory: Church and Community in a Black Urban Neighborhood*, Chicago: University of Chicago Press, 2003. O przeżyciach religijnych zob. Timothy Nelson, *Every Time I Feel the Spirit: Religious Experience and Ritual in an African American Church*, New York: NYU Press, 2004.

[11] Douglas Massey, Nancy Denton, *American Apartheid: Segregation and the Making of the Underclass*, Cambridge: Harvard University Press, 1993; Camille Zubrinsky Charles, *The Dynamics of Racial Residential Segregation*, „Annual Review of Sociology" 2003, t. 29, s. 167–207.

[12] Lewis Mumford, *The City in History*, dz. cyt., s. 417. Zob. też: tenże, *The Culture of Cities*, New York: Harcourt, Brace, and Company, 1938.

[13] Elizabeth Blackmar, *Manhattan for Rent, 1785–1850*, Ithaca: Cornell University Press, 1989, s. 199.

[14] Lewis Mumford, *The City in History*, dz. cyt., s. 462–463; Elizabeth Blackmar, *Manhattan for Rent*, dz. cyt.; Jacob Riis, *How the Other Half Lives*, dz. cyt., s. 88.

[15] Właściciele korzystali z tego przywileju w tak niewielkim stopniu, że sędziów nakłoniono, by wykluczyli możliwość zajęcia określonych przedmiotów, w szczególności narzędzi niezbędnych do zarabiania na życie. Frank Enever, *History of the Law of Distress for Rent and Damage Feasant*, London: Routledge and Sons, 1931; David Caplovitz, *The Poor Pay More*, New York: The Free Press, 1967, s. 162–163.

[16] Jacqueline Jones, *The Dispossessed: America's Underclasses from the Civil War to the Present*, New York: Basic Books, 2001, rozdział 1.

[17] W 1928 roku 99 procent czarnych mieszkańców Milwaukee mieszkało w wynajętych lokalach. Joe William Trotter junior, *Black Milwaukee*, dz. cyt., s. 70.

[18] Arnold Hirsch, *Making the Second Ghetto*, dz. cyt., rozdział 1; Marcus Anthony Hunter, *Black Citymakers*, dz. cyt.; Allan Spear, *Black Chicago*, dz. cyt., rozdział 8; Thomas Sugrue, *The Origins of the Urban Crisis*, dz. cyt., s. 51–55; Alex Schwartz, *Housing Policy in the United States*, dz. cyt., s. 21.

[19] Beryl Satter, *Family Properties*, dz. cyt., s. 6; zob. też: Allan Spear, *Black Chicago*, dz. cyt., s. 148; William Trotter junior, *Black Milwaukee*, dz. cyt., s. 180.

[20] Michael Bennett, *When Dreams Come True: The GI Bill and the Making of Modern America*, McLean: Brassey's Publishing, 1966; Ira Katznelson, *When Affirmative Action Was White: An Untold History of Racial Inequality in Twentieth-Century America*, New York: Norton, 2005.

[21] Odsetek czarnych rodzin mających własny dom wynosi 43 procent i jest najniższy wśród grup etnicznych Ameryki. Dla białych jest on najwyższy i wynosi 73 procent. Robert Callis, Melissa Kresin, *Residential Vacancies and Homeownership in the Third Quarter 2014* (Federalne Biuro Spisu Powszechnego, Washington, DC, październik 2014, tabela 7; Ta-Nehisi Coates), *The Case for Reparations*, „The Atlantic", czerwiec 2014.

[22] Beryl Satter, *Family Properties*, dz. cyt., s. 430, przypis 7.

[23] Czerpiąc dane z Milwaukee Area Renters Study za lata 2009–2011, Tracey Shollenberger i ja zaprojektowaliśmy model opóźnienia w metodzie najmniejszych kwadratów szacujący bieżące wskaźniki ubóstwa i przestępczości w rejonie zamieszkania najemcy w zależności od jego poprzedniego adresu. Sprawdzając najświeższe przeprowadzki wszystkich najemców, którzy przenosili się w ciągu ostatnich dwóch lat,

uwzględniliśmy kilka ważnych czynników demograficznych – rasę, wykształcenie, strukturę rodziny, zasiłki mieszkaniowe – i kilka kluczowych wstrząsów w życiorysie mogących mieć potencjalny związek z wyborem miejsca zamieszkania: utratę pracy, narodziny dziecka. Nawet przy warunkowaniu szeregiem ważnych czynników i wskaźnikami dla poprzedniego adresu doświadczenie przymusowej przeprowadzki wiąże się ze wzrostem odchylenia standardowego o ponad jedną trzecią w kwestii wskaźników ubóstwa i przestępczości dla nowego adresu w porównaniu z przeprowadzkami dobrowolnymi.

21. Chłopak z wielką główką

[1] Sherrena obciążyła Patrice „podwójną stawką”. Właściciele domów w Milwaukee mają prawo naliczać podwójny czynsz lokatorom za każdy dzień ich pobytu w mieszkaniu po terminie wyznaczonym w powiadomieniu o eksmisji (paragraf 704.27 statutów stanowych). Rozwiązanie to miało na celu ułatwienie właścicielom odzyskania utraconych przychodów z czynszu w sytuacjach, kiedy eksmitowani lokatorzy blokowali posesję i nie pozwalali na jej ponowne wynajęcie. Sherrena z reguły nie posuwała się do tego, ale dla Patrice zrobiła wyjątek – „Bo nas wkurwiła na maksa! Wyszczekana jest aż za bardzo”.

[2] Por. Elliot Liebow, *Tally’s Corner*, dz. cyt., s. 63.

Wskazuje się na związki kiepskich warunków mieszkaniowych z astmą, zatruciami ołowiem, powikłaniami oddechowymi, opóźnieniami rozwojowymi, chorobami serca i zaburzeniami neurologicznymi, przez co w jednym z czołowych pism medycznych nieodpowiednie warunki mieszkaniowe określono mianem „kryzysu zdrowia publicznego”. Nawet ograniczone wystawienie na nieodpowiednie warunki może mieć długotrwałe konsekwencje zdrowotne, szczególnie u dzieci. O związkach między warunkami mieszkaniowymi a zdrowiem zob. Samiya Bashir, *Home Is Where the Harm Is: Inadequate Housing as a Public Health Crisis*, „American Journal of Public Health” 2002, t. 92, s. 733–738; Gary Evans, Nancy Wells, Annie Moch, *Housing and Mental Health: A Review of the Evidence and a Methodological and Conceptual Critique*, „Journal of Social Issues” 2003, t. 59, s. 475–500; James Krieger, Donna Higgins, *Housing and Health: Time Again for Public Health Action*, „American Journal of Public Health” 2002, t. 92, s. 758–768; Wayne Morgan i in., *Results of a Home-Based Environmental Intervention among Urban*

Children with Asthma, „New England Journal of Medicine" 2004, t. 351, s. 1068–1080; Joshua Sharfstein i in., *Is Child Health at Risk while Families Wait for Housing Vouchers?*, „American Journal of Public Health" 2001, t. 91, s. 1191–1192.

[3] Lee Rainwater, *Behind Ghetto Walls*, dz. cyt., s. 476.

[4] Robert Sampson, *Great American City*, dz. cyt.; Patrick Sharkey, *Stuck in Place: Urban Neighborhoods and the End of Progress toward Racial Equality*, Chicago: University of Chicago Press, 2013.

[5] Julie Clark, Ade Kearns, *Housing Improvements, Perceived Housing Quality and Psychosocial Benefits from the Home*, „Housing Studies" 2012, t. 27, s. 915–939; James Dunn, Michael Hayes, *Social Inequality, Population Health, and Housing: A Study of Two Vancouver Neighborhoods*, „Social Science and Medicine" 2000, t. 51, s. 563–587. O „stygmatyzacji terytorialnej" zob. Loïc Wacquant, *Urban Outcasts: A Comparative Sociology of Advanced Marginality*, Malden, MAPolity Press, 2008, rozdział 6.

22. Jeśli mamusi dadzą karę

[1] Kiedy Crystal mieszkała u Patricii, na pytania o to, gdzie mieszka, zawsze odpowiadała: „U mamy". Zapewne tak samo odpowiedziałaby na takie pytanie w ankiecie. Zestaw narzędzi analitycznych, jakim obecnie dysponujemy, nawet uzupełniony o cały doktorancki leksykon analizy sieciowej, kiepsko sobie radzi z ujmowaniem całej złożoności związków, w które angażują się ludzie tacy jak Crystal. Zob. Nan Lin, *Social Capital: A Theory of Social Structure and Action*, New York: Cambridge University Press, 2002; Mario Small, *Unanticipated Gains*, dz. cyt.; Matthew Desmond, *Disposable Ties and the Urban Poor*, dz. cyt.

[2] Nie byłem świadkiem tego zajścia. Odtworzyłem tę scenę po wielu rozmowach z Crystal.

Kiedy wątłe, ale intensywne związki między niemalże obcymi sobie osobami kończą się źle – albo i gwałtownie, co też się czasem zdarza – rodzi się głęboki brak zaufania pomiędzy sąsiadami i w grupach rówieśniczych, co osłabia społeczność i stabilność sieci towarzyskich. Pamięć o tym, że zostało się wykorzystanym czy źle potraktowanym przez osobę, z którą było się doraźnie związanym, skłania ludzi do postrzegania innych z podejrzliwością. Wobec tego poleganie na doraźnych więzach jest zarazem odpowiedzią na niestabilność społeczną, jak i jej przyczyną.

Kuzyni Crystal i jej siostry z rodzin zastępczych są mniej więcej w jej wieku. Nie mogli zaoferować jej noclegu ani większych kwot pieniędzy, ale w razie bójki byli gotowi służyć wsparciem.

[3] O obecności służb opiekuńczych w życiu ubogich czarnych rodzin zob. Christopher Wildeman, Natalia Emanuel, *Cumulative Risks of Foster Care Placement by Age 18 for U.S. Children, 2000–2011*, „PLOS ONE” 2014, t. 9, s. 1–7; Dorothy Roberts, *Shattered Bonds: The Color of Child Welfare*, New York: Basic Books, 2002.

[4] W roku 2010 „New York Times” doniósł, że 2 procent Amerykanów żyje w domostwach, których jedynym dochodem są talony żywnościowe. Jason DeParle, *Living on Nothing but Food Stamps*, „New York Times”, 2 stycznia 2010.

23. Klub Trzeźwości

[1] Z akt postępowania dyscyplinarnego przeciwko Scottowi przed Komisją Pielęgniarską Stanu Wisconsin.

[2] Powszechne założenie, że biedakom brak styczności z krewnymi i przyjaciółmi, którzy mają dobrze płatną pracę, wyższe wykształcenie czy są właścicielami domów, doprowadziło do kosztownych i obarczonych konsekwencjami decyzji politycznych. Mieszanie rodzin o różnych dochodach ma w zamierzeniu „wystawić lokatorów o niskich dochodach na kontakt z możliwościami zatrudnienia i wzorcami zachowań społecznych”. Programy przesiedleń wewnątrz dzielnic, takie jak Moving to Opportunity [Przeprowadzka do szansy], pomyślano jako sposób włączenia rodzin o niskich dochodach w „bardziej prospołeczne i zamożniejsze sieci społeczne”. Wielu ubogich ludzi ma jednak pod dostatkiem kontaktów z tymi, którzy pną się wyżej. Mniej więcej co szósty najemca w Milwaukee mieszka w okolicy o ponadprzeciętnie ujemnych wskaźnikach, choć jego sieci kontaktów są korzystniejsze niż przeciętnie. Po prostu same więzi z klasą średnią to za mało. Być może to przez popularność pojęcia „kapitału społecznego” badacze mają skłonność do postrzegania związków prospołecznych z ludźmi ważnymi czy dysponującymi znacznymi zasobami jako czegoś, co się „ma” i czego, jak pieniędzy, można użyć, kiedy tylko się zechce. W rzeczywistości, jak dowodzą doświadczenia Scotta, takie więzi mają znaczenie tylko o tyle, o ile człowiek jest w stanie je uruchomić. Na temat programów socjalnych, które w założeniu miały walczyć z „izolacją społeczną” – zob. Departament Mieszkalnictwa i Rozwoju Miast, *Moving to Opportunity for Fair Housing Demonstration Program: Final Impacts Evaluation*, Washington, DC 2011; Departament Mieszkalnictwa i Rozwoju Miast, *Mixed – Income Housing and the HOME Program*, Washington, DC 2003. Kanoniczne teorie na temat ubóstwa i życia społeczności, twierdzące, że izolacja przestrzenna (gettoizacja mieszkaniowa) pociąga za sobą izolację socjalną (gettoizację sieci) – zob. William Julius Wilson, *The Truly Disadvantaged*, dz.

cyt.; Douglas Massey, Nancy Denton, *American Apartheid*, dz. cyt. Szczegółowe analizy niekorzystnych wpływów okolicy i sieci kontaktów zob. w: Matthew Desmond, Weihua An, *Neighborhood and Network Disadvantage among Urban Renters*, dz. cyt.

[3] Gdy Scott brał prochy, czasem nazywał to „autoterapią”. Było w tym coś więcej niż tylko pielęgniarski żargon. Tylu słów, tylu fraz używamy, by pomóc zamaskować tę zgniliznę, która ropieje przy samych korzeniach. Ciekawe, jak często mechanizmy przetrwania są mylnie brane za przejawy kultury.

[4] Psychiatra zapytał go: „Chce pan od razu brać dwie setki zoloftu czy dojdziemy do tego powoli?”. „Od razu dwieście” – odparł Scott. Uważał, że bez sensu byłoby obniżać tę dawkę, choć była wysoka, bo już wcześniej taką właśnie przyjmował.

[5] Kiedy informacje o metadonie trafiały do wiadomości telewizyjnych, to przeważnie w kiepskim kontekście. W roku, w którym Scott rozpoczął terapię, metadon stanowił niespełna 2 procent liczby przepisywanych opioidowych środków przeciwbólowych, ale spowodował niemal jedną trzecią śmiertelnych przedawkowań opioidowych środków przeciwbólowych. Społeczność lekarska przypisywała ów niepokojący wzrost związanych z metadonem zgonów rosnącemu wykorzystywaniu tego leku jako środka przeciwbólowego, a nie podstawnika dla uzależnionych. Jeśli idzie o leczenie uzależnienia od heroiny i jego szersze konsekwencje społeczne, metadon okazał się bardzo skuteczny od chwili jego wprowadzenia w roku 1964. Jako pełny agonista opioidów zaspokaja on łaknienie u osoby uzależnionej i pozwala jej, przy odpowiednim doborze dawki, na normalne funkcjonowanie. Praktyka dowodzi tego dobitnie. Metadon ogranicza lub eliminuje używanie heroiny, redukuje liczbę przedawkowań, jak również przestępczość związaną z używaniem narkotyków, poprawia stan zdrowia pacjentów, wielu pomaga prowadzić bogate, produktywne życie. Jeśli chodzi o uzależnionych od heroiny, metadon po prostu działa lepiej niż zakładające tylko abstynencję programy typu AA. „Słyszy się wszystkie te okropne historie o metadonie – mówi jeden z ekspertów – ale nigdy nic o tych dziesiątkach czy nawet setkach tysięcy ludzi, którzy zażywają go dzień w dzień, pracują, już w znacznym stopniu pokonali w sobie uzależnienie i prowadzą normalne życie”. Scott także stawał się takim człowiekiem. Peter Friedmann, cyt. za: Harold Pollack, *This Drug Could Make a Huge Dent in Heroin Addiction. So Why Isn't It Used More?*, „Washington Post”, 23 listopada 2013. Zob. też Herman Joseph, Sharon Stancliff, John Langrod, *Methadone Maintenance Treatment (MMT): A Review of Historical and Clinical Issues*, „Mount Sinai Journal of Medicine” 1999, t. 67, s. 347–364; Centers for Disease Control, *Vital Signs: Risk for Overdose from Methadone Used for Pain Relief – United States, 1999–2010*, „Morbidity and Mortality Weekly Report” 2012, t. 61, s. 493–497.

[6] Sally Satel, *Happy Birthday, Methadone!*, „Washington Monthly”, listopad–grudzień 2014.

[1] Oznacza to, że dzielenie miejskiej biedoty na dwie grupy – niestabilnych i ustabilizowanych, godnych i niegodnych pomocy, porządnych i ulicę – często kończy się błędnym traktowaniem jako niezmiennego tego, co regularnie okazuje się przejściowe i mgliste. Stabilność i niestabilność: to nie tyle trwałe stany, ile raczej tymczasowe okoliczności, których ubogie rodziny doświadczają przez krótszy lub dłuższy czas. Problemy się przenikają. Zabójstwo ukochanej osoby może doprowadzić do depresji, ta do utraty pracy, co z kolei może skończyć się eksmisją, która pogłębi depresję, i tak dalej. Twórcy rozwiązań politycznych i ci, którzy prowadzą dla nich badania, miewają skłonność do wybierania jednego z takich problemów jako celu dla swoich magicznych pocisków. Cóż, kiedy może lepszy byłby szeroki rozrzut śrucin ze strzelby. O lawinowych nieszczęściach spadających na rodziny o niskich dochodach zob. Timothy Black, *When a Heart Turns Rock Solid: The Lives of Three Puerto Rican Brothers On and Off the Streets*, New York: Vintage, 2009; Matthew Desmond, *Severe Deprivation in America*, „Russell Sage Journal of the Social Sciences", w przygotowaniu do publikacji; Kristin Perkins, Robert Sampson, *Compounded Deprivation in the Transition to Adulthood: The Intersection of Racial and Economic Inequality among Chicagoans, 1995–2013*, „Russell Sage Journal of the Social Sciences", w przygotowaniu do publikacji; Bruce Western, *Lifetimes of Violence in a Sample of Released Prisoners*, dz. cyt.

[2] W sąsiedztwach Milwaukee o większej liczbie dzieci jest więcej eksmisji, nawet jeśli weźmie się poprawkę na wskaźniki ubóstwa, proporcje rasowe i szereg innych czynników. W sąsiedztwach, w których dzieci stanowiły w 2010 roku mniej niż 10 procent ludności, eksmisja dotknęła 0,81 procent rodzin najemców. Tam, gdzie dzieci stanowiły co najmniej 40 procent mieszkańców, eksmitowano co dwunastą rodzinę. Przyjmuje się, że przy zachowaniu równości wszystkich innych czynników wzrost odsetka dzieci w danym sąsiedztwie o 1 procent spowoduje niemal siedmioprocentowy przyrost liczby eksmisji. Oceny te oparte są na rejestrach sądowych wyroków eksmisyjnych wydanych w hrabstwie Milwaukee od 1 stycznia do 31 grudnia 2010. Model statystyczny określający związek między odsetkiem dzieci w sąsiedztwie a liczbą przeprowadzanych tam eksmisji to regresja Poissona z podwyższoną liczbą zer (ZIGP), opisana szczegółowo w: Matthew Desmond i in., *Evicting Children*, dz. cyt.

[3] Takie przygnębienie mogło się ciągnąć i ciągnąć. Co najmniej dwa lata od eksmisji matki takie jak Arleen wciąż doświadczały depresji zdecydowanie częściej niż osoby bez takich doświadczeń. Zob. Matthew Desmond, Rachel Tolbert Kimbro, *Eviction's Fallout: Housing, Hardship, and Health*, „Social Forces" 2015, t. 94, nr 1, s. 295–394. Zob. też Marc Fried, *Grieving for a Lost Home*, w: *The Urban Condition: People and Policy in the Metropolis*, red. Leonard Duhl, New York: Basic Books, 1963, s. 151–171; Theresa Osypuk i in., *The Consequences of Foreclosure for Depressive Symptomatology*, „Annals of Epidemiology" 2012, t. 22, s. 379–387.

[4] Inne podejście zaczyna się od taksowania zasobów danej osoby, zanim spróbuje się uzyskać do nich dostęp. Ponieważ w biednych dzielnicach najczęściej wybieraną opcją odmowy są słowa „nie mogę”, czasami ludzie próbują wyeliminować taką reakcję. Dlatego, na przykład, zamiast zapytać: „Podwiozłabyś mnie gdzieś?”, pytasz: „Zatankowałaś auto?”. Zamiast pytać: „Nałożyłbyś i dla mnie?”, zaczynasz od: „Będziesz coś jadł?”. Kiedy ktoś już wie, że masz benzynę w baku czy coś do jedzenia w lodówce, trudniej wymyślić dobry powód, żeby mu odmówić. Poprzez codzienne interakcje ubodzy wywęszyli to, na czego odkrycie organizatorzy funduszy na kampanie polityczne i specjaliści do spraw rozwoju wyłożyli ciężkie miliony: że proszenie o wsparcie to subtelna sztuka. Wiedza, jak prosić o pomoc – oraz odwrotnie: kiedy jej udzielać, a kiedy odmówić – to umiejętność niezbędna w radzeniu sobie z biedą.

Zwracanie się o pomoc do pracowników socjalnych odbywa się według odmiennych reguł. Tutaj kto o nic nie prosi, nic nie dostanie. Lepiej jednak nie wyjść na osobę o zbyt dużych potrzebach, zbyt głodną, zbyt spiętą – bo inaczej wkrótce mogą wpaść z wizytą służby opiekuńcze, aby sprawdzić, co u dzieci. Pewnego razu poznałem kobietę, trzydziestotrzylatkę, matkę dwóch nastolatek, która dużo piła. Jako przyczynę picia wskazywała traumatyzujące zdarzenia z dzieciństwa.

„– Ja to pamiętam. Włącznie z zapachem.

– Byłaś kiedyś z tym u terapeuty? – zapytałem.

– Nie. Myślałam o tym. Ale oni za bardzo wtykają nos w nie swoje sprawy. Raz jeden typ oskarżył mnie fałszywie w służbach opiekuńczych w Kalifornii. Niczego nie znaleźli, ale to i tak człowieka poharata, jak mi tacy wchodzą do domu [...] i rozmawiają z moimi dzieciakami na osobności.

Czy gdyby zwierzyła się komuś z tego, jak była pokancerowana i jak sobie z tym radziła, pozwolono by jej na dalsze zajmowanie się córkami? Tego nie wiedziała i wolała się nie dowiadywać”.

[5] Nie byłem świadkiem tej sceny. Opowiedziała mi o niej Arleen.

Epilog. Dom i nadzieja

[1] Lewis Mumford, *The City in History*, dz. cyt., s. 13; ze szczególnymi podziękowaniami dla Rowana Flada i Shamusa Khana za wnikliwe spojrzenie na kwestie etymologiczne.

[2] Alexis de Tocqueville, *O demokracji w Ameryce*, t. 2, przeł. Barbara Janicka, Marcin Król, Kraków: Znak, 1996, s. 114.

[3] Gunnar Myrdal, *An American Dilemma*, t. 2: *The Negro Social Structure*, New York: McGraw-Hill Publishers, 1964 [wyd. 1: 1944], s. 810.

[4] Platon, *Państwo*, przeł. Władysław Witwicki, Warszawa: PWN, 2010, s. 344.

[5] Mary Schwartz, Ellen Wilson, *Who Can Afford to Live in a Home? A Look at Data from the 2006 American Community Survey*, Federalne Biuro Spisu Powszechnego, Washington, DC 2007.

[6] Chester Hartman, David Robinson, *Evictions*, dz. cyt., s. 461–501.

[7] Gary Evans, *The Environment of Childhood Poverty*, „American Psychologist" 2004, t. 59, s. 77–92; Shigehiro Oishi, *The Psychology of Residential Mobility: Implications for the Self, Social Relationships, and Well-Being*, „Perspectives on Psychological Science" 2010, t. 5, s. 5–21; Robert Sampson, *Great American City*, dz. cyt.

[8] W rzeczy samej, wśród badaczy da się dostrzec silne uprzedzenia właściwe klasie średniej, gdy zakładają, że wszystkie przeprowadzki są rozmyślne, planowane. Szersze objaśnienie założonej rozmyślności w badaniach nad mobilnością lokatorów zob. w: Matthew Desmond, Tracey Shollenberger, *Forced Displacement from Rental Housing*, dz. cyt. O wysokim wskaźniku mobilności lokatorów z ubogich rodzin zob. David Ihrke, Carol Faber, *Geographical Mobility: 2005 to 2010*, Federalne Biuro Spisu Powszechnego, Washington, DC, 2012; Robin Phinney, *Exploring Residential Mobility among Low-Income Families*, „Social Service Review" 2013, t. 87, s. 780–815.

[9] Ustalenie to wynika z modelu regresji ujemnej dwumianowej szacującego liczbę przeprowadzek dokonanych przez najemców w ciągu ostatnich dwóch lat, warunkowanego dochodami rodziny, przynależnością rasową, wykształceniem, płcią, statusem rodziny, wiekiem, faktem notowania za przestępczość, a także trzema ostatnimi doświadczeniami wstrząsającymi życiem: utratą pracy, rozpadem związku lub eksmisją. Z analizy wynikało, że niskie dochody przekładają się na wyższy wskaźnik mobilności, ale tylko przed wzięciem poprawki na wymuszone przeprowadzki, jak również, że przy zachowaniu równości pozostałych wskaźników osoby poddane przymusowej wyprowadzce mogły się spodziewać wskaźnika mobilności wyższego o 30 procent od tych, którym takiej wyprowadzki udało się uniknąć. Zob. Matthew Desmond, Carl Gershenson, Barbara Kiviat, *Forced Relocation and Residential Instability among Urban Renters*, dz. cyt., s. 227–262. Pod pojęciem „najuboższych najemców w Milwaukee" mam na myśli najmujące gospodarstwa domowe z najniższego kwartylu dochodów (z dochodami poniżej 12 204 dolarów). Milwaukee Area Renters Study za lata 2009–2011.

[10] O hrabstwie Jackson w stanie Missouri zob. Tara Raghuveer, *'We Be Trying': A Multistate Analysis of Eviction and the Affordable Housing Crisis*, praca licencjacka,

Uniwersytet Harvarda, Committee on the Degrees in Social Studies, Cambridge, MA 2014. W roku 2012 sądy miasta Nowy Jork rozpatrzyły 217 914 pozwy eksmisyjne za nieopłacanie czynszu, orzekając 28 743 eksmisje. Zob. New York City Rent Guidelines Board, *2013 Income and Affordability Study*, 4 kwietnia 2013. W Cleveland, mieście, w którym wynajmowano 95 702 mieszkań, w roku 2012 było 11 072 pozwy eksmisyjne, a w 2013 – 11 031, co oznacza, że co roku do sądów na rozprawy eksmisyjne wzywano niemal 12 procent najemców. Zob. Northeast Ohio Apartment Association, „Suites", *Eviction Index*, 2012–2013; badania American Community Survey za rok 2013. Szacuje się, że w 2012 roku złożono w Chicago 32 231 pozwów eksmisyjnych, co odpowiadałoby 7 procentom wynajmowanej substancji mieszkaniowej w mieście – zob. Kay Cleaves, *Cook Eviction Stats Part 5: Are Eviction Filings Increasing?*, StrawStickStone.com, 8 lutego 2013.

[11] Matthew Desmond, Carl Gershenson, *Housing and Employment Insecurity*, dz. cyt.

[12] Eksmisje przyczyniają się też do nasilenia problemu, który w największym stopniu wpływa na zwiększenie ich liczby poprzez napędzanie wzrostu czynszów. Jest to bezdyskusyjne w sytuacjach, kiedy właściciele eksmitują lokatorów z mieszkań o prawnie ograniczonej wysokości czynszu, żeby móc je wystawić w ofercie wolnorynkowej. Dotyczy to jednak również normalnych eksmisji z mieszkań bez ograniczeń czynszu, bo nowym lokatorom łatwiej narzucić wyższą stawkę niż starym. W Milwaukee lokatorzy płacą rocznie średnio o 58 dolarów niższy czynsz za każdy kolejny rok spędzony w danym mieszkaniu, przy zachowaniu równości wszystkich pozostałych czynników. Wymiany lokatorów ułatwiają podwyższanie czynszów, a eksmisje powodują wymianę lokatorów. Matthew Desmond, Kristin Perkins, *Are Landlords Overcharging Voucher Holders?*, dz. cyt. W San Francisco liczba eksmisji na podstawie ustawy Ellisa – często wykorzystywanych, by mieszkania o prawnie ograniczonym czynszu przekształcać w wolnorynkowe lub sprzedawać je indywidualnym właścicielom – wzrosła o 170 procent między marcem 2010 a lutym 2013 roku. Marisa Lagos, *San Francisco Evictions Surge, Report Finds*, „San Francisco Gate", 5 listopada 2013.

[13] Matthew Desmond, Rachel Tolbert Kimbro, *Eviction's Fallout*, dz. cyt.

[14] Matthew Desmond, Carl Gershenson, *Housing and Employment Insecurity*, dz. cyt.

[15] Technicznie rzecz biorąc, wyniki modeli regresji z opóźnioną zmienną objaśniającą wskazywały, że wymuszona przeprowadzka wiąże się ze wzrostem odchylenia standardowego o ponad jedną trzecią we wskaźnikach ubóstwa i przestępczości dla sąsiedztwa, do którego następuje przeprowadzka, w porównaniu z przeprowadzkami dobrowolnymi. Dla wszystkich modeli najbardziej odpornymi i najbardziej spójnymi wskaźnikami pogorszenia jakości sąsiedztwa po przeprowadzce są: rasa (czy najemca jest Afroamerykaninem) i rodzaj przeprowadzki (czy była wymuszona). Matthew Desmond, Tracey Shollenberger, *Forced Displacement from Rental Housing*, dz. cyt.

[16] Robert Sampson, *Great American City*, dz. cyt.; Patrick Sharkey, *Stuck in Place*, dz. cyt.

[17] Ustalenia te udokumentowane są w opracowaniu *Eviction's Fallout*, które napisałem wspólnie z Rachel Kimbro. W badaniu tym oparliśmy się na dwudzielnym wskaźniku, by mierzyć symptomy depresji u matek. Zadawano im serię pytań dotyczących doświadczeń ostatnich dwunastu miesięcy, stworzoną na podstawie Złożonego Międzynarodowego Krótkiego Wywiadu Diagnostycznego (Composite International Diagnostic Interview Short Form, CIDI-SF). Respondentki pytano o to, czy w ciągu minionego roku doświadczały dysforii (depresji) lub anhedonii (niemożności cieszenia się z tego, co normalnie przynosiło przyjemność) przez okres co najmniej dwóch tygodni, a jeśli tak, to czy objawy trwały przez większą część dnia i czy pojawiały się codziennie w tym dwutygodniowym okresie. W razie odpowiedzi twierdzącej zadawano bardziej szczegółowe pytania o: a) utratę zainteresowania, b) uczucie zmęczenia, c) zmianę wagi, d) problemy ze spaniem, e) problemy z koncentracją, f) poczucie bezwartościowości, oraz g) myślenie o śmierci. Matki klasyfikowano jako prawdopodobne przypadki depresyjne, jeśli wskazały u siebie dysforię albo anhedonię, jak również dwa inne symptomy w pytaniach pogłębionych (co w sekcji ciężkiej depresji kwestionariusza CIDI-SF dawało im co najmniej 3 punkty). Wyniki są odporne na przesuwanie punktu odcięcia na skali depresji, jak również dla regresji ujemnej dwumianowej przy szacowaniu symptomów depresji zgłaszanych przez respondentki. Zob. Ronald Kessler i in., *Methodological Studies of the Composite International Diagnostic Interview (CIDI) in the US National Comorbidity Survey (NCS)*, „International Journal of Methods in Psychiatric Research" 1998, t. 7, s. 33–55.

[18] Michael Serby i in., *Eviction as a Risk Factor for Suicide*, „Psychiatric Services" 2006, t. 57, s. 273–274. Katherine Fowler i in., *Increase in Suicides Associated with Home Eviction and Foreclosure during the US Housing Crisis: Findings from 16 National Violent Death Reporting System States, 2005–2010*, „American Journal of Public Health" 2015, t. 105, s. 311–316.

[19] Robert Sampson, *Great American City*, dz. cyt.

[20] Rezultat wyliczeń na podstawie danych dla poszczególnych sąsiedztw Milwaukee za lata 2005–2007. Wykorzystując model ze zmienną opóźnioną, szacowałem wskaźnik brutalnych przestępstw dla danego sąsiedztwa na jeden rok, uwzględniając wskaźniki gwałtownej przestępczości i eksmisji za poprzedni rok, jak również odsetki rodzin poniżej granicy ubóstwa, afroamerykańskich mieszkańców sąsiedztwa, mieszkańców poniżej osiemnastego roku życia, mieszkańców z wykształceniem poniżej pełnego średniego oraz domostw korzystających ze wsparcia mieszkaniowego. Ostateczny model wykazywał istotne powiązanie między wskaźnikiem brutalnych przestępstw w danym sąsiedztwie a wskaźnikiem eksmisji przeprowadzonych tam w poprzednim roku (B =

0,155; p < 0,05). Zob. Matthew Desmond, *Do More Evictions Lead to Higher Crime? Neighborhood Consequences of Forced Displacement*, dz. cyt.

[21] Milwaukee Area Renters Study za lata 2009–2011.

[22] United States Conference of Mayors, *Hunger and Homelessness Survey*, United States Conference of Mayors, Washington, DC 2013; Martha Burt, *Homeless Families, Singles, and Others: Findings from the 1996 National Survey of Homeless Assistance Providers and Clients*, „Housing Policy Debate" 2001, t. 12, s. 737–780; Maureen Crane, Anthony Warnes, *Evictions and Prolonged Homelessness*, „Housing Studies" 2000, t. 15, s. 757–773.

O skutkach mieszkania w nieodpowiednich warunkach i niebezpiecznych sąsiedztwach dla zdrowia dzieci zob. Julie Clark, Ade Kearns, *Housing Improvements*, dz. cyt.; Tama Leventhal, Jeanne Brooks-Gunn, *The Neighborhoods They Live In: The Effects of Neighborhood Residence on Child and Adolescent Outcomes*, „Psychological Bulletin" 2000, t. 126, s. 309–337.

[23] Joseph Harkness, Sandra Newman, *Housing Affordability and Children's Well-Being: Evidence from the National Survey of America's Families*, „Housing Policy Debate" 2005, t. 16, s. 223–255; Sandra Newman, Scott Holupka, *Housing Affordability and Investments in Children*, „Journal of Housing Economics" 2014, t. 24, s. 89–100.

[24] Na innych rynkach, kiedy towar staje się zbyt drogi, można kupować go w mniejszych ilościach. Gdy ceny ropy biją rekordy, ludzie mogą mniej jeździć samochodami. Gdy kiepskie zbiory kukurydzy windują cenę wołowiny, można ograniczyć jedzenie hamburgerów. Jednak kiedy rosną stawki czynszów i opłat za media, większość ubogich Amerykanów nie może wybrać opcji „konsumpcji" tańszych czy mniejszych lokali, bo takich w ich mieście nie ma. Według badań American Housing Survey za rok 2013 (Tabela C-02-RO) około 98 procent najmujących rodzin poniżej granicy ubóstwa zajmuje mieszkania z przynajmniej jedną sypialnią, a 68 procent – z dwiema lub więcej sypialniami. W Milwaukee mieszkania z jedną, dwiema lub trzema sypialniami zajmuje aż 97 procent najemców – dane z Milwaukee Area Renters Study za lata 2009–2011. Mniejsze mieszkania wyparowały z amerykańskich miast. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX wieku ponad milion hotelowych „jedynek" zostało albo wyeliminowanych wskutek wejścia w życie nowych przepisów budowlanych, albo przerobionych na większe lokale dla zamożniejszych najemców. Zob. Whet Moser, *The Long, Slow Decline of Chicago's SROs*, „Chicago", 14 czerwca 2013; Brendan O'Flaherty, *Making Room*, dz. cyt., s. 142–147; James Wright, Beth Rubin, *Is Homelessness a Housing Problem?*, „Housing Policy Debate" 1991, t. 2, s. 937–956; Christopher Jencks, *The Homeless*, dz. cyt., rozdział 6.

Jeśli nie liczyć wyprowadzki daleko od pracy, przyjaciół, rodziny i społeczności, niezamożni lokatorzy mogą ograniczyć swoje koszty zamieszkania tylko przez udostępnianie pokoi sublokatorom. Wielu właścicieli po prostu nie pozwala jednak na taki proceder. Nawet gdyby przymknęli oczy na przepisy dotyczące maksymalnego zagęszczenia w lokalu, więcej ludzi w mieszkaniu oznacza wyższe koszty utrzymania i wyższy rachunek za wodę. Większość najmujących gospodarstw domowych w Milwaukee (75 procent) nie jest obciążana rachunkami za wodę. Aby dowiedzieć się, co właściciele i zarządcy nieruchomości sądzą o tym, jak rosnąca liczba mieszkańców przekłada się na koszty i owe rachunki, posłuchajmy, co mówi Joe Parazinski, biały zarządca budynku, mieszkający i pracujący w getcie: „Jeśli wpuszczę tam [więcej] ludzi, nagle i niespodziewanie mam ich w mieszkaniu dziesiątkę. No to już jest dziesięć pryszniców dziennie [...]. No a wody w toalecie nie będą już spuszczać dwadzieścia razy dziennie, tylko dwieście. A ile więcej prania będzie szło do pralki? [...] Zacznij to sobie, kurwa, dodawać, to nie są grosze”.

Prawnicy zajmujący się mieszkaniami uważają najczęściej, że „waletowanie” to problem, ale dla ubogich najemców z reguły okazuje się ono wyjściem z trudnej sytuacji, bo choć nadmierne zatłoczenie mieszkania nie jest wolne od negatywnych konsekwencji, to jednak znacznie większym kłopotem jest dla nich nadmiar wolnej przestrzeni, wymuszone płacenie za obszerne mieszkania, na które ich nie stać. Większość ubogich najmujących gospodarstw domowych w kraju nie mieszka w nadmiernym tłoku – liczba osób przypadających na jedną sypialnię przekracza 1,5 w 24 procentach przypadków. Tylko dla 8 procent wszystkich najmujących gospodarstw domowych w Milwaukee wskaźnik ten przekracza 2 osoby. Jeśli przyjąć tę definicję zatłoczenia, ponad 2 osoby na sypialnię, w zatłoczonych mieszkaniach żyje w Milwaukee 4 procent białych najemców, 8 procent czarnych i 16 procent Latynosów. Niemal połowa wszystkich dorosłych najemców w Milwaukee mieszka bez innego dorosłego. Szczególnie silnie odosobnienie dotyka najemców afroamerykańskich – w Milwaukee tylko 35 procent z nich mieszka z inną osobą dorosłą, gdy tymczasem u białych najemców odsetek ten wynosi 58 procent, a u Latynosów – 69 procent.

Wśród wszystkich najemców w Milwaukee 32 procent mieszka samotnie, 16 procent tylko z dziećmi, a 53 procent – także z innym dorosłym. Samotnie mieszka 39 procent czarnych najemców, białych – 33 procent, a Latynosów – 14 procent. 26 procent czarnych najemców mieszka tylko z dziećmi, w przypadku białych dotyczy to 9 procent najemców, u Latynosów – 17 procent. Zapewne część ankietowanych najemców nie przyznała się do tego, że mieszka z nimi inny dorosły, szczególnie jeśli właściciel mieszkania nie był o tym poinformowany. W trakcie badań Milwaukee Eviction Court Study (2011) ankieterzy prosili lokatorów o wyszczególnienie wszystkich osób dorosłych stale lub okazjonalnie mieszkających wraz z nimi. Po wyjaśnieniu, w jaki sposób zachowana będzie poufność przekazanych informacji, ankieterzy mówili pytanym: „Interesują mnie wszystkie osoby dorosłe, które stale czy okazjonalnie z panią/panem mieszkają – nawet jeśli nie figurują w umowie najmu, a nawet jeśli nie wie o nich właściciel mieszkania”. Lokatorzy stający przed sądem w sprawach eksmisyjnych wymienili 375 mieszkających z nimi osób dorosłych, w tym 70 nieujętych w umowach najmu. Czarni mężczyźni stanowili największą grupę osób nieujętych w pozwach eksmisyjnych (N = 32), następną były czarne kobiety (N = 24). Moje szacunki dotyczące odsetka mieszkających samotnie (lub bez innej osoby dorosłej) czarnych najemców są zatem prawdopodobnie nieco przesadzone, pozostaje jednak faktem, że częstotliwość nadmiernego zatłoczenia wynajmowanych mieszkań bynajmniej nie jest proporcjonalna do skali zainteresowania polityków i analityków tym problemem. Badania American Housing Survey (2013), Tabela C-02-RO; Milwaukee Area Renters Study za lata 2009–2011.

Badania naukowe potwierdzają związek między zatłoczeniem mieszkań a negatywnymi konsekwencjami, niewiele jest jednak solidnych dowodów jednoznacznie wskazujących skutki zatłoczenia. Zob. Gary Evans, Susan Saegert, Rebecca Harris, *Residential Density and Psychological Health among Children in Low-Income Families*, „Environment and Behavior” 2001, t. 33, s. 165–180; Dominique Goux, Eric Maurin, *The Effect of Overcrowded Housing on Children’s Performance at School*, „Journal of

Public Economics” 2005, t. 89, s. 797–819; Claudia Solari, Robert Mare, *Housing Crowding Effects on Children's Well-Being*, „Social Science Research” 2012, t. 41, s. 464–476.

[25] Cyt. za: *Wizje Stanów Zjednoczonych w pismach Ojców Założycieli*, wybór Wiktor Osiatyński, przeł. Andrzej Jaraczewski, Warszawa: PIW, 1977, s. 187.

[26] Alex Schwartz, *Housing Policy in the United States*, dz. cyt., s. 23.

[27] Louis Winnick, *The Triumph of Housing Allowance Programs*, dz. cyt., s. 97. Wypowiedź lokatora pochodzi z filmu dokumentalnego z 2011 roku *The Pruitt-Igoe Myth* w reżyserii Chada Freidrichsa.

[28] Alex Kotlowitz, *There Are No Children Here: The Story of Two Boys Growing Up in the Other America*, New York: Random House, 1991; Arnold Hirsch, *Making the Second Ghetto*, dz. cyt.

[29] Od roku 1991 liczba lokali komunalnych spadła o mniej więcej 20 procent. Peter Marcuse, W. Dennis Keating, *The Permanent Housing Crisis: The Failures of Conservatism and the Limitations of Liberalism*, w: *A Right to Housing: Foundation for a New Social Agenda*, red. Rachel Bratt, Michael Stone, Chester Hartman, Philadelphia: Temple University Press, 2006, s. 139–162; Rachel Bratt, Michael Stone, Chester Hartman, *Why a Right to Housing Is Needed and Makes Sense: Editor's Introduction*, w: *A Right to Housing*, dz. cyt., s. 1–19; Alex Schwartz, *Housing Policy in the United States*, dz. cyt.

[30] Ściśle rzecz biorąc, koszty czynszowe właścicieli talonów pokrywane są do kwoty „płatności standardowej”, limitu wyznaczanego przez miejscowe wydziały mieszkalnictwa zarządzające wypłatami zapomóg. W ramach programu trzy czwarte dostępnych talonów zarezerwowane są dla gospodarstw domowych o dochodach poniżej granicy ubóstwa lub 30 procent lokalnej mediany (zależnie która z tych kwot jest wyższa), a pozostałą ćwierć można rozprowadzić wśród gospodarstw o dochodach nieprzekraczających 80 procent lokalnej mediany.

[31] Połączone Centrum Badań nad Mieszkalnictwem Uniwersytetu Harvarda, *America's Rental Housing: Evolving Markets and Needs*, Harvard University, Cambridge 2013; Abt Associates Inc. i in., *Effects of Housing Vouchers on Welfare Families*, Departament Mieszkalnictwa i Rozwoju Miast, Washington, DC 2006; Michelle Wood, Jennifer Turnham, Gregory Mills, *Housing Affordability and Family Well-Being: Results from the Housing Voucher Evaluation*, „Housing Policy Debate” 2008, t. 19, s. 367–412.

[32] Abt Associates Inc. i in., *Effects of Housing Vouchers*, dz. cyt.; Alan Meyers i in., *Public Housing Subsidies May Improve Poor Children's Nutrition*, „American Journal of Public Health” 1993, t. 83, s. 115. Zob. także: Sandra Newman, Scott Holupka, *Housing Affordability and Investments in Children*, dz. cyt.

[33] Badania American Housing Survey za rok 2013, Tabela C-17-RO. Szacunki te nie obejmują gospodarstw domowych sklasyfikowanych pod hasłami „inna weryfikacja dochodu" (3 procent najmujących gospodarstw domowych poniżej granicy ubóstwa) oraz „brak zgłoszonych dopłat" (1 procent najmujących gospodarstw domowych poniżej granicy ubóstwa), ponieważ nie było pewności, czy otrzymują one takie wsparcie czy też nie. Matthew Desmond, *Unaffordable America: Poverty, Housing, and Eviction, Fast Focus: Institute for* „Research on Poverty" 2015, t. 22, s. 1–6.

[34] O kwestii potrzeb kapitałowych mieszkalnictwa komunalnego zob. Meryl Finkel i in., *Capital Needs in the Public Housing Program, Contract # C-DEN-O2277-TO001, Revised Financial Report*, przygotowany dla Departamentu Mieszkalnictwa i Rozwoju Miast, Abt Associates Inc., Cambridge 2010.

[35] Wynik ten jest zbieżny przy wyliczeniach na podstawie różnych ogólnokrajowych zbiorów danych, jak rezultaty badań American Housing Survey, American Community Survey, Survey of Income and Program Participation czy Consumer Expenditure Survey. Frederick Eggers, F. Moumen, *Investigating Very High Rent Burdens among Renters in the American Housing Survey*, dz. cyt.

Problem wyśrubowanych stawek czynszów dotyczy nie tylko Stanów Zjednoczonych. W ciągu ostatnich kilku dekad miliony ludzi na całym świecie wyprowadzały się z wiosek i małych miasteczek. W roku 1960 w obszarach miejskich żyło około jednej trzeciej mieszkańców Ziemi, obecnie – ponad połowa. Miasta doświadczyły rzeczywistego wzrostu przychodów, co przyczyniło się do zredukowania globalnej skali ubóstwa. W tym też jednak cały problem, ponieważ rozrost miast wiązał się również ze zdumiewającym skokiem cen gruntów i kosztów mieszkaniowych. Koszty mieszkania w wielkich miastach wzrosły na całym świecie, szczególnie w „miastach supergwiazdach", gdzie rynki nieruchomości doświadczyły napływu kapitału globalnego, przez co ceny mieszkań strzeliły w górę, poza zasięg mieszkańców o niskich dochodach. W Lagos, największym mieście Afryki, szacuje się, że 60 procent wszystkich mieszkańców wydaje na czynsz większość miesięcznych dochodów, choć gros ludzi w tym mieście gnieździ się w lokalach jednoizbowych. Czynsze w dzielnicy biznesowej Delhi dorównują już tym w centrum Manhattanu. W niedawnym raporcie rozmiary ogólnoświatowego rozziewu między rynkowymi a przystępnymi stawkami czynszów szacowano na 650 miliardów dolarów, czyli 1 procent globalnego PKB. Około 330 milionów

gospodarstw domowych w miastach całego świata mieszka w lokalach niespełniających standardów lub zbyt kosztownych, za które muszą płacić ponad 30 procent dochodów. Ekstrapolując trendy migracyjne oraz światowe prognozy wzrostu dochodów, oczekuje się, że liczba ta do roku 2025 wzrośnie do 440 milionów, czyli 1,6 miliarda ludzi. Świat staje się zurbanizowany, a życie w mieście – zbyt kosztowne dla milionów ludzi we wszystkich krajach. Zob. Joseph Gyourko, Christopher Mayer, Todd Sinai, Superstar Cities, „American Economic Journal: Economic Policy" 2013, t. 5, s. 167–199; McKinsey Global Institute, *A Blueprint for Addressing the Global Affordable Housing Challenge*, McKinsey, New York 2014; Pedro Olinto, Hiroki Uematsu, *The State of the Poor: Where Are the Poor and Where Are They Poorest?*, World Bank, Poverty Reduction and Equity, Washington, DC 2013.

[36] Russell Engler, *Pursuing Access to Justice and Civil Right to Counsel in a Time of Economic Crisis*, „Roger Williams, University Law Review" 2010, t. 15, s. 472–498; tenże, *Connecting Self-Representation to Civil Gideon*, „Fordham Urban Law Review" 2010, t. 37, s. 36–92.

[37] D. James Greiner, Cassandra Wolos Pattanayak, Jonathan Hennessy, *The Limits of Unbundled Legal Assistance: A Randomized Study in a Massachusetts District Court and Prospects for the Future*, „Harvard Law Review" 2013, t. 126, s. 901–989; Carroll Seron i in., *The Impact of Legal Counsel on Outcomes for Poor Tenants in New York City's Housing Court: Results of a Randomized Experiment*, „Law and Society Review" 2001, t. 35, s. 419–434.

[38] Seedco, *Housing Help Program, South Bronx, NYC*, New York: Seedco Policy Center, 2009.

[39] Niemal połowa wszystkich wymuszonych przeprowadzek dotykających najemców w Milwaukee to eksmisje nieformalne: nigdzie nierejestrowane, przeprowadzone ścieżką pozasądową. Ponieważ eksmisje nieformalne stanowią obecnie ulubioną przez właścicieli metodę pozbywania się lokatorów, mogliby oni być jeszcze bardziej skłonni do wyboru takiej taktyki, gdyby ubogie rodziny miały dostęp do pomocy prawnej. Lokatorzy mogliby nalegać na rozpatrzenie sprawy przez sąd, ale wielu woli eksmisje nieformalne, ponieważ te nie wiążą się z wpisem do oficjalnych rejestrów. Dlatego też wszelkie inicjatywy dotyczące pomocy prawnej muszą wziąć pod uwagę obecne praktyki dokumentowania pracy sądów.

System prawny uległ drastycznym zmianom, gdy jego działanie zaczęto rejestrować i publikować – do tego stopnia, że groźba wpisu do rejestru eksmisji jest codziennie, zarówno na sali sądowej, jak i poza nią, wykorzystywana przez właścicieli, a także i samych sędziów, by nakłonić lokatorów do zrezygnowania z rozprawy. Coś w naszym wymiarze sprawiedliwości mocno się popsuło, jeśli dla lokatorów sensowniej jest odpuścić sobie wizytę w sądzie i po cichu wynieść się z mieszkania, kiedy zażąda tego właściciel, niż przedstawić sędziemu swoją sprawę, co często i tak kończy się nakazem eksmisji i do tego wpisem w rejestrze.

Spójrzmy na przypadek Myeshy i Chestera, ubogiego czarnego małżeństwa zamieszkującego dom naszpikowany zagrożeniami, w upokarzającym stanie, którego właścicielka złożyła pozew, by ich stamtąd usunąć. Według lokatorów wcześniej pozwoliła im ona mieszkać tam za darmo, póki nie będzie w stanie go wyremontować. Według właścicielki żadnej takiej umowy nie było. Dyskusji nie podlegał fatalny stan budynku: gołe przewody elektryczne, zapadająca się podłoga w niektórych pokojach, podczas deszczu do środka lała się woda – zdjęcia tych wad sprawiły, że asesor przekazał sprawę sędziemu. Gdy nadszedł dzień rozprawy przed sędzią, właścicielka i jej prawnik zaproponowali lokatorom ugodę nakazującą im wyprowadzkę. Myesha i Chester mieli jednak w miejscowej szkole dwie nastoletnie córki i chcieli pozostać w tym domu, póki nie zostanie on wyremontowany, rozważali więc postawienie swojej sprawy przed ławą przysięgłych. Sędzia przedstawił im dostępne opcje: jeśli podpiszą ugodę i zgodzą się na wyprowadzkę:

„– [...] część [pozwu właścicielki] dotycząca eksmisji zostanie oddalona. Więc w rejestrach, które każdy może oglądać, nie będzie wpisu, że zostaliście eksmitowani [...]. Jeśli uważacie, że faktycznie płaciliście czynsz czy macie inny powód, który mógłby zostać wykorzystany jako obrona procesowa, możecie mi o tym opowiedzieć. Macie taką możliwość. Druga opcja jest taka, że pójdziecie na jakąś ugodę, że się wyprowadzicie i zaoszczędzicie [właścicielce], a ostatecznie i sobie samym, sporo zawracania głowy. Bo [...] jeśli odmówicie wyprowadzki, choć już nie

będziecie mieli umowy najmu, a [właścicielka] będzie musiała zapłacić, żeby przyjechał szeryf i fizycznie wystawił wasze rzeczy na ulicę, to będzie jej koszt, więc ona tylko dopisze to do tej kwoty, którą już jesteście jej winni. Więc to naprawdę ciężka, nieprzyjazna, przepraszam, niewygodna, strasznie rozstrajająca sytuacja, kiedy was tak wystawiają na bruk.

– Jedno pytanie – odezwał się wtedy Chester. – A jakbyśmy byli umówieni, że nie musimy płacić czynszu, póki ona tam nie ponaprawia różnych rzeczy?

– Wtedy, cóż, idziemy na rozprawę i ustalimy, jaka była prawda, i rozstrzygniemy – powiedział sędzia.

Myesha i Chester poprosili o parę minut na omówienie tej sytuacji.

– Tak czy inaczej, przegrywamy – szepnęła Myesha. – Idzie tylko o to, jak dużo przegramy”.

Poszli na ugodę.

Są ludzie, którzy nigdy nie byli eksmitowani ani aresztowani, a chętnie twierdzą, że dostęp do rejestrów sądowych jest niezbędny dla rozwoju „społeczeństwa wolnego i otwartego”. Argumentują, że ograniczenie dostępu do akt sądowych utorowałoby drogę dla niedemokratycznych praktyk w państwie: tajnej policji, nierejestrowanych aresztowań, tajnych więzień i Bóg jeden wie czego jeszcze. W porównaniu z konkretnymi faktami ukazującymi, jak rejestry te są istotnie wykorzystywane, by radykalnie utrudniać życie całym rodzinom, te abstrakcyjne lamenty wydają się skrajnie oderwane od rzeczywistości. Rejestry sądowe silnie ograniczają możliwości dostępne milionom Amerykanów, w tym ludziom, którzy nigdy nie popełnili żadnego przestępstwa. Zajmijmy się autentycznymi problemami, które mamy, zamiast urojonymi.

[40] Martha Davis, *Participation, Equality, and the Civil Right to Counsel: Lessons from Domestic and International Law*, „Yale Law Journal” 2013, t. 122, s. 2260–2281; Raven Lidman, *Civil Gideon as a Human Right: Is the U.S. Going to Join Step with the Rest of the Developed World?*, „Temple Political and Civil Rights Law Review” 2006, t. 15, s. 769–800.

[41] Cyt. za Cass Sunstein, *The Second Bill of Rights: FDR’s Unfinished Revolution and Why We Need It More than Ever*, New York: Basic Books, 2004, s. 3.

[42] Cyt. za: Beryl Satter, *Family Properties*, dz. cyt., s. 215.

[43] „Wyzysk” pojawia się zaledwie dwukrotnie w książce Williama Juliusa Wilsona *The Truly Disadvantaged* (dz. cyt.), gdy Wilson streszcza ortodoksyjne teksty marksizmu, i znów dwukrotnie w jego *When Work Disappears: The World of the New Urban Poor* (Knopf, New York 1996), gdy opisuje odrazę czarnych do tego zjawiska. W książce Loïca Wacquanta *Urban Outcasts* (dz. cyt.) znajdzie się cztery wzmianki o „wyzysku”, przy czym tylko jedna dotyczy wyzysku ubogich przez bogatych (przypis 7, s. 123). Słowo to pojawia się raz w pracy Douglasa Masseya i Nancy Denton *American Apartheid* (dz. cyt.) w kontekście związków seksualnych między mieszkańcami getta, również raz u Sudhira Venkatesha w *American Project: The Rise and Fall of a Modern Ghetto* (Harvard University Press, Cambridge 2000, s. 150) przy opisie wyzysku lokatorów bloku mieszkań komunalnych przez gangi; także raz u Michaela Harringtona w *Drugiej Ameryce* (przeł. Samuel Kerner, Warszawa: Książka i Wiedza, 1964, s. 28). Słowo „wyzysk” nie pojawia się wcale na kartach wielu innych klasycznych pozycji naszych czasów dotyczących losu ludzi ubogich, od książki Kathryn Edin i Laury Lein, *Making Ends Meet* (dz. cyt.) po pracę Charlesa Murraya *Coming Apart: The State of White America, 1960–2010* (New York: Random House, 2012).

[44] O kwestii cen żywności w biednych dzielnicach zob. Chanjin Chung, Samuel Myers, *Do the Poor Pay More for Food? An Analysis of Grocery Store Availability and Food Price Disparities*, „Journal of Consumer Affairs” 1999, t. 33, s. 276–296; Marianne Bitler, Steven Haider, *An Economic View of Food Deserts in the United States*, „Journal of Policy Analysis and Management” 2011, t. 30, s. 153–176.

[45] Lizabeth Cohen, *A Consumers' Republic: The Politics of Mass Consumption in Postwar America*, New York: Knopf, 2008, s. 40; Elizabeth Blackmar, *Manhattan for Rent*, dz. cyt., s. 237–238; Jacob Riis, *How the Other Half Lives*, dz. cyt., s. 30; Allan Spear, *Black Chicago*, dz. cyt.; Matthew Desmond, *Eviction and the Reproduction of Urban Poverty*, dz. cyt. O dziwo, to akurat Daniel Patrick Moynihan dostrzegł kluczowe znaczenie wyzysku dla zrozumienia rasowego aspektu ubóstwa w miastach. W swoim raporcie dla Departamentu Pracy, który miał potem zyskać tak złą sławę, Moynihan pisał: „Położenie Murzynów jest powszechnie postrzegane przez białych pod kątem widocznych przejawów dyskryminacji i nędzy [...]. Znacznie trudniej jednak jest białym dostrzec skutki, jakie trzy stulecia wyzysku miały na tkankę samego społeczeństwa Murzynów [...]. Tu właśnie nastąpiły rzeczywiste zniszczenia: jeśli nie naprawi się tych uszkodzeń, wszelkie wysiłki na rzecz zniesienia dyskryminacji, ubóstwa i niesprawiedliwości na niewiele się zdadzą”. Daniel Patrick Moynihan, *The Negro Family: The Case for National Action*, Departament Pracy, Washington, DC 1965.

[46] Spostrzeżenie to zawdzięczam Beryl Satter, *Family Properties*, dz. cyt.

[47] O kantach finansowych zob. Alan Andreasen, *The Disadvantaged Consumer*, New York: The Free Press, 1975; Michael Lewis, *Wielki szort. Mechanizm maszyny zagłady*,

przeł. Kinga Man, Katowice: Wydawnictwo Sonia Draga, 2015; David Caplovitz, *The Poor Pay More*, dz. cyt. O chwilówkach zob. Pew Charitable Trust, *Payday Lending in America: Who Borrows, Where They Borrow, and Why*, Pew, Washington, DC, 19 lipca 2012; Gary Rivlin, *Broke, USA*, dz. cyt.

[48] O zagnieżdżeniu rynków w strukturach państwa i stosunkach społecznych zob. Mark Granovetter, *Economic Action and Social Structure: The Problem of Embeddedness*, „American Journal of Sociology” 1985, t. 91, s. 481–510; Karl Polanyi, *Wielka transformacja. Polityczne i ekonomiczne źródła naszych czasów*, przeł. Maria Zawadzka, Warszawa: PWN, 2010. O związkach między biedą a działaniami policyjnymi zob. Megan Comfort, *When Prison Is a Refuge: America's Messed Up*, „Chronicle of Higher Education”, 2 grudnia 2013; David Garland, *The Culture of Control*, dz. cyt.; Loïc Wacquant, *Punishing the Poor: The Neoliberal Government of Social Insecurity*, Durham: Duke University Press, 2009; Bruce Western, *Punishment and Inequality in America*, New York: Russell Sage Foundation,: 2006; Alice Goffman, *On the Run: Fugitive Life in an American City*, Chicago: University of Chicago Press, 2014.

[49] Oliver Cromwell Cox, *Caste, Class, and Race: A Study in Social Dynamics*, New York: Doubleday and Company, 1948, s. 238.

[50] Katie Dodd, *Quarterly Benefits Summary*, Department for Work and Pensions, Newcastle-upon-Tyne 2015; Hugo Priemus, Peter Kemp, David Varady, *Housing Vouchers in the United States, Great Britain, and the Netherlands: Current Issues and Future Perspectives*, „Housing Policy Debate” 2005, t. 16, s. 575–609; *Housing Benefit: How Does It Work?*, BBC News, 9 listopada 2011.

[51] Żadne badania nie wykazały, by w porównaniu z talonami mieszkaniowymi wsparcie na podstawie budownictwa komunalnego mogło zapewnić równej jakości warunki mieszkaniowe za niższą cenę. O porównaniu kosztów mieszkań komunalnych z talonami zob. Janet Currie, *The Invisible Safety Net*, dz. cyt., rozdział 4; Amy Cutts, Edgar Olsen, *Are Section 8 Housing Subsidies Too High?*, „Journal of Housing Economics” 2002, t. 11, s. 214–243. O jakości sąsiedztw, w których mieszkają dysponenci talonów, w porównaniu z lokatorami mieszkań komunalnych zob. Sandra Newman, Ann Schnare, *„...And a Suitable Living Environment”: The Failure of Housing Programs to Deliver on Neighborhood Quality*, „Housing Policy Debate” 1997, t. 8, s. 703–741; Edgar Olsen, *Housing Programs for Low-Income Households*, w: *Means-Tested Transfer Programs in the United States*, red. Robert Moffitt, Chicago: University of Chicago Press, 2003, s. 365–442.

[52] Brian Jacob, Jens Ludwig, *The Effects of Housing Assistance on Labor Supply: Evidence from a Voucher Lottery*, „American Economic Review” 2012, t. 102, s. 272–304; Mark Shroder, *Does Housing Assistance Perversely Affect Self-Sufficiency? A Review Essay*, „Journal of Housing Economics” 2002, t. 11, s. 381–417; Sandra Newman, Scott

Holupka, Joseph Harkness, *The Long-Term Effects of Housing Assistance on Work and Welfare*, „Journal of Policy Analysis and Management” 2009, t. 28, s. 81–101.

[53] Co wymowne, kraje prowadzące powszechne programy mieszkaniowe nie narzucają minimalnych standardów mieszkań, jak to czyni ograniczony program talonowy w USA. Kiedy każdego obywatela kraju stać na mieszkanie w przyzwoitych warunkach, niepotrzebne jest określanie standardów minimalnych, bo najemca może przenieść się ze swoim talonem gdzie indziej. Hugo Priemus, Peter Kemp, David Varady, *Housing Vouchers in the United States, Great Britain, and the Netherlands*, dz. cyt., s. 582.

[54] Jacob Riis, *How the Other Half Lives*, dz. cyt., s. 201.

[55] Powszechny program talonowy nie rozwiąże wszystkich naszych problemów. Szczególnie na ciasnych rynkach talony nie w pełni mogą uchronić lokatorów przed inflacją czynszów. Tego może dokonać tylko istotna interwencja rządu (jak ograniczenie wysokości czynszów) lub zmiany na rynku (jak przyrost substancji mieszkaniowej).

W rzeczy samej są pewne dowody – jakkolwiek skąpe – że nasz obecny program talonowy winduje stawki czynszowe dla wszystkich: nie tylko dla dysponentów talonów, ale także dla najemców pozbawionych tego wsparcia. Główny powód tego stanu rzeczy jest prosty: gdyby miliony ludzi zrezygnowały z najmu na rynku prywatnym na rzecz mieszkań komunalnych, doprowadziłoby to do redukcji popytu, a tym samym i czynszów w najtańszym sektorze. Jeśli ludzie ci wrócą na rynek prywatny, z talonami w garści, spowoduje to wzrost popytu, a więc i czynszów. W jednych badaniach stwierdzono, że w miastach, gdzie przyznano więcej talonów mieszkaniowych, doszło do ostrzejszego wzrostu czynszów i że w ogólnym rozrachunku talony kosztowały rodziny pozbawione wsparcia więcej, niż zaoszczędziły dzięki nim rodziny dysponentów. Zob. Scott Susin, *Rent Vouchers and the Price of Low-Income Housing*, „Journal of Public Economics” 2002, t. 83, s. 109–152. Natomiast poradniki dla właścicieli nieruchomości serwują porady typu: „Chętnie sprawdzam też, jakie są bieżące stawki dla mieszkań komunalnych, to jest sponsorowane przez rząd dopłaty do czynszu, i traktuję to jako podstawę do wyliczenia, jak wysokiego czynszu mogę zażądać” (Bryan Chavis, *Buy It, Rent It, Profit!*, dz. cyt., s. 70). Badania wykazały też jednak brak korelacji między gęstością dysponentów a ogólnymi stawkami najmu mieszkań. Na przykład Eksperymentalny Program Zapomóg Mieszkaniowych (Experimental

Housing Allowance Program, EHAP) wykazał, że talony mieszkaniowe mają znikomy wpływ na wysokość czynszów na całym rynku. William Apgar przypisał ów wynik faktowi niedostatecznego nasycenia rynków talonami i temu, że w okresie objętym badaniami stawki czynszowe były sztucznie zaniżone. Symulacje przeprowadzone na podstawie ustaleń z EHAP przez Krajowe Biuro Badań Gospodarczych (National Bureau of Economic Reseach) i Instytut Miejski (Urban Institute) „sugerowały, że zapomogi mieszkaniowe mogłyby rzeczywiście uruchomić istotne zwyżki cen zarówno dla pobierających dopłaty, jak i dla tych niepobierających, a także zachęcać do rezygnacji z inwestycji w budynki niespełniające wymogów programu czy porzucania ich”. Zob. William Apgar junior, *Which Housing Policy Is Best?*, „Housing Policy Debate” 1990, t. 1, s. 1–32, tu s. 9. Zob. też Michael Eriksen, Amanda Ross, *Housing Vouchers and the Price of Rental Housing*, robocza wersja opracowania, Uniwersytet Stanu Georgia 2015.

[56] Matthew Desmond, Kristin Perkins, *Are Landlords Overcharging Voucher Holders?*, dz. cyt.; Amy Cutts, Edgar Olsen, *Are Section 8 Housing Subsidies Too High?*, dz. cyt.; Edgar Olsen, *Housing Programs for Low-Income Households*, dz. cyt. O regulacjach stawek czynszowych zob. Tommy Andersson, Lars-Gunnar Svensson, *Non-Manipulable House Allocation with Rent Control*, „Econometrica” 2014, t. 82, s. 507–539; Richard Arnott, *Time for Revisionism on Rent Control?*, „Journal of Economic Perspectives” 1995, t. 9, s. 99–120.

Departament Mieszkalnictwa i Rozwoju Miast opublikował niedawno plan zapewniania dysponentom talonów „subsydiów lepiej odzwierciedlających lokalne stawki na rynku najmu” – zaproponowano „godziwe stawki rynkowe dla małych rejonów” (Small Area Fair Market Rents), „różne dla poszczególnych kodów pocztowych, co umożliwia stosowanie szerszego zakresu wariantów płatności, niż jest osiągalny przy obecnie istniejących przepisach”. Zob. Departament Mieszkalnictwa i Rozwoju Miast, *Establishing a More Effective Fair Market Rent (FMR) System; Using Small Area Fair Market Rents (SAFMRs) in Housing Choice Voucher Program Instead of the Current 50th Percentile FMRs; Advanced Notice of Proposed Rulemaking*, „Federal Register”, t. 80, 2 czerwca 2015, s. 31332–31336.

[57] Bipartisan Policy Center, *Housing America's Future: New Directions for National Policy*, Washington, DC 2013, rozdział 4: Materiały techniczne dotyczące projekcji szacowanych kosztów zob. w: Larry Buron, Bulbul Kaul, Jill Khadduri, *Estimates of Voucher-Type and Emergency Rental Assistance for Unassisted Households*, Abt Associates, Cambridge, MA 2012. W roku 2012 wydatki rządu federalnego na rzecz właścicieli domów wyniosły około 200 miliardów dolarów. Zob. Will Fischer, Barbara Sard, *Chart Book: Federal Housing Spending Is Poorly Matched to Need*, Center for Budget and Policy Priorities, Washington, DC 2013. Inny szacunek kosztów programu talonów mieszkaniowych o szerszym zakresie uczestnictwa zob. w: William Grigsby, Steven Bourassa, *Section 8: The Time for Fundamental Program Change?*, „Housing Policy Debate" 2004, t. 15, s. 805–834. W badaniach tych szacowano, że rozciągnięcie programu talonów mieszkaniowych na rodziny najemców o dochodach poniżej 50 centyla mediany dla ich rejonu wymagałoby dodatkowego wydatku 43 miliardów dolarów, czyli na tamte czasy kwoty rzędu 2,5 procent wydatków rządu federalnego.

[58] Alex Schwartz, *Housing Policy in the United States*, dz. cyt., s. 45–47.

[59] Tamże. Kancelaria Prezydenta Stanów Zjednoczonych, *Budget of the United States Government: Fiscal Year 2008*, Washington, DC 2008.

[60] Michael Harrington, *Druga Ameryka*, dz. cyt., s. 181–182; A. Scott Henderson, *Housing and the Democratic Ideal: The Life and Thought of Charles Abrams*, New York: Columbia University Press, 2000; Peter Dreier, *Federal Housing Subsidies: Who Benefits and Why?*, w: *A Right to Housing*, dz. cyt., s. 105–138.

Słowo o tym projekcie

[1] Pełniejsze objaśnienie można znaleźć w: Matthew Desmond, *Relational Ethnography*, dz. cyt. Zob. też Mustafa Emirbayer, *Manifesto for Relational Sociology*, „American Journal of Sociology" 1997, t. 103, s. 281–317; Eric Wolf, *Europa i ludy bez historii*, przeł. Wojciech Usakiewicz, Kraków: WUJ, 2009; Stanley Lieberson, *Making It Count: The Improvement of Social Research and Theory*, Berkeley–Los Angeles: University of California Press, 1985.

[2] Mitchell Duneier, *Sidewalk*, dz. cyt., s. 337–339.

[3] Bywa, że patrzy się na etnografię jako na „metodę". Gdy tak jest, skłaniamy się do zadawania w jej kwestii pytań metodologicznych. „Co mogę zrobić, żeby rada uczelniana zatwierdziła mój projekt?" „Kiedy powinienem robić notatki z obserwacji?" Osobiście skłaniam się do traktowania etnografii jako wrażliwości, „sposobu widzenia", jak to kiedyś ujął antropolog Harry Wolcott. Oznacza to, że nie da się z etnografią „pójść do pracy". To zasadniczy sposób istnienia w świecie. Jeśli tak będziemy myśleć o etnografii,

zaczniemy zadawać inne pytania. „Jak mam skłonić obce osoby do rozmowy ze mną?” „Jak mogę stać się bardziej spostrzegawczy?” Jeśli traktujemy etnografię jako rodzaj wrażliwości, możemy zacząć pracę nad wytworzeniem zestawu umiejętności czy dyscyplin na długo przed tym, zanim faktycznie zabierzemy się do obserwacji terenowych. Człowiek może w ten sposób przeobrażać się w etnografa – dzień za dniem – tak że kiedy przyjdzie czas, by ruszyć w teren, będzie już przygotowany. (Przydaje się też rozstanie ze smartfonem). Harry Wolcott, *Ethnography: A Way of Seeing*, Lanham: Rowman Altamira, 1999. O przemocowym charakterze interpretacji zob. Susan Sontag, *Przeciw interpretacji*, przeł. Dariusz Żukowski, w: tejże, *Przeciw interpretacji i inne eseje*, przeł. Małgorzata Pasicka, Anna Skucińska, Dariusz Żukowski, Kraków 2012, s. 17.

[4] Kiedy mieszkałem na placu przyczep, nie wiedziałem, że Scott był pogrążony w tak silnej depresji, że zamierzał popełnić samobójstwo przez przedawkowanie. Raz poprosił mnie o znaczną sumę pieniędzy. Odmówiłem mu – i wciąż wzdragam się na wspomnienie, że rozważałem, czy jednak nie przystać na jego prośbę.

[5] Zob. Mustafa Emirbayer, Matthew Desmond, *Race and Reflexivity*, „Ethnic and Racial Studies” 2012, t. 35, s. 574–599.

[6] Nie zawierzyłem żadnemu oprogramowaniu do jakościowej obróbki danych.

[7] Osobą tą była Gillian Brassil. Przekazałem jej komplet notatek z badań terenowych po tym, jak podpisała zobowiązanie o poufności. Gillian dokonała weryfikacji relacji poprzez sprawdzenie w publikacjach (na przykład statystykach policyjnych czy aktach prawnych) niemal trzydziestu przeprowadzonych niezależnie wywiadów, jak również kwerendę w materiałach archiwalnych w połączeniu z moimi notatkami, zdjęciami i transkrypcjami nagrań cyfrowych. Gillian nie tylko poprosiła mnie o udokumentowanie kilku faktów odnotowanych w tej książce, ale też wybrała losowo 10 procent spośród stron tekstu roboczego, dla których miałem jej wskazać, gdzie w notatkach z prac terenowych znajdzie odnośne sceny czy spostrzeżenia. Często jako udokumentowania stwierdzeń żądała okazania zdjęć lub oficjalnych dokumentów.

[8] Kopię tekstu roboczego tej książki (czy to w całości, czy stosownych rozdziałów) wręczyłem każdemu, kto częściej pojawiał się na jej stronach. Zdarzało się, że dla potwierdzenia szczegółów czytałem ludziom wybrane fragmenty tekstu.

[9] Mądrale od polityki i badacze ubóstwa mogą niestrudzenie debatować o szczegółach tego czy innego odgórnego programu mieszkaniowego. Zadają setki pytań o programy, z których korzysta ułamek miejskiej biedoty. Według aplikacji Google Scholar istnieje ponad 4800 artykułów naukowych i książek, w których treści pojawia się fraza „Moving to Opportunity” [Przeprowadzka do szansy]. Owa inicjatywa zmian miejsca zamieszkania, obliczona na wyprowadzanie rodzin z sąsiedztw objętych biedą i przestępczością, była śmiałym i ważnym programem – z którego skorzystało około 4600 rodzin. Innymi słowy, na chwilę obecną każde gospodarstwo domowe, które skorzystało z Moving to

Opportunity, mogłoby się pochwalić własnym opracowaniem naukowym wzmiankującym ten program. Znacznie więcej wiemy o mieszkalnictwie komunalnym, z którego korzysta niespełna 2 procent populacji, niż o właścicielach mieszkań w gettach i należących do nich nieruchomościach, które stanowią gros substancji mieszkaniowej dostępnej dla gettowej biedoty. Znacznie więcej wiemy o talonach mieszkaniowych, z których korzysta fartowna, ale mniejszościowa grupa rodzin o niskich dochodach, niż o tym, jak większość takich rodzin wiąże koniec z końcem bez finansowego wsparcia na prywatnym rynku najmu. W roku 1995 Richard Arnott zauważył, że skupienie uwagi ekonomistów „na kwestii regulacji czynszów odwróciło ich wzrok od ważniejszych aspektów polityki mieszkaniowej [...]. W ciągu ostatniej dekady żaden wiodący periodyk nie opublikował choćby jednego artykułu dotyczącego problemu mieszkań dla ludzi o niskich dochodach". Richard Arnott, *Time for Revisionism on Rent Control?*, dz. cyt., s. 99–120, tu s. 117.

[10] Matthew Desmond, Tracey Shollenberger, *Forced Displacement from Rental Housing*, dz. cyt.

[11] Matthew Desmond, *Eviction and the Reproduction of Urban Poverty*, dz. cyt.

[12] Dla oszacowania prawdopodobieństwa wydania nakazu eksmisyjnego zastosowano podwójnie odporne modele regresji logistycznej, jak również kilka analiz dopasowawczych. Badania Milwaukee Eviction Court Study, 2011. Opisy modeli zob. w: Matthew Desmond i in., *Evicting Children*, dz. cyt.

[13] https://thedata.harvard.edu (dostęp: 12.10.2018).

[14] Najemcy zamieszkują nieco ponad połowę mieszkań w Milwaukee, czyli odsetek porównywalny do tych w innych miastach (jak Chicago, Houston czy Baltimore). Porównując mediany czynszów, hrabstwo Milwaukee plasuje się na 1420 miejscu wśród 4763 hrabstw w Stanach Zjednoczonych i Puerto Rico. Wśród miast o podobnym profilu czynszów znajdują się: Portland w stanie Oregon, Charlotte w Karolinie Północnej, Gary w Indianie oraz Baton Rouge w Luizjanie. Miasta o okrzepłej tradycji stowarzyszeń lokatorskich i zróżnicowanej ekonomicznie populacji najemców – jak Boston czy Los Angeles – częściej mogą się pochwalić kąśliwymi zapisami chroniącymi lokatorów niż takie jak Milwaukee, gdzie większość rodzin w klasie średniej i wyższej posiada domostwa na własność. W większości miast jednak przepisy chroniące najemców przypominają bardziej te z Milwaukee niż z Bostonu i Los Angeles. Zob. National Multifamily Housing Council, *Quick Facts: Resident Demographics*, Washington, DC 2009; *50th Percentile Rent Estimates for 2010*, Departament Mieszkalnictwa i Rozwoju Miast, Washington, DC 2010.

[15] Parafrazując za: Elliot Liebow, *Tally's Corner*, dz. cyt., s. 15.

[16] Clifford Geertz, *Dzieło i życie. Antropolog jako autor*, przeł. Ewa Dziurak, Sławomir Sikora, Warszawa: Wydawnictwo KR, 2000, s. 14.

[17] Rosnąca popularność pierwszoosobowej narracji etnograficznej zrodziła się ze zwrotu ku postmodernizmowi w antropologii, gdy kluczowymi zagadnieniami stały się uprzedzenia i orientacja polityczna autora. Do tego czasu znaczna część dzieł etnograficznych pisana była w trzeciej osobie. Autorzy *The Taxi-Dance Hall* (1932), *Street Corner Society* (1943), czy nawet *Tally's Corner* (1967) są właściwie nieobecni w swoich książkach.

Podziękowania

[1] John Donne, *Waleta, żalu zabraniająca*, przeł. Stanisław Barańczak.

[1*] WIC (z ang. Women, Infants, Children) – federalny program zakładający poprawę żywienia kobiet w ciąży i karmiących, niemowląt oraz małych dzieci między innymi poprzez talony na zakupy zdrowej żywności dla osób zakwalifikowanych do niego (przyp. tłum.).